

# MORITKA

MARCIN



ZIELONA  
SOWA

Królewska Talia

Marcin Mortka

# Królewska Talia



ZIELONA  
SOWA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

**Rozdział 1.** Droga przez Słone Bory

**Rozdział 2.** Miasto na Skale

**Rozdział 3.** Pochodnia

**Rozdział 4.** Jałowiec

**Rozdział 5.** Taliot

**Rozdział 6.** Ugór

**Rozdział 7.** Mglaki

**Rozdział 8.** Stęchlizna

**Rozdział 9.** Ostatniec

**Rozdział 10.** Przytulisko

**Rozdział 11.** Szlak na północ

**Rozdział 12.** Skowyt

**Rozdział 13.** Gadające Bagna

**Rozdział 14.** Posepna Łuna

**Rozdział 15.** Wierzbowa Przystań



**Rozdział 16.** Powrót do Skowytu

**Rozdział 17.** Droga na Dymiące Wzgórza

**Rozdział 18.** Dymiące Wzgórza

**Rozdział 19.** Droga do Tangstevu

**Rozdział 20.** Obóz królewski nad Szczeliną

**Rozdział 21.** Brzeg Toporzyska

**Rozdział 22.** Powrót do Ugoru

**Dodatek 1.** Członkowie głównej linii rodu Hanstarów

**Dodatek 2.** Rody Mandylionu

**Dodatek 3.** Taliad przed przybyciem Mandyliończyków

O Autorze

Redaktor prowadzący: AGNIESZKA SOBICH, MONIKA KOCH  
Redakcja: ANNA WŁODARKIEWICZ  
Korekta: MACIEJ KORBASIŃSKI, TERESA ZIELIŃSKA, HALINA STYKOWSKA  
Projekt okładki i ilustracje: PAWEŁ ZARĘBA  
Projekt graficzny i DTP: BERNARD PTASZYŃSKI

© Copyright for text by Marcin Mortka, 2017  
© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
Warszawa 2017

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8073-508-8

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
Al. Jerozolimskie 94, piętro 12, 00-807 Warszawa  
Tel. +48 22 379 85 50, Faks: +48 22 379 85 51  
e-mail: [wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)  
[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Zobacz także inne książki Marie Lu:

*REBELIANT*

*WYBRANIEC*

*PATRIOTA*

*Z całego serca dziękuję redaktorce tej książki, Pani Annie Włodarkiewicz,  
drugiej osobie, którą polubiła moją opowieść, a pierwszej, która  
zaprowadziła w niej porządek.*

*Autor*







*Pierwsi z nich pojawili się trzy lata temu.*

*Ich skrzydlate okręty kotwiczyły przy Svallebru i w innych portach dumnego Taliadu, a przybysze schodzili na ląd, dziękowali za gościnę i udawali się na krótki spoczynek, by skoro świt chwycić za lunetę i wypatrywać kolejnych okrętów, a na nich rodzin, przyjaciół, sojuszników, rodaków. Wielu z nich się doczekało – nie było dnia, by na poszarpanym horyzoncie nie pojawiły się nowe żagle. Ale chwile ulgi i radości nigdy nie trwały długo, każdy kolejny statek przywoził bowiem coraz gorsze wieści.*

*Ze współczuciem spoglądano na tych, którzy musieli umykać ze swej ojczyzny. Ze strachem słuchano opowieści o straszliwej Czerni, która im zagroziła, skwapliwie wskazywano miejsca w gospodach i pola, na których mogli wznieść namioty, szczerze częstowano, tym bardziej że płacili chętnie. Mało komu z Taliadczyków przeszkadzało to, że przybysze na ogół traktowali ich z góry i mało który znał ich mowę. Nie zważano nawet na to, że przybywało ich z każdym dniem i wkrótce były ich tysiące, dziesiątki tysięcy. Ba, mówiono nawet, że król Taliadu, pochłonięty beznadziejną wojną domową z własnymi braćmi, przyjmie obcych pod swój znak i dzięki nim rychło zakończy zmagania.*

*O tym, że ufność i głupota tego samego ojca mają, przypomnieli sobie Taliadczycy dopiero w chwili, gdy najwytrwalsi spośród przybyszów odwrócili się już od morza i schowali lunety. Ich ojczyzna za wielką wodą przestała istnieć. Nadszedł czas na znalezienie sobie kolejnej, a w namiocie ich władcy, który cudem uszedł z życiem na jednym z ostatnich okrętów, oficjalnie zatwierdzono dość oczywisty plan.*

*Czekali tylko na pretekst, by wypowiedzieć Taliadowi wojnę, a ten pojawił się szybko.*

*Wkrótce Taliad przekonał się, że niewiele może się równać determinacji armii, która nie ma absolutnie nic do stracenia. Rozpoczęły się czasy Mandylionu.*



## Droga przez Stone Bory

– Idą!

„Idą” – powtórzył w myślach Tankred. Przełknął ślinę i zacisnął dłoń mocniej na mieczu. Odruchowo rozejrzał się po lesie, ale niskie, poskręcane sosny, wyrastające z nadmorskich mchów, zazdrośnie skrywały tajemnicę. Wysoko nad ich czubkami krzyczały zaniepokojone mewy.

– Idą! – raz jeszcze wykrzyknął Pieśniarz, stojący gdzieś na czele konwoju, zupełnie niepotrzebnie, bo nikt z żywych nigdy nie ośmieliłby się podważyć jego słów.

Konie parskały cicho i łyssały ślepiami, jakby i one wyczuwały zagrożenie. Ludzie kryli się za burtami wozów, wyglądali zza kół, celowali spod plandek.

Gdzieś daleko, wśród pokracznych, przypominających odnóża korzeni sosen pojawiły się pasemka mgły, natychmiast roztrącone przez poruszający się błyskawicznie niewyraźny kształt. Tankred odruchowo zamknął oczy

i odwrócił głowę.

„Przekłete Widmo” – pomyślał z odrazą.

Ponad nadmorskim lasem przemknął wrzask dzikiej grozy, ale nic nie mogło powstrzymać przeznaczenia. Mgła niespodziewanie zgęstniała, posiwiała, a potem przeszły ją pierwsze strzały. Przemykały nad głowami, rozdzierały płótno, z hukiem wbijały się w drewniane burty. Jeden z piechurów klęczących obok Tankreda złapał się za gardło, inny z wrzaskiem szarpał strzałę sterczącą mu z przedramienia. Nikt nawet na niego nie spojrział. Uwaga wszystkich skupiona była na przygarbionych istotach wyłaniających się z mgły.

Obrońcy konwoju krzyczeli chrapliwie i szyli z łuków, ale Tankred nie słyszał ani słowa. Krew huczała mu w żyłach. Nadchodzili.

Mąciciele. Plugastwo. Durnie z sieczką w głowach.

Tankred spojrział na Dagnaara Vlistuna, który czuwał nieopodal, zasłonięty owalną tarczą. W jego oczach wyczytał dokładnie to, czego się spodziewał.

– Naprzód! Za Mandylion! – ryknął i zeskoczył z wozu.

Dagnaar również się zerwał, a za nimi Tomas Toulghan, Alaine Puckhard i pozostali rycerze Stalowej Duszy. Biegli jak szaleni między drzewami. Sypki piach więził ich stopy, iglaste gałęzie smagały po twarzach, zewsząd śmigą ku nim śmierć zbrojna w stalowe groty, ale nic nie mogło ich powstrzymać.

Tankred, który pędził na przedzie, zapomniał osłonić twarz tarczą. Zrobił to w ostatniej chwili. Ułamek sekundy później przebił ją grot jednego z napastników, inny musnął jego naramiennik, który odbił się i wirując, poleciał w las. Jeden z młodych rycerzy – chyba Puckhard – ryknął z bólu, ale nie miało to znaczenia. Znaleźli się w zasadzce.

Tankred nie miał cienia wątpliwości, że przeciwnikowi dokładnie o to chodziło. Zwiadowcy z pewnością śledzili ich konwój od chwili, gdy opuścili Posępną Łunę, i donieśli, że czwartą część eskorty stanowią rycerze Stalowej Duszy, którzy nie potrafią trwać na stanowisku jak szkoleni łucznicy czy pikinierzy. Mąciciele wiedzieli, że bez trudu zdołają oderwać ich od wozów i zaciągnąć w las.

Na tym jednakże kończyła się ich umiejętność przewidywania wypadków. Jeśli spodziewali się, że zdołają w ten sposób wybić przeciwnika, mylili się, i to bardzo. Przypuszczalnie nie zdawali sobie sprawy, kim rycerze Stalowej Duszy naprawdę byli, i nie wiedzieli, czego mogą się po nich spodziewać.

Najbliższy z napastników zamierzał przebić Tankreda strzałą wypuszczoną z niewielkiej odległości. Rycerz nawet nie próbował uniknąć grotu, który ześlizgnął się po jego pysznym napierśniku, nie czyniąc mu szkody. Sekundę później miecz Tankreda opadł niczym atakujący jastrząb i wgryzł się w ciało przeciwnika. Rycerz nie zwlekał – błyskawicznie wyrwał ostrze z rany i zwrócił się ku kolejnym napastnikom. Korę poskręcanej sosny zbryzgała krew. Następny z atakujących natarł z trzymanym oburącz toporem, ale zamachnął się za mocno i stracił równowagę. Rycerz ciął go od niechcenia przez plecy, odepchnął jego ciało tarczą, zawirował, odbił atakującą znikąd włócznię i zmiażdżył głownią twarz napastnika.

Mąćciele. Wszawe plemię. Opętani żądzą zemsty ludzie pokonanego już króla Taliadu.

Przeciwników wciąż przybywało, ale rycerze Stalowej Duszy, choć nieliczni, zdawali się być w kilku miejscach naraz. Tankred miał wrażenie, że Puckhard osunął się na ziemię bez życia, ale nie miał czasu tego sprawdzić. Ciął i rąbał, zamieniony przez furję w stalowy wir. Nie liczył wrogów posyłanych na mech ani uderzeń przyjmowanych na powyginaną tarczę. Walczył i uśmiechał się.

Szczury. Tępe gady. Cierń w boku Mandylionu.

Gdzieś w oddali krzyczał Pieśniarz, wył wiatr, złowieszczo skrzypiały pnie drzew. Toulghan wrzeszczał, przybity włócznią do pnia sosny. Nie miał kto mu przyjść z pomocą. Tankred rąbał, pchał i parował. Po czole wędrowała mu samotna kropla potu, pierwsza z wielu.

Zetknął się plecami z Dagnaarem.

– Nieźle jak na skrybę – parsknął tamten, zdyszany.

– Nieźle jak na zielarza – wycedził Tankred. – Myślałem, że pijawki, które...

– Uważaj!

Tankred spóźnił się o ułamek sekundy. Mąćciel, uzbrojony w długą włócznię, którą władał zaskakująco sprawnie, wykonał przebiegłe pchnięcie. Młody rycerz uskoczył i w tej samej chwili zauważył, że z boku naciera kolejny napastnik. Zawahał się – nowo przybyły miał wydatne kości policzkowe, duże zielonoszare oczy i ostro zakończone uszy. Przez jego twarz biegły pionowe pomarańczowe pasy. Miecz w jego ręku wydawał się lekki

niczym piórko.

„Elf? – pomyślał zaskoczony Tankred. – Elf wśród Mącieli?”

Krótką chwilą wahania okazała się zbyt długa. Niespodziewanie świat przed oczami rycerza przesłonił czerwony ból, gdy ostrze wrogiej włóczni wbiło się w jego ciało tuż pod napierśnikiem.

– Aaargh! – ryknął.

Odruchowo złapał drzewce i zatrzymał je nadludzkim wysiłkiem. Kątem oka zauważył, że Mącieli napiera na włócznię. Elf u jego boku, z jakiegoś powodu poruszony, uniósł miecz. Omdlewający z bólu Tankred nadal powstrzymywał drzewce. Świat rozmywał się, paraliżowany bólem. Rycerz osunął się na kolana.

Dostrzegł jeszcze, jak elfie ostrze zatrzymuje się na mieczu Dagnaara, a potem wszystko wokół spowiły ciemności.



*Płomień pochodni zatkniętej na murze zatrzepotał nagle. Tankred odwrócił się gwałtownie, przerażony, że Czerń wkradła się już do ojcowskiego zamczyska zwanego Skaliną, ale ciemny korytarz był pusty. Chłopiec przełknął ślinę, lecz ulga była chwilowa. Na powrót przyłożył ucho do ciężkich dębowych drzwi, zza których dobiegały odgłosy kłótni. Jej uczestnicy nie szczędzili gardeł – wściekłe głosy nakładały się na siebie i odbijały echem od ścian. Czasami udawało mu się usłyszeć starszego brata Crustina, który wybijał każde zdanie pięścią na stole, czasami przez gwar przebijał się wuj Mustai, rycząc niczym piętnowany żelazem bawół, o spokój wołał Olve, ale wszystkich uciszyć potrafił jedynie ojciec.*

*Tak, Tankred niekiedy odnosił wrażenie, że ojciec mógłby samym tylko spojrzeniem zawrócić burzę. Gdy się odzywał, wszyscy milkli.*

*„Szkoda tylko, że mówi tak cicho” – pomyślał chłopiec i przycisnął ucho do drzwi, wstrzymując oddech.*

*Niewiele usłyszał, ale to, co dotarło do jego uszu, zamieniło krew w jego żyłach w lód.*

*– ...nie możemy porzucić naszego króla w potrzebie... Pojedziemy pod*



królewski znak, ja i Crustin, oraz ci z was...

– I ja! – ryknął Mustaig, aż echo poszło.

– Nie, bracie. Ty... wszystkie zbiory... kobiety oraz dzieci... Ty i Olve... Tankreda i Vilienę... Póki zostały jeszcze jakieś okręty...

– A Talia? – spytał ktoś.

– To nie nasza sprawa – odrzekł stanowczo ojciec. – My musimy zatroszczyć się o ród.

W zaległej nagle ciszy rozległo się czyjeś pytanie, chyba starego wuja Asthana, jak na złość zadane mocnym, wyraźnym głosem:

– Pojadę z tobą, Vildurfie, jeśli mi każesz, ale... Ale wiesz, że tej bitwy nie wygramy, prawda?

– Do zadań – rzucił w odpowiedzi ojciec. – I niech nas Pieśni wspomną.

Zebrani wymruczeli formułę pożegnalną, zaszurały odsuwane krzesła, szczęknął oręż, zazgrzytały otwierane drzwi. Tankred w ostatniej chwili uskoczył w kąt. Serce biło mu szybko. Był przekonany, że ktoś go zauważył i zaraz zostanie zbesztany za podsłuchiwanie narad dorosłych, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wtulony w ciemny zakamarek patrzył na mijających go mężczyzn. Widział wuja Olwego, zazwyczaj pogodnego i rubasznego, teraz szarpiącego z furią wąsiska, widział Crustina, który kręcił głową, jakby nie dowierzał temu, co się dzieje, widział przygryzającego wargę Mustaiga, a nade wszystko ojca, poważnego, wyniosłego, pobladłego, jakby już był duchem.

Patrzył na nich i ich nie poznawał.

Wsunął się głębiej w kąt, ale ojciec, którego czasami posądzał o magiczne umiejętności, zdołał go wypatrzeć. Niespodziewanie jego surowe oblicze rozjaśnił uśmiech. Podeszedł do Tankreda i wyciągnął dłoń, by zmierzwić mu włosy.

– Znowu podsłuchujesz? – spytał pozornie beztroskim, lekkim głosem.

– Nie, ja tylko...

– Pewnie, że podsłuchuje – rzucił Olve, który zawrócił w pół drogi.

Klepnął chłopaka po ramieniu, nieco za mocno, przez co ten podniósł głowę. W porę, by przechwycić spojrzenie, którym wuj obdarzył ojca.

Spojrzenie pełne rozpacz.



Twarz Dagnaara, w pierwszej chwili rozmyta i niewyraźna, nabierała powoli ostrości. Tankred zacisnął powieki i w tej samej chwili ze wszystkich stron zbiegły się wspomnienia zacieklej walki wśród suchych sosen. Z trudem otworzył oczy i dostrzegł poważną minę towarzysza.

– Co... – wykrztusił. – Co ze mną?

Pamiętał włócznie wbijającą się w jego ciało, tymczasem nie było ani śladu bólu. Po jego ciele rozlewało się natomiast nieprzyjemne, paraliżujące zimno. W umyśle rycerza natychmiast pojawił się niepokojący domysł, z każdą chwilą coraz bardziej przerażający.

– Czy ja... – zachrypiał, ale Dagnaar machnął lekceważąco dłonią.

– Nie, nie jesteś sparaliżowany. Podałem ci tylko wywar z mleczorogu.

– Co takiego?

– Środek na takich szaleńców jak ty. Odbiera władzę w rękach i nogach, by tacy jak ja, znaczy się mądrzy i roztropni, mogli zająć się ich ranami.

W oczach Dagnaara błysnęła iskierka rozbawienia. Tankred z trudem opanował ulgę.

– Nie potrzebuję tych twoich magicznych eliksirów – burknął, udając irytację.

– Ależ potrzebujesz. Zapomniałem dodać, że to najlepszy środek uśmierzający ból, jaki znam. Tobie zaś wbito włócznie w bok, skrybo.

Tankred przymknął na moment oczy. Rejestrował coraz więcej odgłosów – ktoś wył z bólu, przeraźliwie piszczała piasta, jeden z woźniców ostro zacinał z bicia opieszale konie. Czubki sosen wolno przesuwały się na tle szarego nieba.

„Odparliśmy atak” – pomyślał i znów pogrążył się w mroku.



Port, z którego mieli wypłynąć, zwał się Pogromcą. Tankred chciał wypytać wuja Olwego zarówno o tę nazwę, jak i o wiele innych rzeczy. Chciał wiedzieć, kto wznosił tak masywne wieże, wyrastające z morskiej toni na wysokości skalistej wyspy. Chciał się dowiedzieć, skąd się tu wzięło tylu ludzi o ciemnych oczach i dlaczego mówili inaczej. Ciekawiły go rogi porykujące rytmicznie na miejskich basztach i dziwaczne ryby sprzedawane na mijanych straganach. Chciał mówić i chciał, by do niego mówiono. Zrobiłby wszystko, aby w jakiś sposób stłumić wszechogarniające go napięcie, ale Olve, poważny jak nigdy, mocno zaciskał dłoń na ramieniu chłopaka i popędzał go bez litości.

Posłaniec na spienionym, wyczerpanym koniu dogonił ich, gdy skręcili już w stronę portu i ujrzeli cumujące przy kamiennym nabrzeżu okręty. Był blady i wyczerpany, a prawą rękę obwiązał brudnym bandażem. Zsunął się z siodła i stanął przy wierzchołku, wspierając się ranną ręką o kulbakę. Patrzył z powagą na Olwego.

Ten westchnął ciężko, bardzo ciężko, niczym człowiek, który zaraz ma usłyszeć złowróżbną ocenę medyka.

– Idź. – Pchnął lekko Tankreda. – Wejdz na okręt. Ten, na którym czeka Brisse. Z pierwszym odpływem opuścisz Mandylion.

– A Viliena? – spytał chłopak, dezorientowany. – Gdzie moja siostra?

– Na innym statku.

– Czemu? Czemu nie możemy...

Zasypywał wuja pytaniami, bo z jakiegoś powodu nie chciał, aby ten podszedł do posłańca. Nie chciał, aby przybysz zatrzał go złymi wieściami, ale Olve pchnął go raz jeszcze, tym razem mocniej, i Tankred ruszył przed siebie, ociągając się. Widział, jak wuj słucha, potakuje z ponurą miną, a potem odwraca głowę i z trudem łapie powietrze. Kilka chwil później sam wszedł na pokład i ochryplym głosem wydał polecenie rzucenia cum.

– Wujku! – Tankred podkradł się do niego niepewnie. – Te wieże przy skałach... – zagadnął, jakby nic złego się nie działo. – Kto je zbudował?

Twarz Olwego była nieporuszona niczym granitowy sarkofag.

– To już nie ma znaczenia – odparł. – Najmniejszego.



Gdy Tankred ponownie otworzył oczy, zapadał już zmrok. Przez ściany namiotu, w którym leżał, przenikał blask płomieni pobliskich ognisk. Na próbę poruszył ręką i z ulgą odkrył, że paralizujące zimno powoli ustępuje. Z trudem dotknął bandaży, którymi owinięto jego bok, i skrzywił się, gdy pośród chłodu spowijającego dolną część ciała obudził się ból.

Opadł na zaimprovizowane posłanie. Nawet ten oszczędny ruch wystarczył, żeby jego czoło pokryło się potem. Leżał i ciężko oddychał.

Na zewnątrz słyhać było rozmowę. Dopiero po chwili Tankred wyróżnił głosy Pieśniarza Alisanna oraz Dagnaara Vlistuna. Rozmawiali o drodze i o stanie rannych. Głos Alisanna aż drżał z utajonej wściekłości, a Dagnaar mówił cicho, z pokorą, jak zawsze w obecności Pieśniarza. Ten bez ostrzeżenia przerwał rozmowę.

Kilka uderzeń serca później ktoś gwałtownie odrzucił płachtę zasłaniającą wejście do namiotu. Do środka wtargnął rzeński powiew wieczornego powietrza oraz ciężki dym z ognisk, a potem wszystko przesłoniła twarz Alisanna.

Tankred, choć wciąż odrętwiały po lekach przyjaciela, drgnął raptownie. Przedstawiciel najbardziej tajemniczej ze wszystkich grup, jakie służyły królowi Mandylionu Duncanowi III, budził lęk samą obecnością i tylko najodważniejsi z rycerzy Zakonu Stalowej Duszy potrafili podczas rozmowy spojrzeć mu w oczy, a nawet oni szybko uciekali spojrzeniem. Niełatwo bowiem przychodził kontakt z człowiekiem, który wydawał polecenia Widmom, tym bardziej że słynął z gwałtownego temperamentu i zamiłowania do sadyzmu.

– Jak się czujesz? – warknął, siadając. Owinął się przy tym wielobarwną szatą pozszywaną z rozmaitych skrawków, co miało symbolizować wiedzę Pieśniarza, pochodzącą z rozlicznych Pieśni.

– D-d-dobrze – bąknął Tankred, zaskoczony pytaniem.

– To źle. – Pieśniarz zmrużył oczy. Od jego łysej czaszki pokrytej grubymi żyłami odbijał się blask płomieni. – Wielka szkoda, że młody Vlistun podał ci wywar z mleczorogu. Wielka. Powinieneś więc się z bólu, smarkaczu.

Młody rycerz wpatrywał się z przerażeniem w Alisanna.

– Ale... Ale...

– Znam Regułę twego Zakonu – cedził Pieśniarz jadowitym głosem. – Doskonale wiem, że zabrania ona wam się chować i nakazuje stawać twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Wiem też, że nie kto inny jak sam król rozkazał wam wepchnąć sobie tę Regułę w dupę, przynajmniej dopóty, dopóki na tych przeklętych ziemiach nie zapanuje pokój. A ty, jak ostatni dureń, pozwalasz sobie na szarżę w głąb lasu!

Drobinki śliny wściekłego Pieśniarza lądowały na twarzy zmartwiałego Tankreda. Chłopak otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, niezdolny wyrzec choćby jednego słowa w swej obronie.

– Puckharda pochlastali tak, że cud będzie, jak chłopak wstanie za miesiąc z łóżka, Toulghan też oberwał, a ty sam jeszcze długo będziesz potrzebował pomocy, by się wysrać! – parskął rozwścieczony Pieśniarz. – I po co to wszystko? By rozplatać kilku parszywych buntowników? Twarzą w twarz, jak nakazuje Reguła? Jeśli mamy wygrać tę cholerną wojnę, król będzie potrzebował każdego z was, osły! Każdego! Nie wolno wam dawać się wyrzynać w leśnych potyczkach!

Umilkł, odwrócił głowę i przez moment wpatrywał się w ognisko przebijające przez ścianę namiotu.

– Niebawem dotrzemy do Miasta na Skale. Tam powierzę cię i pozostałych opiece rodu Vothanów, który, jak zapewne wiesz, włada miastem i wodami terytorialnymi – zakończył Alisann. – Gdy tylko tamtejszy Pieśniarz uzna, że możesz wsiąść na konia, wracaj pod sztandar króla i nigdy, przenigdy nie słuchaj własnych pomysłów, Hanstar.

Tankred drgnął lekko, co nie uszło uwadze Pieśniarza.

– Boli cię to, co mówię? – zasyczał. – To dobrze, bo może dzięki temu lepiej sobie zapamiętasz, jakim głupcem się okazałeś. Jesteś Hanstarem, na najgorsze z Pieśni! Twój ród słynie z mądrości! To po tobie, właśnie po tobie, spodziewałbym się rozwagi i umiejętności sprawnej oceny sytuacji! Przynosisz hańbę swemu zmarłemu ojcu. Jeszcze jeden głupi błąd, Hanstar, a urządzę cię tak, że ci nawet wujaszek Olve w niczym nie pomoże.

Dopiero po chwili Tankred uświadomił sobie, że Pieśniarz wyszedł już z namiotu. Jediną pamiątką po jego wizycie była rozkołysana płachta, którą

po chwili odsunęła dłoń Dagnaara.

– Zostaw mnie w spokoju – szepnął Tankred, pobladły i poruszony ostrymi słowami Alisanna.

– Po co? – spytał młody Vlistun, który wślizgnął się do środka i usiadł na rozłożonej na ziemi owczej skórze. – Byś mógł przeżuwać w nieskończoność jego słowa?

– On ma rację.

– To Pieśniarz. Oni zawsze mają rację. Nie mają natomiast prawa szargać świętości, łysy hieny, i dlatego postanowiłem ci coś przepisać na tę szczególną dolegliwość.

Bez słowa odkorkował niewielką buteleczkę i pociągnął z niej spory łyk, a potem poczęstował Tankreda. Rycerz zakaszał, gdy w jego ustach rozlał się gorzki, piekący smak, ale uśmiechnął się słabo, gdy go rozpoznał.

– To żgłuch – mruknął. – Popijasz alkohol pędzony przez Mąciocieli? W Posępnej Łunie mówili, że ostatnio dodają do niego jakiegoś świństwa, po którym ludzie mają biegunkę przez tydzień.

– To nie jest oryginalny żgłuch. – Dagnaar skrzywił się. – Mój ród nie pija byle czego. Dziadek zdobył recepturę, usprawnił co nieco i hojnie nas obdarował. Mówi, że skoro sam nie może walczyć, bo idzie mu na setkę, to przynajmniej nam poprawi morale.

Obaj uśmiechnęli się, zadowoleni, że coś oderwało ich myśli od konfrontacji z Alisannem, a potem wzięli jeszcze po łyku. Milczeli przez moment, aż z oddali dobiegł wrzask Pieśniarza strofującego strażników.

– Nigdy nie słyszałem, by aż tak się darł – przyznał Tankred. – Przez moment byłem pewien, że chce mnie poszczuć Widmem.

Zaśmiał się nerwowo i z trudem uniósł rękę, aby odgarnąć jasne kędziory z czoła.

– Tu nie chodzi o ciebie – odparł Dagnaar i zacisnął mocno usta, jakby nagle uświadomił sobie, że zdradził wielki sekret. – Przynajmniej nie do końca.

– A o co? – spytał Tankred, siląc się na swobodny ton, choć serce zaczęło szybciej mu bić. – Czyżby naprawdę przybyły jakieś statki z Man...

– Nie wiem – uciął Dagnaar. – Właściwie to wiem tyle co ty, czyli nic.



Wojna w Taliadzie trwała z przerwami prawie od trzech lat i młodym rycerzom Zakonu Stalowej Duszy nieraz zdarzało się ochraniać karawany z zaopatrzeniem dla regularnej armii, ale Tankred od dawna nie widział tak pospiesznie zorganizowanego transportu. Wyrwano ich ze snu w środku nocy, kazano im się zbroić i siadać na ściągane ze wszystkich stron Posepnej Łuny wozy, tuż obok rozspanych łuczników i toporników ze straży grodowej. Nie było czasu na zgromadzenie odpowiednich zapasów – ludzie grododzierzcy, poganiani niemiłosiernie przez Alisanna, zdążyli jedynie wrzucić na któryś z wozów kilka worków z chlebem i suszoną kiełbasą. Nie było również – o dziwo! – czasu na przygotowanie rumaków i po raz pierwszy od początku starcia o Taliad rycerze Stalowej Duszy wyruszali stłoczeni na wozach jak zwykła piechota. Niektórzy z pośpiechu nie zabrali wszystkich elementów pancerza bądź ekwipunku. Przez cały wieczór natrzęsali się ze Stvina Vinkenana, który za pół złotego pazura kupił od jakiegoś cwane go woźnicy zwykłą, pocerowaną derkę. W innych okolicznościach za równowartość tej kwoty nabyłby jego chatę i połowę ogródka.

Ten nadzwyczajny pośpiech spowodował liczne domysły, tym bardziej że pospiesznie sklecony konwój natychmiast pchnięto na południe, w stronę wybrzeża. Wkrótce wszystkie pogłoski sprowadziły się do jednej.

Ponoć do portu przypłynął statek z Mandylionu.

Tankred nie wierzył w to. Ostatni okręt przypłynął z ojczyzny niedługo po rozpoczęciu walk w Taliadzie i był wypełniony bełkoczącymi szaleńcami, którzy nie potrafili nawet rzucić kotwicy i roztrzaskali dziobnicę o skały na podejściu do portu. Młody rycerz nie miał pojęcia, co się dzieje w ich porzuconej ojczyźnie, ale już dawno pogodził się z tym, że utracili Mandylion na zawsze. Wiedział, że Dagnaar i wielu innych podziela to zdanie, choć Pieśniarze zakazywali defetystycznego myślenia i surowo karali tych, którzy głośno mówili o braku szans na powrót do kraju.

Karali zresztą również za wiele innych przewinień. Nie chcieli, aby toczony obecnie zmagania nazywano Wojną na Obczyźnie, gdyż słowo to ich zdaniem zdradzało, że walka toczy się o coś obcego. Tymczasem w myśl uprawianej przez nich filozofii Mandylion sięgał po to, co mu się należało – po nową ojczyznę. Nie wolno było też używać terminu Królestwo na Wygnaniu ani sarkać na decyzję króla Duncana, który w międzyczasie postanowił rzucić wyzwanie królestwu krasnoludów zwanemu Tangstem. Nie wolno było

również krytykować posunięć rodu Vinkenanów i innych.

Wojna o nową ojczyznę upływała więc w ciszy, przerywanej raz na jakiś czas okrzykiem bojowym, jak najbardziej słusznym i prawomyślnym.

– Jeśli wierzyć plotkom, król kazał żeglarzom z rodu Vothanów wysłać kilka żaglowców do Mandylionu – odezwał się nieoczekiwanie Dagnaar. – Wiesz, mieli spróbować odzyskać proch i może postarać się odnaleźć jakichś żyjących...

– Daj spokój.

– Czy istnieje inny powód, dla którego wyprawiono by nas w drogę tak szybko? – W głosie Dagnaara pojawiło się ożywienie. – Pomyśl tylko! A Alisann, cóż... – Rycerz spojrzał na ogniska płonące po drugiej stronie ściany namiotu i oblizał nerwowo wargi. – ...Złości się na siebie – dokończył. – Wybrał drogę przez Słone Bory w nadziei, że nie natrafi na oddziały Mącieli. Wielkim Traktem dotarlibyśmy do Miasta na Skale o dobry dzień wcześniej, ale na tamtym szlaku istnieje o wiele większe ryzyko wpadnięcia w...

– Prosiłem cię, byś dał spokój. – Tankred poczuł znużenie, jak zwykle gdy zaczynał myśleć o Mandylionie. Jego bok promieniował narastającym bólem. Wywar z mleczorogu przestawał działać.

– Kto inny powiedziałby: „Dzięki, stary, fajnie, że wpadłeś z czymś mocniejszym”, ale Hanstarowie wolą, jak widać, pograżać się w odmętach własnych dusz. Trzymaj się więc! – Dagnaar wzruszył ramionami i wymknął się na zewnątrz, pozostawiając Tankreda sam na sam z ciemnością, bólem i wspomnieniami.



*Z wagi tego, co się dzieje, zdał sobie sprawę dopiero, gdy wieże Pogromcy zaczęły znikać za horyzontem. Jego kuzyn Brisse stracił wtedy panowanie nad sobą – przypadł do relingu, krzychał, odpychał ludzi próbujących go uspokoić, a potem rzucił się na pokład. Wówczas pojawił się Olwe z twarzą zmienioną gniewem. Złapał swego syna za ramiona, wysyczał mu kilka słów do ucha, a potem zawlekł do kajuty pod pokładem. Tankred*

przyglądał się tej scenie z chorobliwą fascynacją. Wuj wyłonił się na pokład kilka uderzeń serca później. Złapał zaskoczony Tankreda i również jego pociągnął do kajuty, a tam cisnął na koję. Chłopak boleśnie uderzył potylicą o ścianę. Gdy nieco oprzytomniał i otworzył szeroko oczy, urażona duma podsunęła mu słowa, które wydawały się pasować do sytuacji:

– Nie wolno ci mnie traktować jak byle dzieciaka! Jestem młodszym synem Vildurfa Hanstara, drugim dziedzicem...

– Byłeś – przerwał mu bezlitośnie Olve i przyglądał węższo, dysząc ciężko. – Wiesz, co mi przekazał ów posłaniec w porcie? Królewskie hufce przegrały pod Rozpaczą bitwę z Czernią. Vildurf wraz ze swoimi rycerzami oraz Badian Fulgham z przybocznymi osłaniali odwrót króla. Do końca. Wiesz, co to oznacza?

Tankred miał wrażenie, że jego świat zaczyna się rozpadać.

– Czy to znaczy, że... – Głos mu się załamał.

– Tak, chłopcze. Przykro mi. – Surowy głos wuja złagodniał nieco, a jego oczy zaszkliły się. Odwrócił głowę, jakby targnął nim nagły przyptyw emocji, ale błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą i znów spojrzał na chłopaka. – Naprawdę mi przykro, bo... Ech, szlag by to trafił!

Zerwał się z koi, kopnął w ścianę i oparł się o nią rękami. Oddychał przez moment chrapliwie, a potem odkaszlnął i odwrócił się do przestraszonego Tankreda.

– Jesteś jedynym żyjącym synem Vildurfa, jego dziedzicem i przyszłym Zwierzchnikiem Rodu – powiedział cicho i uroczyście. – Zostaniesz nim, gdy osiągniesz pełnoletność, a do tego czasu Zwierzchnikiem Rodu będzie najstarszy brat twego ojca, wuj Mustai. Ja dołączę do Rady Królewskiej jako Pierwszy Doradca, a ty natychmiast po wylądowaniu wstąpisz do któregoś z oddziałów Stalowej Duszy. Tam przejdziesz szkolenie. Czy chcesz o coś spytać?

Chłopak czuł w gardle dławienie tak silne, że z największym trudem wykrztusił kolejne pytanie:

– A mama?

Natychmiast tego pożałował, bo na wężsatym obliczu Olwego pojawił się bezgraniczny smutek. Jego oczy zwilgotniały. Minęła dłuższa chwila, nim opanował emocje.

– Mathilda postanowiła zaczekać w Skalinie na powrót męża i syna – odpowiedział głucho, patrząc w bok. – Zawsze była upartą, niemądrą kobietą. Czy wiesz, co to oznacza?

Tym razem Tankred odgadł od razu. Nie zdołał już powstrzymać rozpacz.



Obudził się w nocy, dręczony koszmarami, pragnieniem i wielkim, przybierającym na sile bólem. Wpatrywał się w mrok, myśląc o swojej szarzy w las oraz ostrych słowach Alisanna.

– Już nigdy nie popełnię błędu – szepnął. – Żadnego. Nie przyniosę hańby rodzinie.



Tej samej nocy Tankreda chwyciły dreszcze i z reszty drogi nie zapamiętał już wiele. Co rusz majaczyły mu się koszmary, w których znów stał na rozkołysanym pokładzie ostatniego statku rodu Hanstarów i wpatrywał się w szarą przestrzeń daleko za rufą, gdzie pozostawił rodziców oraz kraj swego dzieciństwa. Potem obraz zaczynał się zniekształcać – nadciągała Czerń, ojciec ginął przebity ostrzem włóczni, Crustin osuwał się pod końskie kopyta, matka krzyczała z murów Skaliny, porzucona i zrozpaczona. Świat trząsł się i dygotał, a gdy trawiony gorączką Tankred otwierał oczy, z ulgą uświadamiał sobie, że nadal leży na rozklekotanym wozie.

W zupełnie innym kraju. Pod obcym niebem. W nowej, przyszywanej, wydartej mieczami ojczyźnie, ciasnej niczym koszula po młodszym bracie.

Potem koszmary pojawiały się znowu.

Tymczasem konwój wyjechał już spomiędzy ostatnich poskręcanych sosen Słonych Borów i ciągnął teraz wzdłuż wydm wybrzeża, wysokich, niekiedy urastających do rozmiarów piaszczystych gór z trawiastymi grzywami. Tankred słyszał huk nieodległych fal i świst wiatru szarpiącego płótnami, przez

szczeliny między deskami wozu widział jasny piasek plaży. Konie wlekły się z mozołem, woźnice klęli, Alisann darł się jak opętany, a Widmo z wyciem mknęło po szarym niebie.

Tankred wolał koszmary.

Gdy otworzył oczy i ujrzał nad sobą poczerniałe, obwieszane pajęczynami belki, uświadomił sobie, że przespał moment dotarcia do Miasta na Skale. Nie pamiętał także, kiedy wniesiono go do izby, przebrano, opatrzono i ułożono w pościeli. Najwidoczniej Dagnaar znów podał mu wywar z mleczorogu, ale to również umknęło jego świadomości.

Posykując, przewrócił się na bok i ujrzał Tomasza Toulghana, który także odniósł ranę podczas ataku Mącieli w Słonach Borach. Rycerz leżał nieruchomo i wpatrywał się w sufit.

– Hej – wychrypiał Tankred. – Jesteś cały?

Toulghan mruknął coś tak niewyraźnie, że odpowiedź mogła być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

– A gdzie Puckhard?

– Gdzieś indziej.

– Ale żyje?

– Tak.

– Dotarliśmy do Miasta na Skale?

– A niby gdzie mieliśmy dotrzeć? – parsknął tamten z narastającą irytacją, nadal nie patrząc na Tankreda.

– No i co? – Chłopak oparł się na łokciu, na moment zapominając o bólu. – Ludzie gadają, że dotarł tu statek z Mandylionu. To prawda?

– Hanstar, ja tu próbuję odpocząć.

Tankred skrzywił się i westchnął ciężko. Toulghanowie byli rodem żołnierzy i wojowników. Z tego tytułu zawsze byli potężni i wpływowi, a od czasu rozpoczęcia walk o Nowy Mandylion ich znaczenie jeszcze wzrosło, arogancja stała się zaś trudna do zniesienia. Przez dłuższą chwilę Tankred zastanawiał się, w jaki sposób dopiec Tomasowi, ale ostatecznie machnął ręką. Jedną z najwidoczniejszych cech rodu Toulghanów, nie licząc czerwonych nalanych gąb, była iście bycza finezja i niewrażliwość na jakiegokolwiek słowa rady czy krytyki. Szkoda było sobie język strzepić.



Młody rycerz rozejrzał się po komnacie. W kącie dostrzegł skrzynię, a obok niej ceber, bez wątpienia służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Odpędził myśl o wylaniu jego zawartości na głowę Tomasa i skupił się na ważniejszych sprawach – postanowił usiąść. Ledwie się podniósł, jego ciało natychmiast przeszył ostry ból. Zacisnął zęby, zwiesił nogi i dotknął piętami zimnej podłogi, co wywołało kolejne fale bólu i oszałamiający zawrót głowy. Zamknął oczy i siedział, czekając, aż świat się uspokoi.

W końcu ból przygasał, a wir w głowie zatrzymał się, ale zamiast niego pojawił się niepokojący szum. Tankred wbił palec w ucho i potrząsnął nim, lecz wrażenie nie ustępowało. Dopiero po dłuższym momencie zrozumiał, że odgłos dociera z zewnątrz.

Padało.

Nie było w tym nic dziwnego. W Mieście na Skale padało prawie zawsze. Cynicy twierdzili, że to zemsta lokalnych bóstw za to, do czego posunęli się zdobywcy miasta, szalony ród Vinkenarów, ale przeciwnicy tej teorii przypominali o wiele krwawsze rozwiązania starć z historii Mandylionu i podkreślali, że nie wyzwalają one żadnych niezwykłych sił natury. Temat ucichł, gdy Wojna na Obczyźnie zaczęła nabierać tempa. Wkrótce o wiele ważniejszy od deszczu w Mieście na Skale stał się zbrojny marsz w głąb terytorium Taliadu oraz zaciekle w walka z Vistenim, tym z trzech zwaśnionych władców Taliadu, który postanowił wybić Mandylionczykom z głów nadzieję na utworzenie Królestwa na Wygnaniu.

„Tfu, tfu – pomyślał Tankred gorzko. – Wojna na Obczyźnie. Królestwo na Wygnaniu. Dobrze, że Pieśniarze nie potrafią czytać w myślach. Choć z drugiej strony, kto ich tam wie...”

Potrząsnął głową, odpędzając myśli o królu i walkach, które przeniosły się daleko na północ. Ślepy los sprawił, że utknął sam jak palec w nadmorskim porcie, z dala od wojennych zmagani, a wściekły ból wyzwalany najdrobniejszym ruchem sugerował, że zanosz się na dłuższy pobyt. Młody rycerz westchnął z bezsilnością i spojrział w bok. W przybrudzonej, mętnej lustrze na ścianie ujrzał szczupłą, nieładną twarz z jasnymi, pozlepianymi od potu lokami. Był blady jak ściana.

– Niech to wszystko szlag trafi... – wysyczał.

Zrobiło mu się duszno. Zacisnął powieki, odpędzając mgiełkę, która zasnuła

mu wzrok, i podniósł się, ze wszystkich sił ignorując kolejną eksplozję bólu. Szurając bosymi stopami po zimnej podłodze, podszedł do okna i drżącymi palcami otworzył je na oścież. Zimny wiatr natychmiast wysuszył pot na jego czole i przeniknął koszulę z grubego płótna, ale rycerz stał nieruchomo i wdychał chłodne, dżdżyste powietrze. Dopiero po chwili zwrócił uwagę na miasto.

Dominowała w nim czerń. Ulice oraz place wysypano bowiem tufem, a wysokie mury obronne, widoczne ponad porośniętymi trawą dachami kamieniczek, wspierały się na masywnych skałach wulkanicznych. Za nimi widać było skłębione żółtoszare morze, upstrzone tu i ówdzie przybrudzonymi grzywami piany. Z masywnej baszty powiewały szare chorągwie ze Spienioną Falą, znakiem rodu Vothanów. Nad ulicami kołowały mewy, krzycząc przeraźliwie, niemalże ze strachem. Najwięcej ptactwa krążyło nad kołyszającymi się lekko masztami okrętów kotwiczących w porcie.

Ten widok znów przypomniał Tankredowi powód, dla którego wyruszyli do Miasta na Skale. Serce chłopaka zabiło szybciej i na krótką chwilę zapomniał o swoich obiekcjach. Wyteżył wzrok, usiłując dostrzec jakieś szczegóły.

„Czy to możliwe, aby któryś ze statków w istocie przybył z Mandylionu?” – pomyślał, oblizując wyschnięte wargi.

Odwrócił się i spojrzał na Toulghana w nadziei, że ten może jednak coś mu powie, ale Tomas nadal wpatrywał się w sufit.

W tej samej chwili zazgrzytał zamek, a drzwi uderzyły o ścianę. Klamka idealnie trafiła w dziurę w tynku.

– A ty co? – warknęła rosła rudowłosa kobieta o szerokiej piersi i zaczerwienionej nalanej twarzy.

Oszołomiony Tankred wpatrywał się w nią z zaskoczeniem. Chciał zaprotestować, przypomnieć jej, że nazywa się Hanstar i należy do czternastu Rodów Mandylionu, a do tego jest rycerzem Zakonu Stalowej Duszy, ale kobieta nie dała mu powiedzieć ani słowa. Z szybkością zaskakującą przy jej tuszy złapała go za ramię, zawlekła do łóżka i przykryła kocem. Resztki ochoty, by stawić jej czoła, pochłonął ból. Tankred ledwie rozróżniał jej słowa, wypowiedane z chropowatym miejscowym akcentem.

– Zimno! Zimno, wiatr! Nie wolno! Ty leki i łóżko, a nie wiatr!

– Okręt... – wybełkotał chłopak. – Czy to prawda? Przypłynął ktoś z mojej ojczyzny?

– Spać! – powtórzyła groźnie kobieta i przycisnęła mu ramiona do poduszki.

Mimo młodego wieku Tankred miał sporo krzepy i odtrąciłby nieznajomą bez trudu, ale niespodziewanie odkrył, że jest słaby jak dziecko. Oczy kobiety były coraz większe. Rozlewały się coraz szerzej, stały się bladozielonymi kałużami, potem stawami, wreszcie jeziorami, aż zakryły cały świat. Choć nachylała się tuż nad nim, jej głos zdawał się dobiegać z oddali.

– Spać! Ty nie wiatr! Nie okręt! Spać!

„Magia – uświadomił sobie z przerażeniem Tankred. – Znowu ta przeklęta, miejscowa...”

Nie był już w stanie stawiać oporu. Ogarnął go półmrok.



Gdy na powrót otworzył oczy, odpędzając ostatnie rozmywające się majaki, przez jedyne okno wkradała się już szarość zmierzchu. Nadal padało. Leżał przez moment nieruchomo, usiłując poukładać sobie w głowie ostatnie wydarzenia. Miasto na Skale. Maszty sterczące znad budynków przystani. Tomas Toulghan. Okręt z Mandylionu.

Poruszył rękami i nogami, pokręcił głową, aż w końcu usiadł. Czary rudowłosej kobiety najwidoczniej nie wyrządziły mu żadnej krzywdy. Co więcej, ból promieniujący z rany był dużo słabszy.

Wtedy dostrzegł, że łóżko Toulghana jest puste.

Odkrycie to, zamiast Tankreda zmartwić, dodało mu energii. Ześlizgnął się z łóżka i podszedł do drewnianego kufra stojącego w kącie pokoju. Z każdym ruchem jego ciało odzyskiwało sprawność, a ból odpływał w niepamięć. Chłopak odrzucił wieko skrzyni i z ulgą wyjął ze środka podróżny tobołek, w którym znajdowały się jego spodnie, koszula, kaftan oraz gruby płaszcz. Obok kufra leżały buty, te same, które miał na sobie podczas walki w Słonych Borach. Nigdzie nie widział natomiast miecza ani kolczugi.

– Pora, bym się rozmówił z komendantem twierdzy – mruknął, zdejmując

koszulę nocną. Rana piekła, ale nie dokuczała zbytnio. Rycerz sięgnął po spodnie i zamarł, wpatrzony w ciemniejące okno.

– Ale najpierw udam się do przystani – szepnął. – Tak na wszelki wypadek. Żeby mieć absolutną pewność. Bo w to, że naprawdę przybył statek z Mandylionu, nie uwierzę, póki go nie zobaczę.



Miasto na Skale zbudowano we wnętrzu i na zboczach starego, skruszałego wulkanu, wznoszącego się tuż nad czarną plażą i falami morza. Mieszkańcy miasta, wespół z niestrudzonymi żywiołami, przez setki lat atakowali jego ściany, powoli i mozolnie wykuwając w nich ulice, schody i podziemia. Z wydobytego w ten sposób materiału uformowano wysokie, najeżone basztami wały, górujące nad rozległą zatoką. Nikt z tysięcy budowniczych nie wpadł jednakże na pomysł, by zniwelować poziom ulic, które wiły się wśród zabudowań niczym gałęzie powoju. Zakręcały, wznosiły się powoli i gwałtownie opadały, tu i ówdzie zniecka kończąc się bramą lub przeistaczając w strome schody. Morskie wichry hulały wśród nich z dzikim wyciem, ciskając strugami deszczu w twarze przechodniów.

Po kilkunastu krokach Tankredowi skończyły się przekleństwa. Po kolejnych kilkudziesięciu miał ochotę przywalić komuś w głowę.

Na szczęście o tej godzinie i przy tej pogodzie na ulicach miasta nie było wielu ludzi. Tankred przypuszczał zresztą, że o innej porze dnia nie byłoby ich tu o wiele więcej. Prawdopodobnie ujrzałyby tylko nielicznych służących rodu Vothanów, kilka patroli straży miejskiej, grupki marynarzy i garść rdzennych mieszkańców przemykających pod ścianami lub usiłujących nieśmiało prowadzić interesy. Tłumów tubylców się tu nie spodziewał. Nie po tym, co nastąpiło w dniu upadku twierdzy.

Nie po losie, jaki zgotowali mieszkańcom magowie z rodu Vinkenarów.

Smagany kolejnymi podmuchami wiatru Tankred przemknął obok bramy zwanej Nową. Nie był wprawdzie świadkiem wywołanej przez mandylionkich magów eksplozji, która zniszczyła główną bramę, ale o jej sile świadczyło choćby to, że znajdująca się dwieście kroków dalej baszta legła

w gruzach, a kolejna przechyliła się, jakby niepewna, czy to właściwy moment na upadek. Rodacy Tankreda, którzy uczestniczyli w oblężeniu, opowiadali, że na tym nie skończyły się czary Vinkenanów. Ponoć przez długie godziny z ziemi wyrastały płomienie, które ścigały obrońców, pożerały ich, wdzierały się do domów i pochłaniały całe rodziny. Najeźdźcy weszli do niemalże wymarłego miasta.

Tankred wzdrygnął się w duchu.

„Wielu ludzi do dziś uważa, że za te czyny na Vinkenanów padła miejscowa klątwa, która odebrała im magię – pomyślał nie po raz pierwszy. – Trudno im się dziwić. Znam Pieśni i nigdy nie słyszałem o równie brutalnym szturmie. Vinkenanowie zawsze byli szaleni, ale to, czego tu dokonali...”

Magia Vinkenanów w istocie nie zadziałała już nigdy, zupełnie jakby magowie z Mandylionu wyczerpali swój potencjał podczas jednego pokazu. Tymczasem, ku ich nieskończonej frustracji, magia taliadzka miała się doskonale. Tutejsze czary, w przeciwieństwie do możliwości Mandyliończyków, wydawały się subtelne, delikatne, z pozoru wręcz niegroźne, ale przez to całkowicie nieprzewidywalne i niewykrywalne. Być może właśnie dlatego wciąż działały.

Tankred wzdrygnął się ponownie i przemknął na ciągnące się dalej nabrzeże, uformowane z ogromnych, ledwie ociosanych głazów.

Przeszedł przez bramę, mijając żołnierzy spod znaku Spienionej Fali, którzy rozpoznali w nim rycerza i zaszutowali. Odruchowo naciągnął kaptur, co było słuszną decyzją, gdyż poza zbawczą osłoną murów miejskich wiatr był o wiele gwałtowniejszy. Młody rycerz zachwiał się i omal nie upadł pod jego naporem, ale mimo to zdołał przyjrzeć się jednostkom cumującym na wodach przystani.

– Ki diabeł... – mruknął.

Przystań Miasta na Skale imponowała rozmiarami. Od strony lądu osłaniało ją samo miasto, a od strony morza akwen chronił wysoki falochron, przypominający lekko zgięte ramię gigantycznych rozmiarów. Wieńczyła go grupa ostrych, poszarpanych skał, z których wyrastała latarnia morska. Zarówno przy nabrzeżu, jak i na wodach przystani wystarczyłoby miejsca dla wielu okrętów, wliczając w to ogromne galeony królewskie, ale Tankred ujrzał jedynie dwie ciężkie kogi rodu Vothanów, kilka pomniejszych karak

uzbrojonych w baterie dział oraz parę kutrów. Jego uwagę przyciągnęła jednakże mniejsza, dwumasztowa jednostka o pękatym kadłubie i zaokrąglonej rufie, kotwicząca daleko na siekanym deszczem akwenie.

Tankred zmarszczył brwi. Przed ucieczką z ojczyzny nigdy nie pływał po morzu, ale specjalnością jego rodu nie bez powodu była wiedza. W Mandylionie mawiano uszczypliwie, że Hanstarowie są w stanie rozpocząć rozmowę na każdy temat, ale żadnej nie potrafią skończyć. Słyszając te słowa, Vildurf Hanstar wzdychał wzgardliwie i mówił: „Dajcie najgłupszemu z nas jakikolwiek temat i zaczekajcie tyle czasu, ile byle Puckhard potrzebuje, by się najeść, a Strawdon, by upudrować gębę. Dowiedcie się więcej, niżbyście byli w stanie zapamiętać i zrozumieć”.

Wspomnienie ojca, choć minęło już tyle czasu, nadal wywoływało ból.

„Ty się nigdy nie myliłeś – pomyślał Tankred. – Nigdy. Nie miałbym nic przeciwko, gdybyś od czasu do czasu popełnił błąd lub... okazał się tchórzem. Gdybyś zbiegł spod Rozpaczy...”

Otrząsnął się i skupił. Jego wzrok powoli prześlizgnął się po kotwiczącej w oddali jednostce. Nie miała ani imponującego galionu, ani też kunsztownych, złożonych zdobień na rufie, co wskazywało, że należy do rodu unikającego ostentacji. Jej tożsamość pozostawała jednak tajemnicą, gdyż flagi i bandery zostały zwinięte, a okręt stał zwrócony ćwiartką dziobową do brzegu, przez co nie było widać nazwy, tradycyjnie wymalowanej nad oknami rufowymi. Tankred zauważył natomiast, że dwumasztowiec nie jest uzbrojony – brakowało zarówno furt armatnich, jak i dział na pokładzie. Nie należało się w sumie temu dziwić, gdyż w królewskiej armii od dawna brakowało prochu. Zapasy wywiezione z Mandylionu skończyły się bardzo szybko, a ku narastającej zgrzozie króla i dowódców mandyliońskiej armii w całym podbitym Taliadzie nie zdołano jak dotąd natrafić na złoża siarki i innych potrzebnych surowców, przez co artyleria nierzadko okazywała się zbyt kosztownym balastem. Młodzieniec nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w wyglądzie jednostki kryje się coś jeszcze, co na razio umyka jego uwadze.

Zapomniał o deszczu, wietrze, a nawet o ranie. Wyteżył wzrok, a myśli, przemykające jak szalone przez jego umysł, przyspieszyły jeszcze bardziej.

– Balast... – szepnął bezwiednie.

Tak, to było to. Dwumasztowiec przechylał się lekko na jedną burzę, a choć fale w basenie portowym nie należały do wysokich, podskakiwał na nich jak korek, zupełnie jakby dowodzący nim oficer nie miał pojęcia o odpowiednim wyważeniu kadłuba.

„Albo jakby właśnie wylądowano z niego coś ciężkiego – uświadomił sobie rycerz. – Czyżby ten statek naprawdę wrócił z Mandylionu? Czyżby nasz konwój przyjechał po przywieziony przez niego ładunek?”

Kątem oka zarejestrował jakiś ruch. Nabrzeżem szło ku niemu kilku ludzi uzbrojonych w długie włócznie i tarcze. Wiatr wydymał ich tuniki ze znakiem Spienionej Fali i unosił ciężkie od wody płaszcze.

– Hej! – zawołał Tankred. – Czy to ten okręt przybył z Mandylionu?

– Ten ci sam – odparł jeden z żołnierzy, nieprzyjemny typ z dziobami po ospie, bynajmniej nieucieszony, że musi patrolować port w taką pogodę.

– Co przywiózł?

– Wiele dobra, panie – odparł strażnik. – Ledwie dotarł do portu, taki był wylądowany. Beczki wiózł, panie, same beczki. Mówią – tu mężczyzna zniżył głos – że proch w nich był. Król będzie klepał po plecach i przywilejami szastał, he, he, he! – Żołnierz zaśmiał się nieprzyjemnie.

Tankred przełknął ślinę.

– A wieści jakieś przywieźli? – spytał, już nie jak dumny rycerz, ale pełen nadziei chłopak.

– Wieści? – parsknął żołnierz i obejrzał się za kompaniami, oddalającymi się wzdłuż nabrzeża. – Gdzie tam, panie. Przecież to okręt Vlistunów, a znachorom nie w smak niebezpieczeństwa. Nie byli na stałym lądzie, gdzieżby tam! Ponoć tylko Zębiska opłynęli i z jakiegoś zamku wynieśli, ile się dało, a i tak Czerń opaść ich musiała, bo większość załogi niespełna rozumu wróciła i trzeba było ich...

– Okręt Vlistunów... – przerwał mu nieprzytomnie Tankred. – Dagnaar... Dagnaar będzie coś wiedział!

Ospowaty wzruszył ramionami i już miał odejść, gdy młodzieniec złapał go za ramię.

– Czy rycerze Stalowej Duszy, którzy przybyli z konwojem i Pieśniarzem Alisannem, są jeszcze w Mieście na Skale?



Tawerna śmierdziała dymem, schnącymi płaszczami i czymś, co karczmarz – wysoki chudzielec o wytrzeszczonych oczach i rzedniejących rudych włosach – nazywał pieczystym w sosie cebulowym. Pieczyste dobrze się w owym sosie ukryło i Dagnaar Vlistun nie krył irytacji, grzebiąc w misce kawałkiem chleba.

– Nie wiem – odpowiedział po chwili, odkładając kromkę. – Chyba za dużo ode mnie wymagasz, Tankredzie. Odkąd to młodych rycerzy dopuszcza się tu do jakichkolwiek tajemnic?

Hanstar oparł się o ścianę i westchnął głęboko. Ożywienie sprawiło, że całkiem zapomniał o swojej ranie. Teraz zaczynało ogarniać go zmęczenie, rozboleła go głowa, a duchota i gwar panujące w karczmie tylko pogarszały sytuację. Machnął dłonią z udawaną obojętnością.

– Myślałem... – zaczął, lecz pokręcił głową. – Myślałem, że może widziałeś te beczki... Zresztą nieważne.

Dagnaar uśmiechnął się krzywo, lecz uśmiech natychmiast został zastąpiony przez grymas bólu. W kącie, gdzie siedzieli, zalegały cienie, ale Tankred dostrzegł skaleczenie biegnące przez prawy policzek przyjaciela, posmarowane jakąś maścią. Najwidoczniej młody Vlistun również nie wyszedł bez szwanku ze starcia w Słonych Borach. Nagle zrobiło mu się wstyd, że wcześniej nie zauważył obrażeń przyjaciela.

– Wiem, co myślałeś – powiedział Dagnaar cicho. – Przez wiele miesięcy statki wysyłane do Mandylionu ginęły za horyzontem bądź zawracały, pokonane przez Wściekłe Morze, aż wreszcie komuś się udało. Ktoś powrócił z naszej pogrzebionej, porzuconej ojczyzny. – Ujął kufel z gorzkim piwem i pił długimi, łapczywymi łykami. Odstawił naczynie ze stuknięciem i otarł rękawem usta. – Myślałeś, że dowiedziano się czegoś o losie twego ojca, matki bądź brata, prawda? – spytał chrapliwie. – Że może komuś z nich udało się wyrwać spod Rozpaczy? Niestety, Tankredzie, kapitan Szczodrości w istocie dotarł jedynie do Zębisk, archipelagu leżącego daleko na północy, jedynie nominalnie należącego do Mandylionu. Szczerze powiedziawszy, nie



wiem, na ile był to jego zamysł, a na ile decyzję podjęły za niego wichry i prądy, bo z kunsztu nawigacyjnego zacny pan kapitan bynajmniej nie słynie. Wywiózł cały proch z jedyne go fortu na wyspie, a potem zawrócił okręt i pognął do Taliadu.

– Tak, słyszałem o tym od straży portowej – rzekł Tankred, wpatrzony w dogasający knot, sterczący pośród rozlanego na ławie wosku.

– Pogódź się więc z tym, że oni wszyscy zginęli. – Dagnaar przełknął ślinę i odwrócił wzrok. – Twój ojciec, brat i pozostali, a wśród nich również kilkoro moich krewnych. Zginęli po to, byśmy mogli uciec i podjąć walkę gdzieś indziej. Zbudować nową ojczyznę.

– Jakbym słuchał Pieśniarza – westchnął Tankred, usiłując ukryć smutek.

Dagnaar ścisnął jego dłoń i uśmiechnął się.

– Nasz konwój wczoraj z rana wyruszył w drogę powrotną do Posępnej Łuny – rzekł. – Ja jutro ruszam w ślad za nim, a potem być może udam się do Okrutnika.

– A ludzie? – spytał nieoczekiwanie Tankred, nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. Kilku marynarzy, którzy pomrukiwali nad turlającymi się po blacie kośćmi przy sąsiednim stole, zwróciło ku niemu głowy.

Dagnaar zamrugał, zaskoczony.

– Jacy ludzie?

– Załoga fortu na Zębiskach. Powiedziałeś, że przejęto proch. A co z żołnierzami? Przecież byli tam jacyś żołnierze, no nie? Zabrano ich?

Vlistun wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Jak już ci mówiłem, starsi mego rodu nie wtajemniczają takich jak ja w sekrety. Za pełnoprawnego członka rodu, podobnie zresztą jak i ty, zostanę uznany po odsłużeniu trzech lat w Stalowej Duszy. Wtedy, Tankred, powiem ci wszystko.

Młody Hanstar pomasaował skronie.

– W porządku, Dagnaar. Mnie też nikt nigdy nic nie mówi, nawet wuj Olve. Cholerne tajemnice. O której wyjeżdżamy?

– Wyjeżdżamy?

– Chyba nie sądzisz, że zostanę w tym mieście? – parsknął Tankred. – Zajmuje się mną jakaś miejscowa szamanka, która ledwie gada po naszymu

i do tego jeszcze odczynia nade mną jakieś tutejsze gusła. Już wolę twoje mikstury.

– Nigdzie nie jedziesz – rzekł Dagnaar, dziwnie miękko i łagodnie.

– Co to ma znaczyć?

– Zostaniesz tutaj – powiedział przyjaciel i uśmiechnął się lekko.

Tankred poczuł ucisk w żołądku – tak właśnie uśmiechał się starszy brat do młodszego. Tak uśmiechnął się do niego Crustin, gdy wskakiwał na siodło na dziedzińcu Skaliny i ujmował lancę, gotów ruszyć do ostatniego boju. Odwrócił spojrzenie.

– Zostaniesz w tym mieście – ciągnął Dagnaar. – Otrzymałeś paskudną ranę i powinieneś się oszczędzać. Niepotrzebnie w ogóle wstawałeś z łóżka. Odpocznij przynajmniej trzy, cztery dni, a potem wróć do Łuny. Ja wytłumaczę twoją nieobecność przed Alisannem, jeśli w ogóle będzie to potrzebne. Jeszcze zdążymy razem powojować.

Tankred przełknął głośno ślinę. Chciał zaprotestować, ale wściekły ból głowy znów przybrał na sile i rycerz poczuł, że musi wyjść na świeże powietrze. Bez słowa przytaknął i skierował się ku drzwiom. Nie obejrzał się ani razu, więc nie widział, że młody Vlistun odprowadził go przeciągłym spojrzeniem, a potem dojadł umazaną w sosie kromkę i westchnął ciężko.

Zupełnie jak ktoś, kto czegoś bardzo, ale to bardzo żałuje.



Rody Hanstarów i Vlistunów nigdy nie darzyły się przyjaźnią. W odległym, utraconym Mandylionie Hanstarowie prowadzili ogromne biblioteki i mieli monopol na wiedzę, którą dzielili się oszczędnie i zawsze precyzyjnie wyceniali swe usługi. Vlistunowie, którzy zarządzali aptekami i szpitalami, uchodzili za o wiele bardziej wyrachowanych i Hanstarowie, którzy zawsze wyznaczali spośród siebie Doradcę Królewskiego, nie szczędzili im słów krytyki, zwłaszcza gdy ci nie chcieli opuścić cen medykamentów potrzebnych w walce z zarazami. Nadejście Czerni sprawiło, że oba rody zapomniały o wzajemnych animozjach. Rycerze z rodu Hanstarów i Vlistunowie walczyli ramię w ramię pod Rozpaczą, a ci, którzy przetrwali ucieczkę z Mandylionu

i sztormy na Wściekłym Morzu, nie pamiętali już o dawnej wrogości. Szli za królem przez ziemię Taliadu, wspólnie zdobywali Miasto na Skale, Posępną Łunę i inne twierdze, razem rozbijali wrogie armie i budowali nową ojczyznę, wbrew kazaniom Pieśniarzy zwaną Królestwem na Wygnaniu. Był to czas niecodziennych decyzji i niezwykłych sojuszków.

Przyjaźń między targanym emocjami Tankredem z rodu Hanstarów i wyrachowanym, zimnym Dagnaarem z rodu Vlistunów była najlepszym dowodem na to, że w życiu uciekinierów z Mandylionu rozpoczął się nowy etap.

„Przynajmniej tyle osiągnęliśmy – myślał ponuro Tankred. – Ojciec zawsze mówił, że szczerą chęć wyciągnięcia ręki do rywala to najważniejszy dowód na czyjąś mądrość”.

– Panie!

Krótki okrzyk przeciął szum ulewy i rozpędził myśli Tankreda. Młody rycerz zatrzymał się i odwrócił. Odruchowo sięgnął po miecz, ale jego dłoń natrafiła na pustkę. Człowiek idący ku niemu na szczęście nie wydawał się groźny – drobił małymi krokami i co rusz oglądał się za siebie, jakby w każdej chwili spodziewał się niebezpieczeństwa.

– Panie! – sapał, zdyszany. – Ja... Ja słyszałem rozmowę! Rozmowę, którą prowadziliście z owym drugim rycerzem!

– Podśluchiwałaś? – warknął groźnie Tankred.

Głowa bolała go nadal, ale umysł pospiesznie analizował wszystkie szczegóły. Brak broni. Miejscowy akcent, ale zdania wymawiane płynnie, bez wahania. Zauważalna niepewność. Stosunkowo suchy płaszcz.

– Gdzieżbym tam śmiał, panie – stropił się nieznajomy. – Tak mi tylko w ucho wpadło, kiedy przechodził obok waszego stołu...

Wiatr zawył, jakby rozwścieczony morski bóg smagnął go biczem. Kałuże bulgotały, maltretowane strugami deszczu. Gdzieś w oddali coś zawyło przeciągle, zupełnie jak Widmo. Cierpliwość Tankreda ostatecznie się skończyła.

– Co ci, na Pieśni, wpadło w ucho?

– Żeście, panie, z zacnym panem Toulghanem...

– Vlistunem.

– Jako prawicie, jam niebywały... O ludziach onych prawili. Tych, co ich ta koga przywiozła. Panie dobry, oni poszaleli wszyscy!

Tankred przymknął powieki. Krople deszczu spływające mu po twarzy były lodowato zimne.

„To samo mówił strażnik portowy...” – przypomniało mu się.

– Wynos się – warknął, nie patrząc na nieznajomego.

– Wyniosę się, jako prawicie, panie, gdzie mnie, słudze parszywemu... Bo gdybyście, panie, chcieli onych ludzi zobaczyć, to wiem, dokąd ich zabrano.

– Mówiłem ci, byś się wynosił.

– Wyniosę się, a jakże. – Wbrew zapewnieniom obcy nie ruszył się ani o krok. – Jeno tak mnie naszło... Może zainteresuje was, panie, to, że niektórzy z owych ocalonych taki sam znak mieli jak i wy?

Tankred otworzył szeroko oczy. W nikłym świetle bijącym z okien tawerny, którą przed momentem opuścił, widział palec nieznajomego, krzywy, z brudem wrośniętym pod paznokieć. Wskazywał jego własną tunikę z wyszytą Otwartą Księgą.

Herbem rodu Hanstarów.

To, co się wydarzyło później, wytłumaczyć można było wyłącznie nieopisanym szczęściem. Zaabsorbowany rozmową z nieznajomym Tankred nie zdawał sobie sprawy, że od strony morza nad miasto przekrada się burza. Gdy tylko nad ich głowami przetoczył się pierwszy grzmot, odruchowo uniósł głowę, a wtedy niebo przeciął bladossiny błysk, wydobywając z mroku stojącą na dachu postać z napiętym łukiem.

„To ten elf!” – skojarzył rycerz odruchowo.

Rzucił się w bok, poślizgnął na mokrym bruku i padł prosto na ranny bok. Nie miał pojęcia, czy zdołał uniknąć strzały, czy też rozmokła od deszczu cięciwa posłała ją gdzieś w mrok, wściekły, paraliżujący ból odpędził bowiem wszystkie doznania. Ślepy instynkt przetrwania nakazał mu podnieść się i uciekać. Znów się poślizgnął, zatoczył, uderzył barkiem w ścianę kamienicy, ponownie osunął się na kolana.

Odwrócił głowę i ujrzał swojego rozmówcę, który cofał się, oszołomiony, wpatrując się w strzelca na dachu.

– Pomocy! – darł się nieznajomy przeraźliwie. – Pomocy! Męciciel!

Tankred oprzytomniał. Elf zeskoczył z dachu i szedł już ku niemu przez deszcz. Odrzucił łuk i wyszarpnął miecz, w którym odbił się blask kolejnej błyskawicy.

„To on! Elf ze Słonych Borów! Chce dokończyć dzieła!”

Rycerz znów sięgnął po miecz, ale dłoń ponownie natrafiła na pustkę.

– Pomocy! Męciciel!

Elf znajdował się w odległości kilkunastu kroków, gdy niespodziewanie przez szum deszczu przebiły się pospieszne kroki wielu mężczyzn, wzmocnione szczękiem oręża. Wtedy zawahał się, narzucił kaptur i znikł.



## Pochodnia

Złośliwi mówili, że ród Vothanów niezbyt przejął się utratą ojczyzny – podczas gdy pozostali walczyli ramię w ramię w obronie królestwa, żeglarze spod znaku Spienionej Fali spokojnie wywozili swe bogactwa do innych portów. Tankred wiedział, że Vothanowie posiadali faktorie handlowe w kilkunastu portach poza Mandylionem – w tym w Mieście na Skale – i w istocie mieli powody, by z dystansem podejść do dramatu ojczyzny. To, że wypożyczali okręty innym ewakuującym się rodom za symboliczny złoty pazur, w żaden sposób nie poprawiło ich reputacji. Ogiś nienawidzono Vothanów za bogactwo, kontakty i wpływy, a po opuszczeniu Mandylionu do listy oskarżeń doszły tchórzostwo i brak zainteresowania losami kraju.

Obecnie nie cierpiano ich jednak głównie dlatego, że ośmielali się żyć tak jak kiedyś, w ojczyźnie, przed nadejściem Czerni.

Ród Hanstarów zawsze szczyił się tym, że ma szersze horyzonty myślowe od innych, i Tankred wiedział, że Vothanowie nie zasługują na niechęć ani tym bardziej na potępienie. Teraz jednak, gdy niemalże siłą postawiono go przed obliczem komendanta twierdzy, kipiała w nim złość i nie miał najmniejszej ochoty na obiektywizm. Był przemoczony, głodny, obolały i wciąż wstrząśnięty

po niespodziewanym ataku, a do tego podczas interwencji straży miejskiej rozdzielono go z człowiekiem, który mógł go zaprowadzić do rodaków.

„Niech to wszystko Pieśni wyszydzą!” – klął w myślach.

Zacisnął jednak oczy i obiecał sobie, że będzie uważał na to, co mówi.

„Nie popełnię błędu”.

– Księga pozdrawia Falę! – rzekł nieco zbyt głośno, z trudem maskując irytację.

Komendant Elric Vothan, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, machnął ze zniecierpliwieniem dłonią. Ani razu nie podniósł oczu znad licznych rozłożonych na biurku ksiąg, nad którymi pracował wytrwale mimo późnej pory. Wreszcie postawił zamaszty podpis, westchnął i uniósł wzrok, w którym nie było ani cienia życzliwości, ale za to kryło się mnóstwo zmęczenia.

– Daruj sobie te dworskie dyrdymały, Hanstar – burknął i przyjrzał się bacznie Tankredowi, który nagle przypomniał sobie, że ród Vothanów słynie również z niechęci do wszelakiego ceremoniału, z nabożeństwem pielęgowanego przez pozostałe rody Mandylionu.

Młody rycerz przyjrzał się Vothanowi uważniej. Ciemna, ogorzała karnacja, typowa dla żeglarza. Cienkie, mocno zaciśnięte usta, świadczące o braku cierpliwości. Worki pod oczami i fioletowe żyłki na policzkach – ani chybi pamiątka po niejednej nocy spędzonej nad pucharem wina. Zmęczony wzrok. Niedbale przycięty zarost. Małe skaleczenie na szyi. Mocne, twarde dłonie, choć z ogryzionymi skórkami i paznokciami.

– Wedle raportu dowódcy straży zostałeś zaatakowany na ulicy przez nieznanego sprawcę – rzekł suchym głosem komendant miasta. Jego szare oczy wydawały się obojętne niczym morskie fale. – Czy udało ci się zapamiętać cokolwiek? Twarz? Znaki szczególne? Broń?

Tankred chciał przewrócić oczami, ale opanował się i pokręcił głową.

– Skup się – warknął Vothan. – W tym przeklętym mieście działa całkiem spora grupa Mącieli, a jeden z agentów twierdzi nawet, że na własne oczy widział Visteniego! Króla cholernego Pogórza, rzekomo usieczonego w szturmie na Posępną Łunę! Tymczasem durnie, którymi przyszło mi dowodzić, nie są w stanie nikogo ująć.

Grymas na twarzy komendanta dopowiedział resztę:

„Bo ja należę do rodu żeglarzy! Nasze zadanie to pływać, odkrywać i handlować, a nie rządzić okupowanymi miastami i uganiać się za jakimiś cholernymi powstańcami!”

– Stał na dachu – wycedził Tankred. – Strzelił do mnie z łuku, a potem zeskoczył i wyciągnął miecz. Zakrzywiony, o ile dobrze pamiętam. To w sumie był dobry moment, by wypytać go o imię, nazwisko, miejsce pochodzenia i stopień w hierarchii, ale, psiamac, tarzałem się w błocie z bólu. Bo raniono mnie w Słonych Borach.

Urwał, a resztę wyraził jego wściekły wzrok.

„Bo tłułem się tu aż z Posępnej Łuny w eskorcie konwoju wojskowego, żeby król stacjonujący daleko na północy otrzymał transport beczek z prochem. Walczyłem, zabijałem i krwawiłem, bo tak trzeba. Bo musimy wygrać tę cholerną wojnę, aby ktoś mógł podpisywać dokumenty!”

Przesłanie musiało być klarowne, gdyż Elric Vothan spuścił na moment oczy i odkaszlnął, jak człowiek próbujący oszczędnie zamaskować konsternację. Gdy ponownie spojrzął na Tankreda, jego wzrok był już absolutnie obojętny. Otworzył usta, aby zadać kolejne pytanie, ale przerwał mu jęk dobiegający gdzieś z górnych pięter wieży. Vothan zgarbił się nad biurkiem, przymknął oczy, splótł palce i spojrzął na Tankreda ze znużeniem.

– Czy gdzieś pośród niezmierzonej mądrości pielęgnowanej i skrywanej przez twój ród, Hanstar, kryje się może sposób na uporanie się z wyjątkowo bolesną i dokuczliwą sraczką? – spytał.

– Specjalność mojego rodu to historia – odparł Tankred. – Annały, almanaki, genealogie, mapy. Babramy się w innym typie łajna, komendancie.

– Szkoda – westchnął Vothan i potarł czoło. – Myślałem, że się wreszcie na coś przydadacie, gryzipiórki. To przydzielony mi Pieśniarz Cedrig tak jęczy. Przyznam, że nieraz źle życzyłem takiemu synowi, ale miałem nadzieję, że będzie cierpiał nieco ciszej.

– W porcie stoi koga rodu Vlistunów – rzekł sucho Tankred. – Oni zajmują się uzdrowieniami.

– Wiem – parsknął Elric. – Trafiło się ślepej kurze ziarno. Cholerni znachorzy obrabowali jakiś opuszczony fort z prochu i w te pędy przywieźli go do Taliadu. Kogą dowodził stary Trust Vlistun. Tak bardzo mu się paliło, aby pochwalić się przed królem, że nawet nie wpadł z wizytą. Zamienił



jedynie kilka słów z Pieśniarzem, wskoczył na koń i tyleśmy go widzieli. Z tego, co wiem, w mieście nie ma już ani jednego z Vlistunów. Posłałbym po któregoś, żeby tylko ten stary grzyb przestał się drzeć.

Jakby w odpowiedzi nocną ciszę znów przerwał przeciągły jęk cierpiącego Pieśniarza. Tankred przez moment zastanawiał się, czy powiedzieć komendantowi o Dagnaarze Vlistunie, ale złośliwie uznał, że ani Elric Vothan, ani tym bardziej Cedrig nie zasługują na współczucie z jego strony. Potem przypomniał sobie słowa nieznanego człowieka, który zaczepił go po wyjściu z tawerny, i natychmiast zapomniał o Vlistunie.

– A ten opuszczony fort w Mandylionie? – spytał. – Naprawdę był opuszczony? Koga nie przywiozła żadnych ocalałych?

Elric zmrużył oczy.

– Jeśli interesują cię szczegóły, będziesz musiał znaleźć remedium na rozwolnienie – rzekł, rozpierając się w fotelu. – Okręty przybywające z Mandylionu są wyłączone spod mojej jurysdykcji. Takimi sprawami miał zajmować się Cedrig. Od ponad roku znoszę jego obecność, a kiedy po raz pierwszy miał się na coś przydać, łapia go boleści i...

– A co się stało z załogą? – indagował niecierpliwie Tankred.

– Cholera wie. – Komendant zamasyście ułożył kilka dokumentów w stos, co oznaczało, że ich rozmowa niniejszym dobiega końca. – Zacznijmy od tego, że mało kto z tego rejsu powrócił. Resztę marynarzy zabrał gdzieś Cedrig, ale nie pytaj mnie dokąd.

– Mówią, że poszaleli – wyrwało się Tankredowi. – Że ten rejs źle na nich wpłynął i...

– Mówią też, że Pieśniarze poszaleli. Kilkaset lat temu. I od tamtej pory nie ma poprawy. Chyba już pora na ciebie, Hanstar.

– Chyba pora – zgodził się Tankred z niechęcią, ale i ulgą.

– Pozdrów Olwego, gdy się z nim spotkasz – rzucił komendant, na powrót pochylony nad pergaminami.

Młody Hanstar, mimo swego niezadowolenia, uśmiechnął się lekko. Nie powinien się właściwie dziwić temu, że Elric Vothan znał jego wuja. Czasami myślał, że Zwierzchnik ich rodu osobiście zna wszystkich przybyszów z Mandylionu, łącznie z wieloma Pieśniarzami.

Nie było się jednak nad czym rozwodzić. Zbiegał po schodach, ścigany

nieprzyjemnymi przeciągami oraz jękami cierpiącego Pieśniarza. Minał po drodze jego komnatę, oświetloną dziesiątkami świec i okopconą nieprzyjemnie pachnącymi kadzidłami. Wydawało mu się, że znad łóżka chorego spojrzała na niego tęga rudowłosa uzdrowicielka o szerokiej, znękanej twarzy, ale to sprawiło jedynie, że przyspieszył. Wypadł na świeże, dżdżyste powietrze, postanawiając w duchu, że jak najszybciej odnajdzie nieznanego spod tawerny. Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, a mężczyzna nie wystraszył się Mąciela z dachu.

„To, co robię, jest kompletnie pozbawione sensu – pomyślał Tankred. – Czy można wierzyć temu miejscowemu? Fort na Zębiskach na pewno nie należał do naszego rodu, a więc skąd mieliby się tam znaleźć Hanstarowie? Szansa, że ktoś z jego garnizonu wie cokolwiek o losach Hanstarów, którzy pozostali w Mandylionie, jest równa zeru, a w dodatku Elric Vóthan utrzymuje, że znaleziony przez Vlistunów fort był opuszczony. Kto ma rację? Muszę się tego dowiedzieć i tyle”.

Nieznamy tymczasem czekał na niego po drugiej stronie ulicy.



O świcie słońce wreszcie przebiło się przez opuchnięte, szare chmury. Zmatowiała tafla Wściełego Morza rozbłysła, jakby ktoś ją polał żywym srebrem. Jej blask był tak intensywny, że pochłonał Miasto na Skale i całe czarne wybrzeże aż po Słone Bory. Wydrzyki i mewy krzyczały przenikliwie, jakby i je zachwyciło poranne przedstawienie, ale w głowie Tankreda tłukły się coraz ciemniejsze myśli.

– Szlag by to wszystko trafił – rzucił pod nosem.

Nieznamy, który szedł przed nim, odwrócił się.

– Co rzekliście, panie? – spytał, ocierając pot z czoła. – Odpocząć chcieliście może?

– Nie – burknął Tankred, a potem wbrew sobie zapytał: – A daleko jeszcze?

– Nawet nie godzina – odparł tamten, po czym uśmiechnął się szeroko i ruszył przed siebie.

Rycerz znów zaklął pod nosem, a potem oparł dłoń o pień poskręcanej karłowatej brzozy i odetchnął ciężko, próbując zebrać myśli. Serce tłukło mu się jak szalone, bynajmniej nie z nadmiaru wrażeń, ale z najzwyczajszego, prozaicznego wyczerpania. W ranie na przemian piekło i rwało, w głowie mu dudniło, a kolana drżały od nadmiernego wysiłku, lecz bardziej od wszystkich tych doznań rycerzowi doskwierało poczucie niepewności. Od chwili gdy po raz pierwszy zszedł na ziemię Taliadu, nigdy nie musiał decydować za siebie. Zawsze czynił to za niego Bardun Fulgham, dowódca jego oddziału, bądź Pieśniarz Alisann. Tankred nie zdawał sobie sprawy z tego, że karność i dyscyplina tak bardzo wrosły w jego charakter. Nie istniało prawo, które zabraniałoby mu skorzystać z pomocy nieznanego, lecz podejmując pierwszą samodzielną decyzję od wielu miesięcy, miał wrażenie, że popełnia przestępstwo.

Tym bardziej że miał zajrzeć do miejsca, nad którym pieczę roztoczył jeden z Pieśniarzy, a ci nie przepadali za wścibskimi odwiedzającymi.

Spojrzał z niechęcią na plecy przewodnika, niknące już wśród brzoź, i po raz setny zadał sobie pytanie, czy postępuje właściwie.

– Niech to wszystko robaki zeżrą! – warknął i przetaił twarz. – A jeśli na Szczodrości rzeczywiście przyplłynęli poddani Hanstarów, przetrzymywani teraz w jakiejś dziurze tylko i wyłącznie dlatego, że jakiemuś Pieśniarzowi poprzestawiało się w głowie? A jeśli jest tam ktoś, kto naprawdę wie coś o losach mojej rodziny?

Kolejne, o wiele istotniejsze pytanie brzmiało, czy naprawdę chciał się dowiedzieć, co się stało z jego rodziną, ale Tankred starannie unikał odpowiedzi. Zamiast tego odetchnął ciężko, zacisnął zęby i ruszył przed siebie w nadziei, że wysiłek przepędzi wszelkie trudne myśli.

Nie pomylił się, bo ścieżka wydawała się nie mieć końca. Pięła się po zboczach wzgórz i opadała wśród czesanych wiatrem traw. Co chwila nikła wśród brzozowych gajów, a tam wiła się i kluczyła jak zaklęta. Ptaki ćwierkały i szeleściły wśród zarośli. Tankred, nadal osłabiony po odniesionej ranie, co rusz potykał się o korzenie, aż zawadził nogą o kamień i osunął się na kolana. Przewodnik przypadł do niego w okamgnieniu i złapał go za ramię.

– Zostaw! – Tankred odepchnął go z niechęcią. – Ile jeszcze? Mówiłeś, że za godzinę będziemy na miejscu!

– Ale nie minęło nawet pół godziny! – bronił się tamten i wskazał słońce, przesłonięte teraz splątanymi konarami brzózek.

Rycerz rozsiadł się wśród korzeni i odpiął manierkę z wodą. Pił długo i łapczywie, a potem spojrział na przewodnika.

– Jak cię zwą? – spytał, dziwiąc się sam sobie, że dopiero teraz chce się tego dowiedzieć.

– Markvin, panie. Maarhvin wedle naszej mowy, ale komendantowi Vöthanowi wiernie służę, no i żem zmienił imię, by przywiązanie moje podkreślić. Waszej mowy się żem wyuczył, zwyczajów...

– Czemu chcesz mi pomóc?

– No... – Spojrzenie Markvina umknęło ku niebu, upstrzonemu poszarpanymi przez wiatr chmurami. – Dobrze wam z oczu patrzy, panie, tedy powiem. Komendant Vöthan to zacny człek, uczciwy i w gniewie oszczędny. Sęk w tym, że przy płaceniu jeszcze bardziej oszczędny. Chciałem tedy skorzystać ze sposobności i na wdzięczność waszą, panie, zasłużyć. Różne rzeczy o waszym rodzie mówią, ale kutwami nikt was nie nazwał.

– A co mówią?

– No... – Markvin przewrócił oczami i podrapał się po czaszce, co oznaczało, że każde kolejne zdanie będzie dla niego coraz trudniejsze. – Mówią, że się wiedzą paracie. Że historię znacie jak mało kto i potraficie nie lada sekrety rozwikłać. Że księgi a grymuary kolekcjonujecie. Że samemu królowi doradzacie. Jakże więc mielibyście być nieuczciwi? Czyż historia nie uczy, że uczciwość popłaca?

– Historia uczy czegoś całkowicie przeciwnego. – Tankred skrzywił się. – Ale w ludzkiej gadaninie jest również sporo prawdy. Jeśli w istocie doprowadzisz mnie do miejsca, w którym trzymani są ludzie ze Szczodrości, a wśród nich podwładni mego rodu, zostaniesz wynagrodzony.

„Co prawda nie wiem, kiedy to nastąpi – dodał w myślach – bo nie mam przy sobie ani miedziaka. Niestety, drogi Markwinie, ale wysokość swego wynagrodzenia trzeba było ustalić zawczasu. Czyż historia nie uczy również tego?”

Mężczyzna skwapliwie pokiwał głową.

– Nie pożałujecie, panie! Jestem przewodnikiem! Najlepszym przewodnikiem na usługach rodu Vöthanów i Pieśniarza Cedriga! A samego

Pieśniarza się nie bójcie, ponoć strasznie zachorzał. Zaprowadzę was, panie, na miejsce! A może zechcecie spocząć choć na chwilę?

Troska w głosie mężczyzny dopiekła Tankredowi do żywego. Podniósł się i zacisnął zęby, próbując opanować zawrót głowy.

– Nie zechcemy – wycedził.

Stracił przytomność jakieś pięć minut później.



*Na okręcie, który unosił ich ku brzegom Taliadu, panował nieprawdopodobny ścisk. Stłoczono na nim kilkunastu strażników, paru służących rodowi rycerzy, sporą gromadę wychudzonych, spłoszonych uczniów Akademii Hanstarów oraz całą armię służących, pokojówek, stajennych, ogrodników, psiarzy i innych. Spod pokładu dobiegało rzenie niespokojnych koni i szczekanie psów, a zarówno na pokładzie, jak i pod nim leżały sterty kufrów, worków i zwykłych skrzynek.*

*Wydawało się cudem, że pośród tego całego zamieszania Tankred miał kajutę tylko do swej dyspozycji.*

*Samotność była jednak ostatnią rzeczą, na jaką chłopak miał ochotę. Przez cienkie ściany słyszał głośnie rozmowy przeplatane przekleństwami, płacz i żałobne pieśni. Wyczuwał rozpacz przemieszaną z wściekłością i lękiem.*

*Trzeciego dnia wykorzystał mocną drzemkę piastuna Vulhuma i wyślizgnął się na zewnątrz. Przemknął przez zatłoczoną jednostkę, usiłując nie patrzeć na zrozpaczone, zalane łzami twarze i nie słuchać wściekłych przekleństw. Szukał Brissego.*

*Ten jako zgoła jedyny na pokładzie nie spoglądał w tył. Stał na dziobie i wpatrywał się przed siebie, w ławice mgły, za którymi kryła się ich nowa ojczyzna.*

*Tankred spotkał swego kuzyna zaledwie kilka razy i uważał go za wiecznie zamysłonego młodzieńca, wręcz filozofa. Tym bardziej wstrząsnął nim atak, którego Brisse doznał podczas wychodzenia z Pogromcy, atak, który zmienił go w udręczonego mężczyznę o martwych oczach.*

Musiał kaszlnąć dwukrotnie, aby kuzyn go zauważył.

– Czy to prawda, że tam, dokąd zmierzamy, będziemy bezpieczni? – zapytał o pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Brisse roześmiał się gorzko i potrząsnął głową. Z jego loków, zmoczonych bryzgami fali dziobowej, ściekały leniwie krople wody, ale ten nawet nie zauważył, że ma mokry płaszcz i kaftan.

– Rozłóż sobie mapę Taliadu, Tankredzie. Przyjrzyj się wszystkim tym krajom i zapamiętaj ich nazwy. Escalion, Vintalid i Pogórze, czyli trzy prowincje Taliadu. Tam właśnie zmierzamy. Dalej mamy Rzeczne Królestwo, Tuulan, Tangstev. Widzisz? To nasz nowy świat.

Nad rozkołysanymi masztami statku krzyczały morskie ptaki. Echo przyniosło ryk rogu z innego okrętu. Tankred odruchowo spojrział w tamtym kierunku i ujrzał granatowe proporce z szarymi kłębami – znak Tenketarów, rodu zgłębiającego tajniki wojny prochowej. Brisse odwrócił się i dał znać kapitanowi statku. Ten skinął na majtka, który zadął w róg zamocowany na rufie. Nad falami Wściekłego Morza poniosło się żałobne buczenie, zwielokrotnione po chwili przez inne jednostki uciekające z Mandylionu.

– Tam, dokąd zmierzamy, nie ma Czerni – podjął Brisse. – Przynajmniej na razie. Są natomiast wolne królestwa i ustalane od lat granice. Jak zachowa się ów świat na widok flotylli zdesperowanych uciekinierów, Tankredzie? Powita nas z otwartymi ramionami? Nie sądzę. – Minęła dłuższa chwila, nim Brisse dodał ponuro: – Ruszamy na kolejną wojnę. Nie pytaj więc, czy tam, dokąd zmierzamy, będzie bezpiecznie. Na twoim miejscu wziąłbym miecz – jestem pewien, że wuj Vildurf zostawił ci jakiś – i powymachiwał nim trochę. Nie zawadzi.



Tankred otworzył szeroko oczy i natychmiast je zamknął, oślepiiony ostrym blaskiem słońca. Ów ułamek sekundy wystarczył, by zarejestrować kilka szczegółów. Brzozowe gałęzie. Słońce w zenicie. Cisza. Absolutna cisza.

Podniósł się i odruchowo sięgnął po manierkę z wodą. Wysączył kilka pozostałych kropeł i z wściekłością wyrzucił pustą flaszkę w krzaki.

– Markvin! – wychrypiał. – Gdzie jesteś, padalcu?

Widział, że ścieżka pięła się ku górze, ale nie zdawał sobie sprawy, że dotarli aż tak wysoko. Ogromny przestwór Wściekłego Morza sięgał aż po zamglony horyzont, a Miasto na Skale, wgryzione w krater wulkanu, wydawało się drobne niczym wyrysowane patykiem na piasku. Wiatr szeleścił wśród liści.

– Markvin?

– Bieże, panie! – rozległ się zdyszany głos, a potem tupot pospiesznych kroków. Zza zakrętu wyłonił się czerwony na twarzy mężczyzna. – Zasłabliście, tedym po wodę pobiegł! Mam całą manierkę!

Zatrzymał się przy rycerzu i drżącymi rękami wyciągnął flaszkę oprawioną w skórę. Chciał ją przyłożyć Tankredowi do ust, ale ten wyrwał mu ją i opróżnił zawartość kilkoma łykami.

– Długo byłem nieprzytomny? – spytał ochryple.

– Ii tam, ledwie kwadrans bądź dwa – odparł przewodnik, przypinając manierkę do pasa. – Panie, a może wrócimy do miasta? Gdyby coś wam się stało...

– ...Mój ród zrzuciłby całą winę na ciebie? – warknął Tankred, wstając. – Podziwu godna przenikliwość. Trudno, mój drogi Markvinie, trzeba było pomyśleć o tym przedtem. Ruszajmy.

Rycerz przyglądał się przewodnikowi bacznie i odniósł wrażenie, że przez usta miejscowego przemknął cień uśmiechu, ale mężczyzna natychmiast zatuszował go skwapliwym potakiwaniem głową. Ów prosty, wręcz głupkowaty gest stał w sprzeczności z inteligentnym spojrzeniem Markvina. Hanstar naraz nabrał podejrzeń.

– Daleko jeszcze? – spytał.

– Kilkanaście kroków – odparł przewodnik, zawracając w stronę ścieżki. – Przysięgam.

– Markvin... – Tankred zatrzymał się nagle i założył ramiona na piersi. – Dokąd ty mnie właściwie prowadzisz?

Oczy przewodnika rozblęły, jakby chciał powiedzieć: „O to, panie rycerzu, trza było spytać jeszcze przed opuszczeniem miasta”. Pochylił jednak pokornie głowę i rzekł:

– No jak to dokąd? Do miejsca, w którym trzymają owych żeglarzy.

– Czyli dokąd?

– Do Pochodni, panie.

– Cóż to za miejsce?

– Latarnia morska. – Markvin szedł już w górę ścieżki. – Od dawna nieużywana, bo ponoć przeklęta. Pieśniarz Cedrig nie przeląkł się jednak, zbadał ją i odkrył lochy. Tam trzyma tych, którym chce poświęcić więcej uwagi. Tam też osadził żeglarzy. Wiecie, panie, bo przecie ich porządnie zbadać trzeba. Ludzie mówią, że im całkiem odbiło.

– I żadnej straży tam nie ma?

– Nie ma, panie, nie ma. Załogi Szczodrości tak po prawdzie nie ma po co strzec, sami się przekonacie. Co wieczór przyjeżdża tu kilku umyślnych, by jadła im podrzucić i kubły z nieczystościami wywalić. To wystarczy.

– Dlaczego?

– Sami się przekonacie, panie.

Tankred miał wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem Markvin robi się coraz bardziej bezczelny. Nabrał ochoty, by złapać go za ramię, odwrócić szarpnięciem ku sobie i trzasnąć z całej siły w głowę, ale zacisnął zęby i poskromił gniew, tym bardziej że po kilku krokach jego oczom ukazała się sama Pochodnia. Ścieżka rozszerzała się i otwierała na szeroką, opromienioną słońcem łąkę, z której wyrastała wysoka latarnia o ścianach ułożonych z doskonale dopasowanych głazów. Tankred spojrzął ku zadaszonemu szczytowi, gdzie migotały ogromne zwierciadła przypominające sobie ślepie, i pokręcił głową z mimowolnym podziwem. Nawet w ojczystym Mandylionie nie wznoszono tak wysokich i mocnych konstrukcji.

– Ciekawe, dlaczego ogłoszono ją przeklętą – mruknął.

– By ludzie nie myszkowali po lochach, zgaduję – rzekł Markvin, który szedł już ku masywnym drewnianym drzwiom z założoną kłodą. – Chodźcie, panie.

Rycerz niechętnie postępował za przewodnikiem. Trawa ugięła się pod jego stopami, wzrok wbijał w plecy mężczyzny, a jego myśli, otumanione przed chwilą, teraz wirowały jak szalone, jedna bardziej niepokojąca od drugiej.



Dlaczego Markvin nie określił swojej stawki jeszcze w mieście, skoro zależało mu na pieniądzach? Dlaczego tak bardzo pragnął wykonać zadanie? Dlaczego raz mówił jak prostak, a kiedy indziej z jego zdań przebijała ironia? Skąd znał słowo „grymuar”? Czy Tankred naprawdę był nieprzytomny kwadrans bądź dwa?

Młody Hanstar potrząsnął głową. Na każde z tych pytań można było udzielić prostej, logicznej odpowiedzi, ale uczucie podejrzliwości bynajmniej go nie opuszczało. Coś było nie w porządku. Ewidentnie nie w porządku.

„Nie popełnię kolejnego błędu” – powtarzał raz za razem, ale zdania te brzmiały fałszywie, nierealnie.

Niespodziewanie przypomniał sobie, że nie ma żadnej broni. Przygryzł ze złością wargę.

Zadudniła zdejmowana kłoda, szczęknęła odsuwana zasuwa, zazgrzytały zawiasy. Markvin z trudem otworzył drzwi, za którymi ukazała się tchnąca chłodem ciemność.

– No i ptaki – sapnął.

– Ptaki? – Tankred zamrugł oczami.

– No, takie ze skrzydłami – parsknął przewodnik. – Nie śpiewają. Zwróciliście, panie, uwagę na tę ciszę? Aż w uszach wierci. Stąd ludziska pewnie zaczęli gadać, że to przekłete miejsce.

W istocie, cisza była wręcz przejmująca. Tankred miał ochotę uderzyć się dłonią w czoło. A więc stąd się brało wrażenie niesamowitości? Z tej przyczyny stał się podejrzliwy?

„Na Pieśni, idiota ze mnie. Jak mogłem przeoczyć coś tak oczywistego? Dobrze, że nikt nigdy się o tym nie dowie”.

Wydał wargi, udając obojętność, i wkroczył do wieży. Poczł ulgę, gdy chłód otoczył jego rozpalone wstydem policzki. Kiedy wzrok rycerza błyskawicznie przystosował się do ciemności, Tankred ujrzał dziurę w podłodze i wystający z niej koniec drabiny.

Rozejrzał się wokół i dostrzegł skruszałe kamienne schody, biegnące wzdłuż okrągłych ścian na piętro. Widział też potężne, oczadziałe belki podtrzymujące strop i zapomnianą, wypaloną do cna pochodnię w uchwycie w ścianie. Nic ponadto. Żadnych wygasłych ognisk, butwiejących beczek, stert szmat czy resztek jedzenia. Latarnia w istocie była opuszczona, i to od dawna.

„Każde miejsce, w którym przebywa Pieśniarz, prędzej czy później staje się przeklęte” – pomyślał z ironią, by dodać sobie odwagi, ale niespodziewanie targnęła nim kolejna fala wątpliwości.

Drabina w podłodze kusiła. Tymczasem przewodnik nadal stał w progu, rzucając długi cień. Tankred czuł na sobie jego wzrok.

– Nie pójdziesz ze mną? – spytał.

– Jeśli taka wasza wola. – Markvin wzruszył ramionami i odwrócił spojrzenie.

Nieco za szybko.

Tankred przełknął ślinę i zachowując pozorną obojętność, przepuścił przewodnika. Odczekał, aż mężczyzna zejdzie na dół po drabinie, po czym powoli i ostrożnie opuścił się w ślad za nim.

Znów minęła chwila, nim jego wzrok przyzwyczał się do mroku, ale inne zmysły zawczasu mu podpowiedziały, że znalazł się w areszcie bądź więzieniu. Smród nieczystości oraz niemytych ciał. Szelest stóp na kamiennej podłodze. Wilgoć. Pobrząkiwanie łańcuchów.

Tankred zamrugał kilkakrotnie. Stał w samym środku ośmiokątnego pomieszczenia, którego ściany tworzyły kraty ośmiu cel. Za nimi majaczyły sylwetki wynędzniałych ludzi. Było wśród nich kilku mężczyzn, brodatych i długowłosych, ale przeważały kobiety tulące wystraszone, milczące dzieci. Niektórzy spośród uwięzionych ściskali żelazne pręty sękatymi dłońmi. Ich wzrok był tak intensywny, że po plecach rycerza przemknął dreszcz.

– Kim oni są? – wykrztusił.

– Sam ich zapytaj – szepnął Markvin. Zaskoczony Tankred nie zwrócił uwagi na nowy, złowieszczy ton głosu przewodnika. – Chyba że bardziej interesują cię tamci?

Wskazał przy tym jedyną celę, w której więźniowie siedzieli, a nie stali. Rycerz podszedł bliżej i przygryzł wargę. W istocie, aż siedmiu z obecnych miało na sobie tuniki z żółtą księgą. Wyglądali na zwykłych żołnierzy czy służących, a na Tankreda spoglądali z apatią i obojętnością.

Serce chłopaka zabiło mocniej. Nie mógł wprost uwierzyć we własne szczęście.

Nabrał tchu, by się do nich odezwać, ale znów przygryzł wargę. Nie podobały mu się ich spojrzenia, puste i nieobecne. Przełknął ślinę i zerknął

z niedowierzaniem na przewodnika.

– Co im się stało?

Markvin wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Podobno w takim stanie zeszli z okrętu. Pieśniarz Cedrig wie więcej na ten temat. Chcesz z nim pogadać?

– Najpierw pogadam z nimi – rzekł Tankred, ignorując cichy dzwonek alarmowy, który znów odezwał się w jego głowie.

Pchnął kratę, która, o dziwo, ustąpiła pod jego naporem. Wszedł do środka i uklęknął przed pierwszym mężczyzną, który uniósł głowę, by na niego spojrzeć. Kilka razy otworzył i zamknął oczy, niczym zbudzony z głębokiego snu. Serce młodzieńca zabiło szybciej.

– Jestem Tankred Hanstar, syn Vildurfa, przywódcy rodu – powiedział drżącym głosem. – Czy to prawda, że przybywacie z ojczyzny?

Człowiek wpatrywał się w niego beznamiętnie.

– Słyszysz mnie? Czy jesteście poddanymi mego ojca? Przybyliście...

Za jego plecami zaszeleściła odsuwana słoma i skrzypnęły czyjeś stawy. Tankred odwrócił głowę i ujrzał, że pozostali więźniowie wstają. Uśmiechnął się lekko, lecz w tej samej chwili zauważył tęgą lagę w ręku jednego z nich. Przez usta więźnia przemknął złowieszczy grymas.

– Zaraz, co tu się wyprawia? – warknął młody rycerz i sięgnął po miecz, ale go nie odnalazł. – Jestem Tankred...

– Hanstar – rzekł Markvin, stojący za kratami w nonszalanckiej pozie. – I na tym polega cały problem.

Tankred spojrział na niego, skrajnie zaskoczony, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że unizoność przewodnika znikła bez reszty w chwili, gdy zszedł na dół. Zupełnie jakby nie musiał już niczego udawać.

– Jeszcze cię dopadnę, Markvin! Odpowiesz za to, że podniosłeś...

– Przestań już tyle gadać – prychnął przewodnik. – No, chłopaki, nie oszczędzajcie się.

Pierwszy cios spadł niespodziewanie na bok, szczęśliwie ten zdrowy, i wybił Tankredowi powietrze z płuc. Zaskoczony chłopak zatoczył się, odruchowo zasłonił łokciem, ale kolejny cios trafił go w goleń.

„Pomocy” – chciał wrzasnąć, lecz głos uwiązł mu w gardle.

Niespodziewanie w jego myślach zakrzyknął inny głos, usłyszany gdzieś na zalanych deszczem ulicach Miasta na Skale tuż po tym, jak od mokrych kamieni bruku odbiła się strzała znikąd. Odwrócił się do Markvina, teraz szyderczo uśmiechniętego.

„Na Pieśni, to wcale nie jest miejscowy! Przecież człowiek skrajnie przerażony zawsze krzyczy w ojczystym języku, a on wołał po naszymu... Jak mogłem to przeoczyć?”

Posypały się nań kolejne ciosy, któryś trafił w ranę. Ból wypełnił cały świat, litościwie zasłonięty ciemnością.

A więc jednak popełnił kolejny błąd. I to niejeden.



– No, no – powiedział głos pośród cieni.

Tankred miał ochotę krzyknąć, aby się zamknął. Nie chciał się budzić. Wiedział, że zalegająca wokół ciemność chroni go przed czymś, z czym nie chciał się mierzyć. Miał ochotę leżeć bez końca i niczym się nie przejmować.

– Zdrowo ci dołożyli – rzekł ten sam głos. – Aż przykro było patrzeć.

Tankred wypłuł źdźbło trawy i oblizał wyschnięte wargi. Wiedział już, że ciemność go nie obroni. Że będzie musiał otworzyć oczy i zmierzyć się z rzeczywistością.

– Skoro to było takie przykre – wychrypiał, unosząc głowę – to czemu im nie przeszkodziłeś?

Otworzył oczy i parokrotnie zamrugał. Dopiero po chwili odzyskał wzrok na tyle, aby dojrzeć wśród mroku samotną postać siedzącą pod ścianą. Wyraźnie ujrzał, jak nieznajomy wzrusza ramionami.

– Z wielu powodów – odparł. – Zaczniemy od tego, że wasz Pieśniarz postanowił mnie przykuć do ściany.

Tankred zmrużył nieco oczy. Dostrzegł już kajdany na nadgarstkach

mężczyzny oraz grube ogniwa wlekące się gdzieś po podłodze. Jego umysł, wciąż oszołomiony, zaczął analizować szczegóły. Potężne, brudne dłonie, być może należące do rolnika bądź myśliwego. Szeroki kark, znamionujący ogromną siłę. Gruby, niekształtny nos, oczy ledwie widoczne pod nastroszonymi brwiami, ciemna, postrzępiona broda. Płynne słowa, ledwie zauważalny miejscowy akcent.

Młody rycerz usiadł i raz jeszcze potrząsnął głową.

– Kim jesteś? – zapytał ostrym tonem, jakby pomimo okoliczności miał władzę nad współwięźniem.

Ten odsłonił mocne, białe zęby i rzekł:

– Nazywają mnie Jałowiec.

– I to tyle? Nie masz jakiegoś innego, normalnego imienia? – spytał Tankred.

– Czy pomogłoby nam to w czymś, gdybym miał? – odpowiedział sarkastycznie współwięzień, przechylając lekko głowę.

Po lochach przemykały zimne przeciągi, co rusz rozpędzając wilgoć oraz nieprzyjemne zapachy. Wśród źdźbeł słomy biegały szczury. Jeden z nich wlaźł nawet na ubłocony but nieznanego, ale ten nie zwrócił na to uwagi. Nadal wpatrywał się z zainteresowaniem w Tankreda. Jego niebieskie oczy skrzyły.

Młody rycerz wzruszył ramionami, wstał z trudem i posykując, podszedł do kraty, którą zagrodzono wyjście z celi. Zacisnął dłonie na zardzewiałych prętach i spojrzał najpierw na drabinę, a potem na pozostałe cele, układające się w ośmiokąt. Wspomnienia napływały jedno po drugim, niektóre zaczęły się do siebie dopasowywać.

„Wciągnął mnie w pułapkę – uświadomił sobie Tankred. – Ten Markvin od samego początku próbował mnie w coś wrobić. Powinienem był to przewidzieć. Przecież każdy człowiek, który chce zarobić, zaczyna rozmowę od ustalenia stawki. Niech mnie Pieśni przeklną, przecież obiecałem sobie, że nie popełnię już błędu...”

Zacisnął pięść i uderzył nią o pręty. Potem przytknął do nich rozpalone, obolałe czoło, gdyż jego wyrzuty sumienia niespodziewanie przegnało inne, o wiele ważniejsze pytanie.

„Ale dlaczego to zrobił?”

Dlaczego podniósł rękę na Tankreda Hanstara, syna jednego

z najważniejszych rodów Mandylionu, rodu, który od wieków doradzał samemu królowi? Dlaczego wciągnął go w zasadzkę?

„Zrozumiałbym, gdyby był to któryś z miejscowych – myślał dalej Tankred gorączkowo. – Ale przecież on nie jest Mąciielem. To ktoś z naszych, Mandylionczyk! Na Czern, gdzie w tym sens?”

– Hej! – zawołał głośno. – Jest tu kto?! Do cholery, jest tu kto?!

Odpowiedziało mu echo. Gdzieś w oddali kapła woda. Szczury szeleściły w kątach celi.

– Poszli sobie – odparł Jałowiec, pobrzękując kajdanami. – Razem z tym, który cię tu przyprowadził. Pośmiali się trochę, ponarzekali, że musieli tak długo czekać, żalowali też, że nie mają kajdan dla ciebie. Zaproponowałem, że oddam ci moje, ale nie chwycili dowcipu. Wrzucili cię do tej celi, zamknęli ją i poszli.

Młody rycerz wpatrywał się w mrok.

– Wiem, o czym myślisz – odezwał się niespodziewanie współwięzień.

Tankred odwrócił się powoli ku niemu. Ranny bok przeszył ostry ból i młody rycerz modlił się, by rana się nie otworzyła.

– Doprawdy? – wychrypiał z trudem.

– Masz to wypisane na twarzy – rzekł Jałowiec. – Zastanawiasz się, dlaczego zebrałeś po gębie od swoich. Chcesz wiedzieć, czym się im naraziłeś. Ja zresztą również chciałbym się tego dowiedzieć.

Tankred włożył wszystkie siły w jedno pogardliwe parsknięcie.

– Myślisz, że podzielę się przemyśleniami z Taliadczykiem?

Chciał, aby ostatnie słowo zabrzmiało naprawdę pogardliwie, ale zamiast tego rozkaszał się. Człowiek, który nazywał się Jałowcem, spoglądał na niego z zainteresowaniem.

– A więc nadal sądzisz, że jesteś lepszy ode mnie? – zapytał, ale w jego głosie nie było ani śladu urazy. – Cóż, takie myślenie byłoby może uzasadnione poza murami tej nieszczęsnej latarni morskiej, ale tutaj? Wylądowaliśmy w tej samej celi, co czyni nas równymi, nie wydaje ci się?

– Nie! – parsknął Tankred i skrzywił się z bólu. Ludzie, którzy czekali na niego w zasadzce z kijami, nie oszczędzali się.

– Chyba sobie tego nie przemyślałeś. – Jałowiec pokiwał głową,

zadowolony z siebie, i spojrzął na sufit celi. – Wiesz, gdzie się znalazłeś?

Tankred znów chciał się odciąć, ale uświadomił sobie, że w istocie nie zna odpowiedzi na to pytanie. Wbił pytające spojrzenie we współwięźnia.

– A więc nie. – Jałowiec znów pokiwał głową, jakby wiedział to od samego początku. – W mieście, które wy zwiecie Miastem na Skale, podziwu godna pomysłowość, nawiasem mówiąc, istnieje przecież więzienie, prawda? Głębokie, przepastne, z kratami, bramami i strażnikami. Wygodne, bo pod ręką. Dlaczego ktoś miałby upychać jeńców w takiej dziurze?

Tankred przygryzł wargę, opuchniętą po jednym z ciosów.

– Dlatego, że ma coś do ukrycia – odparł niechętnie, wciąż zły na siebie o to, że w ogóle zdecydował się na rozmowę z zakutym w kajdany Taliadczykiem. – To chyba oczywiste, prawda? Na pewno słyszałeś już o Pieśniarzach? Oni uwielbiają tajemnice.

– Pieśniarze, racja... – Jałowiec udał zadumę. – To ci, co łowią u was zdrajców?

Tankred zawahał się. Nie miał powodów, by przepadać za Pieśniarzami, bo zgoła nikt nie czuł się swobodnie w towarzystwie najbardziej tajemniczej ze wszystkich kast Mandylionu, grupy surowych, szorstkich ludzi, którzy rozkazywali Widmom i mieli władzę nad sferami życia, o których nawet ród Vinkenarów niewiele wiedział. Z drugiej strony, Pieśniarze zawsze służyli wsparciem królowi Mandylionu i Tankred nie słyszał, aby kiedykolwiek podnieśli rękę na członka któregoś z rodów bez oficjalnego oskarżenia.

Dlaczego więc został pobity i uwięziony przez ludzi, którzy najwyraźniej służyli Cedrigowi?

„To na pewno jakieś nieporozumienie” – pomyślał i zacisnął zęby, a potem spojrzął na Jałowca wzgardliwie i rzekł:

– Nie mam pojęcia, kim jesteś, Taliadczyku, ale wiedz, że należę do starego mandyliońskiego rodu, który zawsze wspierał króla i nigdy go nie zawiódł. Mój ojciec i starszy brat – przełknął ślinę przy tych słowach – oddali za niego życie! Pieśniarze nie mają żadnego, absolutnie żadnego powodu, by podnosić na mnie rękę! Znalazłem się tu tylko i wyłącznie przez przypadek!

Zacisnął pięści ze złością.

„Dorwę tego bydlaka, który mnie wciągnął w pułapkę – pomyślał mściwie. – Dorwę go i postaram się, żeby mnie popamiętał”.



Podniósł wzrok i ujrzał, że Jałowiec przygląda mu się z zainteresowaniem.

– A ty? – spytał, narzucając sobie spokój. – Jak tu trafiłeś? Jesteś jednym z Mącicieli?

– Nie, skądże – odparł brodac z poruszającą szczerością. – Wręcz przeciwnie. Nie mam żadnej styczności z ludźmi, których wy nazywacie Mącicielami. Nie mogę nawet powiedzieć, że im sprzyjam.

Tankred przyjrzał się nieznajomemu uważniej, zaskoczony jego słowami. Jak dotąd uważał, że wszyscy Taliadczycy, nawet jeśli otwarcie nie popierali Mącicieli, sympatyzowali z nimi po cichu. W końcu oni nadal prowadzili wojnę z wojskami Mandylionu, które uparcie nazywali okupantami. To, że część miejscowych mogła być przeciwna ich działaniom, nie mieściło się rycerzowi w głowie.

– Nie zrozum mnie źle. – Oczy Jałowca błyszczały w półmroku. – Jesteście najeźdźcami i ludzie, których zwiecie Mącicielami, mają moralne prawo chwycić za broń i wymordować was we śnie. Choćby za to, co zrobiliście, by zawładnąć Miastem na Skale. Jednakże ja nie mam prawa ich popierać. Jestem druidem.

Tankred gwałtownie wciągnął powietrze. Słyszał niejedno o druidach, głównie od Pieśniarzy, którzy uważali ich za swoich wrogów i tępil na każdym kroku. Utrzymywali, że druidzi, ludzie żyjący w jedności z naturą i znający jej najgłębsze sekrety, to truciele, sabotażyści i sprzymierzeńcy Mącicieli.

– Nie bój się – rzekł Jałowiec. – Wiem, co o nas wygadują. Większość z tego to nieprawda. Gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, chętnie opowiedziałbym ci o nas więcej. Fukasz i stroszysz brwi, ale mimo to wyglądasz mi na człowieka, który chętnie słucha.

– Na ogół. Teraz nie pogardziłbym chwilą ciszy.

– Misją druida – ciągnął Jałowiec, zupełnie niezrażony odpowiedzią rozmówcy – jest pilnowanie równowagi w świecie. My strzeżemy zwykłych ludzi przed tym, co mogłoby wstrząsnąć ich życiem. Pilnujemy ich przed rzeczami nieprzewidywalnymi i nienaturalnymi.

– Czyli hasła głoszone przez Pieśniarzy mają jednak jakiś sens. – Tankred zaśmiał się, choć czuł coraz większy ból. – Trudno przecież o wydarzenie bardziej nieprzewidywalne niż nasza inwazja! A więc macie powód,

by popierać Męcicieli.

– Nie – zaprzeczył ze spokojem Jałowiec. – Wasza inwazja to wydarzenie polityczne, a my nie zajmujemy stron w konfliktach. Wiesz, co tu się działo przed waszym przybyciem?

– Wiem.

– Skąd?

– Wiedza to domena mojego rodu. – Tankred wzruszył ramionami. – Królestwo, które dziś nazywamy Taliadem, rozpadło się na trzy mniejsze królestwa: Vintalid, Escalion i Pogórze, a ich władcy, synowie zmarłego króla Zoldaina, to skakali sobie do gardeł, to znów padali sobie w objęcia. Na granicach trzech królestw ciągle dochodziło do starć.

– Łagodnie powiedziane. – Druid prychnął, choć w jego oczach błysnęło uznanie. – Visteni, władca Pogórza, a potem król uzurpator całego Taliadu, stworzył zupełnie nowe definicje dla pojęć takich jak zdrada, zemsta czy okrucieństwo. Nie bez powodu jeszcze za życia nazywano go Podstępny.

– Powinniście być nam wdzięczni za to, że go pokonaliśmy. – Tankred skrzywił się.

– Cóż, są tacy, którzy wierzą, że on nadal żyje. Ci wasi Męciciele na przykład. O czym to ja mówiłem? A, już wiem. Wasza inwazja, jak sam sugerujesz, wcale nie była najgorszą rzeczą, jaka mogła nam się przytrafić. Po prostu zamieniliśmy jedną niedolę na inną. Visteni był bowiem niewyobrażalnym okrutnikiem, a pozostali dwaj, Olin i Terjei, bynajmniej nie dali mu się zakasować. Jeśli jest coś gorszego od kapryśnego króla, jest to zdecydowanie król zazdrosny, a tym akurat cechowała się cała trójka synalków Zoldaina. Wojna domowa trwała dziesięć lat z przerwami i zwykli ludzie wiele wycierpieli, wierz mi. Niemniej druidzi przez cały czas zachowywali neutralność. Bez względu na to, kto kogo prał po gębie, zawsze stawaliśmy po stronie zwykłych ludzi. Pomagaliśmy im, karmiliśmy ich, szukaliśmy dla nich schronienia, leczyliśmy ich rany, a nawet odnajdywaliśmy ich bliskich. Każdy to doceniał i każdy to rozumiał, nawet najdzikszy z wojów, nawet najbardziej szalony z królów. Ba, nawet krasnoludy to doceniały, choć u nich z myśleniem bywa różnie. Dopiero waszym Pieśniarzom zaczęło przeszkadzać, że ktoś mógłby chcieć komuś bezinteresownie pomagać.

Jałowiec wbił ostry wzrok w Tankreda, a rycerz mimowolnie poczuł

ukłucie wstydu. Potrząsnął głową, próbując pozbyć się tego niepożądanego wrażenia, ale ostry wzrok druida zdawał się przeszywać go na wylot.

– I znalazłeś się tu tylko i wyłącznie przez swą chęć niesienia pomocy? – spytał rycerz, udając wzgardę, której wcale nie czuł.

– Jakiś tydzień temu żołnierze waszego grododzierzcy złapali grupkę ludzi w Słonych Borach – objaśnił druid. – Z uwagi na fakt, że w Słonych Borach rzekomo działa jakiś oddział Mącieli, wasi żołnierze wykazali się wielką błyskotliwością i doszli do wniosku, że ujęli samych powstańców. Nie przyszło im do głów, że grupa, w skład której wchodzi kilka wrzaskliwych bab i banda równie wrzaskliwych dzieciaków, ma znikome zastosowanie strategiczne. Doprawdy, zadziwiacie mnie. – Druid pokręcił głową. – Jak wam się w ogóle udało przebyć Wściekłe Morze? Cóż, mniejsza o to. Młody jesteś, to sam pewnie nie wiesz. W każdym razie byłem świadkiem chwili, gdy żołnierze z falą na tunikach przygnali jeńców do Svallebru...

– Dziś nazywamy je Miastem na Skale.

– Tak, wiem. Cóż, gdy ujrzałem tych ludzi, uznałem, że trzeba im pomóc. – Jego wzrok stwardniał. – Wiedziałem, że prędzej czy później trafią przed oblicze waszego Pieśniarza, który na pierwszy rzut oka nie wygląda na wyrozumiałego. Musiałem go czymś zająć, by umożliwić ucieczkę tym nieszczęsnym ludziom.

Tankred przymknął oczy.

– Te jego boleści... – powiedział cicho. – To twoja sprawka?

Jałowiec uśmiechnął się szeroko, pokazując mocne, białe zęby.

– Jak już powiedziałem, większość z tego, co przypisują nam Pieśniarze, jest nieprawdą. Nie wszystko. Ech, zafundowałem mu sraczkę, która przejdzie do legendy, a sam po cichu zająłem się więźniami i wyprowadziłem ich z miasta. – Wzrok druida spoważniał, jego wesołość znikła. – Niestety, wystarczyło mu sił, aby posłać za nami to swoje cholerne Widmo. To wyjące skurwysyństwo dopadło nas dwa dni później, a potem ściągnęło nam na głowy orszak rycerski, który akurat zmierzał do Miasta na Skale. I tak oto trafiłem do Pochodni wraz z resztą mojej gromadki. – Wskazał pozostałe cele. – A ty? Jak brzmi twoja historia?

Tankred złapał się na tym, że ma ochotę opowiedzieć nieznanemu o wszystkich swoich rozterkach. Już otwierał usta, ale zacisnął je i pokręcił

głową.

– Nie – powiedział cicho. – Ja znalazłem się tu przez przypadek. Przez nieporozumienie.

– Jasne – przytaknął z entuzjazmem Jałowiec. – Jakżeby inaczej. Z nas dwóch tylko ja mogę być winny. Wszak wystarczy, że jestem Taliadczykiem. Dobrze, młody rycerzu. Jak cię zwa?

– Tankred – odparł ten niechętnie.

– I to tyle? Nie masz jakiegoś normalnego imienia? Dobra, spokojnie, żarty sobie robię. Posłuchaj... – Oczy druida, z których, wbrew jego słowom, dawno znikła wszelka wesołość, przewiercały duszę młodego rycerza na wylot. – Posłuchaj mnie uważnie. Wydajesz się roztroptym chłopakiem, a więc zapewne sam już doszedłeś do wniosku, że ja też znalazłem się tu przez przypadek. Zarówno ja, jak i ci ludzie!

Ciężkie od kajdan ramię wskazało pozostałe cele, w których majaczyły blade, niewyraźne twarze, ale Tankred nie mógł oderwać oczu od przenikliwego wzroku Jałowca.

– Przypadkom zaś trzeba przeciwdziałać. Inaczej cała równowaga pójdzie w łeb.

– O czym ty gadasz? – wyjąkał rycerz, ze wszystkich sił próbując odnaleźć w sobie siłę woli.

– Musimy się stąd wydostać! – syknął Jałowiec.

Jego wzrok był tak sugestywny, że młodzieniec poczuł ciarki na plecach. Niespodziewanie Tankredowi przypomniała się rudowłosa kobieta, która zajmowała się jego ranami w Mieście na Skale, i odwrócił się gwałtownie.

– Co ty robisz? – parsknął, próbując gniewem zamaskować lęk. – Chcesz użyć na mnie swych przeklętych mocy, druidzie? Myślisz, że mną zawładniesz?

– Po co miałbym chcieć tobą zawładnąć? – Jałowiec zachichotał. – Przecież stoimy po tej samej stronie, Tankredzie. Poza tym, cóż, nie pozostało mi już wiele mocy. Całą wykorzystałem na to, by spętać Widmo.

Młody rycerz wybałuszył oczy.

– Co takiego?

– Widmo. Tak chyba nazywacie te duchy, które biegają na posyłki dla

waszych Pieśniarzy, prawda? W każdym razie jedno z nich pilnuje tej latarni. No, pilnowało, gwoli ścisłości.

– Wiem, czym są Widma! Chodziło mi o to, co powiedziałaś wcześniej. Spętałaś je? Niby jak?

– Niełatwo. Na szczęście okazało się, że Pieśniarskie pieski są tak samo wrażliwe na moje uroki, jak konie.

Tankred pokręcił głową, z trudem przyjmując do wiadomości to, co właśnie usłyszał. Pieśniarze parali się wieloma dziedzinami niedostępnymi dla innych rodów, ale Widma, najczęściej spotykana manifestacja ich mocy, budziły zgoła największy przestach. Były to półmaterialne, trudno zauważalne byty, całkowicie posłuszne ich woli, wykorzystywane zazwyczaj do przenoszenia informacji, śledzenia bądź pilnowania niewygodnych osób. Niektóre Widma potrafiły paraliżować lodowatym dotykiem, inne zsyłały halucynacje, jeszcze inne ogłuszały przeraźliwym wrzaskiem. Tankred nigdy dotąd nie słyszał, by ktokolwiek – nawet czarodzieje z rodu Vinkenanów – potrafił okiełznać którąś z tych istot.

– Kpisz! – parsknął wściekle. – Nikt z moich rodaków tego nie potrafi, a co dopiero ty!

– Twoi rodacy moczą się po nocach na samą myśl o Pieśniarzach. – Druid westchnął. – Nic dziwnego, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy, aby kopnąć w zadek któregoś z ich piesków. Dobrze, młody. Posłuchaj mnie uważnie. Ululałem nasze Widmo do snu, ale coś mi się wydaje, że wystarczy jeden głośniejszy stukot, a się przebudzi. Musimy więc cicho, cichutko, cichuteńko otworzyć pozostałe cele, wypuścić więźniów, a później niespostrzeżenie się oddalić. Gdy będziemy już wystarczająco daleko, rozstaniemy się bez urazy, dobrze?

Tankred odwrócił głowę i zacisnął powieki. Ku jego uldze myśli na powrót okazały się spójne i logiczne.

„Ktoś dołożył starań, aby mnie uwięzić, i wiele wskazuje na to, że stoi za tym Pieśniarz. Jestem przekonany, że trafiłem tu przez przypadek, i muszę oczyścić swe imię. Za kratami raczej mi się to nie uda, a więc... Niech mnie Pieśni wydrwią, będę musiał zaufać Taliadczykowi”.

Wtem jego wzrok padł na ciężkie okowy Jałowca.

– Być może nie słuchałem cię wystarczająco uważnie – rzekł. – Ale mam

wrażenie, że o czymś zapomniałeś.

– Nie, skądże. – Jałowiec wstał i zrzucił od niechcienia kajdany, które z głośnym brzękiem spadły na podłogę. – Panuję nad sytuacją. Wybacz, że zdejmuję je dopiero teraz, wygląda to trochę tak, jakbym ci nie ufał, ale nie wiedziałem, czy okażesz się rozgarniętym chłopakiem.

– Mogłeś uciec już dawno – zauważył Tankred, maskując zaskoczenie.

– Musiałem mieć pewność, że Widmo śpi. Skoro nie zostało obudzone przez obdartusów twego Pieśniarza, chyba my również jakoś się przemkniemy.

– Imponujesz mi – rzekł rycerz wbrew sobie.

– E tam. – Druid minął zaskoczonego rycerza i złapał obiema dłońmi za kratę. – Powiedzmy, że zanim zostałem druidem, parałem się innymi fachami. Również takimi, które wymagały otwierania nieskomplikowanych zamków odpowiednio wygiętym drucikiem. Odsuń się, młody.

– Chcesz wyrwać kratę ze ściany? – Tankred nie posiadał się ze zdumienia.

– Możemy poczekać, aż się sama rozpadnie, ale mogę do tego czasu zgłodnieć. – Jałowiec rozstawił szeroko nogi, napiął mięśnie i zaczął powoli napierać na kratę. Na oczach młodzieńca zaprawa trzymająca zawiasy w miejscu zaczęła się kruszyć, aż nagle rozległ się metaliczny trzask. Druid sapnął, ostrożnie odstawił kratę pod ścianę i spojrzał na rycerza z zadowoleniem.

– Nieźle, nie? – spytał. – Jak widzisz, przykucie mnie do ściany nie było wcale wielkim błędem. Najwidoczniej rycerze, którzy nas pojмали, poskarżyli się Pieśniarzowi, że rozczochrany druid rzucał w nich ich własnymi rumakami. No, ruszaj się.

„Kim ty jesteś?” – zapytał w myślach rycerz, ale widząc, jak Jałowiec przypada do pierwszej celi i bez większego wysiłku wyrywa kolejną kratę, pospieszył mu z pomocą.

Gdy druid ostrożnie stawiał następne ciężkie żelastwo pod ścianą, Tankred wszedł do celi. Uwięzieni tam ludzie, którzy szeptali z ożywieniem na widok wyczynów Jałowca, nagle przycichli i cofnęli się w głąb pomieszczenia.

– Wstawajcie! – szepnął Tankred, jakby Widmo zaglądało mu już przez ramię. – Szybciej, trzeba stąd uchodzić!

Złapał za rękę starszą kobietę, pomógł jej wstać, potem postawił na nogi inną i gestem pogonił dwójkę spłoszonych dzieci. Rana w boku nadal

mu dokuczała, ale hucząca w skroniach adrenalina sprowadziła ból do rangi mało istotnej dolegliwości.

– Nie bójcie się go! – stęknął Jałowiec, który wyrywał kolejną kratę.

Zgrzytała stał wyszarpywana ze ściany, szeleściły kroki uwalnianych ludzi, po ciemnym wnętrzu niosły się szepty zdumionych, rozradowanych jeńców. Tankred pomógł wyjść grupce zamkniętej w drugiej celi, a gdy Jałowiec zabrał się za trzecią i ostatnią kratę, młody rycerz pospiesznie wspiął się po drabinie i wyrzwał na zewnątrz.

Popołudniowe słońce, zaskakująco mocne, chyliło się ku zachodowi i powietrze, choć przecięte długimi cieniami drzew, wydawało się całkowicie nieruchome. Wrażenie to potęgowała panująca w okolicy cisza niezmacona śpiewem ptaków, ale teraz Tankred potrafił sobie to już wytłumaczyć.

„Przecież gdzieś tu czyha Widmo... Ptaki i zwierzęta omijają te istoty szerokim łukiem”.

Czoło rycerza natychmiast zrosił pot, ale mimo to nadal ostrożnie się rozglądał. Po chwili wydało mu się, że cień między trzema niemalże zrosniętymi lipami jest rozmyty i rozedrgany, zupełnie jak powietrze nad ogniskiem. Im dłużej się wpatrywał w to miejsce, tym bardziej był przekonany, że znajduje się tam Widmo.

„Przechodziliśmy ledwie kilka kroków od niego – pomyślał. – Czyżby w istocie było uspięne mocą Jałowca?”

Odwrócił się i ujrzał zasapanego, rumianego druida, który wszedł na górę, a potem odwrócił się i podał rękę pnącej się za nim starszej kobiecie.

– Śpi? – spytał półgłosem.

– Chyba tak – mruknął Tankred, wciąż wpatrzony w cień pod lipami. – Nie wiedziałem, że te istoty w ogóle są w stanie spać.

– To nie sen, tylko... – zaczął Jałowiec, ale machnął ręką i skupił się na pomaganiu ludziom. – I tak nie zrozumiesz.

Wkrótce cała gromadka zebrała się na górze – dwie starsze kobiety, jedna młodsza, dwóch mężczyzn, przypuszczalnie ojciec i syn, oraz czwórka dzieci, wszyscy wylęknieni, ale skupieni i pełni nadziei. Ich początkowa obawa przed Tankredem powoli zniknęła, gdy przekonywali się, że młody rycerz stoi po ich stronie. Druid podszedł do niego i otarł pot z czoła.

– Uff, ale tu gorąco – mruknął. – I co? Śpi niewiniątko?

– Śpi – odparł Tankred, zdenerwowany jak nigdy wcześniej. – Jaki masz plan?

Jałowiec zerknął przez ramię na zbliżających się ostrożnie wyzwoleńców.

– Nie mam planu. Muszę zaprowadzić tych ludzi gdzieś, gdzie będą mogli rozpocząć życie na nowo. Nie mam pojęcia, gdzie mogłoby to być, ale coś wymyślę. A ty?

– Też nie wiem – uświadomił sobie rycerz i spojrzał na nadal uspięne Widmo. – Ale najpierw wydostańmy się stąd. Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale chyba cieszę się, że cię spotkałem.

– Ja też nie sądziłem, że to powiesz. – Druid zachichotał i uścisnął dłoń rycerza, na szczęście lekko. – Ruszajcie przodem, ja pójdę za wami.

Tankred rozejrzał się po raz ostatni i z bijącym mocno sercem wymknął się z latarni. Powietrze nadal było nieruchome, wręcz zatechłe, nieporuszone nawet najlżejszym podmuchem wiatru. Wyschnięta trawa szeleściła mu pod stopami.

Spojrzał za siebie. Towarzysze Jałowca, równie przejęci jak on, podążali z tyłu. Dorośli trzymali dzieci za ręce, a te, podświadomie czując, że dzieje się coś niedobrego, rozglądały się dookoła z szeroko otwartymi oczami. Tankred uśmiechnął się lekko – młoda kobieta, idąca tuż za nim, odpowiedziała tym samym.

Rycerz zerknął jeszcze ku trzem lipom, ale rozedrgany cień nadal wydawał się obojętny. Skinął więc na resztę i ruszył szybciej, odmierzając w myślach dystans.

„Trzy kroki do wielkiego kamienia, potem cztery, może pięć do kępy krzaków i już zaczyna się zbocze” – liczył w myślach. Ból rany w boku stawał się coraz dotkliwszy, a teraz dołączył do niego równie uporczywy ból kostki. „Na Pieśni, zwariuję”.

Uniósł głowę, aby ocenić pozostałą odległość, gdy wydało mu się, że dostrzeżę w zaroślach jakieś poruszenie. Usłyszał, jak podążająca za nim kobieta oddycha gwałtownie, i nagle zastałe, lepkie powietrze przeszył jej okrzyk przestachu, natychmiast podjęty przez innych.

– Duch! – zawołała.

– Duch! – powtórzyli inni z przerażeniem.



Wypadki potoczyły się z prędkością lawiny.

Tankred odwrócił się, złapał kobietę za rękę i spróbował zasłonić jej usta, ale ona cofnęła się i odepchnęła go dziko, jakby zapomniała, że jeszcze sekundę temu był ich sprzymierzeńcem. Pokazywała coś ręką, a pozostali, którym udzieliło się przerażenie, cofali się bezwładnie. Dzieci zaczęły płakać. Ciężko dyszący Jałowiec biegł ku nim.

– Co się dzieje? – wychrypiał. – Jaki duch?

Jego ogromne włochate dłonie musnęły skronie kobiety, która natychmiast umilkła. Obaj z Tankredem spojrzeli na Widmo. Rozedrgany cień szarpnął się parokrotnie, jakby chciał się uwolnić, a powietrze przeszył głośny, nieziemski jęk.

– Budzi się! – szepnął przestraszony Jałowiec.

– Tam idzie winowajca! – Tankred wskazał dłonią dół zbocza.

Wśród pni suchych, prażonych upałem drzew pojawiła się samotna postać, która znieruchomiała, zaalarmowana okrzykami. Młody rycerz natychmiast rozpoznał twarz ocienioną długimi włosami.

„To tamten elf z miasta... – przemknęło mu przez myśl. – Czego on ode mnie chce?”

– Duch! – powtarzali przestraszeni ludzie.

– Cicho bądźcie! – warknął Tankred. – To nie żaden duch! To tylko jakiś cholerny elf!

Ludzie cichli i z przestachem wpatrywali się w przybysza. Ten chyba zaczął rozumieć, że znalazł się w niewłaściwym miejscu. Cofnął się o krok i spojrział na szczyt wzgórza. Śmignął płaszcz, mignęły długie włosy i po chwili po przybyszu nie było już śladu. Tankred popatrzył na miotające się Widmo i przełknął ślinę.

– Zaraz się rozbudzi – szepnął. – Niech tego elfa szlag trafi. Jałowiec, uciekaj. Bierz tych ludzi i znikajcie stąd.

– A ty?

– A ja? Ja wezmę na siebie Widmo.

– Jak zamierzasz...

– I tak nie zrozumiesz.

Zarówno bok, jak i kolano pulsowały wściekłym bólem, ale rycerz bez

wahania zmusił się do wysiłku.

„Muszę to zrobić! – powtarzał w myślach. – Muszę! Jestem im to winien. Gdyby nie Jałowiec, nigdy bym się stamtąd nie wyrwał, a poza tym... Poza tym dla tego Widma jestem takim samym uciekinierem jak reszta!”

Biegł ku Widmu, które szamotało się coraz gwałtowniej, by wyrwać się z magicznej sieci narzuconej przez druida. Światem znów wstrząsnął głęboki, przeraźliwy jęk. Lipy dygotały, a miotająca się wściekle istota rozrzucała spadające liście.

Tankred odwrócił się i dostrzegł, że ludzie podnoszą z ziemi nieprzytomną kobietę i ruszają w ślad za Jałowcem. Potem jego uwagę przyciągnął kolejny jęk Widma. Młodzieniec zmrużył oczy i skupił się.

„No dobra – myślał gorączkowo, przyglądając się istocie. – Pora na ciebie, pieśniarska pokrako”.

Nikomu w całym Mandylionie nie przyszłoby nawet do głowy, aby próbować w jakikolwiek sposób zagrozić Widmu. Istoty te były atrybutami i najwierniejszymi sługami Pieśniarzy, przez co próba ich unieszkodliwienia byłaby równoznaczna z zamachem na nich samych. Nie oznaczało to jednak, że pokonanie Widma było niemożliwe. Ród Hanstarów miał dostęp do najskrytszej wiedzy, w tym również tej zakazanej, a dociekliwi członkowie rodu zawsze umieli znaleźć to, czego szukali.

W starych dobrych czasach przed pojawieniem się Czerni Tankred, choć młody wiekiem, należał do tych najbardziej dociekliwych. A ojciec, który bardzo szybko poznał prawdziwą naturę swojego drugiego syna, ukradkiem podsuwał mu księgi, do których tak młody chłopak nie powinien mieć dostępu.

Wspomnienie ojca dodało Tankredowi odwagi.

– Pokaż się – szeptał cicho, obchodząc ostrożnie istotę.

Rozbudzone Widmo szalało, wyczuwając obecność człowieka. Jedna z lip pękła i zwała się z trzaskiem, suche gałęzie smagneły ziemię.

Serce rycerza biło tak mocno, że całkiem zapomniał o bólu. Czuł, że być może popełnia błąd, ale i tak było już za późno. Musiał doprowadzić zadanie do końca. Musiał stanąć tak, aby zobaczyć, jak Widmo przesywają promienie słońca.

Mało kto wiedział bowiem, że Widma, istoty przezroczyste, różniły się

od siebie barwą, zauważalną tylko wtedy, gdy padało na nie ostre światło. Barwa zaś oznaczała ich naturę i zdradzała też słabość, bez wątpienia wykorzystywaną przez Pieśniarzy, aby je okiełznać. O ile Tankred dobrze pamiętał, fioletowe Widma bały się ognia, szmaragdowe głośnych okrzyków, srebrne wody, a...

Wreszcie znalazł się w odpowiednim miejscu. Promienie słońca niczym dzidy przeniknęły przez ciało istoty, które zajaśniało skrajną, oślepiającą czerwienią.

Rycerz cofnął się o krok, wstrząśnięty. Nigdy nie słyszał o czerwonych Widmach.

W tej samej chwili stworzenie zerwało ostatnie więzy, które narzucił na nie druid. Z dzikim rykiem rzuciło się prosto na Tankreda, łamiąc drugą z lip i paląc suchą trawę. Chłopak zerwał się do ucieczki.

Nie planował już, nie myślał, nie kalkulował. Wszelkie refleksje zastąpiła zwykła ludzka panika. Pędził prosto na latarnię, prosto ku ciemnemu wejściu, kierując się zupełnie irracjonalną nadzieją, że zatrzaśnie za sobą drzwi, zaprze się plecami i niebezpieczeństwo zniknie. Rozwścieczone Widmo gnało za nim, rycząc i sapiąc. Rycerz wpadł do ciemnego wnętrza latarni i trzasnął za sobą drzwiami, co nie miało najmniejszego sensu, gdyż Widma dysponowały siłą wielokrotnie większą od ludzkiej. Przypadł do drabiny i osunął się na niższe piętro, gdzie znajdowały się cele.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że przecież nie ma stamtąd żadnej drogi ucieczki.

Nad jego głową rozległ się trzask rozbijanych w drobny mak drzwi. Widmo z głuchym sykiem wdarło się do wnętrza. Ogarnięty paniką Tankred cofnął się do celi – tej samej, którą niedawno zajmował z Jałowcem – i całkiem irracjonalnym gestem zatrzasnął za sobą kratę.

Widmo spłynęło na sam dół. Działo powoli, niespiesznie, jakby wiedziało, że jego ofiara znalazła się w potrzasku. Rycerz patrzył na rozedrgane powietrze, gęste i nieprzejrzyste w miejscu, gdzie ciało istoty było najbardziej materialne. W podziemiach panował półmrok, a mimo to dostrzegł wybrzuszenia układające się w kształt monstrualnej ludzkiej twarzy.

Widmo podplęnęło i zatrzymało się przed kratą, a potem zasyczało z furją.

Przybliżyło się i odskoczyło, aż zafalowało powietrze. Tankred zmarszczył brwi i otworzył usta ze zdziwieniem.

Przyjrzał się zardzewiałym kratom.

– Żelazo! – szepnął z niedowierzaniem. – Czerwone Widma boją się żelaza!

Istota napała ponownie i znów się cofnęła, tym razem dalej. W podziemiach buchnęło gorąco i poniósł się wściekły syk. Tankred zapomniał o przerażeniu, jego umysł zaczął pracować na przyspieszonych obrotach. Rozglądał się po podziemiach, rejestrując kolejne elementy i próbując odnaleźć coś, co pomogłoby mu przechytryć potworną istotę. Wtedy zauważył, że ta znów się cofa, jakby mimo wszystko próbowała wdrzeć się do celi.

Młodzieniec nabrał tchu. Miał pomysł. Szalony, mało realny, ale jedyny, jaki wpadł mu do głowy. Podszedł do kraty i zacisnął na niej obie dłonie. Zmrużył oczy i wbił wzrok w Widmo.

– No, chodź tu, pokrako... – wyszeptał.

Widmo najwyraźniej go usłyszało. Przestało się cofać, zasyczało z gniewem i zebrało się do wściekłej szarży. Rycerz napiął mięśnie i przygotował się.

Ze wszystkiego, co wyczytał w grymuarach podsuwanych mu przez ojca w rodzinnym zamku, najważniejsza była wzmianka o tym, że Widma, choć obdarzone wielką mocą i pewną inteligencją, były istotami całkowicie niematerialnymi. Co za tym szło, były pozbawione ciężaru. Wszystko zależało teraz od tego, czy czerwone Widma są takie same jak pozostałe.

Tankred napał na kratę w chwili, gdy rozpędzona istota była tuż przed nią.

Trafione otwierającymi się drzwiami Widmo zasyczało przeraźliwie i cofnęło się. Powietrze zaskwierczało, gdy przeszyły je fale gorąca. Chłopak zacisnął powieki, ale i tak zobaczył, jak istota uderza w ścianę. Trysnęły odpryski kamienia.

Teraz!

Rycerz wiedział, że od momentu, gdy Widmo odzyska panowanie nad sobą, dzieli go krótka, przeraźliwie krótka chwila. Złapał inną kratę porzuconą przez Jałowca i dźwignął ją z niemałym wysiłkiem.

– Mam tu coś dla ciebie! – parsknął i trzymając przed sobą żelastwo, ruszył w kierunku gęstniejącego, materializującego się Widma.

Istota zasyczała, poznając wrogi sobie żywioł, i cofnęła się z wahaniem. Widok ten dodał Tankredowi sił. Krata była ciężka, kawałki rdzy wpijały mu się w dłonie, na domiar złego rana znów zaczęła pulsować wściekłym bólem, ale nie mógł teraz przerwać. Musiał uwięzić potwora.

Każdy kolejny krok przychodził mu z większym trudem. Posykując, zmierzał jednak wytrwale w kierunku Widma, a to cofało się, aż nieświadomie wcisnęło się w niewielką celę. Młody Hanstar wyteżył wszystkie siły, wykonał trzy szybkie kroki i zastawił wejście trzymaną w rękę kratą.

Syczące Widmo skuliło się w kącie.

Tankred otarł pot z czoła i westchnął ciężko. Przez moment beznamiętnie spoglądał na uwięzioną istotę, a potem podszedł do kolejnej kraty i oparł ją o pierwszą.

– Mam nadzieję, że to wystarczy – szepnął.

Następnie wspiał się po drabinie ku zbawczemu, świeżemu powietrzu.



Tankred nie wiedział, jak długo trwała jego przeprawa z Widmem, ale ludzie, nad którymi druid roztoczył opiekę, zdołali już zniknąć bez śladu. Na górze czekał sam Jałowiec, spięty i niespokojny. Na widok rycerza odetchnął z ulgą, podszedł do niego i spojrzał mu z powagą w oczy.

– Już myślałem, że przeholowałeś – oznajmił.

– Ja też – wykrztusił Tankred. – Twoi ludzie... Wszyscy cali?

– Tak. – Druid pokiwał głową. – Nie mam pojęcia, jak sobie poradziłeś z tym Widmem, ale niezły z ciebie chwyt. – Potem chyba dostrzegł grymas na twarzy Tankreda, bo zerknął na jego bok. – Pozwól mi chociaż obejrzeć ranę.

– Nie ma potrzeby – odparł Hanstar.

– Gównu tam nie ma potrzeby. Stój nieruchomo.

Ogromne mięsiste dłonie przesunęły się nad raną ze Słonych Borów, a potem nad opuchniętą kostką Tankreda. Emanowało z nich gorąco tak wielkie, że chłopak z trudem powstrzymał odruch skrzywienia. Po chwili Jałowiec cofnął ręce, ale rana nadal promieniowała miłym ciepłem,

a opuchlizna kostki się zmniejszyła. Ból przestał dokuczać.

– Imponujące – mruknął rycerz. – Znachorzy Vlistunów mogliby przy tobie owce strzyc.

– Co tam gadasz? – Druid wytarł czoło, z jakiegoś powodu zroszone potem.

– Nic takiego. Czemu ci ludzie tak się spłoszyli na widok elfa?

– Przybyli tu z północnego wschodu – odparł Jałowiec – a tam nie przepadają za elfami. Nazywają je Duchami i twierdzą, że rzucają na nich uroki.

– A rzucają?

– To kwestia definicji – mruknął druid. – Nie radzę eksperymentować.

Słońce prażyło. Wśród wyschniętych traw odezwały się pierwsze osmielone świerszcze. Jałowiec wytarł dłonie w brudną szatę i spojrzał na Tankreda.

– Wygląda na to, że wszystko kończy się tutaj, prawda? Od tej chwili znów należymy do wrogich stronniectw?

– Chyba tak – zgodził się niechętnie rycerz. – Choć... Choć przyznaję, że czegoś mnie nauczyłeś.

– Na tym polega istota równowagi. – Druid uśmiechnął się. – Każda niedola powinna nieść ze sobą jakąś korzyść. Dokąd się udasz? Aha. – Pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Zupełnie zapomniałem. Przecież jesteśmy już wrogami. Cóż, bywaj, rycerzu. Uważaj na siebie.

– Ty też, druidzie. Bywaj.

Z tymi słowami Tankred odwrócił się i ruszył w drogę.



Podniecenie wywołane starciem z Widmem powoli gasło, a w jego miejsce pojawiało się znużenie. Bok nadal pulsował ciepłem. Po kilkunastu krokach Tankred zatrzymał się, odchylił bandażę, założone jeszcze przez tajemniczą kobietę w Mieście na Skale, i przyjrzał się ranie uważnie. Wydawało się to niewiarygodne, ale chyba zaczynała się goić.

– Coś takiego – mruknął i spojrzał za siebie, ale Jałowca nie było już

widać. Pochłonał go sosnowy bór, przeszywany teraz coraz dłuższymi promieniami zachodzącego słońca.

Druid był wrogiem, ale przez ostatnich kilka godzin okazał mu więcej życzliwości niż Pieśniarze przez całe życie. Tymczasem ci, do których powinien mieć zaufanie, z całkowicie niezrozumiałych powodów wtrącili go do więzienia. Tankred próbował raz jeszcze odpowiedzieć sobie na pytanie, czym naraził się Pieśniarzom, ale w jego głowie nadal panowała pustka. Młody rycerz nigdy nie czuł się bardziej samotny.

– Nie mam broni – westchnął. – Nie mam nic do jedzenia. Naraziłem się Pieśniarzom, uwięziłem Widmo, łązi za mną jakiś elf, a moim jedynym sprzymierzeńcem jest cholerny druid. A na domiar złego – spojrzął na słońce, które przenikało już korony drzew – zbliża się wieczór.

Choć Wojna na Obczyźnie trwała już od niemal trzech lat, rycerze mandylionscy wciąż nie zdołali poznać wszystkich niebezpieczeństw, które czyhały na nich na ziemiach ujarzmionego Taliadu. Mimo że ich rządy wcale nie były surowsze od tych, które sprawowali poprzednicy, mieli powody przypuszczać, że wszędzie ktoś może dybać na ich życie. Kryjące się po lasach niewielkie oddziały ruchu oporu, deklarujące poparcie dla rzekomo wciąż żywego króla Visteniego, a pogardliwie zwane Mącicielami, z pewnością nie były jedynym zagrożeniem.

Droga wnikała prosto w ciemniejący bór. Promienie słońca, do tej pory ciepłe i kojące, gaśły powoli, a las tracił kolory i szarzał.

Myśli w głowie Tankreda wirowały i goniły jedna drugą.

Mógł udać się do Miasta na Skale, spotkać się z Pieśniarzem Cedrigiem i zażądać wyjaśnienia, dlaczego został uwięziony. Intuicja podpowiadała mu jednak, że to kiepski wybór – skoro Cedrig nie dokonał oficjalnego aresztowania, a zlecił swoim ludziom zastawić na Tankreda pułapkę, najprawdopodobniej chciał go uwięzić po kryjomu. To zaś oznaczało, że Hanstar powinien trzymać się z daleka od Miasta na Skale.

Mógł w związku z tym wyruszyć do Posępnej Łuny, gdzie stacjonował jego oddział. Jeśli tego nie zrobi, groziło mu oskarżenie o dezercję czy zaniedbanie obowiązków, ale z drugiej strony... A jeśli Alisann, który nie darzy go sympatią, współpracował z Cedrigiem?

Pozostawała tylko jedna opcja – odnaleźć wuja Olwego, który został



Królewskim Doradcą po śmierci jego ojca.

Tankred uśmiechnął się w myślach. Olve, wysoki, lekko przygarbiony, łysiejący mężczyzna z wielkim nochalem, nie miał w sobie za grosz dostojności. Wśród członków jego rodziny krążyła anegdota o tym, jak młody szlachcic z rodu Puckhardów rzucił kiedyś Olvemu wodze konia, pomyliwszy go ze służącym. Tankred wiedział jednak, że mądrzejszego, bardziej energicznego i niezłomnego człowieka w całym rodzie ze świecą by szukać.

Czasem myślał, że wuj jest wykuty ze stali. Choć w bitwie pod Rozpaczą Olve stracił jednego z dwóch synów, a jego ukochana żona Etienna utonęła podczas burzy na Wściekłym Morzu, nigdy nie okazał słabości czy smutku. To on zawsze wspierał tych, którzy podupadli na duchu. Całymi tygodniami usiłował wyciągnąć swego młodszego syna Brissego z szarej rozpacz. Doradzał królowi Duncanowi, usiłując mu przy tym wyperswadować agresywną politykę wobec tubylców, krzyżował zakusy innych rodów, starał się o lepsze nadania dla Hanstarów, śmiał się, godził i gromił. Jeśli ktoś mógł pomóc Tankredowi wydostać się z tej matni, był to tylko Olve.

– Najpierw muszę znaleźć jakieś schronienie – mruknął do siebie z uporem, jakby chciał zakłąć rzeczywistość, choć przeczucie mówiło mu, że to marzenie ściętej głowy. Kto przyjmie pod swój dach rycerza z zamorskiej armii, która najechała jego ojczyznę i zburzyła wszystko to, co kochali mieszkający tu ludzie?

Tankred szedł między drzewami coraz wolniej i wolniej. Korony sosen szumiały cicho, gdzieś zakrzyknął ptak, coś potraściło gałęzie puchatych krzewów. Rana promieniała ciepłem.

– Schronienie – syknął ze złością rycerz i schylił się po suche gałązki leżące przy trakcie. – I co jeszcze bym chciał? Może kolację z winem i pysznym serem?

Było jeszcze na tyle widno, by móc znaleźć kilka płaskich kamieni i nazbierać chrustu. Tankred usiadł z trudem wśród korzeni omszałego drzewa, ułożył przed sobą stosik igliwia, suchych liści i drobnych gałązek i stukał jednym kamieniem o drugi tak długo, aż skrzesał iskrę. Potem cierpliwie dmuchał i dorzucał kolejne gałązki, aż udało mu się rozniecić ogień.

– Przynajmniej tyle – szepnął i oparł głowę o pień drzewa.

Ogień trzaskał cicho, kojąco, odpędzając gęstniejący naokoło mrok. Tankred

podniósł się raz jeszcze i znalazł gruby kij. Miał wrażenie, że niewiele mu to pomoże w starciu z krwiożerczymi mieszkańcami tego boru, ale lepsze to niż nic. Znow zasiadł przed ogniem, obejrzał opatrunek i przymknął oczy.

Postanowił sobie, że będzie trwał przy ognisku jak najdłużej, by nie dać się zaskoczyć nocnym koszmarom. Liczył na to, że zdoła raz jeszcze przemyśleć sytuację i być może dojść do jakichś wniosków, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo był znużony. Jedna myśl nie łączyła się z drugą, a przez otępiały umysł przesuwały się oderwane od siebie obrazy. Walka w Słonych Borach... Wykrzywiona wściekłością twarz Pieśniarza Alisanna... Sufit komnaty w Mieście na Skale... Krata w celi... Gorąco bijące od Widma...

Tankred otwierał i zamykał oczy. Potrząsał głową i dorzucał do ognia, robił wszystko, by odpędzić senność, ale ta była nieubłagana.

Wtedy ujrzał twarz.

W pierwszej chwili był pewien, że ulega złudzeniom – w końcu nie widział ani nie słyszał, żeby ktoś do niego podchodził – ale zamrugał kilkakrotnie powiekami, a twarz nie zniknęła. Trwała naprzeciwko niego, nieruchoma, nieco niewyraźna w drgającym od gorąca powietrzu. Wydatne kości policzkowe. Wąskie usta, szczupły podbródek, mały nos. Wielkie, nieco skośne zielonoszare oczy. Czarne włosy, z których wystawały spiczaste uszy.

„To ten elf” – pomyślał przerażony Tankred i odruchowo sięgnął po kij, ale nieoczekiwany gość uniósł dłoń, aby go powstrzymać. W drugiej ręce trzymał bukłak z wodą, który podał rycerzowi.

Ten przyjął niepewnie dar, nie spuszczając wzroku z nieznanego.

– To ty – szepnął. – Widziałem cię podczas walki. Zamierzałeś się na mnie, potem strzelałeś do mnie w Mieście na Skale i zbudziłeś Widmo. Szukasz mnie, tak?

Przybysz skinął głową. Był poważny i nieporuszony, ale Tankred nie wyczuwał w nim wrogości. Strach powoli go opuszczał, ale ostrożność pozostała. Spojrzał na trzymany w ręku bukłak i powoli wyciągnął zatyczkę.

– Dlaczego najpierw chcesz mnie zabić, a teraz częstujesz wodą? – spytał, wpatrując się w elfa nieufnie i próbując sobie przypomnieć wszystko, co wiedział na temat tej rasy. W Mandylionie nie spotykano ich właściwie wcale, nie licząc większych miast portowych, przez co traktowano je z rezerwą, a nawet nieufnością. Nieufność przybrała na sile, gdy okazało się, że

w Taliadzie elfy występują dość licznie, a na dodatek utworzyły własne państwo, zwane Rzecznym Królestwem. Jak do tej pory nie doszło do otwartego starcia z nimi, ale niepokój budził fakt, że władcy elfów nie podjęli dialogu z Mandyliończykami. Pomimo sugestii ze strony króla nie doszło do żadnego spotkania, rozmowy ani zapewnienia o wzajemnym poszanowaniu granic. Reczne Królestwo utrzymywało co prawda ambasadę w Posępnej Łunie, lecz ta zajmowała się głównie interesami elfich kupców w stolicy. Tak więc siłą rzeczy Mandyliończycy nadal kultywowali uprzedzenia z ojczyzny.

Hanstarowie jednakowoż zawsze starali się odrzucać emocje i docierać do faktów. Tankred pamiętał kilka wzmianek o elfach z pamiętników, które czytał jeszcze w Skalinie, i wiedział, że rasa ta żyje wedle skomplikowanego, trudnego do zrozumienia kodeksu oraz para się dziwnymi, obcymi dla ludzi rodzajami nauki i rzemiosła. Od ciotki Talviny, rezydującej na stałe w siedzibie ich rodu w Posępnej Łunie, słyszał, że Taliadczyzy darzą elfy wielkim szacunkiem.

Ostrożnie upił łyk – woda była chłodna i smakowała niebiańsko – a potem uważnie spojrział na przybysza. Czuł, jak zaczyna się w nim budzić ciekawość.

– Pamiętam cię z bitwy – rzekł. – Walczyliśmy ze sobą. Gdyby nie mój przyjaciel, zabiłbyś mnie.

Elf wpatrywał się w niego bez słowa.

– Nie – powiedział po chwili. – Nie zamierzałem się na ciebie, lecz na człowieka, który wbijał ci włócznię w bok. – Jego taliadzki był poprawny, ale sztuczny i wymuszony, zupełnie jak wiersz deklamowany przez człowieka, który wolałby go wyśpiewać. – Twój towarzysz sądził, że nastaje na twoje życie, i próbował mnie zatrzymać. Nie winię go.

Tankred patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Chciałeś mi ocalić życie?

Elf pokiwał głową.

– A wtedy w Mieście na Skale? Przecież wypuściłeś w moim kierunku strzałę!

– Celowałem w człowieka, który chciał cię wciągnąć w zasadzkę.

– Skąd wiedziałeś, że chce to zrobić?

– Po prostu wiedziałem. – Elf wzruszył ramionami. – Jego aura

śmierdziała.

Tankred wpatrywał się w przybysza z fascynacją. Aura?

– A czemu zjawiłeś się na wzgórzu, na którym było uwięzione Widmo?

– Chciałem wreszcie porozmawiać. – Elf odwrócił głowę, jakby odrobinę skonsternowany. – Tylko na tym mi zależało.

– Wiedziałeś, że mój przewodnik źle mi życzy – Tankred zmrużył oczy – a nie wyczułeś obecności Widma?

– Ludzie są łatwi – rzekł elf. – Zamorskiej magii nie rozumiem. Nie chciałem wywołać zamieszania. Czy mnie obwiniasz?

– Nie, ja... – Tankred pokręcił głową, kompletnie zaskoczony słowami nieznanego. – Ale... Ale dlaczego? Po co to wszystko? Po co za mną chodzisz i dlaczego mnie ratujesz?

– Przez wzgląd na twój Znak – powiedział nieznanomy.

– Teraz – odparł powoli młody rycerz – to ja już nic nie rozumiem.

Elf spojrział ku niebu, jakby tylko gwiazdy potrafiły pojąć powagę sytuacji.

– Jestem Poszukiwaczem – rzekł po prostu, jakby to wszystko wyjaśniało. – Jednym z wielu wysyłanych przez Rzeczne Królestwo, by pomagali przeznaczeniu. Wszyscy szukamy Znaków.

– Jakich Znaków? Czym są te Znaki? – spytał oszołomiony Tankred. – Nie rozumiem!

– Nie winię cię. Nikt poza Poszukiwaczami nie widzi Znaków. – Elf mówił prostymi, wręcz chropowatymi zdaniami, jakby mówienie po taliadku sprawiało mu ból. – Dzięki Znakom znamy czyjeś przeznaczenie. Oczywiście nie w całości, ale wiemy, czy zasługuje na uwagę. Większość ludzi niewiele różni się od zwierząt – elf skrzywił się z obrzydzeniem – a ich Znaki ledwie się mieniają. Twój natomiast świeci jasno. A nawet bardzo jasno. Dlatego pomogłem ci podczas bitwy, a potem próbowałem pomóc w mieście. Nie udało mi się. Nie winię mnie.

– Nie winię, tylko... Na Pieśni, ależ to skomplikowane! – Tankred westchnął. – Czyli że... Czeka mnie coś szczególnego?

– Tego nie powiedziałem. Znak mówi tylko, że dokonasz w życiu rzeczy ważnych. Niekoniecznie świadomie. W swoim czasie dowiesz się reszty. Wszyscy się dowiemy. Zadaniem moim jako Poszukiwacza jest ci pomagać,

tak by twe przeznaczenie się wypełniło.

– Cóż, dziękuję – bąknął rycerz.

Elf wydawał się zaskoczony.

– Nie musisz dziękować. To moja rola – rzekł i podniósł się. – Nie mogę ci dłużej towarzyszyć. Uważaj na siebie, człowieku.

Następnie wstał i bez słowa odszedł w mrok, nie spoglądając za siebie. Rycerz odprowadził go wzrokiem, kręcąc głową.

„Na Pieśni, czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewał – pomyślał zaskoczony. – Mam jakiś Znak? Mam dokonać ważnych czynów?”

Westchnął ciężko, dorzucił do ognia i znów oparł się o drzewo. Upił łyk wody i zamknął oczy. Serce nadal biło mu szybciej.

– W życiu nie zrozumieję tego kraju – wyszeptał. – Na Pieśni, ja chyba nigdy już nie zasnę.

Pomylił się. Sen pojawił się o wiele szybciej, niż Tankred się spodziewał.



*Stary rycerz z obwisłymi policzkami odkaszlnął parokrotnie i rzekł grzmiącym głosem:*

*– Nazywam się Bardun Fulgham i... – Odwrócił głowę, znów parokrotnie odkaszlnął i podjął: – Zgodnie z wolą naszego króla będę was szkolił, a później, gdy nauka dobiegnie końca, obejmę dowództwo nad waszym oddziałem. Z tą chwilą stajecie się giermkami Zakonu Stalowej Duszy i jeśli będziecie się przykładać, już za trzy miesiące otrzymacie pasy rycerskie i przez trzy lata będziecie służyć Zakonowi.*

*Tankred pokiwał głową. Znał Regułę jak wszyscy dorastający chłopcy w Mandylionie i podobnie jak wielu z nich marzył o chwili, gdy ją usłyszy. Trzy dni na podjęcie decyzji, czy chłopak nadaje się na giermka. Trzy miesiące szkolenia. Trzy lata służby w Zakonie. Wszystko się zgadzało, tylko...*

*Tylko nie sądził, że giermkami zostaną wszyscy jak leci, łącznie z łamagą Tumem Vothanem, Rupertem Vinkenanem, który cierpiał na padaczkę,*

*i grubasem Ellenim Puckhardem. Nigdy by nie przyszło mu do głowy, że zostanie przyjęty na służbę na leśnej polanie, gdzieś w połowie drogi między Miastem na Skale a Posepną Łuną, oblężoną przez wojska królewskie. Nigdy by nie pomyślał, że będzie w tej chwili sam, bez kogoś z rodziny, bez żadnego członka rodu.*

*Nigdy nie sądził, że przystanie do Zakonu Stalowej Duszy po to, by jak najszybciej stanąć do walki. Prawdziwej walki.*

*Przypomniał sobie dziedziniec w Skalinie, na którym ćwiczył szermierkę z ojcem i rodzeństwem. Ballady rycerskie, recytowane bez zadyszki przez Vildurfa uskakującego przed ich mieczami, krzywy uśmiech Crustina, wesoły śmiech Vilieny, oklaski dworzan, łopoczące sztandary. Nie tak sobie wyobrażał rycerstwo.*

*Bardun Fulgham odkaszlnął jeszcze parokrotnie, wydmuchał nos i splunął flegmą na mech.*

*– No, dosyć tego gadania. – Skrzywił się. – Do lasu, smarkacze. Niech każdy sobie znajdzie jakąś łagę.*

*– Po co? – spytał drżącym głosem któryś z licznych Puckhardów.*

*– Byście nauczyli się obijać sobie mordy – zarechotał Fulgham. – Bez tego nie ma nawet co zaczynać szermierki. I lepiej się pospieszcie, bo zaraz dołączy do nas Pieśniarz, który obije wam wszystko to, czego sami nie zdołacie.*



Przebudziło go zimno i...

I coś jeszcze.

Z trudem otworzył oczy i uświadomił sobie, że leży zwinięty w kłębek na wilgotnej ściółce leśnej, a z ogniska sący się ledwie zauważalna smużka dymu. Las naokoło niego spowijała blada mgła, przez którą tu i ówdzie przebijały już pierwsze promienie słońca. Zroszony mech mienił się jak posypany perłami.

Drżący, zziębnięty Tankred podniósł się na łokciu i rozejrzał. Nie był doświadczonym wędrowcem, a mimo to wyczuwał niepokojącą nutę

w powietrzu.

„Cisza – uświadomił sobie nagle. – Nadszedł świt, a dalej trwa cisza. Nie śpiewa żaden ptak!”

Odruchowo chwycił za łagę i wsparł się na niej, by wstać. Z krzaków kilkanaście kroków dalej wyłoniła się sarna, która spojrzała na trakt i umknęła w głąb lasu. Za nią zrobiło to samo kilka innych zwierząt. Cisza była obezwładniająca, mroziła krew w żyłach.

Tankred zapomniał o senności. Stał oparty o drzewo i rozglądał się nerwowo, szukając zagrożenia. Czuł, że zbliża się coś złego, coś, na co nie był gotowy.

„Zwierzęta unikają drogi – uświadomił sobie nagle. – A więc zagrożenie nadciąga stamtąd!”

Już chciał się odwrócić i chyłkiem umknąć w głąb zamglonego lasu, gdy usłyszał zbliżający się szum, przypominający huk płomieni podsycanych strumieniem świeżego powietrza.

– Tylko nie to! – jęknął.

Doskonale znał ten odgłos. Drogą nadciągało Widmo.

Istoty te, choć niematerialne, zawsze przemieszczały się z tym samym charakterystycznym odgłosem, jakby powietrze stawiało im fizyczny opór. Rozwijały prędkości o wiele większe od biegnącego człowieka i nigdy nie ulegały zmęczeniu, dlatego też Tankred, pomimo absolutnego przerażenia, nawet nie pomyślał o ucieczce. Nabrał tchu i wyprostował się, a w duchu gotował się na najgorsze.

Widma bowiem były całkowicie pozbawione uczuć. Te, którym Pieśniarze nakazywali ścigać zbiegów, łapały ich i często bez litości wlekły za sobą po ziemi. Była to koszmarna perspektywa, ale Tankred czuł w głębi duszy, że musi stawić jej czoła.

Szum narastał, podmuch podniósł tumany kurzu. Naraz powietrze między drzewami zafalowało dziko i zjawilo się Widmo. Pędziło jak szalone przed siebie i przez krótką chwilę Tankred miał nadzieję, że przemknie i go nie zauważy.

Zatrzymało się w tej samej sekundzie.

Upiorny szum ucichł i zastąpiła go przerażająca, bezbrzeżna cisza. Widmo powoli obracało się w stronę młodzieńca, który zamarł ze strachu. Wszystkie

wcześniejsze postanowienia rozsypały się jak domek z kart, gdy istota ruszyła ku niemu, powoli, nieubłagane, miażdżąc krzewy. Była coraz bliżej, aż nagle niewyraźny, półmaterialny kształt wybrzuszył się na podobieństwo ledwie ociosanej, brutalnej twarzy.

Rozległ się mokry, nieprzyjemny świst, a po nim kolejny. Półprzejrzyste nozdrza rozchyliły się, jakby Widmo postanowiło obwąchać młodego rycerza. Ten był bliski omdlenia. Przełknął ślinę i zacisnął powieki, ze wszystkich sił próbując zachować spokój.

„Spójrz na nie! – nakazał sobie słabnącym głosem. – Spójrz, a może dojrzysz kolor...”

Zmusił się do otwarcia oczu.

Widmo znikło.

Z oddali poniósł się cichnący szum, który wreszcie całkowicie się rozmył. Zastąpiły go odgłosy budzącego się lasu. Zaćwierkał ptak, zawtórował mu inny, dołączyły kolejne trele.

Tankred oparł się o drzewo i osunął do pozycji siedzącej.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyszeptał. – Ono nie tropiło mnie! – Wstał z trudem. – W drogę – szeptał, szukając kija. – Jak najszybciej w drogę.

Spotkanie z Widmem tylko potwierdziło jego wcześniejszą decyzję. Za wszelką cenę musiał uniknąć konfrontacji z Pieśniarzami. Na samą myśl o rozmowie z człowiekiem, który włada tymi istotami, oblatywały go ciarki. Jednakże poszukiwania Olwego, który rzadko kiedy przebywał w jednym miejscu dłużej niż kilka dni, również mogły narazić go na podobne spotkania, i to nie raz... Na szczęście istniało miejsce, do którego mógł się udać i w którym zawsze mógł liczyć na życzliwe przyjęcie i odrobinę spokoju. Nazywało się Ugór i od ponad roku było nową stolicą rodu Hanstarów.



Tankred dobrze orientował się w geografii Taliadu, więc bez problemu obrał właściwy kierunek.

Ulga wywołana szczęśliwym zakończeniem spotkania z Widmem szybko go opuściła, a w jej miejsce pojawił się zwykły ludzki głód. Młody rycerz



popijał z bukłaka pozostawionego przez tajemniczego elfa i posilał się garściami zbieranych po drodze jagód, ale czuł, że na długo mu to nie wystarczy. Co więcej, był przyzwyczajony do podróżowania na końskim grzbiecie i domyślał się, że droga do Ugoru może mu zabrać sporo czasu, być może nawet kilka dni.

„Nie mam najmniejszej ochoty spędzić kolejnej nocy pod gołym niebem” – powtarzał w myślach, ale przeczuwał, że tego nie uniknie. Zaciskał ze złością pięści i kopał kamienie, ale w niczym to nie pomagało. Był sam, zagubiony pośród nieznanых lasów, i znikąd nie mógł się spodziewać pomocy.

Brnął przed siebie, gdyż nic innego mu nie pozostało. Słońce przesuwało się powoli na błękitnym niebie, to grzejąc go prosto w twarz, to puszczając promienie między gałęziami drzew, a on szedł po piaszczystych leśnych traktach, wiedziony desperacją i nadzieją na to, że dobrze pamięta drogę do Ugoru. O ile pamięć go nie myliła, między Ugorem a Miastem na Skale nie było żadnych większych miast ani wsi, co w sumie nie martwiło go aż tak bardzo. Tankred przypuszczał, że mieszkańcy Taliadu z przyjemnością odegraliby się na samotnym, bezbronny rycerzu z Mandylionu, a tym, którzy zdecydowałiby się go ugościć, i tak nie miał czym zapłacić.

Szedł, aż sosnowy bór zaczął się przerzedzać i niebawem droga wniknęła między rozległe mokradła, tu i ówdzie porośnięte karłowatym lasem. Suchy piach przerodził się w zeszlę błoto, a ciepły, przyjemny zapach igliwia został wyparty przez zatechły smród. Słońce, świecące teraz Tankredowi prosto w oczy, ogrzewało stojącą wodę, która parowała, tworząc na horyzoncie mglistą zasłonę. Kilkakrotnie młody rycerz spostrzegł galopujące wśród bagien dzikie konie, kiedy indziej spomiędzy mgieł wyjrzał na niego zadumany żuraw.

Wokół nie było widać ani śladu ludzi.

Nie było też widać żadnego znaku, że koniec wędrówki jest blisko.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy trakt na powrót zagłębił się w las, tym razem strzelisty, bukowy i mroczny. Coś szeleściło wśród liści, coś przemykało od pnia do pnia. Powietrze dziwnie pachniało. Tankred ledwie powłóczył nogami, gdy niespodziewanie jego oczom ukazał się taliot.

Żaden z zamorskich przybyszów nie kwapił się, aby wymyślić jakąś lepszą nazwę dla pra

ch kamiennych wież, które wyrastały w zdawałoby się całkowicie losowo wybranych punktach krainy. Dowódcy armii mandyliońskich przejęli więc nazwę taliotu od pierwszych miejscowych przewodników, którzy zdecydowali się im służyć, i używali jej w logistyce oraz w dowodzeniu. O tym, by zbadać pochodzenie i przeznaczenie wież, nikt oczywiście nawet nie pomyślał. Niewielką pociechę stanowiło to, że Taliadczycy również nie mieli pojęcia, do czego służą te budowle, które najprawdopodobniej były o wiele starsze od najstarszego z państw leżących na kontynencie.

W rzadkich chwilach zadumy Tankred Hanstar obiecywał sobie, że kiedyś, gdy wreszcie nastanie pokój, prześledzi ich historię i opíše ją w książce. Teraz jednakowoż liczyło się dlań tylko to, że wieża miała wciąż resztki dachu. Nie zważając na nic, wycieńczony, głodny rycerz wszedł do środka, zwinął się w kącie w kłębek i zasnął.



*Unosił się w powietrzu przed bramami Ugoru. Patrzył, jak wrota prowadzące do twierdzy rozchylają się, a do środka wjeżdża posłaniec. Podążył za nim. Mężczyzna osadził rumaka tuż przed kilkoma rycerzami służącymi rodowi Hanstarów. Trzymane przez nich pochodnie oświetliły jego znużoną, bladą twarz.*

*– Wieści mam – wychrypiał. – Dla lady Vilieny. Od króla.*

*„Od króla?” – pomyślał Tankred ze zdziwieniem.*

*– Od króla? – zawahał się stary Marh, od dziecka na służbie rodu. – Nie od sir Olwego, Pierwszego Doradcy?*

*– Nie wiem! – rozłościł się posłaniec i wyciągnął list z sakwy przy siodle. – Bierzesz czy nie?*

*Tankred wyciągnął dłoń, ale jego palce przeniknęły przez ciężką, nawoskowaną kopertę, nie natrafiając na opór. Zaskoczony patrzył, jak Marh odbiera przesyłkę, a posłaniec zawraca bez słowa. Twarz starego rycerza ściągnęła troska. Stał i miętosił kopertę w rękę, jakby wiedział, że zawiera złe wieści.*

*„Ja też to wiem. Tak, to na pewno coś złego. No, otwórz to. Otwórz!”*

*Tankred uniósł głowę i ujrzał Vilienę, która jak zwykle cicho i niepostrzeżenie weszła w krąg światła rzucanego przez pochodnie. Na jej twarzy malowała się taka sama pewność.*

*– Daj mi to – powiedziała cicho, lecz stanowczo.*

*Tankred uśmiechnął się lekko. Najmłodsza z ich trójki Viliena zawsze była rezydentna, ale też nieśmiała, roztrzepana i trochę niezdarna. Teraz, choć nadal mówiła cichym głosem, jej postawa znamionowała stanowczość godną zahartowanej, doświadczonej władczyni.*

*Rycerz podał jej kopertę, a dziewczyna, na moment tracąc panowanie, pospiesznie, wręcz nerwowo rozdarła materiał i wyswobodziła list, który, choć opatrzony w fantastyczne podpisy, okazał się krótki. Tych kilka zdań sprawiło, że twarz dziewczyny śmiertelnie pobladła.*

*„Na Pieśni, nie pomyliłem się”.*



Tankred, śpiący w odległym, zagubionym pośród lasów taliocie, otworzył naraz oczy i usiadł. Serce biło mu mocno. Potrząsnął głową, złapał kij, poderwał się i wyruszył w dalszą drogę do Ugoru.

Miał niezbitą pewność, że ród Hanstarów znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie.



Wojna na Obczyźnie trwała już prawie trzy lata. Król wraz z Pieśniarzami, niezłomnymi rodami i wszystkimi oddziałami, jakie udało się ocalić z Mandylionu, zreformować bądź zaciągnąć na nowo, parł przed siebie, podbijając kolejne krainy Taliadu. Za plecami maszerującej armii trwała jednakże druga wojna, nie tak krwawa, ale równie zacięta – każdy z rodów miał się bowiem wszelkimi sposobów, by ściągnąć na siebie uwagę króla i zyskać jak największe nadania, a przez to jak najszybciej odbudować swój status z Mandylionu. Kłótnie i przepychanki o nowe ziemie były wyjątkowo ostre, ponieważ trzy królestwa Taliadu zajmowały o wiele mniejszy teren niż ogromny Mandylion i poszczególne rody prześcigały się w wrywaniu sobie najsmakowitszych kęsków.

Wszystkie z wyjątkiem Hanstarów.

Hanstarowie byli jednym z najstarszych i najbardziej zasłużonych rodów, dzięki czemu w Mandylionie dorobili się bardzo rozległych latyfundiów. Przyzwyczajeni do silnej pozycji, stracili drapieżność i ambicję właściwą mniejszym rodom i przez to niemalże natychmiast zostali wyprzedzeni w wyścigu po nadania. Król, przyzwyczajony do tego, że Hanstarowie zawsze

stoją u jego boku, nagradzał innych hojną ręką, a gdy przypominał sobie o swoich najwierniejszych sojusznikach, nie było już właściwie czym obdzielać. Spośród terytoriów zagarniętych podczas pospiesznej wojny o panowanie nad Taliadem pozostała jedynie rozległa, choć słabo zaludniona, sucha i jałowa kraina zwana Ugorem z twierdzą o tej samej nazwie, spowite oparami, zgoła bezludne Dymiące Wzgórza sąsiadujące z siedzibami gnomów i kilka innych trudno dostępnych nieużytków, którymi królowie Taliadu nie interesowali się przez setki lat. O Dymiących Wzgórzach mówiono, że znajdują się tam złoża bezcennej siarki, ale kraina ta uchodziła za dziką i niebezpieczną, przez co żaden z rodów nie miał ochoty i odwagi się tam osiedlać. Drogą eliminacji Hanstarowie stali się więc panami Ugoru, co wuj Olve nazywał wielkim nieporozumieniem, a pozostali członkowie rodu używali o wiele bardziej dosadnych określeń.

Trzeba było jednak przyznać, że wznoszące się na wzgórzu i górujące nad okolicą zamczysko było imponujące. Oczywiście brakowało mu finezji, lekkości i dostojności Skaliny – na pierwszy rzut oka wydawało się po prostu masywnym, okrągłym molochem zwieńczonym grubą, pojedynczą wieżą. Ci z Hanstarów, którzy znali się na sztuce wojennej, niechętnie przyznawali, że potężne, należycie skonstruowane mury oraz dwa ujęcia wody pozwolą zamczysku przetrwać każde oblężenie, a opiekujący się resztkami wielkiej biblioteki twierdzili, że suche powietrze dobrze wpłynie na księgozbiór, ale było to mizerne pocieszenie. Nazwa Ugór, którą również zapożyczono z miejscowej mowy, doskonale oddawała nastrój okolicy.

Nowe nadanie rodu Hanstarów było bowiem rozległą, tu i ówdzie pofałdowaną równiną, porośniętą suchymi trawami i gajami niskich akacji. Wioski były tu nieliczne, na ogół skupione wokół rzadkich strumieni oraz stawów, a ludzie skryci i nieufni. Hanstarowie musieli przełknąć gorzką pigułkę – zapomnieć o swych rozległych, bogatych włościach w Mandylionie, zamieszkanym przez tysiące poddanych, i zadowolić się jałową krainą, której największa sadyba liczyła zaledwie kilkaset dusz, za dnia prażoną bezlitosnym słońcem, a w nocy nawiedzaną przez wrzaskliwych kopytnych drapieźców zwanych tu krzykunami.

Jedynym powodem do ulgi dla Tankreda było to, że udało mu się dotrzeć do Ugoru przed zachodem słońca.

– Hej – wychrypiał do kilku ludzi naprawiających kamienny płot przy

drodze. – Jestem Tankred Hanstar... Syn Vildurfa Hanstara. Prowadźcie mnie do Vilieny, mojej siostry.

Widział przez moment ich zaskoczone twarze. Wiedział, dlaczego się wahają – nigdy nie spodziewaliby się, że brudny, wynędzniały włóczęga, słaniający się na nogach, przedstawi im się imieniem dziedzica rodu. Chciał podnieść głos i ofuknąć ich gniewnie, ale nie wystarczyło mu sił. Gdy ziemia zakołysała mu się pod nogami, najbliższy z mężczyzn pokonał opór i rzucił mu się na pomoc.



Twarz Vilieny wyglądała jak ulepiona z wosku – szara, bez emocji, nieruchoma w świetle pojedynczej świecy. Tankred zacisnął powieki i pokręcił głową, jakby chciał wygonić ten smutny obraz ze swojej wyobraźni, ale gdy znów otworzył oczy, twarz siostry wyglądała tak samo.

Viliena zauważyła, że się przebudził. Nerwowym ruchem złapała kubek wody i podała mu. Młodzieniec zdołał spostrzec, że jej palce, zazwyczaj zadbane i smukłe, są brudne. Pił łapczywie, a gdy uniósł wzrok, ujrzał, że w smutnych oczach dziewczyny błysnęła troska.

– Na Pieśni, co ty tu robisz? – szepnęła i nachyliła się nad nim, by pocałować go w czoło.

Tankred wysunął ręce spod koca i przytulił siostrę ze wszystkich sił. Przez moment trwali nieruchomo, złączeni uściskiem, udając, że nic złego się nie dzieje. Że trafił do bezpiecznego miejsca, w którym nikomu nic nie grozi.

– Nigdy bym się nie spodziewała, że... – Viliena odsunęła się od niego i otarła wierzchem dłoni zwilgotniałe oczy. – Że znajdą cię na trakcie. Jak żebraka... Co się stało, Tankredzie? Dlaczego nie jesteś ze swoim oddziałem?

Przynajmniej jej głos był taki sam jak zawsze. Dziewczyna nigdy nie mówiła donośnie, nigdy nie krzyczała, nie potrafiła nawet parsknąć głośnym śmiechem. Ojciec zawsze mawiał, że nie można spodziewać się czegoś innego po dziecku urodzonym w bibliotece. Tankred znów wziął kubek i pił przez moment łapczywie, jakby chciał oddalić chwilę rozpoczęcia rozmowy. W końcu wysuszył ostatnie krople, westchnął i rzekł:

– Nie wiem, od czego zacząć. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło, ale chyba popadłem w spore tarapaty.

Viliena odwróciła wzrok w stronę okna, przez które za dnia widać było rozległe gaje oliwne. Teraz jałową okolicę litościwie otuliła noc, rozbrzmiewająca terkotem cykad i odległymi zewami krzykunów.

– Nie ty jeden – odpowiedziała cicho, tak cicho, że Tankred ledwo zrozumiał, co mówi.

Podniósł się na posłaniu, opierając się na łokciach, i nagle uzmysłowił sobie, że został wykąpany, ogolony i przebrany. Nie pamiętał żadnej z tych czynności. Pokręcił głową z niedowierzaniem, ale nagle przypomniał sobie inną, o wiele ważniejszą sprawę.

– Czy w twierdzy jest wuj Olve? – zapytał. – Albo wuj Mustaig lub ciotka Talvina?

– Nie. – Viliena pokręciła głową. Jej włosy, spłowiałe od słońca, srebrzyły się w blasku świecy.

– A wuj Dustun? Ciotka Eltana?

– Nie, nie ma nikogo ze starszyny – szepnęła dziewczyna. – Jestem tylko ja, Brisse oraz Upiór.

Dopiero teraz Tankred zauważył, że w oczach siostry czai się niepokój graniczący ze strachem, a potem przypomniał sobie dramatyczny sen w taliocie. Sen, w którym towarzyszył Vilienie w chwili odebrania wiadomości. Złapał ją za dłoń i uświadomił sobie, że ta lekko drży.

– Co się dzieje? – spytał, odruchowo zniżając głos.

– Nie wiem – odparła Viliena i znów spojrzała na niego. Niepokój w jej oczach był jeszcze wyraźniejszy. – Jeszcze nie wiem, ale chyba nic dobrego. Opowiedz mi, co się stało, Tankredzie, a może uda mi się zrozumieć nieco więcej.

Młody rycerz nabrał tchu i rozpoczął opowieść. W krótkich, precyzyjnych słowach opisał bitwę w Słonych Borach, swą ranę i odkrycie, jakiego dokonał w Mieście na Skale, a później, już z pewnym zażenowaniem, opowiedział, jak w poszukiwaniu innych Hanstarów udał się w ślad za Markvinem do tajemnego więzienia w Pochodni i wpadł w pułapkę. Viliena otworzyła szeroko oczy, gdy opisał jej, jak przechytrzył Widmo.

– Innymi słowy – zakończył Tankred – jeśli ów Markvin i Jałowiec nie

wprowadzili mnie w błąd, trafiłem do tajnego więzienia jednego z Pieśniarzy, najprawdopodobniej Cedriga. Mam nadzieję, że to jakaś pomyłka, bo... Bo trudno mi sobie wyobrazić, bym mógł narazić się Pieśniarzom! Z jakiego niby powodu? Przecież żaden z nich nigdy nie występował przeciwko któremuś z rodów. A zwłaszcza przeciwko naszemu!

– Przynajmniej otwarcie – szepnęła w odpowiedzi Viliena.

– Jakże to? – Tankred zmrużył oczy.

– Z chwilą gdy wylądowaliśmy w Taliadzie, wiele spraw uległo zmianie. Dawny porządek... Kto pamięta jeszcze dawny porządek? To – wskazała sufit, wzmocniony potężnymi, poczerniałymi ze starości belkami – to najlepszy dowód. Źle się dzieje.

– Wiem – rzekł Tankred. – Dostałaś list od króla, tak?

Dziewczyna przez moment wpatrywała się w niego.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłem się – skłamał.

Viliena wyglądała, jakby chciała zadać jeszcze kilka pytań, ale z rezygnacją pokręciła głową i oznajmiła bez wahania:

– Tak, dostałam. Wczoraj wieczorem. Wuj Olve nie żyje.

– Co takiego?! – Tankred otworzył szeroko usta. – Olve?!

Starszy brat ich ojca, Olve, był najbardziej niezniszczalnym człowiekiem, jakiego chłopak kiedykolwiek poznał. Ich filarem, przewodnikiem, promieniem w ciemnościach. Ojcem każdego z nich z osobna. Tym, którego słuchali wszyscy, nawet gniewny Mustaig, nawet lekkomyślny Dustun, nawet cyniczny Krugan.

Świat bez niego wydawał się nie do przyjęcia.

– Jak to się stało? – szepnął Tankred po bardzo długiej chwili milczenia.

– Jechał od króla do Posępnej Łuny z garścią przybocznych. Na Gadających Bagnach opadli ich Mąciciele. Przeżył tylko jeden giermek, który z trudem dotarł do Ugoru.

– Niech to Czerń pochłonie – westchnął Tankred i odwrócił głowę. Nie chciał, by siostra widziała jego łzy.

Znów milczeli, przytłoczeni rozpaczą. Cykady za oknem twierdzy ćwierkały monotonnie.



– I co teraz? – spytał Tankred.

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Wuj Mustaig natychmiast rozesłał gońców wszędzie tam, gdzie przebywają członkowie naszego rodu, z wiadomością, że nowym Doradcą Królewskim zostaje wuj Dustun.

Tankred wypuścił powietrze przez nos. Wstrząśnięty wieścią o śmierci Olwego, z trudem godził się na kolejną, też trudną do przyjęcia.

– Dustun? – wychrypiał. – Tylko nie on...

Każdy z rodów przysięgał absolutne posłuszeństwo królowi i służył mu na wiele sposobów, między innymi współtworząc Radę Królewską. Najznacniejszy z Vlistunów zasiadał w niej z godnością Pierwszego Medyka, najwybitniejszemu z Vinkenarów przysługiwał tytuł Pierwszego Maga, a najlepszy żeglarz wśród Vothanów służył władcy jako Pierwszy Admirał. Najznacniejszy z Hanstarów, rodu od wieków pielęgnującego mądrość, od zawsze pełnił zaszczytną funkcję Pierwszego Doradcy, uważaną za jedną z najważniejszych w Mandylionie, a także budzącą największą zazdrość. Powszechnie uważano, że Hanstarowie mają dzięki niej o wiele większy wpływ na decyzje króla niż pozostałe rody, przez co często spotykali się z niechęcią, zawiścią i brakiem zaufania. Pierwszy Doradca musiał być nie tylko mędrcom, ale również doskonałym dyplomata, by umiejętnie kontrować oskarżenia. Tymczasem Dustun...

Tankred powoli uświadamiał sobie skalę zagrożenia. Każdy z braci jego ojca miał swoje wady. Mustaig był porywczy i gwałtowny, a Olve nazbyt często zaglądał do kielicha, zwłaszcza po wylądowaniu w Taliadzie, ale obaj byli mędrkami z prawdziwego zdarzenia. Olve zgłębił tajniki astronomii i władał kilkunastoma językami, a Mustaig doskonale znał przebieg wszystkich wojen Mandylionu i był prawdziwym ekspertem w dziedzinie budowy fortyfikacji. Dustun, choć rozpoczął studiowanie chemii i zielarstwa, nigdy nie osiągnął w tej dziedzinie znaczących wyników. Szybko natomiast odkrył uroki polowań, gier hazardowych i uwodzenia kobiecych serc, po czym nigdy już do nauki nie powrócił, mimo wielokrotnych nacisków ze strony reszty braci. Olve wprost nazywał go błaznem.

– Teraz już rozumiesz – mówiła cicho Viliena. – Olve nie żyje, Dustun zostaje Doradcą, a ty narażasz się Pieśniarzom. Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo będziemy się cieszyć z tego, że w ogóle pozostał nam dach nad

głową.

– Dlaczego Mustaig wyznaczył Dustuna na Doradcę? Nie mógł sam objąć tej funkcji? – zapytał zdumiony Tankred.

Viliena uniosła oczy ku sklepieniu.

– Tankred, czy ty słyszysz sam siebie? Gdyby Mustaig został Doradcą, Dustun musiałby objąć funkcję Zwierzchnika Rodu i...

– ...dowodzić naszymi oddziałami – dokończył za nią młodzieniec. – Pieśni by nas wyśmiały. Olve zawsze mawiał, że Dustun nie wie, którym końcem włóczni dźgać.

Poczuł ukłucie bólu w sercu. Olve. Dlaczego akurat on? Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie on?

Zacisnął powieki, czując powracającą rozpacz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że siostra coś do niego mówi.

– Jesteś naszą jedyną nadzieją. – Viliena wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, błyszczącymi tęsknotą, niepokojem i miłością.

„Nigdy bardziej nie przypominała matki niż w tej chwili” – uświadomił sobie Tankred i przygryzł wargę.

– Masz dziewiętnaście lat i sześć miesięcy – ciągnęła dziewczyna. – Za półtora roku osiągniesz pełnoletność, a wówczas jako najstarszy oraz jedyny syn Vildurfa Hanstara ty zostałbyś Zwierzchnikiem Rodu. Ale teraz, po tej awanturze z Pieśniarzem, sama już nie wiem...

– To musi być jakieś nieporozumienie. – Tankred zacisnął pięści. Niespodziewanie znów zaschło mu w ustach. Chwycił za kubek, nalał sobie wody z dzbanka i pił łapczywie, a Viliena przyglądała mu się i w jej oczach pojawił się nieodgadniony wyraz. Wyczuwał w nim troskę i coś jeszcze. Rozczarowanie?

– Chyba powinieneś coś zjeść – powiedziała po chwili, usiłując nadać głosowi swobodne brzmienie. – Wyglądasz, jakbyś od tygodnia nie miał nic w ustach.

Propozycja była kusząca, ale Tankred odrzucił koc i wstał, próbując zignorować zawroty głowy.

– Nie – odrzekł cicho, trzymając się krawędzi łóżka. – Później. Nie wiem, czy po tym wszystkim, co usłyszałem, byłbym w stanie cokolwiek przełknąć.

Najpierw spróbujmy wyjaśnić choć jedną zagadkę, Vilieno.

– Którą? – Siostra bezszelestnie ruszyła w ślad za nim.

– Jak zginął Olve. Zaprowadź mnie do giermka, który mu towarzyszył.

Ugór zbudowano na planie idealnego koła. Komnaty na górnych kondygnacjach przeznaczono dla służby, załogi oraz gości, natomiast te na niższych piętrach zostały zamienione w bibliotekę. Było to jedyne miejsce w całym zamku, które przypominało Tankredowi Skalinę do tego stopnia, że oczy zaczynały mu łzawić ze wzruszenia. Schodził niepewnie po kamiennych stopniach, wsparty na ramieniu siostry, i chciwie wdychał zapach starych woluminów unoszący się w chłodnym powietrzu. Patrzył, jak promyk trzymanego przez Vilienę kaganka odbija się w grzbietach ksiąg. Bibliotekarze, pełniący milczącą straż nad zbiorami, kłaniali mu się w pas. Usiłował odepchnąć świadomość tego, że spogląda jedynie na cząstkę dawnej potęgi rodu. Większość ogromnego, nieprzebranego księgozbioru Hanstarów została wszak w Mandylionie. Utracono tyle bezcennych manuskryptów, tyle cudownych Pieśni...

Czerń ogarnęła Skalinę zbyt szybko.

„A wraz z nią moją matkę – pomyślał Tankred z bezsilną wściekłością. – Ojca, brata, młodość, nadzieje... Na Pieśni, gdyby był na to jakiś sposób... Gdyby można było powrócić, zemścić się...”

Odezwała się znów rana w boku. Zapięły otarte stopy. W żołądku zaburczało. Młody Hanstar przeklinał w duchu każdy pokonany stopień. W pewnym momencie oparł się o ścianę i przymknął powieki, walcząc ze słabością.

– Tankred? – Głos Vilieny zdawał się dochodzić z wielkiej dali. Jej rozwarte oczy wypełniały cały świat.

– Nic mi nie jest – wykrztusił.

Za plecami wystraszonej nieco dziewczyny przechodził jakiś człowiek. Tankred zamrugał powiekami, odzyskując ostrość widzenia, a wówczas gwałtownie wciągnął powietrze w płuca.

Był to bowiem Brisse, syn Olwego i jego starszy kuzyn.

Odruchowo chciał za nim zawołać i przywitać się, ale ugryzł się w język. Zaledwie kilka tygodni po wylądowaniu w Taliadzie Brisse zapadł na szarą rozpacz, osobliwą chorobę, która dotknęła wielu Mandylionczyków. Nie mogli

sobie z nią poradzić nawet uzdrowiciele Vlistunów. Objawiała się ona całkowitym zanikiem ochoty do życia i pogrążeniem w świecie marzeń. Osoby dotknięte szarą rozpaczą przestawały komunikować się z otoczeniem, niewiele jadły, nie potrafiły pracować ani zaznawać przyjemności. Całymi dniami snuły się bez celu, nieobecne, ciche niczym duchy, a w nocy, owładnięte koszmarami, krzyczały, miotały się i wyły bez końca. Niektórzy twierdzili, że przyczyną szarej rozpaczki było nagłe, nieoczekiwane rozstanie z rodziną i utrata ojczyzny, ale inni zrzucali winę na miejscowych szamanów czy druidów.

Viliena odczekała, aż Brisse, blady niczym lunatyk, z przekrwionymi oczami i sinymi ustami, zniknie, i pociągnęła Tankreda w jeden z bocznych korytarzy.

– To tu – szepnęła, wskazując uchylone drzwi do komnaty, zza których jaśniał słaby blask świec. – Chłopak ma na imię Hegrun i został ciężko ranny. To prawdziwy cud, że dotarł do Ugoru.

Weszli cicho do niewielkiej izby, w której pachniało rozgrzany woskiem i spirytusem do odkażania ran. Na łóżku leżał młody człowiek o wychudłej, szkurzej wręcz twarzy, pokrytej rzadkim, młodzieńczym zarostem. Głowę miał owiniętą białym bandażem przypominającym turban. Wydawało się, że śpi, ale słysząc wchodzących, natychmiast otworzył oczy.

– Wasza Miłość! – wykrztusił, usiłując podnieść się na łokciach.

– Leż i odpoczywaj! – powstrzymał go Tankred rozkazującym tonem.

„Na Pieśni, wcale nie wyglądam lepiej od niego” – pomyślał.

Viliena przysunęła mu drewniany stołek, a sama oparła się o kamienną ścianę. Tankred raz jeszcze omiół wzrokiem jej postać – szczupłą, wręcz chudą, ze znękaną twarzą i spracowanymi dłońmi, a potem skupił uwagę na giermku.

– Opowiedz mi o wszystkim – powiedział cicho. – O tym, jak zginął Olve.

Młody chłopak wydawał się poruszony, wręcz przestraszony.

– Kiedy nie ma specjalnie o czym mówić, panie – wychrypiał. – Jechaliśmy w pięciu. Sir Olve Hanstar, rycerz Argren i trzech nisko urodzonych, w tym ja. Wszyscy Mandyliończycy. Wasz wuj pędził jak szalony, panie. Zupełnie jak nie on.

Tankred odwrócił na moment spojrzenie. Poczł nieznośny ucisk w gardle na myśl o tym, że o jego ukochanym wuju, głowie całej rodziny, rozmawiają

już w czasie przeszłym.

– Czy... – wykrztusił. – Czy wiesz, dlaczego się spieszył?

– Nie wiem – bąknął giermek z winą wypisaną na twarzy. Widać było, że bardzo chce pomóc, ale nie ma pojęcia, jak to zrobić. – Wiem tyle, że wskoczył na koń tuż po naradzie z Jego Wysokością. Wypadł z namiotu, krzyknął na nas i na rycerza Argrena i ani się obejrzeliśmy, gdy gnaliśmy traktem na południe. Do Ugoru.

– Dlaczego? – Tankred spojrział na Vilienę. – Dlaczego puścił się samopięt przez lasy, całkiem zapominając o podstawowych środkach ostrożności? Czy...  
– Przełknął ślinę i dokończył z zażenowaniem: – Czy pił coś tego dnia?

Na policzki giermka wypłynął niezdrowy rumieniec.

– Za wybaczeniem, Wasza Miłość, nie było dnia, by wasz wuj nie pociągnął z bukłaka – bąknął. – Ale głowę miał jak trzy moje. Nie, nie był pijany. Nigdy się nie upijał. Biegł prosto, mówił wyraźnie, oczy mu błyszczały, ale z podniecenia. Coś ważnego się stało, bez dwóch zdań.

„Niech to Czerń pożre – pomyślał Tankred z rezygnacją. – Ale co takiego?”

Nabrał tchu i raz jeszcze spojrział uważnie na giermka.

– Czy przyjrzałeś się napastnikom?

Rumieniec na twarzy chłopaka pogłębił się jeszcze bardziej, jakby poczuł się winny.

„Coś mi mówi, że uciekł z zasadzki – pomyślał Tankred. – I to chyba bez walki”.

– Mój koń się wystraszył – szepnął giermek. – Skoczył do przodu, a ja nie zauważyłem gałęzi. – Odruchowo dotknął opatrunku na głowie. – Widziałem niewiele – dodał. – Jedni szyli z łuków, inni biegli z mieczami.

– Krzyczeli coś?

– Nie, nic.

– Dowodził nimi ktoś?

– Nie wiem.

– To na nic.

Rycerz usłyszał za sobą cichy, szeleszczący głos i odruchowo zerwał się ze stołka. Serce zabiło mu mocniej. Viliena również się odwróciła, a jej znużoną twarz ożywił nieodgadniony wyraz.

– To na nic – powtórzył stary Gwinulf i kuśtykając, wszedł do komnaty. Beznamiętnie przyjrzał się giermkowi, który na jego widok skulił się i pobladł, a potem skierował wzrok na Tankreda. Jego starcze spojrzenie było zamglone, a mimo to przesywało na wylot i młodzieniec z trudem opanował ochotę, by się odwrócić. – Podałem mu najsilniejsze serum prawdy w nadziei, że powie coś nowego – prychnął starzec i podrapał się po bulwiastym nosie. – Dureń rzeczywiście nic nie pamięta. Musiał niezłe przywalić w gałąź. Co gorsza, gdy wreszcie odzyskał przytomność, nawet nie przyszło mu do tej pustej głowy, by odnaleźć Olwego!

– Przecież nie żył! – Oczy Hegruna wezbrały łzami. – Sam żem widział, jak...

– Nie żył! Nie żył! – przedrzeźniał go starzec i kręcił głową, aż drżały fałdy zasuszonej skóry na szyi. – A co, jeśli dokumenty jakieś moczymorda wiózł? A tradycja, taka jej mać? Dlaczego ciała nie zabrałeś? Pozwoliłeś, by wilki Pierwszego Doradcę nam rozszarpały, durniu!

Drżący giermek miał ochotę schować się pod koc. Na szczęście dla niego Gwinulf odwrócił się ku Tankredowi i warknął:

– A ty czego tu szukasz?

– Chciałem rozmówić się ze Zwierzchnikiem Rodu i...

– Toś zbłądził – parsknął Upiór i skierował się do wyjścia.

Viliena przewróciła oczami, a Tankred westchnął.

Gwinulf Hanstar, przezywany Upiorem, brat dziadka Tankreda oraz Vilieny, a przy tym najstarszy żyjący członek ich rodu, posiadał nieprawdopodobną wprost mądrość. Poszerzanie wiedzy stanowiło treść jego życia od dziesiątków lat. Bywało, że pogrążony w badaniach zapominał o potrzebach ciała i omdlewał z głodu, a złośliwi twierdzili, że pochłonięty studiami nie spostrzegł nawet ewakuacji z Mandylionu. W istocie, konieczność porzucenia ojczyzny najwyraźniej nie zrobiła na Gwinulfie żadnego wrażenia. Nadal rzadko kiedy odrywał się od ksiąg, a każdy, kto tylko przerywał mu studia, narażał się na jego jadowity język i nienawistne spojrzenie.

Tankred był jednym z nielicznych, któremu paskudny charakter starca w ogóle nie przeszkadzał. Zawsze cierpliwie przeczekiwał złośliwe tyrady i nierzadko uśmiechał się pod nosem, słysząc szczególnie udaną wiązanekę. Teraz, gdy Mandylion stał się wyłącznie wspomnieniem, paskudny nastrój

Upiora był jedną z niewielu rzeczy, które pozostały takie same.

„Jest ich tak mało – pomyślał, patrząc na Gwinulfa wychodzącego z komnaty. – Zapach ksiąg, szept Vilieny i twoje zrządzenie”.

– Stryju! – zawołał, budząc zdziwienie Vilieny i przestraszając giermka.

Starzec zatrzymał się w progu i spojrzał na niego z bezgranicznym obrzydzeniem. Splótł dłonie, wychudłe, upstrzone plamami wątrobowymi.

– Czego? – parsknął.

Młodzieniec podniósł się, podszedł do niego i ujął za wychudzony łokieć.

– Potrzebuję twojej rady – szepnął do wielkiego ucha, przypominającego liść łopianu. – Słuchaj, czy... Czy istnieje jakiś sposób, by uchronić się przed Pieśniarzami?

Każdy inny przybysz z Mandylionu spojrzałby na Tankreda z niedowierzaniem i przestraszaniem, ale Gwinulf zamrugnął bezręszymi powiekami i przekrzywił lekko głowę, jakby usłyszał intrygującą zagadkę logiczną. Blask świec pełgał po jego niemalże łysej, poznaczonej plamami czaszce.

– Czyżbyś znał człowieka na tyle głupiego, by zadrzeć z którymś z tych darmozjadów? – parsknął. – Przecież oni żyją tylko po to, by bacznie przyglądać się ludziom i łapać tych, którzy przypadkiem zaczęli samodzielnie myśleć.

– Założmy, że znam kogoś takiego. – Tankred przełknął ślinę.

– Coś podobnego – zamlaskał Gwinulf. W jego mlecznych oczach pojawiło się ożywienie. – No, chodź, opowiesz mi o tym... Eee... O tym kimś.

Wyszli na korytarz, a po chwili, zamknąwszy za sobą drzwi, dołączyła do nich Viliena. Gwinulf nawet nie spojrzał na dziewczynę. Wpatrywał się w młodego rycerza intensywnie, oblizując popękane, blade wargi. Odległy przeciąg trącał kosmyki jego siwych, rzadkich włosów.

– No, opowiadaj! – burknął. – Tylko szybko.

– Człowiek, o którym myślę, padł ofiarą pomyłki Pieśniarza i... – zaczął Tankred, ale starzec przerwał mu niecierpliwie:

– Pieśniarze nie popełniają pomyłek, przynajmniej we własnym mniemaniu. Potrafią wytłumaczyć i usprawiedliwić każdy swój czyn, nawet nieprzemyślany. Ba, przede wszystkim nieprzemyślany.

Chłopak zrozumiał, że stryj udaje tylko porywczość, a tak naprawdę próbuje go wciągnąć w rozmowę i wydobyć z niego jak najwięcej. Spojrzał na poźółkłą, niemalże trupią twarz Gwinulfa i jego rozmyte oczy.

„Jest przecież członkiem rodu – powiedział do siebie. – Może powinien dowiedzieć się o wszystkim, tak jak Viliena?”

Otwierał już usta, gdy niespodziewanie dobiegł ich cichy, ledwie słyszalny krzyk jastrzębia. Gwinulf westchnął, jakby wszystko zrozumiał, i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ty durniu – warknął. – To ty załazłeś Pieśniarzom za skórę, tak?

– Wcale nie! – zaprotestował nieporadnie chłopak. – Ja tylko...

– Przestań się tłumaczyć! – parsknął starzec. – Czy istnieje jakikolwiek inny powód, dla którego miałby się tu fatygować Jastrzębi Rycerze?

Po plecach Tankreda spłynął zimny dreszcz. Bezradnie spojrzał na najbliższe okno, za którym kłębił się mrok nocy.

– To wszystko jedno wielkie nieporozumienie! – bąknął, cofając się o krok.

– Sam jesteś nieporozumieniem! – Gwinulf z zaskakującą w jego wieku żwawością doskoczył do niego i złapał go za koszulę. – Wszyscy jesteście tępymi durniami! Dziećmi błakającymi się we mgle! Wszyscy, począwszy od waszego ojca, który jak ostatni kretyn dał się porąbać w bitwie z góry skazanej na porażkę, a na tym pijaku Olvem, który wyruszył w drogę bez eskorty, zakończywszy! Jesteśmy straconym, przeklętym rodem, młokosie, a ty stanowisz tego najlepszy dowód.

Naraz dłonie starca osłabły. Upiór cofnął się o krok i dyszał ciężko, wyczerpany nagłym wybuchem emocji.

– Uciekaj – szepnął chrypliwie. – Uciekaj tam, gdzie nie dostrzegą cię ptaki. Przedostań się do króla, padnij mu do kolan, wytłumacz wszystko, odpraw pokutę. W przeciwnym razie pogrążysz nas wszystkich.

– Dokąd? – szepnął z bezradnością Tankred. – Dokąd mam uciekać? Gdzie nie dostrzegą mnie ptaki?

– Istnieje droga, która się idealnie nadaje – odezwała się Viliena.





W pozostawionym za Wściekłym Morzem Mandylionie Pieśniarze strzegli wewnętrznego bezpieczeństwa królestwa. Zakon nieprzeniknionych, tajemniczych magów, któremu służyła rzesza Widm i ponoć wiele innych istot, wyłapywał wrogich szpiegów, tropił opozycyjne ugrupowania i uważnie przyglądał się ludziom o nazbyt niezależnych poglądach. Ich skuteczność nie budziła niczyjej wątpliwości – przez kilkaset lat nie doszło do ani jednego zamachu na członka rodziny królewskiej, a wszelkie rebelie były tłumione niemalże w zarodku. Nic więc dziwnego, że niezależność Pieśniarzy rosła z pokolenia na pokolenie, a w końcu otrzymali oni również prawo do utworzenia własnego oddziału zbrojnego, potocznie zwanego Jastrzębimi Rycerzami.

Skulony nad końskim karkiem Tankred próbował sobie przypomnieć jak najwięcej na ich temat, ale nawet ród Hanstarów, nie wiedział o nich wiele. Niewykluczone, że byli prawdziwymi, szlachetnie urodzonymi rycerzami, ale przeważała opinia, że to po prostu dobrze wyszkoleni wojownicy, którzy zgodzili się wyrzec własnych imion, a twarze na stałe zasłonić maską. Nosili znakomitą broń, dosiadali pysznych rumaków i cieszyli się powszechną

nienawiścią, gdyż często pełnili funkcję egzekutorów bądź eskorty pokutników. Każdy z nich wędrował w towarzystwie jastrzębia, który służył rycerzowi jako zwiadowca i w tajemniczy, niepojęty sposób dzielił się z nim tym, co ujrzał podczas lotu. Ucieczka przed Jastrzębim Rycerzem graniczyła z cudem, podobnie jak próba dogadania się z nim – ich umiejętności społeczne były bowiem ograniczone do minimum i nikt nigdy nie słyszał, by którykolwiek rozpoczął rozmowę dla samej tylko przyjemności.

Tankred z lękiem spojrzął za siebie, ale trakt, wijący się między niskimi, kamiennymi murkami, był pusty. Uniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu, ale i tam nie dostrzegł żadnego niepokojącego kształtu. Chwilowo byli bezpieczni.

Prowadząca Viliena najprawdopodobniej doszła do tego samego wniosku, gdyż nieco zwolniła. Konie dyszały, spocone mimo chłodu nocy. Tankred również był zlany potem.

– Daleko odjechaliśmy? – spytał.

Dziewczyna odwróciła się i przez moment wpatrywała się w ledwie rozpoznawalne z tej odległości kontury ogromnego zamczyska.

– Kilka, może kilkanaście mil – uznała szeptem.

– Może nam się tylko wydawało – rzekł Tankred w nadziei, że siostra potwierdzi jego słowa. – Może to był jakiś wolny ptak?

– A może nie? – Viliena znów wpatrywała się w ciemność przed nimi. – Chciałbyś zaryzykować? Poza tym – dodała po chwili – nigdy nie słyszałam tu jastrzębi. Są sępy, bywają kruki, ale jastrzębie się nie zdarzają.

Kopyta obu koni zadudniły o deski niewielkiego mostka, wzniesionego nad ledwie sączącą się strugą. W oddali ciągnęły się niskie wzgórza pocięte tarasami. W chłodnym powietrzu unosił się zapach ziół i końskiej sierści.

– Dokąd właściwie jedziemy? – spytał Tankred.

– Powinieneś się domyślić.

– Ku Mglakom?

– Tak.

– Na Pieśni – westchnął chłopak. – Już samo to miejsce wystarczy, by wzbudzić podejrzliwość Pieśniarzy!

Viliena nic nie odpowiedziała, tylko odwróciła się w stronę Ugoru,

zasłoniętego już przez niskie drzewa owocowe o poskręcanych pniach. Ciepły, nocny wiatr trącał jej długie włosy, posklejane od pędu. Tankred zaklął pod nosem i popędził konia, by zrównać się z siostrą.

– Wracaj do zamku – powiedział. – Nie możesz narażać się Jastrzębim Rycerzom. Wystarczy, że ja popadłem w tarapaty.

– Nic mi nie będzie – szepnęła cicho. Księżyc opromienił jej twarz, z której znikło znużenie, natychmiast zastąpione przez troskę i niepokój.

– Sam trafię na Mglaki.

– Głupoty wygadujesz – oznajmiła dziewczyna. – Nawet ja nie znam drogi.

– To po co jedziemy we dwójkę?

– Bo wiem, kto ją zna. Tędy.

W kamiennym murku, ciągnącym się po obu stronach traktu, pojawiła się niska brama, w sam raz obszerna, aby zmieścić się w niej pochyłony jeździec. Hanstarowie przejechali przez bramę i ruszyli wąską ścieżyną wijącą się przez niski gaik oliwny. Po chwili ich oczom ukazał się kolejny murek, wyższy od poprzedniego, a za nim wznosiły się zabudowania. Przy bramie, zasłoniętej wiązkami kolczastych gałęzi, stał samotny wartownik.

Viliena zeskoczyła z konia, rzuciła wodze bratu i podeszła do strażnika. Pomimo napięcia Tankred z zaintrygowaniem zaobserwował, że mężczyzna powitał ją z szacunkiem. Wymienili cicho kilka słów, po czym wartownik odsunął barierę z kolczastych gałęzi i wpuścił dziewczynę do środka.

Młodzieniec został sam. Zsunął się z siodła, nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi, poklepał znużonego konia po karku, a potem wsłuchał się w otaczającą go ciszę. Umilkły cykady, nie było słyhać krzykunów, a wioseczka wydawała się wymarła. Wiatr szeptał wśród suchych zarośli. Gdzieś w oddali pluskała woda.

Woda?

Tankred odwrócił się i w świetle księżyca ujrzał równe rzędy drobnych jeszcze roślin i ciągnące się wzdłuż nich głębokie rowy. Dalej ciemniała niewielka sadzawka, z której wybiegały drewniane konstrukcje, bez wątpienia kanaliki.

„System irygacyjny – pomyślał, a przed oczami stanęły mu brudne dłonie Vilieny. – Nie próżnowałaś, siostrzyczko”.

Rośliny zawsze były szczególną pasją dziewczyny, głównie przez to, że – jak utrzymywał Crustin – zachowywały ciszę. Viliena wnikliwie studiowała książki dotyczące świata roślin i co rusz sprowadzała nowe gatunki do ogrodów pod Skaliną. Z wielkim zaangażowaniem krzyżowała zboża i gdyby nie wojna, z pewnością dokonałaby wielu cennych odkryć, które ród mógłby sprzedać Puckhardom. Nikt nie zająłby się Ugorem lepiej od niej.

Tankred rozejrzył się. Przez moment próbował odnaleźć wzrokiem Ugór, ale twierdzą zalały już cienie nocy. Dostrzegł jedynie w wielkiej oddali Dymiące Wzgórza, jak zwykle trujące dymami rozgwieżdżone niebo. Posępna Luna i królewski obóz daleko za nią wydawały się takie odległe...

Nagle zaszeleściły odsuwane kolczaste wiązki, a z cienia rzucanego przez bramę wyłoniły się dwie postacie.

– Oto Uxara – szepnęła Viliena, wskazując swą towarzyszkę. – Najlepsza miejscowa przewodniczka.

Nieznajoma dziewczyna pocierała dłońmi zaspianą twarz, ale jej oczy patrzyły bystro. Była drobna, drobniejsza od Vilieny, ale wystarczył jeden rzut oka na jej sylwetkę, by wiedzieć, że pomimo młodego wieku jest zahartowaną wędrowniczką. Sprawnie związała rzemieniem długie ciemne włosy, poprawiła lekki płaszcz i spojrzała na rycerza pytająco.

– Zna kilka słów w naszym języku – dodała Viliena. – Twierdzi, że wielokrotnie bywała w Mglakach, i nie ma powodu, by jej nie wierzyć.

Tankred miał zbyt świeżo w pamięci incydent z Markvinem, aby wykazywać podobne zaufanie.

– Czyżby? – spytał ostrzej, niż zamierzał. – A skąd mam mieć pewność, że nie zaprowadzi mnie do pierwszego Pieśniarza, którego napotka?

– To jej rodzinna wieś. – Viliena wskazała ciemne zabudowania za swoimi plecami. – Podczas gdy wy byliście zajęci tą swoją durną wojną, ja pokazałam tym ludziom, że hodowla kóz to nie wszystko, czym się mogą zajmować. Na pierwsze porządne zbiory oliwek trzeba będzie długo poczekać, ale w tym roku obrodzą już pomidory i ziemniaki. W przyszłym sezonie zbiory będą jeszcze większe, może doczekamy się nawet cytrusów.

Tankred nie wiedział, czy ma ofuknąć siostrę za lekceważenie ich wojennego wysiłku, czy pogratulować jej właściwego podejścia do tubylców. Z dylematu wybawiła go sama Viliena, która wcisnęła mu do ręki sakiewkę,

zawiniątko z jedzeniem i bukłak, a potem podała pas z mieczem oraz łuk z kołczanem.

– Uważaj na siebie – szepnęła. – Mglaki to niebezpieczne miejsce, ale schowasz się tam przed tym przeklętym Jastrzębim Rycerzem, a Uxara wyprowadzi cię na trakt wiodący na północ. Stań przed królem Duncanem, opowiedz mu o wszystkim, poproś o pokutę. Tylko on ma władzę nad Pieśniarzami. Nikt inny ci nie pomoże. – W jej oku błysnęła łza. – Na Pieśni, jesteś przyszłym Zwierzchnikiem Rodu, Tankredzie. Uporaj się z tym. Nie możemy pozwolić, aby to Upiór miał rację. No, ruszajcie.

Jej dłonie, twarde i spracowane, ujęły szorstkie od rękojeści miecza ręce brata. Przez krótką chwilę uśmiechali się do siebie, a potem Tankred objął siostrę mocno, ucałował jej spłowiałe włosy i odszedł w mrok.



Tankred, choć nie był aroganckim człowiekiem, wierzył w to, że dysponuje wielką wiedzą. Tymczasem po godzinie wędrówki miał już pewność, że Uxara, choć przypuszczalnie nie przeczytała w życiu żadnej książki, mogłaby go zawstydzić w niejednej kwestii.

Drobna przewodniczka zaimponowała mu zarówno wytrwałością, jak i orientacją w terenie. Choć na nocnym niebie pojawiły się chmury i sucha równina zamieniła się w labirynt cieni, Uxara bez wahania wiodła go naprzód. Nie straciła pewności siebie, gdy zagłębili się w suchy las pełen kolczastych konarów, i szła wytrwale, gdy drzewa się skończyły, a ich miejsce zajęły wysokie kępy suchych traw. Zatrzymała się tylko raz, zaskakując tym wyczerpanego Tankreda, który zaczynał przysypiać w marszu. Uklękła i przyjrzała się tropom, które przecięły ich ścieżkę.

– Jak tyś to dojrzała? – szepnął młodzieniec, patrząc, jak przewodniczka dotyka palcami płytkich śladów po kopytach i wciąga mocno powietrze. Jej wielkie brązowe oczy lśniły. Przez moment trwała w bezruchu, a potem poderwała się i ruszyła przed siebie, nie oglądając się na rycerza.

Ten podążył za nią, wciąż kręcąc głową.

Zbuntował się dopiero po jakiejś godzinie. Niebo wciąż było ciemne, ale

odzywały się już pierwsze ptaki.

– Słuchaj, może byśmy odpoczęli chwilę? – zapytał. – Ledwie żyję! Wszystko mnie boli i jestem głodny!

Przewodniczka odrzuciła kaptur i skinęła na niego nagłaco.

– Zatrzymajmy się chociaż na chwilę! – zawołał rycerz.

– Chodź! – powiedziała Uxara z trudem, jakby obce słowo sprawiło jej fizyczny ból. – Nie jeść. Chodź. Sowa kazała nie.

– Sowa? – Tankred zmarszczył brwi.

– Siostra ty. – Uxara uśmiechnęła się lekko. – Sowa.

– Sowa. – Młodzieniec też się uśmiechnął. – Ciekawe, czy o tym wie. Posłuchaj, Uxaro. – Przeszedł na taliadzki. – Znam wasz język. Jeśli mandylionski sprawia ci trudność...

Przewodniczka zarumieniła się, jakby słowa wypowiedziane w jej rodzimej mowie naruszyły w jakiś sposób jej prywatność. Przyłożyła palec do ust i szepnęła:

– Ciii...

– Dobra, a może byśmy na moment usiedli, co? – ciągnął Tankred po taliadzku. – Na chwilę!

Pokazał wymownym gestem niewielką polankę, okoloną grubymi korzeniami niskich, bezlistnych drzew, ale w oczach Uxary znów błysnęła stal.

– Nie. – Pokręciła głową. – Chodź.

– Niech to szlag – parsknął rycerz, ale posłusznie podążył za dziewczyną.

Nieprzespana noc, pusty żołądek i zmęczenie wywołane dotychczasowymi przejściami odcisnęły na nim piętno i Tankred szedł coraz wolniej. Z trudem rejestrował to, że sceneria wokół nich się zmienia. Grunt robił się podmokły, krzewy stawały się coraz wyższe, a zapachy ciężkie i duszące. W świetle budzącego się dnia dostrzegł, że otacza ich gęsta, kłębiąca się mgła, czasem biaława, czasem szara, kiedy indziej żółtawa. Wydawało mu się, że przemykają wśród niej jakieś kształty, ale nie miał pewności. Wiedział tylko tyle, że przewodniczka nadal podąża bez wahania przed siebie, choć zwalnia, by mógł za nią nadążyć.

Nadal nie było słyhać jastrzębia.

W pewnym momencie Uxara zatrzymała się. Tankred, choć półprzytomny ze zmęczenia, dostrzegł na jej twarzy współczucie.

– Spać – powiedziała i wskazała mu suchy kąt między korzeniami karłowatych, rozłożystych wierzb.

Tankred uklęknął, położył się i zasnął, nim zdołał ułożyć głowę.



Gdy się przebudził, zewsząd otaczała go gęsta, dusząca mgła, a przenikające przez nią promienie słońca sprawiały, że było goręcej niż na równinie. Ciało miał mokre od potu, a w ustach czuł flegmę. Porwał bukłak z wodą i pił łapczywie, aż jako tako doszedł do siebie, i wtedy dostrzegł Uxarę, siedzącą kilka kroków dalej. Dziewczyna była zwrócona do niego plecami i spoglądała na jakąś brudną sadzawkę, zarośniętą częściowo rzesą.

„Czemu ja tego nie zauważyłem? – pomyślał rycerz, usiłując przewyciężyć zawroty głowy. – Chyba jesteśmy już wśród Mglaków...”

– Hej! – zawołał cicho do dziewczyny.

Uxara odwróciła się, ukazując spoconą nieco twarz, i uśmiechnęła się lekko. Wstała płynnie, bezszelestnie.

– Poczekaj, powinniśmy chyba coś zjeść!

– Chodź – rzekła i bez słowa ruszyła przed siebie.

– Poczekaj! – zawołał cicho rycerz, ale Uxara nawet się nie odwróciła.

„Gdyby nie to, że Viliena jest zbyt poważna na wygłupy, uznalbym, że przydzieliła mi tę przewodniczkę z czystej złośliwości” – pomyślał gniewnie Tankred. Dźwignął się na równe nogi, wyszarpnął z zawiniątka pęto kiełbasy oraz kawałek chleba i pospieszył za niknącą wśród mgieł dziewczyną.

Zaspokoiwszy częściowo głód, próbował do niej zagadać, ale Uxara milczała i raz po raz przytykała palec do ust. Tankred szybko porzucił wysiłki, tym bardziej że Mglaki okazały się miejscem nieprzyjaznym, a nawet groźnym. Po obu stronach wąskiej ścieżki ciągnęły się rozległe mokradła, co rusz przesłaniane kłębamii gęstej, wilgotnej mgły. Rycerz miał wrażenie, że wystarczyłby jeden fałszywy krok, by wdepnąć w ciemną toń bądź lepkie

błoto. Co gorsza, ścieżka stawała się coraz bardziej rozmokła i co chwila grzęźli w miękkiej brei aż po kostki.

Uxara nie zrażała się niczym. Choć mgły przesłaniały słońce i rycerz już dawno stracił orientację w terenie, przewodniczka nie zawahała się ani razu. Bywało, że zatrzymywała się na moment przy omszałych głązach wyrastających prosto z trzęsawisk bądź muskała konary bezlistnych drzew, ale wszystko to zdawało się jedynie utwierdzać ją w pewności. Nie przeszkadzały jej dziwne odgłosy, którymi pulsowały bagna, nie denerwowała jej duszna atmosfera ani roje owadów unoszące się nad ich głowami.

Gdyby nie to, że czasami ocierała twarz rąbkiem płaszcza, Tankred myślałby, że prowadzi go duch.

Jemu samemu wędrówka nieźle dała się we znaki. Co chwila rozgniatł dłońią jakiegoś żądneho krwi insekta i ocierał łokciem słony pot zalewający mu oczy. Kłębow mgły nie poruszał najłżejszy nawet podmuch wiatru i spiekota trzęsawisk była trudna do wytrzymania. Wędrówka okazałaby się jednak o wiele większą udręką, gdyby nie obudziła się w nim ciekawość, cecha charakterystyczna i nierzadko przekleństwo wszystkich Hanstarów. Jego oczom ukazało się ciemne jezioro, na moment odsłonięte przez mgłę, a na nim ruiny zamku, które wyglądały, jakby zostały wciągnięte przez toń. Tankred z zaintrygowaniem przyglądał się wysokim kamieniom pokrytym rzędami osobliwych znaków, ani chybi liter. Gdzieś z zarośli wyłoniło się dwoje leśnych elfów, którzy pozdrowili w milczeniu Uxarę, zmierzili Tankreda baczными spojrzeniami i zniknęli bez śladu. Bagienną rzeką sunęła tratwa, a odpychający się tyczką od dna flisak wydawał się nazbyt potężny jak na człowieka.

Mglaki żyły swym własnym, tajnym, trudnym do zrozumienia życiem. Młodzieniec znów poczuł się jak intruz, który wtargnął w ów skomplikowany świat, by palić, niszczyć i zaprowadzać nowe rządy.

„Ta Uxara powinna mnie nienawidzić – pomyślał. – Mniejsza o ziemniaki. Jestem, do cholery, najeźdźcą”.

Wpatrywał się w jej gładką, szczupłą szyję z taką intensywnością, że dziewczyna nagle odwróciła głowę i spojrzała nań pytająco.

– Daleko jeszcze? – mruknął, nieco zmieszany.

W odpowiedzi przewodniczka wyciągnęła rękę i wskazała mu dalszą drogę.



Tankred już chciał ponownie zakląć, gdy wśród rozrzedzających się mgieł dojrzał korony pierwszych, wątych jeszcze sosen, a w ciężkim, bagiennym zaduchu pojawiła się nowa woń, świeża i nęcąca.

– Docieramy do lasu? – spytał z zachwytem.

Uxara uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową.

Ostatni odcinek drogi przebyli powoli, niespiesznie, żegnając się z duszną, nieprzyjazną atmosferą bagien. Tankred wspiął się po piaszczystej skarpie, przytrzymując się korzeni sosen, a potem odwrócił się, by omieść wzrokiem przebytą przestrzeń. Słońce stało wysoko na niebie, ale duchota znikła bezpowrotnie. Wszędzie widać było jedynie mgły, zazdrośnie kryjące swoje sekrety, kłębiące się niczym fale jeziora duchów. Młody Hanstar nie dostrzegął jałowych równin, które stały się nowym domem jego rodu, znikł Ugór, nie widział niczego, co mógłby rozpoznać.

Co najważniejsze jednak, nie widział też ani nie słyszał żadnego jastrzębia.

Z ulgą musnął dłonią najbliższą sosnę i udał się w ślad za przewodniczką.

– Tym razem – powiedział – to ja decyduję, kiedy i gdzie robimy przerwę. Hej, zaczekaj! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Hej, Uxaro!



Wydawało mu się, że ledwie zmrużył oczy, gdy przebudziło go nowe, nieznanne przecucie. Zerwał się, mrugając pospiesznie, i spojrzał na drzewo, pod którym usiadła Uxara. Przewodniczki nie było nigdzie widać.

– Gdzie jesteś? Co się dzieje? – wyszeptał, odruchowo przyciągając do siebie miecz, który na odchodnym wręczyła mu siostra. – Uxaro?

Uklęknął i rozejrzał się dookoła w nadziei, że ujrzy dziewczynę wyłaniającą się spomiędzy drzew, ale w lesie panowała cisza. Słońce chyliło się już ku zachodowi i ciepłe runo leśne przecinały długie, coraz dłuższe cienie drzew. Nieśmiało śpiewały ptaki, któryś z nich zafurkotał skrzydłami między gałęziami sosen. Powietrze pachniało oszałamiająco, ale w sercu rycerza narastał niepokój. Co się stało z Uxarą? Co to za miejsce?

Popołudniowe słońce grzało mocno. Tankred otarł czoło, przełknął ślinę i już miał się schylić po bukłak, gdy nagle ciszę przerwał jakiś dźwięk,

zupełnie niepasujący do odgłosów lasu. Krzyk ptaka? Śmiech? Płacz dziecka?

Powoli, ostrożnie zapiął pas i wyjął miecz. Wtedy tajemniczemu odgłosowi zawtórowały dwa inne, rozwiewając resztę wątpliwości.

Śmiechy.

Ale czyje? Mandyliończycy? Miejscowi? Mąciciele? A może jeszcze ktoś inny? O Mglakach krążyło wiele ponurych opowieści, a po tym, co Tankred ujrzał na bagiennych ścieżkach, był gotów uwierzyć w każdą z nich. Rozejrzał się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale nagle uświadomił sobie, że jest już za późno.

Nad kępami jałowca płynął fioletowy kapelusz, tuż za nim unosił się inny, czerwony z oderwanym, powiewającym denkiem, a pochod kończył szarobury ze złamanym piórkiem i zeschniętym kwiatkiem. Właściciele kapeluszy musieli być o wiele niżsi od ludzi. Nie wróżyło to dobrze.

Któryś z leśnych wędrowców zawołał coś głośno w nieznanym języku, a pozostali dwaj znów parsknęli śmiechem. Jałowce przeredziły się i młody rycerz widział już sylwetki nadchodzących, krępe, nieco przygarbione, ale emanujące siłą i wigorem. Właściciel fioletowego kapelusza, jednooki jegomość uginający się pod ciężarem ogromnego wprost plecaka, dzierżył długi młot o zakrzywionym trzonku. Czerwony Kapelusz podpierał się w marszu czymś na kształt mandyliońskiego muszkietu, a Szarobury, brzuchaty i czerwony na gębie, taszczył kuszę oraz wiklinowy koszyk.

To właśnie on się zatrzymał, wziął pod boki i skinieniem przywołał do siebie Tankreda. Wykrzyknął przy tym kilka słów w zgrzytliwym, nieprzyjemnym języku, przypominającym pokrzykiwanie górskich ptaków. Nie brzmiało to jak zachęta ani też serdeczne pozdrowienie.

„Krasnoludy – myślał pospiesznie Tankred. – Nie, trochę niższe i mniej tęgie. Szczupłe twarze, ciemniejsze cery. Niech to szlag. Gnomy”.

Jeśli istniało w całym Taliadzie plemię złośliwsze i bardziej dokuczliwe od gnomów, młody Hanstar nie miał ochoty go poznawać. Rody Mandylionu, skupione dotychczas na walce z ludzkimi władcami, na szczęście nie miały z gnomami wiele styczności. Ich plemiona zamieszkiwały Pogryzione Wzgórza oraz ciągnące się dalej Zapomniane Szczyty. Od chwili mandyliońskiej inwazji rzadko kontaktowały się z ludzkimi krainami, za co należało dziękować losowi. Ich ojczyste strony należały do najbardziej dzikich i niegościnnych

w całym Taliadzie, co pchnęło pomysłowe, pragmatycznie myślące plemiona gnomów do poszukiwania rozwiązań ułatwiających życie. Zamiast drążyć tunele i budować mosty, co byłoby czasochłonne, niebezpieczne i drogie, gnomy rozwinęły sztukę budowania statków powietrznych, które miały służyć transportowi, ale wkrótce zaczęły też napadać na nizinne wioski. Tankred niejednokrotnie widywał, jak podczas bezksiężycowych nocy, kiedy to wiatr wiał od strony Pogryzionych Wzgórz, poddani Hanstarów mieszkający wokół Ugoru palili wielkie ogniska.

Gnom w czerwonym kapeluszu pogładził rzadką brodę, stanął w rozkroku i buńczucznie wypiął pierś. Nie było już wątpliwości, że to, co trzyma w ręku, faktycznie jest mandyliońskim muszkietem.

„Są bardziej pomysłowi, niż sądzimy”. Tankred zacisnął zęby i mocniej ujął miecz.

– Czego chcesz? – warknął po mandyliońsku. – I mów po ludzku, zanim stracę cierpliwość.

Pozostali wędrowcy zachichotali. Fioletowy Kapelusze wbił młot w poszycie leśne i przyjrzał się rycerzowi, przekrzywiwszy lekko głowę. Jedno oko gнома zakrywała skórzana przepaska, a w drugim połyskiwało szyderstwo. Szarobury ze stęknieniem postawił koszyk na ziemi i zaczął grzebać w kieszeniach.

– Pytałem, czy znasz droga na Stęchliznu? – odezwał się Fioletowy o dziwo całkiem sprawnym mandyliońskim i złapał trzonek młota.

– Nie – oznajmił Tankred i wyprostował się.

„Won stąd! – myślał, przyglądając się całej trójce. – Uciekajcie. Idźcie w cholere, karyple”.

Gnomy jednakże ani drgnęły. Stały jak wrośnięte w ziemię i z wielkim zaintrygowaniem przyglądały się człowiekowi, przekrzywiając głowy i gadając między sobą we własnej, chrapliwej mowie. Szarobury Kapelusze ze stęknieniem wyprostował się i wyciągnął z kieszeni fajkę o gigantycznym cybuchu. Czerwony i Fioletowy podeszły o krok.

– Szkoda, człowiek, szkoda, rzekłbym – oznajmił Czerwony i niby od niechcienia wycelował lufę muszkietu w brzuch Tankreda. Mówił po mandyliońsku lepiej od kamrata. – To my cię zaprowadzimy.

– Ale nie darmo. Za darmo to nie – dodał Fioletowy Kapelusze i zrzucił swój

tobół na mech, a potem machnął młotem, jakby chciał rozprostować ramiona. Nie przestawał się przy tym szyderczo uśmiechać. – Wyłap moją tobołkę. Poniesiesz ją.

– I mój koszyk też byś wziął – dodał Szarobury.

– Jakie to szczęście, żeśmy cię znaleźli! – Czerwony wyszczerzył nierówne zęby. – Całkiem byś się zmarnował w tym lesie, wiesz? Potrzeba ci jakiejś zachęty? – warknął głucho, widząc, że Tankred nie kwapi się, by zrobić choć krok.

Słyszając ton towarzysza, Fioletowy uniósł demonstracyjnie młot, a Szarobury wypuścił z ust kłęb dymu i ujął kuszę lewą ręką.

„Nie odejdą – uświadomił sobie Tankred. – Są dokładnie tak złośliwe i wredne jak w opowieściach. Nie odejdą...”

Nabrał głęboko tchu.

Jeszcze raz omiótł wzrokiem krzaki, mając nadzieję, że ujrzy gdzieś Uxarę, ale popołudniowy las był cichy i nieruchomy, jakby udzieliło mu się napięcie. Lęk przed gnomami, właściwy wszystkim mieszkańcom krainy wokół Ugoru, okazał się najwyraźniej silniejszy od lojalności.

„Może to i dobrze, że znikła – pomyślał Tankred. – Szkoda, by któryś z tych drani wyrządził jej krzywdę. Wyglądają na twardych, zahartowanych zbirów”.

W tej samej chwili Szarobury splunął siarczyście, a Fioletowy i Czerwony spojrzeli po sobie i zrobili kolejny krok w kierunku rycerza.

Ten nieoczekiwanie wsunął miecz do pochwy.

– No, dobry chłopak – odezwał się rozpromieniony Fioletowy i podrapał się po skórzanej przepasce, która zasłaniała mu oko. – Łap tobołkę, bo na Stęchliznu mamy kupę drogi.

Szarobury z zapalem pykał z fajki. Czerwony rżał, nadal celując z muszkietu w Tankreda. Młodzieniec pochylił lekko głowę, udając pokorę i przestach. Żaden z gnomów nie widział, że jego oczy bacznie taksują napotkanych wędrowców.

„Szarobury jest praworęczny – układał fakty w głowie. – W prawej ręce trzyma jednak fajkę. Zanim uniesie lewą z kuszą, minie chwila. Muszkiet Czerwonego jest na pewno nienabity i nieco za ciężki. Pozostaje młot Fioletowego, ciężki i oburęczny... No, panowie gnomy. Chyba żeście sobie tego dobrze nie przemyśleli...”

– A ten miecz to ci do czegoś potrzebny? – spytał przekornie gnom z fajką. – Skoroś taki grzeczny chłopak, to odepnij go ładnie i wyrzuć w krzaki, co?

Tankred posłusznie zacisnął dłonie na sprzączce pasa.

– Zaraz, zaraz! – zaoponował Fioletowy. – Szkoda taki zacny miecz wyrzucić! Weź jego, chłopcze, temu zgredu w koszykę wyłóż. Niech ją poniesie, skoro taki mądre pomysły ma.

Tankred pokiwał skwapliwie głową i wyciągnął miecz w pochwie rękojeścią w kierunku Szaroburego. Serce biło mu pospiesznie, ale nadal udawał przestach, najwidoczniej przekonująco, bo trójka gnomów znów zaczęła rechotać. Żaden z nich nie zauważył, że młodzieniec ustawił się do nich nieco bokiem, jakby szykował się do wzięcia zamachu.

– Dawaj rozeń, dawaj! – rżał Szarobury, krztusząc się dymem.

„Teraz”.

Tankred napiął mięśnie i z całej siły wyrzwał Fioletowego mieczem w pochwie w bok głowy. Gnom stęknął przeciągle i runął plecami na mech, wypuszczając młot. Rycerz błyskawicznie przydepnął rękojeść broni, wyszarpnął muskiet z ręki Czerwonego, wziął zamach, aż zahuczało rozcinane powietrze, i przyrznął nim gnomowi w czaszkę. Rozległ się nieprzyjemny trzask, a trafiony zatoczył się, wykonał piruet i zwałił się na własny tobołek. Tankred zwrócił się ku ostatniemu.

Szarobury, kaszląc i prycając dymem, cofał się krok za krokiem. Wymachiwał przy tym rękami i próbował wykrzyczeć coś, co chyba miało być zaklęciem, ale bez ładu i składu. Tankred wyszarpnął miecz z pochwy i szedł ku niemu z mściwą miną. Gnom zorientował się, że jego magiczne zabiegi nie przynoszą rezultatu. Poderwał kuszę, ale wtedy rycerz doskoczył do niego i wybił mu ją celnym kopniakiem.

Gnom otworzył szeroko oczy, gdy sztych mandylionńskiego miecza oparł się o jego szyję. Z ogromnych, przepastnych wręcz nozdrzy sączyły się resztki dymu.

– Tobołki miałem wam nosić, obdartusy? – warknął Tankred.

– Gdzie tam – pisnął gnom. – Żarty takie, drogi panie. Nieszkodliwe.

– Nieszkodliwe? – zdziwił się młodzieniec. – Czyżby?

Kopniakiem w kostkę pozbawił Szaroburego równowagi. Gnom pacnął

na mech, a wtedy Tankred kopnął go po raz drugi, tym razem w bok. Podobnie potraktował jego kamratów, mamroczących nieskładnie i turlających się po mchu.

– No, w sumie dość nieszkodliwe te wasze żarty, przyznaję – rzekł i rozejrzał się po lesie. Nigdzie nie było ani śladu Uxary. – Ech, niech to szlag. Ta Stęchlizna, o której przed chwilą mówiliście... Co to za miejsce?

– Takie tam – bąknął gnom. – Nic szczególnego.

– To dobrze – ucieszył się Tankred. – Dokładnie takiego miejsca szukam.



## Słuchlizza

Przez następnych kilka godzin, aż do zapadnięcia całkowitych ciemności, Tankred ani razu nie pomyślał o Jastrzębim Rycerzu, o Pieśniarzach czy też o niedoli swego rodu. Okazało się bowiem, że ma o wiele poważniejsze powody do zmartwień.

Włożył wiele serca w kopniaki, które wymierzył każdemu z gnomów, ale żaden z nich nie odniósł poważnych obrażeń. Niestety, zamiast tego wielce ucierpiała ich duma i już kwadrans po wyruszeniu w dalszą drogę Tankred zaczął czuć się niepewnie. Skonfiskowanie gnomom całej broni bynajmniej nie poprawiło mu nastroju. Zarówno młot, jak i muszkiet były ciężkie i niewygodne, a gnomy wydawały się utratą broni zupełnie nieprzejęte. Czerwony Kapelusz wysforował się naprzód, a Fioletowy zrównał się z nim i rozpoczęli cichą naradę w zgrzytliwym, ostrym języku ich plemienia. Co chwila oglądali się na idącego za nimi Tankreda. Ich niewielkie, niemalże czarne oczka błyszczały złośliwie, jakby gnomy były właśnie w trakcie układania niezwykle wyszukanej zemsty. Szarobury Kapelusz szedł jako ostatni i mamrotał coś do siebie, a jego wzrok niemalże przewiercał się przez plecy Tankreda.

„I co ja najlepszego narobiłem? – myślał rycerz, nie spuszczać oczu z obu rozbójników. – Poderżną mi gardło podczas pierwszego noclegu. Z drugiej strony, lepiej iść gdziekolwiek, niż siedzieć bezczynnie i czekać, aż coś wyskoczy na mnie z ciemności. Niech to Pieśni przeklą! Uxaro, musiałaś mnie teraz opuścić?”

– Hej, wy – warknął, udając zdecydowanie. – Daleko jeszcze do Stęchlizny?

Oba gnomy łypnęły wzrokiem za siebie i zachichotały cicho.

„Wspaniale. Brawo, Tankredzie. Teraz już mają pewność, że nie wiesz, gdzie się znalazłeś”.

– Macie jakieś imiona? – zagaił nieco przyjaźniej.

– Mamy – zapewnił go z powagą Szarobury Kapelusz. – Bardzo ładne.

– Czy stoi coś na przeszkodzie, byście się po prostu przedstawili? Ja mam na imię Tankred.

– Brzydko – burknął Szarobury.

Czerwony obrócił się i spojrzał na Tankreda przez ramię. Uśmiechnął się przy tym cynicznie, jakby właśnie odkrył jego sekret.

Rycerz już chciał poruszyć ten temat, gdy jego uwagę przykuło coś innego. Wygodna leśna ścieżka wydawała się kończyć. Rosnące wzdłuż niej gęste kolczaste krzaki ustępowały miejsca paprociom i innym roślinom, które Tankred widział na Mglakach, a w powietrzu pojawiła się znajoma wilgotna woń bagien.

– Tylko nie to! – jęknął, ale żaden z gnomów go nie usłyszał.

Po chwili pod ich butami zadudniły częściowo zbutwiałe deski pomostu, przy którego końcu kołysały się tratwy. Cichy, wilgotny wiatr przemykał z szelestem przez szuwary i roztrącał mgły, ciemniejsze z nastaniem wieczoru. Gdzieś z dzikim wrzaskiem zerwał się do lotu ptak.

Gnomy, gadając do siebie, zeskakiwały jeden po drugim na tratwę. Szarobury z ulgą złożył koszyk i nie przestając pykać z fajki, ściągnął z pomostu długą tyczkę. Czerwony spojrzał na rycerza.

– Idziesz? – zapytał. – Podobno do Stęchlizny się wybierasz?

Fioletowy nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Tankred smagnął go wściekłym spojrzeniem, a gnom natychmiast udał powagę i pokiwał głową.



– Przejadę się z wami, a co tam! – rzekł i zszedł na tratwę, która zakołysała się pod jego ciężarem. – Co cię tak rozbawiło, knypku? – warknął, patrząc na Fioletowy Kapelusz.

– To, że my dopięli swego – zarechotał tamten. – Poniosłeś nam tobołków. Jak koń. Ciężka ta muszkiet, co?

– Ciężka – przyznał Tankred. – Zastanawiam się właśnie, czy tej muszkiety do wody nie wywalić.

Gnom prychnął, odwrócił się demonstracyjnie i ujął za swoją tyczkę. Czerwony Kapelusz napał na własną i tratwa ruszyła, by po chwili zanurzyć się w ciemniejącym świetle mgieł, bulgotów i nieznanych odgłosów. Młody Hanstar nie miał pojęcia, w jaki sposób gnomy odnajdują drogę w tym labiryncie, ale najwyraźniej przychodziło im to bez trudu. Po chwili przekonał się, że nie żeglują po bagnach sami. W ostatnich promieniach zachodzącego, rdzawego słońca ujrzał inną tratwę, na której siedziała surowa matrona z mieczem złożonym na kolanach. Tyczki trzymali młodzieńcy tak podobni do niej, że musieli być jej synami. Z drugiej strony między wysokimi kępami zamajaczyło lekkie czółno elfów, a za nim inna tratwa, o wiele większa i najprawdopodobniej załadowana bydłem.

Znów naszała go ochota, aby wypytać gnomy, dokąd zmierzają, ale te rozprawiwały coraz głośniejszą w ojczystym języku. Tankred pokręcił ze zrezygnowaniem głową i narzucił sobie płaszcz na barki. Pluskała roztrącana tyczkami woda. Rechotały żaby. Skądś dobiegało radosne, ale stłumione, niewyraźne pokrzykiwanie.

Młodzieniec zmrużył oczy i naraz wydało mu się, że w mroku dostrzega drgające płomienie. Ogniska?

„Stęchlizna?! – krzyknął w myślach, tknięty przeczuciem. – Zaraz, a jeśli Stęchlizna i Nora to jedno i to samo?”

Był zły na siebie, że dopiero teraz przypomniał sobie o Norze. Ponura sława tego miejsca niosła się po wszystkich ziemiach Nowego Mandylionu, a Tankred słyszał nawet, że król Duncan kazał kilku rodom zająć się nim. Jak do tej pory szło im niesporo, choćby przez to, że żaden z Mandyliończyków nie znał położenia Nory. Byli tacy, którzy głosili nawet, że to miejsce nie istnieje, ale przeczyli temu sami Pieśniarze. Utrzymywali, że gdzieś musi się znajdować tajny azyl dla buntowników, wolnomyślicieli i dezertersów

wszelakiej maści. W przeciwnym razie nie mieliby trudności z ich wyłapywaniem.

„Na Pieśni – myślał przejęty Tankred, wpatrzony w coraz wyraźniejsze ognie. – Czyżbym miał być pierwszym Mandyliończykiem, który trafi do Nory?”

Wtedy uświadomił sobie rzecz o wiele poważniejszą.

„Jeśli to rzeczywiście Nora, a ktoś zorientuje się, że jestem z Mandylionu, zostanę rozszarpany na strzępy”.

Jeden z gnomów, mało rozpoznawalny w coraz głębszym mroku, spojrział na niego, a jego oczka błysnęły złośliwie.

„Oni wiedzą”.

Tankred zacisnął powieki, próbując odpędzić panikę i uspokoić myśli na tyle, żeby ułożyć jakiś logiczny plan. Po chwili nabrał tchu, zamrugał i powoli, z przeciągłym chrzęstem wyciągnął miecz z pochwy.

– Posłuchajcie mnie teraz, knypki – wyszeptał ochrypłym głosem. – Zdaje się, że próbujecie się dobrze bawić moim kosztem, ale czas położyć temu kres. Powiem wam, co się wydarzy, gdy tratwa dobije do brzegu.

Fioletowy i Czerwony odwrócili się do niego. Ich oczy migotały szyderstwem.

– No, chłopcze? – zapytał Fioletowy, nawet nie kryjąc drwiny. – Co się powydarzuje?

Szarobury parskał i rechotał za plecami Tankreda, jakby krztusił się dymem z fajki.

– Zaprowadzicie mnie do miejsca, gdzie znajdę przewodnika – ciągnął rycerz, wcale niezdeprymowany. – Nie zależy mi na dłuższym pobycie w Stęchliźnie ani też tym bardziej na waszym towarzystwie. Potem odprowadzicie mnie na skraj osady, a tam oddam wam broń i wręcę upominki na pożegnanie. Dla ciebie – wskazał Czerwony Kapelusz – mam kilka ładunków prochu do muszkietu. Dla ciebie – zwrócił się do Fioletowego – znajdę butelczynę zacnego trunku. Waszemu kompanowi, który rzezi i parska za moimi plecami, dam miarękę lepszego tytoniu.

Z tymi słowami przysunął do siebie tobolek, jakby się bał, że gnomy będą chciały sprawdzić jego prawdomówność, ale wtedy jeden z rozbójników powiedział coś w ojczyściej mowie. Pozostali zarechotali i pokiwali

skwapliwie głowami, a Czerwony przewrócił oczami i westchnął z udawanym cierpieniem.

– Zgoda, zgoda! – rzekł. – Czegóż to się nie zrobi dla porządnej flachy, he, he, he!

Tankred przyglądał mu się bacznie, chcąc się przekonać, czy gnom go nie oszukuje, ale było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek, a z tego, co zdążył już zauważyć, trójka rozbójników była mistrzami świata w udawaniu niewiniątek. Młodzieniec skupił się więc na coraz bliższym brzegu i własnym, bijącym szybko sercu.

„Nieźle się wpakowałem.. – pomyślał. – Ale powoli, bez paniki. Na pewno istnieje jakieś rozwiązanie. Muszę się skupić”.

Jego umysł pracował na wysokich obrotach. Nic w jego wyglądzie nie wskazywało na zamorskie pochodzenie. Viliena dała mu niewyszukane ubranie i prostą broń bez jakichkolwiek ozdób. Pewną uwagę mogły przyciągać jasne włosy i niebieskie oczy, ale na północy, w okolicach Posepnej Łuny, widział wielu miejscowych ludzi o takiej urodzie. Po taliadzku mówił płynnie i bez wyraźnego akcentu, ale nie znał żadnych idiomów czy regionalizmów.

„Nie wolno mi się wdawać w dłuższe rozmowy – obiecał sobie. Dotknął sakiewki, wręczonej mu na odchodnym przez Vilienę, i westchnął ciężko. – Mam nadzieję, że wystarczy. Muszę jakoś dotrzeć do Posepnej Łuny i dalej, do króla, obozującego na granicy z Tangstem”.

Niespodziewanie ogarnęło go bezbrzeżne znużenie. Sytuacja, w której się znalazł, pogarszała się z każdą chwilą. Nie dość, że naraził się Pieśniarzowi, zbiegł z niewoli wraz z bandą potencjalnych buntowników i okpił Widmo, a potem musiał się salwować ucieczką z rodzinnego zamczyska, to jeszcze trafił do największej sadyby buntowników, sabotażystów i zwykłych przestępców w Taliadzie.

„Powinienem uważać się za szczęściarza, jeśli dożyję do świtu” – pomyślał z goryczą.

– Gdyby któremuś z was, knypki przekłete, przyszło coś głupiego do głowy – szepnął tonem, który uznał za złowieszczy – miejcie w pamięci to, że wyciągnę miecz szybciej, niż którykolwiek z was wymówi własne imię.

Żaden z gnomów nie zareagował. O dziwo, wydawało się, że lekko spoważniały.

Byli już tak blisko brzegu, że młody rycerz dostrzegał pierwsze szczegóły. Ku jego wielkiemu zdumieniu nie było tam żadnych ognisk – źródłem światła okazały się dziuple rozlicznych, przypominających wierzby drzew, z których wylewał się migotliwy, miodowy poblask. Cienkie pasma mgły snujące się wzdłuż brzegów wydawały się wręcz płonąć, ale kręcącym się tam ludziom w niczym to nie przeszkadzało. Zaskoczony rycerz ujrzał rozbawiony tłum, zgromadzony wokół przemawiającego na podwyższeniu grubasa z nastroszoną brodą. Inni, rechocząc, wynosili pakunki z ciężko zanurzonej łodzi. W gęstym, smrodliwym zapachu bagien pojawił się aromat dymu z ognisk oraz pieczonego. Gnomy wciąż były poważne i skupione, ich oczy migotały.

– Potrzebujecie tej tratwy?! – zawołał do nich z pomostu postawny mężczyzna z dwoma krzywymi mieczami u boku. – Hej, wy! Kurduple!

Gnomy się ocknęły. Czerwony Kapelusze sarknął i splunął siarczyście do wody.

– Grzeczniej trochę! – warknął. Odruchowo przeszedł na płynny taliadzi. – Bo z czystej złośliwości zatopię to ustrojstwo!

– Nie wątpię, że byś to zrobił, gnomie! – odrzyknął wojownik, ale rzucił cumę.

Gnomy złapały linę i sprawnie przyciągnęły tratwę do pomostu, po czym zaczęły gramolić się na górę.

– Szybciej, szybciej! – popędzał ich wojownik, wzbudzając salwy śmiechu wśród ludzi rozładowujących sąsiednią łódź. – Jak do północy nie złapię rosochulca, stary Trach odbierze mi moje ulubione miejsce w knajpie!

Mówił żartobliwie, ale jego spojrzenie było uważne i przenikliwe. Tankred, którego serce biło jak oszalałe, nie wytrzymał i odwrócił wzrok. W tym samym momencie podniósł się Szarobury. Gnom, który ustępował zręcznością towarzyszom, zakołysał się lekko, a światło księżycy na ułamek sekundy ukazało Tankredowi zawartość taszczonego na plecach koszyka.

Pod skórzaną płachtą błysnęło złoto. Mnóstwo złota.

„Niech mnie Pieśni wyśmieją! A ja chciałem go przekupić miarką tytoniu – pomyślał z przerażeniem młodzieniec, gramoląc się na pomost za Szaroburym. – Którego, nawiasem mówiąc, nie mam! Czuję, że Alisann miał rację, do najmądrzejszych Hanstarów nie należę. Trudno, muszę grać w tę idiotyczną grę do końca. Może uśmiechnie się do mnie szczęście i jednak uda mi się

przeżyć do świtu”.

Przemknął za plecami wojownika i zszedł w ślad za gnomami na brzeg, gdzie natychmiast ogarnął go gwar. Wydawało się, że trójka jego przygodnych towarzyszy na moment o nim zapomniała. Gnomy przyglądały się uważnie cumującym przy brzegu łodziom, aż Czerwony Kapelusze dostrzegł coś i pokazał reszcie, komentując to z ożywieniem. Pozostali pokiwali głowami z wyraźną ulgą.

„Zmiana planów – pomyślał Tankred. – Trzeba uciekać, póki są zajęci! Może uda mi się zniknąć w tłumie...”

Nie zdążył jednakże zrobić nawet kroku, gdy Szarobury utkwili w nim nieprzyjemnie zimne spojrzenie.

– Przewodnik – przypomniał mu. – Przewodnika szukasz, tak?

Tankred przytaknął, usiłując nie zdradzać żadnych emocji.

„Zaraza, czyżby tym knypkom coś głupiego przyszło do głowy?”

– No to chodź! – Szarobury rozpromienił się, pyknął z fajeczki, poprawił swój drogocenny pakunek na plecach i odwrócił się ku Stęchliźnie. Fioletowy wyrósł za jego plecami, a Czerwony nadal znajdował się za Tankredem. Całą czwórka wskoczyli na jeden z licznych tutaj drewnianych chodników i ruszyli ku zaginionemu miastu buntowników i wrogów Mandylionu.

Już po krótkiej chwili Tankred przekonał się, że trafił do wyjątkowego miejsca. Chodniki, których obecność wytłumaczył sobie rozmiękłą ziemią i wielką ilością mułu nanoszonego przez prądy bagienne, już po paru krokach okazały się najniższym poziomem pomysłowego systemu mostów, pomostów, platform i wież, który rozpełzał się zarówno na boki, jak i w górę, i nił w mroku, ogromny i niemożliwy do ogarnięcia. Gnomy pięły się po niezliczonych schodach, przedzierały się przez tłumy zgromadzone na zaskakująco rozległych platformach i przechodziły po mostach, zarówno tych solidnych, wspartych na palach, jak i wąskich, wiszących na linach. Tankred czasami zerkał w dół i widział ciemną toń bagiennych jezior lub niekończące się szare zarośla. Przez chwilę desperacko próbował zapamiętać pokonywaną przez nich trasę, ale pogubił się przy kolejnym zakręcie.

Jego oszołomienie pogłębiał jeszcze jeden fakt. Propaganda Pieśniarzy do spółki ze zwykłą plotką przedstawiały Norę vel Stęchliźnę jako podupadłą, toczoną zarazą wieś, którą rządzi hazard, nierząd i skrytobójstwo, gdzie

podejmowane są zdradzieckie plany i gdzie nikt nie może być pewien, czy doczeka następnego dnia. Tankred w istocie widział wielu zbrojnych, ale wszystko wskazywało na to, że każdy z nich głównie chce się dobrze zabawić. Co druga budowla, unosząca się na wodzie, wzniesiona na palach lub zgoła wśród konarów drzew, wydawała się tawerną bądź zamkiem, ale zabawa trwała przede wszystkim na zewnątrz. Nikomu nie przeszkadzała ciasnota ani też to, że kilkanaście metrów pod nimi ziało bagno – ludzie siedzieli przy ławach, pili, jedli i śmiali się, a nad ich głowami przemykała skoczna muzyka.

Oczarowany Tankred poddał się typowej dla Hanstarów ciekawości świata i na moment zapomniał o jakimkolwiek zagrożeniu. Patrzył na młode wojowniczkę w napierśnikach wykonanych z wypolerowanych skorup żółwi, które tańczyły do muzyki jakiegoś osobliwego, szarpanego instrumentu. Patrzył na kuglarza, który wyciągał wijące się zaskrońce z bród ryczących ze śmiechu najemników. Patrzył na zawody w układaniu rymów w nieznanej sobie mowie. Gdzieś siłowano się na rękę. Gdzieś roztrzaskał się dzban z winem, co wywołało jęki udawanego żalu. Na stole tańczyła jakaś dziewczyna, do której doskoczył młody łucznik. Po pniu drzewa, którego dziupla opromieniała kolejny most, skakały wielkookie stworzonka z długimi łapami. Troje elfów przerwało cichą rozmowę i odprowadziło gnomy przeciągłymi spojrzeniami.

– To miejsce zasługuje na Pieśń – szepnął Tankred.

Zaskoczony i urzeczony, całkiem zapomniał o swoich wcześniejszych obawach. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikomu nawet do głowy nie przyszło, że jest Mandyliończykiem, jednym z tych, którzy sprowadzili na Taliad śmierć. Zdarzało się, że któryś z biesiadników obrzucił baczynym spojrzeniem maszerujące z butą gnomy. Ten i ów się cofnął, inny sprawdził, czy nadal ma sakiewkę, jeszcze inny odruchowo pochwycił nóż i zmrużył nieco oczy, ale na niego, Tankreda, nikt nawet nie zerknął.

Wędrówka po zakamarkach Stęchlizny trwała już parę minut. W chwili gdy młody Hanstar zaczął się zastanawiać, czy nie urwać się swoim przewodnikom, Czerwony Kapelusz powiedział kilka słów do Szaroburego, a ten zerknął na rycerza, pyknął z fajki i wskazał niewielką budę na kolejnej, nieco wyższej platformie.

– Zaczekamy tam razem – rzekł do Tankreda. – Piwka się może napijemy, co? Moi kamraci przyprowadzą ci jakiegoś przewodnika. Serio! – Pokiwał

głową, widząc niedowierzanie na twarzy młodzieńca. – Myślisz, że chowamy urazę?

Czerwony i Fioletowy zniknęli w tłumie. Szarobury poprawił kosz na plecach i ruszył w stronę schodów.

– No, dalej! – burknął.

„Jeśli rzeczywiście planują wpędzić mnie w jakieś tarapaty, gorzko tego pożałują. – Tankred uspokoił sam siebie. – Nie zdają sobie sprawy z tego, że wiem o ich złocie, które niesie ten knypek. Nawiasem mówiąc, chyba nie jest w najlepszej kondycji”.

W istocie, pnący się po schodach gnom sapał i wzdychał, jakby miał serdecznie dość fizycznego wysiłku. Zachęcony odkryciem młody rycerz po chwili namysłu podążył za nim, sprawdzając dyskretnie, czy jego miecz gładko wychodzi z pochwy.

Platforma, na którą zaprowadził go gnom, była całkowicie pusta, co stanowiło miłą odmianę po wielu innych, zatłoczonych od balustrady po balustradę. Jedynym źródłem światła była tu nie promieniejąca blaskiem dziupla, ale wznosząca się na środku latarnia, nad którą unosiły się chmury owadów. W samej tawernie, oświetlonej kilkoma migoczącymi świeczkami, siedziało zaledwie kilka osób.

Gnom podszedł do stołu w kącie, ostrożnie ułożył swój koszyk na ziemi i wyciągnął z sapnięciem nogi na ławie. Oczom rycerza, który również usiadł, ukazała się para butów z zadartymi noskami.

– Wiesz, że jestem czarodziejem? – spytał gnom, nabijając i rozpalając fajkę. Barman, niski mężczyzna o zielonkawej cerze, postawił przed nimi dwa kufle z piwem.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Tankred i powąchał piwo, które, ku jego zdumieniu, pachniało zaskakująco świeżo.

– Tak – rzekł z powagą gnom i przez moment pykał z przejęciem z fajki, jakby sam nie mógł się sobie nadziwić. – Tak, tak. Nie zauważyłeś?

– Wybacz, raczej nie. – Tankred ostrożnie upił łyk.

– Aha! – Gnom zamachał w powietrzu rękami. – Jasne! Bo się zapewne spodziewałeś czegoś efektownego, co? Czegoś jak... Jak egh-tazz? Zaraz, jak to będzie po waszemu... No, rozumiesz mnie czy nie?

– Rozumiem.

– Jasne... Udajesz, że rozumiesz. Jak wszyscy ludzie! – Gnom uśmiechnął się szeroko, niemalże od ucha do ucha. – Magia – uniósł palec przypominający serdelek – to niekoniecznie przywoływanie błyskawic czy trzęsień ziemi.

Tankred zdawał sobie z tego sprawę. W Taliadzie magia najwyraźniej działała na zupełnie innych zasadach niż w Mandylionie, o czym na własnym przykładzie przekonał się ród Vinkenanów, ale nie miał teraz najmniejszego zamiaru o tym dyskutować. Gnom najwyraźniej nic sobie z tego nie robił.

– Widziałem to, co zrobiliście z Miastem na Skale. – Pokiwał głową z udawaną powagą. – W ogóle się nie znacie na rzeczy. Nic a nic. Po co wyważać drzwi razem z futryną, skoro można je otworzyć wytrychem?

– Nie wiem, o co ci chodzi – bąknął Tankred i znów upił łyk.

– Wiem, że nie wiesz – oznajmił z mądrą miną jego rozmówca i pyknął z fajeczki. – Wreszcie się przyznałeś. Widzisz, człowiek, magia w Taliadzie jest inna. Jest subtelna i dyskretna. Wielu ludzi nawet nie wie, że padł na nich czar. Jak ty, na przykład.

– Czar? – Tankred wyduł usta. – Nie wygaduj głupstw, gnomie.

Szarobury upił łyk piwa, nie spuszczając wzroku z młodego rycerza. Jego oczy migotały nieprzyjemnie.

– Głupstw? – Uniósł brwi. – Rzuciłem na ciebie czar w chwili, gdy spotkaliśmy się w lesie.

– Bzdura.

– Czyżby? Czy w przeciwnym razie udałbyś się wraz z nami? Zaufałbyś zgrai rozbójników? Przekonałbyś nas, byśmy zaprowadzili cię do Stęchlizny? Nie uciekłbyś, gdy daliśmy ci do zrozumienia, że wiemy o twoim pochodzeniu?

Tankred pokręcił głową, oparł się łokciami o stół i wbił w rozmówcę chłodny wzrok.

– To, że tu z wami dotarłem, było moją decyzją – wysyczał.

– Aha – odparł nieporuszony gnom. – Jasne, człowiek, jasne. A skąd się ta decyzja wzięła, że się tak po cichu spytam? Bo każdy rozsądny człowiek na widok trzech podejrzanych gnomów napiąłby łuk i czekał, aż odejdą. Choćby po to, by odnaleźć spłoszoną przewodniczkę i ruszyć w dalszą drogę.

Tankred poczuł, że się rumieni. Wiedzieli o Uxarze? Widzieli ją? Zadrwili



sobie z niego?

– Ta rozmowa przestaje mi się podobać – rzekł powoli, cedząc słowa.

– Dlaczego? – Gnom wyglądał na zdziwionego. – Przecież próbuję ci wyjaśnić, dlaczego tu trafiłeś, i być może oszczędzić ci rozterek. Padłeś ofiarą mojego czaru i tyle.

– Nie jesteś czarodziejem – warknął Tankred, mając nadzieję, że brzmi przekonująco. – A rozmowa nie podoba mi się z innych względów. Nie życzę sobie, by jakiś rabuś w podartym kapeluszu nazywał mnie głupcem!

– Nie? – Gnom kompletnie ignorował ostry, ostrzegawczy ton w głosie rycerza. – Nawet jeśli naprawdę nim jesteś?

Ruchem szybkim jak myśl Tankred złapał gнома za poły kurtki i przyciągnął do siebie. Stuknął przewracany kufel z piwem, fajka upadła na stół. Na ułamek sekundy gnom otworzył szerzej oczy, ale kpiarski uśmiech natychmiast powrócił.

– Zaraz tego pożałujesz! – wycedził Tankred.

Szarobury spowaźniał.

– Każdy średnio rozgarnięty człowiek wie, że gnomy mają wielokrotnie lepszy węch od ludzi – oznajmił. – Obiecałeś nam proch, tytoń i jakąś flaszkę, tak? Czemu twój tobołek nie pachnie żadną z tych rzeczy?

Zaskoczony Tankred rozluźnił uścisk. Gnom wyrwał się i wygładził brzegi kurtki.

– Poza tym tylko idiota daje się tak zagadać – dodał.

Sercem rycerza naraz targnęło straszliwe podejrzenie. Odwrócił się błyskawicznie, lecz w tej samej chwili ktoś zatrzasnął drzwi do tawerny, a ktoś inny zdmuchnął świecę. Pięść twarda jak kamień uderzyła prosto w kość policzkową zrywającego się młodzieńca, inna złapała jego nadgarstek, wykręciła go i odebrała mu miecz, trzecia pchnęła go na ławę. Nim się zorientował, leżał na tym samym stole, przy którym przed chwilą siedział, a założone sprawnie sznury wrzynały mu się w stawy.

W półmroku zapłonęła pochodnia. W jej blasku Tankred ujrzał nieprzyjemną, wychudłą twarz z zapadłymi policzkami i wielkimi workami pod oczami. Nieznajomy był łyсы, a po jego czaszce niczym pajęczyna rozbiegały się niebieskawe żyłki.

Oblicze było tak nieruchome, że przez krótką, przerażającą chwilę młodzieniec był przeświadczony, że spogląda na ożywionego trupa.

Wtedy nieznamy uśmiechnął się samymi tylko ustami.

– I co my tu mamy, Grops? – mówił cicho, ale jego głos wywoływał ciarki.  
– Vinkenan? Fulgham?

– Hanstar, zdaje się, choć nie ma sygnetu – odparł gnom, pykając z fajeczki. Wyglądał na całkiem nieporuszonego. – Trochę mało odczytany jak na mój gust, bo, wyobraźcie sobie panowie, kompletnie nie uwierzył w moją moc i...

– Hanstar? – przerwał mu inny głos, dźwięczny i dziewczęcy. – To ci od ksiąg? Dobrze pamiętam?

Tankred odwrócił głowę i ujrzał ładną, nieco piegowatą buzię młodej dziewczyny, okoloną niesfornymi rudymi włosami. Uznałby ją za niemałą piękność, gdyby nie to, że przez czoło dziewczyny biegł tatuaż przypominający szereg runicznych liter.

– Od ksiąg – potwierdził mężczyzna o trupiej twarzy. – Ciekawe. Możemy od niego usłyszeć dużo interesujących rzeczy. Skąd go masz, Grops?

– Napatoczył się po drodze – rzekł gnom. – Omotałem go swoją magią, wiecie? Thanni pierwszy się zorientował, że to Mandyliończyk, no i postanowiliśmy wam go tu przyprowadzić.

– Thanni jest tutaj? – Rudowłosa z tatuażem na czole zmarszczyła brwi. – Jak śmie pokazywać tu swą gębę po tym, jak...

– To nie wasze miasto – uciał gnom. – Załatwiamy tu własne sprawy i waram od nich. Przyprowadziliśmy wam podarunek i jeśli wam się coś nie podoba...

– Spokój, Grops – odezwał się naraz trzeci z rozmówców, starszy, siwiejący już mężczyzna, który mówił niewyraźnym, ledwie słyszalnym, świszczącym głosem. Gnom posłusznie umilkł. – Przyjmujemy podarunek. Zastanawia mnie jednakże twój entuzjazm, Torq. – Jego słowa skierowane były do łyszego mężczyzny, który nieco uniósł wygolone brwi. – Skoro to ród bibliotekarzy, czy możemy się od niego dowiedzieć czegoś pożytecznego?

– Hanstarowie od wieków doradzają królowi tej zgrai. – Człowiek zwany Torciem zwięził oczy. – Dowiemy się od niego mnóstwa pożytecznych rzeczy.

Tankred do pewnego momentu był przeświadczony, że jego sytuacja nie może się już pogorszyć. Teraz, gdy zrozumiał, że wpadł w ręce Mąciocieli,

poczuł rozpacz tak wielką, że w głębi duszy pogodził się z okrutnym przeznaczeniem.

„No to koniec – uznał. – A przecież obiecywałem sobie, że nie popełnię już błędu”.

Leżał nieruchomo na stole, a słowa ludzi, którzy rozprawiali nad nim i decydowali o jego losie, stawały się coraz mniej wyraźne. Przestało go interesować, co się z nim stanie.

„Czyżby tak właśnie wyglądała szara rozpacz? – pomyślał z ironią. – Ów moment, kiedy przestaje ci zależeć?”

Ludzie nad nim zaczęli się kłócić, ale to również było mu obojętne. Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiezek.

„Róbcie, co chcecie. Próbowałem uciec, próbowałem zapanować nad własnym losem, nie wyszło mi. Gdzieś mam to, co...”

Nagle jego myśli przeciął odgłos tak ostry i niespodziewany, że Tankred poderwał się, całkiem zapominając o trzymających go mocno więzach. Szarpnął gwałtownie, aż stół podskoczył, przerywając rozmowę Męcicielom.

– A to co? – spytała rudowłosa dziewczyna z tatuażem. – Taki grzeczny byłeś, a teraz...

– Słyszeliście? – wykrztusił rycerz, wytrzeszczając oczy. Więzy nie puszczały i opadł na błąd, uderzając o niego głową.

– Co takiego? – Torq przygryzł siną wargę. – Znasz nasz język?

– Cisza! – parsknął Tankred. – Posłuchajcie!

Wtedy rozległ się ponownie. Ostry, przenikliwy jastrzębi krzyk zagłuszył gwar miasta raz, a potem drugi, jakby polujący ptak chciał przekonać rycerza, że się nie przesłyszał. W umyśle młodego Hanstara pojawiła się nowa myśl, samotna, ale wyraźna i niewzruszona.

– To Jastrzębi Rycerz – oznajmił ochrypłym głosem. – Znalazł mnie.

– Jastrzęb, tak? – parsknęła rudowłosa dziewczyna. – Uff, dobrze, że nie mewa. Albo dzieciół!

Tankred spojrzał na nią z mieszaniną politowania i przestachu.

– Nie słyszałaś nigdy o Jastrzębich Rycerzach, co? Bezlitosnych mordercach bez emocji, którzy odwalają czarną robotę za Pieśniarzy? Ludziach pozbawionych własnych dążeń, nadludzko silnych, doskonale wyćwiczonych

i posłusznych do granic obłędu? Przyznaj, że nie wiesz, o czym mówię!

Rudowłosa skrzywiła się, ale nie powiedziała ani słowa.

– Jasne, chłopcze. Teraz wszyscy uciekniemy w popłochu, przerażeni twoją historyjką, a ty wyswobodzisz się z więzów i wrócisz do króla – rzekł z pogardą Torq, ale Tankred przymknął oczy.

– Posłuchaj sam siebie. Tak, jestem mandyliońskim rycerzem z rodu Hanstarów. Cóż miałbym robić w tym przeklętym miejscu, jak nie uciekać? A wiedz, że jest tylko jedna rzecz, przed którą Mandyliończyk może próbować się schować. – Nie zastanawiał się nad słowami, napływały same. – To Pieśniarze i ich Jastrzębi Rycerze! – syknął.

Po minach mężczyzn poznał, że ci akurat mieli z Rycerzami do czynienia. Torq znów przygryzł wargę, a siwiejący Mącieliel odruchowo oparł dłoń na rękojeści długiego sztyletu i rozejrzał się szybko dookoła.

– Tak, mam z nimi na pieńku. – Tankred otworzył oczy i szeptał gorączkowo. – Jestem renegatem. Wbrew swojej woli, ale to nie ma znaczenia, w każdym razie nie dla was. Nie sądziłem, że ci dranie dotrą tu za mną, ale stało się. Oni zniszczą każdego, kto będzie stał przy mnie, a potem zabiją mnie, dokładnie w tej kolejności. Nie ma przed nimi ucieczki i wy, przekłeci buntownicy, powinniście najlepiej o tym wiedzieć. Uciekajcie więc stąd. Uwolnijcie mi ręce i uciekajcie. Skoro już i tak mam umrzeć, przynajmniej zginę z mieczem w dłoni. Pozwólcie mi choć spróbować. Jestem Tankred, syn Vildurfa z rodu Hanstarów. Nie pozwólcie mi zginąć jak byle przestępca.

Gdy wymawiał te słowa, z początku błagalnym, ale z każdą chwilą coraz bardziej rozgorączkowanym głosem, czuł, że układają się one w logiczną całość. Naprawdę tego pragnął. Nie chciał chować się czy uciekać. Marzył tylko o tym, by móc zakończyć żywot, jak przystało rycerzowi. Spoglądał na twarze otaczających go Mącielieli, ale ku swej rozpaczy nie ujrzał w nich choćby cienia współczucia.

– Problem w tym – siwiejący wojownik o cichym głosie nachylił się tuż nad nim – że ty sam jesteś przestępcą. Ty i każdy inny przybłąda z Mandylionu!

– Żaden z was nie zasługuje na godną śmierć! – warknęła dziewczyna z tatuażem, muskając go warkoczem. – Powinno się was poćwiartować i rzucić wygłodniałym świniom.

Torq kręcił lekko głową z niedowierzaniem, a gnom zwany Gropsem pykał

z fajeczki, wpatrzony w ciemność.

– Proszę was! – szeptał Tankred. – Błagam! Nigdy nie zrobiłem krzywdy żadnemu z Taliadczyków!

– Doprawdy? – Rudowłosa skrzywiła się szyderczo. – A ja sądziłam, że wszyscy młodzi rycerze mandylionscy muszą odbyć służbę w Zakonie Stalowej Duszy! A ten najgorliwiej służy Pieśniarzom i waszemu królowi!

– Rycerze Stalowej Duszy rzadko biorą udział w działaniach wojennych. Ochramiamy karawany, zapewniamy eskortę, dostarczamy...

– I to cię rozgrzesza? – Oczy Torqa błyszcząły niczym diamenty pośród martwej twarzy. – Ty kłamliwy, podstępny draniu!

Spojrzenie Tankreda stwardniało.

– Nie przypominam sobie, bym kogokolwiek okłamał. Od podstępów też trzymam się z daleka, czego o waszym kumplu gnomie już powiedzieć się nie da. Draniem zaś, niestety, nie będę miał już szansy zostać.

Gwar nad miastem znów przeszył krzyk jastrzębia, który wydawał się coraz bliższy. Tankred parsknął złym śmiechem.

– Widzę dwa rozwiązania. Rzekomo jestem dla was cennym jeńcem, a więc możecie mnie stąd zabrać. Narazicie się jednak na pościg Jastrzębiego Rycerza, a to nie skończy się dla was dobrze. Możecie też stąd uciec, co wam ze szczerego serca radzę. Skoro jednak...

– Istnieje trzecie rozwiązanie – warknęła rudowłosa. – Poderżnę ci gardło tu i teraz!

– Wątpię. – Tankred patrzył jej prosto w oczy. – Gdybyś rzeczywiście chciała mnie zabić, już dawno byś to zrobiła. Wybacz, ale to nie czas na czcze gadki.

Rudowłosa wojowniczką poczerwieniała. Jej oczy zabłyśły i przez moment Tankred miał wrażenie, że przesadził z blefem i zapłaci za to życiem, ale wtedy odezwał się Torq, niemalże rozbawiony:

– Na szczęście istnieje jeszcze jedno rozwiązanie. Rozetniście mu więzy.

– Co? – Siwowłosa mężczyzna uniósł wzrok, ale Torq uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie chciałbyś popatrzeć na to, jak te psy biją się między sobą? – spytał.

– Jakże to? – Zaniepokojony Grops podniósł się. – Chcecie...

Błysnął sztylet, zachrzęściły przecinane więzy. Tankred poderwał się i otworzył usta, by rzucić słowa podziękowania, kiedy ujrzał, jak Torq zaciska pięść. Po chwili zamroczył go potężny cios w szczękę. Półprzytomny, osunął się z ławy na polepę, ale instynkt przetrwania nakazał mu popełznąć po miecz. Kilka uderzeń serca później namacał rękojeść, podniósł się z trudem, potrząsnął głową i rozejrzał się. Knajpa była pusta. Mąciciele znikli bez śladu, ale młody rycerz wiedział, że są w pobliżu.

Wypadł na zewnątrz, odbijając się od futryny.

Machnął niezdarnie mieczem, oślepiony blaskiem pochodni i emanacją z dziupli pobliskich drzew. Potknął się o jakiś korzeń, ale złapał równowagę i potrząsnął głową, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Wtedy ciszę znów przeciął ochryply wrzask jastrzębia, znacznie bliższy niż przed chwilą.

Nigdzie nie widział Torqa i pozostałych, ale zauważył, że mieszkańcy miasta skądś wiedzą, na co się zanosi. Niektórzy stali nieruchomo na schodach i platformach, inni wycofywali się, szukając jakiegoś schronienia. Zamarły śmiechy i żarty, ucichła muzyka, wszyscy wydawali się wstrząśnięci tym, że spokój Nory zakłóciło pojawienie się straszliwego przybysza.

W ich oczach błyszczały strach i niepewność.

„To wszystko moja wina – pomyślał Tankred. – Cóż, przynajmniej na zakończenie urządzę wam niezłe widowisko”.

Znów zakrzyknął jastrząb, jeszcze głośniejszy niż przedtem, zupełnie jakby próbował naprowadzić rycerza na cel. Rozpędzony Tankred zeskakiwał po trzy stopnie w dół i ciął mieczem powietrze, rozmasowując stawy.

„Szybciej, szybciej!”

Nie liczyło się już nic. Nie było Mącicieli, Pieśniarzy, gnomów czy Vilieny. Pozostało jedynie wyzwanie rzucone Jastrzębiemu Rycerzowi, ostatnie w jego życiu. Wszelkie rozmyślania, dylematy i wątpliwości pozostały gdzieś daleko. Teraz ważne było tylko to, czego jeszcze w Skalinie uczył go ojciec, później w Taliadzie wuj Mustai, a w końcu Bardun Fulgham, dowódca jego oddziału.

Liczył się tylko miecz.

„Nie masz szans! – wył jakiś głos na skraju jego świadomości. – Słyszałeś o kimś, kto kiedykolwiek zwyciężył w walce z Jastrzębiem Rycerzem? Ba, o kimkolwiek, kto ośmielił się stawić czoła jednemu z nich?”

– Nic mnie to nie obchodzi – wysapał przez zaciśnięte zęby. – Będę pierwszym.

I naraz go dostrzegł na niższym poziomie. Był ogromny, a jego zakute w pancerz ramiona zdawały się wypełniać całą wąską uliczkę. Miał na sobie ciężką zbroję płytową, ale mimo to biegł, co wydawało się wręcz niemożliwością. Znad lewego ramienia wystawała rękojeść długiego, oburęcznego miecza, a prawe wieńczyła szeroka grzęda, na której zasiadał jastrząb.

Tankred nawet nie zwolnił. Ostatni maruderzy nocnej zabawy chowali się przed nimi, trzaskały drzwi i okiennice, gasły zdmuchiwane latarnie. Myśli rycerza śmigły jak szalone, podsuwając najlepsze rozwiązania.

„Jest poziom niżej. Nie widzi cię. Nie dobył miecza. Ma na sobie pancerz, ciężki pancerz...”

Nie wahał się. Nieludzko długim susem wskoczył na barierkę chroniącą biesiadników przed upadkiem w dół na rozległy plac z pręgierzem i kilkoma tawernami, wyludniony teraz i zalany migotliwą emanacją z pobliskiego drzewa. Jastrzębi Rycerz zatrzymał się na samym środku i rozejrzał bacznie, jakby kogoś wypatrywał. Płynnie, z przeciągłym zgrzytem dobył miecza i znów się rozejrzał.

„Mnie szukasz?” – Tankred parsknął w duchu śmiechem. Balansował na szerokiej balustradzie, a smrodliwy, bagienny wiatr owiewał mu twarz. Jastrząb darł się wniebogłosy, ale nie miało to już znaczenia.

Jastrzębi Rycerz niespodziewanie wpadł w szal. Wtargnął między porzucone pospiesznie ławy którejś z tawern, zaczął je roztrącać, przewracać kopnięciami, rozrąbywać pojedynczymi ciosami miecza. Tankred, choć skupiony i zdeterminowany, poczuł wahanie na widok nieprawdopodobnej wprost siły przeciwnika.

Nagle zaczęło mu się wydawać, że w szaleństwie, w które popadł Jastrzębi Rycerz, kryje się jednak jakaś metoda. Sługa Pieśniarzy parł w jednym kierunku, roztrącając i niszcząc stoły, a Tankred miał wrażenie, że dostrzega umykające przed nim cienie. Nie miał jednak czasu rozstrzygać tej kwestii.

Na rozważania było już za późno.

Skok z wysokości ponad sześciu metrów w wykonaniu człowieka znużonego, zropaczonego i niebędącego w pełni sił musiał zakończyć się

przynajmniej zwichnięciem kostki, ale Tankred wylądował na stercie siana wysypującego się z pobliskiej stajni. Poderwał się z cichym warknięciem i sprężysto skoczył w stronę Jastrzębiego Rycerza, który kontynuował dzieło zniszczenia przy balustradzie obwodzącej plac. Dopadł go w ułamku sekundy, uniósł miecz i rąbnął z całej siły prosto w stalowy hełm.

Buchnął snop iskier. Jastrzębi Rycerz zachwiał się, najwyraźniej zaskoczony, próbował się odwrócić, unieść miecz.

W kolejne uderzenie Tankred włożył wszystkie siły. Jego klinga rozrąbała przyłbicę, która wystrzeliła w powietrze i wirując, upadła gdzieś za jego plecami. Następny cios, nawet w połowie nie tak silny, pozostawił głęboką rysę na napierśniku, kolejny trafił w stalową rękawicę i zmienił tor wznoszonego miecza, trzeci chybił. Tankred nie mógł uwierzyć, jak szybko Jastrzębi Rycerz pokonał oszołomienie. Nie mógł pogodzić się z tym, z jaką łatwością znosił jego rozpaczliwe ataki, zupełnie jakby był pniem drzewa, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Spod hełmu wyciekła strużka krwi, która pomknęła po zadraśniętym napierśniku, ale Jastrzębi Rycerz mimo to wzniósł miecz do ciosu. Ułamek sekundy później klinga zawyła, tnąc powietrze z siłą, dzięki której mogłaby przeciąć pręgierz na pół. Tankred uskokzył z trudem, o mały włos się nie przewrócił, a już nadciągało kolejne uderzenie.

Jastrzębi Rycerz nacierał. Jego potężny miecz ciął powietrze, rozrąbywał ławy, przecinał deski, po których stąpali. Młody rycerz nawet nie próbował blokować jego ciosów – wiedział, że tak silne uderzenie mogłoby przebić się przez gardę i złamać mu rękę. Wymykał się, zdyszany i coraz bardziej przerażony. W głowie kołatała mu świadomość, że popełnił błąd. Ogromny błąd.

Musiał szybko zakończyć walkę. Jak najszybciej. Nikt nie był w stanie pokonać Jastrzębiego Rycerza w starciu.

Pozostawał fortel.

Dotarli do skraju platformy. Miecz przeciwnika przerąbał balustradę. Jastrzębi Rycerz włożył w uderzenie sporo siły i impet przeniósł go blisko wyrwy. Tankred, który w ostatniej chwili przemknął pod jego ramieniem, zauważył to.

Wojownik zatrzymał się na skraju uskoku i zaczął się odwracać.



Młodzieniec zerwał się do biegu i ze wszystkich sił, z determinacją uderzył go barkiem.

Stojący bokiem do Hanstara Jastrzębi Rycerz zrobił chybotliwy krok do tyłu. Zdyszany, zmordowany Tankred uczeplił się ostatniej szansy i rąbnął na odlew. Czubek miecza znów przejechał po napierśniku, krzesząc zeń strumień iskier, ale to, jak się okazało, wystarczyło.

Sługa Pieśniarzy zrobił jeszcze jeden krok w tył i jedna z jego stóp nie natrafiła na oparcie. Nie zdołał już odzyskać równowagi. Przyłoczony ciężarem zbroi runął w dół, ku ciemnym, bulgoczącym bagnetom. Jastrzęb nawet nie wrzasnął.

Zdyszany Tankred uświadomił sobie, że otacza go tłum milczących bywalców Stęchlizny, stojących na schodach, dachach, balkonach i mostkach, a w ich spojrzeniach podziw miesza się z przestachem i fascynacją. Nie to jednak przyciągnęło jego uwagę.

– No, człowiek! – oznajmił Czerwony Kapelusz, wygrzebując się spomiędzy resztek ław i stołów. – Tego, przyznaję, zemdlałem się nie spodziewałem.



Tankred nie zapamiętał wiele z ucieczki ze Stęchlizny.

Jakieś schody, most, znów schody. Otwierające się drzwi, pojawiający się ludzie, głosy, coraz głośniejsze słowa. Czyjaś ręka łapiąca go za ramię, śmigający w powietrzu młot, wrzask bólu. Inna ręka, głuchy wystrzał, kolejne krzyki. Schody. Upadek, bolesne uderzenie w kolano, twarde palce któregoś z gnomów zaciskające się na jego ramieniu. Kłujący ból w płucach. Sapanie. Ścieżka biegnąca prosto jak strzelił. Drzewa. Różowy blask świtu.

Znużenie zrobiło swoje i młody Hanstar miał wrażenie, że otaczająca go rzeczywistość zaczyna się rozmywać. Opadł na miękkie, suche igliwie i oparł głowę o pień drzewa, próbując uspokoić oddech. Po chwili uświadomił sobie, że drażniące, zgrzytliwe głosy, które rozpędzają jego myśli, należą do trójki gnomów.

Otworzył oczy w chwili, gdy Fioletowy Kapelusznik wyjął z rękawa chustkę i ściągnął nakrycie głowy, by starannie przetrzeć spocone czoło. Był całkowicie łysy, a resztkę włosów porastającą potylicę wyglądała jak mokre piórka. W niczym nie przypominał już groźnego rozbójnika, tym bardziej że na jego twarzy pojawił się uśmiech pełen zażenowania.

– Głupio trochę wyszło, nie? – bąknął po mandylionku.

– Głupio? – wychrypiał Tankred.

Gnom szturchnął towarzysza. Czerwony Kapelusz przewrócił oczami, odstawił młot i podał młodzieńcowi bukłak z wodą. Rycerz złapał go i wziął kilka głębokich łyków. Woda cuchnęła bagnem i była letnia, ale nie zrobiło mu to wielkiej różnicy.

– No, głupio – ciągnął mówca. – Wiesz, o co chodzi, nie?

– O to, żeście mnie oddali Torqowi i jego oprawcom? – Tankred przekrzywił lekko głowę. – No, w istocie głupio.

– Co, może się na nas obrazisz? – parsknął Czerwony Kapelusz i wyrwał rycerzowi bukłak, by samemu z niego tęgo pociągnąć. – Mandylionczyk jesteś i tyle. Cholerny przybłęda. Oddalibyśmy cię Torqowi, nawet gdybyś sobie wyrył na czole, że kochasz cały świat. W imię zasad i tyle – dodał i wymruczał serię słów, które mogły być tylko przekleństwami.

„W sumie trudno mieć do nich pretensje” – pomyślał rycerz i skrzywił się, przeklinając w myślach typową dla Hanstarów bezstronność. Nie dał jednak niczego po sobie poznać i obrzucił gнома złym spojrzeniem.

– A więc to wszystko prawda, co o was gadają – burknął. – Żeście podstępne i zdradliwe bydlaki.

Fioletowy Kapelusz drapał się z pasją po skórzanej przepasce na oku.

– Kiepskawy moment, by na tym porozmawiać – powiedział niskim głosem, w którym drżały emocje.

– Otóż to – podjął Czerwony. – Losy ludzi są nam w zasadzie obojętne, ale wiemy, co zrobiliście z Miastem na Skale. Słyszeliśmy też o mieście, które po waszym szturmie zaczęto nazywać Pogorzelicą. Wiemy, dlaczego jeszcze inne nazywa się Posępną Łuną. Nie dziwimy się, dlaczego od jakiegoś czasu nie gościmy kupców z paru innych miejsc. Nawet z naszych Pogryzionych Wzgórz widać dymy znad spalonych przez was wsi. Nawet do nas docierają uchodźcy.

– A ci wasi Pieśniarzowie... – Fioletowy splunął siarczyście. – Niech ich szlag przetrąci. I my podstępni i zdradliwi, człowiek?

Tankred milczał zawzięcie. Był zbyt zmęczony, by obrać jakiegokolwiek stanowisko, tym bardziej że przeczuwał, iż racja układa się po obu stronach.

– No ale jakoś ześmy się dogadali – wtrącił polubownie zasapany Grops, który pykał z fajeczki, choć jej nie rozpałił. – Ty załatwiłeś Jastrzębiego Rycerza i ocaliłeś dupska Thanniemu i Thruhowi, a myśmy wyprowadzili cię ze Stęchlizny. Okazuje się, że wcale tacy źli nie jesteśmy, co?

Tankred zacisnął powieki z taką siłą, że poczuł zawroty głowy.

– Co ty powiedziałaś? – spytał głuchym głosem. – Że co niby zrobiłem?

– Pokonałeś Jastrzębiego Rycerza. – Grops uniósł lekko brwi. – Eee... Pamiętasz to chyba, co?

– Tak, pamiętam – oznajmił Tankred. – Bardziej interesuje mnie jednak to, co powiedziałaś potem. Ocaliłem Thanniego i Thrugha, tak? Masz na myśli tych dwóch obwiesi?

Wycelował brudnym palcem w pozostałe gnomy. Cała trójka jak na komendę pokiwała głowami.

– Zgadza się – rzekł Czerwony Kapelusz. To jego zwano Thanim. – Już myślałem, że jest po nas.

Dopiero teraz młody rycerz przypomniał sobie niskie sylwetki przemykające wśród rozwalanych przez Jastrzębiego Rycerza łąw, ewidentnie umykające przed jego ciosami.

„To byli oni!” – zrozumiał.

– Czyli... – odkaslnął. – Czyli ów Jastrzębi Rycerz gonił was, tak? Was, na najplugawszą z Pieśni, a nie mnie?

Gnomy znów pokiwały głowami. Tankredowi zakręciło się w głowie.

„Nie dość, że zabiłem Jastrzębiego Rycerza, to jeszcze niewłaściwego. Na Pieśni, czy życie może oszaleć jeszcze bardziej?”

– A... – jęknął drżącym głosem – ...a można wiedzieć, dlaczego was gonił? Czym naraziliście się Pieśniarzom?

– Cóż, niestety, nie można – odpowiedział Thanni. – Wyświadczyliśmy sobie po przysłudze i jesteśmy kwita. Pora więc rozstać się w zgodzie i powrócić do bycia podstępnyimi, zdrażliwyimi bydlakami.

– Nie – rzekł Tankred mocniejszym głosem. – Nie jesteśmy kwita. To, co zrobiłem, by uratować wasze nędzne żywoty, wy cholerne hultaje, mogło się dla mnie źle skończyć. Naprawdę źle. Udało mi się wyjść cało z tej konfrontacji, co wcale nie oznacza, że moje problemy znikły. Jeśli ktoś o tym

doniesie moim przełożonym, stanę się wyrzutkiem i wygnańcem, o ile oczywiście Pieśniarze nie skazą mnie na przykładową śmierć. Jesteście mi winni o wiele więcej.

Thanni szarpnął się kilkakrotnie za brodę, co było u niego oznaką głębokiego wzburzenia. Thruugh spochmurniał, a twarz Gropsa znikła za rzadkimi strużkami dymu. To właśnie on odezwał się pierwszy.

– Może go zaczaruję?

– Nie – parsknął Thanni i odetchnął ciężko. – Chłopak ma rację.

Dorzucił kilka zdań w języku gnomów. Thruugh westchnął i pokiwał głową, po czym obrzucił Mandyliończyka posępnym spojrzeniem.

– Czego więc jeszcze od nas chcesz? – spytał ponuro Thanni.

Tankred kątem oka zauważył, że Grops odruchowo zasłonił sobą wielki koszyk, w którym błysnęło złoto. Uśmiechnął się lekko.

– Chcę, żebyście podrzucili mnie w pewne miejsce waszym statkiem powietrznym – rzekł.

Thanni uniósł brwi tak wysoko, że mało nie strąciły mu kapelusza, a Thruugh wybuchnął gardłowym śmiechem. Grops wpatrywał się w rycerza szeroko otwartymi oczami.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mamy statek powietrzny? – zapytał ze zdumieniem.

– Bo jesteście gnomami. Żaden inny naród nie opanował sztuki podróżowania w niebiosach. Mieszkańcy Ugoru dobrze o tym wiedzą.

– No dobra, ale skąd pewność, że akurat my mamy stateczek? – Grops wydał wargi.

– Wystarczyła mi chwila rozmowy z tobą, Grops – rzekł zmęczony rycerz. – Obejrzałem sobie dokładnie twoje zelówki, gdy położyłeś nogi na blacie ławy. Są jak nowe, gnomie. Ktoś, kto ma krótkie nogi, wielki brzuch, beznadziejną kondycję i ciężki kosz, zdarłby je w ciągu paru dni. Siedziby gnomów są zaś daleko stąd. Nie wierzę, że przybyliście do Stęchlizny pieszo.

Thruugh burknął coś w ojczyściej mowie i zerwał się, chwytając młot, ale Thanni złapał go za rękaw.

– Zgoda – rzekł. – Dokąd mamy cię podrzucić?

– Do Ostańca – odparł rycerz. – Albo w okolice.

Był przekonany, że gnom parsknie wzgardliwym śmiechem albo wyzwie go od idiotów, ale Thanni uśmiechnął się lekko i oznajmił:

– Zgoda.



Statek powietrzny gnomów był ukryty na skraju Mglaków i powrót do niego zabrał kilka godzin, ale na szczęście większość drogi pokonali łodzią. Przez cały ten czas Tankred próbował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat gnomów. Nie było tego dużo, gdyż przez trzy lata wojny o dominację nad Taliadem Mandyliończycy nie poświęcali wiele uwagi sąsiednim krainom, a tym bardziej ich kulturze. Wiedziano tylko, że gnomy są jedyną rasą kontynentu, która opanowała umiejętność podróży w powietrzu. Hanstarowie, którzy objęli we władanie ziemię niedaleko ojczyzny gnomów, czasami widywali ich latające statki. Umiejętność ich budowania była niezmiernie rzadką sztuką i traktowano ją wręcz niczym talent magiczny.

Gdy w końcu dotarli do statku, a Grops tryumfalnym gestem ściągnął z niego maskującą sieć, młody rycerz w pełni zrozumiał, dlaczego sąsiedzi Pogryzionych Wzgórz woleli nie iść w ślady gnomów.

Ba, sam pożałował własnej inwencji.

To, co szumnie nazywano statkiem powietrznym, okazało się bowiem starą, pozbawioną wioseł szalupą z paroma dziurami w dnie, do której rozlicznymi linami przymocowano ogromny pęcherz pozszywany z wielu kawałków cienkiej skóry. Pęcherz był sflaczały, a do jego napełnienia przypuszczalnie służył osobliwy kocioł z przykręconą śrubami pokrywką, przy którym kręcił się teraz zafrasowany Thanni. Through wyciągnął ze skrzyni podłużny mosiężny cylinder i zaczął pracowicie przykręcać do rufy łodzi.

– Niezłe, co? – spytał Grops, układając na dziobie swój drogocenny kosz. – Cudo technologii, mówię ci. Jest w rodzie Thanniego od kilku pokoleń.

– Aha – rzekł słabym głosem Tankred. – I to, jak rozumiem, ma mnie zachęcić do wejścia na pokład?

– Zgadza się – sapnął Grops i pyknął z fajki. – Wśród nas, gnomów, tradycja to podstawa. Pierwszorzędny stateczek, he, he! Dodam, że

wzmocniłem go kilkoma moimi czarami.

– Zdecydowanie dodałeś mi odwagi. – Rycerz wodził wzrokiem od gнома do gнома. Thruugh dokręcił ostatnią śrubę i rzucił klucz Thanniemu, który poplął w dłonie i zaczął coś gmerać przy kotle. W powietrzu rozszedł się nieprzyjemny, gryzący zapach, a wtedy gnom odchylił jakąś szufladę i wsypał do niej proszek wydobyty z worka przy pasie. Zapach przybrał na sile, a do tego rozległo się głośne syczenie.

– Zastanawiam się, czy konno nie dotarłbym na miejsce szybciej – bąknął Tankred.

– Nie masz konia – oznajmił suchym głosem Thanni. – Chyba, że Grops ci jakiegoś wyczaruje, kiedy upora się z resztą roboty.

Smagnął przy tym wzrokiem gнома w szaroburym kapeluszu, który zreflektował się i wyciągnął naręczce długich stalowych rurek, między którymi rozpięta była skórzana płachta. Nie wypuszczając z ust fajki, zaczął montować je na rufie łodzi.

– No, grzeje aż miło! – Thanni poklepał z satysfakcją kociołek i obrócił któreś z rozlicznych pokręteł. Z tulei u szczytu kotła buchnęła struga gorącego powietrza, a skórzany pęcherz zaczął się wypełniać z głośnym szelestem. Gnom rzucił kilka poleceń w ojczystym języku. Grops wyskoczył i sprawdził liny, które mocowały szalupę do najbliższego drzewa, a Thruugh zaczął przeglądać ładunek.

– Będę tego żałował – westchnął Tankred i złapał się burty łodzi, by wskoczyć do środka. Smród buchający z wnętrza kotła był nie do wytrzymania, ale gnomom najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało.

– Jeszcze czasu masz, by się pomyśleć – burknął Thruugh, który właśnie zamontował rusznicę Thanniego w ruchomym uchwycie na dziobie szalupy. – Odbijamy, jak zapada mrok.

– Naprawdę? – jęknął Tankred i spojrzał na słońce. Do wieczora zostało jeszcze kilka godzin. – Przecież mówiłem wam, że mi się spieszy!

– To może poszukaj jednak tego konia – rzekł Thanni. – Bo żaden gnom nie wzbije się w powietrze za dnia. To wbrew naszej zbójeckiej logice.

– Ale jeśli chcesz, mogę rzucić czar, by czas płynął ci szybciej – zaproponował Grops.

– Lepiej nie. – Tankred usiadł pod drzewem i przymknął oczy. – Chcę

wierzyć w to, że moja sytuacja nie może się pogorszyć.



Pomimo okazywanej ostentacyjnie niechęci Tankred był podekscytowany perspektywą odbycia podniebnej żeglugi. Obserwował gnomy spod półprzymkniętych powiek i usiłował zrozumieć sens ich działań, ale ustalił tylko tyle, że w kociołku zachodzą jakieś skomplikowane reakcje chemiczne, które uwalniają ogromne ilości gorącego powietrza. Pozszywany ze skóry pęcherz unosił się nad szalupą i aż drżał od wypełniającego go gorąca, a sznury mocujące statek do drzew trzeszczały od naporu. Słońce jednak nigdy dotąd nie zachodziło tak powoli i rycerzowi wydawało się, że upłynęła wieczność do chwili, gdy Thanni wreszcie dał sygnał:

– Odbijamy!

Rycerz pospiesznie przelazł przez burtę i usadowił się przy kociołku. Dopiero wtedy zauważył, że wszystkie trzy gnomy zastąpiły kapelusze wełnianymi czapami i owinęły się szalikami. Grops spostrzegł wahanie na jego twarzy i rzucił mu gruby pled oraz parę skórzanych rękawiczek.

– Łap, człowiek – mruknął. – Kocyk trochę śmierdzi, bo ostatnio siedział na nim Thruh, ale dasz sobie radę.

– Dzięki – odparł młody rycerz i skwapliwie się otulił. – Przy tym, co bije z tego kociołka, żaden smród już mi niestraszny.

– Musieliśmy dodać więcej tiliusu – bąknął Thanni. – Nie zdarza się, byśmy wozili pasażerów. Jak coś ci się nie podoba, człowiek, zawsze jeszcze zdążysz poszukać konia. Nawiasem mówiąc, te to dopiero śmierdzą.

Tankred nie miał ochoty się sprzeczać, tym bardziej że Thruh, mamrocząc coś pod nosem, sprawnie odwiązał cumy i statek powietrzny zaczął się unosić ku rozgwieżdżonemu niebu. Grops wyrzucił za burtę drabinę linową i Thruh pospiesznie wspiął się na pokład szalupy, rozkołysując ją przy tym o wiele bardziej, niż Tankred by sobie tego życzył. Widok, jaki roztoczył się przed nim, gdy statek wzniósł się ponad korony drzew, sprawił jednakże, że oszołomiony rycerz natychmiast zapomniał o wszelkich niewygodach.

Jak okiem sięgnąć widział szare mokradła pocięte białawymi smugami



mgieł. Tu i ówdzie dostrzegał nieregularne ciemne plamy lasów, między którymi migotało skupisko wesołych światełek.

– Czyżby to była Stęchlizna? – szepnął do siebie.

Nocny wiatr natychmiast rozgonił przykry zapach dobywający się z kociołka. Szalupa kołysała się, gdy gnomy zmieniały pozycję. Thruugh przypadł do mosiężnego cylindra przy rufie i obrócił lekko jedyne pokrętko. Powietrze za cylindrem zamigotało, a wisząca pod skórzanym pęcherzem szalupa skoczyła do przodu. Krajobraz natychmiast zaczął się przesuwać.

Tankred rozglądał się jak oczarowany. Księżyc, choć chudziutki, rzucił stosunkowo dużo blasku, zalewając ziemię długimi smugami cienia. Rycerz doskonale znał geografie Taliadu, ale z trudem rozpoznawał jakiegokolwiek szczegóły. Wydawało mu się, że dostrzega Ugór, miał też wrażenie, że na wschodnim horyzoncie mignęły mu Zapomniane Szczyty, ale na tym się skończyło. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie skrajnego wyobcowania.

„Nie dość, że znalazłem się w krainie, która zapewne nigdy nie stanie się moją ojczyzną, to jeszcze teraz, jakby wszystkiego było mało, unoszę się nad nią – pomyślał. – I to w towarzystwie trzech złośliwych drani, którzy być może szykują mi kolejną przykrą niespodziankę”.

Spojrzał na trójkę gnomów, które gadały do siebie w ojczystej mowie i rechotały z czegoś. Ich oczka lśniły ożywieniem w blasku księżyca, zupełnie jakby dopiero tu, wiele dziesiątków metrów nad ziemią, czuły się naprawdę swobodnie.

– Skąd wy właściwie wiecie, dokąd się kierujemy?! – zawołał, by przekrzyczeć świst wiatru.

– Intuicja! – zawołał Thanni.

– Magia! – huknął Grops.

– Zdrowa rozsądek! – dopowiedział Thruugh, lecz natychmiast zmarkotniał. – Ale nie moja.

Nocny krajobraz płynął nieprzerwanie, pocięty cieniem powietrznego statku. Rycerz szczelniej otulił się kocem, włożył rękawice i próbował przemyśleć kolejne kroki postępowania, ale raz za razem przesywały go dreszcze zimna, które skutecznie rozpędzały wszelkie myśli.

„Muszę dostać się do Ostańca, a stamtąd do Posępnej Łuny – powtarzał, skulony. – Być może tam znajdę kogoś z mego rodu, a jeśli nie, udam się

na granicę z Tangstem, gdzie stoi obóz armii królewskiej. Muszę porozmawiać z wujem Mustaiem, ciotką Talwiną lub choćby wujem Dustunem. Z kimkolwiek, zanim dopadną mnie Pieśniarze”.

Wytężył słuch w obawie, że przez szum wiatru przebije się ostry krzyk jastrzębia, ale noc była cicha. Szalupą kołysało. Kociołek syczał i bulgotał. Gnomy chichotały i sikały z burty na mijane w dole miasteczko. Tankred, ku swemu wielkiemu zdumieniu, uświadomił sobie, że morzy go senność.



Obudził się w chwili, gdy niebo na wschodnim horyzoncie zaczynało już szarzeć. Pomimo koca oraz rękawic był przemarznięty do szpiku kości. Zamrugął pospiesznie, stłumił falę dreszczy i rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że chłód nocy ostatecznie przegnał entuzjazm gnomów. Thugh pochrapywał, skulony pod pledem na rufie, a Grops drzemał na dziobie. Wciąż tłąca się fajka zwisała mu z kącika ust. Czuwał jedynie Thanni, ale i on ziewał szeroko.

– Daleko jeszcze? – spytał szeptem Tankred.

– Jeszcze kwadrans, może więcej – odparł gnom i wyciągnął do rycerza butelczynę oprawioną w skórę. Ten pociągnął tęgi łyk i natychmiast się rozkaszał.

– Żgluch? – wykrztusił.

– Tylko i wyłącznie. – Thanni uśmiechnął się promiennie. – Nie ma lepszego trunku na podniebne wojaże.

Choć paskudny smak nadal utrzymywał się w jego ustach, po ciele Tankreda rozlewało się już ożywcze ciepło. Zatarł dłonie w rękawicach, zerknął z ukosa na gнома i postanowił zadać pytanie, które gnębiło go od chwili wejścia na powietrzny statek.

– Dlaczego ścigał was ten Jastrzębi Rycerz, przed którym was przypadkowo ocaliłem?

– Przypadkowo. – Gnom uśmiechnął się tajemniczo i pociągnął z butelki. – Grops nam wszystko powiedział. Masz na pieńku z tymi waszymi Pieśniarzami, co?

– Mam. – Rycerz skrzywił się lekko. – I wolałbym na razie o tym nie rozmawiać.

– Rozumiem. Są ciekawsze tematy, nawet gdy człowiek nie ma na głowie Pieśniarzy i Jastrzębich Rycerzy.

– To powiesz mi, czemu na was nastawał, czy nie?

– Nie – odparł gnom i nachylił się nad którąś z kontrolek zamocowanych w kotle. – Są sprawy, o których się nie rozmawia, rycerzu. To sprawy trudne i niebezpieczne, grożące bliskim kontaktem z Pieśniarzami. – Zamyślił się. – Fatalnie poszło – rzekł po chwili, jakby wiedział, że mu nie wolno, ale mimo to musiał podzielić się z kimś emocjami. – O mało co już byśmy się nie spotkali. Jestem ostrożny z natury i kazałem Gropsowi zostać w tawernie ze złotem. Dobrze zrobiłem, bo weszliśmy prosto w zasadzkę, a Grops kiepsko biega, nawet bez ciężkiego kosza na plecach. Na szczęście – gnom spojrzał przy tych słowach na muszkiet, osadzony w widełkach na dziobie – wasza broń robi odpowiednie wrażenie.

– Broń? – Tankred zmarszczył brwi. – A macie do niej proch? Gnomie, toż to w tej chwili najcenniejsza substancja w całym Taliadzie! Skąd go macie?

– Jak zapewne wiesz, rycerzu, istnieją też sprawy trudne i niebezpieczne, grożące bliskim kontaktem z ziemią.

– Rozumiem. – Tankred uniósł obie dłonie. – O nic już nie pytam. Choć... Na Pieśni, ciekawość nie daje mi spokoju. Czy sposób działania tego kociołka oraz owego cylindra, przy którym drzemie teraz Thrugh, również należy do tych spraw?

– Ba, jest pierwszy na liście.

– Szkoda. Jesteście intrygującym narodem. Wiesz, że mój wuj Olve planował nawiązać z wami stosunki dyplomatyczne? Ziemie mojego rodu graniczą z Pogryzionymi Wzgórzami.

Natychmiast pożałował tych słów, gdyż wspomnienie nieżyjącego wuja obudziło ostry ból w jego sercu.

– Coś podobnego. – Gnom zmrużył oczy, które błysnęły niepokojąco. – A więc jesteśmy sąsiadami. No, no... Dobra, jeśli chcesz się przydać, budź Thrugha i Gropsa. Za moment lądujemy.



Po podniebnej podróży noc spędzona na powierzchni ziemi wydawała się ciepła, wręcz duszna. Tankred pożegnał się zdawkowo z gnomami i odprowadził wzrokiem ich statek, który wzbił się w powietrze i skierował nie na wschód, ku Pogryzionym Wzgórzom, ale dalej na północ, a potem nabrał tchu i spojrzał przed siebie.

Nadciągał brzask, ale między drzewami nadal migotały niespokojne pochodnie. Niosły się pokrzykiwania po mandyliońsku, butne i dumne, odpowiadało im rzenie koni i trzaskanie drzwiami. Jakiś oddział galopował leśnym duktem ze szczękiem oręża, dudnienie kopyt niosło się echem między pniami wzmocnione chrapliwą pieśnią rogu. Tankred poczuł, że serce bije mu szybciej.

Gościł w Ostańcu wielokrotnie i miejsce to zawsze kojarzyło się mu z kipiącą, niczym nietłumioną energią. Przed rozpoczęciem wojny była to jedna z największych i najlepiej znanych gospód Taliadu, która zawdzięczała sukces położeniu na skrzyżowaniu najważniejszych szlaków królestwa. Z chwilą przejścia przez wojska Mandylionu gospoda przekształciła się w fort ze stałą załogą oraz doskonale zaopatrzonymi magazynami. Oddział Zakonu Stalowej Duszy, do którego należał Tankred, zajeżdżał tam często, by zostawić rannych, wymienić konie, pobrać świeże rozkazy, zjeść coś i natychmiast wyruszyć w dalszą drogę. Zafascynowany młodzieniec miał wówczas wrażenie, że w Ostańcu bije serce mandyliońskiej armii, doskonale zorganizowanej, dumnej i wciąż zwycięskiej. Zawsze wjeżdżał do fortu z bijącym mocno sercem, a wyjeżdżał z uniesioną wysoko głową.

Teraz, gdy stał za drzewem i przytykał policzek do kory wilgotnej od rosy, zadał sobie serię pytań, które okazały się trudniejsze, niż zakładał.

„Czy ja nadal do nich należę? Czy to wciąż moje miejsce? Czy wolno mi tam wejść i poprosić o pomoc? Mnie, rycerzowi, który trafił do niewoli Pieśniarza. Który oszukał Widmo, wszedł w łaski elfiego Poszukiwacza, zabił Jastrzębiego Rycerza i zadaje się z podniebnymi rabusiami, również poszukiwanymi przez Pieśniarzy”.

Widok tętniącego życiem, wiecznie aktywnego Ostańca obudził w nim

bezgraniczną tęsknotę za światem, do którego należał zaledwie parę dni wcześniej, światem niesprawiedliwym i pełnym tragizmu, ale mimo wszystko w miarę zrozumiałym i poukładanym.

– Nie – szepnął i zacisnął pięści. – Nie mam pojęcia, co się wokół mnie dzieje, ale nadal jestem mandyliońskim rycerzem. Jestem Tankred Hanstar i muszę odzyskać dobre imię.

Nabrał tchu i ruszył między drzewami ku coraz wyraźniejszym konturom fortu. Widział już bramę i łopoczące nad nią chorągwie, wedle tradycji wywieszane przez oddziały goszczące w Ostańcu. Wstawał szary, mglisty świt, który pochłaniał wszelkie kolory, ale młodemu rycerzowi wydawało się, że rozpoznaje granatowy sztandar z szarymi kłębami, należący do rodu Tenketarów, tak wielki, że zasłonił inny wiszący tuż przy nim.

– Nadęte pyszałki – burknął, niespodziewanie zadowolony z tego, że wracają do niego stare uprzedzenia. Czuł, że powoli na powrót przywdziewa skórę rycerza mandyliońskiego. Wyprostował się i resztę drogi do bram fortu pokonał z dumnie uniesioną głową.

Wokół Ostańca panował tak intensywny ruch, że bram nie zamykano zgoła nigdy, ale strażnicy nie stracili nic z czujności.

– Stać! – zawołał jeden z nich, idąc ku niemu po rozdeptanej przez dziesiątki koni i wozów błotnej brei. – Ktoś zacz?

– Tankred Hanstar z Zakonu Stalowej Duszy, podwładny Barduna Fulghama – oznajmił młodzieniec z wystudiowanym spokojem i chłodną rezerwą, jak każdy pasowany do natrętnego wartownika.

– Chorągiew Fulghama od trzech dni przebywa w Pogorzeliczy! – oznajmił siwowłosa mężczyzna w napierśniku, schodzący po schodach strażnicy. Bez wątpienia był dowódcą straży. – Cóż to za spóźnienie?

– Odniosłem ranę w bitwie z Mącicielami w Słonych Borach – wycedził Tankred. – Z wszelkich zarzutów wytłumaczę się przed samym Fulghamem, a teraz, jeśli pozwolicie, chciałbym..

– Powoli. – Dowódca straży, najwidoczniej nawykły do kontaktów z pyszałkowatymi młodymi rycerzami, nie miał zamiaru dać się zakrzyczeć. – Pokaż sygnet rodowy.

Tankred zaklął w duchu. Jego sygnet wraz z nielicznym dobytkiem został w skrzyni w domu Vothanów, gdzie młodzieniec dochodził do siebie po ranie.

Mógł poprosić Vilienę o inny, ale nie wiedział, z kim przyjdzie mu się spotkać po drodze, i bał się, że pierścień by go zdradził.

– Został w Mieście na Skale – warknął.

– Hanstar podróżujący bez sygnetu? – Siwowłosy sierżant uniósł brew. – W głowie mi się to nie mieści.

– Posłuchaj, dobry człowieku, jeśli trzeba...

– Niczego nie trzeba. Idź stąd. – Strażnik zwęził oczy.

Tankred zacisnął zęby. W jego głowie trwała chaotyczna gonitwa myśli.

„Mogę na niego nawrzeszczyć. Mogę próbować nawet wedrzeć się do środka, ale wszystko to skończy się tylko i wyłącznie upokorzeniem. Nie mogę w to uwierzyć! Odkryłem istnienie statku powietrznego gnomów, a nie potrafię przekonać zwykłego sierżanta, by wpuścił mnie do posterunku mojej własnej armii?”

Zaczynało siąpić. Przez twarz sierżanta, twardą i nieustępliwą, przemknął grymas niesmaku.

– Zamykamy – rzucił do podwładnych.

Wartownicy, ciągnąc płaszcze po błocie, ruszyli w stronę ogromnych wrót. Te drgnęły i okno na świat, za którym zataesknął Tankred, świat stajni, kuźni, ciasnych pryczy i męskich rozmów przy stole w karczmie, nagle zaczęło się zamykać.

– Stój! – zawołał do siwowłosego dowódcy straży, który już się odwrócił. – Na pewno istnieje jakiś sposób, bym sam cię przekonał, że...

– Hanstar?! – wykrzyknął ktoś na podwórzu. – Tankred Hanstar? Jak ty się tu dostałeś?

Głos był znajomy i pobrzmiewało w nim niedowierzenie.

Tankred uniósł głowę i przekonał się, że sztandar wiszący obok Tenketarów należy do Vlistunów. Pokręcił głową ze zdumieniem.

– Dagnaar?



– Jeśli chcesz, możesz napisać skargę na tego strażnika – rzekł Dagnaar,

stawiając przed nim wielki kufel grzanego piwa oraz drewnianą miskę pełną klusek z mięsem. – Ba, co tam. Możemy pójść choćby i teraz i spuścić draniowi łomot. Fulgham nas usprawiedliwi.

– Daj spokój. – Tankred chciwie wpatrywał się w posiłek, a jego żołądek burczał głośno i niecierpliwie. – Wypełniał tylko swoje rozkazy.

– Gadasz jak typowy skryba. – Dagnaar roześmiał się. – Czy którykolwiek z Hanstarów jest w stanie się wściec czy komuś zazdrościć? Czy wy wszystko musicie analizować i logicznie wyjaśniać?

„Nie wszystko da się wyjaśnić” – pomyślał ponuro Tankred, ale zmusił się do krzywego uśmiechu.

– Zjedz coś. – Dagnaar spoważniał. – Muszę tylko przekazać rozkazy moim ludziom i zaraz do ciebie wracam. Wyruszamy za godzinę, a więc mamy chwilę, żeby pogadać.

Klepnął Tankreda po ramieniu i wyszedł. Drzwi karczmy wpuściły powiew dżdżystego wiatru i znów się zatrzasnęły, zamykając młodego Hanstara w świetle, który znał tak dobrze. Na ławie obok niego kilku żołnierzy pałaszowało śniadanie, sprawnie, szybko i po żołniersku, a wysoka, niewyspana dziewczyna służebna zbierała pierwsze opróżnione miski, ignorując niewybredne komentarze. Za nimi dwóch rycerzy z rodu Tenketarów w tunikach z szarymi kłębami omawiało najlepszą drogę powrotną do obozu armii królewskiej, tradycyjnie głośno i z lekko wyczuwalną wzdrganą dla reszty świata. Skądś dobiegało pochrapywanie żołnierza, który właśnie zakończył nocną wartę, kucharz bez zaangażowania łąjał pomocnika, ktoś upuścił misę na ziemię i zaklął z furją. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, końskiej sierści i smażonych jajek.

Przez długą chwilę Tankred ulegał iluzji, w której ponownie wrócił do znajomego świata. Do świata, w którym się wychował. Jadł kluski, które nigdy dotąd nie smakowały tak wspaniale, popijał piwo i z lubością wsłuchiwał się w rozmowy toczone przy sąsiednich stołach.

Czar prysł, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Dagnaar. Umysł Tankreda znów zaczął pracować na najwyższych obrotach.

– Jak to „przekazać rozkazy moim ludziom”? – spytał, dopijając piwo. – Przecież trafiliśmy do Stalowej Duszy mniej więcej w tym samym czasie i zostało nam jeszcze pół roku służby.

– Klauzula Rodowa – rzekł Dagnaar. – Każdy Zwierzchnik ma prawo wyciągnąć członków rodu z Zakonu na czas nieokreślony w chwili, gdy zagrożone są interesy rodu. Spójrz na tych. – Wskazał kciukiem obu Tenketarów. – Przecież są młodszy od nas. Założę się, że powinni być nadal w Zakonie.

Tankred pokiwał głową i zerknął we wskazanym kierunku. Ród Tenketarów miał monopol na produkcję prochu i broni palnej, dzięki czemu w dalekim Mandylionie cieszył się ogromnym poważaniem i zgromadził niewyobrażalny majątek. Konieczność opuszczenia ojczyzny kosztowała ich bardzo wiele – nie dość, że stracili kilka okrętów wraz z bezcennymi surowcami i paroma członkami rodu, to jeszcze okazało się, że w całym Taliadzie najwyraźniej nie ma złóż siarki i dalsza produkcja prochu jest właściwie niemożliwa, a zabrane zapasy kończyły się zastraszająco szybko. Tenketarowie miotali się jak szaleni po zdobytych ziemiach i szukali surowców, próbując desperacko odbudować pozycję rodu. Wedle plotki to właśnie oni namówili króla do podjęcia agresywnych kroków wobec Tangstevu, kierowani przeświadczeniem, że na krasnoludzkich wyżynach znajdują się złoża siarki.

Tankred pokiwał głową i zerknął na Dagnaara.

– O Tenketarach i ich kłopotach wiedzą wszyscy – rzekł wymijająco. – O problemach Vinkenarów również. Pierwsze słyszę, by interesy Vlistunów także były zagrożone.

– Nie mogę o tym mówić. – Dagnaar zwęził oczy. – Wybacz. Opowiedz mi lepiej o sobie. Rozstaliśmy się chyba jeszcze w Mieście na Skale, co?

Myśli Tankreda znów rozpoczęły gorączkową gonitwę. Hanstarowie byli rodem niezwykle lojalnym wobec siebie i niechętnie wchodzili w jakiegokolwiek sojusze. Od wieków trzymali się zasady, by ufać tylko innym członkom rodu, ale po przybyciu do Taliadu wiele się zmieniło. Dagnaar nie był kimś zupełnie obcym. Podczas długich miesięcy wspólnej służby pod rozkazami surowego Barduna Fulghama obaj młodzi rycerze nauczyli się sobie ufać. Poza tym tarapaty Tankreda związane były w znacznym stopniu z Pieśniarzami, a za nimi nikt nie przepadał.

Nabrał więc tchu i rozpoczął opowieść.

Jego zdania były jednak krótkie, pozbawione emocji i dokładnie odmierzone. Nie wspomniał ani słowem o elfie, który podążał za nim



od Miasta na Skale, pominął również Jałowca oraz pobyt w Stęchliźnie, a o wizycie w Ugorze wspominał zaledwie jednym zdaniem. Dagnaar co chwila zerkał w bok, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Chcesz powiedzieć, że dotarłeś z Ugoru tutaj w raptem półtora dnia? – spytał z niedowierzaniem, gdy jego przyjaciel zamilkł.

– Koń mi padł dziś w nocy – skłamał gładko Tankred. – Tylko tyle masz do powiedzenia, zielarzu? Tylko to cię dziwi?

– Nie, daj spokój! – Dagnaar machnął dłonią i odwrócił wzrok. – W głowie się to wszystko nie mieści.

– Słyszałeś może o moim uwięzieniu? – naciskał Tankred. – Mówiono o tym w Stalowej Duszy czy w armii królewskiej? A może twój ród coś wie?

– Nie. – Dagnaar pokręcił głową. – Nie miałem o tym pojęcia. Pamiętaj jednak, że Pieśniarze nikomu nie zwierzają się ze swoich zamiarów. Te typki toczą własne wojny i czasami trudno mi uwierzyć w to, że są po naszej stronie.

– A więc nic nie wiesz?

– Nie, skrybo, naprawdę nic. Wiem natomiast, co bym zrobił na twoim miejscu.

– Słucham. – Tankred oparł się łokciami o brudną ławę.

– Udaj się prosto do króla – rzekł Dagnaar. – On jeden w całym Nowym Mandylionie jest w stanie narzucić Pieśniarzom swoją wolę. Jest akurat bardzo zajęty – słyszałem, że negocjacje z krasnoludami z Tangstevu się przedłużają – ale na pewno znajdzie dla ciebie czas. Zaraza, jesteś przecież synem Vildurfa, predestynowanym do roli Zwierzchnika Rodu!

Tankred nie mógł nie zauważyć, że Dagnaar wie o śmierci Olwego, ale zgrabnie ją pominął. Z trudem opanował odruch przygryzienia wargi.

– Król na pewno nie pozwoli, aby jeden z jego ulubionych rodów został pogiębiony przez Pieśniarzy – ciągnął Dagnaar.

– A co, jeśli Pieśniarze już mu nagadali bzdur? – Tankred przekrzywił lekko głowę.

– Nie wiem – odparł młody Vlistun, ale jego oczy zabłyśły, jakby niespodziewanie przyszło mu do głowy coś zabawnego. – Dobrze by było, gdybyś po drodze dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu.

– Bohaterskiego – parsknął Tankred. – Próbowałem już w Słonych Borach. Kiepsko wyszło.

– No to się przyłóż, zamiast marudzić – rzekł Dagnaar i wstał, dopinając pasa. – Za kwadrans wyjeżdżam do Przytuliska, niewielkiego obozu dla uchodźców pod Ścianą. Ponoć panują tam jakieś niepokoje. To po drodze na północ, do obozu królewskiego. Jedziesz z nami? Znajdę ci jakiegoś konia, jeśli chcesz.

– W obozie dla uchodźców ciężko o okazję do bohaterskich czynów – rzekł Tankred, ale podniósł się. – Co mi tam, jadę z wami.



Ktoś rzucił mu płaszcz, szary i ciężki, ktoś podał zwykłą włócznię, jeszcze ktoś inny podprowadził konia. Tankred bez słowa ujął broń, wsunął ją w tuleję przy siodle, a potem poprawił miecz i wskoczył na grzbiet wierzchowca. Otaczali go inni zbrojni – jeden przytracał tarczę do pleców, inny ziewał, jeszcze inny opowiadał jakąś historyjkę towarzyszom, którzy z krzywymi uśmiechami czekali na finał.

Przez piękną, krótką chwilę Tankred czuł się tak, jakby nigdy nic się nie zmieniło.

Potem uświadomił sobie, że z opowiadanej historyjki nie rozumie ani słowa. Otaczający go jeźdźcy byli wysokimi mężczyznami o szczupłych twarzach i atramentowoczarnych włosach.

„Najemnicy – uświadomił sobie. – Najemnicy z Pogranicza. Niesamowite”.

Mimo pospiesznego, nierzadko chaotycznego odwrotu Mandylion zdołał ocalić część swej pysznej armii i król wspólnie z rodami mógł nadal wystawić kilkanaście tysięcy wojowników. Zaciąganie zbrojnych wśród miejscowych należało więc do rzadkości, tym bardziej że finanse większości rodów – choć żaden by tego głośno nie przyznał – były w opłakanym stanie.

„Czyżby Vlistunowie ponieśli ostatnio wielkie straty? – myślał zaintrygowany Tankred. – Chyba tak. Czy w przeciwnym razie prowadziliby zaciąg?”

Jego wzrok prześlizgnął się po najemnych żołnierzach, rejestrując kolejne szczegóły. Długie, proste miecze, cieńsze od mandylionów. Włócznie z długimi grotami, przypominającymi klingi mieczy. Lamelkowe zbroje. Nagie przedramiona z tatuażami. Surowe, pobliźnione twarze. Weterani, bez dwóch zdań.

Zdumienie Tankreda pogłębiło się, gdy z gospody wyszło dwóch Tenketarów. Rozbawieni jakimś żartem, poprawili muszkiety na plecach i dosiedli koni, po czym stanęli na czele szyku.

„Co? Ród Tenketarów? Przecież tym oddziałem miał dowodzić Dagnaar?”

Jeden z Tenketarów, chudy dryblas z policzkami pokrytymi meszkiem, spojrzął za siebie ze zniecierpliwioną miną, jakby nie uśmiechało mu się czekanie na kogokolwiek. Młodszy, nieco puciołowaty blondyn o różowych policzkach i złym spojrzeniu, znów coś szepnął, a jego towarzysz parsknął urywanym śmiechem.

Tankred miał wrażenie, że żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi. Nie chcąc, by do tego doszło, niby przypadkiem odwrócił konia. Naraz dostrzegł, że drzwi innego z budynków mieszkalnych fortu otwierają się, z wnętrza wyłania się Dagnaar, a za nim..

Pieśniarz.

Serce młodego Hanstara zamarło. Błyskawicznie pochylił głowę, jakby sprawdzał coś przy siodle, ale po chwili zebrał się na odwagę i zerknął spode łba. Nie był to Alisann ani żaden ze znanych mu Pieśniarzy. Był niemłodym, ale energicznym, lekko łysiejącym mężczyzną o oku pokrytym bielmem. Szedł przed siebie, nie zwracając uwagi na otoczenie, prowadzony spojrzeniami spoważniałych nagle najemników z Pogranicza, aż zatrzymał się i z niecierpliwością pstryknął palcami. Natychmiast zjawił się przy nim giermek z koniem.

„Nie zauważył mnie – uświadomił sobie Tankred. – Nie wie o moim istnieniu”.

Kątem oka dojrzał Dagnaara, również wskakującego na koński grzbiet. Wydawało mu się, że młody Vlistun mrugnął do niego porozumiewawczo,

zanim wysforował się na czoło oddziału i rzucił kilka rozkazów. Prychnęły wierzchowce, szczęknął oręż. Długi szereg konnych wojowników ruszył ku otwieranej właśnie bramie.

Znów zaczynało siąpić. Zaszumiało powietrze rozcinane przez Widmo. Kopyta ciamkały w błocie. Wyruszali.



Trakt wiódł wśród bukowych drzew, wysokich i strzelistych. Las ociekał wilgocią, która skutecznie zabijała wszelką ochotę do żartów. Najemnicy z Pogranicza milczeli. Płaszcz nasiąkały wodą. Sztandary Vlistunów zwisały smętnie.

Po jakiejś godzinie od wyruszenia z Ostańca Tankred wreszcie wmówił sobie, że wszystko się poukłada. Postanowił, że będzie towarzyszył oddziałowi Dagnaara aż do samego Przytuliska, a o zmroku wymknie się dyskretnie i ruszy na północ.

„Przy odrobinie szczęścia jutro wieczorem powinienem być w Posępnej Łunie – myślał. – Taliad przecież nie jest aż taki wielki. Jeśli wszystko pójdzie dobrze...”

Szum deszczu przeciął suchy huk wystrzału. Bryzgnęła krew.

Na moment czas się zatrzymał.

Wyższy z Tenketarów powoli, wręcz niechętnie, zaczął zsuwać się z siodła. Tankred zdążył zauważyć, że brakowało mu połowy twarzy.

Potem eksplodowało piekło.

Dagnaar wykrzykiwał jakieś rozkazy, najemnicy klęli, rozglądali się nerwowo, niektórzy już zawracali konie w stronę, z której padł strzał. Jeden z nich, jadący tuż za Tankredem, stanął w strzemionach i krzyczał coś głośno, przyciągając uwagę innych, ktoś na tyłach z trudem panował nad wierzchowcem. Drugi Tenketar chciał zeskoczyć z siodła i przypaść do towarzysza, gdy rozległ się ponowny wystrzał, który roztrzaskał mu czaszkę.

– Równaj linię! – darł się Dagnaar, ale nikt go nie słuchał. – Równaj!

Zaszumiąło powietrze, rozcinane przez Widmo, które pomknęło w kierunku niewidzialnego strzelca. Jednocześnie Pieśniarz huknął coś głośno, zwracając na siebie uwagę najbliższych najemników, spiął konia i przegalopował wzdłuż szeregu. Wystarczyło jego wściekłe spojrzenie i kilka wywarczanych głucho komend, by wśród jeźdźców zapanował względny spokój.

– Wy trzej ruszacie tamtędy! – krzyczał Pieśniarz. – Wy tędy! Wy ze mną. A ty... – Odwrócił się do Dagnaara i zmiażdżył go wzrokiem. – Jedź do Przytuliska.

W głosie Pieśniarza kryła się bezbrzeżna pogarda i młody rycerz pobladł.

– Ale...

– W drogę! – huknął Pieśniarz.

Uszczuplony nieco oddział ruszył przed siebie, prowadzony przez rozwścieczonego Vlistuna. Na jego policzkach migotały czerwone plamy i Tankredowi było go prawie żal. W jego głowie zrodziło się jednak pytanie, które nurtowało go bardziej niż udręka przyjaciela:

„Kto darzy nienawiścią Tenketarów? I kto jest na tyle rozrzutny bądź szalony, by strzelać do nich z broni palnej, skoro proch jest wart swej wagi w złocie?”



Jakąś godzinę później między wilgotnymi pniami zamajaczyła niewyraźna jeszcze Ściana, gigantyczny klif, który wyrastał w samym środku bukowego lasu i chronił przed ulewami nadciągającymi z północy. U stóp klifu powstało niewielkie miasteczko namiotów, lepianek i szałasów, obwiedzione mizerną palisadą. Ku niebu wznosiło się kilka wątych strużek dymu.

Tankred stłumił dreszcz, wywołany nie tylko przez chłód i wilgoć, ale też świadomość tego, co zaraz zobaczy. Na skutek działań wojennych Królestwo na Obczyźnie bez przerwy przemierzały grupy uchodźców ze spalonych, wysiedlonych bądź zarekwirowanych na potrzeby wojska osad. Zajęci wojną Mandyliończycy nie mieli czasu ani możliwości ich kontrolować – wielu uciekinierów bez przeszkód osiedlało się więc gdzieś indziej lub wędrowało na wschód i południowy wschód, ku Pograniczu i innym ludzkim królestwom.

Niemalże drugie tyle jednak nie było już w stanie ułożyć sobie życia na nowo. Niektórzy tworzyli zbrojne gromady napadające wsie, inni przenikali do miast, gdzie łatwiej było utrzymać się z żebractwa, a pozostali włóczyli się po traktach i borach, żyjąc z tego, co znajdują. Bez względu na to, co się miało z nimi stać, każda grupa uchodźców przedstawiała równie smutny widok. Ubrane w łachmany dzieci o szklistych oczach, ponurzy, zarośnięci mężczyźni, przerywający rozmowy na widok zbrojnych, i na poły szalone kobiety, gotowe do najdziwszych czynów. Za nimi podążały wychudzone, skamlące psy.

Przekleństwem rodu Hanstarów był obiektywizm. Tankred wiedział, że to oni, rycerze Mandylionu, są odpowiedzialni za niedolę tych ludzi, i na widok grup uchodźców odczuwał litość oraz wyrzuty sumienia. Tym razem jednak, gdy ich uszczuplony oddział zbliżał się do skleconych z nieoheblowanych pni sosny wrót osady, obudziło się w nim inne uczucie.

Był nim narastający niepokój.

To, że osada była otoczona palisadą, można było sobie jeszcze jakoś wytłumaczyć, ale tego, że stał przed nią długi szereg furgonów, nie rozumiał w ząb.

Woźnice i strażnicy karawany, o dziwo bez żadnych znaków na tunikach, powitali ich oddział ochrypłymi okrzykami, do których dołączyli wartownicy na murach.

– Wreszcie jesteście! – zawołał utykający lekko żołnierz, który wyszedł im na spotkanie, opierając się na halabardzie. – Czemu trwało to aż tak długo?

– Nie twój interes! – parsknął Dagnaar, który usilnie próbował odzyskać autorytet zburzony przez energicznego Pieśniarza. – I zaraz mi się wytłumaczysz z tego poufałego tonu!

– Eee, wybaczcie, panie! – zreflektował się w porę żołnierz i wykonał niezdarny ukłon. – Nie poznałem! Sytuacja opanowana, ale wydaje mi się, że te gnojki...

– Stul gębę! – huknął Dagnaar i zawrócił konia. – Dziesiątki Tingva i Grinha do osady, dziesiątka Murga strzeże traktu, dziesiątka Vilgu w odwodzie.

Huknęły rozkazy w nieznannej mowie, załomotały kopyta, zaplaskały rozdeptywane kałuże. Wojownicy z Pogranicza pognali na pozycje, powiewając wilgotnymi płaszczami, i Tankred niespodziewanie został sam na błotnistej równinie. Dangaar spojrział na niego i naraz jakby sobie coś

przypomniał. Uderzył rumaka piętami i podjechał do przyjaciela, sięgając za pazuchę.

– Będę miał tu więcej roboty, niż mi się wydawało – burknął niechętnie.

– Dagnaar, o co tu chodzi? – szepnął Tankred, rozglądając się na boki. – Co tu robią te wozy? Co to znaczy, że sytuacja jest opanowana?

– To nie twoje zmartwienie – przerwał mu niecierpliwie Vlistun i wyciągnął jakieś zawiniątko, opakowane w skórę i zalakowane. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że powinieneś zrobić coś, co zaskarbi ci przychyłność króla?

– Pamiętam – bąknął niepewnie Tankred.

– Weź to. – Dagnaar wcisnął mu do ręki zawiniątko. – I schowaj dobrze, bo nie wiadomo, czy Mącciele nie mają tu swoich. Pędź do króla jak najszybciej i dostarcz mu to do rąk własnych. To nowe dane wywiadowcze zdobyte przez Pieśniarzy. Ja miałem je zawieźć, ale... – Odwrócił spojrzenie. – Ale czeka mnie niezła przeprawa z tymi tam – dodał, przełykając ślinę.

– Dagnaar, naprawdę chciałbym wiedzieć coś więcej o...

– O tajemnicach rodu Vlistunów? – Przyjaciel wykrzywił się szpetnie. – Jedź, Tankred. Zanim Jastrzębi Rycerz złapie twój trop. I uważaj na siebie.

Z tymi słowami zawrócił konia i ruszył powoli w stronę bramy. Młody Hanstar odprowadził go wzrokiem, chowając zawiniątko pod płaszczem.

„Może tak będzie najlepiej – pomyślał z niechęcią. – To, co tu się dzieje, raczej nie jest moją sprawą. I chyba nie chcę, by się nią stało”.

Już ujmował wodze, by popędzić konia i skierować się na północ, gdy niespodziewanie jego uwagę przykuł jakiś ruch na skraju lasu. Na trakcie pojawiło się dwóch najemników z Pogranicza, którzy pędzili co koń wyskoczy i wiedli luzaka z przytroczonym...

„Nie, to niemożliwe!”

Luzak został nieco z tyłu, dzięki czemu Tankred nie miał najmniejszej wątpliwości, że do jego grzbietu przywiązano Gropsa. Gnom był brudny od błota, szarobury kapelusz miał wciśnięty za pasek, a z fajki został mu jedynie ułamany ustnik, ale nie przestawał się wic i szarpać. Prowadzący luzaka najemnicy kierowali się prosto na Przytulisko i z głuchym tętentem przemknęli przez bramę.

Kilka elementów układanki niespodziewanie się połączyło.



„Thanni... Thanni miał mandylionowski muszkiet! – pomyślał oszołomiony rycerz. – Ale po co miałyby strzelać do Tenketarów? Co się stało z nim i z Thrughem? No i gdzie jest Pieśniarz?”

Naraz Tankred zapomniał o trakcie na północ i o przesyłce wręczonej mu przez Dagnaara. Wiedziony niezrozumiałą, chorą ciekawością, skierował się w stronę bramy, którą przed chwilą przejechali dwaj najemnicy. Ich towarzysze, strzegący traktu i wozów, odprowadzali Hanstara wzrokiem, ale żaden z nich nie powiedział ani słowa. Byli świadkami jego rozmowy z młodym Vlistunem i choć nie potrafili ustalić jego statusu, wiedzieli, że nie jest jednym z nich.

Tankred wślizgnął się do środka Przytuliska i odkrył, że tam, gdzie spodziewał się ujrzeć chaotyczny labirynt szałasów i lepianek, panuje zaskakujący porządek. Chaty faktycznie wzniesiono niedbale i w pośpiechu, ale starannie wytyczono odległości między nimi. Młodzieniec miał wrażenie, że spogląda na obóz wojskowy, a nie na przytułek rozbitków życiowych, z tą różnicą, że koszary z reguły wyposażone były w rzędy okien.

Na ścianach, które widział, nie widniały żadne otwory.

Co więcej, w nawet najbardziej ponurych obozach wojskowych nigdy nie panowała absolutna cisza. Żołnierze przechadzają się, ostrzą broń, jedzą, przekomarzają się, niektórzy ćwiczą, inni pokrzykują do towarzyszy. W Przytulisku natomiast panowało nieprzyjemne, martwe wręcz milczenie, zakłócanie jedynie przez stłumione wrzaski Dagnaara dobiegające z którejś chaty. Najemnicy z Pogranicza, niektórzy spieszeni, inni nadal w siodłach, trwali dookoła nieruchomo niczym nastroszone, złowrogie ptaki. Strażnicy na palisadzie włączyli się ponuro, ale zamiast rozglądać się po okolicy, nie spuszczaali spojrzeń z dachów i drzwi.

Napięcie pełzało Tankredowi po plecach i dusiło go za szyję.

Zsunął się z siodła i przywiązał konia obok rumaka Dagnaara. Wyteżył słuch.

– W dupie mam twoją magię! – darł się młody Vlistun. – Odpowiadaj na pytania!

Szare chmury kłębiły się nad Przytuliskiem. Najemnicy wiercili się, gadali do siebie półgłosem, spluwali w błoto, któryś ukradkiem pociągał z bukłaczka. Młody rycerz miał wrażenie, że przyglądają mu się setki ludzi. Jego wzrok

przemknął po chatach. Gotów był przysiąc, że z każdej szczeliny wзира przynajmniej jedna para oczu.

– Przytulisko – mruknął do siebie. – Tak, jasne...

– A żebyś wiedział – odezwał się jakiś głos, cichy, wyczuwalny tylko na skraju świadomości, a mimo to słyszalny. I znajomy.

Tankred odwrócił się gwałtownie i ku swemu bezgranicznemu zdumieniu ujrzał Jałowca, który jak gdyby nigdy nic siedział pod ścianą jednej z chat i nucił coś pod nosem. W jego oczach błysnęło ostrzeżenie.

– Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów – szepnął. – Nie odzywaj się do mnie. Po prostu tu podejdź, powoli, jakby od niechcienia.

Rycerz naraz zrozumiał, że jeśli spełni prośbę druida, przekroczy granicę, zza której się nie wraca. Przełknął ślinę i zeszywniał, a jedna z jego nóg cofnęła się, jakby odruchowo szykował się do ucieczki.

– Dobra, rozumiem. – Jałowiec przymknął oczy, które niemalże znikły pod krzaczastymi brwiami. – Namawiam cię do niewłaściwych rzeczy. Zapomnij o mnie. Idź przed siebie.

– To nie takie proste – szepnął rycerz. – Co ty tu robisz? Jak się tu znalazłeś?

– Wszedłem i usiadłem. A te barany mnie nie widzą, bo sobie tego nie życzę.

– Ale po co?

– Idź przed siebie – powtórzył druid. Rycerz poczuł, że przechodzą go dreszcze. Usta Jałowca nie poruszały się, ale jego słowa brzmiały niezwykle wyraźnie. – Albo nie. Wsiadaj na konia i wiedz stąd.

– Dlaczego?

– Bo ród Vlistunów popełnił błąd. Ogromny. Większy nawet od pomyłki tych partaczy Vinkenatów, którzy spustoszyli Miasto na Skale. A za błędy trzeba karać. Uciekaj stąd, Hanstar.

Tankred powoli rozejrzał się dookoła. Chaty, ciche i złowieszcze. Błyszczące oczy w każdej szczelinie. Zbrojni na dziedzińcu i na murach. Narastające napięcie, powodujące ciarki na grzbiecie.

I nagle zrozumiał.

– Jesteście szaleni.

– Och, nie – zaśmiał się bezgłośnie Jałowiec. – Skądże znowu. Dbanie o równowagę to przejaw zdrowego rozsądku, a nie szaleństwa. Uciekaj, Hanstar.

Po plecach Tankreda przemykały dreszcze. Przygryzł suchą nagle wargę, zrobił kolejny krok do tyłu, w kierunku konia, gdy nagle trzasnęły pchnięte drzwi i z chaty wypadł Dagnaar. Gęstniejący szum deszczu przecięły jego wściekłe słowa:

– Trzymajcie mnie, bo zatłukę tego knypka! – ryknął i kopnął jakiś kamień, który podskoczył kilkakrotnie i wpadł do kałuży. Dowódca załogi osady podszedł do niego i wyszeptał mu kilka słów do ucha, a potem pokazał mu rękojeść długiego noża i wzruszył ramionami. Dagnaar zacisnął mocno zęby i poczerwieniał, jakby tłumił gwałtowne emocje, a potem spojrzał w stronę lasu, tam, skąd lada chwila miał wychynąć Pieśniarz z Widmem i resztą eskorty.

– Nie – powiedział głośno. – Nie. Weźmy się lepiej do roboty.

– Biorą się do roboty. – Szept druida stawał się ochrypły, złowieszczy. – Uciekaj stąd, rycerzu. To nie jest twoja walka.

– Mylisz się – uświadomił sobie nagle Tankred. – Chyba już moja.

„Jeśli Pieśniarz znajdzie sposób na przesłuchanie Gropsa, a w to nie wątpię, dowie się, że byłem w Stęchliźnie, rozmawiałem z Mącicielami i zabiłem Jastrzębiego Rycerza – pomyślał. – Znajdzie tysiąc powodów, by mnie wtrącić do lochu za zdradę i stracić, a tym samym upokorzyć mój ród. Czarne wizje Vilieny spełnią się co do joty”.

– Rób swoje, Jałowiec. Mam tylko jedną prośbę.

– Jaką?

– Oszczędź Dagnaara.

Tankred poczuł na moment ciepłe tchnienie, jakby druid się uśmiechnął. Zimne strużki deszczu spływały mu po twarzy, ale w ogóle ich nie czuł. Odwrócił się ku Vlistunowi, który wskazywał pierwszą, najbliższą chatę. Miejscowi żołnierze oraz najemnicy tworzyli już szpaler prowadzący od jej drzwi do bramy, a dowódca załogi z krzywym uśmiechem kładł dłoń na klamce. W rękę trzymał krótki topór.

Druid wykrzyknął coś chrapliwie, a jego głos utonął w szumie ulewy. Nagromadzona moc naraz pękła i uwolniła się, a drzwi z głośnym

brzęknięciem wyleciały z zawiasów i grzmotnęły z ohydym trzaskiem w dowódcę załogi, przewracając go na ziemię. Najbliżsi wojownicy cofnęli się odruchowo, ale wtedy strzeliły ku nim kawałki ścian i dachów. Niekształtne deski z zardzewiałymi gwoździami śmigały w powietrzu, strącały hełmy i wbijały się w ciała. Huk deszczu przeszyły okrzyki bólu i przerażenia.

Szpaler, mimo okrzyków zaskoczonego Dagnaara, natychmiast się rozpadł.

Wtedy z chaty wychynął tłum przygarbionych mężczyzn o złych, bezwzględnych oczach. Każdy z nich miał w ręku kij bądź deskę, każdy aż kipiał z nagromadzonej wściekłości. Z desperacją ludzi, którzy nie mają absolutnie nic do stracenia, rzucili się na zaskoczonych najemników.

Za ich plecami pękały kolejne drzwi, z kolejnych chat wyłaniały się grupy uzbrojonych w byle co ludzi. Jałowiec kaszłał, deski głucho uderzały o tarcze i klingi mieczy, wrzaski rannych stawały się coraz częstsze.

– Łucznicy! – wrzeszczał Dagnaar miotający się po zabłoconym podwórzu z pistoletem w dłoni. – Łucznicy, do mnie!

Najemnicy czekający na zewnątrz osady runęli do wnętrza i zderzyli się z tymi, którzy już próbowali uciekać. Powstało zamieszanie, z którego wyłoniło się kilku uzbrojonych w łuki mężczyzn, wbiegających po chwiejnych schodkach na górę. Starcie, na razie chaotyczne, lada moment miało przerodzić się w krwawą masakrę. Tankred pochwycił miecz i runął w stronę chaty, z której wypadł Dagnaar, odbijając po drodze kilka przypadkowych ciosów.

Drzwi na szczęście nie były zamknięte.

Rycerz wparował do środka i w półmroku, rozpraszany blaskiem kilku dopalających się świec, ujrzał przywiązanego do krzesła Gropsa. Gnom miał wielki siniec pod okiem i napuchnięte wargi, ale wydawał się być w dobrej kondycji. Na widok rycerza wybałuszył oczy.

– O, człowiek! – sapnął. – Ale jaja! Co ty tu robisz?

– Przypuszczalnie popełniam błąd – warknął Tankred, pospiesznie przecinając jego więzy. – Ale jeśli cię tu zostawię, popełnię jeszcze większy.

– Nic nie rozumiem – stwierdził Grops. – Jeszcze tu musisz ciachnąć, o, przy kostkach. Wiesz, że prawie zczarowałem tego młodego, który mnie przesłuchiwał?

– Cudownie. Gdzie Thanni i Thugh?

– Nie wiem! – Grops wzruszył ramionami. – Kiedy ostatni raz ich

widziałem, uciekali do statku. Żaden nie zatrzymał się, żeby pomóc mi wstać! Żaden!

– Może gdybyś mniej gadał, mieliby więcej współczucia. Gotowe. Możesz iść?

Gnom podniósł się z krzesła, podskoczył parokrotnie, by przywrócić krążenie w skrępowanych kończynach, i jakby nigdy nic włożył na głowę swój pogięty szarobury kapelusz.

– Chyba tak. Słuchaj! – Zmarszczył brwi. – Czy tam na zewnątrz trwa jakaś bitwa?

– Tak. – Tankred przypadł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Na szczęście ani moja, ani twoja. Tajemnica rodu Vlistunów. Biegnij za mną!

Z tymi słowami pchnął drzwi i wyskoczył. Kątem oka widział, że gnom, uzbrojony w krzesło, do którego go przywiązano, gna tuż za nim, lekko utykając. Na dalsze obserwacje nie było już czasu, bo nad jego głową śmignęła strzała.

„Na Pieśni!” – zaklął.

Od konia dzieliło go zaledwie kilkanaście kroków, ale dystans wydawał się niemalże nie do przebycia. Uwolnieni przez druida tubylcy z mściwością napierali na najemników z Pogranicza i żołnierzy rodu Vlistunów, którzy cofali się ku bramie, walcząc już nie o panowanie nad sytuacją, lecz o ocalenie życia. Kilku łuczników na palisadzie próbowało jeszcze odwrócić losy starcia, ale i tam wbiegali już pierwsi napastnicy, rozjuszeni, uzbrojeni w zdobyczne ostrza. Tankredowi wydawało się, że widzi Jałowca, który z dzikim rykiem unosi pochwyconego najemnika nad głowę i ciska nim o ścianę domostwa, ale nie dostrzegał nigdzie Dagnaara.

W tej samej chwili zresztą na jego drodze pojawiła się o wiele poważniejsza przeszkoda.

Jeden z najemników z Pogranicza samotnie stawiał czoła całej gromadzie uwolnionych napastników. Miecz w jego dłoni, długi i prosty, o klindze znaczonej tajemniczymi symbolami, śmigał jak błyskawica, gasząc jedno życie za każdym ciosem. Mężczyzna cofał się, ale błoto u jego stóp wciąż zalewały strumienie krwi, a w oczach jego przeciwników pojawiło się przerażenie.

Znajdował się dokładnie na drodze do konia.

– Bokiem! – szepnął Tankred i pociągnął za sobą Gropsa, który zdążył już

roztrzaskać krzesło na czyjejs głowie, a teraz wlekł za sobą włócznie.

Czmychnęli między chaty, próbując obejść szalonego weterana, ale ten dostrzegł ruch kątem oka i doskoczył do nich z dzikim rykiem. Tankred ujrzał wznoszony wysoko miecz i zasłonił się instynktownie, gotując się na zaciekle starcie, gdy nagle wrzawę dzikiej bitwy przeszył pojedynczy wystrzał. Był to odgłos tak nieoczekiwany, że rycerz aż się cofnął, rozglądając się nerwowo.

W okamgnieniu połączył dwa fakty – krew ściekającą z ust najemnika i jego mięknięte kolana oraz Dagnaara stojącego w klasycznej pozycji strzeleckiej kilkanaście kroków dalej. Z lufy jego pistoletu unosił się dymek.

– Uciekajcie! – wyszeptały bezgłośnie jego usta.



## Szlak na północ

Koń ciężko stękał pod podwójnym ciężarem, a jego kopyta ślizgały się w błocie. Deszcz nadal siekł bez litości i Tankred, bojąc się o wierzchowca, zwalniał, aż w końcu ściągnął wodze i zsunął się z siodła.

– Możesz iść?! – zawołał do gnoma.

– Mogę – odparł tamten. – A czemu pytasz?

– Bo pora, byś to zrobił.

– Traktujesz mnie co najmniej niezyczliwie – oznajmił obruszony nieco Grops, ale posłusznie zlął z końskiego grzbietu. – I co teraz?

– Sęk w tym, że nie wiem. – Tankred westchnął i poklepał wierzchowca po szyi. Wycieńczone, nienawykłe do takiego wysiłku zwierzę zwiesiło nisko głowę. Sierść parowała. – Na pewno nie będę tu stał beczynn timer. Chodźmy.

Odgłosy walki już dawno ucichły, wytłumione szumem ulewy. Młody rycerz nie miał pojęcia, czym się skończyła bitwa w Przytulisku, ale złapał się na tym, że w głębi duszy życzy powodzenia ludziom uwolnionym przez Jałowca i jemu samemu. Powinien być lojalny wobec Vlistunów – wprawdzie Hanstarowie nigdy nie żyli z nimi w wielkiej przyjaźni, ale w wojnie o Królestwo na Obczyźnie wszystkie rody powinny walczyć ramię w ramię.

Mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Vlistunowie rozpoczęli jakieś własne przedsięwzięcie, nie do końca zgodne z wolą króla. Nie podobało mu się to.

„Kim byli ci uwięzieni ludzie? – myślał. – Z pewnością to miejscowi, ale dlaczego trzymano ich pod kluczem w osadzie, która wyglądała, jakby wzniesiono ją dokładnie w tym właśnie celu? A poza tym co się stało z kobietami i dziećmi?”

Każdy z rodów był winien królowi absolutne posłuszeństwo. Tankred wiedział, że wiele z nich prowadziło jakieś nielegalne interesy, które starannie usiłowały ukryć, ale akcja, którą ujrzał przez przypadek, zakrawała na coś dużego. Naprawdę dużego.

„Dziesiątki, może setki uwięzionych ludzi – myślał gorączkowo, nie zważając na deszcz. – Po co to wszystko? I dlaczego Dagnaar pozwolił mi to zobaczyć?”

Dotknął skórzanego zawiniątka, które zatknął za pazuchą.

„Czyżby przekazał mi ten meldunek w imię przyjaźni? Bym nikomu nie wygadał? Na Pieśni, Dagnaar...”

Przed oczami Tankreda znów stanął rozszalały weteran, zamierzający się na niego mieczem, niespodziewanie zatrzymany celną kulą. Ciało młodego rycerza przeszył dreszcz niemający nic wspólnego z zimnem.

– Nie podoba mi się wasza tajemnica – mruknął ponuro. – Ale nikomu o niej nie opowiem. Zasłużyłeś sobie na to, Dagnaar. Wszak uratowałeś mi życie, a co za tym idzie, również honor mego rodu. Zresztą tak się składa, że mam teraz większe problemy na głowie. Muszę stanąć przed obliczem króla, nim dorwie mnie pewien Jastrzębi Rycerz.

Spojrzał przy tych słowach z ukosa na Gropsa, który maszerował tuż za nim i pracowicie kopał mniejsze kamienie. Wyglądał jak łobuz, który właśnie uniknął kary, a nie jak gnom, który cudem wymigał się od śmierci.

– Wyrwałem cię z niewoli – oświadczył Tankred sucho. – O tym, że naraziłem w ten sposób własne dobre imię, mówić ci nie będę, bo przypuszczalnie zdajesz sobie z tego sprawę. O tym, że wypadałoby podziękować, wstyd mi właściwie ci przypominać. Skupmy się więc na konkretach.

– No, skupmy się – ucieszył się z niejasnych powodów Grops.



– Dlaczego zastrzeliliście tych Tenketarów?

– Zaraza – pomarkotniał gnom. – Jak na złość o takich konkretach nie mogę gadać. Możemy pogawędzić o czymś innym?

– A więc to jednak wy.

– Wcale nie. – Grops kopnął kolejny kamień. Nie patrzył Tankredowi w oczy.

– Macie, łajdaki, na sumieniu coś, co bardzo nie spodobało się jakiemuś Pieśniarzowi – ciągnął rycerz. – Przypuszczalnie z tego względu w Stęchliźnie czekał na was Jastrzębi Rycerz. Teraz zabiliście dwóch Tenketarów i znów naraziliście się Pieśniarzowi. Odbiło wam?

Gnom wydał usta i przewrócił oczami, a potem zaczął mamrotać coś, co jego zdaniem zapewne było zaklęciem.

– A więc odbiło – stwierdził Tankred. – Stuknięte gnomy.

Kolejne słowa, które padły z ust Gropsa, raczej nie były zaklęciem, ale rycerz się tym nie przejął. Wysforował się nieco do przodu, prowadząc konia. Nadal otaczał ich las – smukłe pnie buków pięły się ku szaremu, zasnutemu chmurami niebu – ale teren był coraz bardziej pofałdowany. Między drzewami wypiętrzały się wzgórza lub otwierały dolinki, niekiedy wypełnione czarną wodą. Powietrze pachniało wilgocią i zbutwiałymi liśćmi.

Teraz, gdy emocje opadły, rycerz zaczął odczuwać chłód i zmęczenie. Wkrótce pojawiły się pierwsze dreszcze, ale nigdzie nie było widać schronienia. Las szumiał bezustannie, krople ściekały z liści, koń ciamkał kopytami w błocie, Grops gadał do siebie w ojczyściej mowie. Tankred przeklinał, a z każdym słowem wokół jego ust pojawiała się chmurka pary.

„Przeklęty los. Przeklęty! Czuję, że prędzej umrę na zapalenie płuc, niż zginę od wrogiego ostrza. A zresztą... Kto tu tak naprawdę jest wrogiem? Mącciele, gnomy i druidzi jak dotąd traktują mnie lepiej niż Pieśniarze, którzy powinni nas chronić i wspierać. Kpina!”

Naraz aż przystanął, gdy uświadomił sobie coś, co powinno być oczywiste od samego początku. Przecież Dagnaarowi Vlistunowi towarzyszył Pieśniarz! Jakich następstw należało spodziewać się po tym, że Pieśniarze wiedzieli o tajnym przedsięwzięciu Vlistunów?

– To wszystko nie trzyma się kupy – szeptał do siebie Tankred, wpatrzony w czubki ubłoconych stóp. – Zupełnie.

Król w całym Mandylionie nie miał sług wierniejszych od Pieśniarzy, którzy oficjalnie nazywali się Zakonem Strażników Porządku. Nawet rody Hanstarów i Claytore'ów, tradycyjnie zajmujące najznamienitsze pozycje wśród rodów Mandylionu, musiały z trudem uznać wyższość Pieśniarzy, których Zakon słynął z absolutnego posłuszeństwa i niezachwianego oddania. Plotki głosiły, że Pieśniarze otrzymywali swoje moce prosto od króla, a on był jedyną osobą, która mogła im je w okamgnieniu odebrać. Oczywiście nikt nie znał całej prawdy, ale Tankred słyszał te plotki tyle razy, że gotów był uznać je za wiarygodne.

„Zdarzało się, że rody sprzeciwiały się królewskim decyzjom, ale Pieśniarze nie uczynili tego nigdy – snuł rozważania Tankred. – Co mam o tym myśleć? Czyżby ów obóz – bo przecież nie można nazwać osadą miejsca bez kobiet, dzieci i zwierząt – był pomysłem króla? Elementem jakiejś polityki? Na Pieśni, przerasta mnie to”.

Drzewa niespodziewanie się przeredziły i młody Hanstar ujrzał, że szlak się rozgałęzia. Dalej mógł jechać na północny wschód bądź skrócić na zachód. Zapowiadał się kolejny dylemat, ale rycerz z ulgą spostrzegł, że na skrzyżowaniu wyrósł kamienny taliot, niemalże identyczny z tym, w którym spał w drodze do Uguru. Pomimo odległości widział, że trawa w środku jest sucha.

– Cudownie – westchnął. – Grops, mamy dach nad głową! – zawołał i popędził ku budowli.

Gdyby spojrział w tej chwili na towarzysza, ujrzałby jego zdumiony wzrok i krzywy uśmiezek. Być może zwróciłby też uwagę na to, że gnom, zamiast wejść do środka, kręci się przy wejściu i usiłuje się czymś zająć, ale nie przestaje przy tym ukradkowo zerkać na Tankreda. Hanstar zupełnie o to nie dbał. Rozpalił małe ognisko, rozwiesił przemoczony płaszcz, wtulił się w kąt i zamknął oczy.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, było rozbawione spojrzenie Gropsa.



*Znów wisiał w powietrzu i patrzył, jak zakuty w stal rycerz pędzi traktem,*

lekko pochylony nad grzywą ogromnego rumaka. W pierwszym odruchu chciał się schować, ale skądś wiedział, że jeździec i tak go nie widzi. Ciężkie kopyta tłukły o wyschniętą ziemię, wybijając rytm pieśni zemsty i kary. Rycerz nie zdjął hełmu pomimo żaru lejącego się z nieba. Suchy, gorący wiatr poświstywał na krawędziach zbroi.

Z niebieskiego rozpalonego nieba dobiegł ostry, przerażający krzyk jastrzębia.

Rycerz gnał przed siebie nieustępliwie, mściwie. Tankred poczuł ulgę, gdy wreszcie znikł.

Potem pokazała mu się Viliena stojąca na murach zamczyska. Chciał zagadać do siostry, spytać, czy wszystko u niej w porządku, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Patrzył bezsilnie, jak dziewczyna zaciska spracowane dłonie na blankach i zamyka oczy, nie wiadomo, czy po to, aby je osłonić przed gorącym wiatrem, czy może zdusić emocje. Za nią stała Uxara o poszarzałej, zgnębionej twarzy. Brisse siedział w pełnym słońcu, jakby nie zauważył, że cień znikł. Jego oblicze było pozbawione uczuć, a wzrok pusty. Gwinulf Hanstar cisnął kałamarzem, który rozbił się o ścianę biblioteki i pozostawił czarną plamę przypominającą rozbryzg krwi.

Nie ma już Vildurfa, ojca, Zwierzchnika i przywódcy. Crustin osunął się z siodła, pchnięty kilkunastoma włóczniami. Mathilda została w opuszczonej Skalinie, by bez nadziei, uparcie czekać na powrót męża z wojny. Olve poległ w zasadzce.

Byli sami. Byli rozbitkami w obcym kraju. Byli najeźdźcami.

Jastrzębi Rycerz gnał przed siebie, ciągnąc wielki warkocz kurzu, coraz mniej widoczny, coraz bardziej rozrzedzony. Jego miejsce zastąpili inni jeźdźcy, czarnowłosi, lżej zbrojni, ale surowi, wściekli.

Gnali jak szaleni.



Tankred zerwał się i odruchowo złapał za miecz. Serce biło mu mocno, jakby chciało wyrwać się z ciała. Rozejrzał się gorączkowo, próbując przeniknąć wzrokiem półmrok. Nie miał pojęcia, co go obudziło –

intensywność snu czy może coś innego.

Może wciąż niewyraźne ludzkie głosy.

Stanął na progu taliotu, ułożonym z gładkich, podłużnych kamieni. Przestało już padać, ale z liści i gałęzi nadal ściekały krople, jakby cały las płakał. Wzdłuż błotnistej drogi ciągnęły się leniwie mgły.

Grops siedział w korzeniach najbliższego drzewa i wymachiwał patykiem, zupełnie jakby była to czarodziejska różdżka. Mamrotał przy tym coś pod nosem i wydawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością. Na rycerza zwrócił uwagę dopiero wtedy, gdy ten zeskoczył z progu na moką ściółkę.

– Słyszałeś? – spytał krótko.

– Co? – Gnom zamrugał pospiesznie. – Byłem zajęty pewnym eksperymentem.

– Eksperymentem – poprawił go odruchowo Tankred. – Ktoś nadciąga.

– Kto? – Zaniepokojony gnom poderwał się i zasłonił zaimprovizowaną różdżką.

– Nie wiem!

– Może to ci tacy...

– Cicho bądź! – warknął Tankred, usiłując przeniknąć wzrokiem mgły, jak na złość coraz gęstsze.

Przez chwilę pożałował, że zmarnował tyle czasu, że nie rzucił się między drzewa i nie uciekał co sił w nogach, ale coś – ów głos rozsądku, którego zaczął już nienawidzić – podszeptało mu, że ucieczka na nic by się nie zdała. Potem przyszło mu do głowy, by złapać gnoma za kapotę i wciągnąć go do taliotu, ale spojrzał na konia i zrozumiał, że ten, kto nadciąga drogą, na pewno spostrzegłby wierzchowca i przypuszczalnie zaczęłby szukać również jego.

– Nie – szepnął do siebie, przeanalizowawszy wszystkie możliwości. – Nie ma sensu się chować. Zaczekam. Nie wiem, kto nadchodzi, ale przecież nigdzie nie jest powiedziane, że to wróg.

Obrazy ze snu nadal krążyły w jego głowie, wyraźne i budzące niepokój, i jego własne słowa, choć rozsądne, wydały mu się mało przekonujące.

Obcy zbliżali się. We mgle ktoś krzyknął, ktoś inny zaklął, ktoś jęknął z bólu. Męskie głosy, wszystkie posługujące się miejscową mową. Tankred nie słyszał szczęku oręza ani tętentu kopyt.

– To chyba ci jeńcy! – szepnął gnom, który przysunął się do rycerza i wpatrywał się w mgłę wielkimi oczami.

Tankred pokiwał głową. W istocie, dostrzegł już pierwszych z nich, potężnych, obdartych mężczyzn o wynędzniałych twarzach i zdesperowanych spojrzeniach. Niektórzy wspierali się na kijach, inni pomagali iść ciężej rannym, paru, uzbrojonych w zdobyczną broń, szło po bokach. Na widok rycerza i gнома zawahali się, a któryś zawołał coś ochryplym głosem. Kolumna zaczęła zwalniać.

Tankred przełknął ślinę i całą siłą woli powstrzymał się, by nie cofnąć się o krok.

– Masz rację, to ci jeńcy – mruknął. – Sęk w tym, że nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– Ja też tego nie wiem – oznajmił gnom, którego, o dziwo, pokrzepiło to na duchu. Cofnął się i usiadł pod tym samym drzewem, pod którym siedział przed momentem. – Na szczęście nie jestem Mandyliończykiem, a więc cała ta sprawa w sumie mało mnie dotyczy.

Tankred zacisnął zęby. Uwolnieni jeńcy zatrzymywali się jeden za drugim. Wszyscy wpatrywali się w niego, a w ich spojrzeniach kryła się bezbrzeżna niechęć.

Niespodziewanie ktoś roztrącił ich szereg.

– Nie do końca, mości gnomie – oznajmił gromko Jałowiec, jedyny, po którym nie było znać zmęczenia. – Zdaje się, że podziały przebiegają teraz inaczej.

Grops zmrużył groźnie oczy i wycelował w druida różdżkę, ale ten odwrócił się tylko do swoich towarzyszy.

– Chwila przerwy! – rzucił.

Uciekinierzy zaczęli siadać wzdłuż drogi, nie bacząc na to, że trawa i mech są mokre. Niektórzy opierali się o pnie i zamykali oczy, kilku piło wodę wprost z kałuży. Tu i ówdzie rozległy się pierwsze rozmowy, niechętne, znużone. Tankred pokręcił lekko głową, wsunął miecz do pochwy i ruszył w stronę wierzchowca.

– Nie wiedziałem, że cię to wszystko już nie dotyczy, Grops – odezwał się, rozsypując wodze. – Zaraza, gdybym miał chwilę, podrzuciłbym cię z powrotem do Przytuliska. Może w towarzystwie Pieśniarza byłoby

ci przyjemniej.

– Nie to miałem na myśli! – Zaczerwieniony gnom nadał się. – Ja tylko...

– ...zrobiłbym wszystko, by ocalić głowę? – Tankred wsunął stopę w strzemień. – W sumie sensownie. Pora, bym i ja zaczął się kierować tą myślą.

Nie miał pojęcia, jak długo spał w taliocie, ale niespodziewanie poczuł dotkliwy ból w czaszce, nieodłącznego towarzysza nocnych wart, pobudek przed świtem i długich przemarszów. Jego cierpliwość kurczyła się w zastraszającym tempie.

„Dość już mam cudzych spraw – pomyślał z goryczą. – Uratowałem tego przeklętego gнома w sumie po to, by nie wpadł w łapy Pieśniarza i nie opowiedział mu niczego o mnie, ale nie zmienia to postaci rzeczy. Co mnie obchodzą jakieś gnomy czy ludzie więzieni przez ród Vlistunów? Muszę jak najszybciej dotrzeć do króla. Muszę przekazać meldunek Dagnaara. Muszę zatroszczyć się o siebie i swoją rodzinę”.

Rycerz kątem oka widział, że gnom podnosi rękę, jakby chciał coś do niego zawołać, ale nie interesowało go to. Zawrócił wierzchowca i już chciał kopnąć piętami jego boki, gdy wyrósł przed nim Jałowiec i położył ogromną dłoń na końskich chrapach. Zwierzę natychmiast znieruchomiało.

– Poczekaj – szepnął.

– Na co? – parsknął rycerz. – Grops ma rację. To wszystko nie moje sprawy.

– Czyżby? – Oczy druida, na ogół zakryte przez krzaczaste brwi, przewiercały go na wylot. Były niebieskie jak woda z topniejącego lodowca. – Jesteś pewien, że linia podziałów przebiega tam, gdzie kiedyś?

– Zostaw mnie w spokoju – warknął Tankred i uderzył końskie boki piętami, ale wierzchowiec ani drgnął.

– Chętnie. Opowiedz mi tylko o tym, co widziałeś we śnie.

– W jakim znowu śnie?! – zawołał rycerz, kompletnie zaskoczony pytaniem druida.

Jałowiec uśmiechnął się lekko i przeniósł wzrok na taliot, a później znów spojrzął na Tankreda.

„Za każdym razem, gdy śpię w takim miejscu, mam jakieś dziwne sny,

niezwykle realistyczne, wręcz prorocze! – uświadomił sobie młodzieniec. Po plecach spłynęły mu ciarki. – Ostatnim razem dowiedziałem się o liście, który otrzymała Viliena. A teraz... Na najnędrniejsze z Pieśni, co to za miejsce?”

Nie zdołał się opanować i zerknął ukradkiem na taliot. Druid pochwycił jego spojrzenie i uśmiechnął się zimno.

– Jak na pogromców Taliadu czasem wydajecie się całkiem bezradni – oznajmił.

– Co to za miejsce? – powtórzył Tankred na głos. – O co chodzi z tymi taliotami?

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, będziesz musiał zejść z konia i ofiarować mi kwadrans swego czasu – rzekł Jałowiec bez cienia uśmiechu. – Dowiesz się wiele, być może zbyt wiele.

– A w zamian? – Tankred skrzywił się. – Wybacz, ale mam już wystarczająco dużo zmartwień. Nie chcę kolejnych.

– Źle myślisz. Nie będę chciał niczego w zamian. Zapomniałeś, że my, druidzi, pilnujemy równowagi? Przedstawię ci tylko, w jaki sposób możemy sobie nawzajem pomóc.

– Nawzajem? – prychnął z niedowierzaniem rycerz.

– Nawzajem – potwierdził Jałowiec i cofnął się o krok, jakby chciał pokazać, że młody Hanstar w każdej chwili może odjechać. – Kwadrans, Tankredzie.

Rycerz chciał parsknąć głośnym śmiechem i zawrócić konia. Chciał po raz kolejny sprawdzić, czy nadal ma skórzane zawiniątko z meldunkiem od Vlistunów, i obiecać sobie, że nie zawiedzie swego rodu ani też nie zmarnuje poświęcenia Dagnaara. Chciał ruszyć w drogę, by jak najszybciej stanąć przed obliczem króla, jak najszybciej odnaleźć Mustaiga i Dustuna, jak najszybciej wysłać list do Vilieny z wieścią, że wszystko jest w porządku, ale coś w oczach druida sprawiło, że przełknął ślinę i zeskoczył z siodła.

– Kwadrans – powiedział tonem, który miał zabrzmieć twardo i oschle.

– Mądra decyzja – odparł Jałowiec.

Tankred przyjrzał mu się uważnie w poszukiwaniu uśmiešku tryumfu bądź błysku zadowolenia w oczach, ale oblicze druida pozostało całkowicie obojętne.

– Chodźmy do środka. – Z tymi słowami Jałowiec skierował się do wnętrza taliotu. – Ty też. – Złapał zaskoczonego Gropsa za kaptę.

– Ja? – Gnom próbował się wyszarpnąć, ale dłoń druida była jak z żelaza. – Nigdy w życiu tam nie wejść! Nigdy!

– Twoja magia cię ochroni – oznajmił druid, tym razem z lekkim uśmiechem.

Tankred westchnął, przytoczył konia, raz jeszcze spojrzął na wyczerpanych uciekinierów i wszedł w głąb kamiennego taliotu w ślad za Jałowcem i Gropsem.

Tym razem miał wrażenie, że we wnętrzu budowli wyczuwa coś osobliwego. Dotychczas wystarczało mu to, że jest to miejsce suche i ciepłe, ale teraz wydało mu się, że powietrze przesycone jest tu jakąś dziwną energią, wyciszającą, spowalniającą, wręcz kojącą. Nie było duszno, ale czuł, jakby wpadł w gęstą ciecz. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Jałowiec coś mówi.

– Nikt nie wie, kto właściwie wznosił talioty, ale stoją tu od tysięcy lat i kryją moc, którą poznaliśmy w niewielkim stopniu – opowiadał. Jego twarz była mało wyraźna, jakby energia we wnętrzu budowli rozmazywała kontury, ale jego oczy skrzyły. – Wiemy na przykład to, że sen w taliocie często bywa projekcją rzeczywistości. Mało kto umie narzucić snom dyscyplinę taką, by pokazały mu dokładnie to, co chce ujrzeć, ale niemalże pewne jest, że poznasz jakąś prawdę. Zgadza się?

– Zgadza – odparł Tankred. Jego wargi poruszały się opornie, jakby były z drewna, a myśli umykały na boki. – Skoro to powszechnie znany sekret, dlaczego nikt go nie wykorzystuje? Mąciciele mogliby poznać pozycje naszej armii i zniszczyć nas bez trudu.

– Zapominasz, że niewiele wiem o zamysłach tych, których nazywasz Mącicielami – odparł Jałowiec. – Jestem druidem i nie angażuję się w wojny. Wiem natomiast, że talioty są niebezpieczne. Korzystanie z nich przypomina nieco nabieranie wody z rozhukanego wodospadu. Jeśli będziesz ostrożny, z pewnością ci się uda, ale za którymś razem kaskady wyrwą ci naczynie, a może nawet cię wciągną.

– Zebrało się na poezję staremu prykowi – burknął Grops, wyraźnie obrażony i zaniepokojony. – Oszaleć można w takim taliocie i tyle! Po cholere



komu proroczy sen, skoro na łeb może dostać?

– Lęk naszego przyjaciela jest o tyle uzasadniony, że w istocie ofiarami taliotów najczęściej padają wędrowcy o wątej woli bądź słabujący na umyśle. – Jałowiec pokiwał głową z udawanym zrozumieniem. – Jednakowoż nawet najwięksi mędracy powinni wstrzemięźliwie korzystać z ich mocy.

– W porządku. Dzięki za ostrzeżenie. – Tankred próbował ironizować, ale zabrzmiało to sztucznie. – Ile jeszcze mamy czasu z tego kwadransa?

– Sporo. Co ujrzałeś we śnie?

– Niedużo. – Młody rycerz przypomniał sobie wizję. – Głównie sprawy, które nie dotyczą ani ciebie, ani gnoma.

– Naprawdę?

Przed oczami młodego rycerza pojawił się nagle rozhukany hufiec ciemnowłosych, lekkobrojdnych jeźdźców.

– Nie. Nie tylko – rzekł. – Byli tam jeszcze najemnicy. Najemnicy z Pogranicza. Liczni, rozpędzeni. Ci sami, którzy przybyli z Vlistunem do Przytuliska.

– Nie, nie ci sami. – Druid skrzywił się lekko. – Z tamtych nie ocalał nikt poza trzema, czterema, którzy umknęli z tym młodym Vlistunem.

„A więc Dagnaar żyje” – pomyślał rycerz, ale nie poczuł ulgi. Miał wrażenie, że nie jest sobą, że nieznaną energią zawładnęła nim całkowicie i odebrała mu emocje.

– Inni więc – wykrztusił. – Groźni. Rozpędzeni.

– Był z nimi Pieśniarz? – spytał druid z niepokojem.

– Nie, chyba nie. Co to za jedni? I czego chcą? Ścigają tych ludzi? – Tankred wskazał uciekinierów odpoczywających wśród drzew.

Druid odetchnął ciężko.

– Tak – powiedział po chwili, coraz bardziej zaniepokojony. – To uchodźcy z wiosek na północy, których ludzie Vlistunów, głównie najemnicy z Pogranicza, przed kilkoma dniami wyłapali na traktach, oddzielili od rodzin i uwięzili. Nikt im nie powiedział, co się z nimi stanie, poza tym że jeśli będą próbowali uciekać, karę poniosą ich żony i dzieci, więzione w innym obozie. Widziałeś te wozy, prawda? Wniosek sam się narzuca. Planowano ich gdzieś

przewieźć. To mężczyźni, silni i zdrowi, których szantażowano, ale w jakim celu? Mieli wstąpić do wojska? Pracować jak niewolnicy? O co tu chodzi?

Oczy druida skrzyły jak kawałki lodu ukryte pod nastroszonymi brwiami.

„Próbuje wyciągnąć ze mnie prawdę” – pomyślał Tankred. Jego umysł pracował powoli, leniwie, jakby został czymś odurzony. Z trudem pokręcił głową.

– Nie wiem nic – wykrztusił. – Zupełnie nic. Widzę to co ty, ale mogę tylko domniemywać. Nie znam żadnych tajemnic rodu Vlistunów. Pytałem Dagnaara, ale nie chciał mi nic powiedzieć. To, co widzieliśmy, te wozy, baraki i tak dalej, jest niepokojące, ale nie powinieneś się przejmować.

– Nie? – Jałowiec z drwiną wydał wargi.

– Nie – powtórzył z naciskiem Tankred. – Ponieważ nasz król nie pozwala rodom na nadmierną samowolę.

Druid parsknął pogardliwym śmiechem, a gnom uniósł wysoko brwi, jakby nie dowierzał temu, co przed chwilą usłyszał.

– Wybacz, Tankredzie, ale miałem lepsze zdanie o tobie i twojej inteligencji – rzekł Jałowiec. – Twój król jest gdzieś daleko, na północy bodajże, i toczy jakieś bezsensowne pertraktacje z Tangstevem. Vlistunowie są zaś tutaj i robią to, co im się żywnie podoba. Mogliby wznieść kilka zamczysk, a król by niczego nie zauważył.

– Ale ukarałby ich, gdyby zagroziło to jego polityce.

– Bzdura!

– Niczego o nas nie wiesz! – huknął Tankred z siłą, która zdumiała nawet jego samego. Niespodziewanie obudził się w nim słynny mandylionowski gniew, podsycony dumą i hardością. – Nasz władca jest kimś więcej niż tylko zwykłym królem, jak tych trzech koronowanych baranów, którzy toczyli swą idiotyczną wojnę, gdy tu przybyliśmy. Władca mocami, o których żaden z was nie ma pojęcia! Mocami, które w okamgnieniu mogłyby unicestwić cały ród lub zabić niepokornego Pieśniarza. Jesteśmy mu posłuszni nie dlatego, że obdarował nas jakimiś ziemiami. Podlegamy jego władzy, bo to jedyny logiczny wybór. Jeśli Vlistunowie robią coś nieprawomyślnego, słono za to zapłacą.

Gnom i druid milczeli, zaskoczeni wybuchem Tankreda.

– I to ci wystarcza? – spytał Jałowiec. – Naprawdę w to wierzysz?

Druid nawet nie próbował ukryć drwiny w głosie. Młody Hanstar zacisnął pięści i zamknął oczy. Powietrze w taliocie stawało się coraz cięższe, a jednocześnie jakaś siła naciskała mu na obie skronie. Miał ochotę wrzeszczeć – nakrzyczeć na tych barbarzyńców, którzy ośmielali się kwestionować święte zasady spajające Mandylion od tysięcy lat. Chciał wyrzeszczyć całą prawdę o rodach, na których wspierało się królestwo, chciał wyrzucić z siebie wszystko, co wie o Pieśniarzach, którzy, choć niepopularni i wścibscy, przechowywali mądrość Mandylionu i wspierali króla w wojnach, ba, chciał nawet powiedzieć o Talii, ale pokręcił tylko głową.

Dystans i bezstronność, największe przekleństwa rodu Hanstarów, tym razem okazały się błogosławieństwem.

Nie odezwał się ani słowem.

„Wasze niedoczekanie – pomyślał. – Nie powiem wam niczego. Nie dowiedziecie się o Talii”.

– Nie mogę tu dłużej wytrzymać – rzekł zduszonym głosem. – Wyjdźmy na świeże powietrze.

Wstał i wyszedł, nie zwracając uwagi na pozostałych, choć kątem oka zauważył, że Grops pospiesznie gramoli się na równe nogi i wymyka w ślad za nim. Wystarczyło mu kilka szybszych oddechów, by oczyścić umysł, a wtedy dystans i bezstronność ustąpiły miejsca zdecydowaniu. Rycerz oparł dłoń na rękojeści miecza.

– Przyznam, że mi zaimponowałaś... – zaczął Jałowiec, ale urwał, gdy Tankred wyciągnął miecz z pochwy i przytknął mu ostrze do szyi. Grdyka druida, ukryta w gęstwinie brody, podjechała w górę i opadła, lecz w jego głosie nie było słyhać żadnych emocji. – Masz tęższy umysł, niż sądziłem – ciągnął. – Mało kto potrafi oprzeć się emanacji taliotu. Gdybyś był zwykłym człowiekiem, bez trudu wyciągnąłbym z ciebie odpowiedź na każde pytanie.

– Twój kwadrans się skończył – wycedził Tankred. Był świadom tego, że uwolnieni przez druida ludzie powoli podnoszą się, szemrzą, a niektórzy chwytają zaimprovizowaną broń, ale nie odebrało mu to odwagi. – Wybacz, ale mam wystarczająco dużo własnych problemów, by jeszcze przejmować się twymi. Wbrew temu, co twierdzisz, jesteśmy po dwóch różnych stronach tego konfliktu.

– Gdyby rzeczywiście tak było, już byś nie żył – rzekł Jałowiec.

– Nie. – Przez twarz Tankreda przemknął nieprzyjemny uśmiech. Przycisnął ostrze mocniej do szyi druida. – To ty byś teraz nie żył.

Odczekał chwilę, nie spuszczając z niego wzroku, a potem zrobił krok w tył i wsunął miecz do pochwy.

– Bywaj, Jałowcu. Trzymaj się, gnomie. Nie wchodźcie mi już więcej w drogę – rzucił i podszedł do konia. Powoli wskoczył na siodło i obrócił wierzchowca ku traktowi.

– Co wiesz o tych najemnikach? – dogoniło go ciche pytanie Jałowca. – Poza tym, że pochodzą z Pogranicza?

Tankred odetchnął ciężko.

– Ile razy mam ci powtarzać, że...

– Zwiemy ich Sępami. – Druid wpatrywał się w niego intensywnie. – Bywa, że nie widzimy ich przez długie lata, ale zawsze wracają, gdy zwęszą padlinę. Co więcej, wracają całymi stadami. Nigdy małymi grupkami. Zawsze są to wielkie, niewyobrażalnie wielkie stada, które niszczą równowagę na długie lata. Jeśli ktoś zaciągnął ich stu, pięciuset bądź nawet tysiąc, oznacza to, że gdzieś nieopodal czają się kolejne tysiące i czekają na okazję. To honorowi wojownicy, niezwykle przeczuleni na punkcie swej wartości, szalenie wprost odważni i bardziej zawzięci niż wygłodniałe wilki. Nie cofną się przed niczym z obawy przed ośmieszeniem.

Młody rycerz chciał machnąć ręką, uśmiechnąć się cynicznie i spiąć konia do galopu, ale jego uwagę przykuło coś we wzroku Jałowca. Tym razem był pewien, że druid nie korzysta z magii. W jego oczach widniała szczerza troska. Troska oraz lęk.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale druid znów go ubiegł.

– Jutro o zmierzchu będę czekał przy Wierzbowej Przystani, niedaleko miasta, które teraz zwiecie Płonącą Łuną – powiedział. – Albo Posępną. Przyjdź, jeśli będziesz miał coś ważnego do powiedzenia.

– O tych... Tych najemnikach? Sępach? A może o równowadze? – Tankred próbował zaszydzić.

– Mam na myśli przyszłość – warknął Jałowiec. – Koniec przerwy! – krzyknął i klasnął w ogromne dłonie. – Zbierać się, nieroby! Mamy robotę do wykonania!

Jego mocny, tubalny głos poniósł się wśród wilgotnych pni. Ludzie drgnęli, jakby budząc się ze snu. Ktoś klepnął towarzysza w ramię, ktoś inny huknął na resztę, kilku pochyliło się, by pomóc wstać rannym kamratom. Trakt zaroił się od wędrowców. Jałowiec, nie oglądając się na nic, szedł szybkim krokiem na czoło grupy, a ocaleni z Przytuliska powoli, lecz bez wahania ruszali za nim.

– Ale się porobiło – mruknął Grops.

Na tyłach gromady pojawiło się zamieszanie. Ktoś, kogo nie było widać, zdecydowanie roztrzącał tłum ruszających w drogę mężczyzn, wywołując niechętne burknięcia i stłumione przekleństwa. Gdzieś między ludźmi zamajaczył znajomy czerwony kapelusz z oderwanym, powiewającym denkiem, a po nim drugi, fioletowy. Chwilę później pokazali się Thanni oraz Thruugh, zasapani i czerwoni na gębach.

– O, człowiek! – zawołał zdyszany Thanni.

Thruugh wysforował się nieco do przodu, ale Thanni zdążył złapać go za kaftan i odepchnąć na bok. Gnom zatoczył się, z trudem łapiąc równowagę, i o mały włos nie wpadł do kałuży.

– Człowiek, zaczekaj! – wychrypiał Thanni.

Grops klasnął w wielkie łapska i zawołał coś w swojej, zgrzytliwej mowie. Tankred błyskawicznie otaksował przybyszów wzrokiem. Żaden nie był ranny, ale nie mieli broni. Przeczucie podpowiadało mu, że gnom rozbójnik bez broni jest równie groźny, a przy tym mniej przewidywalny od uzbrojonego, ale mimo to postanowił zaczekać, aż Thanni wyłuszczy swą sprawę.

– Dobrze słyszałem?! – zawołał gnom. Zatrzymał się, zerwał kapelusz, pod którym był łysy jak kolano, i otarł rękawem spocone czoło. – Idziesz do tego tam... Do Posępnej Łuny?

– Cóż – mruknął Tankred. – Raczej jadę. A po co ci ta informacja, mości gnomie?

– Ano po to... – Thanni zaniósł się kaszlem. – Po to – wychrypiał, gdy atak minął – że chętnie zabierzemy się z tobą. Ponoć zacnemu mandylionowskiemu rycerzowi nie przystoi włóczyć się z obwiesiami, ale ród wasz słynie z mądrości, a wasi przywódcy mieli się ku paktowi z Pogryzionymi Wzgórzami. Jakby kto pytał o powody, które nami kierują, wymyślimy coś mądrego.

Through przytaknął skwapliwie i charknął do kałuży. Grops, który najwidoczniej po raz pierwszy usłyszał ten plan, westchnął ciężko i pokręcił głową. Tankred zaś spojrzał głęboko w przymrużone, jak zwykle błyszczące złośliwie oczka Thanniego, niemalże zakryte siwymi brwiami. Gnom uniósł nieco denko kapelusza i zamrugał, jakby udawał niewinność.

– Chcecie się zabrać ze mną do Posępnej Łuny? – spytał przeciągle Tankred.

Oczyrna wyobraźni ujrzał pękającą czaszkę Tenketara i niemalże bezgłowe ciało osuwające się na ziemię. Odkasznął i rozciągnął usta w możliwie najwierniejszej atropie uśmiechu.

– Ależ proszę bardzo! – zawołał tak serdecznie, że ostatni z ludzi Jałowca, znikający właśnie za zakrętem, obejrzeli się z niedowierzaniem. – Im nas więcej, tym lepiej!



Przez chwilę wędrowali w ślad za ponurą, milczącą kolumną prowadzoną przez Jałowca. Tankred co rusz odwracał się za siebie, przeświadczony, że lada moment wypadnie z za zakrętu konny pościg Vlistunów czy Tenketarów i znów będzie musiał brać udział w walce, na którą nie miał najmniejszej ochoty. Na szczęście druid rychło wprowadził swoich ludzi w las i powiódł ich w sobie tylko znane miejsce. Rycerz odetchnął z ulgą, niestety nie trwała ona długo.

Kolejne trzy godziny udowodniły Tankredowi, że nie ma na świecie siły, która mogłaby poskromić gnomy buńczuczność. Niebo było nadal zasnuwane szarymi chmurami, które chłostały lasy ulewnym deszczem, z rzadka przechodzącym w litościwą mżawkę. Szlak zamienił się w rozmokłe bagnisko, w którym końskie kopyta grzęzły aż po pęciny, ale Thanni, Grops i Thruigh sprawiali wrażenie, jakby niczego nie zauważyli. Brnęli pieszo za wierzchowcem młodego Hanstara i kłócili się zapamiętale, wymachując pięściami, tupiąc i nierzadko szarpiąc się za kaftany. W pewnym momencie Thanni, sprawnie i najwyraźniej celnie obругany przez Gropsa, zerwał

mu kapelusz i z furią wdeptał go w błoto. Grops podniósł ociekającą wodą własność, wyszarpnął z kieszeni patyk i wycelował nim w plecy Thanniego, mamrocąc jakieś klątwy.

Tankred nie rozumiał ani słowa – gnomy rezygnowały z własnej mowy tylko wtedy, gdy zaczynało im brakować przekleństw – ale nie przeszkadzało mu to wcale. Jechał powoli przed siebie, oddalając się coraz bardziej od rozwrzeszczanych knypków, i pochylał głowę dla ochrony przed siekącym deszczem. Na jego twarzy gościł szydery uśmiech.

„Ciekawe, Thanni, na ile ci starczy sprytu”.

Z początku próbował raz jeszcze przemyśleć sytuację, w której się znalazł, ale zimne dreszcze i wrzaskliwa gadanina gnomów rozpraszały wszystkie myśli. Wysforowywał się coraz bardziej do przodu, aż wreszcie las zaczął się przeredzać, a za obleczonymi w pasma mgły polami wyrosły zabudowania Skowytu. Daleko za nimi wiła się nitka rzeki Cięciwy.

Tankred wstrzymał na moment konia i zapatrzył się na rozległe błonia przed miastem. Wspomnienia czające się gdzieś na skrajach podświadomości osaczyły go gwałtownie, jakby tylko czekały na sygnał. Znów usłyszał krzyki, gwar, szcęk oręża. Znów ujrzał proporce kołyszące się na wietrze pod niebem niemalże tak wzburzonym jak dziś, barwne mandylionkie po jednej stronie, a po drugiej czerwone, ozdobione symbolem srebrnej perły. Stłoczone, falujące tłumy, nad którymi usiłowało zapanować kilku jeźdźców w potłuczonych zbrojach, galopujących wzdłuż nierównych szeregów. Usłyszał ochrypy ryk trąb, zwieńczony narastającym tętentem kopyt.

Jego oczy powędrowały ku niewysokiemu wzgórzu, na które zapędził ich Bardun Fulgham. Kazał im wyrównać linię i patrzeć. Kilku z jego towarzyszy broni usiłowało go namówić, by pozwolił im wziąć udział w starciu, ale stary rycerz milczał.

„Przypatrzcie się, jak wygląda bitwa” – warknął głucho, ucinając wszelkie komentarze.

Siedzieli więc, milcząc, na końskich grzbietach i przyglądali się, jak Joakim Claytore, Pierwszy Marszałek i dowódca lewego skrzydła armii mandylionkiej, po mistrzowsku rozgrywa starcie. Wzdłuż spiesznej linii wroga przegalopowało kilka szwadronów rajtarii. Tętent kopyt przebijały liczne suche wystrzały z pistoletów, a tłum Taliadczyków falował, wciąż



poskramiany ochrypłymi wrzaskami dowódców. Rajtaria zawróciła, ścigana chmarami strzał, lecz wtedy ku liniom wroga ruszały już ciężkozbrojne oddziały piechoty. Żołnierze maszerowali karnie, niepomi na strzały, które co rusz wygryzały szczyby w ich szeregach, aż znaleźli się wystarczająco blisko. Pikinierzy jak jeden mąż wbili pawęże w grunt i tak oto na polu bitwy niespodziewanie wyrosła stalowa forteca. Strzelcy wsunęli lufy w specjalnie przygotowane otwory, a wtedy w powietrzu poniósł się ostry, nieprzyjemny zapach palących się lontów.

Taliadczy, którzy dopiero po wylądowaniu Mandyliończyków zrozumieli, że broń palna nie jest legendą, doskonale znali już ten zapach. Wiedzieli, że to woń zagłady.

Któryś z ich dowódców nie wytrzymał nerwowo. Wykrzyknął kilka rozkazów. Chmara jego podwładnych zafalowała, z początku niepewnie, a potem coraz śmieiej, i z nieruchomej masy ludzkiej wybili się pierwsi szarżujący. Ich dzikie wrzaski niosły się daleko, podejmowane przez coraz to kolejnych. W nikłym jesiennym słońcu błyskały unoszone topory, stare miecze, motyki, widły, ba, zwykłe kije nawet. Tłum Taliadczyków gnał do ataku, niesiony własnym strachem i rozpaczą. Oby szybciej, oby tylko zdążyć przed salwą. W ślad za nimi pomknęła garstka rycerzy niosąca znak srebrnej perły, wiedzona przez któregoś z taliadzkich książąt.

Tankred patrzył, zmartwiały, i co chwila bezsilnie zaciskał powieki.

Z odrętwienia wyrwał go huk wystrzałów. Otworzył oczy i ujrzał, jak stalowy front piechoty mandyliońskiej spowijają dymy luf muszkietów, a tłum nacierających chwieje się, cofa, potyka o ciała rannych i zabitych, tu i ówdzie kotłuje się i zawraca. Muszkiety znikły – nie było już czasu na kolejne nabicie – a w ich miejsce wyrosły długie ostre piki. Jednocześnie gdzieś na tyłach poniósł się ryk trąb. Zadrżała ziemia pod kopytami kawalerii. Joakim Claytore oraz znajdujący się pod jego komendą Listan Fulgham i Mustaig Hanstar szykowali się do szarży oskrzydającej.

Niedługo później Tankred przekonał się, że bitwy nie mają nic z uniesienia i patosu, o których czytał w księgach w ojczystej Skalinie. Zrozumiał, że bitwa to wypracowana przez wieki forma masowego ludobójstwa, w której honor to pierwszy krok do samobójstwa, a panika to nierzadko jedyny sposób na ocalenie życia. Oszołomiony patrzył, jak hufce Claytore'a i Fulghama wbijają się w bok nacierających Taliadczyków, którzy zatrzymali się

na rzędzie tarcz piechoty. Patrzył, jak gniotą ich, tratują i mordują. Patrzył, jak uciekającym zastępuje drogę kawaleria Hanstarów. Patrzył na zbroszone krwią ostrza włóczni, na wznoszące się ku szaremu niebu miecze, na nielicznych, którzy przemknęli wśród konnych i uciekali ku nieodległemu miastu, zwanemu wówczas Vissnitem, zostawiając za sobą rannych i konających towarzyszy.

Chciał znów zacisnąć powieki, ale zauważył to Bardun Fulgham. Podjechał konno do Tankreda, ściągnął rękawicę i smagnął nią rycerza po twarzy.

– Jeśli chcesz się wyrzygać, to się nie krępuj – wycharczał i zakasłał. – Ale patrz. Bo to niedługo będzie i twój udział.

Młody Hanstar okiełznał więc emocje i dalej przyglądał się bitwie, która podzieliła się już na dziesiątki pomniejszych starć. Tu i ówdzie Taliadczycy próbowali jeszcze stawiać opór, ale rozwijające się natarcie Mandylionu miażdżyło każdy oddział obrońców. Padł książę spod znaku srebrnej perły, strącony z siodła piką i porąbany toporami na ziemi. Coraz więcej ludzi umykało do miasta, a to powoli, nieubłaganie zamykało swe bramy, aż odcięło drogę wrzeszczącej rozpaczliwie gromadzie, która zbyt późno uległa panice. Wojska Mandylionu uformowały kolejny szyk do natarcia. Pojedyncze oddziały lekkiej jazdy wysforowały się do przodu, by ruszyć za niedobitkami uciekającymi ku rzece. Z lasu wyjechała artyleria Tenketarów.

– Drewniane wrota – prychnął Tomas Toulghan, który przyglądał się starciu obok Tankreda. Na jego okrągłej, mało inteligentnej twarzy malowała się pogarda. – Wały na dwa, góra trzy metry. Sześć baszt. Drewniane dachy. Do wieczora ten kurnik będzie nasz.

Wojska Joakima Claytore'a uwinęły się z zadaniem jeszcze szybciej.

Później Tankred dowiedział się, że poległy w starciu książę Terjei, brat króla Pogórza Visteniego, celowo wyprowadził swą armię w pole, by dać ludności czas na ewakuację. Dowiedział się też, że plan się powiódł, a mandylionskich piechurów wdzierających się przez wybite kulami armatnimi wrota powitał zaciekły opór nielicznych, którzy nie mieli już nic do stracenia. Do zapadnięcia zmroku w mieście nie było żywego ducha, a ludzie Claytore'a, rozjuszeni walką, spalili większość zabudowań. Dowiedział się także, że w bitwie o Vissnit Mandylion niemalże wyczerpał resztki zapasów prochu, cudem wywiezionego z ojczyzny.

Vissnit, jak się później okazało, stracił nie tylko mieszkańców i zabudowę.

Utracił również swą nazwę.

Już następnego dnia po bitwie wokół miasta pojawiły się pierwsze watahy padlinożerców. Nie było w tym nic dziwnego – o wiele mniejsze starcia przyciągały uwagę wilków, hien, a nawet ghuli – ale te spośród nich, które pojawiły się pod Vissnitem, nigdy miasta nie opuściły. Choć po trupach dawno nie było już śladu, po okolicznych borach nadal włóczyły się gromady ghuli i wilkołaków, które po zapadnięciu zmroku podchodziły pod zniszczone mury i wyły potępieńczo. Miasto rychło przechrzczono na Skowyt i nikt nigdy nie próbował niczego w nim odbudowywać.

Przemarznięty i przemoczony Tankred spojrział na niebo, nadal zasłane chmurami. Nie widział słońca, ale wiatr wiał znajomo. Zgarbił się, wstrząsany dreszczami. Koszmar pierwszej bitwy, który niespodziewanie wyskoczył z ukrycia, kąsał go i szarpał.

Pogrążony w myślach nawet nie zauważył, że właśnie mijają go gnomy. Grops i Through nadal pogrążeni byli we wściekłej kłótni, ale Thanni zatrzymał się, oparł łapska na biodrach i zerknął na rycerza z zaciekawieniem, przechylając lekko głowę. Woda nagromadzona w denku kapelusza ściekała strużką.

– Coś się tak zamyślił, człowiek? – spytał zaczepnie, a potem spojrział na rozległe, opustoszałe pola wokół miasta. – A, kapuję. Wasza robota, co?

– Nic ci do tego – mruknął Tankred między jednym dreszczem a drugim.

– A więc wasza. Sumienie cię podgryza, co?

– Nie lubię się powtarzać, ale...

– Tak, wiem. Nic mi do tego. Słuchaj, człowiek, jest tam jakaś karczma w tym rozpiździaju?

– Powinna być.

– To dobrze. – Thanni zmrużył oczy. – Bo trzeba nam się naradzić. No, ruszajmy, bo chłopcy mają, jak widzę, ochotę natłuc sobie po gębach.

Rażno ruszył traktem w kierunku kamratów, między którymi doszło do kolejnej sprzeczki. Through usiłował trafić kułakiem w nabrzmiały nos Gropsa, a ten cofał się i mierzył w niego kijkiem, wyrzaskując coś piskliwym głosem. Po kilku krokach natrafił plecami na wierzbę. Through zamierzył się do ciosu, ale Grops wykorzystał okazję i poczęstował go kopniakiem między nogi. Thanni zataczał się ze śmiechu.

Tankred nawet nie drgnął.

„Ciekawe, na ile wam wystarczy tego humoru – pomyślał mściwie. – Bo resztki zdrowego rozsądku, jak widać, już dawno straciliście”.



Spalone miasto, zalane deszczem i błotem, zrobiło przygnębiające wrażenie nawet na gnomach, które posłusznie zamilkły. Tankred zsunął się z siodła i szedł jako pierwszy, prowadząc konia za uzdę. Stukot kopyt o ubłocone kamienie bruku niósł się wśród poczerniałych chat i rycerz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dociera do niewłaściwych uszu i alarmuje niewłaściwych ludzi.

„Bo kto może zamieszkiwać taki grobowiec? – myślał, opierając drugą dłoń na rękojeści miecza. – Przydrożni rabusie? Bandy wygłodniałych uchodźców? Ghule i wilkołaki? A może Mąciciele?”

Nad bramą wisiał mokry, brudny proporzec ze Złamaną Kopią, który oznajmiał, że miasto należy do rodu Claytore’ów, ale Tankred nie widział nikogo na murach ani na ulicach. Po części się temu nie dziwił – Claytore’owie byli urodzonymi wojownikami i zajmowali się administracją terenów tylko wtedy, gdy nie mieli zupełnie nic do roboty. Przypuszczalnie wszyscy wysoko urodzeni dołączyli do obozu królewskiego przy granicy z Tangstem i odłożyli rozwiązanie problemu nawiedzonego miasta na później, tym bardziej że ich stolicą był Okrutnik, miasto mało zniszczone i niewymagające większego zaangażowania.

Tankred zaczynał się zastanawiać, czy desperacki plan, jaki powstał w jego głowie po rozstaniu z Jałowcem, rzeczywiście ma sens.

„Najpierw muszę dotrzeć do karczmy – obiecał sobie. – Tam być może natrafię na jakichś rodaków lub przynajmniej dowiem się, gdzie ich szukać”.

Rozejrzał się bacznie. Spod stosu zbutwiałych gontów wyrzał zdziczały kot, ale znikł, gdy tylko poczuł na sobie wzrok człowieka. Deszcz ściekał po zwęglonych deskach, gromadził się w kałuże. Jakiś szylld kołysał się na wietrze, naderwany i nadpalony. Na cudem ocalałej ścianie ktoś wypisał węglem: „Visteni powróci”. Niezgrabne litery były niemalże rozmyte deszczem.

„Visteni zwany Podstępny – pomyślał Tankred. – Władca Pogórza i król uzurpator całego Taliadu. Ongiś okrutnik, dziś nadzieja dla ruchu oporu. Ależ głupi ten świat”.

Dmuchał wiatr, niosąc falę mżawki. Na skraju pola widzenia przemknął jakiś cień. Tankred obrócił gwałtownie głowę, lecz ujrzał jedynie pustą uliczkę, zalaną kałużami i przywaloną gruzowiskiem. Zaklął pod nosem.

„Czy ktokolwiek w ogóle tu pozostał?”

Na pewno ktoś urzędował w karczmie, okazałym budynku o ścianach z grubych bali i dachu krytym strzechą, o czym świadczyła strużka dymu snująca się z murowanego komina. Ze stajni dobiegało cichutkie rżenie konia. Jedna ze ścian była pobielona do połowy, jakby jej właściciel postanowił ją odnowić, ale stracił zapał bądź po prostu uświadomił sobie bezsens remontowania czegokolwiek w mieście grobowcu.

„Właściciel tego interesu musi mieć łeb na karku. – Tankred nieco zwolnił. – I tęgi kij pod ladą. A co, jeśli to Taliadczyk, który pamięta masakrę Vissnitu?”

Zwolnił jeszcze bardziej i przepuścił przodem gnomy, które nie wykazywały żadnych skrupułów albo starannie je skrywały. Thruugh zatarł radośnie dłonie i podskoczył, Grops wymamrotał coś o jajecznicy i kaszance, a Thanni popędził ich obu. Całą trójką rozbójnicy naparli na ciężkie, pociemniałe od żywiołów i starości odrzwia i z radością wdarli się do środka. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Tankred, celowo nie spiesząc się, przytroczył wierzchowca do konowiązu i sprawdził, czy miecz łatwo wysuwa się z pochwy. Nasłuchiwał uważnie, ale grube ściany karczmy zazdrośnie strzegły swych sekretów.

– Cóż – mruknął i podrapał konia między uszami. Zwierzę spojrzało na niego z wyrzutem. – Gdyby ktoś chciał nakłść im po łbie, pewnie już usłyszałbym ich wrzaski. Zajrzę do środka. Tobą zajmę się później.

Zdecydowanym krokiem podszedł i pchnął ciężkie drzwi. Wkroczył w półmrok przesiąknięty dymem i wilgocią. Zamrugał kilkakrotnie, by przyzwyczaić się do braku światła. Najpierw zarejestrował ogromne, żarzące się palenisko na środku izby i zawieszony nad nim kocioł. Potem dostrzegł ogromną ladę, która w razie potrzeby mogłaby służyć za fortecę, i trójkę gnomów, którzy rozsiedli się przy sąsiedniej ławie. Gadali jak najęci,

nie przerywając jednakże ściągania butów, wyżymania onuc i wytrzepywania kapeluszy.

– O, a to nasz człowiek! – zawołał Thanni po taliadzku. – Karczmarz, jemu też coś należy. Smutny dzisiaj trochę, ale na ogół równy z niego gość.

– Równy, równy – rechotał Thugh. – Jak na człowieka.

Grops, klnąc pod nosem, wpychał palec w wielką dziurę w bucie.

Tankred oparł dłonie o stary kontuar, wyslizgany od przesuwania tysięcy drewnianych mis i cynowych kufli, poźłobiony sękami, poznaczony ostrzami noży i toporów. Na glinianym spodku dopalał się ogarek.

– Karczmarzu! – zawołał również po taliadzku i zerknął na gnomy, udając, że uśmiecha się do nich z sympatią. Na ułamek sekundy jego wzrok powędrował wyżej, w półmrok nad ich głowami, i wychwycił gruby wręg.

– Chwila! – burknął gospodarz przybytku, który niósł tacę z trzema misami. Tankred błyskawicznie otaksował go wzrokiem. Chudy jak szczapa, ale trzymający się prosto, wręcz z godnością. Rzadka siwa broda, niemalże nieprzystająca gospodarzowi takiego przybytku. Schludny przyodziewek, bystre spojrzenie, mocne dłonie, pewny krok. Brak uniżoności, co było raczej niespotykane u Taliadczyków.

– Tylko napasę tych darmozjadów – dodał.

Znad mis unosił się zapach tak intensywny i smakowity, że Tankredowi natychmiast ślinka napłynęła do ust.

„Nie teraz – pomyślał, ignorując burczenie w brzuchu. – W swoim czasie”.

Złapał karczmarza za ramię, gdy ten wracał do kuchni. Mężczyzna wyszarpnął odruchowo rękę, ale nie próbował się cofnąć. Spojrzał z buńczuczny zainteresowaniem na natarczywego rycerza.

– Nie masz tu pewnie wielu klientów, a więc trochę srebra ci się przyda – syknął mu Tankred do ucha. Zerknął na gnomy, ale te zajęte były pałaszowaniem posiłku. – Chcę, żebyś mi pomógł w jednej sprawie.

Karczmarz cofnął się o krok i przyjrzał się gościowi, przechylając lekko głowę.

– Potrzebuję pomocy – wycedził Tankred i wymownie spojrzał na gnomy.

– Chodźcie, panie, do kuchni. Tam należy wam cydru! – rzekł głośno gospodarz i zawrócił.

Gnomy zarechotały.

– Słyszeliście, kamraty?! – zawołał po mandyliońsku Thanni z pełnymi ustami. – Będzie się panisko ochlewać za naszymi plecami.

– Pies go smęcał – burknął Thugh.

– Trącał, ty jełopie! – parsknął Grops, opluwając ławę i kompana. – Ty, człowiek! A przyniósłbyś coś dla nas, co?

Reszty komentarza Tankred już nie słyszał. Wślizgnął się w ślad za karczmarzem do ciemnej kuchni, w której jedynym źródłem światła był płomień pełgający na niewielkim palenisku. W półmroku dookoła widział zwisające pęta kiełbas, okrągłe sagany, worki w kątach, stosy garnków i butelek na półkach.

„Nieźle zaopatrzone miejsce jak na karcznię wśród ruin” – przemknęło mu przez myśl, ale teraz musiał skupić się na czymś innym. Wbił wzrok w karczmarza.

– Jak się nazywacie? – spytał szeptem po taliadzku.

– Steffun – odparł tamten.

– Służycie Claytore’om?

– Tak, panie – odparł Steffun, patrząc mu w oczy. Młody rycerz miał wrażenie, że słowo „panie” wypowiedział z lekką niechęcią, ale nie dziwił się temu.

– Dobrze. Ja jestem Tankred Hanstar, syn Vildurfa. Między naszymi rodami nigdy zwady nie było i muszę was prosić o pomoc. Czy są w mieście jacyś ludzie Joakima Claytore’a?

Karczmarz pokręcił powoli głową.

– Nikogo, panie. Nikośko. Wszystkich na wojnę zabrali, choć po prawdzie jeszcze nim król miłościwy na Tangstev pociągnął, ludzi była tu garstka. Paru strażników, grododzierzca, moczymorda jeden – Steffun skrzywił się przy tych słowach – i jeszcze paru. Ninie zaś nikogo.

Tankred poczuł narastające zniechęcenie.

– Niech to szlag. Czyli puste to miasto?

– Jak sakiewka najemnika.

Młodzieniec przygryzł wargę. Spojrzał na palenisko. Omiótł wzrokiem zapasy. Przypomniał sobie drugie palenisko w izbie głównej, o wiele większe,

a mimo to rozpalone. Przypomniawszy sobie tempo, w jakim Steffun obsłużył gnomy.

„Skoro w mieście nie ma nikogo, komu ma niby służyć ta karczma?” – pomyślał.

Już otwierał usta, by zadać pytanie, kiedy odezwał się karczmarz.

– Mówicie, żeście z Hanstarów? – spytał z nieoczekiwanym ożywieniem.

– Tak.

– Tedy jednego z waszych poddanych goszczę. Próźniak jakich mało, ino...

– Gdzie on?

– W stajni, bo...

Tankred nie usłyszał reszty. Odwrócił się i bez słowa wypadł na zewnątrz, ignorując rechot gnomów i kość, którą rzucił w niego Grops. Deszcz osłabł i przerodził się w gęstą, dokuczliwą mżawkę. Młody rycerz przesadził jednym susem kałużę i wpadł do wilgotnej, cuchnącej stajni. Zamarł na progu.

Stojący tam koń spojrzawszy na niego obojętnie i zwiesił głowę, jakby chciał przekazać, że sprawy ludzkie nie interesują go kompletnie, w przeciwieństwie do człowieka, który właśnie usiłował go osiodłać. Ten zastygł w bezruchu i powoli, ostrożnie odłożył siodło na stóg wilgotnego siana, po czym bezwiednie wytarł dłonie w spodnie. Na jego chudej twarzy pojawił się ciemny rumieniec.

– P-p-panicz Tankred? – wyjąkał.

– Hegrun? – Młody rycerz zmarszczył brwi.

Widział chłopaka jedynie raz w życiu, gdy ten odzyskiwał siły w Ugorze, ale poznał go od razu. Trudno było pomylić ten rozkojarzony wzrok i wychudłą twarz z wątym zarostem. Nawet bandaż na czole był zawiązany tak jak poprzednio. Miał przed sobą giermka wuja Olwego, jedyne ocalałego z zasadzki na trakcie do Posępnej Łuny.

– Co ty tu robisz? – spytał ostro.

– Eee... no... Pani Viliena kazała mi ruszyć na północ – wyjąkał strapiony chłopak. – To wszystko wina tego... Tego...

– Stryja Gwinulfa? – Tankred zmarszczył brwi. – A w czym tobie mógł zawinić Upiór, który zauważa ludzi dopiero, gdy się o kogoś potknie?

– Stwierdził, że udaję – burknął z żalem giermek. – Że wcale nie jestem



chory. Że już dawno wydobrzałem, a teraz powinienem ruszać na północ, do lordów Mustaiga i Dustuna. Przydać się powinienem, powiedzieli, i bez litości wywalili z Ugoru.

– Trudno mieć do nich pretensje. – Tankred omiół giermka spojrzeniem i zauważył liczne źdźbła trawy zwisające tu i ówdzie z jego ubrania. – Mam wrażenie, że lubisz się wylegiwać w ciepełku. I odwagą też nie grzeszysz.

– Jakże to! – oburzył się giermek. – Że niby uciekłem z zasadzki na Gadających Bagnach?

– Na przykład.

– Koń mi poniósł! – jęknął Hegrun. – Wcale nie jestem tchórzem! Przecie sam z własnej woli zatrzymałem się w Skowycie! W najpaskudniejszym mieście w Nowym Mandylionie!

– Nie jesteś tchórzem? – powtórzył Tankred przeciągle. – Doskonale. Bo potrzebuję właśnie pomocnika do zadania, które wymaga sporo odwagi.

Z tymi słowami ujął zwój liny wiszący na haku w stajni i bez słowa zaczął wiązać pętlę.



Gdy wrócił do zadymionej izby, gnomy nadal okupowały tę samą ławę. Zajadały kaszę z baraniną, pomrukując przy tym z zachwytem. Żaden z nich nie odwrócił się ku Tankredowi. Dopiero gdy spadła na nie szeroka pętla, zauważyły, że coś jest bardzo nie w porządku.

– Co to?! – wrzasnął wystraszony Grops i usiłował zerwać sznur, ale stojący za nimi Hegrun zacisnął pętlę z wielką siłą spotęgowaną rozpaczą i paniką, ściągając trzech rozbójników bardzo blisko siebie. Wtedy Tankred sprawnie przerzucił drugi koniec liny przez zauważoną wcześniej belkę.

– Chodź tu! – warknął.

Giermek przypadł do niego i szarpnęli we dwóch. Trzy spętane, wrzeszczące dziko gnomy znalazły się kilkanaście centymetrów nad ławą.

– I raz! – dyrygował Tankred. – I dwa!

Z każdym pociągnięciem gnomy znajdowały się wyżej i wrzeszczały

głośniej, ale obaj Mandyliończycy nie przestawali ciągnąć liny, aż wierzgające dziko bosc stopy gnomów znalazły się na wysokości głowy Tankreda. Wtedy rycerz wskazał sąsiednią kolumnę. Wraz z Hegrunem mocno zawiązali linę wokół niej.

– No – sapnął zdyszany rycerz. – Piękne ptaszki udało nam się złapać! Hegrun, idź na zewnątrz i pilnuj. Daj mi pochodnię!

Ostatnie słowa wypowiedział po taliadzku do karczmarza, który posłusznie, bez emocji wręczył rycerzowi płonąca żagiew.

– Człowiek, odbiło ci?! – zawył po taliadzku zaskoczony Thanni.

Thugh usiłował rozkołysać całą trójkę, ale skończyło się na tym, że Grops uderzył czołem w słupek. Szarobury przemoczony kapelusz spadł na podłogę z mokrym plaśnięciem.

– Nie – odparł Tankred po mandyliońsku. – Wręcz przeciwnie. Myślę bardzo logicznie i dlatego postanowiłem stworzyć warunki, w których będziecie chętniej odpowiadać na moje pytania.

– A nie mogłeś nas spytać uprzejmie? – zaszlochał Grops, również w mandyliońskim. – Aaa... Ale mnie boli! Człowiek, no co ty?

– Mogłem – rzekł Tankred. – Ale przypomniało mi się, jak żeście mnie, gady jedne, wydały Mącicielom w Stęchliźnie.

– Ale przecież jesteśmy już kwita!

– Raczej byliśmy. – Tankred skinął głową i zamachał pochodnią, aż zahuczało powietrze. – Do chwili, gdy zastrzeliliście dwóch Tenketarów. A więc zacznę od prostego pytania. Dlaczego to zrobiliście?

Thanni pokazowo wybałuszył oczy.

– Co? O jakich Tentegotamtego gadasz? Aaaa! – wrzasnął i zamachał nogami, gdy Tankred przybliżył pochodnię do jego stóp. – Hej, powoli! Co ty robisz?

– Eksperyment. Nigdy nie przypalałem gнома.

– Odbiło ci! – wył Grops, podkurczając kolana. Po czerwonej, nalanej twarzy płynęły łzy. – Jak tylko się uwolnię, rzucę na ciebie taki urok, że się nie wysrasz przez miesiąc, a potem, jak ci minie, nie...

– Tenketarowie to aroganccy idioci – cedził Tankred. – Trudno było ich znieść nawet w Mandylionie. Tu, w Taliadzie, gdzie nie są już w stanie

wyrabiać prochu, nadrabiają pychę, przez co jeszcze bardziej grają na nerwach. To jednak wciąż Mandyliończycy. Sojusznicy w walce o nową ojczyznę. Nie pozwolę, aby jakieś knypki zabijały ich z zasadzki. Tym bardziej że to te same knypki, które kilka dni temu oddały mnie Męcicielom!

– Nie wiem, o jakich knypkach mówisz! – darł się Thanni. Thugh wspomagał go klątwami w rodzimym języku gnomów, a Grops potęgował hałas głośnym szlochem. – My nic nikomu nie zrobiliśmy!

– Wiem, jak brzmi wystrzał z muszkietu. Dokładnie takiego, jaki nosiłeś, gdy spotkaliśmy się na Mglakach. Z tego samego, który zapewne wyrzuciłeś podczas ucieczki przed najemnikami z Pogranicza.

– Ja nic nie... Aaaa!

Zniecierpliwiony Tankred przysunął pochodnię do podkurczonych stóp gнома. Wystarczyło kilka sekund, by Thanni całkiem zachrypnął, a do zapachów we wnętrzu dołączył smród palonych włosów na łydkach.

– Ten tam ma nóż! – zauważył karczmarz, który popijał ciepłe mleko z kubka w progu kuchni.

W istocie, w ogromnych dłoniach Thugh'a w jakiś sposób znalazł się niewielki kozik, którym zaczął niezgrabnie piłować gruby sznur. Tankred westchnął, wziął od karczmarza długą miotłę i z całej siły grzmotnął gнома po łapskach. Ten stęknął głucho i upuścił nożyk na podłogę.

– Ty szuju jeden! – jęknął. – Psowy ryju!

Rycerz zastanowił się chwilę i walnął gнома jeszcze dwa razy.

– Dzięki – powiedział i spojrzał z wdzięcznością na karczmarza. Mężczyzna skinął głową, zacisnął na miotle dłoń, zaskakująco długą i szczupłą jak na gospodarza takiego przybytku, i odstawił narzędzie do kąta.

Tymczasem gnomy zmieniły taktykę. Próbując uniknąć płomienia, rozkołysały linę, nie zważając na to, że przy maksymalnym wychyleniu Grops za każdym razem uderzał twarzą w słup. Po trzecim zderzeniu gnom zmadrzał i odepchnął się w porę nogami. Po chwili Thugh i Thanni znaleźli się w zasięgu pochodni na długie cztery sekundy. Wystarczyło, by obaj wrzasnęli jak opętani.

– Śliczne macie te stópki – powiedział Tankred. – Takie tycie, różowiutkie. Trochę trudno je smagnąć płomieniem, ale jakoś damy radę, no nie?

Gnomy kołysały się i darły wniebogłosy. Młody Hanstar stał nieruchomo

i unosił w odpowiednim momencie pochodnię. Karczmarz rechotał, popijając mleko. Hegrun zaglądał do środka przez okienko ze świńskiego pęcherza.

– Jak ja stąd zejść, człowiek... – charczał spocony Thanni. – Jak ja stąd zejść...

– Proszę bardzo – rzekł Tankred. – Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego zabiliście tych Tenketarów.

– A potem?

– Nie wiem. Najpierw chcę odpowiedzi na moje pytanie.

Gnomy milczały zawzięcie i łypały ponuro oczami na rycerza, który w końcu wzruszył ramionami i odwrócił się do karczmarza.

– Przynieś mi drugą pochodnię, Steffun.

– Bo to nędzne kutwy są! – rozdarł się niespodziewanie Grops.

– O – zdziwił się Tankred. – A więc to jednak wy?

– Dobra, człowiek – odezwał się Thanni. Po jego twarzy spływała kropla potu. – Dowiesz się tyle, ile dowiedzieć się możesz. Jeden z tych Tenketarów jakiś rok temu odwiedził Pogryzione Wzgórza. Szukał przewodników, którzy mieli go zabrać w te tam.. Jak wy je nazywacie? Smoczące Wzgórza? Parujące?

– Dymiące – rzekł zaintrygowany Tankred. – A to dobre. Jak się nazywał ów Tenketar?

– Slunn czy jakoś tak – parsknął Thanni. – Co to ma zresztą za znaczenie? Człowiek się nazywał i tyle!

– Stunn. – Młody Hanstar przygryzł wargę. – Stunn Tenketar.

Przed oczami niespodziewanie wyrosło mu drzewo genealogiczne żyjących Tenketarów, nieco uboższe po bitwie pod Rozpaczą i szaleńczej przeprawie przez Wściekłe Morze, ale wciąż bogate i rozrośnięte niczym krzak dzikiej róży.

„I jak ono kłujące” – pomyślał Tankred, przeglądając w myślach imię po imieniu, aż dotarł na sam szczyt. Stunn Tenketar, najmłodszy syn Zwierzchnika Rodu Alfunna Tenketara, uważany był za najzdolniejszego i najbardziej ambitnego spośród jego synów. Zakon Stalowej Duszy opuścił na kilka miesięcy przed klęską pod Rozpaczą, w której nie wziął udziału, rzekomo zajęty interesami rodu na wybrzeżu. Złośliwi mówili, że unikał

ryzyka w nadziei, że jego bracia dadzą głowę w bitwie, a wówczas on stanie się spadkobiercą Alfunna i w przyszłości zostanie Zwierzchnikiem wszystkich Tenketarów. Jeśli plotka była prawdą, zapewne przeżył spore rozczarowanie, gdyż wszyscy jego bracia uszli z życiem. Najwidoczniej po lądowaniu w Taliadzie postanowił zdobyć lepszą pozycję w inny sposób.

– Opowiedz mi o nim – rzekł głośno Tankred.

– Cholerna kotwa i tyle! – warknął Thruugh i rozkołysał linę.

– Kutwa – parsknął Grops. – I nie kołysz, bo ci zaraz przy...

– Cisza! – burknął Thanni. – Myśli zbieram. O tym całym Splunie to ci, człowiek, niewiele powiem. Szwendał się, nagabywał, kłaniał w pas, złotem mamił, taki syn. Niejeden mu drzwi pokazał, a paru nawet kopem go poczęstowało, rzeknę ci. Uważał nas za jakieś cudaki z cyrkusu, tedyśmy go jak durnia potraktowali.

– Bo gnom, człowiek, jak złota chce, to sobie je wygrzebie – odezwał się Grops. Nie mogąc się podrapać po posiniaczonym, swędzącym czole, marszczył je co chwila i unosił gwałtownie brwi. – Jak nie wygrzebie, to zrabuje. W ostateczności nawet zarobi. Ale na służbę do byle przybłądy nie pójdzie.

– Ale wy się jakoś z nim dogadaliście, co?

– Żeśmy, uważaj, człowiek, transakcję związaną z nim zawarli – rzekł Thanni z mądrą miną. – Wiesz ty w ogóle, co to takiego?

– Wiem. Wiem również, co to znaczy w twoich kłamliwych, nie dość jeszcze obitych ustach – rzekł powoli Tankred. Pierwsze fakty zaczynały mu się układać w logiczną całość. – Tenketar szukał złóż siarki, które, jak głoszą plotki, ponoć znajdują się na Dymiących Wzgórzach. Potrzebował więc odważnych, choć mało rozgarniętych przewodników, którzy mu takowe pozwolą odnaleźć.

– Mało rozgarniętych? – Thanni spojrzał na niego pochmurnie. – Może szukałeś słowa „zdeteminowanych”? Wiesz coś w ogóle o Dymiących Wzgórzach, co? Słyszałeś o koboldach może? O pisklinach czy czarnochowach? Widziałeś może któregoś z miejscowych smoków? Mało kto przeżyje więcej niż tydzień na Dymiących Wzgórzach. My spędziliśmy tam ponad pół roku. Niby skąd znamy waszą mowę, co?

Rycerz przełknął ślinę. Serce waliło mu jak młotem.

– Niech no zgadnę... – powiedział nieco zachrypłym głosem. – Znaleźliście coś?

– Pewnie. – Thanni spróbował wzruszyć ramionami, ale lina ścisnęła go zbyt mocno. – Pełno tam tego.

Tankred usiadł ciężko na skraju ławy i pokręcił głową. Siarka? Jest siarka w Taliadzie? Przecież to oznaczałoby...

„Na Pieśni, to by całkowicie zmieniło układ wydarzeń! – pomyślał, oszołomiony. – Gdyby pojawił się proch, nastąpiłyby kolejne podboje. Przestalibyśmy się tłoczyć w ciasnym Taliadzie i podbiliibyśmy sąsiednie krainy! W okamgnieniu z bandy wygnańców stalibyśmy się znów imperium!”

Zacisnął dłonie na skroniach, gdyż niespodziewanie zakręciło mu się w głowie. Wtem pojawiła się nowa myśl, ostra i zimna.

„Ród, który zdobędzie dla króla proch, stanie się najpotężniejszy spośród nas”.

Tankred poderwał się, poruszony, i przemierzył całą długość karczmy, nie zwracając uwagi na kołyszące się, wierzgające i przeklinające gnomy nad swoją głową.

„Cóż to za bzdury? – ofuknął sam siebie. – Tenketarowie od zawsze produkowali dla nas proch i mieli wysoką pozycję, ale nigdy nie wybijali się przed szereg! Dlaczego miałoby to nastąpić teraz? Przecież mamy króla, są Pieśniarze, jest Talia...”

Myśli te, choć logiczne, wcale go nie uspokajały. Miotał się po karczmie, przeświadczony, że coś przeoczył. Że istnieje jakiś element, który się nie zgadza, że pojawił się powód, dla którego naprawdę należy zacząć się martwić.

– Thanni – rzucił nagle. – Kiedy opuściliście te Dymiące Wzgórza?

– Pół roku temu – burknął gnom. – Wróciliśmy do siebie, żeby...

„Pół roku temu! – Tankred zacisnął dłonie. – Przecież... Przecież to największe odkrycie od czasu przybycia do Taliadu! Dlaczego Tenketarowie zataili je dla siebie? Dlaczego Stunn nie powiedział o wszystkim królowi? Dlaczego nie wykorzystał szansy, by podbudować swą pozycję?”

Dopiero po chwili dotarło do niego, że Thanni nadal coś mówi.

– Hej, człowiek! Człowiek, słyszysz mnie? A nie chcesz usłyszeć o tym, jak

nas ten sukinsyn wykiwał?

Tankred spojrzął na wiszący pod sufitem pojękujący gnomi żyrandol. Kilka postrzępionych myśli zbiegło się z zakamarków jego umysłu i złożyło w logiczną całość.

– Transakcja wiązana, tak? – parsknął. – W ramach zapłaty zażyczyliście sobie, by udostępniono wam sekret prochu, najlepiej wraz z kilkoma baryłkami. Stunn Tenketar oczywiście się zgodził, ale, by nie budzić waszych podejrzeń, zażądał słonej zapłaty. Wróciliście więc na Pogryzione Wzgórza, zebraliście forszę i wyprawiliście się do Stęchlizny, by tam dokonać wymiany. Niestety, zamiast wysłanników Stunna czekał tam na was Jastrzębi Rycerz, którego przez przypadek pokonałem i uratowałem wam tyłki.

Kwaśna mina Thanniego sugerowała, że Tankred ma rację.

– Uznaliście więc, knypki cholerne, że wypada się zemścić na Tenketarach. – Młody Hanstar zacisnął zęby. – I tak oto rozwaliliście łby pierwszym dwóm napotkanym. Nie wystarczyło wam to, jak widać, bo postanowiliście do mnie dołączyć i dotrzeć na północ, by odnaleźć samego Stunna, prawda?

– Bo to psowy ryj! – warknął Thruugh, potwierdzając wszelkie domysły.

Tankred pokiwał głową.

– Posłuchajcie mnie, knypki. Możecie sobie tę waszą zemstę wsadzić głęboko w pryszczate dupska. Nie pozwolę, by ktokolwiek podniósł rękę na członków któregoś z rodów! Będę bronił przed wami nawet Pieśniarzy i...

W głosie Tankreda zabrakło siły, gdyż jego myśli zatruło nagle straszne podejrzenie.

„Jastrzębi Rycerze służą tylko Pieśniarzom. Skoro któryś z nich czyhał na gnomów, oznaczać to może tylko i wyłącznie tyle, że jeden – przynajmniej jeden! – Pieśniarz sprzyja Tenketarom. Ale... Ale to przecież niemożliwe!”

Tankred miał wrażenie, że jego świat rozpada się po raz drugi. Jak wielu innych rodaków, z wielkim trudem przyzwyczajał się do nowej ojczyzny. Nie ufał miejscowym ludziom, walczył z Mącicielami, tutejszej mowy wyuczył się z obowiązku, a praktykowanej w Taliadzie magii bał się podobnie jak reszta przybyszów. Z niechęcią oswajał się z życiem w podbitych zamkach i miastach, a w snach i marzeniach bez przerwy wracał do Mandylionu. Przed ostatecznym zwątpieniem bronił go tylko porządek, który przywieźli

z ojczyzny.

„Król. Pieśniarze. Rody – powtórzył w myślach. – Król. Pieśniarze. Rody. Pieśniarze dbają o to, by naszych umysłów nie plugawiła zdrada, rody bronią naszych granic, a król czuwa nad nami wszystkimi. Czy to możliwe, aby niektóre rody wraz z kilkoma Pieśniarzami ośmielili się zdradzić króla i zająć własnymi intrygami? A co z Talią?”

– Panie! – odezwał się ktoś nieśmiało.

Tankred uniósł głowę i potrząsnął nią, rozpędzając coraz mroczniejsze myśli. Ujrzał zaniepokojonego Hegruna, który zaglądał do środka z dziwną miną.

– Co się dzieje? – parsknął.

– Jeźdźcy jacyś.

– Jeszcze tego brakowało – burknął rycerz i ociężale wyszedł na zewnątrz, gdzie siąpiła nieustępliwa mżawka.

Ośłonił dłonią oczy, a wtedy jego niechęć znikła w okamgnieniu. Pomimo sporej odległości rozpoznał lamelkowe zbroje, ciemne płaszcze i czarne włosy upięte na czubkach głów. Wojownicy jechali ostrożnie, powoli, rozglądając się. Jeden z nich go dostrzegł i wskazał pozostałym.

– Sępy – mruknął do siebie Tankred i odruchowo ujął rękojeść miecza.

Teoretycznie nie miał powodu, by się czegokolwiek obawiać – nie dość, że należał do jednego z mandyliońskich rodów, to jeszcze najemnicy być może widzieli go w Ostańcu – ale o gnomach nie dało się już powiedzieć tego samego.

Jeźdźcy przyspieszyli. Mokre płaszcze uniosły się za nimi niczym ptasie skrzydła, kopyta rozbryzgiwały kałuże.

– Hegrun – odezwał się półgłosem młody rycerz. – Do środka.

– Panie, ja... – zaczął bełkotliwie giermek, ale Tankred nie dał mu dokończyć.

– Do środka! – powtórzył i pociągnął Hegruna.

– Człowiek, ja już nie mogę! – wrzeszczał Grops. – Opuść nas na ziemię! Wrzyna mi się ta linka nie powiem w co, a Through ma tak kościstą dupę, że...

– Stul pysk! – warknął Tankred. – Sępy nadciągają.

Gnomy natychmiast spoważniały.



– Opuść nas – wyrzeźił Thanni. – Damy sobie radę z paroma najemnikami.  
– Ich jest więcej niż paru – rzucił młody Hanstar. – A wy nie macie broni.  
Trzeba was jakoś schować...

Z zewnątrz, pomimo grubych ścian, słychać było tętent kopyt i prykanie najbliższych wierzchowców. Wzrok Tankreda spoczął na linie, którą obwiązali z Hegrunem kolumnę, i naraz go olśniło.

– Steffun! – zawołał do karczmarza. – Dorzuc do paleniska czegoś wilgotnego! Czegoś, co się dymi! Hegrun, bywaj tu! Podciągniemy knypków jak najwyżej!

Nie oglądając się na giermka, przypadł do liny i zaczął ciągnąć.

– Panie, ale... – Hegrun chwycił go za rękaw. – Ale ci ludzie...

– Cicho bądź i ciągnij! – wycedził Tankred.

Gruba lina była szorstka i wrzynała się w dłonie, ale dwóch Mandyliończyków zdołało podciągnąć schwyte w pętlę gnomy dobre trzy metry wyżej. Steffun, który kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi, rzucił garście gałęzi świerkowych na palenisko i ku powale buchnęły gęste kłęby dymu, całkiem skrywając rozbójników. Następnie karczmarz zebrał opróżnione przez gnomy naczynia i pogwizdując, schował je na zapleczu. Hegrun upchnął pod ławą ich buty i onuce, a Tankred odkopnął w kąt kapelusz.

Drzwi otworzyły się chwilę później i do środka wszedł najemnik.

Rozparty beztrosko na ławie Tankred miał wreszcie okazję przyjrzeć się wojownikom z Pogranicza. Wysokie buty do konnej jazdy oplecione paskami postrzępionego futra, płócienne spodnie obszyte skórą po wewnętrznej stronie ud, kaftan z mocnej, utwardzanej skóry, nabite ćwiekami naramienniki. Czarne włosy splecione w warkocz na czubku głowy, cera ciemna, opalona wiatrami równin, oczy czujne, niebezpieczne. Rycerz odkrył nagle, że utrzymywanie beztroskiej pozy przychodzi mu z trudem.

Najemnik szedł wolno, ostrożnie, lekko niczym kot i rozglądał się. Palce w skórzanej rękawicy zaciśnięte były na rękojeści miecza o długiej, wąskiej klindze. Oczy przybysza, lekko skośne, jakby wiecznie zmrużone od wiatru, przewierciły młodego Hanstara na wylot. Przyglądał mu się o sekundę, dwie za długo.

„Inteligentny – uświadomił sobie Tankred. – Nie uda się przed nim ukryć

tych knypków”.

– Służę rodowi Tenketarów i szukam trzech gnomów – powiedział Sęp w taliadzkim tak chrapliwym, że ledwie zrozumiałym.

– Dlaczego? – spytał młodzieniec i założył dłonie za głowę.

„Nie patrz w górę, nie patrz w górę, nie patrz...”

– Z rozkazu Tenketarów. – Najemnik z Pogranicza nie wdawał się w szczegóły.

– Jesteś wart pieniędzy, które otrzymujesz – rzekł Tankred, uśmiechając się z przymusem. – Szukaj dalej.

Wojownik wyciągnął miecz lekko z pochwy, na tyle, by młody rycerz zdołał dojrzeć symbole na klindze, i schował go z trzaskiem. Serce Hanstara zabiło mocniej, ale powstrzymał dłoń, która odruchowo sięgnęła w kierunku własnego miecza.

„To zapewne ich salut” – pomyślał i próbował się uspokoić.

Coś innego przyciągnęło jego uwagę. Symbole ryte na klindze. Identyczne z tymi, które dostrzegł w przelocie na ostrzu innego najemnika, szaleńca, który stawiał czoła kilku uciekinierom w Przytulisku. Tego samego, którego później zastrzelił Dagnaar.

Uwolnione wspomnienia pomknęły niczym wartka rzeka.

„Uciekajcie” – szepnął Dagnaar z dymiącym pistoletem w dłoni.

„To honorowi wojownicy, niezwykle przeczuleni na punkcie swej wartości, szalenie wprost odważni i bardziej zawzięci niż wygłodniałe wilki – odezwał się w jego głowie Jałowiec. – Nie cofną się przed niczym z obawy przed ośmieszeniem”.

I nagle rycerz wiedział już, co zrobić, aby najemnik zapomniał o swoim zadaniu.

Sęp szedł w stronę Steffuna, który blokował drogę do kuchni, kiedy Tankred odkaszlnął.

– Szukaj, szukaj – zadrwił. – W końcu jesteś psem gończym. Kundlem właściwie. Wyliniałym kundlem na smyczy Tenketarów. Dobrze cię karmią? Myją ci pysk, jak się jedzeniem powalasz?

Najemnik zwięził oczy, przygryzł wargę i odwrócił się. Na czole nabrzmiała mu żyła. Policzki pociemniały. Tankred zaś, zaskoczony własną bezczelnością,

podniósł się z ławy i przechylił lekko głowę.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię, co? – szydził. – Poczekaj, jak to będzie po waszemu... Hau, hau!

Z góry dobiegło stłumione pokaskywanie i cichy, drżący szept:

– Człowiek, weź się uspokój! Kto nas stąd zdejmie, jak cię zaszlachtują?

Najemnik na szczęście niczego nie usłyszał. Zacisnął dłonie na rękojeści miecza, przełknął ślinę i odwrócił się. Szedł ku drzwiom powoli, jakby powstrzymywała go jakaś potworna siła, lecz w końcu jego drżąca ręka opadła na kłamkę. Pchnął drzwi i wyszedł na deszcz, ale wcześniej odwrócił się i obrzucił Tankreda spojrzeniem, w którym kryła się żądza mordu.

– Tak sądziłem – stwierdził beztrósco młodzieniec, choć serce waliło mu jak szalone. – Nie dość, że kundel, to jeszcze z obciętymi jajami.

Wyszedł w ślad za wojownikiem i oparł się o framugę.

Najemnik powoli wspiął się na konia. Rozległo się pytanie jednego z towarzyszy – rycerz zarejestrował fakt, że była to kobieta – ale Sęp odwrócił wierzchowca i ruszył z powrotem drogą, którą przybyli. Pozostali jeźdźcy ruszyli w ślad za nim, oglądając się na Tankreda, który stał samotnie wśród kałuż z rękami założonymi na piersi.

Młody rycerz nie zwracał uwagi na deszcz. Chciał jedynie pozbyć się natrętnych Sępów, a tymczasem dokonał nowego, wstrząsającego odkrycia.

„Pędź do króla jak najszybciej i dostarcz mu to do rąk własnych – odezwał się w jego głowie Dagnaar. – To nowe dane wywiadowcze zdobyte przez Pieśniarzy. Ja miałem je zawieźć, ale...”

Tankred wydobyl zawiniątko, wręczone mu przez przyjaciela. Przyjrzał się lakowanej pieczęci z Wagą, symbolem Vlistunów, która w mig pokryła się drobnymi kropelkami mżawki.

– Co jest w środku? – zapytał sam siebie chrapliwym szeptem. – Cóż to za dane, Dagnaar? Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, bym dostarczył je do króla? Najpierw własnoręcznie zabijasz Sępa, który staje mi na drodze, a potem wydajesz rozkaz pozostałym, by nie ważyli się mnie tknąć. Na Pieśni, przecież ten najemnik był gotów rozplatać mnie po pierwszej zniewadze! Ha, i Jastrzębiego Rycerza też jakoś od dawna nie widziałem. Co jest w środku?

– Panie? – bąknął nieśmiało Hegrun, który wyjrzał z karczmy. – Pojechali sobie już?

– Tak, pojechali – mruknął Tankred. – Możesz przestać się bać.

– Ja się nie... – spąsował giermek. – Absolutnie! Ja pomóc chciałem!

Młody rycerz powoli, z trudem obrócił głowę, by spojrzeć na Hegruna. Nigdy w życiu nie czuł się tak znużony jak tego dnia.

– Pomóc w czym?

– Ci ludzie... – Giermek spojrzał na błotnisty trakt prowadzący ku wyłamanym wrotom. – Ja sobie wszystko przypomniałem. Tacy jak on zaatakowali waszego wuja Olwego na Gadających Bagnach. Tacy jak on zabili rycerza Argrena i pozostałych.

– Jacy? – spytał głucho Tankred.

– No... Byli inaczej odziani, ale... Ale reszta się zgadza. Te włosy, te oczy, te twarze. – Giermek wzdrygnął się. – Jestem prawie pewien.

Tankred zacisnął powieki.

– Nie wierzę – szepnął.

Podszedł do Hegruna i poklepał go po ramieniu, a potem wszedł do zadymionej karczmy. Spod powały dobiegały rżenie, pokastywanie i przekleństwa w wielu językach.

– Już sobie poszli? – wykrztusił Grops. – Poszli sobie? Proszę, niech sobie już pójda!

Rycerz bez słowa schował zawiniątko od Dagnaara za pazuchę i dobył miecza. Kłęby dymu we wnętrzu były tak gęste, że dopiero po chwili zauważył linę, którą przywiązali z Hegrunem do kolumny. Ciachnął ze wszystkich sił. Sznur puścił z głuchym trzaskiem, a sekundę później z góry zleciały gnomy i wyrznęły w polepę z łoskotem.

– Teraz to żeś, człowiek, przegiął jak nigdy! – kasłał Thanni, zrzucając z siebie Thrugha.

– Niech no tylko znajdę różdkę. – Grops pełzał po podłodze na czworakach. Oczy miał załzawione tak, że nie widział zgoła nic. – Niech no tylko znajdę...

Odgłosy wydawane przez Thrugha sugerowały, że desperacko, acz nieskutecznie usiłuje się wyrzygać.

Tankred stanął nad nimi.

– Zamknąć psowe ryje – powiedział głuchym głosem, nieznoszącym

sprzeciwu. – Właśnie ocaliłem was przed włóczniami najemników z Pogranicza, a więc możesz sobie, Thanni, te twoje pogróżki głęboko wepchnąć. Jeśli któremuś z was się coś nie podoba, mogę go na powrót wciągnąć pod powałę. No, już. Wstawać. Tam są wasze buty.

– I co dalej? – Thanni wyprostował się i założył ramiona na piersi. Wytrzymał w tej pozycji chwilę, po czym syknął i przestąpił z nogi na nogę. Najwidoczniej dokuczały mu poparzone stopy. – Rozejdziemy się w pokoju jak przyjaciele? Zapomnimy o wszelkich urazach?

– Nie – wycedził Tankred. – Zawrzemy transakcję wiązaną. Udamy się na północ, tam, gdzie zmierzaliście. Niewykluczone, że wasze opowieści o Tenketarach przydadzą mi się w pewnej ważnej sprawie. W zamian za to pomogę wam w realizacji waszych zamysłów.

– Ten tego... – Grops odkaszlnął, przecierając zaczerwienione oczy. – Może nie słuchałeś nas należycie uważnie, człowiek, ale my mamy kosę z tymi kutwami Tenketarami i chcemy się na nich zemścić. Jeszcze chwilę temu zamierzałeś nas z tego powodu powiesić.

– Słuchałem was uważnie i nie będę was powstrzymywał.

– Akurat! – prychnął Thanni.

– Nie będę – powtórzył Tankred. – Ale pod warunkiem. Zemstę opracujemy wspólnie i ruszycie do działania dopiero na mój znak. Nie wcześniej. Jasne?

Gnomy niemrawo pokiwały głowami.

– Ale wcześniej musimy odwiedzić jeszcze jedno miejsce – rzekł młody Hanstar i obejrzał się na wchodzącego do karczmy Hegruna. – Gadające Bagna.



## Gadające Bagna

Karczmarz Steffun przyjął zapłatę i obdarował ich na drogę ze szczodrością, z którą Tankred jak dotąd rzadko się spotykał. Gnomy, które otrzymały zapas kiełbasy, sera, cebuli, brukwi i kromek chleba, również wydawały się zaskoczone. Thanni zmusił się nawet do wyburczenia kilku słów podziękowania, a Grops wykonał kilka rytualnych znaków błogosławiących przybytek. Wnet przeszli przez ostatni ocalały most na Cięciwie i nie oglądając się na zniszczone miasto, ruszyli przed siebie.

Dzięki życzliwości karczmarza kolejny odcinek wędrówki okazał się stosunkowo wygodny. Niebo było czyste, przerwy na popas częste, a piaszczysty trakt, okolony z obu stron sękatymi, sędziwymi wierzbami, pusty. Gnomy nadal perorowały głośno we własnym języku, ani chybi rozpatrując szczegóły niezwyklej umowy, którą zaproponował – ba, wymusił! – Tankred. Hegrun milczał posepnie, przypuszczalnie przejęty myślą, że zbliża się do miejsca, o którym wolałyby zapomnieć. Sam rycerz również nie odzywał się ani słowem.

Nie próbował nawet narzucić porządku myślom, które wartkim nurtem przepływały przez jego umysł. Wszystkie one niczym złowieszcze kruki

wirowały wokół dwóch znaków – Szarego Dymu Tenketarów oraz Wagi Vlistunów.

„Wiele wskazuje na to, że oba rody rozpoczęły działania na własną rękę – myślał. – Nie wiedzą o tym inne rody, co jeszcze nie powinno nikogo dziwić. Niepokojące jest dopiero to, że przypuszczalnie nie wie o tym król, zajęty wojną na północy. Co gorsza, o wszystkim wiedzą Pieśniarze i to dopiero jest dziwne”.

Czuł pod skórą, że porządek świata, do którego nawykł w Mandylionie i którego tak bardzo potrzebował w Taliadzie, zaczyna się rozsypywać. Nigdy w życiu nie czuł tak wielkiej niepewności, nawet wtedy, gdy znalazł się w lochu pod Pochodnią i po raz pierwszy musiał się zwrócić przeciwko własnemu królestwu.

„Jestem niewinny! – powtarzał uparcie. – Nie zrobiłem nic złego! To inni gwałcą porządek i są bliscy zdrady! Co się dzieje z nami wszystkimi? Co z nami robi ten przeklęty kraj?”

Uniósł głowę i zerknął na błyszczące od wilgoci gałęzie wierzb. Przez moment spoglądał dalej, na zamglone pola i łąki okolic Skowytu, aż naszło go przemożne wrażenie, że kraina odpowiada mu długim, przeciągłym spojrzeniem, w którym nie ma nic z życzliwości. Poczuł się nieswojo. Obco.

– Szlag by to wszystko trafił – mruknął, lecz w jego głosie znów zabrakło siły. – Szlag jaśnisty.

Wędrowali ku Posępnej Łunie mało uczęszczanym traktem, który przecinał wielką puszczy, z niejasnych powodów zwaną po taliadzką Rdzawą. Tankred pamiętał z mapy, że Gadające Bagna leżą gdzieś w jej sercu, ale nie miał pojęcia, kiedy tam dotrą. Miejscowa ludność uważała biegnącą tędy drogę za nawiedzoną, co zwalniało z obowiązku utrzymywania jej w należytym porządku. Trakt zaczęli wykorzystywać dopiero odporni na lokalne przesady Mandyliończycy, którzy szybko odkryli jego użyteczność. Zdaniem Hegruna droga wcale nie była w takim złym stanie – niewielki orszak Olwego przemierzał ją ze sporą prędkością – ale po ostatnich deszczach sytuacja mogła się diametralnie zmienić.

„Mam nadzieję, że nie utkniemy gdzieś na dobre – pomyślał Tankred i obejrzał się na wędrujące pieszo gnomy. – W innych okolicznościach zapewne zdecydowałbym się na wygodniejszy szlak, ale... Ale chyba pora,

by ktoś zbadał miejsce śmierci wuja”.

Wieczorem, gdy znaleźli się już na skraju lasu i wybrali miejsce na nocleg, myśli Tankreda znów zaczęły krążyć wokół przesyłki wręczonej mu przez Dagnaara. Gnomy, którym pobyt w karczmie w Skowycie rozbudził apetyt, zabrały się do rozpalania ogniska, co ostatecznie udało się Thrughowi. Przepędzony przez niego Grops, który bezskutecznie próbował wzniecić ogień magicznym sposobem, poszedł po wodę do pobliskiego strumienia, a Thanni rozłożył smakołyki wręczone im przez Steffuna i mlaskając głośno, zaczął planować kolację.

Tankred usiadł wśród korzeni najbliższego drzewa i wyciągnął zawiniątko.

Była to skórzana koperta z pieczęcią w kształcie wagi. Ciemnoczerwony lak połyskiwał w blasku coraz wyższego ognia. Młodzieniec oglądał paczuszkę ze wszystkich stron, walcząc z ochotą, by złamać pieczęć.

„Co jest w środku? – myślał. – Co zawiera przesyłka, którą mam dostarczyć królowi? Czy wolno mi to otworzyć? Czy Vlistunowie będą na mnie źli, jeśli to zrobię? A może to jakiś podstęp? Może powinienem...”

Musnął palcem lak, odłamując okruszki, które przylgnęły mu do skóry.

„Mogę w sumie powiedzieć, że lak pękł po drodze. Że spadłem z konia i dokument sam się otworzył – postanowił. – W razie czego parokrotnie podkreślę, że to Vlistunowie mi go przekazali, by król nie zapomniał o ich zasługach”.

Dotknął laku raz jeszcze, tym razem mocniej, a ten niespodziewanie rozsypał się w drobny mak.

Tankred nie mógł uwierzyć własnym oczom. Lak wykorzystywany do pieczętowania ważnych dokumentów był twardym, odpornym na wilgoć materiałem, który mógł wytrzymać długie lata. Ze zdumieniem roztarł ciemnoczerwony proszek między palcami i przyjrzał się im pod światło. Jediną pamiątką po Wadze Vlistunów było czerwonawe kółko na skórzanej kopercie.

„Coś podobnego!”

Zawsze istniała szansa, że Dagnaar użył starego laku, ale z drugiej strony...

„Może chcieli, by pieczęć się skruszyła i bym zajrzał do środka? Cóż chyba za późno na domysły”.

Rozchylił kopertę i wyjął z niej paczuszkę, ciasno zawiniętą w cienką skórę.



Rozłożył ją i rozprostował na kolanie kryjący się w środku list. W migotliwym blasku płomieni ujrzał litery wypisane śmiałym, energicznym pismem. Nie było wątpliwości, że pióro trzymał człowiek pewny siebie i obdarzony autorytetem. Tankred pochylił się nad dokumentem.

*Wasza Królewska Mość!*

*Niech Pieśni Was sławią!*

*Nakazom dobrej służby posłuszny donoszę, iż zeznania kilku tubylców, których przynależność do ruchu zwanego Mącicielami nie budzi żadnych wątpliwości, wskazują na ożywienie wśród oddziałów buntowniczych. Kilka z nich, o łącznej liczebności pięciuset głów, zmierza właśnie w stronę Okrutnika, niewykluczone, że dołączą do nich inne. Przesłuchiwani przez nas więźniowie są przekonani, że na czele któregoś z oddziałów stoi Visteni, obalony przez nas król uzurpator Pogórza. Nie ma żadnych dowodów na to, że mówią prawdę, ale nadmieniam, że ciało króla uzurpatora nie zostało nigdy zidentyfikowane.*

*Pokornie radzę Waszej Królewskiej Mości, by wziął te wieści pod rozwagę. Nie możemy wykluczyć, że Mąciciele wykorzystają to, że nasze wojska skoncentrowane są wokół granicy z Tangstevem, i posłużą się sobowtórem króla uzurpatora, by wzniecić powstanie ludowe. Istnieje ponadto podejrzenie, że buntownicy wiedzą już o niedoborze prochu, na który cierpi nasza armia.*

*Sługa uniżony,*

*Pieśniarz Rozvan*

Tankred zwinął list, bezwiednie wsunął go w skórzaną kopertę i odetchnął głęboko. Oparł potylicę o pień drzewa.

– A może... – szepnął. – A może mi już odbija? Może myślenie zaczyna mi szkodzić? Może wszelkie podejrzenia, które wysnuwam wobec Vlistunów i Tenketarów, są całkowicie bezpodstawne? Może oni naprawdę mają mnóstwo spraw na głowie i dla Dagnaara w istocie byłem jedynym człowiekiem, który mógł dostarczyć przesyłkę królowi?

Rozłożył dokument ponownie. Czytał go raz za razem, aż słowa wgrzyły mu się w pamięć. Treść, wypisana energiczną ręką nieznanego mu Pieśniarza,

wydawała się złowieszcza i nagła.

– Nie ma ani chwili do stracenia – uznał. – Bez względu na to, co się wokół mnie dzieje, muszę dostarczyć list królowi. Muszę i koniec.

Dopiero teraz zauważył, że Thanni wpatruje się w niego. Płomienie ogniska barwiły skórę jego twarzy na miodowo, a przymrużone oczy połyskiwały niczym u drapieżnika.

– Co tam, człowiek? – zagadnął, ryjąc kijkiem w ognisku. Iskry buchnęły pod rozgwieżdżone niebo. – Coś cię chyba gryzie, nieprawdaż?

– Nic, co by cię mogło interesować, Thanni – odparł Tankred.

Through zdjął skórzaną przepaskę z oka i drapał się po zabliźnionym oczodole. Grops ściągnął onuce i z przejęciem grzebał między paluchami u nóg. Thanni, który nie spuszczał wzroku z młodego rycerza, wrócił do cerowania kapelusza grubą nicią. Hegrun, siedzący nieco dalej, przyglądał się gnomom z podejrzliwością. Po brodzie ściekała mu strużka tłuszczu z jedzonej właśnie kiełbasy.

– Tak tylko pytam – rzucił gnom. – Bo widzisz, człowiek, teraz to jesteście drużyną. Jeśli gdzieś czekają nas jakieś kłopoty, chciałbym o nich wiedzieć.

– Z własnej, nieprzymuszonej woli leziesz do obozu królewskiego, by zemścić się na jednym z przywódców potężnego rodu, i pytasz, czy nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? – Rycerz zaśmiał się bez wesołości. – Chyba cię za długo wędziłem pod sufitem karczmy!

– Nie chciałbym, by...

– Ja też bym wielu rzeczy nie chciał – przerwał mu Tankred. – Jutro czeka nas ciężki dzień. Lepiej idźcie spać.

Sam wyciągnął się na derce sprezentowanej mu przez karczmarza Steffuna i zamknął oczy, ale musiał długo, długo czekać, zanim sen uspokoił jego rozbiegane myśli.



W przeciwieństwie do terminu Rdzawa Puszcza, który nie znajdował potwierdzenia w rzeczywistości, nazwa Gadające Bagna pasowała jak ulał.

Z powodów, których Tankred nie potrafił zrozumieć, miejsce to bezustannie rozbrzmiewało stłumionymi, niewyraźnymi okrzykami, zupełnie jakby gdzieś w dali kilka istot obrzucało się wyzwiskami. Rycerz wstrzymał konia i przez moment wsłuchiwał się we wrzaski, bezskutecznie próbując odgadnąć ich znaczenie. Jego wzrok prześlizgiwał się po kępach sosen, desperacko wczepionych w spłachetki ziemi pokrytej rzesą, zupełnie nieruchomych jeziorach i olbrzymich głazach, które pośród pasm mgieł przybierały kształty grzbietów przyczajonych potworów. Następnie odwrócił się w kierunku Hegruna.

– Gdzie doszło do napadu? – spytał.

Musiał powtórzyć pytanie, gdyż uwagę giermka całkowicie pochłoneły bagienne hałasy. Drgnął i spojrzał na rycerza półprzytomnie.

– Znaczy się... – bąknął. – Nie tu. Dalej. Gdy zjechaliśmy z mostu.

Tankred bez wahania musnął końskie boki piętami.

– Ruszamy.

Grops ześlizgnął się z omszałego kamienia, na którym siedział, wymachując nogami, i sięgnął do kosza na plecach Thrugha. Wyciągnął z niego soczystą kiszkę.

– Nie żryj tyle – rzucił ostro Tankred. Z niewytłumaczalnych powodów od chwili wjechania między pierwsze drzewa czuł narastające napięcie, które nadało jego słowom niecodziennej mocy. – Do Posępnej Łuny jeszcze kawał drogi.

Gnom burknął coś pod nosem i posłusznie odłożył kiszkę. Poprawił własny plecak i ruszył w ślad za konnymi, a za nim Thanni uzbrojony w znaną w Skowycie siekierę i Thruh z maczugą nabijaną ćwiekami.

Bagno rozbrzmiewało tysiącami okrzyków, niekiedy przypominających ludzkie słowa, lecz na ogół niezrozumiałych, z każdym krokiem coraz bardziej niepokojących. Otaczało niewielki orszak coraz szczelniejszym kokonem. Wydawało się też przybliżać ze wszystkich stron – na ścieżkę, coraz węższą i bardziej krętą, wdzierały się grube korzenie, a nad głowami zwisały coraz to niżej kolejne mokre od wilgoci konary. Rzesę na pobliskim stawie rozerwał gwałtowny ruch, rozległ się plusk, zieleń zafalowała. W szuwarach dało się słyszeć głośny szelest.

Hegrun podskakiwał na każdy odgłos. Nie wypuszczał rękojeści miecza

z dłoni. Tankred spojrział na niego, mrużąc oczy. Miał wrażenie, że zdenerwowanie giermka zaczyna się udzielać jego wierzchowcowi, który targał łbem i rżał.

– Hegrun – odezwał się. – Jesteś pewien, że to właściwe miejsce?

Giermek spojrział na niego z przestraczem.

– Tak, tak, panie! – odpowiedział pospiesznie. – Przecież to Gadające Bagna!

– Wiem. – Tankred machnął ręką. – Ale w Ugorze powiedziałaś, że Olve pędził jak szalony. Tędy?

Wskazał trakt, który przypominał teraz zaledwie wąską leśną ścieżynkę. Dwóch jeźdźców miałoby tu trudności, by się swobodnie wyminąć.

– Tutaj już nie dotarliśmy – powiedział ponuro Hegrun i wzdrygnął się. Tankred kątem oka zauważył, że idące pieszo gnomy przedrzeźniają go bezgłośnie. – Zaatakowali nas o wiele wcześniej, tam, gdzie trakt był szerszy.

Coś wrzasnęło wśród gałęzi przydrożnej wierzby, po pniu przemknął jakiś ciemny kształt. Hegrun znów o mało nie podskoczył. Gnomy chichotały.

Przez bardzo długą chwilę nikt nic nie mówił. Tankred rozglądał się niespokojnie. Hegrun recytował szeptem Pieśń dodając odwagi w chwilach zagrożenia. Grops podniósł jakiś patyk i zamierzył się, jakby chciał wrzucić go do jeziora. Thanni ofuknął go groźnie. Grops zatrzymał się, poczekał, aż Thanni znajdzie się przed nim, i wycelował patyk w jego plecy z mściwą miną.

Miało się już na południe, gdy ścieżka na powrót rozszerzyła się, jakby bagno otwierało przed wędrowcami ramiona. Zarośnięte jeziora oddalały się, a podmokłe splechotki stawały się coraz rzadsze, ustępując miejsca kobiercom mchu i coraz wyższym krzakom. Dzikie wrzaski również stawały się rzadsze. Tankred w duchu odetchnął z ulgą, a gnomy zaczęły gadać głośniejszym głosem, jakby im także zrobiło się raźniej.

Niepokój Hegruna pogłębiał się.

W chwili gdy ujrzał rosnący przy drodze dąb, którego gałęzie wisały nisko nad ścieżką, spojrział niepewnie na Tankreda i przełknął ślinę.

– Eee... – zaczął niepewnie, wstrzymując konia. – Ten tego...

– Aha – mruknął młody Hanstar i podjechał bliżej do drzewa. Poklepał gałąź, która znajdowała się mniej więcej na wysokości czoła wyprostowanego jeźdźca, i spojrzał ostro na giermka. Ten aż się skulił.

– Walnąłeś o tę właśnie gałąź? – spytał.

– Yyy... – stęknął Hegrun. – Ja... Ja jej nie zauważyłem! Gonił mnie... Gonił mnie ten jeździec, obróciłem się i...

– Bum! – oznajmił Thruh.

Pozostałe gnomy zarechotały z uciechą. Hegrun zarumienił się jeszcze bardziej.

– Ocknąłem się gdzieś tam. – Pokazał dłonią brzozy gaj, ledwie widoczny wśród krzaków i korzeni przewróconego drzewa. – Pod wieczór. Na szczęście znalazłem konia, bo...

– Rzeczywiście jest się z czego cieszyć – przerwał mu ostro Tankred. – Może gdybyś nie pędził jak ostatni tchórz, a odwrócił się i walczył, Olve uszedłby z życiem.

Dopiero teraz, w miejscu śmierci ulubionego wuja, odnalazł w sobie złość na Hegruna. Obrzucił giermka wzgardliwym spojrzeniem i popędził konia, nie zwracając uwagi na to, czy ktoś za nim podąża, czy też nie. Odetchnął parokrotnie, spróbował odepchnąć emocje i narzucił sobie nowe zadanie – musiał odszukać ślad napadu na orszak Olwego.

Jego złość jednakże, miast maleć, narastała. Wydawało mu się bowiem, że jada bez końca, a jedyną oznaką ataku sprzed paru dni były nieliczne strzały tkwiące tu i ówdzie w pniach drzew bądź w mchu. Dla Tankreda sygnał był czytelny – przerażony Hegrun rzucił się do ucieczki na samym początku napadu i pognął traktem, nie oglądając się za siebie. Czuł, jak krew zaczyna mu pulsować w skroniach. Ze wszystkich sił usiłował poskromić narastającą wściekłość.

Thanni powiedział coś głośno. Tankred odwrócił się i zauważył, że Hegrun, zupełnie jakby wyczuwał nastrój rycerza, trzyma się daleko za gnomami, a te z kolei czujnie rozglądają się dookoła.

– Jezioro – powtórzył Thanni i pociągnął głośno nosem. – Nie czujesz?

W istocie, ciężką woń bagien przecinał ożywczy zapach otwartych wód. Między drzewami zamajaczyła szara, ponura tafla jeziora.

– To tu – bąknął Hegrun.

Tankred zmrużył oczy i zeskokczył z konia. Niespodziewanie zaczął wyłapywać nowe informacje.

Pasek kory zdartej z drzewa na wysokości końskich kolan. Drugi, niemalże identyczny, po przeciwnej stronie traktu. Strzała zagrzebana w mchu. Druga, złamana, przydepnięta końskim kopytem. Ciemna, nieregularna plama na sosnowej korze. Zgniecione krzaki, połamane gałęzie. Rozryty mech.

– Wyskoczyli na nas z... – odezwał się Hegrun, chcąc się na coś przydać.

– Z obu stron traktu – przerwał mu złym głosem Tankred. – Poderwali linę skrytą na drodze, przewracając pierwszego konia, może nawet dwa. Jeden z nich upadł przypuszczalnie tu, drugi chyba tam. – Rycerz wskazał rozmyte przez deszcz ślady w błocie. – Tam padł któryś z jeźdźców, przetoczył się i próbował wstać, ale został zasieczony. Wskazują na to te rysy. – Pokazał palcem szramy po obu stronach drzewa. – Walczył z dwoma, być może nawet trzema przeciwnikami – ciągnął. – Nie miał najmniejszych szans. – Przeszedł kilka kroków. – Tu dorwano kolejnego, który próbował uciekać pieszo – powiedział, pokazując rozryty, skopany mech i rozgnieciony krzak na poboczu. – Przypuszczalnie zakłuli go włóczniami. Na pewno nie był to Olve, bo on po prostu nie potrafił uciekać. Walczył, aż...

Wzruszenie, wściekłość i groza odebrały mu mowę. Wrócił do miejsca, w którym poderwano linę, zrobił jeszcze kilka kroków i rozejrzał się dookoła. Nadal milcząc, śledzony spojrzeniami trójki zaintrygowanych gnomów oraz zapłakanego Hegruna, wszedł między drzewa, rozsunał gęste krzaki jagód i wyciągnął spomiędzy nich ubłocony, pocięty kawałek skóry z ustnikiem. Podniósł go wyżej i przysunął do nosa.

Wciąż pachniał winem.

– To był ulubiony bukłak wuja Olwego – powiedział głuchym głosem, ni to do siebie, ni to do innych. – Zawsze nosił go u pasa i bywało, że pociągał z niego, zanim odpowiedział na pytanie. Złośliwi mówili, że w winie szukał odpowiedzi, ale zapewne po prostu potrzebował tej chwili, aby zebrać mądrość w jedno celne zdanie.

Thanni odchrząknął.

– Dobra, człowiek – rzekł bez normalnej dla siebie złośliwości. – Jeśli chcesz tu jeszcze posiedzieć, to się nie krępuj. Uszanujemy to. Tylko pamiętaj, że jesteśmy w drodze do Posępnej Łuny, a potem jeszcze dalej, a ja nie chcę

tu spędzić nocy. Co gorsza, Grops zaraz wyżre wszystkie nasze zapasy.

– Wcale nie! – obruszył się Grops i ściągnął z ramion plecak, by do niego zajrzeć. – Zostało jeszcze całkiem sporo... O, popatrzcie, mamy...

– Czy jest tu jakiś taliot? – spytał nagle zmienionym głosem Tankred.

– No nie. – Thanni przełknął ślinę. – Teraz to, człowiek, chyba przeginasz. Taliot? Do reszty ci odbiło?

Rycerz nie słuchał, tylko wpatrywał się w Hegruna. Thanni, a po nim pozostałe gnomy powoli przeniosły na niego spojrzenia. Giermek pociągnął nosem i uniósł rękę, wskazując jezioro.

– Na wyspie – wyszłochał.



*Tankred wisiał pozbawiony ciała i mógł tylko patrzeć. Próbował krzyżeć, lecz z jego ust nie wydostawał się żaden głos. Usiłował drgnąć, podpłynąć bliżej, ale nieliczne trzeźwe myśli podpowiadały mu, że to na nic. Był przecież świadkiem wydarzeń, które miały miejsce wiele dni temu.*

*Patrzył więc bezsilnie, jak lina podrywa się, szarpnięta przez kilku skrytych w krzakach napastników, a inni wojownicy zrywają się na równe nogi i szyją z łuków. Widział harde, skupione twarze i czarne włosy upięte w rozwiane kity. Patrzył, jak koń rycerza Argrena potyka się i z przeraźliwym kwikiem wali się na ziemię. On sam przeleciał nad końskim karkiem, przetoczył się po ziemi, poderwał i wyciągnął miecz, ale wtedy zewsząd spadły na niego razy. Któryś z giermków osunął się z siodła, trafiony strzałą w gardło, inny usiłował opanować wierzchowca, który ugodzony w zad zeskoczył z traktu i zmiażdżył krzaki. Olve jako jedyny poskromił rumaka, wyszarpnął miecz i błyskawicznie ocenił sytuację.*

– Hegrun! – krzyknął. – Hegrun!

*Z rozpaczą patrzył, jak młody giermek spina konia i przemyka za plecami Sępów, zajętych wyrzynaniem orszaku Hanstarów.*

– Zaczekaj! Jedź do Łuny! Przekaż reszcie, że Dymiące Wzgórza...

*Jeden z Sępów wyrósł tuż przed nim. Olve bez trudu spiął konia, odbił*

*jego włócznie, sparował inny cios, tym razem z boku. Ledwie widział swoich przeciwników – jego wzrok podązał za umykającym giermkim.*

*– ...są nasze – wyszeptał, nieusłyszany przez nikogo.*

*Niespodziewanie obraz zaczął drżeć i się rozmywać. Znikł Olve, z ponurą determinacją odcinający się przeciwnikom, znikł trakt, na którym najemnicy z Pogranicza już gnali za Hegrunem, znikł las. Pojawiła się czerń, zimna i wszechobecna.*

*Tankred wisiał pośród mroku, zaskoczony i coraz bardziej przerażony. Nie miał pojęcia, co się dzieje, i zupełnie nie wiedział, jak stąd uciec. Przez jego umysł przemknęła straszna myśl, że być może będzie musiał tu pozostać na zawsze, gdy nagle coś zaczęło się dziać.*

*Usłyszał szum, jakby mrok niespodziewanie zrodził lodowaty wiatr, a potem, na podobieństwo tabunu rozhukanych koni, przemknęły groźne słowa:*

*– Wszystko gotowe. Moi ludzie się zbliżają. Potrzebujemy jeszcze pięciu dni. Wytrzymajcie.*

*Słowa były wypowiedziane po taliadzku. Co więcej, znajomym głosem.*



Tankred usiadł i zamrugał. Jego ciało przeszywały dreszcze. Odruchowo otulił się płaszczem, choć podświadomie przeczuwał, że ich przyczyną wcale nie jest zimno. Potrząsnął kilkakrotnie głową, ale obce słowa wciąż dudniły echem w jego myślach.

– Co to, u licha, było? – wyszeptał, łapiąc się za skronie. – Jasna cholera, ja chyba zaraz oszaleję.

Stanowczo odepchnął od siebie tajemnicze przesłanie i skupił się na wcześniejszej wizji. Po chwili przypomniał sobie leśny trakt. Zasadzka. Ostatnia walka Olwego. Jego niedokończone zdanie.

Dymiące Wzgórza.

Zerwał się i wypadł z taliotu z taką energią, że siedzący na pobliskim głązie Thruh o mało z niego nie zleciał.



– Człowiek, weź na spokój, bo... – zawołał, ale urwał, gdy ujrzał, że Tankred zmierza w stronę Hegruna. – Albo nie. Nie weź.

Giermek, który majstrował coś przy siodle swego wierzchowca, natychmiast zauważył rycerza. Dostrzegł też wściekłość graniczącą z obłędem w jego oczach i cofnął się o kilka kroków, aż jego plecy natrafiły na pień brzozy.

– Dymiące Wzgórza! – wycharczał Tankred i złapał giermka za kaftan. – Co wiesz na ten temat?

– Ja nic... Nic nie wiem! – wykrztusił Hegrun. – To taka kraina, tyle słyszałem, ale...

– Wuj Olve chciał ci o nich powiedzieć! Wołał do ciebie, gdy uciekałeś!

– Nic nie słyszałem!

– Miałeś coś komuś powiedzieć o Dymiących Wzgórzach!

– Wybaczcie, panie, ja naprawdę...

– Ty cholerny tchórze! – Tankred zacisnął pięść i z całej siły grzmotnął giermka w szczękę. Ten osunął się, jęcząc, na mech, ale rycerz nie ustawał. – Żałosna kanalio! – krzyczał. – Uciekałeś w takim tempie, że nawet się nie odwróciłeś! Niczego nie usłyszałeś! Niczego, ty parszywy...

Tłukł go i kopał, całkowicie owładnięty furją, aż złapały go czyjeś silne ręce i odciągnęły. Zdyszany, rozjuszony Tankred uwolnił się i zatoczył, robiąc krok w tył.

– Puśćcie mnie! – warknął. – Rozszarpię tę świnię na strzępy!

– Jeśli o mnie chodzi, człowiek, rób sobie z nim co chcesz! – Thanni otrzepał dłonie. W jego wzroku kryło się coś dziwnego. – Ale nie teraz.

– Czemu?

– Posłuchaj.

W tej samej chwili na tle szarego nieba pojawił się drobny, kołujący punkt, a potem ciszę przeciął przeraźliwy wrzask jastrzębia. Gnomy spoglądały na niego z niepokojem.

– Nie – jęknął rycerz. – Tylko nie to.

Serce zabiło mu mocniej, dłoń odruchowo opadła na miecz. Ten prosty gest sprawił, że wszelkie troski i dylematy odskoczyły od niego niczym dzikie psy rozegnane kopniakiem. Rozejrzał się – znajdowali się na niewielkiej wyspie

porośniętej brzozowym gajem, pośrodku którego wznosił się taliot. Dookoła ciągnęły się szare, marszczone podmuchami wiatru wody jeziora, przecięte mostem. Rycerz zmrużył oczy i ujrzał, że od strony Gadających Bagien – z tego samego kierunku, z którego przybyli – na most wjeżdża samotny jeździec. Uśmiechnął się krzywo, z determinacją.

– Cóż – powiedział obcym głosem. – Uciec mu nie zdołamy. Szykujcie się do walki, knypki. Raz już pokonałem jednego z tych drani. Być może, z waszą pomocą, uda się rozwałkować drugiego.

Thanni zmrużył złośliwie oczy, Through wyszczerzył pozółkłe zęby i zważył w dłoniach maczugę, a Grops machnął różdżką, aż powietrze zaświstało, i wymruczał jakąś klątwę pod nosem.

– Chowajcie się – rzucił Tankred, idąc w kierunku mostu. – Może was jeszcze nie zauważył.

Jastrzębi Rycerz jechał powoli. Kopyta jego ogromnego rumaka bojowego uderzały o deski mostu, dłoń w żelaznej rękawicy zaciskała się na długiej włóczni. Oczy, choć zakryte przyłbicą, wydawały się świdrować młodego Hanstara, który stał mu na drodze i nonszalancko wymachiwał mieczem.

– Przebyłeś długą drogę, by mnie znaleźć – rzekł mocnym głosem. – Jedziesz z Miasta na Skale, czyż nie?

Jastrzębi Rycerz nie odpowiedział. Ścisnął kolanami boki wierzchowca, który posłusznie się zatrzymał. Jeździec zsunął się z chrzęstem oręża, przywiązał uzdę do balustrady mostu, ujął włócznię i powoli ruszył w stronę Tankreda. Choć spieszony, wcale nie wydawał się mniejszy. Hanstar oszacował jego rozmiary, przyjrzał się uważnie zbroi i niespodziewanie zwątpił w sensowność obrony.

„To fanatyczni słudzy Pieśniarzy – napomniał sam siebie. – Z nimi nie da się rozmawiać. Walka to jedyne rozwiązanie”.

Jastrzębi Rycerz zbliżał się bez słowa. Zakręcił włócznią w dłoniach, aż zahaczało rozcinane powietrze. Tankred pospiesznie, z narastającą paniką, analizował jego ruchy, szukając słabych punktów.

Niczego nie znalazł.

– A szlag by to trafił – warknął i rzucił się do ataku.

Niejedna z przeczytanych przezeń ksiąg opowiadała o tym, że zwykły, prosty miecz i ludzka determinacja są w stanie dokonać cudów. Klinga Hanstara

odbiła blask bladego słońca przebijającego się przez chmury i wyrąbała szczerbę w drzewcu włóczni, którą w ostatniej chwili zasłonił się Jastrzębi Rycerz. Ten cofnął się o krok i zakręcił nią młyńca. Tankred uchylił się przed świszczącym ostrzem, wyminął z gracją kolejne pchnięcie i znów uderzył.

Tym razem jego przeciwnik zasłonił się okrytym blachą lewym ramieniem, aż ostrze miecza Hanstara zazgrzytało nieprzyjemnie. Ramię młodzieńca przeszył wściekły ból. Chciał się cofnąć, ale nie zdążył. Jastrzębi Rycerz błyskawicznie wyprowadził cios trzymaną w drugiej ręce włócznią. Tępy koniec trafił prosto w żebra Tankreda i wybił mu powietrze z płuc. Młody rycerz zatoczył się i uderzył plecami o pień drzewa.

Wtedy do akcji wkroczyły gnomy.

Oszołomiony Tankred patrzył, jak Grops wyskakuje z krzaków, celuje w Jastrzębiego Rycerza zaimprovizowaną różdżką i wykrzykuje piskliwie jakieś słowa. Nic się nie wydarzyło, ale niecodzienne zachowanie przyciągnęło na chwilę uwagę Jastrzębiego Rycerza, dzięki czemu Thanni i Thruugh mogli przystąpić do natarcia. Pierwszy z nich grzmotnął siekierą w wewnętrzną stronę kolana przeciwnika. Ten przykucnął z głuchym stęknięciem, a wtedy Thruugh przywalił w jego plecy kolczastą maczugą, krzesząc iskry na pancerzu. Rycerz pochylił się i padł na czworaka.

Thanni charknął i wzniosł siekierę do kolejnego ciosu.

– Uważaj! – wyrzeźił Tankred, ale nikt go nie usłyszał.

Jastrząb spadł z nieba z przeraźliwym wrzaskiem, celując pazurami w twarz Thanniego. Ten cofnął się, zaskoczony, odruchowo machając siekierą w powietrzu, a wtedy napastnik błyskawicznie poderwał się i grzmotnął Thruugga pancerną pięścią w brzuch. Gnom padł na ziemię. Thanni zaklął wściekle, odegnał natarczywego ptaka i wzniosł siekierę do kolejnego ciosu, ale Jastrzębi Rycerz odzyskał już panowanie nad sytuacją. Zerwał się z prędkością przeczącą jego ogromnym rozmiarom i ciężarowi zbroi. Uchylił się przed żeleźcem siekiery, które wbiło się w miękką ziemię, i uderzył zaskoczonego Thanniego tępym końcem włóczni w żołądek, a potem zakręcił młyńca nad głową i trafił w skroń Gropsa.

Na wyspie zapadła cisza.

Jastrzębi Rycerz odetchnął, wbił włócznię ostrzem w ziemię i spojrzał na Tankreda, który nadal nie zdołał się podnieść i wpatrywał się

w prześladowcę z przerażeniem. Thanni jęczał i kaszłał, Thruugh charczał, Grops nie ruszał się wcale. Wtedy...

Wtedy Tankred dostrzegł Hegruna.

Giermek, niezauważony przez nikogo, podnosił się powoli. Z przerażeniem wpatrywał się w ogromne, szerokie plecy przeciwnika, a jego drżąca dłoń zaciskała się na rękojeści noża.

„Tak! – krzyczał w duchu Tankred. – Tak! Tak! Teraz masz szansę! Wbij nóż w szczelinę zbroi! Nie wahaj się!”

Hegrun upuścił broń na ziemię, cofnął się kilka kroków i rzucił się do panicznej ucieczki przez most. Tupot jego kroków poniósł się echem.

Jastrzębi Rycerz odwrócił się ku niemu. Ułamek sekundy później za uciekającym śmignął jastrząb.



## Posępna Łuna

Posępna Łuna, po taliadzku Falhred, była jedynym miastem, które zatrzymało rozpedzoną armię mandylionką na tyle skutecznie, że ta zmuszona była rozpocząć długie, mozolne oblężenie. Wysokie, najeżone basztami mury, głębokie fosy, a przede wszystkim determinacja obrońców okazały się ciężkim i krwawym sprawdzianem dla najeźdźców. Choć armia Mandylionu miała po swej stronie artylerię Tenketarów i znakomicie wyszkolone oddziały piechoty Claytore'ów, choć króla wspierali radą starsi Fulghamów – mistrzowie architektury i budownictwa – oraz Hanstarowie, którzy wiedzieli wszystko o wojnie, choć Vlistunowie dbali o warunki sanitarne w ogromnym obozie, a Puckhardowie zapewniali stały dopływ żywności, oblężenie przeciągało się w nieskończoność. Obrońcy z furją odpierali wszelkie szturm, kilkakrotnie wyprowadzili też zakończone powodzeniem wycieczki poza mury. Mówiono, że obroną miasta dowodził sam król Pogórza, Visteni, ostatni z trzech synów Zoldaina. Nikt już nie pamiętał o tym, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej, przed pojawieniem się Mandylionczyków, Visteni był postrachem Taliadczyków, znieawidzonym przez wszystkich furiatem zdolnym do najgorszych czynów. Teraz liczyło się tylko to, że wspierał ostatnich spośród walczących.

Trudno powiedzieć, jak potoczyłoby się oblężenie, gdyby król nie stracił cierpliwości i nie nakazał Pieśniarzom, by wypuścili na miasto Widma. Demony szalały po ulicach Falhredu przez kilka dni, przepełniając obrońców przerażeniem i niszcząc wśród nich wszelkie przejawy normalności. Armia Mandylionu przystąpiła do ataku tydzień po decyzji króla, gdy w mieście płonęły już pożary i mało kto myślał o dalszym stawianiu oporu. W niespełna dwie godziny Falhred znalazł się w rękach Mandyliończyków, a Visteni przepadł bez śladu. Niektórzy z obrońców byli przekonani, że zginął w pożarze jednej z wież, inni twierdzili, że oszalał i popełnił samobójstwo, jeszcze inni wyznali Pieśniarzom na torturach, że uciekł podczas szturm. Wiarygodność tych zeznań nigdy nie została potwierdzona, bo choć wielu Taliadczyków twierdziło, że słyszało o królu uzurpatorze bądź nawet go widziało, nikt nie był w stanie powiedzieć, gdzie się ukrywa.

Sam szturm nie należał do szczególnie krwawych – nijak się miał do rzezi, którą najeźdźcy urządzili w Mieście na Skale czy na błoniach Skowytu – ale odcisnął się trwale na atmosferze Falhredu. Choć większość pożarów ugaszono niemal natychmiast, chmury nad miastem zawsze miały lekko purpurowy odcień, jakby nadal odbijały blask ogni. W nocnej ciszy zaś zdarzało się słyszeć echo niekończących się wrzasków mieszkańców, terrorizowanych przez nieubłagane Widma.

Mandyliończycy nic sobie z tego nie robili bądź udawali, że nic takiego nie ma miejsca. Królewskim edyktem miasto stało się nominalną stolicą Nowego Mandylionu, a każdy z rodów mógł przy przydzielonej mu ulicy utworzyć swój Dom oraz prowadzić szereg interesów. W ciągu kilku tygodni w remontowanej pospiesznie Posepnej Łunie powstał bank Doylannów, szpital Vlistunów, teatr Strawdonów, burdele Torstonów, targowiska Treshów i Puckhardów, a także niewielka biblioteka Hanstarów. Po dwóch miesiącach mało kto pamiętał o oblężeniu, a miasto tętniło życiem jak nigdy wcześniej.

Na widok wysokich murów, z których zwisały barwne proporce wszystkich rodów Mandylionu, serce Tankreda Hanstara zabiło żywiej po raz pierwszy od chwili pojmania w niewolę. Natychmiast odszukał wzrokiem sztandar swego rodu, który nigdy dotąd nie wydawał mu się równie piękny. Wpatrywał się w niego załzawionymi oczami, aż odruchowo zwolnił.

Rumak Jastrzębiego Rycerza, do którego przytroczono sznur krępujący Tankreda, szarpnął tak mocno, że młodzieniec o mało się nie przewrócił.

– Uważaj, człowiek – warknął idący za nim Thanni. – Bo znowu się wyłożysz i wszyscy...

Przerwał, bo Jastrzębi Rycerz niespodziewanie wstrzymał wierzchowca.

W ciągu trzech dni wędrówki z Gadających Bagien do Posępnej Łuny zdążyli się dowiedzieć tylko tyle, że ich prześladowca przypuszczalnie kiedyś był człowiekiem, ale chyba zrezygnował z przynależności do rasy ludzkiej. Przywiązani do jednej liny i prowadzeni za rumakiem, siłą rzeczy nie spuszczała z Jastrzębiego Rycerza oczu, a ich lęk narastał. Ich prześladowca jadł bardzo niewiele, pił jeszcze mniej, a na bok za potrzebą odszedł może raz. Własnego konia i wierzchowce jeńców poił i karmił regularnie, trzy razy dziennie wydalał im skromne racje żywnościowe i urządzał przerwy dla nabrania sił, ale na tym kończyły się wszelkie interakcje. Jastrzębi Rycerz nie reagował na próby nawiązania rozmowy czy zaczepki, a tych, którzy robili mu na złość lub w jakiś sposób opóźniali wędrówkę, bił tępym końcem włóczni, mocno, ale bez zaangażowania. Wieczorami rozpałał ognisko i przesiadywał przy nim nieruchomo. Tankred budził się czasem w nocy i widział, że Jastrzębi Rycerz tkwi przy ogniu niczym stalowy, nieporuszony posąg. Jastrząb, za dnia zataczający nad nimi kręgi, siedział na metalowej grzędzie na naramienniku swego pana i wpatrywał się przenikliwie w jeńców, strosząc pióra.

Młody Hanstar nie wiedział zgoła nic o Jastrzębich Rycerzach, poza tym, że jest ich niewielu i stanowią zbrojne ramię Pieśniarzy, absolutnie lojalne i całkowicie nieprzejednane. W rzadkich chwilach, gdy jego myśli przestawały gorączkowo uwijać się w pogoni za rozwiązaniem zagadki swoich problemów, próbował odnaleźć jakiś słaby punkt Jastrzębiego Rycerza, ale wkrótce się poddał. Szedł traktem w ślad za końskim zadem, a za nim trzy przeklinające gnomy i zgaszony, zropaczony Hegrun. Z wolna ogarniała go obojętność. Tracił ochotę do walki.

Gdy ujrzał proporzec z Otwartą Księgą, ochota nagle ożyła, ale znów zgasła, gdy Tankred zauważył, co niesie ku nim prześladowca. Płócienne worki, idealnie na rozmiar głowy.

Świat znikł za szorstkim, nieprzyjemnym w dotyku płótnem, pachnącym czerstwym chlebem. Pozostały jedynie odgłosy, budzące jeszcze większą tęsknotę niż obrazy.

Stukot kopyt na miejskim bruku. Gromkie śmiechy wesołej kompanii

wytaczającej się z winiarni. Śpiewny głos nagabywacza Torstonów zachwalającego przechodniom uroki dziewcząt sprowadzonych niedawno do ich luksusowego przybytku. Niemalże płaczliwy głos sprzedawcy prezentującego swe dobra przed burkliwym szlachcicem. Odległe pokrzykiwanie rozpędzającego tłum posłańca. Zaciekła kłótnia okraszana śmiechem gapiów. Śpiewana półgłosem kołysanka.

Tankred zaciskał zęby. Teraz, gdy nie patrzył na zabudowę Posępnej Łuny i nie widział obcej architektury, miasto wydało mu się jeszcze bardziej mandylionkie niż kiedykolwiek wcześniej.

„Jedyne miejsce na ziemi, w którym nadal można czuć się jak za Wściekłym Morzem – pomyślał z bezgranicznym żalem. – Jedyne, które mimo wszystko nadal mogę nazywać swoją stolicą. A ja wkraczam tu niczym przestępca, z workiem na głowie, wleczony przez Jastrzębiego Rycerza jak byle Mąciociel. Przecież nie zrobiłem nic złego! Nic, absolutnie nic, na Pieśni!”

Przez moment zastanawiał się, czy nie spróbować ucieczki. Może należało zacząć wrzeszczeć? Może wszyscy powinni wiedzieć, że następca Vildurfa Hanstara został pochwycony jak pospolity bandyta, pomimo braku winy?

„Nie – ofuknął się w myślach. – Lęk wobec Jastrzębich Rycerzy jest zbyt powszechny. Nikt nie odważy się wystąpić przeciwko nim”.

W istocie, miał wrażenie, że tam, gdzie stapał Jastrzębi Rycerz, cichły rozmowy i gasła wesołość. Tankred słuchał uważnie, chcąc przewidzieć, co się z nim stanie. Przypuszczał, że kierują się w stronę Gniazda, pałacu, położonego na tarasach wznoszących się nad brzegiem Cięciwy, rzeki przecinającej Posępną Łunę. Swego czasu, gdy stacjonował jeszcze w stolicy wraz ze swoim oddziałem, słyszał o tym miejscu wiele plotek. Podobno w piwnicach pałacyku znajdowały się ogromne zapasy win, ale Pieśniarze roztrzaskali beczki, a piwnice zamienili na lochy. Słyszał również o tym, że na błoniach wokół pałacu zawsze roiło się od kruków i wron, które szybko poznały zamiłowanie Pieśniarzy do ćwiartowania ofiar. Ponoć ich krakanie było jedynym słyszonym w okolicy odgłosem.

Ku wielkiemu zdziwieniu Tankreda dotarli w inne miejsce, rozbrzmiewające gwarem stłumionych rozmów, a także śmiechów i śpiewów. Wydawało mu się, że słyszy też mało wyraźne parskanie koni. Wciągnął powietrze przez nos. Przez mocny zapach czerstwego chleba przebił się aromat piwa, pieczystego oraz dymu z paleniska, a także, choć ledwie



wyczuwalna, wilgotna woń rzeki.

„Karczma?” – pomyślał ze zdumieniem.

Zatrzymali się na chwilę, po czym Tankred usłyszał, jak rycerz przywiązuje konia. Po chwili ruszyli dalej. Zaskrzybiały zawiasy, gwar stał się jeszcze głośniejszy, a zapachy tak intensywne, że Tankredowi natychmiast zaburczało w brzuchu. Wyostrzone zmysły podpowiedziały mu, że odgłosy zabawy przycichły, jakby samo pojawienie się Jastrzębiego Rycerza mogło zaszcześcić strach nawet w sercach pijanych biesiadników. Słyszał teraz wyraźnie pobrzękiwanie jego ostróg, powolne i rytmicznie odmierzone kroki, trzepot skrzydeł zaniepokojonego ptaka i wściekłe pomruki Gropsa. Turkot kości do gry i czyjeś przekleństwo. Plusk piwa nalewanego do kufła. Pomruki i skwierczenie żaru na palenisku.

Potem brzęk kluczy.

Ktoś dołączył do ich niewielkiej grupy. Schodzili teraz po schodach ku chłodniejszemu powietrzu i półmrokowi rozpędzanemu przez niewielki kaganek. Odgłosy zabawy cichły gdzieś z tyłu. Niespodziewanie szczęknął klucz obracany w zamku, zazgrzytały zardzewiałe zawiasy i czyjeś mocne ramię pchnęło Tankreda do przodu.

Wylądował na kolanach na twardej podłodze. Naraz uświadomił sobie, że ma wolne ręce. Z furią zerwał worek z głowy i odwrócił się ku drzwiom, tylko po to, by ujrzeć wpychane do środka gnomy. Hegrun, jęcząc przeraźliwie, leżał tuż obok niego.

– Hej! – wychrypiał. Było to pierwsze słowo, które wypowiedział od kilku dni. – Hej, może ktoś wyjaśni...

Przerwały mu zatraskiwane drzwi. W niewielkim zakratowanym okienku widział jeszcze przez moment Jastrzębiego Rycerza i nastroszonego, bijącego skrzydłami ptaka na grzędzie. Potem blask kaganka odpłynął i do celi zawitała ciemność, rozpraszana jedynie strużkami światła wpadającego przez niewielkie okienko pod sufitem.

– Przynajmniej nie musimy już nikąd drabieżyć – oznajmił Thruugh i cisnął zerwanym z głowy workiem w kąt.

Thanni westchnął gniewnie i zwałił się ciężko pod ścianą. Spojrzał ze znużeniem na Tankreda.

– I co teraz? – spytał ostro. – Co z nami zrobią te dziwaki?

– Nie wiem – burknął młody Hanstar. – To nietypowe postępowanie. Zazwyczaj Pieśniarze biorą swych ludzi do Gniazda, a tam... Cóż, właściwie to nie wiem, co tam się dzieje.

– Wspaniale. – Thanni wyciągnął się na podłodze. – A więc nic nie wiemy. Czujecie zapachy tego żarcia z góry? Zaraz chyba dostanę na łeb.

– Może zeżremy człowieka? – spytał złośliwie Grops i wskazał kciukiem Hegruna.

Thanni podniósł się na łokciu i obrzucił giermka złym spojrzeniem.

– Zezreć to może nie – rzucił. – Ale wpieprzyć mu to w sumie mogę. Choćby za to, że miał okazję wbić temu blaszanemu śmierdzielowi nóż pod żebro, a tego nie zrobił!

– Dobry przemyśl! – Through wyłamywał palce.

– Czy wyście poszaleli? – Giermek wpatrywał się w nich z przerażeniem. – Przecież to był Jastrzębi Rycerz! Nie wolno na nich ręki podnosić!

– Ja mu zaraz nogi z dupy powyrywam.. – wymamrotał Thanni, który już szedł w kierunku kulącego się Hegruna. Ten spojrzał pospiesznie na Tankreda.

– Panie, nie pozwolicie chyba na to? – spytał płacząco.

– Daj spokój, Thanni – rzucił młody Hanstar. – Spuścisz mu lanie, to pomyśli, że odpokutował za swoje winy, tchórz przeklęty. Niech żyje z tym bagnem, które ma w duszy.

– Rozumu to ci, człowiek, nikt nie odmówi – burknął gnom, po czym splunął na giermka i usiadł w kącie.

Zapadła cisza. Tankred bez większych nadziei obejrzał ich niewielką celę, która, sądząc po zapachach, kiedyś musiała być piwniczką winną, szarpnął parokrotnie za drzwi i podszedł do okna. Złapał obiema rękami pręty i wciągnął powietrze w płuca. Jego wyostrzony węch wychwycił kolejne wonie – wilgoć rzeki, końskie łajno, nikły smród odległej garbarni i chłód wieczoru. Serce aż zabolowało go z tęsknoty za wolnością.

„Mój ród popadł w tarapaty i został zdradzony – pomyślał. – Dwa inne spiskują potajemnie, być może przeciwko królowi, prawie na pewno z Pieśniarzami. Gdzieś zbierają siły Mąciciele. Tyle złego się dzieje, a ja tkwię w jakiejś cholernej celi!”

Gniew na moment zaślepił go do tego stopnia, że oczy zaszkły mu łzami.

Otarł je wściekle i wyjrzał na zewnątrz jeszcze raz. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca widział złocący się nurt Cięciwy i wyrastające wzdłuż niego budynki portowe – magazyny, spichlerze, karczmy na palach, już migoczące światelkami w oknach, kołyszące się barki przy pomostach, a nad nimi...

Zmrużył oczy. Jedna z wież, zwieńczona osobliwą, białawą kopułą, odróżniała się od innych. Jej najwyższą kondygnację, górującą kilka metrów nad dachami, obiegała galeryjka z balustradą, która rozszerzała się w wygodny balkon zwrócony ku rzece. Zwisiał z niego sztandar, którego Tankred nie był w stanie rozpoznać w zapadającym właśnie zmroku. Widział natomiast drzewo, które zdawało się wyrastać prosto z desek balkonu, jakby stanowiło integralną część wieży. Przypominało nieco wierzbę z przyciętymi gałęziami, podobną do tych, które młodzieniec widział w Stęchliźnie, tym bardziej że w jej dziupli również jaśniało światło.

„To ambasada Rzecznego Królestwa – przypomniał sobie rycerz, osobliwie zafrapowany tym widokiem. – Tam mieszkają tutejsze elfy”.

Światło było tak mocne, że dopiero po chwili Hanstar dostrzegł stojącą przy drzewie postać. Nie był w stanie rozpoznać rysów twarzy – ba, nie wiedział nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta – ale był absolutnie przekonany co do tego, że nieznajomy widzi go i wpatruje się w niego intensywnie.

„To niemożliwe – zaprotestowała racjonalna część umysłu Tankreda. – Absolutnie niemożliwe. Dzieli nas kilkaset kroków, może więcej, okienko jest niewielkich rozmiarów, a do tego skryte wśród cieni. To niemożliwe, aby ktokolwiek mnie stamtąd zauważył”.

Wtedy przypomniał sobie napotkanego Poszukiwacza i jego dziwne słowa o Znakach i przeznaczeniu.

Uśmiechnął się do siebie ze smutkiem, pokręcił głową. Gdy znów zerknął na ambasadę, balkon był pusty.

Zazgrzytał klucz w zamku, zaskrzypiały zawiasy. Więźniowie odwrócili głowy i ujrzeli stojącego w progu Jastrzębiego Rycerza z kagankiem w dłoni. Palec w stalowej rękawicy wskazywał Tankreda.



Pieśniarz Cedrig, którego jęki młody rycerz słyszał w Mieście na Skale, nadal nie doszedł do siebie.

Tankred drobiazgowo rejestrował szczegóły. Woskowo-żółta cera. Oczy tak mętne, że zgoła nie było widać źrenic. Sine wargi i lekko drżące palce, które miały chusteczkę. Długi, rzeźący kaszel, który przerodził się w serię chrapliwych oddechów.

Gdy Cedrig otarł czoło i spojrział na Tankreda, ten zrozumiał jednak, że nie istnieje cielesna choroba, która mogłaby stępić charakter Pieśniarza. Wzrok rozmówcy był bowiem twardy i szorstki niczym klinga zardzewiałego miecza.

– Obdarzony łaską króla naszego ja, Cedrig Obrońca Pieśni, wezwałem cię tu, Tankredzie z rodu Hanstarów, by ułożyć Pieśń o twej doli – wychrypiał zwyczajową regułkę.

Młody rycerz wyprostował się i śmiało spojrział Pieśniarzowi w oczy. Nie bał się. Czuł w sobie dokładnie tę samą odwagę, z jaką jego ojciec i brat prowadzili hufce ich rodu do walki z Czernią. Był przekonany, że jego los już został przesądzony i nie jest w stanie go zmienić, ale postanowił w duchu, że nie da się wciągnąć w kłótnię.

„Będę słuchał – postanowił. – Może dowiem się czegoś, co pozwoli mi zrozumieć ten bałagan”.

Nie założono mu więzów, ale obecność stojącego za nim Jastrzębiego Rycerza odbierała mu ochotę do jakichkolwiek agresywnych posunięć. Ten, jakby czytał w jego myślach, powoli, z chrzęstem założył pancerne ramiona na piersi. Ptak zaskrzeczał, najwidoczniej niespokojny w zamkniętych pomieszczeniach. Płomienie świec na biurku Pieśniarza łopotały, poruszane odległymi przeciągami. Karczma nad ich głowami dudniła stłumionym życiem.

– Milczysz – podjął Pieśniarz. – W sumie nic dziwnego, zważywszy na twe winy. Ten list – pokazał meldunek, który Tankred otrzymał od Dagnaara – został znaleziony przy tobie przez Jastrzębiego Rycerza.

Tankred przyglądał mu się w milczeniu. Pieśniarz powoli rozłożył pergamin.

– Intrygująca treść – powiedział po chwili chrapliwym, zdławionym głosem, jakby lada moment znów miał zacząć kasłać.

– Otrzymałem ten meldunek od Dagnaara Vlistuna – rzekł Tankred głucho. – Prosił, abym go dostarczył królowi.

– Od Dagnaara Vlistuna – powtórzył przeciągle Pieśniarz. – A w jaki sposób chcesz to udowodnić? Po pieczęci nie ma ani śladu.

Tankred przypomniał sobie kruszący się lak i przygryzł wargę, aby pohamować narastający gniew.

– Koncentracja oddziałów Mącicieli w okolicach Okrutnika? – spytał suchym głosem Pieśniarz, wskazując palcem dokument. – Pojawienie się zaginionego króla uzurpatora? Ryzyko ataku od tyłu? Zagrożenie dla całego królestwa? O co ci chodzi, Hanstar? W co ty grasz?

– Dostałem ten meldunek od...

– Pieśniarz Rozvan, podpisany pod tym listem, zginął w walce ponad miesiąc temu – przerwał mu Cedrig. – Wiele, wiele mil od miejsca, w którym zostałeś złapany! Ten list to fałszerstwo! Ba, to nikczemna próba rozdzielenia wojsk królewskich, która może zostać wykorzystana przez Tangstev! Nigdy w życiu nie widziałem wyraźniejszego dowodu na zdradę! Czy wyście poszaleli, Hanstar?

W głosie Pieśniarza brzmiał gniew i niedowierzenie, ale Tankred miał wrażenie, że w jego mętnych oczach dostrzega coś całkiem przeciwnego.

– Nie – odpowiedział najbardziej spokojnym głosem z możliwych. – Nie oszalałem. Każdy z tych faktów...

– Na dodatek zostałeś ujęty na szlaku wraz z trzema gnomami! – Cedrig nie był zainteresowany słowami więźnia. Najwyraźniej zależało mu wyłącznie na tym, by dokończyć myśl. – Tymi samymi, które usiłowały wykraść sekret prochu od rodu Tenketarów i zabiły jednego z Jastrzębich Rycerzy gdzieś na Mglakach. Ich związki z Mącicielami nie budzą najmniejszej wątpliwości, ale na wszelki wypadek znajdę sposób, by to potwierdzić.

– Tu czy w Gnieździe? – spytał Tankred, z coraz większym trudem panując nad sobą.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ma. – Rycerz uśmiechnął się ponuro. – Bo wasza banda ma w zwyczaju sprowadzać więźniów do Gniazda i tam ich przesłuchiwać. Dlaczego trafiliśmy tutaj, Obrońco Pieśni? Czyżbyś sam miał coś do ukrycia i próbujesz mnie przekrzyczeć?

Jastrzębi Rycerz mruknął coś pod nosem. Był to pierwszy odgłos, jaki wydał z siebie od czasu spotkania na Gadających Bagnach. Pieśniarz rozkasłał się i minęła dłuższa chwila, nim znów mógł mówić.

– Nasz Zakon – wycedził jadowitym głosem – jest podporą królestwa. Zawsze nią był i na zawsze nią pozostanie, zwłaszcza tu, z dala od ojczyzny, bez nadziei na powrót. Bo widzi mi się, młodzieńcze, że konieczność opuszczenia ukochanej ojczyzny sprawiła, że niektórym z nas poprzestawiało się w głowie. Zapomnieli o priorytetach, o przysięgach. Zapomnieli o Talii!

– Nie my. – Tankred skrzywił się. – Nie Hanstarowie. Jeśli chcesz wiedzieć, kto...

– Nie Hanstarowie – przedrzeźniał go Pieśniarz. Wykrzywił przy tym usta, odsłaniając wąskie, pożółkłe zęby. – Och, nie! Wam – wycelował w Tankreda drżący palec – wam odbiło najbardziej! Przyznaj, masz żal do króla, że powiódł swe hufce przeciwko Czerni, prawda? Jesteś wściekły o to, że twój ojciec i brat zginęli w beznadziejnej bitwie, a matka została na rodzimym zamczysku, by bez końca czekać na ich powrót?

– Nie! – warknął Tankred, czerwieniejąc. Czuł, że resztki jego opanowania właśnie kruszeją, ale nic nie mógł na to poradzić. – To nieprawda! Oni zrobili, co musieli...

– Ale zginęli! – cedził Cedrig. – Nie ma ich i czujesz żal, przyznaj! Wasz przeklęty ród poniósł wielką stratę, bo kogoś tak wybitnego jak Vildurf długo się nie doczekacie i sam dobrze o tym wiesz! Ten dureń Olve był najgorszym Pierwszym Doradcą w historii Mandylionu, wierz mi. Odradzał szturm na Miasto na Skale, zalecał rozmowy z tym łachmaniarzem Vistenim, próbował wybić królowi z głowy marsz na Tangstev, chciał się nawet dogadywać z gnomami! – Pieśniarz splunął w kąt, tak nieudolnie, że strużka śliny ściekała mu po brodzie. – Idiota! – wyrzęził, powstrzymując kolejny atak kaszlu. – Już lepszy ten Dustun, bo wygaduje takie bzdury, że nikt nawet nie pomyśli, by traktować go poważnie. Pograżacie się, Hanstarowie. Idziecie na dno. Ty próbujesz zdradzić króla, a ci, którzy mu doradzają, okazują się niekompetentnymi durniami...

Gniew odebrał Tankredowi resztki zdrowego rozsądku.

– Olve nie był durniem! – warknął, zrywając się z krzesła, które przewróciło się z trzaskiem na podłogę. Zatrzymała go stalowa dłoń

zaciskająca mu się na ramieniu. – Mój wuj był jedynym racjonalnie myślącym człowiekiem w otoczeniu króla!

– Mało wiesz o otoczeniu króla! – Pieśniarz oddychał z zauważalnym trudem. – Najwyraźniej niewiele też wiesz o tym, co dobre dla Nowego Mandylionu. Gdybyś miał większą świadomość, sam pewnie doszedłbyś do wniosku, że przypadkowa śmierć Olwego Hanstara bardzo pomoże naszej...

– Olve nie zginął przez przypadek! – wrzasnął Tankred, zaślepiony furją. – Został zamordowany!

– Coś takiego! – Pieśniarz rozsiadł się wygodnie na krześle i spojrzał na młodzieńca z ukosa.

– Został napadnięty przez najemników z Pogranicza! Przez przeklęte Sępy! – wrzeszczał młody rycerz. – Te same, które służą teraz Tenketarom i Vlistunom! Rozumiesz, co to oznacza? Rozumiesz, o czym będzie Pieśń, którą układasz? O zdradzie, Cedrigu, ale innej, niż myślisz! Gdzieś za plecami króla, który nie widzi świata poza Tangstevem, rozgrywają się inne wojny, ciche i zdradzieckie, tym dziwniejsze, że...

– Dość – przerwał mu Pieśniarz i wstał powoli, z szelestem szat, które jeszcze bardziej uwydatniały jego chorobliwą chudość. Blask płomyka świecy odbijał się w jego mętnych oczach. – Dość, rycerzyku. Sprytny jesteś, nie da się ukryć. Zbyt sprytny, niestety. Trzeba cię będzie inaczej wykorzystać. Zabierz go do celi.

Zdruzgotany Tankred ledwie zwrócił uwagę na to, że Jastrzębi Rycerz łapie go za nadgarstki i wyprowadza na korytarz. Niespodziewanie zrozumiał bowiem, po co Pieśniarz zorganizował mu przesłuchanie i dlaczego odbyło się ono w byle gospodzie, a nie w Gnieździe. Wiedział już, dlaczego grał na jego emocjach, zamiast zadawać rzeczowe pytania.

„Ten drań chciał się po prostu dowiedzieć, do jakiego stopnia rozgryzłem intrygę, w którą zostałem wplątany! – pomyślał z rozpaczą chłopak. – A ja wypaplałem mu wszystko! Na Pieśni, co się teraz ze mną stanie? Napoją mnie jakimś odurzającym wywarem, postawią przed królem, pokażą meldunek od Dagnaara i każą mi przyznać się do winy? Upokorzą mój ród? Zniszczą Hanstarów?”

Szedł przed siebie, popychany przez Jastrzębiego Rycerza, zaślepiony łzami rozpacz. Nie słyszał wrzasków i łoskotu dobiegającego z góry, nie patrzył

na próg, o który się przewrócił, nie czuł bólu kolan. Zatrzasnęły się drzwi. Gnomy gadały coś nad jego głową. Gdzieś w oddali wrzeszczał Cedrig.

„Wpadliśmy w potrzask. Całkiem nas wymanewrowano – myślał Tankred, przytykając rozgorączkowane czoło do zimnej polepy. – Ale dlaczego? Co komu zrobiliśmy?”

Któryś z gnomów złapał go za ramię i potrząsnął lekko. Młodzieniec nie zareagował.

„Rody zawsze ze sobą rywalizowały, ale nigdy nie próbowały się zniszczyć. Nigdy! Żaden z nas nie jest na tyle szalony, aby narażać się na gniew króla! Dopóki istnieje Talia, dopóty...”

W zamku znów zazgrzytał klucz. Tankred, zaalarmowany, uniósł lekko głowę i spojrzął na drzwi. Z góry dobiegały okrzyki, trzaski i jęki, zupełnie jakby w głównej izbie gospody trwała zaciekle bójka. Gnomy z napięciem wpatrywały się w wejście. Grops szeptał jakieś słowa i układał palce w skomplikowany znak, ale przerwał, gdy Thanni palnął go w potylicę.

– Teraz zajdą po nas! – szepnął Thugh.

Drzwi uchyliły się lekko. Tankred usiadł. Gnomy zacisnęły pięści. Hegrun skulił się w kącie.

Do środka wsunęła się głowa w kapturze.

– Tankred? – spytał dobrze mu znany kobiecy głos, którego nigdy nie spodziewałby się tu usłyszeć.



Wedle starej tradycji mężczyźni z rodu Hanstarów na ogół wybierali sobie żony z niższych stanów. Inne rody skrycie z tego drwiły – ich członkowie byli przeświadczeni, że ta tradycja nie dość, że szkodzi reputacji, to jeszcze nie pomnaża majątku i nie zwiększa stanu posiadanych ziem. Bogactwo Hanstarów w istocie rosło powoli, o wiele wolniej niż u Puckhardów, Toulghanów czy Doylannów, ale za to systematycznie, a ród był wolny od waśni i procesów. Wielu małżeństw zawieranych między potężnymi rodami towarzyszyły serie traktatów polityczno-handlowych, a te nierzadko okazywały się kością niezgody. Hanstarowie nie musieli się zmagać z niezdrowymi ambicjami



i mogli bezgranicznie oddawać się temu, co umiłowali najbardziej – gromadzeniu wiedzy.

Inną korzyścią wynikającą z tej tradycji było to, że w rodzie Hanstarów pojawiały się kobiety doprawdy niezwykle.

Talvina Hanstar, żona Mustaiga, zdjęła opończę z kapturem, poprawiła opaskę przytrzymującą ciemne, przyprószone siwizną włosy, przekazała lokajowi dyspozycje co do Hegruna, a potem gestem podziękowała służącej, która właśnie nalewała herbaty do filiżanek. Następnie podeszła do okna rezydencji i sprawdziła, czy zasłony są szczelnie zasunięte. Jej ruchy, płynne i sprężyste, zgoła nie pasowały do miękkich dywanów, długich regałów z książkami i stołu krytego obrusem, ale Tankred dobrze pamiętał, że Talvina, nim została żoną wuja Mustaiga, była znakomitą łowczynią i nadal, choć miała ponad czterdzieści lat, znakomicie strzelała z łuku i jeździła konno lepiej od męża.

– Siadajcie – rzekła, wskazując krzesła.

Tankred dostrzegł przelotny grymas niezadowolenia na twarzy ciotki, gdy ujrzała ślady błota zostawione przez buciory gnomów. Kobieta nie powiedziała jednak ani słowa. Jak na łowczynię przystało, odzywała się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

– Dziękujemy, wielmożna pani – burknął wyraźnie wzruszony Thanni i wykonał cudaczny gest, który przypuszczalnie był gnomią wersją eleganckiego ukłonu.

Thugh i Grops poszli w jego ślady, przy czym każdy zrobił to inaczej. Następnie podbiegli do stołu i wdrapali się na krzesła. Talvina zaś, obejrawszy ostatnie okno, podeszła do Tankreda i przekrzywiła lekko głowę. W jej brązowych oczach zamigotały wesołe iskierki.

– Miło cię widzieć – powiedziała po prostu, jakby spotkali się na ulicy w samym środku słonecznego dnia.

– Ciebie też, ciociu! – szepnął Tankred i uścisnął ją bez wahania. Z lekkim zaskoczeniem uświadomił sobie, że jest od niej nieco wyższy.

Talvina odwzajemniła uścisk, pogładziła go po zarosniętym policzku i cofnęła się nieco, by przyjrzeć mu się badawczo.

– Dojrzałeś – szepnęła. – Tyle w tobie siły... I złości.

– Złość to nic złego – odparł Tankred równie cicho. – To energia, która

prowadzi ku zmianom, niekoniecznie na gorsze.

– Kiedy cię ostatni raz widziałam, właśnie wstąpiłeś do Zakonu Stalowej Duszy – oznajmiła. – Dziś wyciągnęłam cię z lochu w nadrzecznej karczmie. Po mojemu to zmiana na gorsze.

– Bo dużo się dzieje, ciociu. I niestety z tych zmian nie ma się co cieszyć – rzekł młodzieniec, odsuwając się nieco. – Jak mnie znalazłaś?

– Dostałam wiadomość. Ze względów bezpieczeństwa natychmiast ją spaliłam, ale mam przypuszczenie – ba, niemalże pewność! – że przyszła z ambasady Rzecznego Królestwa.

„A to dopiero!” – pomyślał zaskoczony Tankred.

– Nie wahałam się ani chwili – opowiadała dalej ciotka. – Skrzyknęłam garść naszych ludzi i wywołaliśmy niezłą burdę, w trakcie której nieoceniony Trismund podwędził klucze do piwnic temu przygłupowi z krogulcem.

Tankred zamrugał z niedowierzaniem oczami. W całym rodzie nie było chyba drugiej osoby, która mogłaby zadziałać tak szybko i zdecydowanie. Dorośli Hanstarowie byli mężami stanu i wojownikami, ale przede wszystkim badaczami i archiwistami. Nie przepadali za pochopnymi czynami, a każdą decyzję woleli gruntownie przemyśleć i jeszcze gruntowniej przedyskutować. Wszczęcie burdy w karczmie celem wyrwania więźnia z rąk Pieśniarzy – nawet jeśli był to najbliższy krewny – nie mieściłoby się im w głowach. Do takich rzeczy zdolna była jedynie Talvina, która za młodu polowała z siodła na woły stepowe i zabijała rohatyną najdziksze odyńce.

– Jesteś stuknięta, ciociu – powiedział Tankred z niekłamany podziwem.

– Czasy zmuszają nas do różnych rzeczy – rzekła Talvina. – Zresztą naprawdę dobrze się bawiłam. Po raz pierwszy od dawna – dodała, poważniejąc. – Przejdźmy jednak do rzeczy. Zdaje się, że masz mi naprawdę wiele do opowiedzenia.

Spojrzała przy tym wymownie na gnomy, które obsiadły stół niczym szarańcza i mlaskając głośno, pożerały chleb, ser i kiełbasę, łapczywie zapijając posiłek wodą.

– Są w porządku – westchnął młody rycerz. – Cóż, przynajmniej tak mi się wydaje. Ale fakt, do opowiedzenia mam dużo.

Ogień trzaskał w kominku. Za oknami Domu Hanstarów budziło się nocne życie miasta. Gnomy, które wreszcie nasyciły głód i pragnienie, wpatrywały

się w milczeniu w rycerza, który usiadł na bujanym fotelu, zwrócony ku ciotce, i rozpoczął opowieść.

Tym razem nie pominął niczego. Opowiedział o potyczce w Słonych Borach, o uwięzieniu w Pochodni i o pomocy, jakiej udzielił mu Jałowiec. Mówił o taliotach, krótkiej wizycie w Ugorze, ucieczce przed Jastrzębim Rycerzem i spotkaniu z gnomami na Mglakach. Przyznał się do pomyłki, jaką popełnił w Stęchliźnie. Patrząc badawczo na Thanniego, który przyzwolił mu skinieniem głowy, a potem pacnął łyżką protestującego Gropsa, opowiedział o układach między trzema gnomami a Stunem Tenketarem. Z ciężkim sercem dotarł w swej historii do spotkania z Vlistunem w Ostańcu, rebelii w Przytulisku i zejść na Gadających Bagnach.

– Nie mam pojęcia, po co Tenketarowie i Vlistunowie gromadzą zdrowych mężczyzn w obozach – mówił, wpatrując się w zapomnianą szklanę z wodą w rękę. – Nie wiem, jakie są ich zamiary i czym ta cała zawierucha się skończy. Wiem tyle, że mają po swojej stronie przynajmniej dwóch Pieśniarzy i uznają nasz ród za swego głównego wroga. I powiem jeszcze jedno. – Uniósł nagle wzrok i spojrzał ciotce w oczy. – Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że to oni są w jakiś sposób odpowiedzialni za śmierć Olwego.

Talvina wstała i raz jeszcze podeszła do okna. Uniosła rękę, jakby chciała poprawić szczelnie zasunięte zasłony, lecz opuściła ją bezwładnie.

– Może to wszystko nasza wina – powiedziała z trudem. – Podczas ostatniej narady rodzinnej, ledwie trzy tygodnie temu w tym oto pomieszczeniu, naciskaliśmy na Olwego, by wreszcie wymógł u króla nowe nadania. Zwłaszcza Mustaig, który wyliczył, że pieniędzy na utrzymanie naszych oddziałów wystarczy na jakieś trzy miesiące. Dochody z Uguru są bowiem na razie niewielkie, choć Viliena robi, co może, a szansa na inne profity nie ma. Olve zrozumiał powagę sytuacji. Obiecał, że się tym zajmie, i wyjechał.

– Jakie nadania mieliście na myśli? – spytał Tankred z mocno bijącym sercem. Czuł, że zna odpowiedź. – Bo z tego, co wiem, cały Taliad jest już rozdany.

– Pozostały Dymiące Wzgórza – odpowiedziała Talvina.

– Wiedziałem – szepnął młody rycerz i spojrzał na Thanniego. – Wiedziałem! – Zacisnął pięści z bezsilną furią. – Ty już też chyba wszystko rozumiesz? – Ostatnie słowa skierowane były do ciotki, która nadal stała

odwrócona do nich tyłem. – Tenketarowie i Vlistunowie zawarli potajemny sojusz, by pozbawić nas pozycji! – mówił gorączkowo Tankred. – Wiedzieli o tym, że jesteśmy jedynym pokrzywdzonym rodem, i czuli, że prędzej czy później Dymiące Wzgórza mogą przypaść nam! Gdy zyskali pewność, że znajdują się tam pokłady siarki, rozpoczęli swoją intrygę! Z poparciem kilku Pieśniarzy zarzucili na mnie sieć. Dagnaar Vlistun przekazał mi fałszywy list, niby ważne dane wywiadowcze, które miałem przekazać królowi i ściągnąć tym samym na nasz ród oskarżenie o zdradę. Tymczasem najemnicy zabili Olwego... Ale... Ale dlaczego? Skoro Olve wyjednał u króla nadanie, po co mieliby go zabijać? Przecież jego śmierć nie ma żadnego wpływu na królewskie edykty!

– Sęk w tym, że żaden edykt się nie ukazał – powiedziała chłodnym głosem Talvina i odwróciła się do pozostałych.

Tankredowi zaschło w gardle. Ciotka wróciła na swoje miejsce i usiadła z szelestem sukni.

– Nie mam pojęcia, co się naprawdę wydarzyło – dodała, wpatrzona w płomienie. – Ale domyślam się prawdy. Przypuszczalnie Olve wymógł obietnicę na królu i wyruszył co koń wyskoczy, by jak najszybciej podzielić się z nami dobrymi wieściami. Zanadto się pospieszył, niestety.

Tankred z trudem przełknął ślinę.

– Król Duncan to uczciwy człowiek. Jego słowo jest jego wolą, a...

– To nie jest już ten sam król, Tankredzie. Mustaig jest przekonany, że cierpi na szarą rozpacz. Olve też był tego zdania.

Gdyby podłoga komnaty niespodziewanie pękła, a ze szczeliny buchnęły ognie, Tankred na pewno nie byłby bardziej zaskoczony. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czy to możliwe? – wykrztusił.

Talvina pokiwała głową.

– Na razie objawy są lekkie, ale bywa, że nie odzywa się do nikogo przez całe dni. Czasami nie wstaje z łóżka. Wstrzymuje konia i wpatruje się w horyzont, głuchy na pytania. Raz czy drugi wyszedł z namiotu, w którym odbywały się ważne rozmowy. Między innymi z tych względów Olve tak długo nie był w stanie niczego z nim ustalić. Wygląda na to, że król woli towarzystwo Pierwszego Medyka, który przynosi mu ukojenie, od Pierwszego

Doradcy, który ma do zaoferowania jedynie kolejne problemy.

– Pierwszego Medyka – powtórzył bezwiednie Tankred. – Którym jest...

– Vastan Vlistun. Ojciec Dagnaara.

Ostatni element układanki wreszcie wskoczył na miejsce.

– Zdaniem Mustaiga Vlistun ma na króla wielki wpływ – ciągnęła Talvina. – Zapewne odwiedził go natychmiast po jego rozmowie z Olvem, by się dowiedzieć o jej przebiegu. Potem znalazł sposób, by wyperswadować mu nadanie, a niezależnie od tego pchnął za Olvem pościg. Tak na wszelki wypadek.

– A jedynymi jeźdźcami, którzy mogli go dogonić, były Sępy z Pogranicza – dodał Tankred, kręcąc głową. Nie mógł pojąć ogromu zdrady ludzi, którzy nadal byli jego rodakami. Poderwał się pobladły, z zaciśniętymi pięściami. – Teraz już rozumiem, po co te obozy pełne niewolników! Te gadzie syny są już gotowe do rozpoczęcia wydobycia siarki! Na Pieśni, w głowie mi się to nie mieści!

– Mnie też nie – rzekła Talvina. – Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! – Tankred krążył po komnacie. – Muszę jak najszybciej wyruszyć do obozu królewskiego! Ktoś musi opowiedzieć naszemu władcy o niegodziwościach...

– Siadaj. – Głos Talviny ciął jak bicz. Młodzieniec posłusznie znieruchomiał. – Po pierwsze, obóz królewski to w tej chwili dla ciebie bardzo niebezpieczne miejsce. Po drugie, nie oczekuj, że król potraktuje cię ze zrozumieniem. A po trzecie, chyba umknął ci najważniejszy aspekt całej sprawy.

– Jaki? – Tankred przygryzł wargę. – A, już wiem. Masz na myśli Talię?

– Tak.

Oboje pograżyli się w milczeniu, które przerwało dopiero znaczące kasznięcie Thanniego.

– Nie chcę wam przeszkadzać, ludzie – odezwał się cicho – ale muszę o coś spytać. Jak dotąd wszystko w tej waszej aferze jest jasne, przynajmniej dla mnie. – Spojrzał przy tym na Thrugha, który z namaszczeniem oblizywał sobie palce. – Majstersztyk, przyznam. Umyka mi tylko jeden szczegół. Czym jest ta cała Talia?

Talvina zmarszczyła brwi i spojrzała na Tankreda badawczo. Ten pokiwał głową.

– Powinni się dowiedzieć – rzekł. – Tak, wiem, to największa tajemnica Mandylionu, ale ci tutaj... Cóż, siedzą w tym bajzlu po uszy, podobnie jak ja. Poza tym nie wiem, w jaki sposób mogliby nam tą wiedzą zaszkodzić.

Wzrok Talviny sugerował, że młody rycerz najprawdopodobniej nie docenia potencjału gnomów. Thanni i Grops spoglądali jednakże na Mandyliończyków z powagą i zainteresowaniem, a Through, zorientowawszy się, że coś się dzieje, wytarł palce w spodnie i rozejrzał się badawczo. Talvina odkaszlnęła i powiedziała cicho:

– Królewska Talia to pradawny artefakt, który spaja nasze królestwo i narzuca posłuszeństwo rodom oraz Pieśniarzom. Stworzył go król Duncan Vailin, założyciel Mandylionu, który wedle niektórych z nas był paranoikiem, wedle innych podstępny łajdakiem, a jeszcze inni twierdzą, że po prostu wykazał się dalekowzrocznością. Przeczuwał bowiem, że towarzyszący mu rycerze, choć nawzajem darzyli się przyjaźnią i szanowali swego władcę, prędzej czy później skoczą sobie do gardeł. Znalazł więc sposób na to, by zapewnić sobie ich uległość na wieki. Stworzył Talię.

– A co to takiego? – spytał Thanni.

– Trudno powiedzieć, bo nikt nigdy Talii nie widział – podjął opowieść Tankred. – Podobno nawet królewska rodzina. Rzekomo jest to zestaw magicznych kart, które ułożone w odpowiedni sposób pokazywały królowi, czy któryś z rodów aby nie spiskuje przeciwko niemu. Tymi, których Talia uznawała za chwiejnych bądź podejrzanych, zajmowali się Pieśniarze, a jeśli zdołali udowodnić winę, oskarżony o zdradę stawał przed sądem królewskim.

– I to działało? – Na twarzy Thanniego malowało się zgorzenie.

– Doskonale.

– Serio? – Grops aż rozdziawił usta. – Król trzymał każdego z was na smyczy, a wam się to podobało?

– Przez osiemset lat istnienia Mandylionu ani razu nie mieliśmy wojny domowej czy zamachu stanu. – Tankred prychnął. – Wojny toczyliśmy za granicami, a między jedną a drugą wyprawą każdy z rodów zajmował się dokładnie tym, czym chciał! Gdyby nie Czerni...

Zacisnął mocno zęby.

– Przydałaby wam się taka Talia. – Talvina skrzywiła się. – Może niekoniecznie wam, rozbójnicy, ale władcom Taliadu jak najbardziej. Gdyby byli zjednoczeni, nigdy nie dotarlibyśmy tak daleko, a już na pewno nie tak szybko.

Grops i Thanni nie wydawali się przekonani. Obrzucili się rozbawionymi spojrzeniami, ale Thanni szybko spowaźniał i przypominał sobie kontekst rozmowy.

– Skoro Tenketarowie i Vlistunowie zaczynają knuć na tak wielką skalę – zaczął – wiele wskazuje na to, że ta wasza Talia się... ten tego... zepsuła?

Tankred pokiwał głową i westchnął ciężko.

– Żaden ród jak dotąd nie okazywał tak wielkiej bezczelności – rzekł. – Wszystko jest możliwe.

– Zwłaszcza że Vastan Vlistun nie opuszcza królewskiej komnaty i być może mógł z króla niejedno wyciągnąć – dodała Talvina. – Nie mamy pojęcia, co się dzieje z Talią. Może po prostu nie działa w Taliadzie, tak jak reszta naszej magii?

– A może... – zaczął Tankred, gdy niespodziewanie drzwi do biblioteki otworzyły się, a na progu stanął wysoki łysiejący rycerz z poważną miną.

– Moja pani! – Ukłonił się lekko Talwinie, a potem skinął Tankredowi.

Młodzieniec pamiętał, że ma na imię Trismund. Widział go przez moment podczas bójki w karczmie, ani chybi wywołanej przez ludzi Hanstarów, choć Talvina próbowała go jak najszybciej wyprowadzić. Na jego oczach rycerz powalił prawym sierpowym jakiegoś najemnika ze stołkiem w garści i niemalże jednocześnie lewym łokciem zatrzymał atak innego, wciąż z tą samą poważną, skupioną miną. Chciał wstać i uścisnąć mu rękę, ale nowo przybyły wypalił:

– Moja pani, Pieśniarz! Pieśniarz Cedrig!

– Gdzie? – Talvina zerwała się.

– Pod drzwiami domu! Domaga się, żeby go wpuścić! Szuka... – Rycerz spojrział na Tankreda. – Szuka was, panie!

– Jakim cudem nas tu odnalazł? – sapnęła Talvina, która rozglądała się dookoła, jakby szukała pomysłu.

– To nietrudne – mruknął Tankred i wyprostował się nagle. – I zresztą

nieważne. Sam jest czy z Widmem? – spytał łysego rycerza.

– Chyba sam – odparł tamten, nieco zaskoczony.

„Jeśli sprzyja nam szczęście, jego Widmo nadal siedzi w lochu pod Pochodnią” – przypomniał sobie młodzieniec i odetchnął z ulgą.

– Tym lepiej – rzekł z błyszczącymi oczami. – Otwórz mu, ciociu.

– Co? – Talvina wbiła w niego zaskoczone spojrzenie. – Dopiero co wyrwałam cię z rąk tego...

– Po prostu mu otwórz. – W oczach Tankreda błysnęła stal. – Nie powiedziałem, że oddam się w jego ręce.

Talvina błyskawicznie zrozumiała aluzję.

– Nigdy się nie dowiemy, czy Królewska Talia działa, jeśli tego nie spróbujemy, co? – syknęła.

– Otóż to. Thanni, Through, Grops, będę potrzebował waszej pomocy.



Drzwi do rezydencji Hanstarów w Posępnej Łunie były grube i masywne, osadzone na potężnych zawiasach i zaopatrzone w ogromny zamek z dwiema dziurkami i klamkę grubości ludzkiego nadgarstka, a mimo to aż drżały od uderzeń rozwścieczonego Pieśniarza.

– Otwierać! Natychmiast otwierać! Król niebawem dowie się o wszystkim, zdrajcy! – rzeźił Cedrig, a walenie w drzwi co chwila przerywał atak suchego kaszlu.

Talvina ujęła klamkę, odczekała, aż Pieśniarz złapie dech, mrugnęła do Tankreda i otworzyła wrota z rozmachem. Cedrig wkroczył bez wahania do środka, łopocząc pstrokatą szatą i celując drżącym palcem prosto w Talvinę, która, udając przestraszona, cofnęła się kilka kroków w głąb korytarza. To jeszcze bardziej wzmocniło butę Pieśniarza.

– Ukrywacie tego chłystka! – wyrzeźił. – Wszystko wiem! Zapłacicie za to, Hanstarowie!

Budowane od setek lat przeświadczenie o własnej potędze i nietykalności całkiem go zaślepiło. Nie zauważył, że Trismund wygląda ostrożnie



na zewnątrz i rygluje drzwi, nie widział gnomów, które wyłoniły się z ciemnych kątów, nie dostrzegł nawet szyderczego uśmiechu na obliczu Talviny.

– Złość szkodzi zdrowiu! – syknął Tankred i z całej siły rąbnął go w twarz.

Zaskoczony Pieśniarz, przypuszczalnie uderzony po raz pierwszy w życiu, runął na ziemię. Młody rycerz znieruchomiał, gdyż na ułamek sekundy ogarnęło go przerażenie – czy naprawdę powalił przedstawiciela najpotężniejszej sekty w Mandylionie? Wrażenie minęło, gdy do chcącego się poderwać Pieśniarza przypadły gnomy, które nie miały żadnych skrupułów. Thanni bez litości przygniótł mu stopy, Through wykręcił ręce, a Grops wbił knebel w rozwarte usta. Trismund podszedł ze zwojem liny i spojrzał pytająco na Hanstarów, jakby również nie wierzył w to, co robi.

– Poczekaj – powstrzymał go Tankred. Odsunął resztę wątpliwości i nie szczędząc się, kopnął Cedriga w żołądek. – To za to, że ośmieliłeś się krzyknąć na moją ciotkę.

Zakneblowany Pieśniarz wił się na podłodze, rzeził i sapał przez szeroko rozwarte nozdrza. Rozradowane gnomy pomagały w wiązaniu i z zaangażowaniem podszczypywały jeńca.

– Zanieście go do piwnicy – poleciała Talvina. – I zakneblujcie go bardzo, bardzo dokładnie. Nie bez powodu nazywa się ich Pieśniarzami. – Potem wzięła Tankreda pod łokieć i odprowadziła go w kąt, pod okno wychodzące na ulicę. – I co teraz? – zapytała cicho.

Młody rycerz oparł dłoń o zimną szybę. Kłykcie nieco go piekły od uderzenia. Niespodziewanie uświadomił sobie, że to ciotka, jedna z najmądrzejszych osób w rodzie, pyta jego o zdanie, a nie na odwrót.

– Trzeba powiadomić wuja Mustaiga – powiedział. – A także Vilienę, Gwinulfa i pozostałych. Może nawet Dustuna. Niech wiedzą. Niech będą gotowi.

– To za mało! – Oczy Talviny błyszczały. – Skoro Tenketarowie i Vlistunowie zwarli szyki przeciwko nam, musimy się przygotować! Zaplanować odwet! Poszukać sojuszników!

– I rozpętać wojnę domową? – Tankred zmarszczył brwi. – Pierwszą w naszych dziejach? Nie, na razie trzeba udawać, że nic się nie dzieje. Skoro uwięziliśmy Cedriga, nikt się nie dowie, że jestem o cokolwiek oskarżony.

Biorę gnomy i jadę pod Tangstev, ciociu. Rozmówię się z Mustaiem. Może coś zaplanujemy.

– Być może Cedrig powiadomił już swoich sprzymierzeńców w obozie królewskim – powiedziała Talvina. – Nikt nie prześcignie Widma posłańca. Granica Tangstevu to dla ciebie niebezpieczne miejsce.

– Może – rzekł Tankred, zamyślony. – A może nie. Chyba wiem, jak to sprawdzić.

– Jak?

– Czy jest tu gdzieś jakiś taliot?



## Wierzbowa Przystań

Po zapadnięciu zmroku Posępna Łuna traciła swój mandylionowski klimat. Z przyczyn, których Tankred nie umiał wyjaśnić, miasto stawało się miejscem dzikim i nieokiełznanym. W świetle latarni, rozmieszczonych wzdłuż głównych ulic, widać było grupki ludzi wokół wejść do tawern, rozprawiających głośno i gniewnie, zupełnie jakby alkohol i zmrok sprawiały, że przypominali sobie o swej doli wygnańców. Za otwartymi drzwiami pulsowała muzyka, rozpaczliwie głośna, jakby miała stłumić tęsknotę bądź frustrację. Tu i ówdzie wybuchały bójki, których nikt nie kwapił się przerwać.

Miasto drżało niczym chory człowiek.

Tankred szedł szybkim krokiem przed siebie. Jego twarz zasłaniał kaptur, u boku podskakiwał miecz, a na plecach wisiał łuk. Za nim truchtała trójka uzbrojonych po zęby gnomów, które przyciągały powszechną uwagę, choć mało kto chciał się na nie gapić, gdy dostrzegł ich szydercze uśmiechy. Cała czwórka rozglądała się bacznie, choć szansa na to, że ktoś ich wytropi po tym, co spotkało Pieśniarza, była raczej niewielka.

– Człowiek, gdzie my właściwie idziemy? – spytał Grops.

– Do przystani – odparł Tankred. – Weźmiemy jedną z naszych łodzi

i ruszymy na północ, pod Tangstev.

– Łódź? – zaniepokoił się Thruugh. – Trza musimy łodziować?

– On pyta, czy trzeba będzie wiosłować – burknął Thanni, po czym uniósł nieco rondo kapelusza i obrzucił wyjątkowo paskudnym spojrzeniem przyglądającego mu się żołnierza. – Co w sumie nie jest głupim pytaniem.

– Tak – odparł Tankred. – Popłyniemy pod prąd.

Odpowiedział mu jęk rozpaczy.

– Nie ma mowy! – Thruugh stanął na szeroko rozstawionych nogach i założył ramiona na piersi. – Nie umiem, nie chcę i nie będzie łodziować. Ja nie będzie!

– W porządku – rzucił rycerz przez zaciśnięte zęby. – Możemy wrócić i wziąć konie.

Położył akcent na ostatnie słowo. Rzucił okiem przez ramię i zauważył, że Grops aż się wzdrygnął, Thanni odruchowo pomacał się po głowie, a Thruugh splunął i potruchtął za resztą z miną przywodzącą na myśl zimowe sztormy.

„Knyпки” – pomyślał Tankred bez złośliwości.

Spokojnym krokiem minęli karczmę, z której wydostała ich Talvina wraz z garścią domowników. Zabawa w środku trwała na całego i nic nie wskazywało na to, że ledwie chwilę temu rozgorzała tam wściekła bijatyka. Następnie spiskowcy weszli na most, który łagodnym łukiem wznosił się nad ciemnym nurtem leniwie płynącej Cięciwy. Nabrzeże opromieniało kilka latarni. Tu również przed tawernami kłębił się tłum bywalców, powiększony o taliadzkich flisaków i handlarzy. Tankred przesunął wzrokiem po licznych łodziach i barkach cumujących wzdłuż kamiennego nabrzeża i odszukał te, które należały do Hanstarów.

– Nie lepiej ukraść coś Vlistunom? – zaproponował gnom.

– I wzbudzić ich podejrzenia? – Młody rycerz uniósł brwi. – Tamta będzie się nadawać! Ta z czerwonym dziobem.

Przepchnęli się przez tłum na nabrzeżu, na tyle stanowczo, by nikt ich nie powstrzymał, ale też w miarę spokojnie, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Thruugh zeskoczył na łódź i z wprawą złapał za wiosła. Grops zrobił to samo, a Thanni odepchnął łódź bosakiem od nabrzeża z taką energią, że Tankred ledwie zdołał do niej wskoczyć.

– Powoli! – syknął.

– Skoro mamy wiosłować pod prąd – warknął Thanni, poprawiając kapelusz – i to jeszcze w kierunku jakiegoś taliotu, lepiej miejmy to jak najszybciej za sobą.

Gnom rozumował słusznie i Tankred nie podjął sprzeczek. Usiadł na pierwszej ławce i również chwycił za wiosła, a łódź, zręcznie kierowana przez Thanniego, wkrótce zawróciła na powolnym nurcie Cięciwy i ruszyła w stronę cienia rzucanego przez most. Gnomy wiosłowały szybko i sprawnie, a Tankred dokładał wszelkich starań, by nie wypaść z narzuconego przez nie tempa.

W pewnym momencie odwrócił się i omiół wzrokiem nietypową wieżę z szerokim balkonem, wznoszącą się nad pozostałymi dachami, wciąż jeszcze widoczną, ale powoli niknącą w mroku.

„Dzięki, Poszukiwaczu – pomyślał. – Jestem twoim dłużnikiem. Coś mi mówi, że to ty stoisz za wiadomością przesłaną Talvinie”.

Nurt przepływającej przez miasto Cięciwy był stosunkowo leniwy i czwórka wiosłarzy bez trudu brnęła naprzód. Jedynym wyzwaniem okazało się wyminięcie ogromnej barki z latarnią na dziobie, która sunęła prosto na nich, jakby prowadził ją nietrzeźwy sternik, co zresztą potwierdziła seria bełkotliwych przekleństw. Thanni w ostatniej chwili napał na ster, a Grops, Thugh i Tankred wyciągnęli w porę wiosła. Obie jednostki musnęły się burtami, na tyle blisko, że Grops zdołał dzielić sternika barki wiosłem.

Cięciwa wpływała do miasta szerokim tunelem w murach miejskich, zagrodzonym o tej porze przez zanurzony w wodzie łańcuch. Wiosłując pod prąd, czterej uciekinierzy zdołali dobić do nadbrzeża, a wtedy Tankred wyskoczył na śliski brzeg i wręczył straży kilka srebrnych monet. Łańcuch natychmiast pogrzyżł się w nurcie i łódź wymknęła się na zewnątrz murów. Rycerz wraz z gnomami napałli mocniej na wiosła i ruszyli przez noc po spienionej wodzie.

Byli już mocno zdyszani, gdy dotarli wreszcie do pierwszego zakrętu. Tam, wśród poskręcanych wierzb, czerniały samotne, dawno temu opuszczone chaty, a za nimi wznosiła się konstrukcja przypominająca na pierwszy rzut oka dymarkę. Tankred był jednak pewien swego – gdy tylko łódź wbiła się między szuwały, zeskoczył na ziemię i ruszył biegiem ku budowli, ignorując wołanie

gnomów.

Talioł powitał go chłodem, stęchlizną i nadzieją na uzyskanie podpowiedzi. Tankred usiadł pod ścianą, zamknął oczy i oparł głowę o kolana.

Wizje pojawiły się o wiele szybciej, niż się tego spodziewał.



Wisiał nieruchomo, jak zawsze, ale tym razem nie próbował już z tym walczyć. Patrzył na wzgórza krasnoludzkiego królestwa Tangstevu, które w mglistej dali nabierały złowrogiego, stalowego odcienia, i nisko wiszące nad nimi chmury. Patrzył na gigantyczną Szczelinę, która od zawsze odgradzała Tangstev od Taliadu, i na ciągnące się wzdłuż niej rzędy namiotów, strojnych w barwne flagi i chorągwie łopoczące dziko na górskim wietrze, na ciemny nurt Toporzyska, nieprzebytej rzeki, która zakręcała w pobliżu.

Chciał krzyknąć z radości, ale wiedział, że to na nic. W wizjach zsyłanych przez talioł można było tylko uczestniczyć jako widz. Patrzył więc na proporce Claytore'ów, Puckhardów, Vinkenatów i innych, z goryczą dostrzegł znaki Tenketarów i Vlistunów, z tęsknotą odszukał Otwartą Księgę Hanstarów, potem przez długą chwilę wpatrywał się w ogromny królewski namiot.

Dęto w trąby, kolejna delegacja krasnoludzkich lordów opuszczała właśnie namiot króla i powoli, z dostojeństwem kroczyła w stronę Ogniwa, jedyne go mostu na Szczelinie. Rycerze Stalowej Duszy stali na baczność, gdzieś przemknął oddział rajtarii, za nim drugi, jazdy ciężkiej. Dalej maszerowały formacje piechoty. Blask słońca odbijał się od luf armat wycelowanych w krasnoludzkie terytorium. Śpiewali Pieśniarze, wyły Widma, ryczały trąby.

Mandylion w całej swej potędze.

Tankred patrzył na armię króla, która przybyła, by rzucić wyzwanie krasnoludzkiemu Tangstevowi, największemu z państw ościennych. Armię śmiałą, groźną i jak dotąd niepokonaną, na razie warującą niecierpliwie u bram wroga i duszącą go brakiem dostaw. Armię wybijającą kły

najgroźniejszym wrogom, walczącą o przestrzeń, szukającą siarki i żelaza. Armię wspaniałą.

O dziwo, nie opadł nisko, aby odszukać *Mustaiga* czy *Dustuna*, choć bardzo mu na tym zależało. Zamiast tego wisiał wysoko i spoglądał na obóz królewski, jakby wizja chciała mu pokazać zupełnie coś innego niż to, co sam pragnął ujrzeć.

„Patrz – nakazywała mu niezbadana moc taliotu. – Patrz i wyteżaj umysł!”

Nie wiedział, co ma wypatrzeć, ale czuł narastający niepokój.

Wtem obraz zaczął drżeć i rozmywać się, a po chwili ostatnie szczegóły zalała czerń. Tankred znów wisiał wśród ciemności. Z jednej strony ogarniało go narastające przerażenie, ale z drugiej strony wzbierała w nim dzika, wręcz desperacka ciekawość. Przecież kiedyś w takich właśnie okolicznościach usłyszał cudze myśli.

Znów rozległ się szum, a potem słowa, wypowiedane tym samym znajomym głosem, wbiły się w jego umysł z siłą ciężkiego klina.

„Nie wolno się niecierpliwić. Nie wolno. Nie oskarżajcie mnie o brak ducha bojowego, przyjaciele. Tego również wam nie wolno. Natomiast jeśli dręczy was bezczynność, pchnijcie kilka tabunów *Sępów* pod *Dymiące Wzgórza*. Dowiedziałem się z pewnego źródła, że to miejsce ma dla przybłędów wielkie znaczenie. Szkoda zmarnować taką okazję”.



Tankred otworzył nagle oczy i gwałtownie nabrał tchu niczym człowiek, który spędził zbyt wiele czasu pod wodą.

„Co takiego? – pomyślał z przerażeniem. – *Dymiące Wzgórza*? Kilka tabunów *Sępów*? Miejsce o wielkim znaczeniu dla przybłędów? Kim są te przybłedy? A może... A może to my?”

Jego sercem niespodziewanie targnęło podejrzenie tak straszne, że aż pobladł. Zerwał się i wybiegł na zewnątrz, przerażony jak nigdy dotąd.

– Co ja narobiłem... – jęknął. – Co ja narobiłem!

Przed oczami stanęła mu zadymiona karczma w Skowycie i stopy trójki gnomów dyndających pod powałą. Znow usłyszał swoje słowa i poczuł na sobie wzrok Steffuna.

– To niemożliwe – sapnął. – To niemożliwe, by ów przeklęty karczmarz...

Jego rozpacz niespodziewanie przeciął ostry krzyk jastrzębia. Tankred uświadomił sobie, że słyszy wołanie gnomów, a Grops pędzi ku niemu tak szybko, że wiatr zerwał mu kapelusz z głowy.

– Jastrzębi Rycerz, taka jego mać plugawa! – wysapał. Jego oczy błyszczały z przerażenia.

Tankred rozejrzał się pospiesznie. Cieniutki księżyc właśnie wychynał zza podartych chmur i zalał nadrzeczne błonia drżącym, srebrzystym blaskiem. Droga, ledwie widoczną wśród rozkołysanych szuwarów, gnał samotny jeździec, ogromny, spotęgowany cieniami. Z zarośli zrywało się przerażone ptactwo.

– Dopadł nas... – jęknął Grops. – Co robimy?

– Wiem, czego nie robimy – warknął Tankred. – Nie popełnimy już błędów. Trzeba zabić tego szubrawca i pozbyć się go raz na zawsze.

Rozpacz i przerażenie uruchomiły w jego głowie gonitwę myśli, które niespodziewanie ułożyły się w plan, szalony i mało realny, ale za to jedyny możliwy. Prędko przekazał go gnomom, a te rozbiegły się, nie marnując ani chwili.

Jeździec nadciągał niczym zjawa z koszmarów. Kopyta ogromnego wierzchowca dudniły na błotnistej ścieżce, wiatr unosił jego płaszcz i świstał na krawędziach zbroi. Tankred, tak jak na Gadających Bagnach, stanął na szeroko rozstawionych nogach i machał beztrosko mieczem. Czekał na konfrontację.

Rycerz zauważył go z daleka, zaalarmowany okrzykiem jastrzębia. Zwolnił zauważalnie i powoli podjechał do liny, którą gnomy rozciągnęły w poprzek ścieżki. Rozpędzony rumak zapewne by jej nie zauważył i wywrócił się, zrzucając jeźdźca.

Jastrzębi Rycerz uniósł głowę i spojrzał na Tankreda. Nie powiedział ani słowa, ale ujął włócznię, trącił linę i spojrzał na Hanstara raz jeszcze, milczeniem wyrażając pogardę.

Uniósł miecz, by przeciąć linę. Tankred znieruchomiał.



Jastrząb wrzasnął, kołując nad zaroślami, wśród których ukryli się Grops i Thruh. Młody rycerz z uniesionym mieczem, zerknął w tamtym kierunku.

– Teraz – szepnął Tankred. – Teraz, Thanni!

Instynkt rozbójnika, który rzadko kiedy opuszczał Thanniego, nie zawiódł go również tym razem. Gnom, kryjący się po drugiej stronie ścieżki, wystrzelił z kryjówki i z całej siły smagnął bosakiem koński zad.

Rumak stanął dęba i zarżał przeraźliwie. Wtedy z zarośli wybiegł Grops. W ostatniej chwili uskoczył przed spadającym mieczem Jastrzębiego Rycerza i przerzucił linę pod końskim brzuchem. Thanni złapał ją z drugiej strony i obaj sprawnie opletli pęciny zwierzęcia.

Koń rżał, podskakując i walcząc o zachowanie równowagi. Jastrzębi Rycerz obracał się w siodle, próbując ciąć któregoś z napastników, ale ci umykali sprawnie. Z zarośli wypadł Thruh, który zamierzył się i z całej siły rąbnął wierzchowca wiosłem w pysk.

Potężny rumak bojowy zniósłby zapewne nawet o wiele mocniejsze uderzenie, gdyby nie to, że złośliwy Thruh trafił go prosto w nos, a Thanni i Grops szarpnęli linę w tej samej chwili. Koń zwałił się z głuchym łoskotem. Jeździec wyswobodził nogę ze strzemienia ze zręcznością przeczącą ciężarowi zbroi. Przetoczył się po ziemi i zerwałby się na nogi, gdyby nie przypadł do niego Tankred i nie wyrznął go swoim wiosłem prosto w głowę.

Cios, wzmocniony przerażeniem i determinacją, posłał Jastrzębiego Rycerza na kolana. Potrząsnął głową i znów złapał za miecz, ale gnomy nie próżnowały. Thanni uderzył go barkiem w plecy i przewrócił na twarz, a sapiący wściekle Grops i Thruh związali mu ręce w nadgarstkach.

– Zawlecmy go do wody! – wyrzeźił Thanni. – Utopimy bydlaka! Utonie tak jak ten jego kumpel w Stęchliźnie.

– On nie mówi! – odetchnął ciężko Tankred. – Mało co je, chyba nie śpi, za potrzebą idzie raz na tydzień. Skąd wiesz, że w ogóle oddycha? Skąd wiesz, że nie wylezie z wody, by nam nogi powyrywać?

Jastrzębi Rycerz wił się wściekle. Gnomy trzymały go ze wszystkich sił.

– Do drzewa! – zakomenderował Tankred i wskazał najbliższą wierzbę. – Przywiążemy go tam! Uważaj!

Wrzeszczący przeraźliwie jastrząb spadł z nieba, celując pazurami prosto w oczy Thruha. Gnom, przeklinając wściekle, uskoczył w ostatniej chwili.

Thanni machnął wiosłem i odpędził ptaka, ale Jastrzębi Rycerz wykorzystał sytuację i uwolnił ramię.

– Wrywa się! – wrzasnął z rozpaczą Thanni.

Przywiązanie przeciwnika do wskazanej wierzby zabrało im dobrych kilka minut. Stawiający opór prześladowca złamał dwa wiosła, rozerwał mocną linę i poturbował ich srodze, ale w końcu uległ przewadze. Sapał wściekle i napierał na więzy, a wierzba dygotała od korzeni po gałęzie. Jastrzęb krążył wysoko nad nimi i krzyczał z niepokojem.

– Upieczmy gnoja! – charczał wściekły Thanni i pocierał czerwony policzek, w który przed chwilą trafiła pancerna pięść rycerza. – Upieczmy go i, zaraza, zjedzmy! Zjadłbyś rycerza, Through?

Zapytany splunął krwią z dziury po wybitym zębie i bluznął długą serią niezrozumiałych, ale czytelnych klątw.

– Zerwijmy mu hełm – zaproponował Tankred, równie zdyszany i poturbowany jak reszta.

– Robi się! – Thanni złapał za bosak.

Młody Hanstar jeszcze w Mandylionie widywał z bliska twarze Jastrzębich Rycerzy, ale nigdy nie był w stanie długo się im przyglądać – przerażał go widoczny u nich brak emocji czy mimiki. Tym razem spojrział w oblicze więźnia z niezdrową fascynacją.

Nie rozpoznawał go, ale nie oczekiwał tego. Nie miał pojęcia, skąd Pieśniarze rekrutują Jastrzębich Rycerzy, ale był skłonny dać wiarę plotkom, że wywodzą się oni z sierocińców czy ciemnych zaułków. Niektórzy w rodzie Hanstarów wierzyli, że Pieśniarze ratują w ten sposób dzieci przed strasznym losem, ale teraz, spoglądając w puste oczy jeńca, Tankred nie był tego taki pewien.

Złość i zajadłość minęły, a w ich miejsce pojawiło się odrętwienie. Cofnął się o krok. Jastrzębi Rycerz napierał na więzy, ale z mniejszym zaangażowaniem.

– Słabnie – zauważył Thanni. – Zabijmy go, póki to jeszcze jest fajne.

Tankred nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł z błota hełm i obejrzał go z bliska. Mokry metal lśnił w blasku rożka księżyca. Rycerz przetarł go dłonią i niespodziewanie wyczuł pod palcami cieniutkie rysy, które ciągnęły się po całej powierzchni i układały w przedziwne wzory.

Zajrzał do środka hełmu. Wsunął tam dłoń i wymacał podobne ryty, o wiele głębsze i wyraźniejsze. Tknięty nagłym impulsem włożył sobie hełm na głowę.

Aż się zatoczył. Niespodziewanie świat się skurczył, kolory spłowiły, blask księżyca przygasł. Skądś nadbiegł krzyk, potężny niczym podmuch huraganu.

– Zabij Hanstara! Zabij gnomy! Nie potrzebujemy już ich! Zbyt dużo wiedzą!

Zerwał hełm z głowy i odrzucił go daleko w wodę. Stał przez moment i oddychał ciężko, z trudem powstrzymując wymioty. Dopiero po chwili opanował się na tyle, by spojrzeć na Thanniego.

– Nie – rzekł. – Nie zabijemy go.

– Mądra decyzja, Tankredzie – odpowiedział niespodziewanie znajomy głos. Młodzieniec obejrzał się za siebie i zobaczył Jałowca, który szedł powoli w ich stronę. Na jego ramieniu wiercił się jastrząb. Ptasie szpony rozdzierały szatę druida i raniły jego skórę, ale ten nie zwracał uwagi na skaleczenia. Wpatrywał się w rycerza i uśmiechał się lekko pod nosem.

– Mądra? – wybuchnął Thanni. Through, który aż kipiał ze złości, dodał kilka wściekłych klątw we własnym języku. – Człowiek, może ciebie też trzeba by wiosłem zdzielić, byś zmądrzał, co?

– Nie radzę, gnomie – rzekł druid i wyrzucił jastrzębia w powietrze.

Drapieżny ptak zatrzepotał skrzydłami, zatoczył łuk i odleciał w mrok nocy. Tankred odprowadził go wzrokiem i spojrzął na Jałowca. Uśmiechnął się z trudem.

– Mieliśmy się tu spotkać następnego dnia – powiedział. – Upłynęły zaś trzy doby. Ty chyba mnie lubisz, co?

– Nie mam pewności. – Jałowiec stanął przed Jastrzębim Rycerzem i spojrzął mu w oczy. Ten po chwili zamrugał po raz pierwszy. – Jako druid staram się unikać sympatii i antypatii. Kieruję się natomiast logiką i wiem, że nie opłaca się niszczyć młotka czy siekiery, którą zdobyliśmy na wrogu.

– To jakiś cholerny morderca, a nie młotek ani siekiera! – parsknął Thanni.

– Czyżby? – spytał druid i przybliżył twarz do oblicza Jastrzębiego Rycerza. Ten mrugnął ponownie. – Cóż, masz rację, gnomie. Młotek czy siekiera nie odczuwają głodu. Nie czują potrzeby snu. To zwykły człowiek, najzwyklejszy

na świecie. Problem w tym, że do niedawna ktoś uważał go za narzędzie.

Dopiero teraz Tankred zauważył, jak bardzo wychudłą twarz ma ich jeniec. Na jego trupioblady obliczu niezdrowo błyszcząły oczy, a pod nimi czerniły się plamy. Między rozchyłonymi ustami widać było nierówne, wyszczerbione zęby. Pod nosem zaschła mu strużka krwi. Na głowie miał rzadkie, spoczone włosy.

– On jest wycieńczony – stwierdził nie swoim głosem. Dotknął blach pancerza i cofnął się odruchowo, spodziewając się, że więzień naprze na krępujące go sznury, lecz ten wisiał nieruchomo i wpatrywał się w młodego Hanstara pustym wzrokiem. Pod opuszkami palców młodzieniec czuł delikatne ryty, podobne do tych, które odkrył na hełmie.

– Zerwijcie z niego te blachy – polecił gnomom. – Tylko delikatnie.

– A potem? – spytał ponuro Thanni.

– Nie wiem, o jakie „potem” ci chodzi – odparł ciężko Tankred. – W ciągu najbliższych dwóch godzin musimy wrócić do Posępnej Łuny. Oddam tego człowieka pod opiekę ciotki Talviny. Być może czegoś się od niego dowiemy, a jeśli nie... Cóż, przynajmniej będę miał jakiś dobry uczynek za sobą.

– Coś mi mówi, człowiek, że to drugie „potem” spodoba mi się mniej. – Thanni zmarszczył brwi.

– Tymczasem jest coś ważniejszego do zrobienia. – Tankred przeniósł spojrzenie na Jałowca. – Kilka dni temu popełniłem wielki błąd. Ogromny. Obawiam się, że równowaga, o którą dbasz z taką pasją, jest jeszcze bardziej zagrożona niż kiedykolwiek wcześniej.

Grops i Thugh, zajęci zrywaniem napierśnika bezwonnemu rycerzowi, bezbłędnie wykryli napięcie w głosie Tankreda. Thanni uniósł nieco pogniecione rondo kapelusza i spojrzał na młodzieńca z ukosa. Jałowiec kiwał w zadumie głową.

– Co żeś przeszkrobał, człowiek? – spytał Grops.

– Wyjaśnię wam po drodze.

– Dokąd?

– Do Skowytu



## Powrót do Skowytu

Niebo było nadal czarne niczym rozpacz samobójcy. Cieniutki rożek księżycy przemykał między postrzępionymi, skrzydlatymi chmurami, coraz bliżej ciemnej toni Cięciwy. Zbliżał się świt. Wodne ptactwo drzemało, wiatr trącał delikatnie nadrzeczne zarośla.

Nikt nie patrzył na łódź, która powoli, leniwie posuwała się z nurtem, aż skrzyła ku brzegowi i z szelestem wdarła się między szuwary. Nikt nie widział barczystego brodacza, który z chlupotem wskoczył do wody i z wielką siłą pociągnął łódź w stronę brzegu. Nikt nie zauważył trójki gnomów w wielkich kapeluszach, które jeden po drugim przełaziły przez burtę, przeklinając przy tym z pasją, ani też młodego rycerza, który zszedł na ląd jako ostatni i z napięciem spojrzął na ciemniejące nieopodal, spalone miasto.

Nikt nie znał myśli, które kłębiły się w jego głowie.

– Szybko – syknął. – Nie ma czasu do stracenia!

Sam skoczył ku miastu. Biegł przygarbiony, z nagim mieczem w dłoni. Jego rozwiany płaszcz muskał wilgotne źdźbła nadrzecznych traw. Po prawicy gnał Thanni z kapeluszem groźnie nasuniętym na oczy, obok Thugh z młotem pożyczonym z arsenału Hanstarów i posapujący Grops, który na tę okoliczność

postanowił zastąpić magię lekką kuszą. Gdzieś z boku biegł Jałowiec, szary niczym bagiena zjawa, bez broni, a mimo to groźniejszy od całej armii.

Niczym stado wygłodniałych drapieżników zbliżali się do Skowytu. Nadgryzione, wyszczerbione mury stawały się coraz wyższe. Na resztach blanek nie było widać żywej duszy.

Wilkołak wychylił moką paszczę z krzaków i zawarczał głucho. Napiął mięśnie, szykując się do skoku, ale wtedy szare niebo zajaśniało brzaskiem. Stwór odwrócił łeb, jakby smagnięty niewidzialnym biczem, i cofnął się w zarośla. Thanni podniósł w biegu kamień i cisnął w ślad za nim. Jego oczy rozbójnika błyszczały dziko.

Tankred dostrzegł to i uśmiechnął się mimo woli. Miał nerwy w strzępach, ale świadomość, że towarzyszy mu czterech najbardziej szalonych i niezniszczalnych wojowników Taliadu, stanowiła pewną pociechę.

Jeszcze miesiąc temu uznaliby każdego z nich za wroga, ale to nie miało już dla niego żadnego znaczenia.

Byli coraz bliżej. Roztrącali mokre od porannej rosy zarośla, mijali przegniłe zabudowania podgrodzia, łapali dech skryci za poskręcanymi pniami wierzb i znów biegli. Kilku umarłaków z jękiem zagrzebywało się w błocie, by przeczekać nadciągający dzień. Blanki wciąż były puste.

Godzina przed świtem od zarania dziejów była największym sojusznikiem każdego wojownika. O tej porze najtrudniej jest utrzymać czujność i najmocniej się śpi, a ci, którym nie jest dane zaznać spoczynku, myślą głównie o jedzeniu, rozgrzaniu się i wyzwaniach nadciągającego dnia. O tej porze trudno wziąć jakiegokolwiek zagrożenie na poważnie.

„O tej porze głos niesie się najdalej” – pomyślał Tankred.

Nie miał jednak wyboru, a dokuczliwy, niewdzięczny szept z tyłu jego głowy powtarzał, że być może jest już za późno.

Wbiegli na trakt prowadzący od Posępnej Łuny. Mokry sztandar Claytore'ów zwisał nieruchomo, ciężki od porannej rosy. Jedno z wrót wisiało na pojedynczych zawiasach, drugiego nie było. Nie było też nikogo, kto by ich pilnował.

„Nic dziwnego – pomyślał Tankred. – Kto o zdrowych zmysłach chciałby wkraść się do zrujnowanego, nawiedzonego miasta? Kto o zdrowych zmysłach wystawiłby przy takim mieście strażę?”

Z bijącym mocno sercem skinął na towarzystwo i zgarbiony ruszył w stronę zrujnowanej bramy. Ostrożnie przeskakiwał kałuże, ale mimo to miał wrażenie, że każdy jego krok odbija się echem. Through przeklinał. Grops sapał.

Gdzieś z wrzaskiem poderwała się wrona. Tankred zamarł, przerażony, wsłuchany w głuchą ciszę.

– Tam są – szepnął Thanni za jego plecami. Wskazywał prawą część strażnicy.

Rycerz spojrział na niego pytająco, ale zobaczył, jak Grops pociąga wielkim nochalem, i przypomniał sobie o znakomitym węchu gnomów. Through pokiwał głową i pokazał dwa palce. Thanni skinął i machnął ręką na resztę.

Gnomy, niczym bezszelestne, zgarbione zjawy, wniknęły w cień bramy, skąd po chwili doleciały głuche stęknienia. Tankred wpadł do środka z nimi, ale zamiast biec po schodach na górę, przywarł do ściany i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Ulica była nadal pusta.

Łoskot na górze ustał. U boku Tankreda wyrósł zarumieniony Grops.

– Ogłuszyliście ich? – szepnął rycerz.

– Tak – potwierdził zadowolony gnom. – Oszłomiłem ich swą magią, ale Through na wszelki wypadek poprawił młotem. Parokrotnie. Wiesz, człowiek, nigdy nie...

– Cisza – warknął Thanni, który zbiegł tuż za nim. Skośne oczy gnoma migotały złośliwie w cieniu kapelusza. – Czuję ich więcej!

Jałowiec, który przywarł do przeciwnej ściany, wskazał ręką najbliższą chatę. Jej drzwi nagle drgnęły i ze środka wyszedł jakiś rozczochrany człowiek, otulając się płaszczem. Wzdrygnął się, strzyknął flegmą, ziewnął i zaczął odwiązywać spodnie.

Thanni spojrział na Tankreda, a ten na Gropsa. Grubawy gnom zmarszczył groźnie brwi, zacisnął zęby i uniósł różdżkę.

Rozległ się plusk moczu. W tej samej chwili nieznajomy wybałuszył oczy i poczerwieniał, jakby niewidzialna siła złapała go za gardło. Ta sama siła poderwała go z ziemi i cisnęła nim o ścianę chaty. Nieprzytomny człowiek osunął się na ziemię.

– Mogłeś chociaż poczekać, aż się wysika – mruknął Thanni.

– No – rzekł Grops, z niedowierzaniem patrząc na swoją różdżkę. – No, w sumie mogłem.

Tankred spojrzął na Jałowca, który uśmiechnął się lekko, jakby właśnie spłatał komuś figla. Rycerz pokiwał głową i wskazał chatę.

– Tam być może jest ich więcej! – szepnął do Thanniego. – Załatwcie sprawę, tylko cicho! – Postukał przy tych słowach palcem w muszkiet na plecach gнома. – I żadnych ofiar.

Chytrze uśmiechnięte gnomy potruchtały do budynku. Tankred skinął na Jałowca. Obaj wybiegli z cienia bramy i przypadli do ściany najbliższej chaty. Młodzieniec uważnie rozejrzał się po okolicy. Magazyn z zapadniętym dachem. Kamienica ze spustoszonego piętrem. Ceglana ściana z resztkami tynku i dziurą po oknie. Porośnięta chwastami sterta gruzu. Inna ściana z wyrysowanymi węglem dwoma słowami. Jedno było niewidoczne, ale drugie przypuszczalnie oznaczało „wróci”.

Tankred zacisnął zęby.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy – mruknął Jałowiec.

– Nie jestem – parsknął młodzieniec. – Gdzie tu jest taliot?

– A skąd wiesz, że jakiś tu jest?

– Musi być.

– Skoro musi, to pewnie gdzieś jest. – Druid rozejrzał się uważnie. – Postawiłbym na tamten budynek.

Jego gruby palec wskazywał dach sporej kamienicy, która na pierwszy rzut oka wydawała się jednym z nielicznych nieuszkodzonych budynków w Skowycie. Tankred zmarszczył brwi i spojrzął na towarzysza bacznie.

– To talioty nie są wieżami z kamienia? – spytał.

– Talioty to miejsca, w których siły natury błogosławią nasze umysły. – Jałowiec zmiażdżył go wzrokiem. – To, co zbudowano nad nimi, jest doprawdy nieistotne.

– Dobra.

Z izby wychynął Thanni i skinął głową. Za nim wyskoczyli Thugh i Grops, ten ostatni uzbrojony w dwa krótkie toporki, których jeszcze przed chwilą nie miał. Rycerz wychylił się zza rogu i odszukał wzrokiem dach karczmy



Steffuna. Z murowanego komina sączyła się cieniutka strużka dymu.

„Nieźle zaopatrzone miejsce jak na karczmę wśród ruin” – przypomniał sobie swoje spostrzeżenie sprzed paru dni.

Pokręcił głową, skinął na resztę i wyskoczył z kryjówki. Biegł pochylony, czujny, groźny. Towarzysze nie odstępowali go ani o krok, milczący niczym wataha wilków przed skokiem na zwierzynę.

Wspomnienia nadal go kęsały.

„Wielkie palenisko w izbie głównej, rozpalone pomimo braku gości. Tempo, w jakim karczmarz obsłużył gnomy. Czy tak działa knajpa w środku opuszczonego, nawiedzonego miasta? Przecież od samego początku karczmarz wydawał się podejrzany... Na Pieśni, dlaczego ja dopiero teraz zwróciłem na to uwagę?”

„Bo on jest sprytniejszy od ciebie. O wiele sprytniejszy – dopowiedział inny głos w jego głowie. Nie cierpiał go, gdyż zawsze mówił prawdę. – Nazywali go Podstępny, pamiętasz? Jego przydomek nie wziął się z kapelusza”.

Studnia pośrodku ulicy ze szerniałym kikutem żurawia. Otwarte wrota stajni. Kolejne kamienice z oknami ciemniejącymi niczym puste oczodoły. Stratowany stragan uliczny, obsypany dziesiątkami skorup glinianych garnków.

„Na Pieśni, jeśli jest już za późno...”

Spomiędzy zabudowań wypełzały pasma porannych mgieł. Gdzieś zarżały konie. Tankred wyhamował w błocie, przypadł do przewróconego straganu i rozejrzał się. Od karczmy dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków. Hanstar odwrócił się.

– Thanni i Thugh, wdrzyjcie się od tyłu – szepnął. – Ja i Grops wchodzimy z przodu. Pamiętajcie, karczmarz ma zostać złapany żywcem!

„Wyprostowana postawa, śmiałe spojrzenie, szczupłe dłonie... Dlaczego się nie domyśliłem?”

– Jałowiec, ty zaś...

– Tankred! – warknął ostro Thanni i pokazał coś palcem.

Drzwi do karczmy drgnęły i otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

Młody rycerz zaklął wściekle i uklęknął czym prędzej za przewróconym korytem do pojenia bydła. Obok niego znaleźli się Grops i Thugh.

Człowiek, który przedstawił im się imieniem Steffun, stanął na progu swego przybytku i przeciągnął się, aż chrupnęły mu kości. Zszedł po kamiennych stopniach na zabłocone podwórze. Zatrzymał się w odległości zaledwie kilku kroków od przyczajonego Tankreda.

W oczach młodego Hanstara zapaliły się drapieżne iskierki.

„Dopadnę go, zanim zdąży dobiec do karczmy – uświadomił sobie. – Postaram się nie wzbudzić żadnych podejrzeń, by...”

– Powinni już tu być! – zawołał niby-karczmarz. Te słowa kierował do kogoś, kto jeszcze nie wyszedł na zewnątrz. – Nogi z siedzeń powyrywam leniom. Tak czy owak, szykuj konie. Nie będę na nikogo czekał.

„Nie będzie na nikogo czekał – powtórzył w myślach Tankred. – W porządku. A więc ja również”.

– Biercie go! – warknął do gnomów. – Ja zajmę się tym w środku!

Zerwał się. Klinga miecza odbiła blask świtu.

W tej samej chwili nad ramieniem niby-karczmarza pojawił się jego rozmówca. Łysa czaszka z grubymi żyłami. Zapadłe, podsiniaczone oczy. Pomarszczona, wręcz martwa twarz.

Torq.

– Uważaj! – syknął Thanni. – Ten Torq...

Rozemocjonowany Tankred przesadził najbliższą kałużę i wycelował miecz w Torqę.

– Stać! – ryknął.

– ...to mag – dokończył słabym głosem gnom.

Jeden skok i dwa uderzenia serca później świat oszalał.

W rękę niby-karczmarza pojawił się długi zakrzywiony sztylet. Mężczyzna odwrócił się ku biegnącemu Tankredowi, ale niemalże natychmiast wychwycił wzrokiem Thrugha szarżującego z wzniesionym młotem i błyskawicznie zmienił pozycję. Młodzieniec zdążył zauważyć, że zrobił to z wprawą doświadczonego szermierza, co jeszcze bardziej potwierdziło jego domysły. Więcej zauważyć już nie zdołał, gdyż Torq niespodziewanie rozrzucił ramiona. Potężny, niewidzialny cios wybił mu powietrze z płuc i oderwał go od ziemi. Hanstar zdążył sobie uświadomić, że leci, a potem uderzył plecami o jakąś ścianę i wszystko eksplodowało.

Ból był nieprawdopodobny, ale rycerz odepchnął się dłonią od ściany, potrząsnął głową i wylądował na kolanach w jakiejś kałuży. Odruchowo wyrzucił przed siebie ramiona i zdołał się uchronić przed upadkiem. Zamroczony patrzył, jak niby-karczmarz bez trudu unika potężnego uderzenia Thruha, a sam dźga z biegłością zaprawionego mordercy. Gnom jakimś cudem zdołał uchronić się przed sztychem, który przybiłby mu żuchwę do podniebienia. Ostrze przeciwnika zerwało mu jedynie kapelusz.

Torq machnął dłonią, posyłając w błoto Gropsa biegnącego ku niemu z dwoma toporami. Jego puste, martwe oczy odnalazły rycerza, długie dłonie ułożyły się w osobliwy symbol, powietrze niespodziewanie zgęstniało.

„To koniec!” – uświadomił sobie z przerażeniem Tankred.

Wręcz ujrzał niewidzialną falę mocy, która runęła ku niemu, rozbijając na kawałki murowaną cembrowinę studni i niszcząc bełt posłany przez Thanniego.

Wtem ziemia zadrżała i zaczęła pękać. Wstrząśnięty Hanstar uświadomił sobie, że nadal żyje, a jakaś siła równie potężna jak ta, którą przyzwał na pomoc Torq, zatrzymała jego niszczycielską falę. W miejscu zwania obu potęg powietrze mieniło się i wibrowało niczym nad płomieniami ogniska, a w obie strony wybiegała coraz szersza szczelina. Thruh, odrzucony kolejnym ciosem niby-karczmarza, w ostatniej chwili uniknął wpadnięcia w rosnącą przepaść.

Jałowiec stał pochylony z uniesionymi dłońmi, jakby powstrzymywał napór wichru. Jego twarz zastygła w grymasie niewyobrażalnego wysiłku. Na martwym obliczu Torqa pojawił się szyderczy uśmiech. Zacieśnił dłonie tworzące magiczny symbol.

Druid zachwiał się i przygryzł wargę. W jego brodę wniknął strumyczek ciemnej krwi.

Oszołomiony Tankred dźwignął się na równe nogi, nie zdając sobie sprawy, że tym samym znów staje się dla kogoś celem. Jego rozkołysany wzrok napotkał spojrzenie Gropsa, który rozłożył bezradnie ręce, a potem wskazał rozedrganą barierę utworzoną przez dwie ścierające się moce. Tylko Thruh znajdował się po drugiej stronie – podnosił się z trudem, a niby-karczmarz szedł szybko w jego stronę ze sztyłem w garści. W drugiej ręce trzymał rozpruty kapelusz gнома, który po chwili włożył sobie na głowę z szyderczą

miną.

Tankred, choć wciąż nie otrząsnął się z szoku, zrozumiał powagę sytuacji. Jałowiec ulegał naporowi Torqa, a Thugh nie miał szans w walce z niby-karczmarzem. Wskazał palcem dwie siłujące się moce. Grops otworzył szeroko oczy i pokręcił głową.

„Nawet o tym nie myśl!” – mówił jego wzrok.

„Jeszcze przed chwilą to my mieliśmy przewagę – pomyślał z rozpaczą rycerz. – Thanni! Gdzie jesteś?”

Dziki rozbójnik pojawił się sekundę później, jakby przywołany desperacką myślą Tankreda. W ręku trzymał gliniany garnek, z którego wystawał króciutki lont, skwierczący teraz i siejący naokoło iskrami. Zamachnął się i cisnął bombą, ale nie mierzył w stronę Torqa, lecz gdzieś dalej.

Powietrzem wstrząsnął głośny wybuch, huknęły rozrywane dachówki. Torq odruchowo zerknął w tamtym kierunku. Napór jego mocy osłabł na ułamek sekundy.

Jałowiec machnął obiema rękami w lewo, a sam rzucił się w błoto i przetoczył. Uwolniona przez niego moc przegryzła się przez miasto niczym niewidzialny, niepowstrzymany taran, przebijając się przez budynki i wybijając ogromną dziurę w nienaruszonym fragmencie murów miejskich. Nadwerężone domy kruszały i waliły się z ogłuszającym łoskotem. Ziemia drżała.

– Teraz! – wrzasnął Tankred osobliwie piskliwym głosem.

Sekundę później już przeskakiwał przez szczelinę. Potknął się, lądując, zachwiał, w ostatniej chwili odzyskał równowagę, ale Torq również się już otrząsnął. Ułożył palce w inny symbol i skrzywił się złowieszczo.

Biegący Tankred poślizgnął się w kałuży, upadł na kolano, znów wsparł się na rękę. Nie myślał już, panika i instynkt całkowicie przejęły władzę nad jego ciałem. Dłoń zacisnęła się na ubłoconym kamieniu.

Poderwał go i cisnął z furją.

Trafił prosto w palce Torqa. Mag krzyknął, zaskoczony, cofnął się, zaklął wściekle i próbował ułożyć dłonie w ten sam symbol raz jeszcze, ale skrzywił się z bólu. Jego oczy otworzyły się szerzej, gdy ujrzał pędzącego nań rycerza.

Tankred wzniosł miecz do ciosu.

W ostatniej chwili obrócił klingę i rąbnął maga w bok głowy. Ten zatoczył się, krzycząc ochryple. Z rozciętej skóry na czaszce spłynęła struga ciemnej krwi. Hanstar kopnął go z furią w udo i pchnął na ziemię.

Torq padł twarzą w błoto. Rycerz wykręcił mu ręce, wbił kolana w plecy i odwrócił się ku gnomom. Through podnosił się z wściekłą miną, wsparty o młot, a Thanni i Grops zbliżali się do niby-karczmarza, skupieni, śmiertelnie niebezpieczni.

– Żywcem! – wychrypiał Tankred, po czym zakrztusił się, odkaszlnął i splunął. – Nie zapomnijcie!

Niby-karczmarz spojrzał na niego między głowami gnomów. W jego oczach błysnęło szyderstwo. Grops zaatakował, ale przeciwnik od niechcienia odbił jego cios, cofnął się, wyciągnął spod koszuli gwizdek i dmuchnął weń ze wszystkich sił.

Świst, jaki się z niego wydobył, był ledwie słyszalny, ale odpowiedział mu ryk pełen tłumionej furii.

Tankred poderwał się instynktownie, w jednej chwili zapominając o Torqu.

– Na Pieśni – szepnął.

O wilkołakach przeczytał wszystko, co było do przeczytania. Stawały się nimi wilki, hieny, szakale, a nawet zwykłe zdziczałe psy, które zakradały się na pola bitew, by ogryzać zwłoki. Zdarzało się nieraz, że strzępy dusz, uparcie trzymające się ciał zabitych ludzi, przenikały do świadomości zwierzęcia, dzięki czemu nabywało ono pewnych ludzkich cech. Stawało się sprytniejsze, zajadlejsze, wytrwalsze, niekiedy wręcz niebezpiecznie inteligentne. Zmieniał się również jego wygląd – wilkołak rósł, potężniał, uczył się poruszać w postawie pionowej, a nawet władać bronią.

Sęk w tym, że autorzy opracowań w dalekiej, nieistniejącej już Skalinie zaklinali się, że wszystkie wilkołaki panicznie boją się światła słonecznego i za nic w świecie nie podporządkują się ludzkiej woli. Ten, który szarżował ulicą prosto na niego, najwidoczniej nie miał o tym pojęcia.

„Myśl, Hanstar. Myśl. To coś musi mieć słaby punkt!”

Widok napęczniałych mięśni łap, zmrużonych żółtych ślepi i lekko rozchylonej paszczy, z której sterczały potężne kły, skutecznie rozpędzał jednak wszelkie logiczne myśli. Hanstar, niewiele się zastanawiając, skoczył naprzeciwko potwora, złapał miecz w obie dłonie i ciął bez litości.

Wilkołak wyhamował, wydzierając bruk z ulicy, rzucił się w bok, przetoczył po kamieniach, rozbijając jakąś drewnianą wiatę, i zerwał się na równe nogi. Wszystko odbyło się tak szybko, że nim Tankred odzyskał równowagę po ciosie, bestia znalazła się już za jego plecami, gotowa do kolejnego natarcia.

„Kieruje nim ludzka część umysłu!” – uświadomił sobie rycerz.

Wilkołak zasyczał i napiął mięśnie, szykując się do skoku. Nie zauważył Thrugha, który doskoczył doń, tocząc pianę z ust, i z całej siły wyrzucił go młotem w bok. Potwór przetoczył się po ziemi. Tankred znów ciął i ponownie chybił.

Bestia odbiła się od ściany, krusząc tynk, i runęła prosto na rycerza. Ten odruchowo wykonał piruet. Wilkołak przemknął tuż obok niego, ciągnąc za sobą woń wilgoci, zgnilizny oraz zwierzęcej sierści, i wyhamował kilkanaście kroków dalej.

„Trzeba obudzić w nim zwierzę – pomyślał rycerz – i czymś je przerazić!”

Stał na szeroko rozstawionych nogach i uniósł miecz w klasycznej szermierczej pozycji.

– Thanni! – zawołał zachrypniętym głosem. – Miałbyś może jeszcze jakąś bombę?

– Jasne – parsknął gnom. – Życzysz ją sobie na srebrnej czy złotej tacy?

– Czyli nie?

– Aleś ty głupi, człowiek.

„Czego się takie bydlę boi? – myślał Tankred gorączkowo, spoglądając w zmrużone, wściekłe ślepia. – Ognia... Ognia!”

– Jałowiec! – wrzasnął. – Pochodnia! Potrzebuję pochodni!

Wilkołak parsknął, strzyknął śliną i rzucił się do wściekłego natarcia. Ogromne pazurzaste łapy wydierały bruk z ziemi. Druid, wciąż skulony po starciu z Torqiem, poderwał się, wyrwał kij z pobliskiego rumowiska i wznosił go wysoko. Kij zapłonął.

– Łap!

Pochodnia, wirując z łopotem, pomknęła w stronę rycerza. Młodzieniec ciął wilkołaka w pysk, znów chybił, uskoczył w bok i tuż nad ziemią złapał zagiew lewą ręką. Nadludzkim wysiłkiem dźgnął potwora – ten zaskowytał

i odskoczył z osmaloną sierścią. Potoczył się po błotnistej ziemi, aż natrafił na kałużę. Zerwał się i potrząsnął łbem. Popalony bok syczał i buchał dymem, ale w oczach bestii wcale nie było strachu.

Prędzej spotęgowana nienawiść.

Lęk dodał Tankredowi sił. Rzucił się ku wilkołakowi, mierząc pochodnią prosto w jego pysk. Ten uskoczył, zamachnął się pazurzastą łapą i wytrącił rycerzowi żagiew z ręki. Płonący kij z sykiem wpadł do kałuży. Hanstar ciął odruchowo ostrzem. Potwór uskoczył przed czubkiem miecza, ale znów natarł z ochrypłym sykiem. Przekrwione ślepia wodziły za stalową klingą. Czuł respekt przed bronią, ale nie na tyle, by zaniechać ataku, lecz tylko w takim stopniu, by dobrze go przemyśleć.

Tankred cofał się. Serce waliło mu jak szalone. Nad podwórcem przed karczmą zapadła głucha cisza. Oparty o ścianę niby-karczmarz łapał oddech i śledził starcie błyszczącymi oczami. Torq podnosił się, trzymając się za żebra. Through ścisnął młot z dzikim grymasem na twarzy. Thanni nakręcał pospiesznie kuszę.

Wilkołak czyhał nisko przygarbiony, warczał i tłukł ogonem o błoto.

– Ogień nie działa – wychrypiał Tankred. – Na stal za szybki. Magia?

Jałowiec, nieludzko opanowany, pokręcił głową.

– Otóż to – syknął Grops i wyszarpnął różdżkę zza pasa. Kroczył odważnie w stronę przyczajonego potwora, celując kijkiem prosto w jego nozdrza.

– Zdurniałeś do reszty, Grops! – warknął Hanstar. – Stój!

Thanni opuścił kuszę i również wykrzyknął kilka słów w swojej mowie, zaniepokojony jak nigdy wcześniej, ale jego grubawy towarzysz nic sobie z tego nie robił. Człapał przez błoto z groźnie zmarszczonymi brwiami, potrząsał różdżką i coraz głośniej wykrzykiwał jakieś słowa. Bestia cofała się, warcząc głucho.

– Widzisz, człowiek?! – wrzasnął rozradowany Grops. – Tak to się robi!

Wilkołak targnął wściekle łbem, napiął mięśnie i skoczył.

– Nie! – wrzasnął Tankred.

Grops zwięził powieki, zręcznie obrócił różdżkę w pękatych palcach, złapał ją w garść i z całej siły wbił w nozdrza spadającego nań wilkołaka. Uchylił się pod pazurzastą łapą, która jedynie zgarnęła mu kapelusz z łysawej czaszki,

i wymknął się poza zasięg szponów. Potwór grzmotnął pyskiem w błoto, rozbryzgując je na wszystkie strony. Skamlał przeraźliwie, niezgrabnymi łapami usiłując wyrwać ostry patyk sterczący z samego środka nozdrzy. Błoto zabarwiła krwawa czerwień.

Grops wrzasnął tryumfalnie i kopnął szalejącą bestię w bok ciężkim buciorem. Odepchnął go Thruigh, który wyrzucił z siebie kilka wściekłych słów i bez pardonu grzmotnął wilkołaka młotem. Trafiona bestia zaskowityła i poturlała się po błocie. Ból z rannych nozdrzy oślepił potwora do tego stopnia, że zgoła nic nie słyszał ani nie widział.

Tego, że znalazł się bardzo blisko szczeliny, uformowanej przez starcie dwóch magicznych frontów, również nie zauważył.

Spostrzegł to natomiast Tankred, który w okamgnieniu zrozumiał, że drugiej szansy nie będzie.

„Wysokość i uwięzienie! – pomyślał. – Tego boją się wszystkie zwierzęta!”

Przypadł do tarzającego się w błocie wilkołaka, złapał go za ogon, szarpnął ze wszystkich sił. Wsparł go Thanni i nadludzko silny Jałowiec. Ciągnięty w kierunku szczeliny stwór wreszcie zrozumiał, że jego życiu zagraża o wiele większe niebezpieczeństwo niż dotychczas. Zaczął się miotać, charcząc przeraźliwie, próbował dosięgnąć prześladowców pazurami tylnych łap, ale Thanni odskoczył, złapał za kuszę i wpakował mu bełt w pachwinę.

Odniosło to efekt odwrotny od założonego, gdyż wilkołak wygiął się w pałąk i zawył przeraźliwie, odrzucając przeciwników. Lecz wówczas przypadł doń Thruigh i ze wszystkich sił uderzył barkiem w potwora, który, rycząc nieludzko, zniknął w szczelinie.

Nad podwórcem w samym środku Skowytu wreszcie zapadła cisza, przerywana jedynie tryumfalnymi okrzykami zdyszanego, roztańczonego Gropsa. Po chwili i on zamilkł.

Ktoś bił brawo. Powoli, bez zaangażowania, z ironią. Tankred, zdyszany i wciąż wstrząśnięty walką, potrząsnął lekko głową i odwrócił się w kierunku źródła dźwięku.

Niby-karczmarz, który włożył sobie na głowę kapelusz Gropsa, beztriosko opierał się o framugę drzwi do karczmy, rozpromieniony, jakby oglądał dziecięce zabawy. Powoli klaskał w kształtne dłonie, nie spuszczając wzroku z Tankreda. W jego przymrużonych oczach czało się niewyobrażalne



okrucieństwo.

– Wspaniale – rzekł głośno. – Naprawdę cudowne przedstawienie. Widziałeś, Torq?

Stojący kilka kroków dalej mag nie pamiętał już o ranie głowy. Jego twarz, pocięta strużkami krwi, odwracała się ku Jałowcowi, który usiłował stanąć na nogi pośród błota.

– Gównu widziałeś – ciągnął niby-karczmarz z udawaną troską. – Nieźle ci przywalił ten chłystek, co? Powiedz mi jedno, chłopcze.

Okrutne, dzikie oczy znów odnalazły Tankreda.

„To bestia o wiele groźniejsza od wilkołaka – uświadomił sobie młody rycerz. – Gościł nas. Podawał nam jedzenie. Rozmawiał ze mną na zapleczu. Ba, pomógł mi wiązać gnomy. Na Pieśni, dlaczego ja się niczego nie domyśliłem? Podejmował nas sam szalony król uzurpator, a ja...”

– Powiedz mi, chłopcze, o co ci właściwie chodzi? – spytał niby-karczmarz. – Po co tu przyszedłeś?

– By zakończyć pewną sprawę – wychrypiał Tankred.

– Ach, rozumiem. I jak zamierzałeś tego dokonać? Prześlizgnąłeś się obok moich straży i co dalej? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że w tym przeklętym mieście jest jeszcze wielu moich ludzi? – Rozmówca skrzywił się szyderczo. – Tych, których wy z butą nazywacie Mącicielami? Nie wiesz, że lada chwila przybędą tu posiłki? Nie wiesz, że wlażesz w pułapkę?

– Wiem – rzekł Tankred z trudem.

Oczy niby-karczmarza paraliżowały go i odbierały mu resztki odwagi, ale mimo to wyprostował się, gdyż tego wymagały resztki rycerskiego honoru. Odetchnął ciężko i spojrzał najpierw na swego rozmówcę, a potem na niewyraźne postacie zbrojnych, którzy pojawiali się między zrujnowanymi domostwami.

„A może przez cały czas tu byli? – zapytał się w myślach. – Przyglądali się, mierzyli do nas z łuków i uśmiechali się szyderczo. Może znów popełniłem błąd?”

– Wiem – powtórzył. – Ale i tak warto było.

– O Hanstarach mówią, że słyniecie z mądrości. – Niby-karczmarz skrzywił się. – Nie mam pojęcia, skąd się wzięły te plotki.

Któryś z Mącicieli wsparł się na włóczni, inny przysiadł na stercie gruzów i ułożył sobie topór na kolanach, jeszcze inny wykrzywił się i napiął łuk. Miny gnomów były niewyraźne. Niby-karczmarz otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ubiegł go Torq.

– Jedzie reszta naszych – oznajmił martwym głosem.

Wśród porannych mgieł otulających zniszczone mury Skowytu niósł się narastający tętent kopyt i szcęk oręża.

– Zaiste. – Niby-karczmarz uśmiechnął się niemalże dobrotliwie. – Wszystko przebiega zgodnie z planem. Za chwilę ruszymy wspólnie na Dymiące Wzgórza, by położyć kres waszym ambicjom, chłopcze. By przepędzić was tam, skąd przybyliście. By rozwłóczyć wasze ścierwa stąd aż po brzeg morza. A ciebie, rycerzyku...

– Jest mój – odezwał się nagle Torq. – Poznaję go. Nie dokończyliśmy rozmowy w Stęchliźnie, bo pozwoliłem mu na rycerską zabawę. Na szczęście los znów pchnął go w moje ręce. Czy to nie szczęśliwy traf?

– Szczęśliwy, a jakże. Niech więc będzie. – Niby-karczmarz załamał ręce z udawanym żalem. – Chcesz, to go bierz, Torq, ale nie marnuj zbyt wiele czasu. Czeka nas...

Któryś z Mącicieli, trzymający się osmolonej belki na drugim piętrze wypalanej kamienicy, wrzasnął coś głośno, z niepokojem. Słowa utonęły w przybierającym na sile tętentem kopyt. Niby-karczmarz urwał i spojrzał na niego, zaintrygowany.

– Co takiego?

Mężczyzna wskazał kierunek, z którego nadciągali konni. Na jego zarośniętym obliczu malowało się poruszenie.

– Nie wierzę – szepnął Tankred. – Opiszą to w Pieśniach...

Spojrzał na Jałowca, ciężko oddychającego, brudnego, bladego, ale nadal niebezpiecznego, zbierającego siły, a potem na Thanniego i pozostałe gnomy.

– Teraz – powiedział, unosząc głowę.

Znad zabudowań wyfrunęła strzała i ugodziła brodacza prosto w szyję, dwie kolejne przeszły innego Mąciciela, który napinał łuk na sąsiednim dachu. Trafiony zachwiał się, ale nim runął w dół, poderwał się Jałowiec. Druid zaryczał niczym zbudzony żywioł i wyrzucił ramiona ku niebu, unosząc lawinę błota i brudu. Wielkie kęsy ziemi, przemieszane z kamieniami i kawałkami

cegieł, odrywały się z młaśnięciem, waliły w ściany, powalały ludzi, łamały kości, rozbiły czaszki. Z groteskowo zniekształconych ust Jałowca wyrwał się ochryply, nieludzki ryk. Oczy pokryła biel, po podbródku spływała strużka śliny.

Tankred, który odruchowo zasłonił głowę, obejrzał się z przerażeniem na towarzysza. W tej samej chwili ryk się urwał, a ostatnie grudy błota padły z miękkim plaśnięciem na ziemię.

Jałowiec zachwiał się, wyczerpany gwałtownym pokazem magii, i osunął się na kolana.

– Hanstar!

Pod szare niebiosa gruchnął chóralny okrzyk i przez szczelinę ciągnącą się w poprzek placu przeskoczyły pierwsze konie. Na samym przedzie jechała ciotka Talvina w rozwianym płaszczu, która, prowadząc rumaka samymi kolanami, obróciła się w siodle i posłała strzałę prosto w gardło Torqa.

– Hanstar! – wrzasnął ochryple Tankred i zerwał się do biegu, niezgrabnie łapiąc miecz.

Widział teraz tylko oczy zaskoczono niby-karczmarza, poranionego i oblepionego błotem, już bez gnomiego kapelusza, cofającego się ku gospodarzowi. Gnał ku niemu, niesiony odgłosami tryumfalnej szarży swego rodu.

– I kto wlaźł w pułapkę?! – ryknął.

Niby-karczmarz podniósł ręce, już nie jak dumny kpiarz i mistrz intryg, ale zrezygnowany wojownik, który nagle uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę. Tankred podrzucił miecz, złapał go za klingę i z furią uderzył przeciwnika rękojeścią w skroń.

Ten osunął się na ziemię.

– Przyznam, że już w ciebie zwątpiłem, człowiek – odezwał się Thanni.

Tankred odwrócił się ku niemu, zdyszany, i uśmiechnął się dziko.

– Mamy go, Thanni – wyszeptał i spojrzał na nieprzytomnego niby-karczmarza, po którego skroni ściekała strużka krwi. – Mamy Visteniego.



## Droga na Dymiące Wzgórza

W Skowycie znów zapadła cisza, którą pokonane miasto tak bardzo sobie upodobało, z rzadka przerywana parsknięciem konia czy jękiem rannego.

Rycerz Trismund sprawdził dokładnie więzy na plecach nieprzytomnego Visteniego, a potem równie skrupulatnie obejrzał knebel wciśnięty mu w usta. Następnie skinął na dwóch żołnierzy w tunikach Hanstarów, którzy objęli straż nad więźniem, i podszedł do Talviny, Tankreda i Thanniego.

W samą porę, by usłyszeć pytanie, którego zapewne się obawiał. Zadał je zaś ten, który w całej awanturze miał zdecydowanie najmniej do stracenia, jedyne, którego wciąż stać było na frywolność.

– I co teraz? – spytał Thanni, przekrzywiając nieco głowę.

Patrzył to na skupionego, bladego Tankreda, to znów na Talwinę. Ta niecierpliwie związała włosy, które rozwiały się podczas szaleńczej szarży, i fuknęła, jakby odpowiedź na pytanie była poniżej jej możliwości intelektualnych.

– Jak to co? Musimy ruszyć na północ, do Tangstevu. Król i Pieśniarze muszą się o wszystkim dowiedzieć!

– Och. – Gnom oparł dłonie na biodrach. W jego lekko skośnych oczach błysnęła drwina. – Żeby przypadkiem nie wypaść z łask? By odzyskać miejsce przy korytku, które chcieli wam odebrać ci Vlistunowie i Tenketarowie?

– Jeszcze jedna drwina, gnomie, a... – zaczęła Talvina, kładąc dłoń w rękawicze na rękojeści miecza.

– On ma rację – powiedział cicho Tankred. Przymknął oczy, a wtedy z siłą lawiny osunęły się na niego myśli, które przechwycił w taliocie niedaleko Wierzbowej Przystani.

„Jeśli dręczy was bezczynność, pchnijcie kilka tabunów Sępów pod Dymiące Wzgórza. Dowiedziałem się z pewnego źródła, że to miejsce ma dla przybłędów wielkie znaczenie. Szkoda byłoby zmarnować taką okazję”.

Potem przypomniał sobie, co usłyszał od Visteniego przed pojawieniem się odsieczki:

„Za chwilę ruszymy wspólnie na Dymiące Wzgórza, by położyć kres waszym ambicjom, chłopcze. By przepędzić was tam, skąd przybyliście. By rozwłóczyć wasze ścierwa stąd aż po brzeg morza”.

„Visteni, który doskonale potrafił korzystać z taliotów, wyprzedzał nas o kilka długości” – pomyślał, a potem rzekł na głos:

– Tak, ciociu. On ma rację!

Odwrócił się gwałtownie i wbił wzrok w szare niebo, a potem odszukał spojrzeniem Jałowca, który siedział nieruchomo pod ścianą kamieniczki, pogrążony w medytacji. Najwyraźniej próbował w ten sposób odzyskać siły.

– Na Pieśni, on ma rację – rzekł po raz trzeci.

– Wiem. – Gnom nadął się. – Nie musiałeś, człowiek, powtarzać tego trzy razy, ale i tak się cieszę.

– Mógłbyś może jaśniej? – Talvina traciła cierpliwość.

– Tu już nie chodzi o nasz ród, ciociu – rzucił Tankred, idąc szybkim krokiem w kierunku ciężko dyszącego druida. – Tu chodzi o cały Nowy Mandylion. O nas, o Taliadczyków, o wszystkich mieszkańców tej krainy. Jałowiec! – Uklęknął przy druidzie. – Proszę, opowiedz mi, co wiesz o Sępach.

Jałowiec otworzył oczy. Odkasznął, z trudem przełknął ślinę, a potem wyjawiał Tankredowi wszystko. Z każdym kolejnym zdaniem twarz młodego rycerza bladła coraz bardziej, a gdy opowieść dobiegła końca, Hanstar poderwał się i spojrzał na ciotkę.

– Zabierz go do Posępnej Łuny – rzekł, wskazując Visteniego. – I trzymaj w tajemnicy.

– A ty? – spytała poruszona Talvina.

– A ja poproszę cię o tylu ludzi, ilu jesteś w stanie mi dać. Ruszam na Dymiące Wzgórza.



Przez drogi i bezdroża kraju, który kiedyś zwał się Taliadem, a teraz uparcie próbowano go nazywać Nowym Mandylionem, gnał hufiec, nieliczny, lecz dobrze uzbrojony, nie tylko w stal, ale przede wszystkim w upór i determinację. Nad głowami jeźdźców nie powiewał żaden sztandar, choć jeden z wojowników, poważny, lekko łysiejący rycerz, wiózł zwiniętą chorągiew przy pasie i co chwila sprawdzał, czy jej nie zgubił. Potem znów spoglądał przed siebie, ku temu, który ich prowadził.

Prowadził?

Nie, Tankred Hanstar gnał jak oszalały, nie oglądając się na nikogo ani na nic. Jego wzrok utkwiony był w łańcuchu górskim na horyzoncie, coraz większym i wyższym. Na ustach, spierzchniętych i spękanych od wiatru, było tylko jedno słowo:

– Szybciej.

Zatrzymywał się przy rzekach i jeziorach, poił spoconego rumaka, liczył nadjeżdżających jeźdźców, słuchał ich raportów i znów odwracał się ku górom.

– Nie zdążymy – szeptał. – Na koń! Szybciej!

Rozpędzony orszak wytracił prędkość nad rzeką, której nazwę, nawet jeśli Tankred ją znał, pochłonął szaleńczy tętent kopyt. Śmiertelnie znużony rycerz zsunął się z siodła, poklepał wycieńczonego konia po szyi, złapał go za uzdę i podprowadził na brzeg rzeki. Wymęczone całodzienną gonitwą wierzchowce

ostrożnie stawiały drżące nogi wśród płycizn i piły chciwie. W ostrym, wieczornym powietrzu wśród olszowych łągów niosły się pierwsze pokrzykiwania.

Tankred stał nieruchomo i oddychał łapczywie. Cieszył się chwilą. Przez moment jego umysł był rozkosznie pusty.

Myśli pojawiły się wraz z kłębamii mgły, które nadciągnęły z nurtem. Zimne, niebezpieczne myśli. Ciemniejące drzewa, zwisające nisko nad powierzchnią wody, zdawały się wpatrywać w niego.

Rozejrzał się wśród towarzyszących mu ludzi. Większość poła swe konie, inni rozpalali ogniska i ślali pledy. Odruchowo ich przeliczył po raz tysięczny tego dnia.

„Czterdziestu dwóch, wraz ze mną i Jałowcem. W tym dwóch rycerzy, kilkunastu najemników, a reszta to służba, parobcy. Nie mamy szans. Najmniejszych”.

Niespodziewanie pożałował, że w Skowycie postanowił rozstać się z gnomami. Niewiele mogły mu teraz pomóc, ale przynajmniej weselej by się czekało na nieunikniony koniec.

Nagle Tankred spostrzegł, że idzie ku niemu niestrudzony Trismund, ocierając pot z łysiejacej czaszki.

– Roześlę zwiad i wyznaczę warty – powiedział zmęczonym głosem. – Nie mamy dla was żadnego namiotu, Wasza Miłość, ale...

– Chyba żartujesz – przerwał mu Tankred. – Nie mam ochoty na żadne wygody.

– To już zauważyliśmy – oznajmił Jałowiec, który bezszelestnie wychynął z ciemności. – Umyśliłeś sobie zajeździć na śmierć najpierw konie, a potem nas.

Młody Hanstar smagnął go ostrym spojrzeniem. Druid trzymał się prosto, ale pomimo mroku widać było, że twarz nadal ma poszarzałą. Najwidoczniej walka w Skowycie kosztowała go o wiele więcej, niż był gotów wyjawic.

– Chyba rozumiesz, skąd się bierze pośpiech? – spytał Tankred.

– Nie, nie rozumiem. Bo wydawało mi się, że powinniśmy dotrzeć do celu zdolni do walki. W przeciwnym razie cała ta wycieczka nie ma najmniejszego sensu.

– Ale...

– Żadnych „ale” – rzekł druid. Tankred widział, jak opiera się plecami o pochyłą wierzbę, nachylającą się nad tonią rzeki. – Dobrze się zastanów nad tym, co powiedziałem.

Trzaskały pierwsze ogniska, rżały rozkulbaczane konie, szczekał odpinany oręż. Młody Hanstar wpatrywał się w sunący powoli nurt, zahipnotyzowany jego stałością, jego niezmiennością. Podniósł wzrok i spojrzał na czekającego cierpliwie Trismunda.

– Ruszycie rano do Ugoru – rzekł cicho. – Szybko, ale nie na zatracenie. Przekażesz mej siostrze, aby dała wam tylu ludzi, ile to rozsądne, a potem skierujecie się ku Dymiącym Wzgórzom. Powoli, ostrożnie, by nie zajeździć koni. Wiesz, jak się nazywa najdalej położona na wschód wieś Hanstarów?

– Wietrzyńka. Ale... – Trismund zmarszczył brwi. – Ale to niebezpiecznie blisko Mglaków.

– Mglaki nie są wcale takie złe, wierz mi. – Tankred uśmiechnął się lekko. – Zaczekajcie na mnie w Wietrzyńce. Trzy dni, nie więcej. Jeśli się nie zjawię, wróć do Ugoru i oddaj się pod rozkazy Vilieny.

– Co planujecie, Wasza Miłość? – spytał z troską poważny rycerz.

– Mam sprawę do załatwienia – rzekł Tankred, znów wpatrzony w ciemniejszą toń. – Wierz mi, wolałbyś o tym nie wiedzieć. Czy mógłbyś mi znaleźć najszybszego i najbardziej wypoczętego konia w oddziale?

Trismund, zgodnie z zasadami hanstarskiej dyskrecji, skinął jedynie głową i nie mówiąc ani słowa, odszedł w stronę pasących się, odpoczywających wierzchowców. Młody rycerz odetchnął zaś ciężko i uświadomił sobie, że spoczywa na nim czyjś wzrok.

Odwrócił się w stronę Jałowca.

– No co? – warknął. – Zastanowiłem się i zmieniłem plany. Znowu coś nie tak?

– Nie.

Tankred bardziej wyczuł niż zobaczył uśmiech na obliczu druida.

– Nie – powtórzył Jałowiec. – Każdy plan jest lepszy od tego, w którym wszyscy łącznie z tobą padają z wyczerpania w połowie drogi do celu.

Młodzieniec przygryzł wargę.



– Dlaczego postanowiłeś się z nami udać? – zapytał.

– Mam wrażenie, że już ci o tym mówiłem. – Druid westchnął ciężko. – Naprawdę nie pamiętasz naszej rozmowy o równowadze? W owej wieży, w której uwięziłeś Widmo?

– Pamiętam. Ale chcę usłyszeć to raz jeszcze.

– Ja i mnie podobni strzeżemy równowagi – wyjaśnił Jałowiec. – Robimy wszystko, by szala nie przechyliła się za mocno w którymś kierunku. Próbujemy powstrzymać chaos i szaleństwo, przeciwdziałać fanatyzmowi, wspomagać tych, którym przydarzyło się nieszczęście. Nawet jeśli oznacza to współpracę z tymi, którzy nie do końca nam odpowiadają. Jak ty i twoi pobratymcy.

– Rozumiem – rzekł powoli, dobitnie, niemalże z wysiłkiem Tankred. – A gdyby oznaczało to konfrontację ze śmiertelnym wrogiem?

– Czy ty mnie próbujesz wystraszyć? – parsknął druid i podniósł się z trudem. – No, mów. Mów, coś wymyślił.

– Opowiadałem ci może kiedyś o Zakonie Stalowej Duszy?

– Wesołej gromadce, do której należałeś przed rozpoczęciem tej zawieruchy?

– Teżę samej. Miałbyś ochotę pomóc mi ich odnaleźć?



Ucięty w połowie księżyc wyjrzał zza gęstych, puszystych chmur i na leśnym trakcie zrobiło się na moment widniej. To wystarczyło, by Tankred, który z wolna zasypiał w końskim siodle, otworzył nagle oczy. Rozejrzał się gwałtownie, z mocno bijącym sercem.

Las. Grube, splątane pnie, wijące się konary wbijające się w mrok. Cisza, niezmacona, aksamitna, wilgotna. I cierpliwe, stare oczy Jałowca, osobliwie pasujące do otoczenia.

– Przepraszam – mruknął Hanstar. – Chyba... Chyba przysnąłem.

– Trudno się dziwić – rzucił w odpowiedzi druid.

– Ty nie czujesz zmęczenia?

– Czuję. Ale chyba nic na to nie poradzę.

– Moglibyśmy... – zaczął Tankred, ale machnął ręką. – Nieważne. Miejmy to za sobą. – Mówił z trudem, ochrypłym, ciężkim głosem. Serce powoli się uspokajało, lecz zaczynała boleć go głowa. – Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną pojechać – powiedział.

Jałowiec wzruszył ramionami.

– Nie mam nic do stracenia.

– A życie?

– Chyba nie do końca rozumiesz zamysł równowagi – odezwał się druid zmęczonym głosem. – Śmierć i narodziny są jej integralnymi elementami, ekstremalnymi wychyleniami. Jeśli chcesz służyć równowadze, musisz zaakceptować oba ekstrema. Nie dam się dobrowolnie zabić tylko dlatego, że jestem pogodzony z koniecznością odejścia z tego świata, ale nie będę się wzbraniał przed niebezpieczeństwami, jeśli moglibyśmy w ten sposób coś zyskać. A możemy.

Tankred zamilkł, poruszony szczerością towarzysza. Przeczytał wiele opowieści o ludziach, którzy byli gotowi na śmierć, ale nigdy dotąd nikogo takiego nie spotkał.

„Poprawka – pomyślał. – Spotkałem”.

Przed jego oczami stanęła scena ze Skaliny, gdy patrzył na ojca i brata wspólnie wyjeżdżających ze zbrojnym orszakiem na spotkanie Czerni. Ku ostatecznej bitwie. Z rozpaczą uświadomił sobie, że wspomnienie zaczyna blednąć i zamazywać się.

Odkaszlnął i zwrócił się do druida:

– Opowiedz mi jeszcze raz o tych Sępach.

– Już ci mówiłem. Nie lubię się powtarzać. Lepiej to ty mi opowiedz coś o ludziach, do których zmierzamy.

– Są niebezpieczni. – Tankred zacisnął usta. – Popędliwi. Sfrustrowani i bezwzględni. Co gorsza, przypuszczalnie znają już ciężące na mnie oskarżenia, a twoja reputacja... Cóż, nie budzi wątpliwości. Jeśli...

Kątem oka ujrzał dłoń druida, która nagle wystrzeliła ku górze, jakby chciała powstrzymać jego słowa. Młodzieniec posłusznie zamilkł, a jego dłoń odruchowo opadła na rękojeść miecza u boku. Ściągnął wodze, by zatrzymać

konia i rozejrzeć się wokół, ale Jałowiec pokręcił lekko głową.

– Co się dzieje? – szepnął Tankred.

Przez jego umysł przemykały pospiesznie obrazy wszelkich niebezpieczeństw czyhających na podróżnych w taliadzkich lasach. Upiory. Modliszki. Zwabinki. Wilkołaki. Paszczury...

Jałowiec zamknął oczy, zacisnął mocno powieki i wciągnął powietrze w płuca.

Niespodziewanie odezwał się cichy szum wiatru, który wydawał się dobiegać ze wszystkich stron. Sunął ku druidowi, trącając liście, szeleszcząc o skrawki kory, kołysząc igłami sosen, aż ogarnął go i...

I ucichł.

Druid zaś otworzył oczy, dziwnie jasne i migoczące, i oparł szeroką dłoń na ciężkim toporze, który znalazł w Skowycie.

– Wyłaż – wychrypiał dziwnym głosem.

Koń Tankreda targnął łbem, mocno zaniepokojony. Wierzchovec Jałowca drżał.

Spomiędzy ciemnych pni wynurzyło się coś, co w pierwszej chwili wyglądało jak cień, który zrodził się, gdy wiatr druida trącił gęste krzewy. Krzewy znieruchomiały jednak i ucichły, a cień nadal stał w miejscu. Tankred, który natychmiast uległ ciekawości, trącił konia piętami.

– To on – szepnął z niedowierzaniem.

– Co za on? – zniecierpliwiał się Jałowiec i również podjechał kawałek. – Hej, czy ja go skądś nie znam?

– Widzieliśmy się niedaleko miejsca, które nazwaliście Pochodnią – odparł cień po taliadzku, z trudnością, jakby mówił słowa, które należało wyśpiewać. Zrobił krok naprzód, a wówczas jego ciało nabrało realnych kształtów. – Pomieszałem wam wówczas szyki. Niechący.

Tankred przerzucił nogę przez siodło i wylądował na miękkim piasku traktu, posrebrzonym blaskiem księżyca. Szedł powoli ku nieruchomemu elfowi, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, po raz pierwszy od wielu dni.

– Daliśmy sobie radę – powiedział cicho. – Tak czy owak, to, co zrobiłeś później, całkowicie cię rozgrzesza, Poszukiwaczu. Bo to ty powiadomiłeś moją ciotkę, prawda?

Elf skinął lekko głową. Tchnienie lekkiego wiatru poruszyło świerkowymi gałęziami i uniosło kosmyki jego długich włosów. Wpatrzony w niego Tankred odniósł wrażenie, że Poszukiwacz jest integralnym elementem tego lasu, że należy do niego w takim samym stopniu jak omszałe świerki i kulące się u ich stóp krzewy.

Wyciągnął ku niemu dłoń i natychmiast tego pożałował. Szósty zmysł Hanstarów ostrzegł go, że to gest nie na miejscu, zupełnie niepasujący do sytuacji i otoczenia. Elf ze zdziwieniem spojrział na wyciągniętą ku niemu rękę i już chciał ją ująć, niezgrabnie i bez przekonania, gdy przeszkodził mu Jałowiec.

– Won! – warknął głucho, idąc w kierunku elfa szybkimi krokami. – Poszukiwacz, tak? I kto jeszcze? Łowca smoków? Treser ropuch? Wylizywacz karczemnych misek?

W oczach druida migotała złość, jakiej Tankred jeszcze u niego nie widział. Jałowiec wyszarpnął topór i zacisnął wielkie, włochate łapska na stylisku.

– Won, przybłądo – warknął, odsłaniając mocne, białe zęby, osobliwie przypominające zwierzęce kły. – To nie twój las. Nie twoja bajka!

Poszukiwacz cofnął się błyskawicznie i ze świstem rozcinanego powietrza wyrwał włócznię ze skórzanego pokrowca na plecach, a potem wysyczał kilka słów w melodyjnym, cichym języku, którego Tankred ni w ząb nie rozumiał.

Jałowiec natomiast pojął każde słowo. Poczzerwieniał wściekle i odpowiedział elfowi w tym samym języku, choć jego słowa zabrzmiały twardo i nieprzyjemnie.

Poszukiwacz zakręcił włócznią. Na jego twarzy zastygł nieprzyjemny, złowrogi grymas. Błysnęło ostrze wznoszonej broni, w odpowiedzi zamigotał poderwany topór druida.

Tankred wreszcie oprzytomniał.

– Stójcie! – warknął i wpadł między nich. Powietrze trzeszczało od gromadzącej się magii i ścierających się ścian nienawiści. I od... czegoś jeszcze. – Czy wam odbiło? Jałowiec, ten elf pomógł mi kilkakrotnie...

– Gównu tam ci pomógł! – huknął druid. – Pojęcia, chłopcze, nie masz o tym, co się wokół ciebie dzieje!

– Ja go znam! – upierał się Tankred. – On mnie uratował z rąk Pieśniarza!

– Bo jesteś mu potrzebny.

– Uspokój się! On jest po naszej stronie!

– Naszej? – Druid uniósł krzaczaste brwi. – Czyli po której? Odsuń się, chłopcze, to naprawdę nie jest najlepszy moment...

Delikatne trzeszczenie niespodziewanie przerodziło się w narastający szum, złowieszczy i przerażająco znajomy. Tankred zamrugął. Odwrócił się i spojrzał na elfa, który niespodziewanie opuścił włócznie. W jego oczach błysnęło wahanie.

Sekundę później już go tam nie było. Znikł, jakby zapadł się pod ziemię.

Druid charknął, splunął i wsadził topór za pas, a potem ostro, niemalże brutalnie złapał Tankreda za ramię.

– Posłuchaj, chłopcze, ten elf to cuchnący świńskim zadem... – zaczął, ale Tankred nie dał mu dokończyć, gdyż nagle szum stał się na tyle intensywny, że uruchomił właściwe wspomnienie.

Rycerz strząsnął dłoń druida.

– To Widmo! – szepnął. – Uciekajmy!

Kilka uderzeń serca potem wiedział już, że jest za późno.



Podczas miesięcy służby w Zakonie Stalowej Duszy Tankred widywał Barduna Fulghama w wielu sytuacjach. Widział, jak galopuje niczym młodzieniaszek, odwraca się i grzmiącym głosem zmusza oddział do większego wysiłku. Widział, jak, parskając śliną, wyklóca się z zaopatrzeniowcami, jak gromi tych, którzy nie przykładają się do ćwiczeń, jak rzy suchym śmiechem, patrząc na nieudolność Tuma Vothana, jak podśpiewuje po opróżnieniu butelki żgłucha, a nawet jak drży pod kocem podczas zimnych jesiennych poranków.

Nigdy dotąd jednakże nie widział, by zawładnęła nim tak niezmierna wściekłość.

Nie spodziewał się też po nim tak wielkiej siły. Dłoń starego rycerza zaciskała się na jego gardle niczym imadło, a w mętnych oczach, przykrytych do połowy obwisłymi powiekami, płonęło dzikie światło.

– Przyszła koza do woza, co? – warczał Bardun i szarpał nim, aż drżały mu pomarszczone policzki. – Wiesz, co o tobie mówią, gówniarzu? Wiesz, jak cię nazywają?

Rycerz puścił gardło Tankreda, złapał go za kaftan i grzmotnął nim o omszałą ścianę leśnej chaty, raz, drugi, trzeci, czwarty. Głowa młodzieńca uderzyła o belkę, lecz nie reagował już na kolejne eksplozje bólu. Chciał się rozejrzeć, ale oślepiało go wschodzące słońce, które powoli przebijało się między sosnami. Chciał coś powiedzieć, ale gardło zaschło mu od kurzu, pamiętacie po brutalnej podróży w objęciach Widma.

Kątem oka dostrzegł Jałowca, który leżał na wilgotnym igliwiu, równie poturbowany, ale najwidoczniej cały i zdrowy. Nad głową druida wisiały trzy ostrza włóczni, grożące błyskawiczną, bolesną śmiercią, niemniej wydawał się ignorować zagrożenie. Ostrożnie przechylił głowę, by z zaintrygowaniem spojrzeć na Tankreda.

Nie, zdecydowanie nie był tak zmordowany, jak wyglądał. Jego oczy błyszcząły niesamowicie. Wypełniał swą część umowy.

Nieco pokrzepiony na duchu Tankred spojrział na rozwścieczonego przywódcę oddziału dokładnie w chwili, gdy ten przystąpił do kolejnego natarcia.

– Dezerter! – parsknął zasapany, po czym oderwał młodego Hanstara od ściany chaty i rzucił na wilgotny mech. – Zdrajca! Złamałeś śluby zakonne! Ludzie... Ludzie mówią, że się z gnomami skumałeś! Że na Pieśniarza rękę podniosłeś! Z druidem wędrujesz! Hańbę... Hańbę na swój ród ściągnąłeś, hańbę...

Urwał, jakby gniew wypalił się w nim do szczytu, co odebrało mu resztkę sił. Stał wsparty o drzewo i rzeził, usiłując nabrać tchu.

Tankred zerknął na Jałowca. Ten przymknął oczy, jakby chciał powiedzieć: „Chyba już po wszystkim”.

– Nie... – wysapał młody rycerz, próbując się podnieść. – Nie wszyscy ludzie tak mówią. To słowa Vlistunów. Vlistunów i Tenketarów.

– Milcz – szepnął chrapliwie stary rycerz. – Milcz, bo...

– Ja muszę wam to powiedzieć, panie. Po to tu jechałem.

– Milcz! – ryknął starzec straszliwym głosem. Z koron drzew zerwały się do lotu ptaki. Zbierając resztkę sił, Bardun przypadł do Hanstara i kopnął go w

bok. – Nie będziesz mi tu... Nie będziesz...

Tankred przewrócił się na plecy, kaszłąc. Przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w rozkołysane sosnowe gałęzie, a potem, przewyciężając ból zeber, dźwignął się na kolana.

Dookoła stali rycerze Stalowej Duszy, niektórzy już w kolczugach, inni w koszulach bądź zgoła półnaczy, wszyscy z mieczami lub toporami w dłoniach, wszyscy poważni i poruszeni. Kilku z nich przytykało ostrza włóczni do pleców półprzytomnego Jałowca, któryś trzymał strzałę na cięciwie łuku, niezdecydowany.

Jego przyjaciele. Towarzysze broni. Wygnańcy.

– Wysłuchaj mnie, Bardunie – wykrztusił, wpatrując się w starego rycerza.  
– Czy jako zdrajca i dezerterski nie powinienem się ukryć w najgłębszych ostępach tego przekłętą kraju? Czy nie powinienem się skumać z Mącicielami i polować na dawnych sojuszników? Przecież Widmo złapało nas na głównym trakcie! Jechaliśmy do was! Posłuchaj głosu rozsądku, Bardunie!

– Matacz! – rzekł ktoś głucho za jego plecami. Klęczący Tankred poczuł zimną stal na spoconym karku. – Wierzycie mu? Przecież to cholerny skryba, a ci najlepiej bawią się słowami! Wszystko, co mówi, to kłamstwo.

Tankred poznał głos. Tomas Toulghan.

– Jesteś już na tyle duży, Toulghan, by choć spróbować pomyśleć samodzielnie – warknął w odpowiedzi. – Nie skumałem się z Mącicielami. Wręcz przeciwnie! – Jego głos nabierał mocy. – Przed kilkoma dniami wraz z rycerzami z mego rodu rozgryzłem ich spisek! Upadły król Visteni jest w naszej niewoli, a Torq, jego poplecznik i sojusznik, padł w walce!

Bardun rzeził głośno. Krótkie siwe włosy kleiły mu się do pobrużdżonego czoła. Wydawało się, że atak furii wyczerpał wszystkie jego siły, ale nie przestawał wbijać w Tankreda złego spojżenia. Bardzo złego.

– Bzdura – parsknął Toulghan. – We łbie ci się wymerdało od tych książek.

– Visteni uknuł plan – ciągnął Tankred. Zimna klinga Tomasa nadal przylegała do jego karku, ale skądś wiedział, że zyskał tę upragnioną chwilę. Że nikt mu nie przerwie, dopóki nie powie wszystkiego. Ale musiał się spieszyć. – Szalony plan, nedorzeczny, podyktowany tylko pragnieniem zemsty. Niestety, pomogliśmy mu w tym.

– Kim są owi my? – warknął ktoś inny, chyba któryś z Puckhardów.

– Hanstarowie – zaśmiał się głucho Toulghan. – Gryzipiórki wysmarowane atramentem.

– Mówiąc „my”, miałem na myśli Mandyliończyków – wyrzucił z siebie Tankred. – A precyzyjniej mówiąc, Tenketarów i Vlistunów. Oraz kilku Pieśniarzy.

Pomruki niedowierzania i szyderczy chichot Tomasa urwały się jednocześnie. W tej samej chwili napór Toulghanowej klingi osłabł, jakby ten cofnął się o krok. Chłodny wilgotny świt zmroziło pojawienie się kogoś nowego.

Osoby, która samym spojrzeniem przenikała serca oraz dusze tylko po to, by pozostawić w nich chaos, przerażenie i poczucie winy.

Tankred odetchnął ciężko. Doskonale wiedział, kto stanął na skraju polany.

Wiedział też, że następne kilkanaście sekund zadecyduje o jego życiu bądź śmierci. Ze wskazaniem na to drugie.

– Których Pieśniarzy masz na myśli, Hanstar? – wycedził Alisann.



Zbrojny hufiec szedł przez złociste, opromienione magią świtu lasy. Wielkie kopyta roztrącały pajęczyny ciężkie od srebrzystych kropel rosy, mokre listki brzoź prześlizgiwały się po napierśnikach, para z końskich pysków mieszała się z rzadniejącą mgłą. Szczęk oręża niósł się daleko między drzewa, wymuszał ciszę wystraszonego lasu.

Prowadził Bardun Fulgham, wciąż blady i siny po ataku apopleksji, ale trzymający się prosto, jakby w końskim siodle, obciążony zbroją i tarczą, nabierał odporności na wszelkie dolegliwości starczego wieku. Za nim jechał Alisann w długiej szacie, zgarbiony, groźny, a dalej szereg rycerzy Stalowej Duszy. Gdzieś między drzewami szumiało Widmo.

W środku szyku jechał Tankred, wreszcie w zakonnej tunice, wreszcie z rodową tarczą. Obok niego na koniu siedział Jałowiec, jak zwykle zadumany i filozoficznie uśmiechnięty, od czasu do czasu wydłubujący zapomniane źdźbło trawy z niechlujnej brody.



Żyli. Co więcej, osiągnęli sukces.

Milczeli, bo Reguła Zakonu nie pozwalała rozmawiać podczas przemarszów. Tankredowi odpowiadało to jak nigdy wcześniej – czuł na sobie ciężar dziesiątków spojrzeń i wiedział, że gdyby nie surowy nakaz Reguły, musiałby teraz odpowiadać na tysiące pytań, a nie za bardzo miał na to ochotę. Tym bardziej że wielu odpowiedzi nie znał.

Nie wiedział na przykład, dlaczego Pieśniarz Alisann, usłyszawszy imię Cedriga, spurpurowiał i zadał Tankredowi kilka szybkich pytań o Dymiące Wzgórza i o Sępy, a potem wciągnął kaszlącego Barduna do chaty na krótką, cichą rozmowę. Gdy wyszli, starzec kazał wszystkim siadać na konie i trzymać gęby na kłódkę.

Jechali zaś w stronę Dymiących Wzgórz.

Tankred zerknął raz jeszcze na towarzysza, wciąż obrzucanego wrogimi spojrzeniami przez pozostałych rycerzy. Druid sprawiał wrażenie całkowicie obojętnego na wszystko, co się wokół niego dzieje. Gdy Widmo zbliżyło się do niego, płosząc niektóre konie, jedyną reakcją Jałowca było zaintrygowane spojrzenie.

„Zdecydowanie muszę się dowiedzieć czegoś więcej o tej jego równowadze” – pomyślał młodzieniec sennie.

Naraz zwały się na niego ulga oraz zmęczenie. Miał za sobą nieprzespaną noc i tysiące wrażeń, a Widmo, które ich powlekło ku kwaterze oddziału, bynajmniej nie potraktowało ich łagodnie. Tankred z coraz większym trudem odpędzał senność.

Spanie w siodle było wbrew Regule, ale może... Może nie zauważą...

Ocknął się gwałtownie, gdy dotarło do niego, że się osuwa. Poderwał głowę i uświadomił sobie, że teren gwałtownie się obniżył. Konie ostrożnie schodziły po ścieżce wydeptanej na zboczu jaru, kierując się ku migotliwej rzeczce. Nikt nie zauważył jego drzemki.

Gdy wierzchowce zaspokajały pragnienie, podszedł do Jałowca i dał mu znak, że chce porozmawiać na osobności.

– Jestem twoim dłużnikiem – powiedział, gdy stanęli już w pachnącym cieniu drobnych sosen. – Gdyby nie twoja magia, Bardun rozszarpałby mnie na kawałki. Dziękuję ci za to, że stłumiłeś jego temperament.

Druid machnął potężną, spracowaną dłonią.

– To nic takiego – mruknął, zerkając na rycerzy. – Natrafiałem już na odyńce i łosie bardziej dzikie od tego twojego przywódcy. Przyjemniaczek, nie powiem.

– Ale dobry człowiek, w gruncie rzeczy. Dał się przekonać.

– Nie tobie. Pieśniarzowi.

– Tak. – Tankred zerknął na Alisanna, jedyne z całego oddziału, który nie zsiadł z siodła podczas pojenia wierzchowców. Łysa czaszka Pieśniarza, pocięta chaotycznym wzorem niebieskich żył, błyszczała w słońcu, pstrokata szata łopotała lekko na wietrze. – Tak, dał się przekonać Alisannowi. Nawet nie pytaj, czy to rozumiem.

– Nie pytam.

– Natomiast... – Tankred zwrócił spojrzenie jasnych, niebieskich oczu na druida. – Natomiast ja cię spytam o coś. I nie wymiguj mi się gadaniną o równowadze. Dlaczego przegnałeś tego elfa? Dlaczego...

– Ciszej – uciął Jałowiec. Tankred bowiem nieświadomie podniósł głos i najbliżsi rycerze odwrócili się ku nim. – Zrobiłem to dla twego dobra, Tankredzie. I własnego również, co przyznaję z pewnym zażenowaniem.

– Dla mego dobra? Nie słyszałeś tego, co ci powiedziałem? Że on już dwukrotnie mi pomógł? Że gdyby nie on, pewnie nadal tkwiłbym w lochu pod karczmą w Posępnej Łunie albo, co gorsza, zostałem już pchnięty na kolana przed królewskim majestatem. Jako zdrajca.

– A nie zdradził ci przypadkiem, dlaczego obdarzył cię tak wielką łaską? – W oczach druida błysnęła drwina.

– Cóż, mówił mi o Znaku. Oraz o tym, że odegram jakąś rolę w przyszłości. I że jestem potrzebny.

– Przynajmniej powiedział prawdę. – Jałowiec spojrzał ku górnym gałązkom, rozkołysanym po tym, jak poderwał się z nich mały gil. – Oczywiście, że jesteś potrzebny.

– Druidzie, ja naprawdę mam już dosyć zagadek, a resztki cierpliwości zostawiłem w Skowycie.

– Jesteś potrzebny temu ich zafajdanemu Rzecznemu Królestwu. – Jałowiec przewiercił go spojrzeniem. – Nie mam pojęcia, jak te łajdaki to robią, ale rzeczywiście rodzi się wśród nich wielu obdarzonych umiejętnością wnikięcia w przeznaczenie. Ci szkolą swój dar, a przy tym nabywają wielu

innych umiejętności, przydatnych w trudnej sztuce ugniatania ludzkich umysłów, i wyruszają w świat jako tak zwani Poszukiwacze. Jako tajni agenci, których zadaniem jest tworzenie szpiegowskich siatek sterujących życiem politycznym w sąsiednich królestwach. Nic nowego, zdawałoby się. Wszak władcy ludzi czy krasnoludów robią dokładnie to samo. Sęk w tym, że elfy nigdy nie wybierają przypadkowych osób. Ten ich cholerny dar pozwala im namierzyć ludzi naprawdę szczególnych, niekoniecznie dobrze urodzonych czy piastujących wysokie stanowiska, ale tych, którzy będą w stanie w istocie wpłynąć na losy państwa. Tymi zaś sterują umiejętnie, tak by odwrócić oczy ludzkich władców od Rzecznego Królestwa. Rozumiesz już?

– To brzmi jak jakaś niedorzeczna intryga, przy której zamysły Tenketarów i Vlistunów to igraszka!

– Zgadzam się. Nie mam pojęcia, ilu Poszukiwaczy krąży po świecie, ale odnalezionych przez nich ludzi można zapewne liczyć w setki albo tysiące. Zjednani rzekomą dobrocią i bezinteresownością Poszukiwaczy, są gotowi zrobić dla nich wszystko, najczęściej nie mając pojęcia, że elfom zależy tylko i wyłącznie na obronie interesów Rzecznego Królestwa.

Tankred milczał. Jałowiec potarł korę najbliższej sosny i powąchał brudne palce.

– Poszukiwacze to najmniejsza, a przy tym najskuteczniejsza armia świata. Wędrują, mataczą, intrygują, schlebiają, podsłuchują. Mieszają w głowach. Bywa, że przekupują. Zdarza się, że mordują. Jeszcze częściej wynajmują tych, którzy odwalają robotę za nich. Rozniecają ogień i chowają się, by podziwiać płomienie. Co gorsza, ludzie ich lubią. Elfi wędrowiec potrafi bowiem kurzajkę usunąć, płód spędzić, bydło wyleczyć, a nawet urok rzucić. I to za darmo! Nawet miski zupy w podzięcie nie przyjmą, a za to pozwolą się wyzalić. Chętnie wysłuchają, kogo co boli, chętnie wspomogą. Poprzednik Visteniego chciał się pozbyć elfiej dzielnicy w mieście, które wy nazywacie Posepną Łuną, i wiesz, co się stało? Ludność miasta skądś się dowiedziała o jego zamysłach i na drodze maszerującej straży stanęły tłumy mieszczan. Śpiewali, obsypywali zbrojnych kwiatami, trzymali się za ręce, nie puszczali. Musiał ustąpić. A wiesz, co zrobiły elfy? Następnego dnia obniżyły stopy pożyczek oraz ceny swych darów, a ludzie przez miesiąc mogli za przysłowiowego miedziaka dziennie korzystać z pomocy ich uzdrowicieli, którzy rzekomo potrafią uleczyć każdą chorobę w Taliadzie.

– Każdą? – spytał zaintrygowany Tankred.

– Rzekomo. O ile uwierzysz w takie brednie, bo moim skromnym zdaniem, zamiast leczyć, ci przekłeci oszuści wolą ci wmówić, że jesteś zdrowy.

– A co, jeśli się mylisz? – Hanstar wpatrywał się w druida twardym wzrokiem. Ten westchnął ze zmęczeniem.

– To intrygi tych przeklętych Poszukiwaczy doprowadziły do upadku Taliadu – rzekł. – Przesadzili. Za bardzo nacisnęli któregoś z książąt, a ten zdecydował o wyburzeniu Kielicha, zamku, który stał za blisko umownej granicy Rzecznego Królestwa i był solą w oku elfów. Brat owego księcia zaprotestował przeciwko tej decyzji, bo sam również rościł pretensje do twierdzy, i proszę! Zamiast kontrolowanego bajzlu elfy otrzymały wojnę domową, która zniszczyła gospodarkę i zawałiła trakty tłumami uchodźców. Potem przywaliliście w to wszystko wy, niczym piorun w kupę gnoju. Nic dziwnego, że rządzący Rzecznym Królestwem wzięli was na celownik. W końcu, mimo całej waszej potęgi, błąkacie się niczym dzieci we mgle.

– Mylisz się – rzekł hardo Tankred, ale druid jedynie parsknął śmiechem.

Zrobił krok, jakby chciał zostawić młodego rycerza w cieniu za kępą małych sosen, ale odwrócił się i rzucił:

– Zastanów się, Tankredzie. Spójrz z dystansu na siebie i swoich rodaków. Co z tego, że rozwaliliście Miasto na Skale, zdobyliście Skowyt i Posępną Łunę, pokonaliście Visteniego i jego braci? No, co z tego? Nie potraficie korzystać z magii. Nie umiecie produkować prochu. Cierpicie na szarą rozpacz. Nie macie pojęcia o taliotach. Dajecie się omotać elfom. Zatrudniacie oddziały Sępów. A co robi wasz władca daleko na północy? Oblega Tangstev? Najpotężniejsze z ościennych królestw. Przecież to jakieś szaleństwo! Mienicie się władcami tych ziem, a ich nie znacie! Nie widzicie, że kraina, którą postanowiliście zawładnąć, powoli was otacza i pochłania! – Znow się roześmiał. – Najwyższy czas, młodzieńcze, byście się wreszcie zatrzymali i zaczęli uczyć. Nie jesteście ani gorsi, ani lepsi od tych, którzy rządzą tą krainą przed wami, ale jeśli nie nabierzecie mądrości, podzielicie ich los. Wtedy, jak to zwykle bywa, równowagę trafi szlag, a wraz z nią wielu niewinnych ludzi.

Tym razem to Jałowiec mówił zbyt głośno i gdy odchodził w stronę konia, odprowadzało go wiele spojrzeń, w tym Alisanna. Pieśniarz, który nadal

siedział w siodle, wpatrywał się w druida, jakby właśnie planował, którą część jego ciała odrąbie w pierwszej kolejności, ale nawet nie otworzył ust.

Myślał.

Tankred nie był pewien, czy to dobrze, czy źle. Niczego już nie był pewien.



Dymiące Wzgórza przywitały ich deszczem z gatunku tych, które z początku wcale nie wydają się dokuczliwe, aż człowiek uświadomi sobie, że jest cały przemoczony i drży z zimna. Bardun Fulgham, który w drodze doszedł do pełni sił, popędzał ich bez litości, aż znużone konie zaczęły się potykać. Wtedy stary rycerz skierował cały oddział pod osłonę gaju rzadko rosnących sosen, wykrzywionych i poskręcanych od wściekłych wichrów, stojących na skraju zamglonych wzgórz.

– Żadnych ogni – oznajmił głosem ochrypłym od przełykanego pyłu. – Nie rozkulbaczać koni.

Gdy rycerze zaczęli zeskakiwać na wilgotną, błotnistą ziemię, spojrzali na Alisanna. Pieśniarz skinął głową i zerknął za siebie.

Widmo – ledwie zauważalna masa rozedrganego powietrza – wystrzeliło naprzód i znikło wśród zasnutych rzadką mgłą wzgórz. Tankred odprowadził je beznamiętnym spojrzeniem i rozejrzał się w poszukiwaniu kęпки trawy na tyle suchej, by móc na niej usiąść i zaznać choć odrobiny snu. Jałowiec, który nie miał podobnych zahamowań, już drzemał, skulony na splechietku mchu.

Młody rycerz pokręcił głową z niedowierzaniem i z trudem zeskoczył z siodła, a wtedy nasza go nowa myśl. Przytroczył znużonego konia do pnia sąsiedniego drzewa i ciężkim krokiem ruszył w kierunku najbliższego wzgórza.

Ziemia była gliniasta i rozmokła od deszczu. Minęły wieki, nim zasapany dotarł na sam szczyt. Starł pot z czoła, rozejrzał się wokół i zaklął cicho. Kłęby mgły, snujące się nad ziemią niczym duchy zmarłych, ograniczały widoczność do ledwie kilkuset kroków. Nie widział ani czerwonych, pociętych kamiennymi płótkami ziem Ugoru, ani samego zamku.

Ani też, co gorsza, oddziału pod dowództwem Trismunda.

„Ty idioto! – ofuknął się w myślach. – Fulgham wysłał posłańca w kierunku Wietrzyńki ledwie pół dnia temu. Minie sporo czasu, nim dotrą do nas posiłki z Ugoru”.

Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo wstrząsnęło nim oskarżenie o zdradę. Nauczył się wszędzie szukać wrogów i nawet w towarzystwie rycerzy ze swego oddziału, młodych ludzi, z którymi wspólnie żył, podróżował, walczył i ucztował, nie czuł się już swobodnie. Tym bardziej że to właśnie jeden z nich – przeklęty Dagnaar Vlistun – wpędził go w największe tarapaty.

„Nie wiem, czy kiedykolwiek zaufam komuś poza Hanstarami – pomyślał. – Lub, o zgrozo, tymi cholernymi gnomami”.

Spojrzał w stronę poskręcanych sosen, przypominających oszalałe czarownice, zastygłe w połowie obłąkańczego płąsu. Posłuszni Regule rycerze zachowywali absolutne milczenie. Niektórzy usiłowali zaznać nieco odpoczynku, inni stali na straży bądź pilnowali koni. Zawsze gotowi do drogi, zawsze czujni, niezmiennie posłuszni. Kiedyś bez trudu odnajdował się w tej ciszy. Kiedyś czuł, że Reguła go wzmacnia, nadaje jego życiu sens, wyznacza mu rolę. Rzutkie, oszczędne rozkazy Barduna i milcząca obecność wiecznie czujnego Alisanna dawały mu poczucie, że resztki ich świata, które udało się wywieźć z rozpadającego się Mandylionu, wciąż są stabilne.

Teraz, po kilku tygodniach wędrówek po Taliadzie, po spotkaniach z elfami i gnomami, po walce z Jastrzębim Rycerzem i przywódcą Męcicieli, po mądrościach druida, oskarżeniach Cedriga i zdradzie Dagnaara, nawet rodzimy oddział przestał mu się wydawać ostoją.

„Potrzebuję ich – pomyślał, odruchowo licząc ludzi. – Sześćdziesięciu rycerzy, drugie tyle czeladzi. Wraz z ludźmi Trismunda i Vilieny może jakoś...”

– Dałbym wiele, by wiedzieć, o czym myślisz – odezwał się głos, którego Tankred nigdy by się nie spodziewał. Drgnął i odwrócił się.

Alisann, gdy zawładnęły nim emocje, stawał się najbardziej gwałtownym człowiekiem na świecie. Miotał się, przeklinał, zdarzało się nawet, że tłukł winowajcę do nieprzytomności, co rozjuszało go zazwyczaj jeszcze bardziej. O wiele straszniejszy jednakże robił się wtedy, gdy stał nieruchomo i tylko patrzył. Tęczówki jego oczu były tak blade, że z pewnej odległości wydawało się, że pod powiekami kryją się same białka.

Tankred przełknął ślinę. Wszystkie jego myśli, jeszcze przed chwilą krążące wokół jednego tematu, rozpięzchły się niczym ławica spłoszonych ryb.

– A ja dałbym jeszcze więcej, by wiedzieć, o czym wy myślicie, panie – usłyszał własną odpowiedź.

Alisann ani drgnął.

– A więc kiepsko byś wyszedł na tej transakcji. Myślę bowiem tylko o tym, co usłyszałem od ciebie. I co ustaliłem z Bardunem.

„A raczej co mu kazałeś zrobić” – pomyślał Tankred, ale nie podzielił się tym spostrzeżeniem.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z doniosłości swoich odkryć? – spytał Pieśniarz.

– Tak. Skoro dwa spośród naszych rodów zdecydowały się snuć tak groźne intrygi pod okiem króla i przeciągnęły na swą stronę przynajmniej jednego Pieśniarza, to oznacza, że...

– ...Królewska Talia zaginęła – dokończył za niego Alisann. – Wiesz, czym to grozi?

– Wiem. Jeśli dowiedzą się o tym inni...

– Nie – przerwał mu ostro Pieśniarz. – Tego akurat pod żadnym pozorem nie możemy brać pod uwagę. Co z kolei prowadzi do następnych pytań. Z kim podzieliłeś się tym odkryciem? Z druidem?

Kciuk Pieśniarza wskazał zaimprovizowane obozowisko wśród powykrzywianych sosen.

– Nie – rzekł Tankred. – Nikomu o tym nie mówiłem.



– Z wyjątkiem? – spytał Alisann.

„Muszę mu coś powiedzieć – uznał Tankred. – W przeciwnym razie nie da mi spokoju”.

– Talviny Hanstar – rzekł. „I gnomów, choć o tym, kanalio, nie dowiesz się nigdy”. – Ale jej lojalność, panie, nie budzi żadnych wątpliwości.

– Żadnych wątpliwości nie budzi również to, że natychmiast opowie o wszystkim mężowi. – Pieśniarz zaśmiał się ponuro. – I każdemu innemu Hanstarowi.

Młody rycerz poczuł, jak rodzi się w nim zimny, paralizujący strach.

– Przecież działamy dla dobra królestwa! – wykrztusił. – Jesteśmy lojalnym rodem! Zawsze byliśmy!

– Nadeszły nowe czasy, Tankredzie – wycedził lodowato Pieśniarz. – Nowe królestwo. Ba! Wszystko się zmienia.

– Pewne rzeczy – rycerz zmrużył oczy – pozostają takie same. Wśród nich lojalność Hanstarów. Bez względu na to, czy król nadal włada Królewską Talią, czy też może ją utracił, my będziemy stać po jego stronie. Choćby dlatego, że jeśli zaczniemy szarpać się między sobą, pojawią się kolejni tacy jak Visteni i tylko patrzeć, jak staniemy się bandą wyrzutków i doczekamy się równie wzgardliwego miana jak Mąciciele.

– Piękne słowa. Ale słowa to bardzo mało.

– Idą za nimi czyny. Czyż nie wróciłem do oddziału, by opowiedzieć o wszystkim? O zdradzie Cedriga i o działaniach Tenketarów oraz Vlistunów?

– O tym, że Cedrig i kilku jemu podobnych knują coś potajemnie, wiemy od pewnego czasu – oznajmił Alisann. Jasne słońce przeniknęło chmury, a jego łyssa, pokryta żyłami czaszka zaśniła blado. – Prowadziłem dochodzenie w Posępnej Łunie, kiedy pojawił się goniec z Miasta na Skale i trzeba było pospiesznie wyruszać, by zapewnić eskortę karawanie z prochem. Myślałem, że mnie szlag wówczas trafi.

– Pamiętam.

– I czuję, że zaraz znów stracę panowanie nad sobą. – Alisann wciągnął ze świstem powietrze. – Bo coś mi mówi, młodzieńcze, żeś zhardział. I kiedy cię spytam o miejsce pobytu Cedriga i jego Widma, będziesz się wił i kłamał. I że tym samym sposobem ustawisz się w tej samej pozycji co Vlistunowie i Tenketarowie.

– Nie strasz mnie, Pieśniarzu. – Tankred wyprostował się. – Ani swym gniewem, ani też oskarżeniami o zdradę. Ani jedno, ani drugie zbytnio Mandylionowi nie pomoże, a zresztą nie mamy na to czasu. – Zwęził oczy i nagle złapał się na tym, że postąpił o krok w kierunku Alisanna. – Oddam ci Cedriga i jego Widmo – powiedział cicho. – Tobie. Nie głowie mego rodu, nie królowi, nie przywódcy twego Zakonu. Tobie. Pod jednym warunkiem.

Pieśniarz kpiąco uniósł brew, ale spojrzenie rycerza pozostało niewzruszone.

– Jaki to warunek? – parsknął.

– Nie tkniesz Talviny ani Jałowca. Nie tkniesz nikogo z mego rodu ani też nikogo, kogo ci wskażę. Nawet jeśli byłby to na przykład... Na przykład parszywy gnom.

Pieśniarz przechylił lekko głowę niczym drapieżnik szacujący szanse bezpośredniego ataku. Znów odetchnął ze świstem.

– Zgoda – powiedział po niekończącej się chwili namysłu.

Owinął się pstrokatą szatą i odwrócił, jakby chciał odejść, ale wtedy Tankred zatrzymał go.

– Powiedz mi, Pieśniarzu – odezwał się cicho, jakby wiedział, że podejmuje wielkie ryzyko. – Skoro wasza kasta dzierży tak wielką władzę... Skoro lękają się was nawet przywódcy rodów, a sam król uważnie słucha wszystkiego, co mówicie... Dlaczego ów Cedrig postanowił zdradzić?

Oczy Alisanna załśniły chłodem.

– Tego – wycedził – nie powiem ci nigdy. Bo...

Niespodziewanie powietrze zaszumiało i znikąd objawiło się Widmo. Zatrzymało się przed Pieśniarzem, zafalowało i zgęstniało, a potem wyrzuciło coś z siebie. Po gliniastej ziemi przetoczył się brudny, poraniony człowiek o sienie z przerażenia twarzy. Wparł dłonie w błoto, spróbował się podnieść, ale jego łokcie zadrżały i osunął się.

Tankred cofnął się odruchowo, gdy przypomniał sobie własną podróż w objęciach Widma, równie nieprzyjemną i bolesną, ale zdążył dojrzeć znak na podartej tunice pochwyconego człowieka.

Granatowy znak z szarymi kłębami.

Tenketar.

Alisann zmarszczył brwi i zamknął oczy, a jego usta poruszały się, jakby powtarzał jakieś słowa. Nagle potrząsnął głową, wybudzając się z krótkotrwałego transu.

– Dźwignij go i na dół z nim – wychrypiał, wskazując półprzytomnego więźnia. – Niech twój przyjaciel szaman doprowadzi go do ładu.

Sam zaś ruszył w dół zbocza.

Tankred zaklął w duchu i złapał sługę Tenketarów pod pachami. Jego włosy i ubranie cuchnęły dymem i spalenizną tak mocno, że młodemu rycerzowi zrobiło się niedobrze. Mimo to zacisnął zęby i szedł powoli ku drzewom, choć stopy więzły mu w gliniastym gruncie, a mamroczący, chlipiący jeniec co chwila wyślizgiwał się z jego objęć. Miał wrażenie, że minęły wieki, gdy zdyszany, zalany potem, dotarł na sam dół i bezceremonialnie posadził sługę rywalizującego rodu pod najbliższą sosną.

Większość jego towarzyszy i parobków śledziła wzrokiem jego wysiłki, ale nikt nie pospieszył mu z pomocą. Tankred potrząsnął głową, odpędzając narastające poczucie osamotnienia, i machnął ręką w stronę Jałowca, który podniósł się i podszedł bliżej. Bez słowa oparł ogromną włochatą dłoń na czole jeńca, który niemalże natychmiast zaczął spokojniej oddychać.

– O czym rozmawialiście tam na wzgórzu? – spytał druid ledwie słyszalnym szeptem. W jego niebieskich oczach błysnęło coś, co mogło równie dobrze być podejrzliwością, jak i troską.

– Nie przejmuj się – odparł Tankred. Cofnął się i przyjrzał uważnie podrapanej twarzy i poranionym dłoniom człowieka Tenketarów. – Pieśniarz chciał mnie nastraszyć.

– Udało mu się?

– Trochę. W końcu to Pieśniarz, niewiele umie poza tym – szepnął rycerz i zerknął ponad ramieniem. Alisann i Bardun szli już w ich kierunku. Stary rycerz trzymał pod pachą hełm. – W każdym razie, druidzie, nie zdradziłem cię, jeśli o tym myślisz.

– Wiem – odparł Jałowiec. Przymknął oczy i jego twarz, dzika i nieokrzesa, złagodniała na moment. – Widzę to w twojej aurze.

– Aha. A co jeszcze w niej widzisz?

– Sporo ambicji, nieuleczalną prawość, mnóstwo żalu, jeszcze więcej honoru, trochę tęsknoty i od cholery nienawiści. No i ciut strachu. Dzięki takiej

mieszance ludzie wyrastają na bohaterów, szaleńców albo przestępców. I czasami samobójców. Co to za jeden? – zmienił temat. – On jest z tych waszych Tenketarów, tak? Widmo nie miało dla niego litości.

– Nie tylko Widmo. – Tankred wskazał czerwoną oparzelinę na jego szyi. – Ten człowiek uratował się z pożaru.

Druid, skupiony na swoich czynnościach, wzruszył tylko ramionami. Tankred przewrócił oczami i dodał szeptem:

– Nie powiedziałem ci pewnej ważnej rzeczy. Wiem, że masz źle poukładane w głowie i wszystko robisz dla tej swojej równowagi, za którą dasz się pewnie pociąć, ale... Ale ja chciałem ci podziękować za to, że tu jesteś i...

– Dochodzi do siebie – powiedział ochrypłym głosem Jałowiec, nie patrząc przy tym na młodego rycerza, jakby nie usłyszał jego słów. Bezceremonialnie wymierzył jeńcowi policzek – ten zamrugał pospiesznie i rozejrzał się, jakby gwałtownie wyrwano go z głębokiego snu. Znieruchomiał, dostrzegłszy Alisanna, który ukucnął przed nim, mrużąc oczy niczym rozwścieczony wąż. Za nim stał Bardun z dłonią opartą na rękojeści miecza.

– Mów – syknął Pieśniarz. – Mów, skąd cię zabrało Widmo. Chcę wiedzieć, co to za miejsce i co się tam dzieje.

– Panie, ja niewiele...

– Mów!

Tankred rozejrzał się, zaskoczony. Jałowiec, który jeszcze przed chwilą klęczał przed nim na mchu, był teraz kilka kroków dalej. Rycerz nie zarejestrował chwili, gdy druid, niemały w końcu człowiek, wstawał i odchodził. Znów pokręcił głową i skupił się na przesłuchaniu, nie chcąc uronić ani słowa.

– Przysięgałem, że... Że niczego nie powiem – bełkotał jeńiec i łyskał białkami oczu.

– Jesteś lojalny i chwali ci się to – wychrypiał Bardun. – Ino, chłopie, przysięgałeś temu, kto złamał nasze prawo. Zdrajcy przysięgałeś.

– Bezczelny szczur! – zagrmiał Tomas Toulghan, który wyrósł obok Barduna. – Zmuście go, panie, do gadania! Przecież...

– Won, Toulghan – warknął Pieśniarz, nie odwracając się. – Idź stąd albo każę Widmu, by cię zabrało na krótką przejażdżkę.

Toulghan zmył się jak niepyszny, a Alisann wbił wzrok w sługę.

– A ty mów – szepnął ochryple. – Chyba że masz ochotę na kolejny spacer z Widmem. Tym razem jednakże nie będę już wymagał, by było tak delikatne jak za pierwszym razem.

Jeniec przełknął ślinę.

– Opadli nas ze wszystkich stron – wymamrotał, zamykając oczy. – Byli bezgłośni jak... Jak duchy. Najpierw usłyszeliśmy świst strzał, a potem tętent. Wpadli między budynki z pochodniami i... I...

– Między jakie budynki? – przerwał mu Pieśniarz.

– No, baraki. Te, w których jego miłość Stunn Tenketar kazał zamykać niewolników.

Pieśniarz pokiwał głową i zmierzył Tankreda krótkim spojrzeniem, w którym kryło się coś na kształt aprobaty.

– Kto? – wychrypiał Bardun. – Kto was zaatakował?

– Ci najemnicy z Pogranicza! – zajęczał jeniec. – Ci sami, co ich szlachetni ojcowie rodu zatrudnili. Nie ten sam oddział, znaczy się, bo ten gdzieś wysłali, ale inny. A może ten sam? Zaraza, nie wiem, panie, nie wiem!

– Sępy – warknął Tankred. Odwrócił się i odnalazł spojrzeniem Jałowca, który usiadł jak gdyby nigdy nic na swej kępcie mchu i wpatrywał się w rozkołysane mgły, które przez tę chwilę podeszły bliżej skraju lasu. – Odparliście atak? – spytał.

Alisann kiwnął głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu, że młody rycerz podjął inicjatywę w jego przytomności. Tankred udał, że tego nie zauważa.

– Gdzie tam, panie! – jęknął pojmany przez Widmo człowiek. – Wpadli między nas jak lis w stado gęsi, kosić zaczęli, palić... Stu ich było, może dwustu, może nawet więcej... Kto tam myślał o stawianiu oporu!

Pogardliwie wygięte usta Pieśniarza zdradzały, co sądzi o takiej postawie.

– Nacięli naszych bez liku, samego Stunna Tenketara drasnęli, a potem porwali na arkan – ciągnął przesłuchiwany coraz szybciej, jakby uznał, że tylko służalczość pozwoli mu ujsć z życiem. – Potem zgarnęli tych, co przeżyli, i popędzili ich na wschód. Jak by było ich popędzili. Ja zem się schowałem wśród trupów i...

– Stul pysk – warknął Pieśniarz i podniósł się, by odwrócić się ku Bardunowi i Tankredowi. – A więc stało się – powiedział cicho głosem, od którego włosy stawały dęba. – Najemnicy z Pogranicza, których zatrudnili Vlistunowie i Tenketarowie, w istocie zaatakowali swoich zleceniodawców. Pies pokąsał rękę pana. Nie myliłeś się, chłopcze.

Tankred zamiast dumy poczuł jedynie znużenie, które jednakże wyparowało pod baczным okiem Pieśniarza.

– Choć naprawdę chciałbym wiedzieć, skąd masz te wiadomości – dodał.

– Gdy to wszystko przycichnie, panie, z chęcią opowiem ci o tym – rzekł młody Hanstar. – O tym i o wielu innych rzeczach. Mój towarzysz – wskazał przy tym kciukiem nieruchomego, wpatzonego w mgłę druida – słusznie twierdzi, że błąkamy się po Taliadzie niczym dzieci we mgle. Rozpędzenie lokalnych królików to przecież żaden sukces. Przez trzy lata nie zdziałaliśmy nic, by utrwalić nasze władanie. Nie wiemy, jak działa tutejsza magia ani jak odzyskać własną, nie odnaleźliśmy siarki, nic nie wiemy o elfach, gnębimy druidów, nie znamy miejscowego języka.

Z każdym kolejnym słowem spojrzenie Pieśniarza stawało się coraz chłodniejsze, ale Tankred nie przestawał mówić.

– I tak oto zostaliśmy wpędzeni w pułapkę przez króla, którego uważaliśmy za pokonanego, ba, martwego! Visteni w tajemnicy nawiązał kontakt z Sępami, z tymi samymi, których garść zatrudnili Tenketarowie, i nakłonił ich do napaści na nasze ziemie. Na Nowy Mandylion – dodał szydlerczo, zerkając na Pieśniarza. – Okazało się tym samym, że jest bardziej obłąkany niż sądzili jego podwładni, bo powinien pamiętać, że poprzednie napady Sępów skończyły się dla Taliadu bardzo źle. To, co opowiedział nam ten nieszczęśnik – wskazał kciukiem półprzytomnego jeńca – to dopiero przedsmak tego, co nas czeka.

Bardun i Alisann długo milczeli, aż w końcu stary rycerz odkaszlnął i rzekł:

– Wygląda na to, że o tych Sępach też sporo wiesz.

– Nie tyle co mój towarzysz. – Tankred wskazał druida ruchem podbródka.

– Ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nie wolno ich stąd wypuścić. Za żadną cenę. Trzeba ich wyrząć do nogi.

Przełknął ślinę i spojrzał najpierw w oczy Pieśniarzowi, a potem dowódcy. Ku swemu zaskoczeniu uświadomił sobie, że wpatrują się w niego

z zainteresowaniem.

Jakby czekali na radę.

– Sępy prowadzą kolumnę niewolników – dodał. – Co więcej, nie spodziewają się obecności wroga. Teraz mamy szansę.

– Jest nas stu dwudziestu. – Bardun zgrzytnął zębami. – Tamtych kilka setek. Powinniśmy zaczekać na odsiecz z Ugoru.

– Ale my mamy Widmo – uciął dyskusję Pieśniarz. – I naprawdę niewiele do stracenia, a poza tym... A poza tym z przyjemnością zawlekę Stunna Tenketara do Posępnej Łuny na tymże samym arkanie i wypytam z troską o parę spraw.

– Co nastąpi dopiero po tym – Tankred ze świstem wypuścił powietrze z płuc – jak ja go wypytam o okoliczności śmierci mego wuja. Wiele zależy od jego odpowiedzi, ale obawiam się, Pieśniarzu, że do stolicy zabierzesz pusty arkan.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył w stronę Jałowca. Krew huczała mu w żyłach i ledwie dosłyszał słowa wycharczane ze złością przez Barduna:

– Na koń! Wsiadać na koń, cholery! Pamięta jeszcze ktoś, że ja tu dowodzę?

Zarżały rumaki, zadrżała ziemia pod kopytami, poniosły się rozkazy.

– Jałowiec! – zawołał Tankred, podbiegając do wciąż nieruchomego druida. – Ruszamy w ślad za Sępami! Porwali mnóstwo ludzi, zarówno twoich rodaków, jak i moich. Twoja wiedza przyda się, bo sam... Jałowiec?

Chciał klepnąć druida w plecy i odwrócić się ku własnemu wierzchowcowi, ale jego dłoń przeszła powietrze. Postać Jałowca, wyraźna jeszcze kilka uderzeń serca temu, zafalowała i znikła, rozwiewając się niczym pasma mgły podchodzącej pod las.



Milczący hufiec, rozciągnięty niczym pancerna żmija, najeżony ostrzami włóczni i mieczy, z łomotem kopyt wdarł się między wzgórza. Szerokie piersi rumaków roztrąciły mgłę, oczy rycerzy usiłowały przeniknąć mleczną ćmę,

dłonie w rękawicach ścisnęły uzdy i nie puszczały lanc. Pierwszy jechał Bardun Fulgham, któremu jak zwykle w siodle ubywało lat, po nim Alisann, zgarbiony niczym zwierzę szykujące się do skoku, prześwietlający okolicę zmysłami znanymi jedynie Pieśniarzom, za nim Tankred, z desperacją maskujący rozczarowanie i żal, a potem pozostali rycerze, skupieni i czujni, giermkowie oraz służba, co do jednego zaprawieni w bojach weterani. Gdzieś szumiało gniewnie Widmo. Oddział szedł bez strachu naprzód, a tętent kopyt i szcęk oręża powracały z echem, zniekształcone i straszne, jakby wzgórze chciały w ten sposób zaprotestować przeciwko niecodziennym gościom.

Bo Dymiące Wzgórze w istocie okazały się miejscem niesamowitym i odpychającym. Kłęby mgły, rzadniejące tu i ówdzie, odsłaniały zarówno łagodne, porośnięte mchami pagórki, jak i czarne, lśniące od wilgoci skały, przywodzące na myśl grzbiety wynurzających się spod ziemi potworów. Z każdą chwilą skały te stawały się coraz wyższe, ostrzejsze, bardziej poszarpane, zdarzało się, że zamykały wędrujący oddział w kilkunastometrowym wąwozie, w którym wszelkie odgłosy powracały koszmarnym echem. Powietrze, dotychczas czyste i wilgotne, przesyciła teraz woń ostrej siarki, a pod końskimi kopytami otwierały się szczeliny, szczęśliwie na razie wąskie.

Nigdzie nie dostrzegli śladów ludzkiej bytności, a jedyną oznaką życia było zniekształcone echem pokrakiwanie czarnych ptaków i zady umykających w mgłę płochliwych jelonków. Tankred nie miał wątpliwości, że wkraczają w krainę duchów i zmarłych.

Tym bardziej że po chwili woń siarki przytłumił smród spalenizny.

Penetrowanie spalonej osady Tenketarów rozmijało się z sensem. Bardun obrzucił ją pojedynczym spojrzeniem i popędził konia, Pieśniarz również. Tankred natomiast, ciekawy jak zwykle, stanął w strzemionach i przyjrzał się uważnie ruinom.

Kilkanaście podłużnych baraków, z pewnością przeznaczonych dla niewolników. Stajnie, szopy na narzędzia, pierwsze zaczątki palisady, stłoczone blisko siebie wozy, które, sądząc po ilości nieruchomych ciał, stały się miejscem ostatecznej, desperackiej obrony żołnierzy Tenketarów. I trupy, dziesiątki trupów, zarówno końskich, jak i ludzkich, utylanych w krwawym błocie, poczerniałych, zwęglonych. Kłęby szarego dymu, tłumione przez nieustępliwą mgłę, snuły się nad ziemią niczym posępne upiory.



Tankred wstrzymał konia.

– Bardunie – odezwał się półgłosem.

Starzec spojrział przez ramię.

– Co znowu? – parsknął niechętnie.

– Broń – rzekł Tankred, wskazując pobojuwisko. – Trzeba zabrać broń poległych. Noże, miecze, co się da. A także pochodnie.

– Odbiło ci, Hanstar?

– Nie. – Młody rycerz popędził konia i zbliżył się do starca. Pieśniarz również podjechał niczym wilk wietrzący świeży żer, osadziwszy wcześniej Tomasa Toulghana ostrym spojrzeniem. – Przyszło mi coś do głowy.



Samotny oddział mandylionńskiej jazdy wdzierał się coraz głębiej w labirynt wzgórz cuchnących siarką. Nikt nie odzywał się ani słowem. Skupieni, poważni jeźdźcy brnęli w mgłę niczym stado wilków na tropie niczego niespodziewającego się śmiertelnie groźnego niedźwiedzia. Kopyta mlaskały w błocie, szczekał oręż, prychały konie. Gdzieś wrzeszczały małe stworki przypominające skrzaty z nazbyt wielkimi głowami i ogromnymi pazurastymi łapami.

„Piskliny – przypomniał sobie Tankred. – Thanni mówił coś o pisklinach. Mówił też o czarnochowach, koboldach i smokach. Jasna cholera, dlaczego nie poprosiłem go wówczas o szczegóły?”

Brakowało mu pyskanych gnomów. Brakowało mu druida. Brakowało mu przyjaciela, kogokolwiek, z kim mógłby się podzielić odpowiedzialnością bądź dylematami. Świdrujący wzrok Pieśniarza zdradzał bowiem, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, cała wina spadnie na niego, Tankreda.

– Gdzie ten twój szaman? – spytał Alisann, jakby czytał mu w myślach.

– Druid. Nie wiem.

– Wiesz, że istnieją poważne powody, dla których uznaliśmy ich za wrogów?

– Wiem. Jednym z nich jest niewiedza, a drugim lęk przed nieznanym.

Kiepską wam to wystawia reputację.

– Pyskаты się robisz – wycedził Pieśniarz.

– Mylisz bezczelność z zamiłowaniem do nazywania rzeczy po imieniu. A co do Jałowca. – Tankred zawahał się. – Nie martw się nim. Ten człowiek jest w pełni oddany walce o równowagę. Nie pytaj. Później ci wszystko wyja...

Urwał, gdy z mgły przed nimi wyłoniło się trzech jeźdźców. Natychmiast rozpoznał Alaine'a Puckharda i dwóch giermków.

– Szli tędy – szepnął poblądły Puckhard, zrównawszy się z wierzchowcem Barduna. – Końskie łajno jeszcze paruje. Są bardzo, bardzo blisko.

– Do szyku – rozkazał stary rycerz i spojrzał na Tankreda. – Mam nadzieję, że wszystko dobrze obmyśliłeś, Hanstar.

– Ja też mam taką nadzieję.

Oddział niemalże bezszelestnie wspiął się na kolejną, łagodną przełęcz, przebył kłębowisko dymów buchających ze skalnej rozpadliny i ruszył w dół. Ku szerokiej dolinie, przez którą ciągnęły się ślady setek kopyt i stóp. Ku rdzawo zabarwionym kałużom i czarnym, nastroszonym ptaszyskom, które obsiadły zapomnianego trupa.

Ku bitwie.

Tankred miał wrażenie, że cuchnące, duszne powietrze drży od napięcia. Zapomniał już o znużeniu i o poczuciu osamotnienia. Jechał za potężnym, zahartowanym karosem Barduna, ścisnął ciężką lancę w dłoni i rozglądał się uważnie dookoła. Wydawało mu się, że w zboczu najbliższego wzgórza dostrzega jakieś jamy, może nawet jaskinie, ale nie przyglądał się uważnie, bo w tej samej chwili Fulgham spiął konia do galopu i runął przed siebie. Tankred, chcąc nie chcąc, sam przyspieszył, a za nim pognął cały oddział. Echo zwielokrotniło łomot ich kopyt.

Nie było już sensu czegokolwiek ukrywać. Wróg był blisko. Serca biły mocno, kopyta rozbryzgiwały glinę, wiatr świstał na ostrych krawędziach pancerza, konie prychały i parślały, jakby im również udzieliło się napięcie jeźdźców.

Widmo ze świstem mknęło gdzieś przed nimi, aż zawróciło i ze zwierzęcym rykiem ruszyło ku rozpędzonemu hufcowi.

– Gotuj się! – huknął Alisann.

– Gotuj się! – powtórzył Bardun niezwykle potężnym, czystym głosem.

Najeżeni włóczniami, pochyleni nad końskimi karkami wypadli z mgły w miejscu, gdzie wzgórza rozstępowały się i otwierały na pokrytą skąpymi, żółtawymi mchami równinę. Tam czekał na nich wróg.

Konni wojownicy z Pogranicza kłębili się niepewnie. Słyszeli już odgłosy szarży, ale nie wiedzieli, kto ich ściga. Gdzieś za zadami ich rumaków kuliły się gromady niewolników Tenketarów, spętanych i z przerażeniem wodzących oczami za grotami strzał ich strażników.

– Wachlarz! – ryknął Bardun.

Rozkaz został powtórzony przez poruczników i zwarty hufiec zaczął się rozprzestrzeniać, aż uformował otwarty półksiężyc, zwrócony rogami w stronę wroga. Białe słońce rozbłyskiwało na wypolerowanych napierśnikach, naramiennikach i hełmach rycerzy mandylionów. Wśród kłębiących się chaotycznie Sępów zaczął się wyłaniać porządek, formowany głośnymi gwizdami i rozkazami dowódców.

„Jest ich trzy razy tyle co nas” – przemknęło przez głowę Tankredowi. Wiatr wyciskał mu łzy z oczu.

Bardun odwrócił głowę, spojrzał na niego i skinął ledwie dostrzegalnie.

Hanstar odwrócił się ku gnającej za nimi grupce giermków, którym przydzielono najszybsze wierzchowce i pochodnie.

– Teraz! – krzyknął ponad łoskotem kopyt. – I pamiętajcie o sygnale!

Młodzi ludzie o przejętych, przestraszonych twarzach zawrócili konie i pomknęli za plecami towarzyszy, każdy w kierunku innego obłoku mgły wiszącego na zboczach wzgórza. Oddział Stalowej Duszy nabierał tempa, ziemia dudniła coraz głośniej.

Jeźdźcy Sępów rozjeżdżali się, formując pospiesznie długi, nierówny szereg, który do szarży poderwały głośnie gwizdy. Najeźdźcy poszli w cwał, niektórzy natychmiast wysforowali się przed towarzyszy, łamiąc porządek szarży. Pierwszy z nich wyrzucił w powietrze linę, skrócił ją, zatoczył łuk nad głową. Pozostali poszli w jego ślady. Choć dwa mknące ku sobie oddziały dzieliło kilkaset metrów, Tankred miał wrażenie, że słyszy świst lin tnących powietrze.

Pamiętał słowa Jałowca. Wiedział, z czym ma do czynienia.

– Bola! – ryknął, zdzierając sobie gardło. – Bola!

Liny zakończone ciężarkami, podstępna broń służąca do pętania nóg wrogich wierzchowców, pędziły na spotkanie szeregu mandylionów.

Pieśniarz, jedyny człowiek bez broni w całym oddziale, uśmiechnął się paskudnie i przytknął oczy.

Widmo spłynęło z dzikim hukem z nieba i runęło ku nadciągającym barbarzyńcom, potężniejąc z każdą sekundą. Choć wciąż niematerialne, wciąż przypominające zaledwie chmurę rozedrganego powietrza, zostało natychmiast zauważone przez rozpędzonych najeźdźców. Któryś zwolnił, któryś zwinął bola, jeszcze inny się zatrzymał, ale było już za późno.

Widmo z przerażającym rykiem runęło na Sępy.

Mech, choć napęczniały od wilgoci, wędnął i marniał w miejscu, gdzie przechodził straszliwy twór. Konie, oszalałe od nieznanego ryku, stawały dęba, zrzucały jeźdźców lub zawracały, całkowicie ignorując rozpaczliwe wysiłki ich panów. Oni sami, od najmłodszych lat wprawiani do jazdy konnej, nie kryli przerażenia. Splątane bola spadały na ziemię, rumaki zderzały się i umykały, a przez ryk Widma przebijał się wrzask ludzi i kwik zwierząt. Szarża załamała się w jednej chwili, a Widmo pomknęło ku niebu.

– Łucznicy! – huknął Bardun.

Szereg lekkich jeźdźców w kolczugach i prostych hełmach, jadący za ciężej zbrojnymi rycerzami, napiął łuki i na kłębiących się wojowników z Pogranicza spadł grad strzał, potęgując chaos.

– Ostrze! – ryknął Bardun.

Rycerze na skrajnych końcach formacji zwolnili nieco i nadal rozpędzony oddział błyskawicznie uformował klin zbrojny w długie włócznie, zasłonięty tarczami. Do starcia pozostały już tylko sekundy. Pochylony nad końskim karkiem Bardun machnął ręką na Tankreda.

Ten wiedział, że to ostatnia dogodna chwila.

Ręką, do której miał przytroczoną tarczę, uniósł podskakujący na piersi róg i zadał ze wszystkich sił. Odpowiedziały mu inne, liczne, równie donośne, ryczące z oddali. Rycerz odwrócił się i ujrzał, jak w splachetkach mgły, rozsianych na zboczach wzgórz zamigotały ogniki pochodni. Rogi ryczały niestrudzenie ze wszystkich stron.

„Dobra robota” – przemknęło przez myśl Tankredowi, tym bardziej że

zamieszanie wśród Sępów, rozproszonych natarciem Widma i gradem strzał, rosło z każdą chwilą. Jeźdźcy z Pogranicza, jeśli już zdołali opanować wystraszone, poranione konie, stawali w strzemionach i rozglądali się, przekonani, że skądś nadciągają posiłki dla Mandyliończyków.

Ci zaś szli na zatracenie.

Pięćdziesiąt kroków... Dwadzieścia... Dziesięć... Pięć...

Uderzenie!

Większość wojowników z Pogranicza, którzy utrzymali się w siodłach, zdołała opanować konie, co jak najlepiej świadczyło o ich kunszcie, choć szyku, zgodnie ze swą tradycją, formować ani myśleli. Rozpędzony, rozhukany hufiec mandylioński wdarł się więc między nich z siłą topora wbijającego się w miękkie drewno. Lance przebijały skórzane pancerze jeźdźców, wyrzucały ich z siodła, rozrywały ciała i pruły naprzód wśród obłoków czerwonej mgły. Cięższe rumaki mandyliońskie odrzucały konie Sępów i bez litości tratowały rannych i spieszonych. Nieliczne ciosy przeciwników spływały po tarczach i pancerzach rycerzy.

Mimo impetu szarży, mimo przewagi w uzbrojeniu i zwartości szyku, natarcie Mandyliończyków wkrótce zaczęło zwalniać. Coraz więcej Sępów odwracało się ku rycerzom, odbijało ostrza włóczni, usiłowało zahamować atak. Na oczach Tankreda któryś z wojowników, smagły weteran z bliznami na policzkach i włosami zaplecionymi w warkocz, złapał za drzewce włóczni i wyrwał ją z ręki zaskoczonemu Torwinowi Doylemowi. Chwilę później osunął się pod kopyta, zgaszony potężnym ciosem Arduna Claytore'a, ale sam Claytore, pchnięty pod żebro, zachwiał się w siodle i bluzgnął krwią z ust.

– Naprzód! – wrzeszczał zachrypnięty Bardun Fulgham, który już stracił lancę i wymachiwał teraz ogromnym toporem. Każdy jego cios powalał kolejnego przeciwnika, ale nawet nadludzkie wysiłki starego rycerza nie mogłyby mieć wpływu na przebieg ataku.

Natarcie Mandylionu zatrzymało się zaledwie kilkanaście metrów przed setkami spętanych niewolników. Sępy zwały obronę i walczyły teraz z iście zwierzęcą agresją, a zewsząd napływali nowi, którzy zdążyli opanować wierzchowce.

Tankred odrzucił lancę, bezużyteczną w takim ścisku, i wyrwał z pochwy miecz. Odbił szerokie cięcie najbliższego Sępa, uchylił się przed kolejnym,

wbił klingę w czyjś bok, zamachnął się znów, odruchowo przyjął cios znikąd na tarczę. Ogłuszający szcęk oręża, wrzaski nacierających i kwiki końskie wypłoszyły wszelkie myśli z jego głowy. Wiedział tylko tyle, że wbili się w pułapkę.

Że jego plan zawiódł.

Znów dostrzegł czyjś zamach, zasłonił się w ostatniej chwili, ramię zdrętwiało mu od ciosu. Chlasnął zza głowy, chyba trafił. Jakiś Sęp wrzeszczał z bólu. Z oddali nadal płynął ochrypły jęk rogów. Któryś z jego towarzyszy wystrzelił z pistoletu, w odpowiedzi zarżały przerażone konie. Darli się ranni.

Sępy napierały ze wszystkich stron. Gdziekolwiek spojrzał, widział śniade twarze, przymrużone skośne oczy i wąskie, naznaczone tajemniczymi symbolami klingi, które wznosiły się i opadały, rąbały, cięły.

Tankred spojrzał na Widmo, prześwietlone na ułamek sekundy promieniami bladego słońca, krążące nisko nad ich głowami. Na nie liczyć też już nie mogli. Nawet konie Mandyliończyków, choć przyzwyczajone do jego obecności, nie byłyby w stanie zdzierżyć kolejnej wrzaskliwej szarzy.

Żołądek spłynął Tankredowi w dół brzucha. Przegrywali.

– Do mnie! – huknął niespodziewanie Alisann. – Tarcze!

Szereg walczących rycerzy mandyliońskich zafalował, gdy kilku z nich cofnęło się gwałtownie. Tankred poczuł przypływ nikłej nadziei i ze zdwojonymi siłami rąbnął najbliższego przeciwnika, rozcinając mu hełm. Sęp krzyknął i zatoczył się w siodle, po śniadej twarzy ściekły strużki krwi. Hanstar zacisnął zęby, pchnął, odruchowo zasłonił się przed kolejnym ciosem i znów rąbnął.

Mieli jeszcze jeden ostatni atut po swojej stronie.

Nie musiał spoglądać za siebie, by wiedzieć, że kilku rycerzy ściąga z pleców wielkie, podłużne tarcze, wożone tylko w tym jednym jedynym celu, i tworzy wokół Pieśniarza szczelny mur z drewna i metalu. Nie musiał na niego patrzeć, by wiedzieć, że źrenice Alisanna odpływają, twarz blednie, a ze zniekształconych ust wyrywa się Pieśń.

Była to straszna, złowroga melodia bez słów, zaśpiew ziejący grozą tak wielką, że rumak, dzielnie niosący Hanstara od chwili spotkania z oddziałem, zastrzygł uszami i targnął łbem. Konie wojowników z równin, całkiem do niej nienawykłe, niemalże natychmiast uległy panice. Któryś stanął dęba i zwałił

się na bok z włócznią Torstona w brzuchu, przygniatając kilka innych, kolejny zawrócił, roztrącając szyk, jeszcze inny zaczął dziko wierzgać. Na głowy, barki i torsy usiłujących opanować wierzchowce Sępów spadła stal Mandyliończyków.

Napór najeźdźców słabł i kruszał. W tej samej chwili Pieśń zmieniła swój nastrój i przerodziła się we wzniosły, tryumfalny hymn. Tankred, któremu zaczynały sztywnieć ramiona, poczuł przypływ sił. Rycerze i giermkowie krzyczeli ochryple i z zapalem cięli wycofujących się wojowników z Pogranicza.

– Naprzód! – darł się Bardun i wymachiwał okrwawionym toporem.

Klin Mandyliończyków, przed chwilą uwieczony w pułapce, wyszczerbiony i nierówny, częściowo spieszony, wreszcie drgnął i ruszył przed siebie, spychając nielicznych wrogów, przedzierając się przez zwały trupów, prac naprzód ku przyglądającym się starciu przerażonym niewolnikom.

Jeszcze dwadzieścia kroków, piętnaście, dziesięć... Hufiec Stalowej Duszy szedł coraz bardziej zdecydowanie. Mało który rycerz miał jeszcze włócznię, w powietrzu śmigały więc długie mandyliońskie miecze, topory giermków, nieliczne strzały z łuku i bełty. Pieśń nadal wibrowała w powietrzu i konie Sępów miały się przerażone, przez co ci, którym udawało się narzucić im posłuszeństwo, rzadko kiedy stawiali dłuższy opór. Zdawało się, że nic już nie powstrzyma Stalowej Duszy.

Pieśń urwała się gwałtownie w chwili, gdy dotarli na skraj gromady niewolników, rozpędzając ostatnich strażników. Ku kulącym się na ziemi ludziom poleciały miecze, topory, sztylety i wszystko, co udało się w pośpiechu zabrać z osady Tenketarów. Przerażeni ludzie patrzyli z niedowierzaniem na broń leżącą przed nimi w błocie i na skrwawionych, zdyszanych wojowników przed sobą.

– Bierzcie to! – wrzeszczał Bardun. – Tnijcie więzy, durnie!

Krzyczał po mandyliońsku.

– Jeśli chcecie być wolni, pomóżcie nam w walce! – wrzasnął po taliadku Tankred, stając w strzemionach. – Chwytajcie za broń! Pomóżcie nam rozpędzić tę ćmę!

W oczach niewolników pojawiło się zrozumienie. Ten i ów chwycił już za sztylet, ciął więzy, uwalniał sąsiada, zrywał się na nogi z toporem w garści

i ogniem w oczach.

– Kolisko! – huknął Bardun.

Rycerze, którzy nadal posiadali konie, błyskawicznie formowali szyk. Inni wskakiwali na wierzchowce oddawane im przez giermków bądź łapali konie Sępów, chwyтали za włócznie, brali rezerwowe tarcze. Dołączyli do formacji również ci, którzy przed momentem osłaniali Pieśniarza. Żelazny pierścień, skrwawiony, wygięty i poszczerbiony, ale nadal śmiertelnie groźny, zwrócił się ku kłębiącym się wrogom. Za plecami mandyliońskich rycerzy w pośpiechu uwalniali się niewolnicy. Kilka niewielkich oddziałów Sępów próbowało z pogardą rozjechać obdartych desperatów, ale ich konie grzęzły w coraz gęstszym tłumie, a jeźdźcy znikali, ściągani z siodła i mordowani bez litości. Inni wyzwolenicy pojedynczo bądź grupkami ścigali swych dotychczasowych strażników, jeszcze inni dobijali rannych lub zbijali się w gromadę niedaleko szeregu jeźdźców, skrzykiwani przez jasnowłosego człowieka w skrwawionej koszuli.

– Równaj! – krzyczał w kiepskim taliadzkim i machał mieczem. – Gotuj się!

– Co za hałastra! – Tomas Toulghan skrzywił się.

Tankred nie odezwał się ani słowem. Nie miał ochoty mu tłumaczyć, że uwolnieni niewolnicy, choć kiepsko uzbrojeni, niewyszkoleni i zmęczeni, samą liczbą niwelowali przewagę Sępów, na których stał mandyliońska i możliwości Pieśniarza wywarły spore wrażenie. Rycerz spojrzął za siebie – półprzytomny Alisann ledwie trzymał się w siodle i na pewno nie był już w stanie zaintonować kolejnej Pieśni ani nawet sterować Widmem, ale najeźdźcy nie musieli o tym wiedzieć.

W jego sercu pojawiła się nadzieja.

Wojownicy z Pogranicza uciekali, ale bez przekonania. Grupki jeźdźców zatrzymywały się, by przyjrzeć się poczynaniom Mandyliończyków, po czym zawracały i gnały za resztą, mijając kolejne, które również śledziły przebieg sytuacji, niczym prawdziwe sępy, niemogące się pogodzić z tym, że większy drapieżnik odgonił je od padliny. Kłębiące się tabuny co rusz przeszywały przenikliwe świsty, jakby dowódcy skrzykiwali się do kolejnego kontrnatarcia.

– Uciekają! – oznajmił ktoś chrapliwie, chyba któryś z Treshów.



- Na pewno nie – warknął Tankred, przypomniawszy sobie słowa Jałowca.
- To najbardziej nieustępliwa horda, jaką ten świat widział.

Na moment jego uwagę przyciągnęło coś innego.

Człowiek w skrwawionej koszuli, który jako tako uformował szyk piechoty, szedł teraz ku linii rycerstwa. Jego twarz, choć brudna od błota i zaschniętej krwi, nadal była butna i zacięta.

– Dym pozdrawia Stalową Duszę! – krzyknął ochryłym głosem człowieka, który dałby wszystko za łyk wody.

„Dym! – pomyślał wstrząśnięty Tankred. – Szary Dym! To Stunn! Stunn Tenketar! Łajdak, który odpowiada za to wszystko!”

Jego serce wypełniła zimna furia, dłoń stwardniała na rękojeści miecza, świat dookoła nabrał czerwonego odcienia. Już miał kopnąć konia i ruszyć ku zdrajcy, gdy na jego ramieniu zacisnęła się mocna dłoń.

– Nie – wysyczał z trudem Pieśniarz. Jego oczy były zamglone ze zmęczenia, ale nic nie było w stanie przyćmić jego autorytetu. – Nie teraz.

„Wiem – odezwał się głos rozsądku. – Potrzebujemy go. W razie czego będzie dowodził piechotą. Ale... Ale...”

– Nie teraz – powtórzył Alisann, jakby znał jego myśli.

– Niech Pieśni chwałą oręż Stalowej Duszy! – ciągnął Stunn Tenketar. – Przybywacie zaiste w ostatniej chwili! Ród Tenketarów nigdy wam nie zapomni...

– Stul gębę! – wychrypiał Bardun i machnął dłonią. – I wracaj do szeregu.

Na twarzy Stunna pojawiło się zaskoczenie. Minęła dłuższa chwila, nim zorientował się, że Bardun spogląda w dal, nad jego ramieniem, a wielu pozostałych rycerzy robi to samo.

– Co o tym sądzisz, Hanstar? – spytał stary rycerz.

W innej sytuacji Tankred poczułby dumę z tego, że tak doświadczony woj pyta go o radę. Teraz patrzył oniemiały na tabuny jazdy z Pogranicza, kłębiące się przez moment niczym wir w mętnej wodzie, a potem rozpadające się na mniejsze grupki przy przeszywających świstach i gwizdach. Jeden z pododdziałów pozostał w miejscu, a reszta gnała przed siebie po obrzeżach doliny, dzieląc się na coraz mniejsze.

– Osaczają nas – powiedział bezwiednie Tankred.

Wokół koliska rycerzy Stalowej Duszy i tłumu uzbrojonych niewolników zamarło pięć oddziałów wojowników z Pogranicza. Każdy w innym miejscu. Każdy w tej samej odległości. Nie było wątpliwości, że czekają na sygnał do wspólnego ataku.

Nie było też wątpliwości, że ani rycerze, ani też ich wyzwoleni z pęt sojusznicy nie są w stanie zdzierżyć natarcia z pięciu stron jednocześnie. Tylko zwarty szereg pikinierów ze wsparciem łuczników bądź arkebuzerów wytrzymałby taki napór.

– Uderzymy na tamten – wskazał Bardun, choć w jego głosie brakowało wiary w powodzenie. – Jest chyba najliczniejszy. Lepiej atakować, niż stać i czekać.

Tankred przełknął ślinę. Trudno się było nie zgodzić ze słowami starego rycerza, choć wiedział, że gdy wbiją się w którykolwiek z oddziałów Sępów, pozostałe opadną ich z boków i z tyłu.

– W istocie, lepiej – powiedział Toulghan i uniósł wysoko włócznię.

– Może chociaż Widmo uda mi się przywołać – westchnął Pieśniarz. – Ech, szlag by to wszystko trafił. Uciekliśmy Czerni, by zginąć z rąk jakichś przybłędów.

Były to pierwsze ludzkie słowa, jakie kiedykolwiek padły z jego ust. Tankred uśmiechnął się mimo powagi sytuacji i ścisnął go lekko za ramię. A potem zamknął mocno powieki.

– No, synkowie – dobiegł skądś głos Barduna. – Pokażemy tym sukinsynom, że nie od parady zwą nas Stalową Duszą. Długo będą płakać matki i żony na Pograniczu po tym piekle, które zaraz sprawimy tym obdartusom!

„Chciałbym, byś mnie teraz ujrział, ojcze – pomyślał Tankred ze wzruszeniem przemieszonym z rezygnacją. – I ty, bracie. Idę w wasze ślady. I tak jak wy nie zawaham się”.

Szczęknął oręż, grzmotnęły kopyta.

Wykrwawiony oddział Stalowej Duszy ruszał do boju, który mógł się okazać ostatnim.

Od jednej z grup Sępów znów doleciały świsty, tym razem inne niż wcześniej, wyższe, bardziej alarmujące. Jednocześnie rozległy się okrzyki zaskoczenia, którym odpowiedziały kolejne, nadpływające z...

Z góry?

Tankred z niedowierzaniem zamrugał i pospiesznie odwrócił głowę.

Z podbrzusza skłębionych chmur wyłoniło się połatane dno starej szalupy, a potem długie liny, uwiązane do końców ogromnego, pozszywanego z cienkich skór pęcherza. Wzdłuż burty tańczyły trzy krępe istoty w barwnych kapeluszach. Jeden z pasażerów powietrznego statku co chwila przypadał do urządzenia przypominającego wielki samowar i pociągał za różne dźwignie, posyłając w ten sposób strugę gorącego powietrza do wnętrza pęcherza. Statek wolno zbliżał się do zaniepokojonych jeźdźców, którzy kłębili się naokoło i zadzierali głowy. Paru już napinało łuki.

– Bardunie! – zawołał Tankred. – Bardunie!

Stary rycerz obrócił głowę i spojrzał w kierunku wskazywanym przez Hanstara. W jego zmęczonych oczach pojawiło się skrajne zaskoczenie.

– Zatrzymaj oddział! – poprosił Tankred. – Zatrzymaj!

Starzec rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale skinął głową.

– Stój!

Mandyliończycy patrzyli z niedowierzaniem, jak trójka pasażerów latającej szalupy – nikt już nie miał wątpliwości, że to gnomy – ujmując razem ciężki wór, a potem z najwyższym trudem, rozkołysując szalupę, wyrzuca go za burłę.

Wór grzmotnął o ziemię kilka kroków od najbliższego jeźdźcy i znikł w białych kłębach. Wtedy któryś z gnomów chwycił za krótki łuk, poczekał, aż kompan podpali strzałę, a potem puścił ją prosto w worek. Trzeci przypadł do samowaru i wypuścił z niego gorącą strugę, która pchnęła statek powietrzny gwałtownie do przodu.

Wojownicy z Pogranicza zorientowali się w sytuacji dosłownie jedno, dwa uderzenia serca za późno. Kilku z nich zdołało nawet posłać strzały, które albo wbiły się w dno szalupy, albo niegroźnie przeszyły skórzany balon, paru zdołało też zawrócić konie, ale płonąca strzała trafiła już w worek.

Wtedy świat rozsadziła gwałtowna eksplozja.

Żarłoczne, jaskrawoczerwone płomienie buchnęły naokoło, pochłaniając tych, którzy uciekali najwolniej, ale największe spustoszenie wywołał sam huk. Nawet konie Mandyliończyków, karne, szkolone i nawykłe do hałasu, zadrobiły niespokojnie i targnęły łbami. Wierzchowce Sępów, przyzwyczajone do bezkresnych równin Pogranicza, na których jedynym dźwiękiem bywa świst

wiatru i pokrzykiwanie jeźdźców, uciekały jak szalone, unosząc równie przerażonych wojowników. Niektóre przewracały się z dzikim rzeniem, miażdżąc dosiadających ich jeźdźców, inne pędziły ku pozostałym grupom, również niespokojnym, falującym, szemrzącym, szerząc strach i panikę.

Nawet zwarty oddział, który wyjechał spośród zamglonych wzgórz, przez moment nie mógł zapanować nad końmi.

Tankred wpatrywał się w nich z oszołomieniem tak wielkim, że nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Nie chciał nawet zamrużyć, bojąc się, że przybysze znikną, gdy tylko otworzy ponownie oczy. Wpatrywał się w nich, przekonany, że doświadcza halucynacji, że ma przed sobą jedynie szalone widziadło, wywołane przez świadomość rychłej śmierci. Milczał do chwili, gdy jeden z jeźdźców na czele, łysiejący rycerz o poważnej twarzy, odpiął od siodła chorągiew i rozwinął ją nad głową.

Otwarta Księga na niebieskim polu.

Znak Hanstarów.

– To moi – wychrypiał Tankred, oszalały z radości. – To moi!

Wśród szeregu rycerzy i giermków niosło się już ożywione szemranie. Wszyscy widzieli zbrojny orszak, który mknął po dnie doliny z grzmotem kopyt, formując szyk, nie tak zwarty i szczelny jak hufiec Stalowej Duszy, ale przecież groźny, najeżony włóczniami. A na jego czele...

Tankred stanął w strzemionach. Nie wierzył własnym oczom.

Obok Trismunda, który wznosił wysoko sztandar, gnał Jałowiec, wymachując długim, zdawałoby się nieporęcznym kijem, i z wprawą strącał przemykające z paniką Sępy z siodeł. Na czele, przed oboma mężczyznami, pędziła zaś Viliena, piękna i straszna jednocześnie. Płaszcz łopoczący u ramion i lekka włócznia wycelowana w kłębowisko wrogów, nadawały jej wygląd drapieżnego ptaka. Za nią gnali rycerze, giermkowie, najemnicy, zarówno ludzie ciotki Talviny, jak i załoga Ugoru, gniewni, skupieni, żądni boju. Powietrze drżało od ryku rogów, ziemia wibrowała od uderzeń kopyt, Widmo wyło.

– Dość tego, synkowie! – wychrypiał Bardun, unosząc okrwawiony topór w zmęczonych, starczych dłoniach. – Dość tego! Nie pozwólmy, by nas banda skrybów zakasowała! Naprzód!

– Naprzód!

Oba cudem połączone mandylionkie hufce runęły do zwycięskiego natarcia. Gnomy, stojące rzędem wzdłuż burty szalupy, sikały na głowy wojowników z Pogranicza.



Tankred nie pamiętał chwili, kiedy stracił konia. Wiedział tylko, że w ostatniej sekundzie wyzwolił nogę ze strzemienia, odskoczył, przetoczył się po gliniastej, lepkiej ziemi i zerwał się na czas, by odepchnąć wrogie ostrze potłuczoną tarczą. I znów ciął, rąbał, przewracał, unikał i odskakiwał, ale nie przestawał napierać, aż...

Aż uświadomił sobie, że nie ma już z kim walczyć. Że niedobitki Sępów ściga świeży, niezmczony jeszcze hufiec Trismunda.

Stał przez moment i wdychał łapczywie powietrze, cuchnące siarką, dymem i krwią. Wsłuchiwał się w jęki rannych i kwik koni, ogłuszony wrzawą bitwy, półprzytomny ze zmęczenia. Minęła długa, naprawdę długa chwila, nim otępienie przerwały pierwsze logiczne myśli. Odwrócił się.

Część Mandylionczyków zebrała się wokół Barduna, który nadludzkim wysiłkiem nadal trzymał się prosto i nie przestawał wydawać rozkazów. Inni znosili rannych, łapali konie bądź bez litości, nie szczędząc obelg i kopniaków, krępowali nielicznych jeńców. Gdzieś klęczał w błocie Pieśniarz, blady niczym trup, z twarzą zalaną krwią, dalej powoli, z widocznymi komplikacjami, lądował powietrzny statek gnomów. Zamglone spojrzenie Tankreda szukało jednak kogoś innego.

Znalazł go dokładnie tam, gdzie spodziewał się go zastać.

Jałowiec, krępy i potężny niczym niedźwiedź, skrzykiwał wokół siebie ludzi wyrwanych z niewoli Tenketarów, a później Sępów. Co chwila przywoływał kolejnych, oglądał ich obrażenia, ścisnął im dłonie, krzepił słowem. Tłum wokół niego narastał.

Wydawać by się mogło, że nic go nie oderwie od gromady, którą się zajmował, ale szósty zmysł nakazał mu się odwrócić ku Tankredowi, który szedł powoli i wlekł za sobą bezużyteczny już, poszczerbiony miecz. Druid uciszył cizbę, prześlizgnął się między wyzwolenkami i podszedł do rycerza.

Przez moment stali naprzeciwko siebie – wycieńczony, pokryty dziesiątkami drobnych ran i skaleczeń Mandyliończyk i potężny, dziko zarośnięty Taliadczyk o spokojnym spojrzeniu. Minęło kilka uderzeń serca, aż druid zrobił jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji można było zrobić – podał Tankredowi bukłak.

Ten porwał go, przytknął chciwie do ust i pił, pił, pił, a strużki wody spływały mu po podbródku oraz szyi i wnikały w brudną kolczugę. Wystarczyło tych kilka łyków, by młody rycerz poczuł, jak wracają mu siły.

– Miałem... – odkaszlnął, oddając druidowi niemal pusty bukłak. – Miałem szczerą, niczym nieskażoną ochotę, by cię zamordować. Dlaczego oddaliłeś się tak niepostrzeżenie?

– Wybacz. – Niebieskie oczy Jałowca zamigotały. – Słyszałem waszą rozmowę i uznałem, że szkoda czasu na rzewne pożegnania i długie tłumaczenia, zwłaszcza że twój przyjaciel Pieśniarz nie darzy mnie przychylnością. Postanowiłem zadbać o równowagę na własną rękę.

– W tym przypadku – Tankred wbił miecz w ziemię i oparł na nim dłonie – oznaczało to znalezienie hufca Trismunda? Byśmy przeżyli starcie z Sępami?

– By oni przeżyli. – Spojrzenie Jałowca nieco ochłodziło, gdy wskazał grupy uwolnionych niewolników. – Wy, rycerze mandyliońscy, od chwili przypasania miecza wiecie, w co się pakujecie, i powinniście być przygotowani na każdy obrót losu. Ci nieboracy nie wiedzieli, co ich czeka.

– Rozumiem. – Tankred wyprostował się. Przez moment uważnie przyglądał się twarzom zgromadzonych ludzi, ale w żadnej nie rozpoznawał Stunna Tenketara. – Naprawdę, druidzie – dodał – im dłużej z tobą przebywam, tym lepiej rozumiem tę twoją równowagę.

– To dobrze. Znaczą, że się uczysz.

– Uczę się. Jak widzisz. – Tankred uniósł drżącą dłoń i zatoczył nią łuk. – Wykorzystałem twe lekcje na temat Sępów.

– Dobrze. Mam nadzieję, że wszystkie. – Druid skinął lekko głową i już chciał się odwrócić ku ocalonym z niewoli ludziom, ale powstrzymały go ciche słowa Tankreda:

– Czy jesteś w stanie odsunąć na moment troskę o równowagę, by docenić zwykłą ludzką wdzięczność? Wdzięczność i przyjaźń?

– Równowagę łatwo zaburzyć – odparł druid, a jego oczy znów zamigotały, tym razem z zyczliwością. – O wiele trudniej jest ją potem odbudować.

Niemniej jestem w stanie zaakceptować obie rzeczy, o których mówisz. A nawet odwzajemnić.

– Dobrze – rzekł Tankred i wyciągnął dłoń, spoconą i brudną od zakrzepłej krwi. Ta znikła w potężnej, włochatej prawicy Jałowca, który potrząsnął nią serdecznie. – A nawet bardzo dobrze – dodał i otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale przerwało mu czyjeś wołanie:

– Tankred! Tankred!

Nim młody rycerz zdołał zrobić cokolwiek, ktoś wpadł na niego, niemalże zbijając go z nóg. Czyjeś ramiona, szczupłe, lecz silne, otoczyły jego szyję, czyjeś usta ucałowały jego brudny, nieogolony policzek. Wbity w ziemię miecz przewrócił się, potracony.

– Tankred – szepnęła Viliena, a jej dalsze słowa pochłonał szloch. – Tak się cieszę... Ja... Ja myślałam, że już po tobie...

– I z tego powodu... – Młodzieniec ze wszystkich sił stłumił wzruszenie. – Z tego powodu postanowiłaś sama udać się na wojnę? Przecież...

– Przecież co? – W oczach Sowy zamigotała zadziorność. – Przecież rolę kobiety jest zajmowanie się gospodarstwem?

– Nie, ale...

– Kobiety Hanstarów wiodły armie do boju od setek lat! – Viliena cofnęła się o krok i oparła rękę na biodrach.

– Kobiety szkolone w walce, a nie zagubione wśród ksiąg, wystraszone niezguły, które trzymają się na koniu tylko ze względu na jego życzliwość!

Oszołomiona walką Viliena dopiero po chwili zrozumiała, że Tankred się z niej natrzęsa. Parsknęła śmiechem przez łzy i znów rzuciła się w objęcia brata, a ten złapał ją i trzymał, trzymał mocno, jakby świat miał się za moment skończyć. Zamknął oczy i wtulił twarz we włosy siostry, wciąż pachnące suchym wiatrem Ugoru.

Oddałby wszystko, by wrócić do domu, nawet jeśli miał nim być Ugór. Coś mu jednak mówiło, że upłynie jeszcze wiele czasu, nim to nastąpi. Że ledwie otworzy oczy, a stanie się coś nieprzewidzianego, coś, na co nie ma wpływu.

Coś, co skaże go na kolejną wędrówkę.

– Hanstar! – rozległo się warknięcie.

„O właśnie” – pomyślał i powoli, z ociąganiem otworzył oczy.

Alisann odzyskał już kolory na twarzy, a przymrużone niebezpiecznie powieki sugerowały, że odzyskał także typowy dla siebie humor. Stał na szeroko rozstawionych nogach z ramionami założonymi na piersi i przechylał głowę niczym drapieźnik oceniający zdobycz.

Tankred westchnął i odsunął od siebie siostrę, która na widok szaty Pieśniarza ze wszystkich sił opanowała odruch cofnięcia się.

– Jestem, jestem – westchnął. – Daliśmy im łupnia, prawda, Pieśniarzu?

Kątem oka ujrzał, jak Viliena otwiera szerzej oczy, słysząc jego poufały, swobodny ton w stosunku do owianej złą sławą sekty. Ukradkiem spojrzała na Alisanna, który pokiwał dyskretnie głową.

– Odsiecz nadeszła w odpowiednim momencie – powiedział, spoglądając na Vilienę.

Ta ukłoniła się lekko, odgadłszy w lot, że w języku Pieśniarza to najserdeczniejsze podziękowania, jakich można się spodziewać.

– Zwyciężyliśmy – ciągnął Alisann – ale mimo wszystko znaleźliśmy się w dość niecodziennej sytuacji. I o tej właśnie sytuacji chciałem ci dwa słowa powiedzieć. Na osobności.

Spojrzał przy tym wymownie na Vilienę. Dziewczyna w lot zrozumiała aluzję i odwróciła się, by odejść, ale wyprzedził ją Tankred, który złapał zaskoczonego Pieśniarza pod rękę i odciągnął go bezceremonialnie na bok. Alisann był tak zaskoczony, że nie miał pojęcia, jak zaprotestować.

– Bezczelny się stajesz! – syknął, wrywając ramię.

– Chciałeś rozmawiać.

– Nie, nie rozmawiać. Powiedzieć ci parę rzeczy. – W oczach Alisanna zamigotały złe ogniki. – Zdrada Tenketarów oraz Vlistunów nie budzi niczyich wątpliwości. Nikt im nie pozwolił na łapanie wolnych ludzi, naszych nowych poddanych, i spędzanie ich tu, by pracowali wbrew swej woli dla korzyści któregośkolwiek rodu.

– Tym bardziej że posunęli się do morderstwa, aby osiągnąć swój cel! – warknął Tankred, czując, jak odżywa w nim nienawiść.

– Milcz. – Alisann ostudził emocje młodego rycerza. – Ani słowa. Ani słowa o zamordowaniu Olwego.

– Dlaczego?



– Bo za wcześnie na tak poważne osądy.

Tankred szeroko otworzył oczy i potrząsnął głową, nie mogąc pogodzić się z jego słowami. Spojrzał na Vilienę, która stała kilka kroków dalej i zerknęła na niego, zajęta rozmową z Trismundem, noszącym rękę na zaimprovizowanym temblaku, i poszarzałym na twarzy ze zmęczenia Bardunem.

– Za wcześnie? – parsknął. – To znajdź Stunna Tenketara! Wezwij to swoje cholerne Widmo i każ mu go odnaleźć. Sam mnie przestrzegalesz, żeby nie wymierzać sprawiedliwości zbyt wcześnie. Czemu więc nie teraz, co?

– Wystarczyło ci kilka dni z dala od rodaków, byś się upodobił do miejscowych? – syknął Alisann. – My mamy zasady, Tankredzie. Mamy prawo. Nie będziemy wymierzać sprawiedliwości tępym toporem na środku pola bitwy!

– Nie, skądże – parsknął Tankred. – Przecież należy uruchomić śledztwo, prawda? Niekończące się, przekłete...

– Muszę przesłuchać Cedriga – przerwał mu niewzruszony Alisann. – Muszę ująć Stunna Tenketara. Muszę zebrać zeznania twoje i wszelkich możliwych świadków, a potem dokonać stosownych aresztowań. Trzeba działać powoli, dyskretnie i skrupulatnie, Hanstar. Do czasu zapadnięcia wyroku na sądzie królewskim lepiej milcz.

Tankred westchnął ciężko, z rezygnacją.

„Chwilę temu towarzysz broni, a teraz bezduszny urzędnik, gotowy napawać się śledztwem – pomyślał. – Cóż, to chyba koniec naszej zażyłości, Pieśniarzu. Długo nie trwała, ale dobrze, że spełniła swe zadanie”.

Wtedy spojrzał na Jałowca. Niemożliwym było, by druid słyszał ich rozmowę, ale mimo to patrzył na niego znacząco i uśmiechał się lekko, niemalże cynicznie. Jakby chciał mu coś przekazać.

Bądź przypomnieć o tym, co Tankred sam już wiedział.

Chciał zrobić krok ku niemu, ale druid odwrócił się właśnie ku wyzwolonym niewolnikom i nachylił się, by poprawić komuś brudny bandaż.

– Mam milczeć? – spytał znużony. – Dobrze. Tak chyba nawet lepiej. W końcu rozmowa z tobą i tak do niczego nie prowadzi. O jedno tylko spytam. Potrzebujesz jakiejś pomocy w poszukiwaniu Stunna Tenketara?

– Nie. – Alisann zmrużył oczy. – Daleko skurczybyk nie ucieknie, a ja wolę poczekać, aż oba hufce odjadą. Nie chcemy chyba, by rycerze zaczęli gadać o tym, że Pieśniarz zorganizował obławę na któregoś z Tenketarów?

– Czemu nie? Skoro to zdrajca?

– Myśl! – syknął Pieśniarz z furją, aż kropelki jego śliny padły na twarz rycerza. – Prędzej czy później ktoś zada sobie pytanie, dlaczego zdradzili, skoro król włada Królewską Talią. A potem pojawi się wątpliwość: „A może nie ma już Talii?”. Wiesz, co by to oznaczało?

– Wiem. Kolejne bunty. Rozpad Mandylionu.

– Skoro to wiesz, nie zadawaj durnych pytań! – Pieśniarz wyszczerzył zęby.  
– Podsumujmy wszystko jeszcze raz. Kto, oprócz nas dwóch i Barduna, wie o przypuszczalnym zaginięciu Talii?

– Moja ciotka Talvina. Być może też Viliena i Gwinulf. Nie mówiłem im wprost, ale możliwe, że się domyślili.

– I nikt poza nimi?

– Nikt – skłamał ponownie Tankred.

– A ten szaman?

– Druid. Nie.

– Dobrze. Będiesz mi towarzyszył w śledztwie. Pojedziemy razem do Ugoru, a stamtąd do Posepnej Łuny.

Słowa Pieśniarza przypomniały Tankredowi o Jałowcu. Odwrócił głowę, nie zwracając uwagi na dalsze słowa Alisanna, i próbował go odnaleźć w tłumie wyzwolonych niewolników, ale nigdzie go nie widział. Jego wzrok prześlizgnął się daleko wśród łagodnych, zasnutych mgłami wzgórz.

„Gdzie jest ten przeklęty druid? I co miały oznaczać te jego spojrzenia? Czyżby wiedział o czymś, o czym ja nie mam pojęcia?”

– Hanstar! Czy ty mnie słuchasz?

„Visteni. Ostatni król Taliadu. Pieśniarz skupia się tylko na spisku rodowym, a tymczasem... A tymczasem prawdziwe zagrożenie czai się gdzieś indziej”.

Na łagodnej, błotnistej przełęczy, tej samej, którą pokonali, nim rzucili się na Sępy, pojawił się samotny jeździec. Zatrzymał się, jakby oszołomiony pobojowiskiem, ale wahanie nie trwało długo. Zjechał ostro w dół i zaczął

kluczyć wśród ciał ludzi i koni, wśród ułamków włóczni i gąszczy wbitych w błoto strzał. Płosząc stada czarnego ptactwa, zmierzał ku nim.

– Słucham, pewnie. Śledztwo.

– Wybierz kilku najbardziej zaufanych ludzi z załogi Ugoru. Zostaną tu z nami, by pomóc w ujęciu zdrajcy Tenketara. Potem... Na co ty się gapisz?

Jeździec wyminął miejsce, gdzie eksplodowała bomba gnomów – nadal trzaskały tam płomienie i bulgotało wrzące błoto – a potem zatoczył kolejny łuk, by znaleźć się jak najdalej od gnomów, które z dzikimi wrzaskami usiłowały zacumować swój rozchwybotany statek powietrzny. Był ubrany na modłę mandylionską i uzbrojony po zęby, a jego koń, choć znużony, wydawał się silny i proporcjonalnie zbudowany, niemniej jeździec pochylał się w siodle i rozglądał na boki z wyraźną niepewnością.

Tankred zrobił krok do przodu.

– Hegrun? – spytał z niedowierzaniem.

Na jego widok przybysz odetchnął z wyraźną ulgą i popędził konia. Zeskoczył w krwawe błoto i pokłonił się nisko Hanstarowi, a potem zerknął z lękiem na Pieśniarza.

– Jeśli spieszyłeś się na bitwę, Hegrun, to obawiam się, że się niestety spóźniłeś – rzekł Tankred, nawet nie kryjąc sarkazmu.

– Ja... Ja... – zawahał się giermek. – Ja list przywożę. Od pani Talviny.

– Dawaj!

Tankred wyrwał pergamin z rąk chłopaka, złamał pieczęć i w okamgnieniu zapoznał się z treścią.

„Już wiem, o co ci chodziło, Jałowiec” – pomyślał. Potem odetchnął głęboko i odwrócił się do Pieśniarza.

– Mam dla ciebie złą wiadomość – powiedział zmienionym głosem. – Będziesz musiał zająć się poszukiwaniem Stunna sam. Ja mam o wiele ważniejszą rzecz do załatwienia.

– Co jest ważniejszego od śledztwa, od którego zależy przyszłość królestwa? – Alisann uniósł górną wargę i drapieźnie odsłonił zęby.

– Samo Królestwo na Wygnaniu.

– Miałeś na myśli Nowy Mandylion! – Pieśniarz skrzywił się.

– Doprawdy. – Tankred uśmiechnął się bez wesołości. – Nie mam pojęcia,

dlaczego zmarnowałem z tobą aż tyle czasu.

Z tymi słowami ruszył w kierunku statku powietrznego gnomów, które właśnie kłóciły się przy swoim gigantycznym samowarze.

– Stój! – huknął za nim Pieśniarz. – Stój, bezczelny smarkaczu!

– Na otarcie łez zostawiam ci tego oto Hegruna! – zawołał Tankred, który nawet nie zwolnił kroku. – Skoro tak bardzo lubisz przesłuchiwać, to zacznij od człowieka, który na własne oczy widział śmierć Olwego.



## Droga do Tangsteuu

Zgrzytnęła wysuwana szuflada, zaszumiał wsypywany proszek, zahuczało rozgrzane powietrze. Thanni zakręcił wajchą i stara szalupa, podwieszona pod balonem z pozszywanych skór, opadła kilkanaście metrów w dół z takim impetem, że Through stracił równowagę i padł ciężko na siedzenie.

– Jesteś nienormalny, człowiek – oznajmił gnom z całkowitym przekonaniem. – Tak nienormalny, że... Że już normalnie nie wiem, jak to ująć.

Tankred, który słyszał te słowa już kilkanaście razy, nie zareagował. Wychylił głowę za burtę i spojrział w kierunku przybliżającej się ziemi. Gwiazdy na granatowym niebie matowiały, w miarę jak powietrzny statek gnomów powoli zanurzał się w grubą, gęstą warstwę mgieł i oparów zasnuwających Dymiące Wzgórza.

Prosto na spotkanie błotnistej doliny. Tej samej, którą hufiec Stalowej Duszy przebył przed południem, ścigając tabuny Sępów.

– Moglibyśmy być już w połowie drogi do Posępnej Łuny – stwierdził Thanni.

Tankred wyczuł w jego głosie brak przekonania, zupełnie jakby gnom narzekał dla samego narzekania. Uniósł głowę i spojrział w oczy rozbójnika,

błyszczące dziko i niebezpieczne.

– Czy mam ci przypomnieć o umowie, którą zawarliśmy? – spytał cicho. – Chcecie się zemścić na Tenketarach czy nie?

– Chcemy – rzekł Thanni. Ponownie bez przekonania.

Through wsparł się łokciem o największe pokrętko i odsunął powygniatany kapelusz do tyłu. Grops mamrotał coś pod nosem, ani chybi magiczną inkantację, ale również nie spuszczał oczu z Tankreda.

Ten zaśmiał się cicho.

– Coś mi się nie wydaje – oznajmił. – Swoją zemstę najwyraźniej już wywarliście, zabijając tych dwóch na szlaku z Ostańca. Teraz interesują was konkrety. Konkrety, które w obliczu nadciągającej wojny nabierają szczególnego znaczenia.

– Po pierwsze, to nie wiem, o jakiej wojnie mówisz – odparł ostrożnie Thanni. – A po drugie, to nie wiem, jakie konkrety masz na myśli.

Tankred odchylił głowę do tyłu i wpatrywał się przez chwilę w znikające gwiazdy.

– Nie rób ze mnie idioty. Rozmawialiśmy już o tym i jakoś nie przeczyłeś. Chcecie zdobyć tajniki wyrobu prochu.

– A jeśli tak – wycedził Thanni – to co?

Grops na moment zapomniał o swoich czarnoksiężskich aspiracjach i dyskretnie zacisnął dłoń na wielkiej, nabijanej gwoździami maczudze, a Through przestąpił z nogi na nogę, ale tak gwałtownie, że szalupa zakołysała się lekko, jakby chciał ostrzec: „Uważaj na to, co zamierzasz powiedzieć. Jesteś naszym gościem, a na domiar złego lecisz kilkadziesiąt metrów nad ziemią”.

– Nic. – Tankred spojrzał beznamiętnie w oczy rozbójnika. – Zupełnie nic.

Thanni odkaszlnął i przechylił lekko głowę.

– Zawsze miałem wrażenie, żeś trochę pogięty. Nawet jak na człowieka. Ale teraz to już kompletnie cię nie rozumiem.

– Bo brak ci wszechstronnego wykształcenia z dziedziny polityki i historii. – Tankred uśmiechnął się krzywo. – Podobnie zresztą, co przyznaję z żalem, jak większości moich rodaków. Broń palna i proch, dotychczas nasz sekret, nie mogą pozostać pilnie strzeżoną tajemnicą. Na pewno nie w chwili, gdy stoimy

w obliczu wojny.

– Czyli – podchwycił chytrze Thanni – naprawdę nie miałbyś nic przeciwko temu, byśmy ową tajemnicę przejęli?

– Nie.

– I – gnom wydał wargi – z godnością nosiłbyś miano zdrajcy? Mandyliończyka, który wydał tajemnicę królestwa pokurczom z zadymionych jaskiń?

– Być może.

– Dalej nie rozumiem – rzekł Thanni. Myny Gropsa i Thrugha sugerowały, że oni też nie nadążają. – Jesteś pewien, że nikt cię przypadkiem nie rąbnął czymś ciężkim podczas bitwy?

– Chcecie poznać tajemnicę prochu? Proszę bardzo, oto krok pierwszy.

Statek powietrzny gnomów, oświetlony pojedynczą latarnią zatkniętą na dziobie i migotliwą emanacją przebijającą przez szczeliny pieca, opadał wolno ku ziemi niczym potwór z ciemnych głębin morskich. Thanni, który wysłuchał wyjaśnień Tankreda, uśmiechnął się krzywo i bardzo, bardzo nieprzyjemnie.

– Wszechstronne wykształcenie w dziedzinie polityki i historii jak widać dobrze ci służy – oznajmił i wyjrzał za burzę.

Statek powietrzny był coraz bliżej ziemi. Przywódca gnomów dał sygnał Thrughowi, który zamknął przepust. Zgrzytnęło, zasyczało, zadymiło, szalupą targnęło, ale opadanie zwolniło. Tankred i Thanni wyteżyli wzrok.

– Tam – wskazał rycerz.

– Jesteś pewien? – Gnom zmarszczył brwi.

– Tak, chyba tak. Nie możecie pokierować się węchem?

– Nie. Za bardzo śmierdzi siarką. Poza tym wolałbym tu nie błędzić. Wiesz, to Widmo jest dość niepokojące.

– Nie przejmuj się Widmem. Spojrzałem na nie pod słońce.

– I co?

– Żółtozielone. Traci orientację w mroku.

Thanni zmrużył oczy i rozchylił usta, jakby chciał jeszcze o coś spytać, ale pokręcił głową, rozmyśliwszy się. Odwrócił się ku kamratom, a wtedy odezwał się Grops:

– Tam jest! – szepnął podekscytowany. – Tam!

W istocie, wzdłuż zbocza wzgórza, zauważalnie blisko jaskiń, które Tankred wypatrzył za dnia, przesuwał się jakiś migotliwy, niespokojny ognek.

– Gdyby nie moja magiczna inkantacja, nigdy bym nie zauważył – trajkotał Grops. – Mówię wam, nie doceniacie magii, nie rozumiecie...

– Czy ta twoja inkantacja – przerwał mu Tankred – mówi może coś o tożsamości tego ognika? Nie jest to jakiś pisklin, kobold czy inne szkaradztwo?

– Żaden z mieszkańców Dymiących Wzgórz nie nauczył się jak dotąd korzystać z dobrodziejstwa ognia – rzekł Thanni. – Co zresztą jest dość logiczne. W przeciwnym razie całe to miejsce już dawno wyleciałoby w powietrze. To ten drań.

Dorzucił jeszcze parę zdań w suchym języku gnomów. Thruugh i Grops zakrzętnęli się, zaciągnęli kilka wajch przy piecu, wyrzucili dwie liny na zewnątrz, złapali broń i zamarli przy burcie. Kil szalupy miękko ugrzązł w błocie. Gnomy zwinnie wyskoczyły przez burcę i przymocowały cumy.

Thanni odbiegł kilka kroków w mrok, ale zatrzymał się i odwrócił ku Tankredowi, który nawet nie drgnął.

– Nie masz zamiaru do nas dołączyć? – warknął.

– Ja już się dzisiaj napracowałem – westchnął Tankred i rozsiadł się wygodniej na dziobie szalupy. – Poza tym ktoś musi pilnować twego rodowego skarbu.

Thanni zmełł przekleństwo, odwrócił się i znikł w ciemnościach, a za nim posapujący chrapliwie Thruugh i mamroczący zakłęcia Grops.

Tankred nie przesadzał – nie wyspał się porządnie od wielu nocy, a bitwa okazała się dlań nadludzkim wysiłkiem. Mięśnie i stawy płonęły żywym ogniem, ranki i skaleczenia piekły, a ból głowy łagodniał tylko po to, by po chwili znów eksplodować ze zdwojoną siłą. Rycerz zaciskał z frustracją pięści, wiedząc, że ma jeszcze wiele decyzji do podjęcia. Potrzebował tej chwili, by się zastanowić, by raz jeszcze przemyśleć kolejne kroki, ale umysł okazał się nieposłuszny. Myśli mętlały, rozmywały się, gasły.

Tankred westchnął bezsilnie i oparł głowę o stwę dziobową. Przymknął powieki.

Na moment.



Obudził go głośny łoskot i przekleństwa po mandylionku. Otworzył oczy, zerwał się, odruchowo złapał za miecz. W świetle jedynej latarni, obrzucającej wewnątrz łodzi nikłym, migotliwym blaskiem, ujrzał twarz Stunna Tenketara, brudną od błota i zaschniętej krwi, zastygłą w wyrazie bezsilnej furii. W jego szyję wrzynała się linka, którą trzymał przełazący przez burłę Thruugh.

– No, człowiek! – warknął Thanni i z całej siły kopnął Mandylionczyka w zadek. – Włóż, bo cię...

Tenketar odwrócił się gwałtownie, jakby chciał skoczyć na gнома, ale wtedy Grops zgnął go długim bosakiem w bok. Mężczyzna syknął, cofnął się, potknął o burłę i z łoskotem wylądował na pokładzie.

Wtedy dostrzegł Tankreda. Odruchowo zerknął w dół, ku jego przegubom, i otworzył szerzej oczy, najwyraźniej zaskoczony brakiem więzów.

– Ty... – wyrzeźił. – Ty z nimi pracujesz? Ty za tym stoisz?

Jęknął, gdy Thruugh, wiążący go do klamer w dnie łodzi, kopnął go w goleń. Thanni, umorusany i zdyszany, uruchamiał piec, który posykiwał niczym żywe stworzenie, a Grops zwijał cumy.

W oczach całkiem już rozbudzonego Tankreda zamigotały bardzo złe ogniki.

– Wydajesz się zdziwiony – wyszeptał spokojnie.

– Posłuchaj, Hanstar – zaczął cichym, konspiracyjnym tonem Tenketar. – Posłuchaj mnie uważnie, żebyś przypadkiem jakichś mylnych wniosków nie wyciągnął. Mam z tymi knypkami sprawę, której...

Tankred chciał mu przerwać, ale wyręczył go Thruugh, który wymierzył Stunnowi potężny kopniak w bok.

– Nie wysilaj się – szepnął młody Hanstar. – Doprawdy, szkoda twego wysiłku. Pozwól, że to ja ci wszystko opowiem, a ty skorygujesz pewne fakty, dobrze?

Tenketar rozchylił usta niczym ryba wrzucona na pokład łodzi rybackiej, z trudem łapiąc oddech. Białka jego oczu łyskały dziko.

– Skądś się dowiedzieliście o zaginięciu Królewskiej Talii – ciągnął Tankred, wychyliwszy się ku skrepowanemu, sapiącemu więźniowi. Mówił szeptem, ale był pewien, że gnomy, uwijające się w ciszy na pokładzie szalupy, nie ronią ani słowa. Syczał piec, łopotął skórzasty balon. – Wy albo

Vlistunowie. Stawiałbym na Vlistunów, bo plotka głosi, że król zapadł na szarą rozpacz, a komuż zwierzy się cierpiący człowiek, jeśli nie zaufanemu lekarzowi? Na przykład Pierwszemu Medykowi? Zawarliście więc tajny sojusz, by zmienić układ sił w królestwie. Chcąc wybić się ponad tych, co dotychczas wiedli prym, uknuliście wielką intrygę, której celem było zdyskredytowanie mojego rodu.

– I to cię boli, tak? – wysyczał Tenketar. – Że ktoś chciał zakasować wspaniałych Hanstarów, którzy od wieków szeptali królom rady do ucha?

– Nie, nie to. – Tankred zacisnął zęby. – Pułapka, w którą wciągnęli mnie ludzie Vlistunów w Mieście na Skale, była ciosem poniżej pasa, ale naprawdę boli mnie to, że zabiliście Olwego.

Stunn Tenketar wciągnął ze świstem powietrze.

– Nie masz na to – powiedział powoli – żadnych dowodów.

Tankred milczał przez moment, ze wszystkich sił narzucając sobie spokój.

– Jedynym miejscem w całym Taliadzie, gdzie znajdują się zasoby siarki niezbędnej do produkcji prochu, są Dymiące Wzgórza – podjął. – Nie wiedział o tym nikt z wyjątkiem was, Tenketarów, a ściślej mówiąc, ciebie. I tychże, jak ich przyjaźnie nazwałeś, knypków, których wynająłeś, by towarzyszyli ci podczas badania tego terenu. Gdy dowiedzieliście się, że król nieoficjalnie przydzielił Dymiące Wzgórza nam, Hanstarom, postanowiliście działać. Pchnęliście najemników z Pogranicza w ślad za Olvem i jego orszakiem, a Vlistunowie zrobili coś, by król zapomniał o swojej decyzji. Olve zginął w zasadzce, a dekretu królewskiego jak nie było, tak nie ma.

– Jak już mówiłem, nie masz dowodów.

– Są spalone szczątki waszej faktorii. Są wozy pełne narzędzi górniczych. Są setki niewolników, których zawczasu łapaliście po całym Taliadzie, by zmusić ich do pracy na Dymiących Wzgórzach.

– I w jaki sposób chcesz to powiązać z morderstwem? – parsknął szyderczo Stunn Tenketar. – Skoro Dymiące Wzgórza były oficjalnie ziemią niczyją, wzięliśmy się do pracy, by jak najszybciej wyprodukować proch i ruszyć królowi z odsieczą!

– A niewolnicy? Niewolnictwo jest zabronione przez nasze prawo.

– W chwili gdy byt naszego królestwa jest zagrożony – Tenketar skrzywił

się – liczy się tylko przetrwanie.

– Byt naszego królestwa nie był zagrożony do chwili, kiedy weszliście w układy z najemnikami z Pogranicza. – Tankred miażdżył wzrokiem rywala. – Czego najlepszym dowodem był ich atak na wasze obozowisko. I to, że wyglądasz, jakby gnomy wywlekły cię z chlewika.

– Bzdura! Ci, którzy nam służą, są dobrze opłaceni, karni i lojalni! Naszą przyszłą kopalnię zniszczyła jakaś inna horda tych psubratów! Dobrze, że zostali wybici.

– Otóż nie zostali – rzekł Tankred. Błoto cmoknęło, wypuszczając niechętnie kil szalupy, która, kołysząc się, ruszyła ku niebu. Stunn rozejrzał się niepewnie. W jego wytrzeszczonych oczach błysnął strach.

– Nie zostali – powtórzył rycerz. – Od człowieka, który zna Taliad jak własną kieszeń, dowiedziałem się tego, o czym ty, Tenketar, nie masz bladego pojęcia. Otóż Sępy najeżdżają Taliad w regularnych odstępach czasu, a dzieje się to na ogół wtedy, gdy państwem wstrząsają jakieś niepokoje. Z reguły najpierw wysyłają kilka oddziałów, zwanych tabunami, na zwiady. Te wędrują, plądrują, czasami zaciągają się na chwilę u zwaśnionych władców, a przez cały ten czas ślą gońców z informacjami dla towarzyszy obozujących daleko za granicami. Zbierają informacje. Dowiadują się, skąd uderzyć, by wderzeć się jak najgłębiej i złupić jak najwięcej. Dostrzegasz już analogię?

– Przede wszystkim dostrzegam pokrętną retorykę zazdrosnego skryby. – Tenketar splunął. – Skoro, jak twierdzisz, grozi nam wojna, to dlaczego krzywo patrzysz na nasze wysiłki? O co ci właściwie chodzi, Hanstar? Dlaczego mnie więzisz? Dlaczego indagujesz, na najparszywszą z Pieśni? Przeszkadza ci, że to my stworzylibyśmy proch, zawistny pyszałku? Że to my przybylibyśmy królowi z pomocą?

– Królewska Talia zaginęła – rzekł Tankred, nieporuszony wybuchem Stunna. – Nie mam pewności, do czego wykorzystalibyście ukradkiem stworzony proch.

– A więc najlepiej profilaktycznie zniweczyć nasz trud? Zakuwając mnie w kajdany? Oskarżając o morderstwo? O niewolnictwo? W chwili gdy wypruwamy sobie żyły dla dobra królestwa? Każdy Pieśniarz – Stunn mówił teraz dobitnie, wpatrując się w Tankreda – każdy Pieśniarz usprawiedliwiłby

tego, kto łamie prawo dla większego dobra. Dla dobra Nowego Mandylionu!

– Nie wiem, czy każdy. Cedrig na pewno.

Stunn Tenketar z trudem przełknął ślinę, najwidoczniej zaskoczony tonem Tankreda i imieniem, które właśnie usłyszał. W jego oczach odbiło się zdumienie.

– Nie oskarżaj innych o pokrętną retorykę, Tenketar, bo sam jesteś w tym bezkonkurencyjny. – Młody rycerz spoglądał teraz na wzgórza, powoli rozmywające się wśród mgieł i wyziewów. Gwiazdy nad ich głowami stawały się coraz wyraźniejsze, a szalupą trącały pierwsze poddmuchy chłodnego wiatru. – A swój talent krasomówczy zachowaj na spotkanie z Pieśniarzem.

– Powiem mu dokładnie to co tobie. I sam zobaczysz, czym to się skończy.

– Ciekaw jestem ogromnie. – Tankred umościł się wygodnie. – Bo widzisz, jeśli któryś Pieśniarz weźmie cię na spytki, będzie już znał historię niejakiego Hegruna. Giernka, który przeżył atak waszych siepaczy na orszak Olwego.

– Nadal to żaden dowód – prychnął Stunn. – Interesuje mnie natomiast, dlaczego użyłeś słowa „jeśli”. Czyżbyś mimo wszystko chciał się porozumieć?

– Nie – odparł krótko Tankred, a przysłuchujący się rozmowie Thanni parsknął złym śmiechem.

Odwrócił się, by wydać kilka poleceń Gropsowi. Młody Hanstar, przewiany zimnym wichrem, sięgnął po pled, ten sam, z którego korzystał podczas pierwszej podróży. Powietrzny statek gnomów powoli zawracał na północ, w kierunku Posępnej Łuny.



Obecność Stunna Tenketara miała na trójkę gnomów zły wpływ. Thanni, Grops i Thugh, którzy podczas poprzedniej podróży przekomarzali się, kłócili, obrzucali odpadkami i bez przerwy rechotali z niejasnych Tankredowi powodów, teraz milczeli posępnie i nie spuszczały z więźnia oczu. Thugh co chwila sprawdzał, czy więzy mocno trzymają, Grops rył sztyłem jakieś magiczne symbole w drewnie szalupy, a Thanni nie spuszczał dłoni z rękojeści noża. Wyglądało na to, że nad pokładem zawisła ciężka atmosfera

niewyrównanych porachunków, którą gnomy, kierujące się niepojętym dla Tankreda kodeksem honorowym, znosiły z wielkim trudem. Pozostawało mu mieć nadzieję, że propozycja, którą przedstawił Thanniemu, była na tyle kusząca, że żaden z nich nie odważy się złapać za nóż i wyrzucić zemsty.

W intrydze planowanej przez młodego Hanstara Tenketar miał odegrać ważną rolę.

Rycerz chciał porozmawiać z Thannim i ostrzec go raz jeszcze przed pochopnymi decyzjami, ale szalupa była zbyt mała na poufną rozmowę, a gnom po wzbiciu się w przestworza zaczął przypominać wściekłego, fukającego kota. Tankred uznał więc, że w tej sytuacji może zrobić tylko jedno – zawiązał się w pled i zasnął.

Szalupą kołysało, a podmuchy mroźnego nocnego wiatru przenikały liche okrycie rycerza. Co chwila otwierał oczy i siadał, otrząsając się z koszmarów. Patrzył wówczas na Stunna Tenketara, skrępowanego i dygoczącego z zimna, i trójkę gnomów, nieruchomych, zastygłych niczym złośliwe karły, wciąż złowrogo uśmiechniętych. Gwiazdy migotały, piec syczał, wiatr poświstywał. Gdzieś na horyzoncie ciemność powoli ustępowała świtowi. Pytał Thanniego, jak daleko jest jeszcze do Posępnej Łuny, ale nawet nie rejestrował odpowiedzi. Zawijał się tylko szczelniej w pled i znów zapadał w sen.

Pograżał się w korowodzie koszmarów, z których jedne spoglądały na niego oczami Vilieny i Talviny, inne krzywiły się jak Cedrig bądź szydziły niczym Stunn, jeszcze inne przeszywały go wzrokiem mocniej od samego Alisanna. Gdzieś z oddali spoglądał na niego milczący Jałowiec, mierzył z pistoletu Dagnaar Vlistun, odwracał się wyruszający w ostatni bój ojciec, drwił Visteni. Wrzeszczały wilkołaki, dudniły kopyta rozpędzonych koni, szumiało Widmo.

Ostatnia drzemka okazała się najtwardsza, gdyż Tankreda wyrwało ze snu dopiero mocne uderzenie o ziemię. Usiadł gwałtownie, odrzucając płaszcz i mrugając, by skonstatować, że szalupa zaryła kilem w wilgotnej darni, a gnomy w pośpiechu zwijają balon i opierają jego zwoje na tykach, by uchronić go przed zamoczeniem. Przez drzewa okalające kręgiem mokradła przenikały pierwsze promienie wschodzącego słońca, witane przez ptactwo tryumfalnym wrzaskiem.

– O, wreszcie żeś się dobudził, człowiek! – zawołał nieco zdyszany Thanni, zajęty wiązaniem cumy. – Nie masz pojęcia, czego żeśmy się imali, by cię rozczmuchać!

– Jednego onuca ci podsułem – oznajmił dumny z siebie Thruqh, który przysiadł na ciele półprzytomnego Stunna i pociągnął wody z bukłaka. – Prosto pod nosa, a ty nic.

– Dzięki za troskę, Thruqh. – Tankred całkiem się rozbudził na myśl o zabiegach gnomów. – Mam nadzieję, że Grops nie rzucił na mnie jakichś uroków.

– Poszedł złapać parę żabów na śniadań. Zjesz z nami?

– Nie.

– Twoja utrata – oznajmił Thruqh. – A ty nie myśl, że dostajesz jemu porcja – powiedział do Stunna i kopnął go w bok dla podkreślenia wagi swych słów.

Tankred zmrużył nieco oczy i zwrócił się do Thanniego:

– Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Nie wiem. – Gnom wzruszył ramionami. – Ale Posępna Łuna jest tam. – Wskazał palcem północ. – Niedaleko, wydaje mi się. Obrócisz w tę i nazad przed wieczorem.

– Nie mam wyboru. – Tankred wstał i rozprostował ścierpnięte kończyny. – Postaram się wrócić na czas, a wy... Cóż, nie zabijajcie Stunna, dobrze?

– A niby czemu mielibyśmy to zrobić? – oburzył się Thanni. – Równie dobrze mógłbym wywalić kufer ze skarbami do latryny!

– Rozumiem. – Tankred zbierał swą broń. Sen w niewygodnej pozycji na twardej, drewnianej podłodze tylko spotęgował ból mięśni wyniesiony z zaciętej bitwy. Każdy krok, ba, każdy ruch wydawał się wyzwaniem. – Tylko pamiętaj, że skrzynię ze skarbami otwiera się kluczem. Kluczem, a nie kilofem czy pochodnią.

– Pamiętam. – Thanni przytaknął zbyt skwapliwie, by można go było potraktować poważnie. – Serio nie chcesz zostać na żabce?

– Serio.



Jak przystało na stolicę Nowego Mandylionu, Posępna Łuna była otwarta

na świat. Przez jej szerokie bramy przetaczały się wozy wyładowane towarami, przejeżdżały oddziały straży konnej, wędrowały grupy ludzi szukających pracy, a nawet przemykały powozy dostojników rodowych, a wszystko to przy nikłym lub zgoła żadnym zainteresowaniu ze strony strażników miejskich. Tankred miał wrażenie, że ich stolica, zdobyta w zaciekłym boju, nabrała tchu i rozpoczęła nowe życie, przez co nikt nie chciał jej przeszkadzać nawet tak niezbędnymi czynnościami jak kontrola.

Zasłoniwszy twarz kapturem gnomiego płaszcza, stał przez moment obok strażników, ciekaw, czy któryś z nich w ogóle zwróci na niego uwagę. Trzech żołnierzy śledziło jednakże leniwym wzrokiem przesuwający się korowód wędrowców, ożywiając się tylko wtedy, gdy mijała ich jakaś dziewczyna. Chrapanie ich czwartego towarzysza wydawało się głośniejsze od rżenia koni.

„Gdyby Visteni był na wolności – pomyślał Tankred z przerażeniem – mógłby tu wprowadzić całą armię w przebraniu tuż pod nosem tych baranów”.

Wspomnienie Visteniego oraz listu od ciotki Talviny dostarczonego mu przez Hegruna przeszły go zimnym dreszczem. Tankred odwrócił się i ruszył przed siebie energicznym krokiem, by natychmiast wmieszać się w barwny tłum.

Rozmowy po mandylińsku i taliadzku. Śmiechy z mijanych tawern. Wrzask goniących się dzieciaków. Ostre targi z rynku warzywnego Puckhardów. Monotonny szum Cięciwy, dostojny grzmot zegara wybijającego pełną godzinę, stukot młotków z mijanej ulicy szewców – wszystko to, zamiast go uspokajać, potęgowało jedynie napięcie.

„Nie macie pojęcia, durnie, co przeżyliśmy wśród Dymiących Wzgórz – parsknął w myślach. – Nie macie pojęcia, co się szykuje na północy. Kłóćcie się! Upijajcie! Otwórzcie bramy szerzej! Może niepotrzebnie się staram? Wiele wskazuje na to, że w tych wojnach nie ma dobrej i złej strony. Może więc ta farsa powinna się jak najszybciej skończyć?!”

Cichy, cichutki głos rozsądku tłumaczył mu, że jest niewyspany, obolały i głodny, więc powinien się powstrzymać przed formułowaniem ostrych wniosków – a z całą pewnością nie wypowiadać ich na głos – ale go nie słuchał. Tym bardziej że gdzieś pośród zabudowań obrastających ciasno oba brzegi Cięciwy zamajaczyła wieża z białą kopułą.

Ambasada Rzecznego Królestwa.

Tankred przyspieszył kroku. Złość nadal kipiała w nim, grożąc, że zaraz spieni się i wybuchnie, ale młody rycerz nawet nie starał się jej stłumić. Czuł, że w rozmowie, którą przyjdzie mu niebawem odbyć, odrobina emocji może się bardzo, bardzo przydać.

Zwieńczona kopułą wieża wyrastała z kompleksu budowli, których nie widział z okienka karczmy. Wspierające się o siebie budynki z szarej cegły przypominały niewielką twierdzę, a okienka, małe i wąskie, były nadspodziewanie liczne, jakby lada chwila miała z nich plunąć salwa ostrych pocisków. Drzwi, mocne, żelazne, skryte pod podtrzymywanym kolumnami daszkiem, były zatrzaśnięte na głucho. Wokół nikt się nie kręcił, nie słychać było przekomarzań, żartów ani śmiechów.

„Jak na siedzibę tych, którzy rzekomo zawsze są skorzy do pomocy, trochę tu ponuro” – pomyślał przekornie rycerz i podszedł do drzwi.

Wtedy zadał sobie pytanie, jak to się stało, że podczas wielu pobytów w Posępnej Łunie ani razu nie zwrócił uwagi na tę przedziwną konstrukcję. Dopiero z bliska widać było, że zamiast drewnianych belek, powszechnie stosowanych do stawiania domów, budowniczo wieży wykorzystali pnie i konary żywych drzew, uformowanych przedziwną siłą tak, by stanowiły szkielet całego kompleksu. Zamiast smrodu nieczystości czuć tu było silną woń suchej kory i mchu.

Jego złość słabła. Tankred w duchu przeklął hanstarską naturę, dla której nowe odkrycia były ważniejsze od wszystkich innych zjawisk, z ludzkimi emocjami włącznie.

Złapał za kołatkę, by choć w ten sposób udowodnić gospodarzom ambasady targającą nim złość, ale w tej właśnie chwili drzwi niespodziewanie otworzyły się same, cicho i bez skrzypnięcia. W progu stanęła elfia niewiasta z czarnymi, wysoko upiętymi włosami i równie czarnymi oczami. Jej szczupłe dłonie wygładziły fałdy dostojnej ciemnobrązowej sukni i zastygły.

– Bądź pozdrowiona – odezwał się młodzieniec nienaturalnie ostrym tonem.  
– Jestem Tankred Hanstar, syn Vildurfa, mandylionński rycerz Stalowej Duszy i...

– Wiem. – Elfka cofnęła się o krok, by mógł wejść. – Ja mam na imię Ris'tah i dowiedziałam się o tobie wiele od naszych Poszukiwaczy.



– A zatem wiesz również, że...

– Że jeden z nich został przegnany przez druida – odparła Ris'tah łagodnym, cichym głosem. Taliadzkie słowa w jej ustach brzmiały naturalnie, jakby mówiła tym językiem od lat, co odróżniało ją zdecydowanie od Poszukiwacza.

– Należało się tego spodziewać.

– Czego spodziewać? – Tankred przekrzywił lekko głowę.

„Nie po to tu przyszedłeś! – ofuknął się w myślach. – Nie dawaj się jej wciągnąć w rozmowę!”

– Druidzi od zawsze bronili zupełnie innej metody kształtowania losów Taliadu i krajów ościennych – powiedziała elfka i odwróciła się z cichym szelestem brązowej szaty. – Trudno ich o to winić. Mają wszak prawo do własnego zdania.

– Tak się akurat składa, że ich poglądy brzmią dość sensownie – rzekł rycerz i z niechęcią przekroczył próg. W środku zapach kory był jeszcze bardziej intensywny i przyjemny. – Najbardziej jednakże podoba mi się w nich to, że nikogo nie wodzą za nosy. Nie manipulują innymi dla własnych celów.

Kliknęły cicho zamykające się drzwi, odcinając zgiełk miasta.

– Tak jak czynią to przykładowo wasi Pieśniarze? – Ris'tah zatrzymała się i spojrzała przez ramię. Jej cienkie brwi wygięły się w łuki.

– Słuchaj, ja nie przybyłem tu, by dyskutować o wizji świata! – warknął Tankred. – Przyszedłem, by was ostrzec!

– Ostrzec – rzekła elfia niewiasta i odwróciła się ku niemu powoli. Jej twarz nadal była całkowicie nieruchoma, ale ów ruch, choć pozornie niegroźny, wydał mu się drapieżnym wyzwaniem. – A przed kim?

– Ostrzec – powtórzył rycerz, mrużąc oczy. Odruchowo chciał oprzeć dłoń na rękojeści miecza, ale powstrzymał się. Został przecież zaproszony do środka jako gość. – Mówię to jako następny przywódca jednego z najważniejszych rodów Mandylionu, a także jako ten, którego jeden z waszych Poszukiwaczy usiłował wplątać we własną intrygę. Chciałem przekazać, że nie godzę się na takie zagrania. Nie mam najmniejszego zamiaru stawiać się czyjaś zabawką i nie puszczę wam tego płazem.

– Czego nie puścisz nam płazem? – Spokój elfiej niewiasty mógłby wzbudzić zazdrość kamiennego posągu. – Tego, że Poszukiwacz dwukrotnie ocalił ci życie? Byś mógł walczyć dla swego rodu? Dla swego króla? Byś

mógł demaskować spiski wewnątrz królestwa i ostrzec rodaków przed inwazją Sępów?

Tankred powstrzymał się przed otwarciem szeroko ust.

„Skąd ona to wszystko wie?” – przeszło mu przez myśl.

– Nie zrobiliście tego dla mnie – warknął. – Ów Poszukiwacz ocalił mnie dlatego, że byłem wam potrzebny. Studiujecie przeznaczenie, widzicie Znaki, potraficie oszacować przydatność odnalezionych osób i nałóżycie je wykorzystywać. Wiedzieliście, że będę próbował ostrzec mych rodaków przed nadciągającą inwazją. Wiedzieliście, że pomagając mi, pomożecie jednocześnie sobie.

– Czyż to nie czyni naszych dokonań o wiele szlachetniejszymi? – spytała elfka.

– Nie. Czyni to was jedynie manipulacjami i intrygantami. – Rycerz zgrzytnął zębami z pozorną pewnością siebie, która słabła pod wpływem spokojnych słów rozmówczynie. – Przegnanie Sępów to dla nas tylko kwestia czasu.

– Doprawdy?

– Doprawdy. Wówczas zrobię wszystko, a jako krewny Pierwszego Doradcy mogę naprawdę wiele, by uwaga mego władcy zwróciła się ku Rzeczemu Królestwu. Jak do tej pory nasze państwa obchodziły się szerokim łukiem. Może pora to zmienić i pokazać wam, że nie jesteśmy kmiotkami, których można wodzić za nos? Może pora, byście się przekonali, że Mandylion to największa potęga militarna w tym regionie?

Cisza, jaka zapadła po jego wyrzuconym jednym tchem oświadczeniu, wprost kłuła w uszy. Tankred naraz odniósł wrażenie, że poza jego rozmówczynią w ambasadzie nie ma żywego ducha. Co więcej, zrozumiał, że jego słowa, tak starannie przemyślane i przećwiczone, w starciu z obojętną, niemalże nieobecną miną Ris'tah wydają się wręcz głupie.

– Chcę, byś przekazała moją wypowiedź ambasadorowi – dodał, siłąc się na autorytet.

Nieco zbyt późno zrozumiał, że nie zna tożsamości kobiety, z którą rozmawia. Równie dobrze mógł właśnie wygłosić swój butny komunikat w przytomności zwykłej służącej. Policzki go zapiekły, jakby zaczął się rumienić ze wstydu.

– Dobrze – rzekła elfka.

Tylko tyle. Jedno jedyne słowo, nieokraszone żadną miną, gestem czy komentarzem. Gdyby niespodziewanie stanęła w płomieniach i przeobraziła się w smoka, zdziwienie Tankreda na pewno nie byłoby większe.

Tym bardziej że przyjmując groźbę do wiadomości, Ris'tah wytrąciła mu z ręki kolejny argument.

– Jest pewien sposób, by tego uniknąć – podjął, przełknąwszy ślinę. Pod wpływem penetrującego wzroku elfiej niewiasty – odkrył, że ma ogromne, orzechowe oczy – gubił się i jąkał niczym podczas egzaminów w odległej, nieistniejącej już Skalinie. – Dowiedziałem się od przyjaciela, że wasz naród słynie z umiejętności leczenia. Nie tylko dolegliwości ciała, ale i ducha. Rzekomo wszystkich, jakie występują w Taliadzie.

– Dobrze ci mówiono.

– Pojawiła się... – Tankred się zawahał. Zdołał się już przyzwyczaić do obcesowych, bezpośrednich gnomów, ale wyjawienie tajemnicy przed tą wyniosłą, zdystansowaną i nieludzko wprost opanowaną istotą przychodziło mu z trudem. – Pojawiła się plotka, że nasz władca... Że król Mandylionu Duncan III z rodu Vailinów cierpi na chorobę, zwaną... Zwaną szarą rozpaczą.

– My znamy ją pod inną nazwą. – Elfka przytaknęła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. – Niemniej znamy ją dobrze. Dotyka bowiem wielu, którzy ściągają do Taliadu i postanawiają tu zamieszkać. Bez względu na powody, dla których tę decyzję podjęli. Nie wiemy, skąd się bierze, nawet najwięksi mędracy łamią sobie nad tym głowę, ale doczekała się tylu opisów, że trzeba ją uznać za fakt. Taliad to zaiste osobliwa kraina.

Oczy Ris'tah błysnęły lekko, jakby była zaciekawiona, czy Tankred również zdaje sobie z tego sprawę. Jakby drwiła z bezsilności tych, którzy tu trafiają. Z otchłani wspomnień młodzieńca nadciągnęły słowa wypowiedziane mocnym, znajomym głosem:

„Nic dziwnego, że rządzący Rzecznym Królestwem wzięli was na celownik. W końcu, mimo całej waszej potęgi, błąkacie się niczym dzieci we mgle”.

Tankred zacisnął zęby. Znów zawładnęła nim wściekłość, tym razem z gatunku tych najbardziej pierwotnych. Wściekłość biorąca się z bezsilności.

– Skoro ją znacie – wycedził. – Skoro znacie tę chorobę, to czy... To czy znacie na nią lek? Potraficie ją odegnąć?

– Tak. Przynajmniej na jakiś czas.

– Czy więc... Czy zrobiłabyś to? Czy bylibyście gotowi nam pomóc?

– Tak.

Tym razem Tankred nie był w stanie opanować złości.

– Tak po prostu? – parsknął. – Bez żadnego „pod warunkiem”? Bez negocjacji, roztrząsania konsekwencji, cynicznych komentarzy i innych takich? Chcesz, bym wyszedł stąd z przeświadczeniem, że wysłannicy Rzecznego Królestwa to miłujący pokój dobroczyńcy, gotowi zrobić wszystko, by ocalić ludzi, którzy obrócili Taliad w perzynę? W co ty próbujesz mnie wciągnąć? W jaką grę grasz?

– Pomagając wam, pomagamy sobie – stwierdziła elfka. – Czyż to nie szlachetniejsze od polityki tych, którzy myślą tylko o własnym interesie? Bądź skupiają się na szkodzeniu?

– To niecodzienne. I z tego względu podejrzane.

– Chodź ze mną.

Elfka odwróciła się niespodziewanie i ruszyła płynnym krokiem przed siebie. Ciemnobrązowa szata unosiła się nad kamienną podłogą, wysoko upięte czarne włosy były jednakże równie nieporuszone jak jej spojrzenie. Tankred, wciąż wzburzony, dał się uwieść ciekawości i ruszył za Ris'tah korytarzem z szarej cegły. Jego wzrok prześlizgnął się po ścianie, w której na podobieństwo żył wiły się konary nieznanego mu drzewa, idealnie wkomponowane w strukturę, ciągnące się daleko, formujące żywe belki nad ich głowami i rozgałęziające się w nadproża na końcu korytarza. Wtedy uwagę młodego rycerza przyciągnęło światło wypełniające pomieszczenie za drzwiami.

Znał jego natężenie i barwę. Identyczne wylewało się z dziupli w Stęchliźnie.

W samym środku sali, do której weszli, w istocie wznosiło się sędziwe drzewo z promieniejącą światłem dziuplą, ale nie na tym kończyła się jego rola. Z podłogi wyrastały dziesiątki, być może nawet setki korzeni, przypominających zastygłe macki ośmiornicy, które przemyślnie zaadaptowano na stanowiska pracy. Na niektórych korzeniach, wyslizganych i wygodnych, siedziały milczące elfy, pochylone nad księgami ułożonymi na innych korzeniach, szerokich na tyle, by pełniły funkcję stołów, bądź wzbogaconych

o wąskie blaty. Z góry dołączały do nich mocne, poskręcane gałęzie, które – nakłonięte nieznaną mocą – tworzyły niezliczone półki i blaty dla ksiąg, zwojów i instrumentów nieznanego przeznaczenia.

Tankred zatrzymał się w progu, czując, jak jego hanstarska natura bierze górę nad wszelkimi emocjami. Wiódł wzrokiem po dziesiątkach lunet rozstawionych przy oknach, po cyrkłach, linijkach i astrolabiach rozrzuconych na biurkach, po gęsich piórach trzęsących się nad rozwiniętymi arkuszami papieru, po tabelach i otwartych księgach muskanych odległymi przeciągami. Na sklepieniu, zaskakująco gładkim, widniały drobne, błyszczące dyskretnie punkciki. Minęła dłuższa chwila, nim Tankred uświadomił sobie, że widział je zeszłej nocy z pokładu płynącej przez niebiosy szalupy.

Nieboskłon.

Serce zabiło mu żywiej, gdy uświadomił sobie, że po raz pierwszy od przybycia do Taliadu stanął na skraju wielkiej Tajemnicy.

Żaden z pracujących tu elfów nie uniósł nawet głowy, by na niego spojrzeć. Ośmielony Tankred chciał podejść i zajrzeć któremuś z nich przez ramię, ale wtedy dostrzegł, że Ris'tah w brązowej szacie kiwa na niego palcem. Dopiero teraz zauważył, że na piersiach nosi medalion w kształcie żelaznego słońca.

Podszedł niechętnie bliżej i uświadomił sobie, że elfka pochyła się nad mapą północy Taliadu, niezwykle wierną i wyraźną.

– Każdy z narodów Taliadu ma swoje zadanie do wypełnienia – oznajmiła, trafnie odczytując pytające spojrzenie Tankreda. – My, prócz tego, że niesiemy ukojenie cierpiącym, nauczyliśmy się spoglądać w przyszłość i rozgryzać tajniki przeznaczenia, czym zajmujemy się zarówno tu, jak i w Rzeczy Królestwie.

– Pieśniarze uczą, że przyszłość jest nieodgadniona, gdyż jej przebieg zależy tylko i wyłącznie od nas – burknął młodzieniec. – Uważają przewidywanie przyszłości za marnotrawstwo czasu.

– Lepiej wzbraniać uprawiania sztuki spoglądania w przyszłość, niż robić to źle – oznajmiła elfia niewiasta. – Lepiej milczeć, niż wskazywać niepewny wynik.

– Każdy wynik, który nie jest oparty na solidnych dowodach, jest w najlepszym razie niepewny – rzekł hardo Tankred, choć jego zaciekawione spojrzenie co chwila uciekało ku księgom, mapom i instrumentom.

– Nie zapomnij jednakże, że mój naród miał tysiące lat na to, by przekształcić tę dyscyplinę w solidną, wiarygodną naukę. – Smukłe dłonie kobiety rozprostowały mapę w kilku oszczędnych ruchach. – I wykorzystywać w niej takie rzeczy jak ludzkie obyczaje, prawidłowości natury czy dane wywiadu. Nie masz pojęcia, ile można osiągnąć na podstawie matematyki, astronomii i zwykłej przyziemnej wiedzy. Potrafimy przewidzieć, a raczej obliczyć zarówno pogodę na następny tydzień, jak i urodzaj w całym sezonie, a nawet rozwój wydarzeń politycznych. Wojen również.

Tankred chciał zaprotestować, ale jego rozmówczyni zamknęła mu usta, wbijając palec w jeden punkt na mapie.

– Oto obóz królewski na skraju Szczeliny, położony niedaleko Ogniwa, jedyne go mostu, który przerzucono przez tę przepaść – mówiła cicho i przysmykała przy tym oczy. – Od wschodniej strony Szczelina dociera do Kamiennego Stogu, wysokiej, skalistej góry, która otwiera łańcuch zwany Rogami. Kilka mil przed Kamiennym Stogiem zakręca szeroka, nieprzebyta rzeka, którą ludzie nazywają Toporzyskiem. Wróg, którego się nie spodziewacie, przybędzie od strony lewego brzegu.

– Co? – wykrztusił rycerz.

– Słyszałeś mnie. Oto dowód na naszą życzliwość, Tankredzie. Życzliwość i zwykłą troskę o losy tego świata, wcale nie tak różną od tej, którą okazują druidzi, gdy się nad tym zastanowisz. A teraz chodź ze mną. Dam ci to, po co tu przybyłeś.

Oszołomiony Tankred patrzył, jak niewiasta nachyliła się i wyciąga spod korzeni zwykłą, niczym niewyróżniającą się skrzynkę, a potem otwiera ją z głośnym sapnięciem i wyjmuje z niej metalową kulę.

– Zatrzymaj to – powiedziała i wcisnęła mu przedmiot do ręki. Kula okazała się zaskakująco ciepła, a surowiec, z którego ją wykonano, wydawał się miękki. Tankred odruchowo zacisnął na niej dłoń, a wówczas odkrył, że metal ciemnieje wokół jego palców. – Zatrzymaj to. – Oczy elfki skrzyły z niejasnych powodów. Ironia? Współczucie? Rozbawienie? – To pomoże wam w pokonaniu szarej rozpaczy.



Ogień trząsał w kominku. Połączone litery ciągnące się wzdłuż grzbietów książek mieniły się w blasku płomieni, a w oknach wisiały długie, aksamitne zasłony, trącane lekkim przewiewem. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak podczas ich wizyty przed kilkoma dniami, do tego stopnia, że Tankred spodziewał się, że odwróci głowę i ujrzy ucztujące gnomy.

Niestety, salon siedziby rodowej był pusty, a problemy, które targały udręczonym umysłem młodego rycerza, zdawały się potęgnić z każdą chwilą. Co więcej, świadomość, że gdzieś w piwnicach Domu przetrzymywany jest najgroźniejszy człowiek w Nowym Mandylionie, a obok niego więziony jest Pieśniarz zdrajca i rozbrojony Jastrzębi Rycerz, przydawała chłodu panującej tu ciszy.

– Jesteś tego pewna, ciociu? – spytał głucho i wyciągnął wygnieciony list przywieziony przez Hegruna.

– Tak! – W brązowych oczach Talviny rozbłysło rozdrażnienie. – Dostałeś przecież ode mnie wiadomość, prawda? Masz ją w ręku. Więc o co ci chodzi?

– O to, że... – zaczął Tankred i urwał. Nie miał pojęcia, jak poprowadzić rozmowę, by nie urazić ciotki. – Wybacz, ale muszę o to spytać. W jaki sposób wydołyś te informacje z Visteniego?

– Skutecznie.

– Jesteś pewna, że to nie konfabulacja? Że on tego nie zmyślił? To podstępny łajdak, który...

– Nie. – Talvina usiadła przy stole i wsparła brodę na dłoniach, nie spuszczać oczu z Tankreda. – Doskonale znam zarówno składniki, jak i proporcje serum prawdy, bo przyrządzałam je dla twego ojca oraz dla mojego męża. Środek jest pozbawiony wyraźnego smaku i dobrze się rozpuszcza w wodzie, a Visteni wypił cały kubek do dna, niczego nie podejrzewając. Następnie, gdy wystąpiły odpowiednie symptomy: bledność, niezdrowy rumieniec, mętność spojrzenia, anemia, odpowiedział poprawnie na pytania kontrolne. Nie mam żadnych powodów, aby nie ufać w skuteczność przesłuchania. Ty również.

– Wiem. – Młody Hanstar bił się z myślami. – Wiem, ja tylko...

– Dość tego. – Talvina wstała miękko i w kilku bezszelestnych krokach

znalazła się przy rycerzu. Ułożyła mu dłonie na ramionach i obróciła go ku sobie, by móc spojrzeć mu w oczy. – Posłuchaj, jesteś młodym, dzielnym człowiekiem, Tankredzie, i ojciec byłby z ciebie dumny...

– Ale? – spytał zaczepnie młodzieniec.

– Ale za dużo na siebie wzięłeś. Udaj się pod Tangstev, opowiedz o wszystkim Mustaigowi, niech on przejmie odpowiedzialność. Ma więcej doświadczenia, a ty, jak tak dalej pójdzie, wkrótce się wykończysz. Co więcej – dodała po chwili, widząc jego niezdecydowaną minę – jeśli chcesz, możesz zabrać Visteniego ze sobą. Gdy dotrzesz na północ, ponownie podasz mu serum prawdy, może nawet w przytomności króla, ale nie sądzę, bym się pomyliła. Sępy nadjadą prawym brzegiem Toporzyska.



Kilka dni w odosobnieniu – w pomieszczeniu piwnicznym, które Talvina nazywała schowkiem na żywą wiedzę – nie powinno zrobić na Vistenim żadnego wrażenia, ale Tankredowi wydawało się, że przywódca Mącieli i były król Pogórza zatracił tam wszystkie ludzkie cechy oprócz czystej, niczym nieskażonej nienawiści. Nie spuszczał wzroku z młodego Hanstara przez całą drogę z Posępnej Łuny do miejsca ukrycia powietrznego statku gnomów, a jego spojrzenie zdawało się wręcz wypalać dziurę w plecach rycerza. Choć spętany i pozbawiony broni, Visteni nadal wydawał się śmiertelnie groźny i w każdej chwili gotów rzucić się Tankredowi do gardła, a Hanstar, mimo że był uzbrojony, a ciotka przydzieliła mu zbrojną eskortę, nie mógł uwolnić się od napięcia.

Niepokój bynajmniej nie zelżał, gdy Visteni został wrzucony na pokład szalupy gnomów. Thruh, nie szczędząc mu kopniaków, sprawnie przytroczył go do żelaznych haków kilka metrów od Stunna, który dorobił się podczas nieobecności Tankreda kilku sińców i leżał nieprzytomny na pokładzie. Thanni i Grops szybko podsypali do pieca, poczekali na właściwe ciśnienie i na oczach oniemiałej eskorty Hanstarów unieśli latający statek ku ciemniejszemu niebu.

Mrok zapadał błyskawicznie, piec syczał, zimny wiatr kołysał szalupą,



gnomy mamrotały. Okręt powoli, majestatycznie płynął na północ. W oddali rozrzedzały się światła Posepnej Łuny.

Tankred objął kolana ramionami, oparł o nie czoło i pogрузzył się w ponurych rozmyślaniach.

„Lewy brzeg czy prawy? Z której strony nadejdą Sępy? Mam uwierzyć zepsutemu do szpiku kości manipulatorowi czy narodowi, który rzekomo opanował sztukę widzenia przyszłości i udoskonalił metody posługiwania się innymi dla własnych celów?”

Przez dłuższą chwilę nie był w stanie skupić się na rozmyślaniach, aż uświadomił sobie, co jest tego przyczyną. Uniósł wzrok i ujrzał oczy Visteniego, lśniąca w półmroku, odbijające żar gnomiego pieca. Skrzące od nienawiści.

– Thruh – wychrypiał Tankred. Były to pierwsze słowa od wzniesienia się w powietrze. – Masz no może jakąś szmatę? Cokolwiek, czym można by temu draniowi zasłonić gębę? Nie musi być czysta.

Rozbójnik zaśmiał się ponuro i wyszarpnął skądś ścierkę, którą przed momentem polerował wentyl pieca. Podszedł do siedzącego przy burcie Visteniego i nachylił się nad nim.

Ten uniósł głowę i spojrzał na gнома.

– Thruh! – wrzasnął Tankred, tknięty nagłym przeczuciem.

Spóźnił się o ułamek sekundy. Visteni z całej siły kopnął gнома pod kolano. Ten stracił równowagę i grzotnął o deski, lecz uzurpator zdążył cofnąć nogę i uderzyć go stopą w twarz. Rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie, po czym niebiosą przeszył przeraźliwy wrzask Thruha.

A potem szydarczy śmiech Visteniego.

Thanni zaklął z furią w języku gnomów, przypadł do jeńca i kopnął go w udo, czym zdusił jego śmiech. Grops, z wyciągniętym nożem i żądzą mordy w oczach, szykował się już do skoku, gdy Tankred zerwał się, rozkołysując szalupę, i krzyknął:

– Stój! To ważny jeniec!

Grops znieruchomiał, ale Thanni, charcząc niczym dziki zwierz, obwiązywał już wijącego się z bólu Visteniego dodatkową liną.

– Może i ważny – parsknął. – Ale nie będzie mi, zaraza, kopał kompanów

po gębach.

Rzucił kilka słów do Gropsa, który natychmiast przeciął nożem sznury mocujące jeńca do haków, a potem obaj złapali go za brudny, podniszczony kaftan i dźwignęli, ewidentnie z zamiarem wyrzucenia za burtę.

– Co wy robicie?! – Tankred szedł w ich kierunku, blady. – Oszaleliście?

Visteni, zrozumiałwszy naraz, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo, z zaciekłością stawiał opór obu gnomom. Rycząc i parskając, szamotał się niczym odyniec we wnykach, lecz wtedy zerwał się Through, wściekły i zakrwawiony, i uderzył mężczyznę barkiem w brzuch.

Visteni zachwiał się i wyleciał za burtę.

– Czy wyście... – zaczął Tankred, ale dostrzegł rozwijającą się błyskawicznie linę i przypomniał sobie pętlę, którą Thanni zarzucił na Visteniego. Rozkołysaną szalupę przeszyło ostre szarpnięcie, gdy lina rozwinęła się do końca. Rycerz wyjrzał za burtę i ujrzał wymachującego rękami i nogami Visteniego, rozkołysanego niczym gigantyczne ludzkie wahadło.

– Tak będzie lepiej – warknął Thanni, obrzucając Tankreda ostrym spojrzeniem. – Konsultuj ze mną kolejnych pasażerów, człowiek, dobra?

Potem spojrzął na Stunna, który odzyskał już przytomność i teraz kulił się w kącie, przyglądając się scenie z szeroko otwartymi oczami.

– Ani słowa – warknął Thanni. – Bo polecisz następny.

Spojrzął raz jeszcze na Tankreda, jakby ostrzegając i jego, a potem złapał za pokręta i wajchy. Through wysmarkał skrupulatnie zakrwawiony nos i równie skrupulatnie Visteniego obsikał. Grops ograniczył się do rzucenia serii klątw.

Tankred westchnął ciężko i ułożył się na dziobie, przykrywając się pledem.

A potem wbił wzrok w Stunna Tenketara, który pełnymi przerażenia oczyma wodził od Gropsa do Througha, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, w czyich rękach się znalazł i jakimi konsekwencjami mu to grozi. Tankred podniósł się miękko i usiadł przy więźniu. Z torby, zabranej z siedziby rodu w Posępnej Łunie, wyjął arkusz papieru, pogięte pióro i atrament w drewnianej butelce.

– Teraz coś napiszesz – powiedział do oniemiałego Stunna. – W kilku kopiach. Każdą z nich podpiszesz swoim nazwiskiem i – przy tych słowach

Tankred zerknął na żelazny pierścień, nadal znajdujący się na palcu Tenketara – przypieczętujesz. Tym zasłużysz sobie na odrobinę życzliwości.

– Co... – wychrypiał Stunn. – Co mam napisać?

– Prawdę. – Oczy Tankreda lśniły chłodem.

Zaskrobało pióro. Piecyk pyrkał. Wiatr poświstywał. Visteni wrzeszczał coraz słabiej.

Płynęli na północ.



Tankreda zbudziło szarpnięcie, subtelne, ale podświadomie odebrane jako istotne. Usiadł i zamrugał. Przez pokład łodzi przelewały się tumany lepkiej, szarej mgły, a może chmur, i dopiero po chwili dostrzegł Gropsa, który wciągał na pokład linę.

Tę samą, do której przywiązano Visteniego.

Gnom ciągnął ją z zaskakującą lekkością.

– Popatrz, człowiek – oznajmił przepraszającym tonem. – Wiedziałem, że przegiąłem z czarami.

– Bredzisz – rzekł Thanni, biorąc do ręki koniec liny. – Przegryziona.

Oszołomiony Tankred wyjrzał za burtę. Jego oczom ukazały się nieprzebyte, ledwie widoczne bory. Zacisnął oczy.

– Jeśli cię to pocieszy – skądś napłynął głos Thanniego – to z tej wysokości na pewno rozkwasił się na miazgę.

– Jasne – rzekł Hanstar głuchym głosem. – Nic nie pocieszy mnie bardziej.

„I już się nie dowiem, z której strony nadciągną Sępy” – pomyślał z narastającą rozpaczą.



## Obóz królewski nad Szczeliną

Skądś wiadomo było, że ta noc, choć niczym się nie wyróżniała, zapadnie wszystkim w pamięć. Niczym ostatni oddech zdrowego przed nawrotem choroby bądź ostatni spacer po plaży przed wyniszczającym sztormem. Złośliwe sny, miast otulić śpiących i przynieść im chwilę wytchnienia, krążyły z dala jak niespokojne duchy. Nie spała Talvina, otulona kocem przed wygasłym kominkiem. Nie spała Viliena, bez końca włącząca się po murach Ugoru, odurzona ciepłym wiatrem nadciągającym znad wyschniętych równin. Snu nie zaznał Jałowiec, który siedział na skraju lasu, wsparty o kostur, i wsłuchiwał się w oddechy wyrwanych z niewoli ludzi, odprowadzanych do rodzinnych wsi. W ciemną powałę wpatrywał się Bardun Fulgham, dręczony bólami pleców, oka nie zmrużył Alisann, z pochmurną miną przeglądający raporty z przesłuchania Hegruna. Stunn Tenketar, który jednej nocy utracił resztki swej buty, majaczył na jawie.

Snu nie zaznał również Mustaig Hanstar, obudzony przez przybocznych rycerzy. Siedział teraz przy stole z nieoheblowanych desek, mierzwił gęste

włosy i wpatrywał się w Tankreda wzrokiem, w którym niedowierzenie walczyło z podejrzliwością.

– Coś podobnego – mruknął głucho. Pochwycił drewniany kubek z wodą i pił łapczywie przez dłuższą chwilę.

Tankred siedział nieruchomo i wpatrywał się w wuja. Wydawało mu się, że ten lada moment parsknie śmiechem albo poprosi o powtórzenie jakichś faktów – wszak historia, którą właśnie usłyszał, brzmiała jak szaleńcze fantazje, zwłaszcza w środku niespokojnej, zimnej nocy. W porę przypomniał sobie, że Mustaig, z racji rozłożystych ramion, niemalże byczego karku i niskiego czoła, ledwie zauważalnego przy grubych brwiach, często uważany za gbura i dzikusa, słynie z fenomenalnej pamięci i zakrawającej na magiczną umiejętności kojarzenia faktów.

Oraz z wielkiej lojalności wobec członków rodu.

Mężczyzna odstawił pusty już kubek, otarł usta i narzucił na barki koc. Chłód nocy wpełzał do namiotu i szarpał pojedynczym promieniem świeczki, zamieniając twarz wuja w rozedrganą plamę cieni.

– Zdajesz sobie sprawę – odezwał się niskim, nieco chrapliwym głosem, który równie szczelnie wypełniał sale wykładowe, jak niósł się po polu bitwy – z tego, że tak naprawdę masz bardzo niewiele?

Tankred drgnął i zamrugął.

– Dowodem na to, że Vlistunowie i Tenketarowie przeprowadzili zamach na Olwego, są zeznania Hegruna, który nie dość, że jest daleko stąd, w szponach cholernego Pieśniarza, to jeszcze jest w stanie powiedzieć tylko tyle, że mego brata zaatakowali konni wojownicy z Pogranicza – ciągnął Mustaig, z pietyzmem tworząc długie, złożone zdania. – Jedyнным dowodem na to, że grozi nam atak ogromnej armii Sępów, są zaś zeznania Visteniego, który nie dość, że został przesłuchany nieoficjalnie, to jeszcze zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Vlistunowie i Tenketarowie z łatwością wyprą się jakichkolwiek związków z mordercami, a gdy usłyszą o Vistenim, wyśmieją nas i zaczną utwierdzać wszystkich w przekonaniu, że jesteśmy rodem zdrajców.

– Przecież Visteniego widziało mnóstwo ludzi!

– Członkowie bądź poddani naszego rodu. Woda na młyn Vlistunów i Tenketarów.

- Jest jeszcze Cedrig!
- Daleko stąd, w Posępnej Łunie.
- A o zeznaniach Stunna pamiętasz?
- Pamiętam. Głównie zaś to, że spisał je z nożem na gardle. Twoim nożem. Wiesz, że człowiek, któremu grozi śmierć, powie wszystko?
- Czyli źle postąpiłem? – Tankred uniósł brwi.
- Nie, skąd. Dobrze, a nawet bardzo dobrze. – Mustaig przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu stawy. – Dzięki temu Tenketarowie i Vlistunowie rozumieją, że rozgryźliśmy ich intencje. Najważniejszym dowodem byłby jednakże sam Stunn, którego, jak rozumiem, nie zabrałeś.
- Nie. Mam wobec niego inne plany.
- Fatalnie.
- Do cholery, wuju, musimy coś zrobić! – Tankred uderzył pięścią w blat. Kubek przewrócił się ze stuknięciem i stoczył ze stołu. Do środka zajrzał któryś z pełniących straż rycerzy.
- Wiem, że musimy – przytaknął Mustaig. – Tym bardziej że, jeśli wierzyć twoim słowom, nie zostało nam wiele czasu. Sęk w tym, drogi chłopcze, że twa energia i poświęcenie to za mało, by przekonać kogokolwiek poza mną. Rada Królewska potrzebuje faktów i konkretów, a nasz ród nie cieszy się już takim posłuchem jak w Mandylionie. Olve... – Mustaig potarł wściekle czoło.
- Olve pił zbyt dużo, miotał się, szalał, próbował odwieść króla od rozlicznych decyzji. Cóż, nie zdobył może zbyt wielu wrogów, ale też nie zostawił po sobie rzeszy przyjaciół, a Dustun... Znasz Dustuna. Psa nie jest w stanie wytresować, by nie srał pod dachem, a co dopiero kogokolwiek do czegokolwiek przekonać. Ponadto...
- Zawahał się przy tych słowach.
- Co takiego? – wycedził Tankred.
- Ponadto dotarło do nas to i owo na twój temat – wyrzekł z trudem Mustaig. – Nie dawaliśmy wiary, bo... Bo nikomu z nas nie przyszłoby do głowy, byś chciał się dogadywać z Mącicielami.
- Kłamstwa! – warknął Tankred. – Kolejny dowód na to, jak rozległą intrygę zmajstrowali Tenketarowie i Vlistunowie!
- Szkoda tylko, że nie da się tego wykorzystać w naszej sprawie –

westchnął Mustaig.

– Nie?

– Nie. – Spojrzenie wuja stwardniało. – Tym bardziej że przez ostatnie tygodnie włóczyłeś się w towarzystwie druidów, gnomów i elfów. Naprawdę chcesz, by do nagonki na nasz ród dołączyli jeszcze Pieśniarze?

– Dobrze. – Tankred podniósł się, zarumieniony, z błyszczącymi od gniewu oczami. – Ciotka Talvina kazała mi o wszystkim ci opowiedzieć. Powiedziała, że zanadto ciąży mi odpowiedzialność, że powinienem się nią z tobą podzielić. Ale... Ale jeśli jedynym, co masz mi do zaoferowania, są słowa krytyki i zwątpienia, to...

– To co? – spytał Mustaig z kamiennym spokojem.

– To zajmę się tym wszystkim sam.

– Jak?

Minęła chwila, nim Tankred uświadomił sobie, że w głosie wuja nie ma szyderstwa czy powątpiewania, a jedynie czysta ciekawość.

– Bo nie mówiłbyś takim tonem, gdybyś nie miał planu – dodał Mustaig. – Planu, którego zalety zniwelują wszystkie przeciwności, tak pracowicie przeze mnie wyłuszczone.

Młody rycerz odetchnął i usiadł ciężko. Przez chwilę milczał, jakby raz jeszcze próbował poukładać sobie w głowie szczegóły tego, co miał zamiar powiedzieć, aż wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na milczącego cierpliwie wuja.

– Tak, mam plan – rzekł. – Nie wiem, czy dobry, ale za to jedyny. Co więcej, w obecnej sytuacji zdaje się, że i tak nie mamy wyboru. Potrzebuję tylko jednej rzeczy. Wujku, jak dobrze znasz twarz króla?

– Co takiego? – Mustaig zamrugnął, nieco zaskoczony. – Chcesz, bym ją naszkicował czy może wyrzeźbił?

– A znasz ją na tyle, by móc to zrobić?

– Próbowaliśmy wyperswadować Jego Wysokości oblężenie Tangstevu przez kilka miesięcy. – Mustaig zaśmiał się ponuro. – Od chwili, gdy zabrakło Olwego, robię to sam, a że wszelkie kontakty z królem ograniczają się do gapienia się w jego dostojne oblicze, odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak. Znam każdą zmarszczkę na jego twarzy. Dlaczego pytasz?

- Uff – westchnął Tankred. – To wspaniale.
- Z tymi słowami sięgnął w głąb torby.
- Chciałem ci bowiem coś wręczyć. Coś niezwykle ważnego.



Od Szczeliny, gigantycznej przepaści, która oddzielała Taliad od domen krasnoludzkich, ustawicznie wiało.

Był to wiatr zimny i nieprzyjemny, szarpiący połamami namiotów, proporcami i płaszcami rycerzy. Za dnia płoszył konie, rozwiewał ogniska i wyganiał radość z życia, a w nocy zsyłał koszmary. W trakcie trwającego od wielu miesięcy oblężenia Tangstevu nie oddano ani jednego strzału, nie przypuszczono ani jednego szturm, nie pojawił się też, dzięki wysiłkom Vlistunów, ślad żadnej epidemii. Nie było rannych, zaginionych i zabitych, nie było słyhać stukania młotków cieśli, skrzypnięć katapult wyrzucających śmiertcionośny ładunek, krzyków sierżantów pchających masy piechoty do natarcia.

Obozem mandyliońskim rządziły znużenie i zniechęcenie. Oraz zimne podmuchy ze Szczeliny.

Tankred odwrócił głowę ku górom Tangstevu, ciemniejącym na tle brudnoszarego nieba. Nadchodził lepki, wilgotny świt, ale rycerz wiedział, że upłynie jeszcze sporo czasu, nim ujrzy pierwszy z krasnoludzkich zamków. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu również, że upłynie o wiele więcej czasu, nim którykolwiek zostanie zdobyty.

Na szczęście królowi i przywódcom pozostałych rodów zostało na tyle rozsądku, by uznać, że armia mandyliońska nie jest wystarczająco potężna, aby wydać wojnę krasnoludom. Gdyby Mandyliończycy wciąż dysponowali wielkimi zapasami prochu, byłiby w stanie zniszczyć mury twierdz Tangstevu i przypuszczalnie zmusić krasnoludzkie królestwo do przyjęcia ich warunków. W tej sytuacji jednakże uznali, że zablokują Ogniwo, które wydawało się jedynym traktem zaopatrzeniowym Tangstevu, i pokonają krasnoludy głodem. Armaty, stojące na usypanych przez inżynierów z rodu Fulghamów szanćach, spoglądały zarówno ku północy, ku Szczelinie i leżącej dalej dolinie



Tangstevu, skąd mogła przybyć wroga armia, jak i na południe, skąd do pewnego momentu nadciągały karawany kupieckie. Trwała wojna nerwów przerywana negocjacjami, regularnymi, acz nieprzynoszącymi żadnych rezultatów.

Paradoksalnie, celem oblężenia było zdobycie siarki, elementu niezbędnego do produkcji niszczycielskiego prochu. Król i jego doradcy, wsparci radą Pieśniarzy, którzy przesłuchali w tej sprawie niejednego Taliadczyka, byli przekonani, że krasnoludy dysponują złożami siarki, i ani myśleli odstąpić od oblężenia. Nie słuchali przy tym rad Mustaiga i Dustuna, którzy, powołując się na zdrowy rozsądek, dowodzili, że królestwo tak potężne jak Tangstev z pewnością dysponuje innymi liniami zaopatrzenia. Uzależnienie istnienia całego państwa od jednego jedyne, łatwego do zablokowania bądź zniszczenia mostu wydawało się wierutną bzdurą, a uporczywość, z jaką krasnoludscy książęta odrzucali żądania i oferty króla Duncana, zdawała się tylko to potwierdzać.

„W istocie poruszamy się jak dzieci we mgle – myślał Tankred. – Szydzą z nas. Drwią”.

Gdzieś zaśpiewał poranny ptak, ale jego trel ucichł błyskawicznie, przegnany kolejnym zimnym podmuchem. Młodzieniec odruchowo przyspieszył kroku, podążający za nim rycerze z Otwartą Księgą Hanstarów na tarczach również.

Szli przez obóz, na pół uśpiony, tu i ówdzie rozjaśniane płomieniami ognisk, niespokojnymi i nikłymi niczym bagienne duchy. Skuleni, zakutani w płaszcze ludzie, próbujący się rozgrzać i z utęsknieniem czekający na pierwsze promyki słońca, oglądali się za nimi z zaciekawieniem. Wszak oblężenie było oblężeniem jedynie z nazwy i rzadko widywało się tu grupy zbrojnych, które szły przed siebie zdecydowanym krokiem.

„Co ja właściwie robię? – powtarzał w myślach Tankred. – Co mi strzeliło do głowy? Czy to na pewno jest jedyne wyjście?”.

Otulił się mocniej płaszczem i zerknął przez ramię, jakby chciał się upewnić, że towarzyszący mu rycerze nadal za nim idą. W szarym mroku widział jedynie jasne plamy twarzy i podłużne tarcze z wymalowaną księgą. Najlepsi ludzie Mustaiga, a na ich czele jego kuzyn Krugan Hanstar zwany Pyskaczem oraz kilku innych krewnych z bocznych linii rodu. Lojalni, twardzi, zahartowani.

To dodało mu nieco otuchy. Na moment.  
„Wuju, mam nadzieję, że ci się uda”.



Mustaig zdmuchnął niecierpliwie świeczkę i raz jeszcze oparł ogromne dłonie na nieoheblowanym blacie. Skupił wzrok na metalowej kuli, którą przed niespełna kilkoma minutami wręczył mu Tankred, a potem ostrożnie dotknął jej palcem.

Była ciepła, zupełnie jakby tętniło w niej wewnętrzne życie.

Mustaig pokręcił głową z niedowierzaniem, ujął kulę w obie dłonie i wbił w nią wzrok, jednocześnie usiłując wyobrazić sobie twarz króla.



Przeszli obok zagród pełnych niespokojnych koni, które odwracały się od wiatru, ryły ziemię i targały łbami, minęli wygasłą kuźnię, ogromny namiot szpitala i rząd szop, po czym znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Naprzeciwko stał namiot królewski, największy i najbardziej imponujący, w półmroku rodzącego się świtu przypominający wręcz niewielki zamek. Otaczał go wieniec zbrojnych, który drgnął i ożył na widok świty Tankreda. Dwóch żołnierzy ujęło włócznie i ruszyło im na spotkanie. Wiatr unosił im płaszcze niczym skrzydła potwornych ptaków.

Znów targnął nimi wiatr, młody rycerz skulił się, poprawił kaptur. Nie wiedział już, co powoduje u niego gwałtowniejsze dreszcze – podmuchy wiatru z przepaści czy może dziki przestach.

– Odwagi, kuzynie! – szepnął Krugan, w którego głosie jak zwykle zadźwięczała lekka drwina.

Tankred nie dziwił się. O Kruganie mówiono, że rozbawiła go nawet Czerni. Skupił się więc na nadchodzących, choć minęła dłuższa chwila, nim ich twarze, białawe i rozmyte, stały się na tyle wyraźne, by można było rozpoznać

rysy.

Vastan Vlistun, Zwierzchnik Rodu, i jego syn, Dagnaar Vlistun, były towarzysze ze Stalowej Duszy.

Młody Hanstar nabrał głęboko tchu i ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

– Stój! – Vastan uniósł dłoń.

Tankred zatrzymał się niechętnie i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Towarzyszący mu rycerze bez słowa utworzyli złowieszczy półokrąg. Młody rycerz skądś wiedział, że każdy z nich oparł dłoń na rękojeści miecza. Wyczytał to w twarzy Vastana, ascetycznie wychudłej i lekko skrzywionej. Widział to w jego oczach, ciemnych i bystrych, teraz lśniących z ironią. Trzymający pochodnię Dagnaar był dla odmiany śmiertelnie poważny.

– Kto idzie? – spytał Vastan, choć doskonale widział tarcze z Otwartą Księgą. Jego głos, cichy, niemalże szeleszczący, również ociekał ironią.

– Tankred Hanstar, syn Vildurfa. Chcę się zobaczyć z królem – rzekł młodzieniec, zaskoczony tym, jak mocno zabrzmiał jego głos.

– Tankred Hanstar... – Vastan Vlistun udał zadumę. – Czy ty aby nie powinienes służyć w Stalowej Duszy?

– Powiniennem – odparł rycerz. – I służyłbym, gdyby nie wasza przekłeta intryga.

Przeniósł wzrok na Dagnaara, który wytrzymał jego spojrzenie... przez moment. Trzymana przezeń pochodnia łopotała niczym ptasie skrzydła.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Vastan cmoknął, choć jego oczy błysnęły lodem. – Wiem natomiast, że król odpoczywa. I nikt nie może mu przeszkadzać, zwłaszcza ty, Hanstar. – Zrobił krok naprzód i stanął tak blisko młodzieńca, że ten przez moment poczuł jego oddech, słodkawy i mdlący. – Masz niezły tupet, skoro odważyłeś się tu pojawić – syknął. – Myślisz, że nie wiem o twoich spiskach z Mącicielami? Uciekłeś z oddziału, potem widziano cię z druidem, rzekomo również z gnomami. Vildurf i Olve nie żyją, Dustun to głupek, a Mustaig tępak. Ty zaś okazałeś się zdrajcą. Twój ród jest skończony, Hanstar. Wynoś się stąd.

Krugan prychnął, a Tankred na samą wzmiankę o Olvem poczuł wściekłość, która buchnęła niczym lawa przez skalną szczelinę.

– Mam dla ciebie złą wiadomość, Vlistun – powiedział głośno. – Intryga, którą snujesz z Tenketarami, niestety nie przyniesie tego, na co masz nadzieję.

Sępy spaliły waszą osadę na Dymiących Wzgórzach i wybiły waszych ludzi.

Jeśli wiadomość wywarła na Zwierzchniku Rodu jakiekolwiek wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. Wyprostował się i otworzył usta, by zripostować, ale Tankred go ubiegł.

– Na szczęście udało się ich powstrzymać. Wraz z rycerzami Stalowej Duszy pod dowództwem Barduna Fulghama i hufca mego rodu wycięliśmy najeźdźców w pień i uwolniliśmy niewolników, których łapaliście w całym Taliadzie. Przykro mi, Vlistun. Nie spodziewaj się wozów wyładowanych beczkami z prochem.

Dagnaar pobladł, gdy usłyszał o bitwie. Na jego policzkach pojawiły się niezdrowe rumieńce.

– Nie wiem, o czym mówisz – warknął Vlistun, ale Tankred odniósł wrażenie, że wzgarda w jego głosie była wymuszona.

– Nic dziwnego – oznajmił dobrodusznie. – Nie masz zbyt inteligentnego wyrazu twarzy.

Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że jego rycerze uśmiechają się kpiąco. Któryś parsknął pod nosem. Nie tracił jednak czujności – serce zabiło mu szybciej, gdy ujrzał, że pozostali ludzie Vlistunów zbliżają się, łopocząc płaszcami. Za plecami Vastana i Dagnaara gęstniał zbrojny szereg, niemalże tak liczny jak hanstarski, nieruchomy i milczący.

– W sumie – wycedził Vastan Vlistun – to nawet się cieszę, że stoisz tu przede mną. Oszczędzisz nam, chłopcze, wysiłku związanego z poszukiwaniami i obławą. Nie ulega bowiem wątpliwości, że trzeba cię oddać Pieśniarzom na przesłuchanie.

– Którego z nich masz na myśli? – spytał niewinnie Tankred. – Cedriga może? Niestety, jest chwilowo nieosiągalny. Zamknęliśmy go w lochu celem... Cóż, celem właśnie przesłuchania. A może chodzi ci o Alisanna? On też jest zajęty. Rozpoczął już własne śledztwo, do czego zainspirowałem go zeznaniami. Na wasz temat, między innymi.

Kątem oka zauważył, że grdyka Dagnaara poruszała się w górę i w dół. Vastan wciągnął powietrze przez nos.

– Nie wiem, skąd się biorą te brednie, Hanstar – wykrztusił z trudem, jakby walczył z dławiącymi go emocjami. – Odejdź.

– Nie wiesz? – zadrwił Tankred. – Ach, rozumiem. Być może nie mówią

ci tu wszystkiego, Vastan. Masz, poczytaj sobie.

Gwałtownym ruchem wyciągnął zwinięty pergamin opatrzony ciężką pieczęcią i rzucił nim w zwierchnika Vlistunów. Pergamin odbił się od kolczugi na piersi mężczyzny i spadł na ziemię u jego stóp.

– To zeznania Stunna Tenketara, dzięki którym zorientujesz się w sytuacji – dodał pogodnie Tankred. – Opowiada w nich, jak to dzięki kilku gnomom znalazł złoża siarki, a potem podsunął swemu ojcu pomysł...

– Stul pysk – warknął głucho Vastan. – Ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni.

– Dlaczego? – Młodzieniec przekrzywił lekko głowę. – Czyżbyś miał coś do ukrycia? Poczytaj sobie, naprawdę fascynująca lektura. Poukładasz sobie fakty na okoliczność rychłego przesłuchania. O autentyczność listu się nie bójcie. – Przeniósł spojrzenie na śmiertelnie poważnego Dagnaara. – Pieczęć jest z porządnego wosku. Nie rozsypie się.

Dłoń Vastana stwardniała na rękojeści miecza. Nie spuszczał z młodego Hanstara wzroku, w którym szalała krwawa furia.

Tankred patrzył mu prosto w oczy.

„Wiem o wszystkim, plugawcze – mówiło jego spojrzenie. – Wiem o tym, że próbowaliście mnie wrobić w zdradę, najpierw w Mieście na Skale, a potem w Przytulisku. Wiem, że weszliście w układ z Tenketarami: wy czuwacie przy królu, kontrolując jego decyzje, a oni szukają sposobów na stworzenie prochu. Wiem, że wspólnie zabiliście Olwego. Wiem, że król utracił Talię i jest bezsilny”.

„Wiem, że wiesz – odpowiedział mu straszliwy wzrok Vastana. – Na twoim miejscu jednakże ukrywałbym się z tą wiedzą. Najlepiej daleko, daleko stąd, durniu”.

Dagnaar podniósł pergamin z ziemi, przysunął do swej pochodni i wzdorliwie odrzucił płonący na ziemię.

– Mam jeszcze drugi egzemplarz – bąknął Tankred. – Dobrze ukryty.

– Przyjdź z rana – powiedział Dagnaar, siląc się na normalny ton. – Poproś o audiencję i powróć o wyznaczonej porze.

– Nie.

– Wiesz, jaka kara grozi każdemu zuchwalcowi, który odważy się zakłócić

spokój Jego Wysokości?! – ryknął Vastan, wyszarpując miecz.

Zimne powietrze szarówki przeszły seria zgrzytów. Po obu stronach zamigotały nagie ostrza, odbijając blade światło świtu. Wiatr zawył niczym zwiastun śmierci, odpowiedziało mu przeraźliwe rzenie koni.

„Zabiję cię – mówiły oczy Vastana. – I zniszczę twój ród”.

„Spróbuj, przekłety zielarzu – odpowiedział śmiały wzrok Tankreda, a cicha, drżąca myśl w głębi duszy dodała: – Wuju, pospiesz się”.

Vastan zerknął na swoich ludzi, nabrał tchu, ani chybi po to, by wydać im rozkaz do ataku, lecz niespodziewanie wilgotną ciszę świtu przerwał męski głos, dostojny i donośny niczym dzwon.

– Nie śpię, Vastanie. I z chęcią wysłucham tego, co młody Hanstar ma mi do powiedzenia. Bo przecież nie fatygowałyby się tu nadaremnie, prawda?

W głosie brzęknęła stal, ciężka i złowieszcza niczym klinga katowskiego miecza. Vastan i Dagnaar opuścili broń, a po nich pozostali rycerze. Jeden po drugim klękali na wilgotnej ziemi i pochylali głowy. Tankred poszedł w ich ślady jako ostatni.

Zdążył dzięki temu obrzucić nowo przybyłego baczny spojrzeniem. Szeroka twarz, rumiana od wiatru. Przydługie kruczoczarne włosy, niecierpliwie zakładane za ucho. Dłoń dopinająca futra narzucone na koszulę nocną. Lekki uśmiech na sinawych, odzyskujących już barwę ustach. Przymrużone oczy, ostro patrzące, żywe, błyszczące zaintrygowaniem.

Nic w zachowaniu króla Duncana III Vailina, władcy Nowego Mandylionu, nie wskazywało na to, że cierpi na szarą rozpacz.



Różowy poblask świtu, który rozszczepił niebo nad odległym, niewidocznym Pograniczem, rozlewał się coraz dalej i sięgał szczytów, wśród których kryły się zamki Tangstevu. Wiatr znad Szczeliny ucichł, jakby spłoszony poruszeniem, które zapanowało na jej brzegu. Ciszę poranka rozrywały bowiem ryki rogów, odpowiadały im trąby, a ziemia drżała, uderzana tysiącami kopyt. Poganiane okrzykami dowódców oddziały formowały kolumny marszowe, rżały siodłane konie, armaty powoli zjeżdżały

z szańców i wraz z wozami z zaopatrzeniem dołączały do pozostałych jednostek. Pozycje armii mandyliońskiej, niezmiennie od długich miesięcy, wreszcie drgnęły.

Hufce królewskie szykowały się do wymarszu. Wysoko nad nimi kołowały rozwrzeszczane Widma.

„I ja to wszystko sprawiłem” – myślał Tankred, przymykając oczy.

Tu, w namiocie królewskim, zamieszania nie było widać, ale młody rycerz słyszał wszelkie odgłosy i dopowiadał sobie ich znaczenie. Czuł też wyraźnie ciężar spojrzeń zebranych przedstawicieli rodów. Prostował się i silił na obojętny, stanowczy wyraz twarzy, ale nie przychodziło mu to łatwo.

Był pewien, że jego oczy zdradzają lęk i niepewność, ale kiedyś musiał je otworzyć.

Rozchylił powieki.

„Co ja tu właściwie robię? – zadał sobie w myślach pytanie. – Po co król kazał mi tu przyjść?”

– Ktoś wie, po co nas tu wezwano? – zapytał Joakim Claytore, Pierwszy Marszałek, z trudem kryjąc irytację. Był wysokim, nieco pochylonym mężczyzną z garbatym, wręcz sępiim nosem i onieśmielającym przenikliwym spojrzeniem. – Narada jakaś czy co?

– Jeśli to narada... – zaczął Anton Puckhard, Pierwszy Kwatermistrz, człowiek jowialny i zaróżowiony, którego niejeden uznawał za przyjaznego i serdecznego, przynajmniej do chwili rozpoczęcia negocjacji handlowych – ...to niby czemu król najpierw polecił wydać rozkazy do wymarszu, a potem nas tu wezwał?

– I gdzie jest Vastan Vlistun? – odezwał się Yane Tresh, Pierwszy Masztalerz, niski, krzywonogi, niezmiennie pochmurny. – Alfunna Tenketara też nie widzę.

Przez moment wpatrywał się w Tankreda, który ze wszystkich sił próbował nie skulić się pod jego przenikliwym spojrzeniem. Pozostali obecni poszli w jego ślady – wszak Tankred Hanstar był jedynym nadliczbowym i co więcej całkowicie nieoczekiwanym uczestnikiem ich spotkania.

– Obaj są dokładnie tam, gdzie być powinni – odezwał się Dustun Hanstar, Pierwszy Doradca, stojący za plecami Tankreda.

Przed wezwaniem na naradę do namiotu królewskiego Mustraig zdążył

jeszcze go poinstruować, co ma mówić, kiedy zostanie o cokolwiek zapytany, i surowo przestrzec przed zabieraniem głosu z własnej woli. Tankred nie dziwił się wcale – sprawa była niezwykle delikatna, a sam Dustun, człowiek wysoki, na co dzień kpiarski, czarujący i uśmiechnięty, nie wydawał się opanowany na tyle, by zdzierżyć napięcie. Tankred miał wrażenie, że oddałby wiele, byle mógł znaleźć się jak najdalej stąd.

– Czyli gdzie, Hanstar? – warknął Tungar Toulghan, przyciężki i brutalny jak wszyscy z jego rodu. – Mógłbyś nam oszczędzić tych zagadek?

Tankred wręcz usłyszał, jak Pierwszy Doradca przełyka ślinę. Toulghan nawet nie próbował ukryć sardonicznego uśmiechu.

– Dowiedcie się wszystkiego od króla – odezwał się zduszonym głosem i wbił wzrok w parawan, za którym kilku giermków pomagało władcy Mandylionu zapiąć blachy pancerza.

W tejże właśnie chwili ciężka męska dłoń złapała skraj zasłony i odsunęła ją na bok ostrym szarpnięciem. Oczom członków uszczuplonej Rady ukazał się król, jak zwykle wysoki i dostojny, teraz zогromniały dzięki ostrym naramiennikom i wielkiemu napierśnikowi. Pod pachą trzymał hełm, jakby już chciał włożyć go na zwichrzone loki, wciąż czarne mimo podeszłego wieku, ale zatrzymała go obecność członków Rady Królewskiej.

Ci odruchowo, z chrzęstem oręza, osunęli się na ziemię i pochylili głowy.

Tankred poszedł w ich ślady, ale kątem oka dostrzegł, że król zamiera niczym posąg i wiedzie wzrokiem od jednego do drugiego, zatrzymując się na każdym z obecnych, jakby potrafił wejrzeć w ich serca i przejrzeć ich zamiary. Młodzieniec dostrzegł też niedowierzanie na obliczu klęczącego obok Wilnona Fulghama, Pierwszego Budowniczego.

„Zupełnie jakby od dawna nie widział władcy w tak dobrej kondycji” – przemknęło mu przez myśl. Serce zabiło mu nieco żywiej, odpędzając fale zimnego przestachu.

– Zebrałem was tu, by przekazać swą wolę – zagrział król dudniącym, chrapliwym głosem, przywodzącym na myśl osuwającą się lawinę.

Wilnon Fulgham, nadal klęcząc, nie przestawał marszczyć brwi. Tankred dopiero po chwili zrozumiał przyczynę – król nie kazał nikomu powstać.

– Dzięki tym, którym los Nowego Mandylionu nie jest obojętny, dowiedzieliśmy się o spisku, który szalony król uzurpator Visteni zawarł



z przywódcami wolnych ludów z Pogranicza – dudnił król. – Wiemy o zmasowanym uderzeniu, jakie planują znad Toporzyska, i temu uderzeniu stawimy dziś czoła.

– Czy... – Joakim Claytore odważył się unieść głowę. – Czy Wasza Wysokość życzy sobie, byśmy pomogli w przygotowaniu strategii?

– Ta została już ułożona – parsknął król.

Claytore przygryzł wargę. Tylko powaga sytuacji i nieoczekiwany majestat, którym buchnął władca, powstrzymały go przed obrzuceniem pozostałych zaintrygowanym spojrzeniem. Król zaś nie przestawał świdrować zebranych wzrokiem.

„Sprawdza ich – uświadomił sobie niespodziewanie Tankred. – Patrzy na ich reakcje. Ktoś, kto wie o zniknięciu Talii, być może zdradzi to swym zachowaniem”.

Odgłosy armii szykującej się do wymarszu wydawały się cichnąć, niemalże niknąć w konfrontacji z nieugiętym wzrokiem władcy. Członkowie Rady Królewskiej pochylali głowy coraz niżej.

– Będzie wam ona przedstawiona niebawem – dodał władca nieco ciszej, jakby uspokojony wynikami obserwacji.

Załopotana poła namiotu, do środka weszło kilku mężczyzn.

– A losem Tenketarów i Vlistunów się nie przejmujcie – odezwał się inny głos, cichy, niemalże śpiewny. – Ich starszyzna została zabrana przez Jastrzębich Rycerzy w miejsce, w którym ustalili się ich rolę w Pieśniach.

Puckhard przygryzł wargę. Tresh wypuścił powietrze przez nos. Ktoś, chyba Strawdon, stłumił przekleństwo. Przez namiot królewski przeszła kolejna fala chłodu, niemająca już nic wspólnego z powiewami znad Szczeliny.

Tankred nigdy nie słyszał tego głosu, ale natychmiast go zidentyfikował. Tylko jeden człowiek miał prawo odzywać się w chwili, gdy reszta Rady musiała milczeć.

Druss Vailin, królewski brat i Pierwszy Pieśniarz, oficjalnie tytułowany Władcą Sumień, a w zaciszu alków, lochów i ciemnych zaułków obrzucany najgorszymi z epitetów.

Członkowie Rady zerkali na siebie oszołomieni. Tankred, który przechwycił niektóre z tych spojrzeń, nie miał pojęcia, co wstrząsnęło nimi bardziej – informacja o nadciągających siłach nieoczekiwanego wroga czy też fakt, że

z królewskich łask wypadły jednocześnie dwa znaczące rody. Obecność Pierwszego Pieśniarza na niespodziewanym spotkaniu, które przypominało raczej demonstrację siły niż naradę wojenną, dodawała tej chwili grozy. Wszyscy obecni z Dustunem Hanstarem włącznie nie mieli wątpliwości, że są świadkami dramatycznej chwili, być może równie doniosłej jak pierwsze raporty o pojawieniu się Czerni w dalekim Mandylionie, opustoszałym i porzuconym.

– Wyruszamy wedle tradycyjnej marszruty – dudnił król. Jego niebieskie oczy skrzyły się w blasku świec. – Yane Tresh przeprowadzi zwiad wzdłuż brzegów Toporzyska.

Serce Tankreda zabiło mocniej.

„Wzdłuż prawego czy lewego brzegu?” – zadał pytanie z obawą w myślach.

– Jeśli można, Wasza Wysokość. – Jednooki Gwiron Torston, Pierwszy Stróż i najśmielszy z członków Rady, uniósł głowę. – Mój ród nigdy was nie opuści, podobnie jak pozostałe – zawtórował mu pomruk aprobaty – ale nasza walka bez szpitali Vlistunów i dział Tenketarów może okazać się cokolwiek krwawa. Wszak trochę prochu nam jeszcze zostało.

– Rolę Pierwszego Puszkarza obejmie Soren Tenketar – oznajmił władca.

– Szczeniak bez doświadczenia! – jęknął ktoś, chyba Puckhard.

– A Pierwszym Medykiem na czas kampanii zostanie Marcelli Vlistun.

– To on jeszcze żyje? – burknął Doylann.

– Dość! – Mocny głos króla przebił się przez szmer doradców. – Na koń. Zostaniecie wezwani na naradę w południe. Wtedy poznacie szczegółowe wytyczne. Niech Pieśni was wspomną!

Doradcy wstawali, otrzepywali kolana, kłaniali się i wychodzili. Poszczykiwał oręż, szeleściło sukno, przez uchyloną połę namiotu wdarły się odgłosy z zewnątrz. Tankred również złożył ukłon nieporuszonemu królowi, a potem wstał i odwrócił się. Podziękował wzrokiem Dustunowi, który skinął lekko głową i uśmiechnął się przepaszająco, i już miał wyjść w ślad za innymi, gdy ujrzał, jak Druss Vailin unosi palec.

Kazał mu zostać.

Tankredowi na powrót zrobiło się zimno, lodowato wręcz zimno. Nie bał się króla, gdy klęczał przed nim na dywanie i rwącym się z nerwów głosem

opowiadał o zdradzie Vlistunów i Tenketarów oraz o nadciągających Sępach. Bez lęku przyznał się do przyjaźni z druidem, podróży powietrznym statkiem gnomów czy wizyty w ambasadzie Rzecznego Królestwa, z ufnością wręczył mu miecz poległego Sępa, który podniósł z pola bitwy wśród Dymiących Wzgórz, bez wahania pokazał zeznania Stunna Tenketara i doniesioną przez Mustaiga leczniczą kulę od elfów, która pomogła przezwyciężyć szarą rozpacz. Król słuchał, kiwał głową i zadawał oszczędne, krótkie pytania, a potem wstał i wezwał kilku służących, by przekazać rozkazy.

Kwadrans później zagrzmiały rogi wyznaczające początek przygotowań do wymarszu, a serce Tankreda zalała ulga, jakiej nigdy dotąd nie czuł.

Wszystko to znikło, gdy ujrzał, z jaką oschłością król potraktował całą Radę. Potem usłyszał słowa Pierwszego Pieśniarza. W mig przypomniał sobie, że Duncan III, nawet jeśli został pozbawiony Talii i właśnie wyrwał się ze szponów szarej rozpacz, nadal jest potężnym królem Mandylionu i potomkiem samego Duncana Założyciela, opiewanym przez Pieśni wodzem, który stawił czoła Czerni, a potem znalazł poddanym nową ojczyznę, dowódcą naczelnym armii i zwierzchnikiem Pieśniarzy. Klęczał wraz z innymi, poruszony, skruszony i przerażony, a marzył tylko o tym, by znaleźć się gdzieś indziej.

Król najwyraźniej nie dokończył jeszcze rozmowy.

W środku pociemniało, gdy Pierwszy Pieśniarz opuścił połę namiotu. Zachręściła zbroja. Duncan zrobił krok ku młodemu Hanstarowi, który błyskawicznie opadł na kolano.

– Czy wiesz, dlaczego kazałem ci zostać w namiocie na czas narady? – spytał król.

Tankred niespodziewanie uświadomił sobie, że zna odpowiedź na to pytanie.

– Ponieważ moje przybycie i wieści o niełasce Tenketarów oraz Vlistunów zbiegły się w czasie – wychrypiał. – Ktoś zapewne już ową zbieżność zauważył i niebawem pójdzie plotka o tym, że zazdrośni Hanstarowie wykopali dołek pod dwoma innymi rodami. Tylko i wyłącznie wasza przychylność, panie, chroni nas przed reputacją zdrajców i donosicieli.

Oczy króla błysnęły, Pieśniarz zaśmiał się krótko, bez wesołości.

– Bystry jesteś – oznajmił król. – Nawet bardzo. Gdy nabierzesz

doświadczenia, będziesz lepszy od samego Olwego.

– Panie – odważył się Tankred. – Czy to konieczne? Mój ród...

– Twój ród jest mądry i przebiegły – warknął król. – Dustun to idiota, ale inni – Mustaig, Talvina, Bazyli, Alastan, Krugan, ty i twoja siostra, nawet stary Gwinulf... O wiele lepiej mieć was po swojej stronie niż przeciwko sobie.

– Ale przecież...

– Milcz. Wasza życzliwość i wierność są mi miłe, ale nie jesteście durniami takimi jak Toulghanowie czy obojętnymi samotnikami, takimi jak Vothanowie. Jesteście Hanstarami i któregoś dnia moglibyście zacząć mnie szantażować. Ktoś z was mógłby kiedyś stanąć przede mną i oznajmić, że na czymś mu bardzo, bardzo zależy i jeśli tego nie dostanie, opowie komuś o tym, że Królewska Talia została stracona.

– Nigdy bym...

– Milcz! Słowa, słowa... Cóż mi po twoich słowach? Teraz mam, Tankredzie, pewność. Odkryłeś wielki sekret, nie przeczę. W istocie, nie mam już Królewskiej Talii. Przewożący ją okręt zaginął podczas burzy na Wściekłym Morzu. – Król urwał na moment i wciągnął z trudem powietrze do płuc. – Dowództwo nad artylerią przypadło Sorenowi Tenketarowi, który jest zbyt młody, by wciągnięto go w intrygę, a po tym, co się stało, będzie próbował się wykazać – podjął władca. – Marceli Vlistun zaś miał już swoje lata, gdy asystował przy moim porodzie. Nie sądzę, by miał ochotę na knowania. Poza tymi dwoma Pieśniarze aresztowali wszystkich najważniejszych członków Tenketarów i Vlistunów. Wraz z nimi pod klucz trafią wszyscy, którzy mogli dowiedzieć się o utracie Talii. Zastanawiam się właśnie – jego głos pomroczniał – czy profilaktycznie nie zrobić tego samego z Hanstarami. Jeśli usłyszę choć jedno słowo na ten temat z ust któregokolwiek z was, natychmiast przedstawię nową, nieco zmodyfikowaną wersję wydarzeń, które doprowadziły do upadku Tenketarów i Vlistunów.

– Lub – znów zaśmiał się Pieśniarz – zrobię to ja.

Tankred pochylił głowę. W jego sercu wściekłość walczyła o lepsze z żalem i wielkim zawodem, ale w głębi duszy czuł, że król nie ma wyboru. Odetchnął ciężko, odkaszlnął i rzekł:

– Rozumiem, panie. Przekażę wasze słowa tym spośród Hanstarów, którzy znają prawdę.

– Bo nie przyszło ci do głowy, by wypaplać nasz sekret komuś spoza rodu?  
– zasyczał Pieśniarz, stojący tuż za jego plecami. Ciało Tankreda przeszył dreszcz – nie słyszał ani jednego z jego kroków.

Przed oczami stanęła mu biblioteka Domu Hanstarów w Posępnej Łunie i trójka zasłuchanych gnomów. Jego sercem znów targnął dziki lęk, ale przygryzł wargę, wyprostował się i przywołując resztki odwagi, spojrzał Pieśniarzowi w spokojne, zimne oczy.

– Nie – rzekł.

– Dobrze – oznajmił król. – Jesteś więc wolny. Dodam, Tankredzie – w jego głosie pojawiło się nagle nieco życzliwości – że czekam na dzień, kiedy będę mógł odsunąć rację stanu na dalszy plan i po prostu ci podziękować. Zarówno za wieści o nadciągających Sępach i knujących rodach, jak i za... Za lek na ową szarą rozpacz.

Tankreda znów naszło wspomnienie ciepłej metalowej kuli wręczonej mu przez Ris'tah w elfiej ambasadzie w Posępnej Łunie. Ośmielony życzliwością w głosie króla, uniósł wzrok i rzekł żarliwie:

– Panie, ale skoro wyruszamy w pole... Skoro mamy zatrzymać Sępy...

– Tak? – Król przekrzywił nieco głowę. W jego głosie pojawiły się pierwsze oznaki chłodu. Pieśniarz znów się roześmiał.

– Toporzysko jest rzeką trudną do przebycia, a artyleria, nawet przy skąpych zapasach prochu, nadal jest naszym wielkim atutem. Ich konie płoszą się od wybuchów, widziałem to podczas starcia w Dymiących Wzgórzach, a...

– Do czego zmierzasz, Hanstar? – spytał ze zniecierpliwieniem król.

Tankred przypomniał sobie o obecności Pieśniarza za swoimi plecami, ale nabrał tchu, a wraz z nim odwagi i rzekł:

– Jak już mówiłem, miłościwy panie, wedle zeznań Visteniego, współautora inwazji, Sępy nadejdą prawym brzegiem Toporzyska! Tymczasem wedle elfów z Posępnej Łuny, którzy rzekomo celują w odgadywaniu przyszłości, wróg ma nadejść lewym brzegiem. I ja... Ja pojęcia nie mam, komu uwierzyć! Przecież trzeba się w porę przeprowić, przenieść działa, konie... Nie chcę wyjść na tego, który przyczynił się do klęski!

Tym razem to król się roześmiał.

– Na szczęście, chłopcze, oprócz elfich szamanów i mikstur twej ciotki mamy jeszcze Widma. Te zaś doniosły, że wróg idzie lewym brzegiem. Talvina

musiała coś popieprzyć w składnikach.

Tankred wpatrywał się w króla szeroko otwartymi oczami.

„Elfy miały rację?”

- Idź już – zniecierpliwił się władca. Pieśniarz odsunął się z szelestem szat.
- Niech Pieśni cię wysławiają.
- I... I was też, panie.



Obłoki na horyzoncie przeobraziły się w chorągwie lekkiej jazdy rodu Treshów, rozsypane, gnające co koń wyskoczy. Ich proporce drżały i dygotały nad tumanami pyłu, jakby chciały przekazać reszcie nadciągającej armii, że jeszcze się trzymają, jeszcze nie poddają się rozpaczy.

Bo ćma, która podążała za nimi, przerastała jakiegokolwiek wyobrażenie.

Tankred stanął w strzemionach i opadł na siodło, porażony tym, co ujrzał. Nigdy nie widział Czerni, która przyniosła zagładę Mandylionowi, ale tak właśnie sobie ją wyobrażał – jako długie, nieskończenie długie szeregi, najeżone śmiertcionośnymi ostrzami, buchające furią i dzikością, rozhukane i niepowstrzymane. Umykające lekkie chorągwie Treshów wydawały się przy tym nielicznymi kagankami otoczonymi przez gęstniejącą noc.

Młodzieniec zerknął na Mustaiga. Wuj, zakuty w zbroję płytową, a przez to sprawiający wrażenie potężniejszego niż zwykle, bez lęku wpatrywał się w nadciągającego wroga. Konie prychały, boczyły się, rzucały łbami, szczekał oręż, ludzie milczeli.

Czekali w ciszy, jakby w ten sposób chcieli uczcić potęgę wroga.

Tankred przełknął ślinę i rozejrzał się. Konnica mandyliońska trwała

w idealnym, niewzruszonym szyku i gdyby nie stepowy wiatr poruszający proporcami, wydawałoby się wręcz rzędami ołowianych rzeźb. Lekkie hufce rajtarii, obok nich konni łucznicy, dalej szeregi ciężkiej jazdy, żelazne, dumne, zdawałoby się tak liczne, ale przecież będące zaledwie garstką w obliczu nadciągających hord Sępów.

„Gdyby nas opadli w obozie... – pomyślał Tankred z narastającym przerażeniem. – Gdyby podeszli niepostrzeżenie... Wystarczyłoby ich kilka tysięcy, by otworzyli sobie drogę do długich lat grabieży w całym Taliadzie!”

W porę zwarli szyki i wyszli na spotkanie wroga, ale czy mogło to w czymkolwiek pomóc? Czy byli w stanie wytrzymać napór takiej ciżby? Ilu było Sępów? Dziesiątki tysięcy dzikich jeźdźców? Setki może?

Tankred odruchowo odszukał wzrokiem króla, stojącego w centrum szyku w otoczeniu Rady oraz kilku Pieśniarzy. Wydawali się tacy spokojni, tacy opanowani, jakby byli ślepi, jakby...

„Nie mamy szans! – uświadomił sobie Tankred. – Najmniejszych!”

– No, dalej! – mruczał Mustaig z narastającym rozdrażnieniem.

Konie chrapały, biły kopytami o ziemię, a ta drżała, zwiastując nadciągające starcie dwóch światów, coraz bliższe, coraz straszliwsze. Tankred mocniej ścisnął lancę w zwilgotniałej dłoni. Umykający zwiadowcy rodu Treshów byli już niemalże widoczni – co rusz któryś odwracał się i posyłał strzałę w tłum ścigających. Co chwila też któryś osuwał się na ziemię ze strzałą wojownika z Pogranicza drgającą w plecach. Napięcie rosło, stawało się namacalne, wręcz materialne, dusiło go i nie pozwalało oddychać.

Teraz!

Król skinął ręką, lekko, niemalże od niechcenia. Pierwszy Pieśniarz klasnął w dłonie, Widma wzbiły się z wyciem ku niemu, przez zastygłą w bezruchu armię mandylionską przeszło pierwsze drżenie. Szeregi łuczników naciągnęły cięciwy i posłały chmarę strzał, które zakreśliły łuk wysoko nad głowami zwiadowców rodu Treshów i pomknęły prosto na spotkanie ścigających. Sępy były na to przygotowane – wojownicy gnali w luźnym szyku, z dala od siebie – a mimo to salwa przetrzebiła ich szeregi. Wrzaski trafionych i kwiki rannych koni wzbiły się ponad łomot kopyt, a pierwsi ze ścigających zwolnili.

Tankred, pomimo napięcia, pokiwał głową. Rozumiał intencje króla.

Grad strzał nie miał na celu wybić Sępów, ale zatrzymać je na chwilę



i wyrwać z szалу bojowego. Teraz, gdy oddziały zwiadowcze rodu Treshów na zgonionych, mokrych od potu koniach wpadały w tunel utworzony przez formacje piechoty, mieli okazję przyjrzeć się przeciwnikowi.

Widzieli równe szeregi ciężkiej piechoty uzbrojonej w długie piki i olbrzymie tarcze, widzieli oskrzydlające ich oddziały łuczników oraz kuszników, a dalej chorągwie ciężkiej i lekkiej jazdy. Patrzyli na kilkanaście tysięcy doskonale wyćwiczonych, zahartowanych ludzi, którzy stanęli w zwartym szyku, by ich zatrzymać i rozpędzić.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Zwiadowcy Treshów na tyłach chrapliwymi głosami domagali się wody, chorągwie łopotały, odlegli wojownicy Sępów miotali się dziko, rzucali obelgami i spoglądali za siebie, ku nadciągającej armii.

Wtedy król skinął ręką po raz drugi.

Joakim Claytore zadął w róg, a jego chorąży zamachał proporcem. Szyk zachwiał się, a rycerze powoli, niezdecydowanie zaczęli się cofać. Na skrzydle Claytore'ów zapanowało zamieszanie, a potem buchnęły dzikie wrzaski, gdy w ślad za nimi poszli rycerze Puckhardów. Szyk łamał się i chwiał, ku niebu były tumany pyłu, ludzie krzyczeli, Sępy wiwatowały i obrzucały Mandyliończyków wyzwiskami.

Tankred przyglądał się widowisku z niedowierzaniem. Na horyzoncie ciemniała lawa zbliżających się przeciwników. Od wielkiej, frontalnej szarży dzieliły ich zaledwie minuty.

Król znów skinął.

– Nasza kolej! – warknął Mustaig. – Zawracamy!

Rycerstwo Hanstarów bezwładnie, bez żadnego porządku zaczęło zawracać konie, pogłębiając chaos i zamieszanie. Gdy dotarli na tyły armii, kurzawa zakryła już cały świat. Mustaig dał znać stajennym oczekującym ze stadami powiązanych wierzchowców. Ci momentalnie popędzili zwierzęta i pognali ku odległej Szczelinie, w ślad za pozostałymi, pchniętymi chwilę wcześniej przez Joakima Claytore'a.

– Z koni! – ryknął Mustaig i sam zsunął się z siodła z chrzęstem oręża.

Tankred uczynił to samo, a po nim kilkudziesięciu rycerzy i drugie tyle konnych wojowników wspierających siły króla. Skupili się wokół Zwierzchnika Rodu, rozglądając się na boki i próbując rozeznąć w sytuacji,

ale tumany kurzu skutecznie to uniemożliwiały. Widać było jedynie stanowiska artylerii i rzędy arkebuzerów, spoza których co chwila wyłaniały się plecy ostatniego szeregu piechoty. Od czasu do czasu migąła kolejna gromada jeźdźców zmieniająca pozycję. Powietrze przeszywał ryk rogów i szczęk oręża, któremu odpowiadał narastający grzmot kopyt nadciągających Sępów, wzmocniony dziką muzyką ich świstawek i szyderczymi wrzaskami.

Serce Tankreda biło szybko. Zerkał na twarze pozostałych, pokryte cienką warstewką lepkiego potu, na ich błyszczące, niespokojne oczy, usiłujące przebić kurzawę. Wiedział tyle co reszta – stada koni, gnane przez garstkę stajennych ku Szczelinie, stworzą wrażenie, jakby uciekała większość konnicy Mandylionu, jak na razie skrytej za plecami piechoty i gotowej do natarcia. To powinno zachęcić Sępy do większej brawury, do...

– Głowy w dół! – ryczał Mustaig. – Zwinąć wszelkie proporce! Głowy w dół, do jasnej cholery!

Ryk rozpedzonych Sępów stał się ogłuszający, ziemia nie drżała, a wręcz dygotała. Kurzawa wdzieriała się do nosów i oczu.

– Gotuj się!

– Ognia! – wrzasnął ktoś cienkim, zniekształconym emocjami głosem.

– Ognia! – huknęli za nim pozostali.

Choć ci spośród Sępów, którzy wyrwali się z matni wśród Dymiących Wzgórz, oraz ci, którzy służyli Tenketarom i Vlistunom, z pewnością opowiedzieli przywódcom najeźdźców o potencjale Mandylionu, nie osłabiło to furii, z jaką rozwijali szarżę. Dopiero gdy rozległy się pierwsze wystrzały armatnie, w ogłuszającym zgiełku natarcia pojawiły się nowe nuty – rzenie przerażonych, rannych koni i wrzaski pierwszych trafionych.

– Ognia! Ognia!

Działa pluły ogniem i ryczały, śląc mordercze pociski w głąb nadciągającej hordy. Tankred przymknął oczy i w wyobraźni ujrzał, jak żelazne kule, wirujące łańcuchy i grad żelaznych odłamków chlastają nacierające szeregi, powalają konie, zrzucają z siodła jeźdźców, szarpią ciała, odbierają życie. Serce biło mu jak szalone, po twarzy ciekły strużki potu. Otworzył oczy i spojrzał błagalnie na wuja.

„Już?” – pytał jego wzrok.

„Jeszcze nie”.

Nie ujrzał więc, jak piechota rozstępuje się, a przetrzebione, skrwawione, ale niepowstrzymane szeregi Sępów wpadają w nawałę ognia muszkietów i kolejny grad strzał. Wystarczały mu jednak przeraźliwe, rozdzierające bębunki w uszach kwiki koni, by odgadnąć, że wierzchowce Sępów, nienawykłe do huków, zaczynają się płoszyć.

Część jeźdźców jednakże opanowała swe rumaki – z furią zwielokrotnioną przez strach uderzyli w szereg mandylionskiej piechoty, który ugiął się pod ich ciężarem, ale wytrzymał. W kurzawie migotały piki i topory, a palbę muszkietów zastąpił wściekły szczęk oręza.

„Teraz?”

„Nie, do cholery!”

Wtedy z nieba spadły Widma. Tankred nie miał pojęcia, ile ich było – zadarł głowę, ale ujrzał jedynie plamy rozedrganego powietrza mknące ku wrogiej cizbie. Potem skulił się, gdy powietrze przeszło zwielokrotnione wycie, niemające sobie równych. Mandylionskie rumaki, choć nawykłe do ryku Widm, tupały i prychały, zaniepokojone.

„Jeśli tak wyglądało zdobycie Posępnej Łuny – pomyślał Tankred – cud, że w tym mieście nadal ktoś chce mieszkać”.

Ziemia znów zadygotała, tym razem od kopyt uciekających wierzchowców. Wycie Widm przycichło w chwili, gdy niezemskie istoty skierowały się ku niebu, a wtedy wrzawę bitewną przeszła ochrypla pieśń rogu.

– Teraz! – ryknął Mustaig. – Dawaj, chłopcze! Na koń! Naprzód! Hanstar! Hanstar!

– Claytore! Claytore!

– Puckhard!

– Doylann!

– Mandylion! Za Pieśni! Naprzód!

Wojownicy pospiesznie wspinali się na siodła, łapali lance, formowali szyki i wyjeżdżali zza skrzydeł piechoty, nabierając tempa. Załopotwały proporce, gruchnęły pistolety rajtarii, słońce przejrzało się w ostrzach włóczni i zmatowiały od kurzu napierśnikach.

– Naprzód! – krzyczał Tankred wraz z resztą, pochylony nad karkiem rozpędzającego się wierzchowca.

Kilka uderzeń serca później wpadli w sam środek piekła, by je roznieść na ostrzach i kopytach.

Jeszcze nim szpic ściskanej przez niego włóczni strącił pierwszego przeciwnika, Tankred wiedział, że chwila, w której ważyły się losy starcia, właśnie minęła. Że żelazny klin, formowany przez rycerzy mandylionów, okaże się trzecim, decydującym ciosem po ogniu artylerii i natarciu Widm.

Potem wszystko pochłonął wściekły łoskot bitwy.

Uderzenia stali o stal. Rzenie ranionych koni. Krzyki rannych, ochryple wrzaski walczących, ostatnie, nieliczne wystrzały. Wszelka wzniosłość została w mig pogrzebana pod końskimi kopytami, a po niebie gnała groza, ścigana rykiem rogów i wyciem Widm.

Tankred ciął, odbijał wrogie ciosy, skrzykiwał wokół siebie rozproszonych rycerzy i znów gnał do boju. Obojętny na ból, pozbawiony uczuć i odczuć, już nie skryba i nie pasjonat wiedzy, ale oszalały wojownik. Bitwa zaś, z wolna przeistaczająca się w rzeź, pochłaniała go coraz bardziej.

Szyki Sępów pękały, ich dzikość kruszyła się, niepomini na wstyd i zasady honoru wojownicy z Pogranicza uciekali w popłochu. Rycerze mandylionów ścigali ich bez wytchnienia.

Zdrowy rozsądek wrócił Tankredowi w chwili, gdy jego koń potknął się po raz kolejny. Ściągnął wodze, zerwał z głowy hełm, przetarł czoło mokre od potu. Patrzył na oddalające się starcie, na równinę zasłaną ciałami, na tumany kurzu i migotliwy, obojętny nurt Toporzyska. Oddychał ciężko.

„Wygraliśmy – uświadomił sobie z obezwładniającą ulgą. – Nie wierzę w to...”

Cios zadany w tył głowy eksplodował bólem, jakiego Tankred jeszcze nie doświadczył. Zakrwawiony miecz wysunął się z jego bezwładnej ręki, ziemia runęła mu na spotkanie, potem nastąpił łoskot i jeszcze więcej bólu. Cichutki głos instynktu kazał mu odwrócić głowę ku temu, kto zadał ów cios.

Widział ciemną, zamazaną sylwetkę, ale skądś znał ten chód. Rozpoznawał rysy twarzy, kształt ramion, nawet sposób, w jaki jego przeciwnik trzymał miecz.

Jego myśli wrzasnęły chórem. Przecież to było niemożliwe. Niemożliwe! Król powiedział, że...

Kolano Dagnaara Vlistuna wbiło się w jego gardło, ledwie widoczne,

rozedrgane ramię uniosło sztylet.

– Sprytny jesteś, skrybo – wyszeptał Vlistun. – Zbyt sprytny.

Tankred wiedział, że powinien błagać o litość. Powinien się powołać na lata wspólnej służby, na ich przyjaźń, na miłosierdzie króla i dobro królestwa, ale nienawiść w oczach Dagnaara obudziła w nim racjonalne, hanstarskie myślenie. Wiedział, że go nie przekona.

Że przyjdzie mu zginąć w chwili zwycięstwa.

Naraz rozległ się wściekły, gwałtownie przybierający na sile szum Widma. Powietrze zapłonęło na ułamek sekundy, Dagnaar wrzasnął krótko, jego sztylet upadł na ziemię.

Na twarz Tankreda padł cień.

– To młody Hanstar – prychnął wzgardliwie Alisann, bo inaczej nie umiał. I wyłącznie dlatego tym samym tonem dodał: – Zabierzcie go stąd. Tylko ostrożnie.



## Powrót do Ugoru

Wczesną jesienią wiatry nad Ugorem stawały się jeszcze bardziej gorące i suche, wręcz palące, jakby po upalnym lecie ich pragnienie rosło do niewyobrażalnych rozmiarów. Nocami przemieniały się w huczące upiory, które przetaczały się nad czerwonymi polami, szarpały karłowate, kolczaste drzewka, zmuszały ludzi, by nakrywali się kocami po oczy, aż wreszcie rozbijały się o niewzruszone mury twierdzy. Tankred uświadomił sobie, że mógłby tak stać i słuchać nocnej symfonii po wsze czasy. Po tym, co przeszedł, szaleństwa żywiołów wręcz go uspokajały.

– Pora, byś się położył – powiedziała cicho Viliena. – Spędziłeś kilka dni w siodle.

Młodzieniec wyprostował się z cichym westchnieniem, wciągnął ostatni, głęboki haust suchego powietrza i odwrócił się ku siostrze, która stała oparta o kamienną kolumnę. Ciepłe przeciągi poruszały polami jej peleryny, a duże, okrągłe oczy iskrzyły w świetle ognika zamkniętego w szybkach latarni.

– Zabawne, ale dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nazywają cię Sową – powiedział ze zmęczonym uśmiechem. – Chyba też zacznę.

„Im jesteś starsza, tym bardziej przypominasz mamę – pomyślał z bólem. –

Niestety, tamten świat, jakże cudowny i poukładany, już nie istnieje. W jego miejsce dostaliśmy ten bajzel”.

Viliena machnęła drobną, spracowaną dłonią.

– Ciebie zaś zowią młodym Vildurfem. Nie młodym Hanstarem, nie Tankredem, ale młodym Vildurfem. Odrodziłeś się jako własny ojciec, Tankredzie. Układasz swą własną Pieśń.

– Co jeszcze mówią oprócz tego? – Rycerz oparł się o chropowatą ścianę i poprawił opatrunek na głowie, który nosił od czasu bitwy.

„Ciekawe, ile spośród spraw, które stały się moim udziałem, przeniknęło do ogólnej świadomości?” – pomyślał. Niespodziewanie naszło go wspomnienie ostatniej rozmowy z królem oraz Pierwszym Pieśniarzem i z trudem opanował dreszcz.

– Trudno w tym doszukać się prawdy. – Viliena uśmiechnęła się lekko. – Liczę, że wszystko mi opowiesz. Oczywiście jak już odpoczniesz, wypisz się...

– Mów – poprosił ją Tankred, przymykając oczy. – Opowiedz mi o tym, co słyszałaś od innych. Pozwól mi na tę jedną jedyną chwilę próżności.

– Cóż... – Viliena zawahała się lekko. – Na razie rozmawiałam tylko z kilkoma rycerzami i sierżantami najemników, których wuj Mustaig wysłał do Ugoru, i usłyszałam... hmm, wiele rzeczy. Pozwolisz, że pominę najbardziej fantastyczne plotki. Zgodnie z tymi, w które byłabym ewentualnie skłonna uwierzyć, przeprowadziłeś jakieś wielkie śledztwo. Znalazłeś przywódcę Mącicieli i udowodniłeś, że dogadał się z Pograniczem i przygotowuje atak na obóz królewski nad Szczeliną.

– Tylko tyle? – Tankred zdziwił się nieco.

– A to nie wystarczy? – Viliena oparła pięści na biodrach. – Rozczarowała cię twa chwila próżności?

– Nie. Zastanawiałem się tylko...

– Czy będą mówić o ścigającym cię Jastrzębim Rycerzu? Albo o tym, że podpadłeś Pieśniarzom? – Zmrużyła nieco oczy. – Wiedz, braciszku, że wiedziona wielką troską o ciebie, wypytałam o to w pierwszej kolejności. W twojej legendzie, młody Vildurfie, nie ma ani słowa o Pieśniarzach.

– A jest może coś o Tenketarach czy Vlistunach? – spytał Tankred, wpatrując się czujnie w siostrę. Miał wrażenie, że w półmroku komnaty

unoszą się oczy króla, świetliste, przesywające, złowróżbne.

– Nie – odparła Viliena i przechyliła lekko głowę. – A powinno być?

– Powinno. Ale dobrze, że nie ma.

Dziewczyna przymknęła oczy.

– Czuję, że czeka mnie dłuższa historia, niż myślałam.

– O wiele dłuższa. O samej bitwie mógłbym mówić chyba z tydzień.

– Strasznie było?

– Strasznie.

Viliena nie zadawała kolejnych pytań.

Schodzili powoli po schodach, słuchając dzikiego wiatru, nadal szturmującego wyniosłe, wzgardliwe ściany prastarego Ugoru. Dziewczyna nie mogła się oprzeć i otoczyła ramieniem talię brata, a ten uśmiechnął się i objął ją.

– Tak bardzo się cieszę, że nic ci się nie stało – szepnęła. – Tylu nas zginęło, Tankredzie. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś i ty...

– Ani przez chwilę nic mi nie groziło – skłamał i zacisnął powieki, by odepchnąć wspomnienie ziejącej nienawiścią twarzy Dagnaara Vlistuna. – Armia Sępów była od nas przynajmniej cztery razy liczniejsza, ale w chwili, gdy na nich uderzyliśmy, szli już w rozsypkę. Gdyby wiedzieli, że wystrzeliliśmy dosłownie resztkę naszego prochu... Nie wiem, czy po bitwie w całej armii zebrałaby się choć beczka.

– Na szczęście są jeszcze Dymiące Wzgórza. – Viliena opanowała wzruszenie i odsunęła się od brata.

– Otóż to. Król nie zapomniał o przysłudze, którą mu wyświadczyłem, i zaraz po bitwie kazał wystosować dekret przydzielający Hanstarom władzę nad Wzgórzami – rzekł Tankred. – Mustaig i Dustun zakrzętnęli się i w mig podsunęli nowemu Zwierzchnikowi Tenketarów umowę.

– Jaką?

– Umowę pierwokupu. My będziemy wydobywać siarkę, a oni będą ją od nas kupować. Kupować, rozumiesz? – Oczy Tankreda rozbliły się. – Nie dość, że zgromadzimy zapasy siarki na długie lata, to jeszcze zarobimy krocie na tych draniach!

– Ostrożnie – ostrzegła go Viliena. – Wiesz, do czego prowadzi zajadłość?



– Wiem – odparł Tankred. – Ale w tej akurat chwili mało mnie to obchodzi. Po tym, co przeszedłem, zasługuję na parę dni zajadłości.

Wyszli na ciasny balkonik i spojrzeli na ludzi weselących się na zamkowym dziedzińcu. Po kamiennych ścianach ślizgały się wesołe odbłaski ognisk rozpalonych między studnią a rozłożystym dębem, bodaj największym drzewem w całym Ugorze. Ktoś grał na cytrze, ktoś inny wtórował mu na fujarce, kilkanaście głosów próbowało nadażyć za melodią, śpiewając piosenkę o dziewczynie z oczami błękitnymi jak niebo nad Skaliną. Inni raczyli się winem prosto z beczki, doglądali wołu obracającego się na gigantycznym rożnie, tańczyli, śmiali się. Między prastarymi, posepnymi murami Ugoru chyba pierwszy raz od wylądowania wojsk Mandylionu tętniła szczerza radość.

Tankred i Viliena przez moment stali w milczeniu i sycili się tym widokiem. Na ich twarzach nieświadomie pojawiły się uśmiechy.

– To trwa już od tygodnia – wyjaśniła dziewczyna. – Upiór strasznie się zżyma, bo biesiadnicy rzekomo przeszkadzają mu w pracy. Nawet ze skargą raz przyszedł. Na Pieśni, ale się darł.

– I nie posłuchałaś? – Tankred udał zdziwienie.

– Nie.

– Okazałaś tym samym większy heroizm niż ja w obu bitwach.

– Daj spokój. – Sowa oparła spracowane dłonie na zimnej kamiennej balustradzie. – Ci ludzie przebyli długą drogę, a za moment czeka ich kolejna, do Dymiących Wzgórz. Czytałam rozkazy, jakie wypisał dla nich Dustun, ani chybi pod dyktando Mustaiga. Mają nawieźć drewna z boru ze skraju Mglaków, wznieść palisadę, zbudować magazyny, wytyczyć trakt. Mnóstwo pracy, a Dymiące Wzgórze ponoć wcale nie są przyjaznym miejscem. Zamieszkują je różne dzikie stwory, o wiele groźniejsze od naszych krzykunów. Na przykład... Zaraz, jak one się nazywały?

Tankred wrócił wspomnieniami do swojej ostatniej rozmowy z gnomami.



– Koboldy, czarnochowy, piskliny i smoki. Od cholery smoków – wyliczał

na krótkich palcach Thanni. – Nieźle zeście się władowali.

– Kota w czapce kupiliście – odezwał się Thugh i uśmiechnął się szeroko, prezentując imponującą szczerbę w uzębieniu. Jego oczy migotały w świetle trzymanej wysoko pochodni.

– Mówi się „kota w worku” – mruknął Tankred. – I nie kupiliśmy, tylko dostaliśmy.

Thanni stanął na szeroko rozstawionych nogach, przechylił lekko głowę i świdrował go przenikliwym wzrokiem. Znów miał na sobie wysokie, sięgające kolan buty z wywiniętą górą i pognieciony kapelusz imponujących rozmiarów, ten sam, który nosił na Mglakach podczas ich pierwszego spotkania. Brudną dłoń oparł na rękojeści długiego sztyletu o nieprzyjemnie szerokim ostrzu, a blask trzymanej przez kamrata pochodni zamieniał go w mroczną istotę z koszmarnych snów.

– Ale dacie sobie radę – powiedział po chwili.

– Pewnie. – Tankred wzruszył ramionami.

Spojrzał ponad głowę gнома na opromienioną latarenką szalupę i Gropsa, który szarpnął za którąś z dźwigni i wypuścił z pieca strumień migotliwego, gorącego powietrza. Popszywany ze skór balon zafalował, pociągnął liny, niemalże wyrwał łódź z błota. Thugh odwrócił się i warknął głucho. Grops mruknął coś przepaszająco, rozłożył ramiona i kopnął od niechcienia Stunna Tenketara, leżącego dokładnie w tym samym miejscu, w którym Tankred widział go po raz ostatni. Więzień zajęczał głucho, ale Grops sprawnie dopchnął mu knebel, rzucił na niego efektowny czar i pogłaskał po głowie jak psa.

– Jesteś, człowiek, w porządku – dodał pospiesznie Thanni, jakby się bał, że Tankred odjedzie, nim zdoła powiedzieć mu wszystko. – Dotrzymałeś umowy, my ze swojej strony również. Zrobiliśmy to, co chciałeś, a w zamian dostaliśmy tego tam niezgułę, który nauczy nas robić proch. Trochę niezgraba, przyznam, ale jeszcze zrobimy z niego porządnego gнома.

– Wszak czary Gropsa, czarujący uśmiech Thugh'a i twój dar wygłaszania przemówień są w stanie zdziałać cuda. – Tankred uśmiechnął się.

– Cóż. – Thanni zerknął przez ramię na Gropsa, który szarpał za jakąś zardzewiałą dźwignię i obrzucał ją wściekłymi przekleństwami w rodzimej mowie. – Wiesz, że on tak naprawdę gównem wie o czarowaniu?

– Wiem. Pozostaje więc urok Thrugha i twoja gadanina.

– Damy jakoś radę. – Gnom uśmiechnął się przebiegle, ale nagle pomarkotniał. – Człowiek, a nikt nie będzie go szukał, tego Spluna czy jak mu tam?

– Pieśniarzowi Alisannowi powiedziałem, że odnalazłem go niedługo po bitwie na Dymiących Wzgórzach i zmusiłem do napisania oświadczenia, ale uciekł mi w nocy. Trochę się boczył i udawał, że mi nie wierzy, ale ostatecznie uratował mi życie w drugiej bitwie, więc chyba jesteśmy na powrót przyjaciółmi.

– A rodzina tego Spluna?

– Im powiedziałem to samo. Zresztą zapewniam cię, Thanni, że przywódcy rodu Tenketarów mają teraz o wiele ważniejsze problemy na głowie, a na ich czele stoją król i Pierwszy Pieśniarz. Minie dużo czasu, nim ktoś przypomni sobie o Stunnie Tenketarze, ale na wszelki wypadek dobrze go pilnujcie. – Rozejrzał się po skrytych w mroku drzewach, które otaczały polanę użytą przez gnomy jako lądowisko, i dodał: – W ogóle lepiej nic nie gadajcie.

– Bo co? – podjął gnom ostrożnie.

– Bo gadanie szkodzi. Co będzie, jak któryś z was wypaple komuś o tym, co usłyszeliście w Posępnej Łunie, w domu mego rodu?

– Ja nic słyszałem – odezwał się Thrug. – Nicogo.

– Słyszałeś co nieco o Królewskiej Talii. – Tankred wbił w niego ostry, nieustępliwy wzrok. – To zła wiedza, Thrug. Niebezpieczna. Zwabia Pieśniarzy, a ci zaczynają zadawać pytania.

– Jednym z pierwszych – burknął Thanni – będzie: „Od kogo się tego dowiedzieliście?”

– Oczywiście. – Tankred wzruszył ramionami. – Nie ma wątpliwości, że jako praktyczny lud natychmiast wskażecie mnie, a ja bez wahania na to pytanie odpowiem. Pospieszę wówczas również z wyjaśnieniami, co się stało ze Stunnem Tenketarem. Ponoć na widok instrumentarium Pieśniarzy błyskawicznie wyostrza się pamięć. Nie pominę „nicogo”.

Z piecyka na szalupie buchnął strumień purpurowego ognia, osmalając Gropsowi twarz. Gnom usiadł z jękiem, kichnął i znów zaczął kłąć.

– Dobra – warknął Thanni i poprawił kapelusz. – Będę pamiętał.

– Pamiętaj również o propozycji, z którą tu przyjechałem, Thanni. Niedługo wyruszamy na Dymiące Wzgórza, które są już oficjalną własnością rodu Hanstarów. Przyda nam się wasza pomoc z tymi tam pisklinami. Z chęcią zapłacimy paru chwatom, którzy podejmą u nas służbę.

– Zastanowię się – westchnął niechętnie Thanni. – Ja będę zajęty – zerknął przez ramię na Stunna – ale rozpytam wśród pobratymców. Może ktoś się skusi. Kto będzie dowodził tą waszą ekspedycją? Ty?

– Nie, ale na pewno ktoś z mego rodu.



Przez otwartą bramę wpadł jeździec. Osadził spienionego rumaka przy studni, zeskoczył na ziemię, rzucił wodze parobkowi, przeciągnął się, a potem rozejrzał. Blask płomieni mignął w jego oczach i zaróżowił twarz, chudą, ogorzałą, ale zaciętą, inteligentną, znamionującą wielką przebiegłość. Nim minęła chwila, już trzymał kubek z winem i odkrawał sobie kawałek pieczeni, śmiejąc się z czyjegoś żartu.

– To Krugan! – zawołała Viliena. – Wszędzie zachowuje się, jakby był u siebie! Chodź, przywitamy się! Może przywiózł jakieś wieści!

Złapała brata za rękę i pociągnęła za sobą, ale ten nawet nie drgnął.

– Oczywiście, że przywiózł wieści – westchnął Tankred. – Bez wyraźnego rozkazu nie wsiadłby nawet na koń.

– Tym bardziej powinniśmy porozmawiać!

Młody Hanstar przymknął oczy. Jego umysł na powrót wypełnił zgiełk bitwy i szczęk oręża, znów ujrzał przekrwione końskie ślepia, wznoszące się miecze i zbryzgane krwią tarcze. Niemalże poczuł smak potu zmieszanego z pyłem.

– Później, Vilieno. Krugan, jak widzisz, świetnie sobie daje radę bez nas. – Wskazał kuzyna, który otoczył ramieniem jedną z dziewczek służebnych i znów napełnił kubek miodem, śmiejąc się do rozpuku.

Viliena zmrużyła lekko oczy i rozchyliła usta, jakby chciała o coś zapytać, ale potem zacisnęła je mocno i skinęła głową.

– Poza tym jest wiele innych rzeczy, które są chyba pilniejsze – dodał

Tankred, udając energię i zapał. Znużenie podróżą powoli dawało mu się we znaki.

– Co na przykład?

– Brisse.

Viliena przytaknęła. Oboje w milczeniu skierowali się ku schodom i zeszli na niższy poziom twierdzy, gdzie grube kamienne ściany chroniły ich zarówno przed wyciem wiatru na zewnątrz, jak i odgłosami hucznej zabawy na dziedzińcu. Ich kroki niosły się echem po długim korytarzu, pochodnie łopotały, darte podmuchami wiatru.

Drzwi komnaty, do której zmierzali, były uchylone. Służąca siedząca przy łóżku – miejscowa dziewczyna o ciemnych, połyskliwych włosach – poderwała się na ich widok, ale Viliena uniosła palec do ust, nakazując jej ciszę. Zostawiwszy Tankreda na progu, ostrożnie podeszła do łóża, na którym spoczywał Brisse, i odgarnęła mu włosy z czoła. Jego usta odzyskały normalny kolor.

– Śpi – szepnęła, spoglądając na Tankreda. – Śpi jak nigdy wcześniej. Zawsze się miotał, krzyczał, szlochał przez sen. A teraz po prostu śpi.

Młody rycerz pokiwał wolno głową i spojrzał na metalową, wiecznie ciepłą kulę, którą otrzymał w darze od elfiej rozmówczyni w Posępnej Łunie.

– Nie wierzyłam ci z początku, ale... – Viliena zawahała się. – Ale to chyba naprawdę działa. Szkoda, że Olve tego nie ujrzy.

– Pomaga już po raz drugi – rzekł cicho Tankred. – Choroba, która o mały włos nie odebrała nam władcy, dla elfów z Rzecznego Królestwa okazuje się błahostką. Musimy poznać ten świat. Musimy gruntownie zbadać wszystkie tajemnice Taliadu, Vilieno. – Mówił z coraz większą energią. – Trzeba się dowiedzieć, jak działają talioty i jak funkcjonuje tu magia, trzeba poznać język gnomów i nawiązać z nimi kontakty handlowe, trzeba zrozumieć filozofię druidów i...

Nagle urwał, uświadomiwszy sobie, że służąca, która czuwała przy śpiącym Brissem, wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami i z trudem przełyka ślinę, jakby powodowała nią trwoga. Gdy uzmysłowiła sobie, że Tankred na nią spogląda, odwróciła błyskawicznie głowę, blednąc.

– O co chodzi? – spytał, poruszony, i powtórzył pytanie po taliadzku, ale dziewczyna pokręciła tylko głową, nadal unikając jego wzroku.

– Chodź – rzuciła Viliena. Złapała go za nadgarstek i wyciągnęła na korytarz, łokciem zamykając za sobą drzwi. – Idiotka ze mnie. Zupełnie zapomniałam – syknęła, wzburzona.

– O czym? – Tankred patrzył to na nią, to na zamknięte drzwi. – O co chodzi? Ona wyglądała, jakby zobaczyła potwora!

– Nie przejmuj się tym! – Viliena machnęła ręką i skierowała się ku schodom. – Chodźmy, powinniśmy rzeczywiście coś zjeść, wykapać się i...

Tankred złapał siostrę za rękę.

– Wyłumacz mi to! – zażądał.

– Chodzi o Uxarę – wyrzuciła z siebie dziewczyna, nie patrząc mu w oczy.

– O Uxarę? – Młodzieniec dobrze pamiętał przewodniczkę, u której boku przemierzał Mglaki. – Znikła dokładnie w chwili, gdy spotkałem Thanniego i pozostałe gnomy. Bez słowa, jakby się pod ziemię zapadła. Czy... Czy coś jej się stało?

– Naprawdę nie wiesz? – Viliena powoli, ostrożnie obróciła wzrok ku niemu. Jej spojrzenie było twarde, przenikliwe, osądzające. Korytarzem, niczym upiór, przemknął podmuch wiatru, który targnął pochodnię i niemalże ją zgasił.

– Na Pieśni, skąd? Miałem gnomy na głowie! Nie szukałem jej, przyznaję, choć może trzeba było... Uznałem, że wystraszyła się Thanniego i pozostałych i postanowiła uciec. Nie miała przecież powodu, by... Co jej się stało?!

Niepokój w oczach i głosie Tankreda był tak szczery, że Viliena westchnęła i ponownie odwróciła głowę.

– Przepraszam, ja... Powinnam od razu ci zaufać. Jesteś moim bratem i najlepszym człowiekiem, jakiego znam, ale... – Spojrzała mu w oczy. – Uxara zjawiała się w rodzinnej wsi trzy dni później, wygłodzona, pokrwawiona, z dzikim spojrzeniem w oczach. Nie wiadomo, co się z nią stało, ale... Ale jej rodzina, a po niej reszta wsi uznała, że ją skrzywdziłeś. Wiesz, tak jak mężczyzna krzywdzi kobietę.

Tankredowi zaschło w ustach. Pokręcił gwałtownie głową, próbując zaprzeczyć, ale nie znalazł odpowiednich słów.

– Spokojnie – szepnęła zduszonym szeptem Viliena, opanowując wzruszenie. Musnęła dłonią jego nieogolony policzek. – Jakoś udobruchałam jej rodzinę. Niestety, inni wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– A ona? Uxara? Wyjaśniła coś?

– Sęk w tym, że od chwili powrotu nie powiedziała ani słowa. Zachowuje się normalnie, je, pije, śpi, pracuje, ale nie potrafi już ani mówić, ani się uśmiechać. Coś strasznego się stało w tych lasach. Coś, co ją odmieniło.

– To moja wina.

Tankred zacisnął pięści. Odsunął siostrę na bok, podszedł do sąsiedniej ściany i oparł czoło o zimny kamień. Z powodów, których nie potrafił zrozumieć, ta strata wydała mu się szczególnie bolesna. Wspominał brązowe oczy Uxary, jej gęste, splątane od wiatru włosy, nieśmiały uśmiech, równy, zdecydowany chód.

„Co się stało?” – powtarzał w myślach, ale pytania wpadały w ciemną otchłań.

– O, tu jesteście! – zagrzemiał znajomy, lekko chrapliwy głos, a potem zadudniły kroki, głośne, nierówne. – Wszędzie was szukam!

Tankred wyprostował się i z niechęcią odwrócił głowę.

– Krugan, to niezbyt dobry moment – rzekł.

Kuzyn dopił wino z trzymanego w ręku kubka i odstawił naczynie na parapet. Pochwycił zaskoczoną Vilienę i wycisnął pocałunek na jej policzku, a potem zwrócił się do Tankreda.

– Przyznam, że miałem nadzieję na nieco inne powitanie – oznajmił jowialnie, choć jego oczy jak zwykle błyszczały ironią. – Wino rozumiem, podobnie jak muzykę i pieczyście, ale nie spodziewałem się, że dwoje moich ulubionych kuzynów będzie się przede mną chować!

– Wybacz. – Tankred miał ściśnięte gardło. – Mieliśmy kilka ważnych kwestii do omówienia.

– Jasne, synu Vildurfa! – Entuzjazm, z jakim przytaknął Krugan, sugerował, że wino szybko uderzyło mu do głowy. – I przeszkadzać wam nie będę. Chciałem tylko przekazać pozdrowienia od wuja Mustaiga.

– Co u niego? – spytał Tankred, udając zainteresowanie.

– Nic specjalnego! – Krugan wzruszył ramionami. – Nie obija się, staruszek, trzeba mu to przyznać. Zaraz po podpisaniu aktu przejęcia Dymiących Wzgórz wskoczył na koń i pognał na czele grupy rozpoznawczej aż do miejsca przeprawy. W okolicy szwendały się jeszcze Sępy i król uznał...

– Dokąd pojechał? – Tankred zmarszczył brwi.

– Do miejsca przeprawy! – Krugan przewrócił oczami. – Do brodu, którym Sępy przeszły na naszą stronę Toporzyska.

– Co takiego? Czyli oni szli z początku prawym brzegiem? – Tankred poczuł narastające zdumienie, które na moment pochłonęło wstrząs i żal wywołane opowieścią o smutnym losie Uxary.

– Rzeka, jak to zwykle bywa, trzeciego brzegu już nie ma – parsknął Krugan.

Młody rycerz przymknął oczy.

„Czy elfy kłamały? Czy się po prostu pomyliły? A może to jednak Visteni mówił prawdę?! – wykrzykiwały jego myśli, zagubione i oszołomione. – A może przywódcy Sępów zlekceważyli obietnicę daną Visteniemu i w ostatniej chwili zmienili plan? Nie wiem już nic. Viliena miała rację. Chyba muszę się po prostu położyć”.

– Dobrze, Krugan, że cię mam – parsknął niechętnie. – Nie wiem, kto wtajemniczałby mnie we wszystkie sekrety tego świata. Idę spać. Jutro pogadamy.

– Chcesz jakąś lekturę do poduszki? – Oczy Krugana błysnęły dziko.

Wyciągnął z za pasa zwinięty pergamin z połyskującą w blasku pochodni pieczęcią, uformowaną ze świeżego laku. Tankred natychmiast rozpoznał symbol. Serce zabiło mu żywiej.

– Od króla? – szepnął z niedowierzaniem.

– Kazał dostarczyć do rąk własnych – rzekł Krugan i ukłonił się z błazeńskim uśmiechem.



Dzikię, gorące wiatry, szalejące w nocy nad Ugorem, cichły przed świtem, by ustąpić miejsca bladej, trupiej wręcz szarości, która wnikała przez wąskie okna twierdzy, jaśniejąc z każdą chwilą coraz bardziej. Gdzieś wrzeszczały krzykuny, odpowiadały im dzikię psy, na dziedzińcu ktoś się wykłócał sennym głosem, trzasnęły drzwi. Znad wypalanej świecy unosiło się wążutkie



pasemko dymu.

Tankred Hanstar wyprostował się na twardym, niewygodnym krześle. Jego twarz była poszarzała, opuchnięta z niewyspania, pod szklistymi oczami malowały się rozległe plamy. Ręka lekko zadrżała, gdy rycerz raz jeszcze rozłożył pergamin i zapoznał się z kilkoma linijkami nakreślonymi przez samego króla.

Pokręcił głową, wstał z trudem i podszedł do okna, by spojrzeć w kierunku niewidocznego stąd morza.

– Na Pieśni – szepnął znów ochryple. – Nie wierzę.

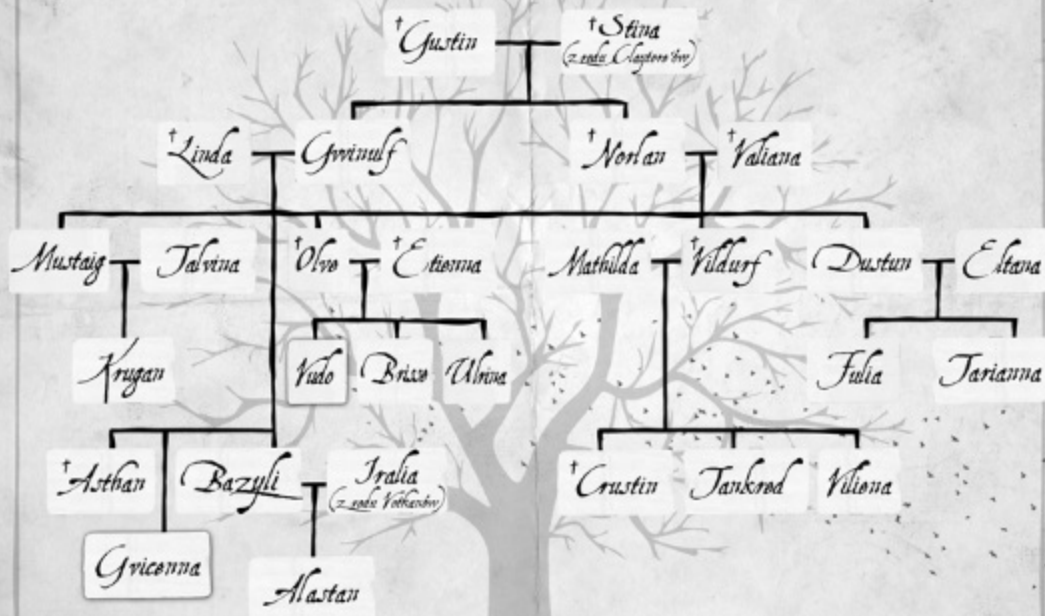
Chmury, po nocnych szaleństwach wichrów wreszcie zbite i skłębione, rozświetlił róz świtu. Litery stały się widoczniejsze.

*My, Duncan III z rodu Vailinów, władca Mandylionu, zarówno Starego, jak i Nowego, głowa rodów i opiekun Pieśni, życzymy sobie, by Tankred, syn Vildurfa z rodu Hanstarów, zorganizował wyprawę na Wściekłe Morze celem odnalezienia przedmiotu, o którym rozmawiał z nami w przytomności Drussa Vailina, Pierwszego Pieśniarza i królewskiego brata.*

– Mam odnaleźć Królewską Talię – powtórzył młody rycerz ledwie słyszalnym głosem.

*Koniec tomu pierwszego*

# CZŁONKOWIE GŁÓWNEJ LINII RODU HANSTARÓW



## DODATEK 2

### Rody Mandylionu

Wedle legendy wszystkie rody wywodzą się od najwierniejszych spośród przybocznych rycerzy Duncana Śmiałego z rodu Vailinów, założyciela królestwa Mandylionu.



**Vothanowie** to ród żeglarzy i szkutników. W ich stoczniach powstawała większość okrętów wojennych i handlowych, na których pływali Mandylionczycy. Żeglarze z rodu Vothanów od wieków zajmowali większość najważniejszych pozycji we flocie wojennej królestwa, wytyczali nowe szlaki handlowe, tworzyli mapy i budowali faktorie w innych krajach. Kosmopolityczni, znający obce języki i zamorskie tradycje, nierzadko byli krytykowani za to, że są słabo związani ze sprawami Mandylionu. Mało kto pamięta o tym, że dzięki ich statkom udało się ocalić wielu rodaków przed Czernią.

Vothanowie obsadzają pozycję Pierwszego Admirala w Radzie Królewskiej. Ich herbem jest Spieniona Fala na szarym tle.



Ród **Hanstarów** w pełni oddał się zdobywaniu wiedzy. W Mandylionie Hanstarowie zarządzali największym uniwersytetem oraz szeregiem szkół, a ich księgozbiór w Skalinie nie miał sobie równych. Otwarci na świat, energiczni i pełni zapału, zawsze słynęli jako niezrównani badacze i mediatorzy, krytykowani jednak przez innych za brak zdecydowanej polityki i skłonność do mezaliansów. W trakcie ewakuacji udało im się ocalić zaledwie część księgozbioru, przez co ich znaczenie w rozdartym wojną Taliadzie osłabło.

Hanstarowie zajmują pozycję Pierwszego Doradcy. Ich znak to Otwarta Księga na niebieskim tle.



Ród **Toulghanów** od niepamiętnych czasów ma monopol na wydobycie i obróbkę rud metali. Dzięki kopalniom, hutom i rozlicznym manufakturom udało im się zbudować finansowe imperium, tym bardziej że zarówno król, jak i rody zaopatrywali u nich swe oddziały w broń i zbroje. Toulghanowie tworzyli trzon armii królewskiej, szkoląc i wyposażając znakomite oddziały ciężkiej piechoty. Byli i są uważani za wyrachowanych, chciwych, a przy tym

pozbawionych wyobraźni. Ponieśli wielkie straty w walce z Czernią, wielu spośród nich do końca bowiem broniło zamków i ukrytych w nich bogactw.

Toulghanowie obsadzają pozycję Pierwszego Zbrojmistrza w Radzie Królewskiej. Ich znak to Kłof na czarnym tle.



Dzięki dekretowi królewskiemu ród **Vinkenanów** miał absolutny monopol na świadczenie usług magicznych i tworzenie talizmanów. Zażarcie bronił swych przywilejów, tworząc nawet rywalizującą skrycie z Pieśniarzami siatkę agenturalną, która szukała dowodów na łamanie monopolu. Z tego względu – oraz z powodu wysokich cen za swe usługi – uchodzili za najbardziej znienawidzony ród, choć po ewakuacji do Taliadu, w którym magia działa zupełnie inaczej, nienawiść pozostałych przeszła w pogardliwą obojętność. Obecnie Vinkenanowie robią wszystko, aby odzyskać swe moce, i wspierają Pieśniarzy w- zwalczaniu miejscowych magów. Rzekomo w tajemnicy prowadzą okrutne eksperymenty na magach i wysyłają statki do utraconego Mandylionu, próbując odzyskać dawne artefakty.

Przedstawiciel Vinkenanów zasiada w Radzie Królewskiej jako Pierwszy Mag. Ich znakiem jest Ośmioramienna Gwiazda na żółtym tle.



Ród **Tenketai** od zarania dziejów miał monopol na chemię i alchemię, w tym również na wydobycie siarki i produkcję prochu oraz broni palnej. Wywoływało to krytykę Hanstarów i Mlistunów, zainteresowanych wynikami eksperymentów z innych obszarów nauki. Ród Tenketai ucierpiał znacznie podczas ewakuacji, gdyż zatono wiele spośród ich statków z działami i zapasami prochu.

Najznaczniejszy z Tenketai pełni funkcję Pierwszego Puszczarza w Radzie Królewskiej, a ich herbem jest Szary Dym na granatowym tle.



**Fulghamowie** to ród architektów i budowniczych, celujący we wznoszeniu mostów, portów, zamków i fortyfikacji. Krytykowany za wyniosłość i wybujałe ambicje – niektóre spośród ich budowli okazywały się nazbyt kruche, niepraktyczne bądź kosztowne – udowodnili swą wartość podczas wojny z Czernią, kiedy to zarówno ich umocnienia, jak i hufce długo wytrzymały napór wroga i umożliwiły innym ucieczkę. Badian Fulgham zginął, osłaniając króla, a wraz z nim wielu innych członków rodu. Dziś Fulghamowie to najmniej liczny ze wszystkich rodów.

Przywódca Fulghamów piastuje w Radzie Królewskiej stanowisko Pierwszego

Budowniczego. Ich symbolem jest Strzelista Wieża na pomarańczowym tle.



Ród **Vlistunów**, który w Mandylionie zajmował się sztuką leczenia, uchodził za najbardziej skłócony z resztą. Z Hanstarami sprzeczał się na gruncie naukowym, z Vinkenami z powodu różnic między leczeniem naturalnym i magicznym, a z innymi ze względu na rezultaty ich zabiegów medycznych, nie zawsze pozytywne, w których dopatrywano się podtekstów politycznych. Ich monopol był często krytykowany i nierzadko pozostałe rody próbowały wpłynąć na króla, by rozszerzył przywilej leczenia ludzi na innych, ale do chwili ewakuacji Vlistunowie byli jedynymi, którzy prowadzili szpitale i apteki oraz szkolili medyków.

Ich przedstawiciel zasiada w Radzie Królewskiej jako Pierwszy Medyk. Znak rodu to Waga na zielonym tle.



Ród **Treshów** zawsze pomieszkiwał na obrzeżach Mandylionu i z tego powodu uważany był przez resztę za nieokrzesany. Nie zmienia to jednak faktu, że z hodowanych przez Treshów koni – zarówno pociągowych, jak i do jazdy wierzchem – korzystali wszyscy, a formowane

przez nich oddziały lekkiej jazdy nie miały sobie równych. Podczas ewakuacji Treshowie zdołali przewieźć jedynie kilka najlepszych wierzchowców i w tej chwili na nowo odbudowują swą pozycję, wytrwale i lojalnie wspierając króla.

Członek rodu Treshów zasiada w Królewskiej Radzie jako Pierwszy Masztalerz. Ich znak to Stepowy Wiatr na złotym tle.



Ród **Puckhardów**, najliczniejszy ze wszystkich, praktycznie zawładnął produkcją żywności w Mandylionie. Przedstawiciele rodu zarządzali ogromnymi gospodarstwami, w których hodowali bydło i trzodę chlewną, kompleksami pól uprawnych oraz spichlerzami, piekarniami i wędzarniami. Wypracowali również unikalną formę współpracy z innymi rodami, starannie wystrzegając się jakichkolwiek konfliktów. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że w ten sposób zgromadzili ogromny majątek, o wiele przewyższający dobytek uchodzących za krezusów Doylannów.

Przedstawiciel Rodu pełni funkcję Pierwszego Kwatermistrza w Radzie Królewskiej. Ich znak to Motyka na brązowym tle.





**Doyllannowie** to ród specjalizujący się w obsłudze finansów. Ich własnością są banki, giełdy oraz placówki pocztowe, co sprawia, że są niezmiernie potrzebni wszystkim rodom, ale niezbyt lubiani, głównie z powodu nie zawsze czytelnych umów. W rodzie Doyllannów przychodzi na świat niewielu chłopców. Aby temu zaradzić, Doyllannowie wydają swoje córki za mąż za najrozmaitszych mandyliońskich wielmożów, przez co ich ród jest najszerzej skoligacony ze wszystkich, ale jego członkowie są wobec siebie najmniej lojalni.

Ich przywilejem jest pozycja Pierwszego Skarbnika w Radzie Królewskiej. W herbie mają Klucz na białym tle.



**Lunde'owie** są jedynym rodem, który wywodzi się spoza Mandylionu, a został wyniesiony do obecnej pozycji kilkaset lat po pozostałych. Członkowie rodu do tej pory mają nieco ciemniejszą skórę i mówią między sobą w obcej mowie, której nie złąbili nawet Hanstarowie. Ich monopolem jest administracja podatkowa i służba sądownicza. Jako jedyny ród nie utworzyli silnego wojska.

Przywódczyni Lunde'ów – zawsze kobieta – zasiada w Radzie Królewskiej jako Pierwsza Sędzina, a herbem rodu jest Szubienica na zgniłozielonym tle.



Ród **Strawdonów** objął swoim zasięgiem wszelkie formy kultury i sztuki. Budował teatry i amfiteatry, szkolił bardów i minstreli, organizował festiwale i karnawały, za wszystko pobierając słone opłaty. Choć potrzebni, popularni i uważani za nieszkodliwych, Strawdonowie nieraz zachodzili za skórę mecenasom z innych rodów, zawsze znajdując sposób na przeciągnięcie odnalezionych przez nich twórców na swoją stronę. Niemalże nie ucierpieli w wojnie z Czernią, ale po ewakuacji do Taliadu bardzo stracili na znaczeniu.

Jeden ze Strawdonów piastuje stanowisko Pierwszego Minstrela. Herbem rodu jest Lutnia na srebrnym tle.



Ród **Torstonów**, zawsze blisko związany ze Strawdonami i Claytore'ami, objął swą władzą najniższe sfery społeczeństwa. Utworzone przez nich oddziały milicji niszczą wszelką działalność przestępczą (spieniężając przy tym konfiskowane dobra), a wyspecjalizowana

administracja tworzy domy publiczne, kasyna i szkoły dla zabójców. Istnieje również domniemanie, że Torstonowie organizowali królewski wywiad. Niektórzy twierdzą, że jest to jedyny istniejący ród, który został pokarany za pomocą Królewskiej Tali, choć nie wiadomo, czym sobie zasłużyli na niełaskę.

Najznaczniejszy z Torstonów zasiada w Radzie Królewskiej jako Pierwszy Stróż. Ich herbem są Dwa Sztylety na czerwonym tle.



**Claytore'owie**, uważani za pozbawionych poczucia humoru, ponurych brutali, nigdy nie byli zainteresowani poszerzaniem swego bogactwa, a za cel własnego istnienia obrali chronienie Mandylionu. Większość członków tego rodu szkolila się na wojowników, a życie spędzala na czynnej służbie bądź trenowaniu oddziałów królewskich. Żaden inny ród nie był tak blisko związany z królem, żaden inny ród nie pobierał też tak wielkich kwot ze skarbca królewskiego, co zawsze budziło zazdrość i politowanie innych, bardziej niezależnych rodów. Claytore'ów zawsze łączył sojusz z Hanstarami, przez co oba rody podczas walk z Czernią poniosły ogromne straty.

Jeden z Claytore'ów piastuje w Radzie Królewskiej stanowisko Pierwszego Marszałka. Herbem rodu jest Złamana Kopia na złotym tle.

## DODATEK 3.

### Taliad przed przybyciem Mandyliończyków

W przeciwieństwie do istniejącego od tysięcy lat Mandylionu, królestwo Taliadu było tworem liczącym sobie niecałe sto dwadzieścia lat. Jego najważniejszą prowincją był Vintalid wraz ze stolicą i siedzibą rodu Talianich. Jeden z najambitniejszych rządzących z tej linii, Rodan Taliani, dzięki serii krwawych bitew i skutecznych intryg dynastycznych rozciągnął władzę nad sąsiednim Escalionem.

Zwycięstwo to zostało źle przyjęte przez krasnoludzkich władców Tangstevu, którzy uznali, że równowaga w regionie została zaburzona. Obawiali się ponadto, że ród Talianich sięgnie również po Pogórze, które było tradycyjnie strefą krasnoludzkich wpływów – władcy Tangstevu wieki temu narzucili swą władzę miejscowym plemionom i odbierali roczną daninę w ludziach, których wysyłali do niewolniczej pracy w kopalniach. Krasnoludzka armia przekroczyła granicę między Pogórzem i Vintalidem, co uznaje się za początek Wojen nad Przepaścią, po czym zniosła siły Talianich w Bitwie Żółtych Liści.

Rozbity ród Talianich wszczął jednakże powstanie w Pogórzcu i odciął krasnoludom odwrót. Po trwających prawie rok walkach na granicy Pogórzca i Vintalidu Taliani i władcy Tangstevu ostatecznie podpisali pokój, w którym krasnoludy zrzekły się Pogórzca w miejsce innych ziem, a za nową granicę uznano przepaść zwaną Szczeliną. Pogórze, Escalion i Vintalid utworzyły państwo zwane Taliadem od nazwiska zwycięskiego rodu.

Zoldain Taliani, prawnuk śmiałego Rodana, nie posiadał wielu z jego przymiotów. Dzieciństwo spędził wśród druidów i nigdy nie zapomniał ich nauk, które pomogły mu wprawdzie w rozbudowie gospodarki i spisaniu sprawiedliwych praw, ale utrudniły stworzenie spójnej wizji politycznej kraju. Na łożu śmierci podzielił królestwo na trzy równe części – Vintalid oddał

najstarszemu synowi Olinowi, Escalion otrzymał Terjei, a najmłodszy z nich, Visteni, został obdarowany Pogórzem. Zoldain miał nadzieję, że bracia będą współpracować dla dobra Taliadu, ale nie wziął pod uwagę zwykłej ludzkiej zazdrości. Walki między braćmi, z których wszyscy pragnęli pełni władzy nad Taliadem, wybuchły już kilka miesięcy po śmierci Zoldaina, po konflikcie o zamek zwany Kielichem.

Ich dokładny przebieg nie jest znany, ale wiadomo, że dochodziło do licznych potyczek granicznych, grabieży i prowokacji. Jednocześnie sami bracia, zbrojąc się na potęgę, cisnęli poddanych coraz to nowymi podatkami i surowo karali wszystkich, którzy krytykowali ich politykę. W chwili przybycia pierwszych okrętów z Mandylionu Taliad był zrujnowanym, osłabionym państwem, łatwym łupem dla każdej obcej siły. Nie dostrzegając tego Olin Taliani, władca Vintalidu, który powitał Mandyliończyków jako samodzielny król Taliadu i od razu postanowił przeciągnąć przybyszów na swoją stronę.

Zaalarmowało to pozostałych braci. Kilka tygodni po lądowaniu Terjei zebrał znacznie większą armię i pociągnął na Olin, by wyeliminować go z walk o władzę raz na zawsze. Olin, który wynegocjował już pomoc Mandyliończyków, stawiał mu czoła na czele niewielkiego hufca, przekonany, że przybysze przyjdą mu z pomocą. Z niejasnych powodów nigdy do tego nie doszło – ludzie Olina walczyli w osamotnieniu i ponieśli klęskę, a sam Olin podczas odwrotu spadł z konia i skręcił kark. Starcie to do dziś nazywane jest Bitwą Porzuconych, choć Pieśniarze zabraniają o niej mówić.

Niedługo po bitwie Terjei został ciężko ranny przez nieznanego sprawcę, przypuszczalnie nasłanego przez Visteniego. Najbliżsi doradcy wywieźli go daleko, by zdołał w spokoju wrócić do pełni sił i pokarać zdradzieckiego brata. Jego dalsze losy nie są do końca znane, ale wiadomo, że podczas bitwy o Vissnit obroną dowodził wysoko urodzony wojownik spod znaku Srebrnej Perły. Przypuszczalnie był to Terjei, ale jego zwłoki zostały zmasakrowane do tego stopnia, że ich identyfikacja okazała się niemożliwa.

Visteni zaś, natychmiast po wyeliminowaniu rywala, ogłosił się królem całego Taliadu i wypowiedział wojnę przybyszom z Mandylionu. Jego pierwszą decyzją było zamknięcie bram Svallebru przed Mandyliończykami. Król Mandylionu uznał to za złamanie paktu zawartego z Olinem Talianim i rozkazał magom z rodu Vinkenatów zniszczenie bram miasta. Był to oficjalny

początek Wojny na Obczyźnie.

## Marcin Mortka



fot. Mieczysław Włodarski

Z zawodu lektor języka angielskiego i norweskiego, z pasji pisarz, z natury gawędziarz i marzyciel. Za swego najlepszego przyjaciela uważa wikinga Tappiego, postać z własnych książek dla dzieci. Zafascynowany historią, co znalazło odbicie w wielu cyklach powieściowych dla dorosłych (m.in. *Miecz i kwiaty*, *Ostatnia Saga*, *Listy lorda Bathursta*), oraz końcem świata opisanym w trylogii *Pod Pękniętym Niebem*. Za jedno ze swoich najważniejszych dokonań uważa space operę *Zagubieni* przeznaczoną dla młodych czytelników. Starszym czytelnikom znany także jako autor wspaniałych powieści fantasy. Jako tłumacz przekładał powieści m.in. Patricka O'Briana, Eve Ainsworth, Marie Lu, Jamesa Luceno czy Sarah Maas.

W życiu prywatnym jest niepoprawnym domatorem i poszukiwaczem świętego spokoju. Uwielbia psy, kawę i dobre książki. Chciałby kiedyś hodować pszczoły i zostać prawdziwym hobbitem.